

CENA 20 zł
nr indeksu 332593



FRAZA nr 3 (121) 2023

FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 3 (121) 2023



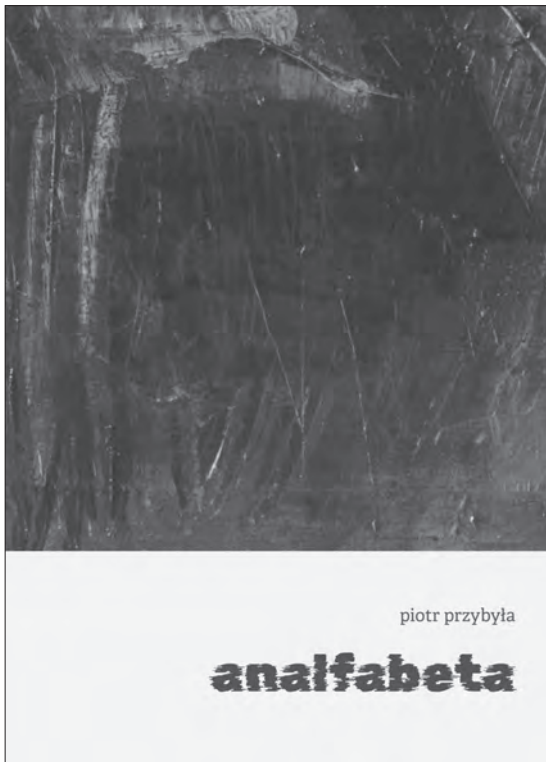
W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

PORTRETY: Katarzyna Lewandowska, Ptak Piwniczny [Michał Głuszczka]
Literatura włoska (Campo, D'Arzo, Magliani), bułgarska (Liczewa, Metropolitka), brazylijska, cyprijska, szwedzka. Studia i szkice o: Belciku, Conradzie, gnozie, Karpowiczu, Pacześniaku, Tuliku, Woolf. Wiersze i proza: Bałys, Bieleń, Dmitroca, Hożewska, Jesienin, Kerouac, Kołodziejczyk, Koryl, Kozak, Mazan-Mazurkiewicz, Michna, Pogorzelski, Sołtysik, Stosur, Szuba, Szymczyk, Tercha-Frankiewicz, Tomczak, Wilczyński, Wysocki i in. Wiersze laureatów XIX OKP im. Kazimierza Rationa Olkusz 2023. Archiwalna rozmowa z Józefem Szajną, Świdnickie „Frazy” (zapis spotkania). Kolekcja / *Sammlung* Jana Pastuły



Literacka Pogoń przez Litwę: Baliul, BARTOSZEWICZ, Birgelis, BORZENKAITĖ, Daugėla, GRAŠYTĖ-BLACK, Griškevičiūtė, KRUPKA, LASSOTA, ŁAWRYNOWICZ, Mackojć, MASALYTĖ, Masiulaniec, MATULIONIS, Olicka, PUMPUTIS, Snarski, Stefanowicz, TAMULEVIČIŪTĖ, Toleikytė, VALKIŪNAITĖ, Vasiliauskas, ŽITKAUSKAS. PORTRETY: Zofia Mirska, David Magen. SZTUKA I POZNANIE: Andruchowycz, Bobula, Brakoniecki, Bzinkowski, Fostowicz, Korwin-Piotrowska, Machno, Matuszkiewicz, Melecki, Nicoś-Trenk, Sarnecka, Sinkowski, Strumyk, Szewczuk, Walendowska, Waniek. Eseje o *Pieśni o Perle* i *Marii Malczewskiego*. Wystawa *Powrót do raj*. *Spotkanie*. Prace laureatów V Konkursu na recenzję literacką im. T. Karpowicza 2023

„FRAZA” POLECA



Piotr Przybyła, *Analfabeta*, Galeria Literacka GS BWA w Olkusz, Biblioteka „Frazy”, Olkusz 2022, cena 20 zł.

Tomik nominowany do nagrody literackiej Gdynia 2023 w kategorii Poezja.

Defragmentacja rzeczywistości, wyrafinowanie słów i obrazów, skojarzeń, gęszcz bardziej lub mniej subtelnych intertekstualnych czy autotematycznych odniesień to tylko część atutów poezji Piotra Przybyły z tomiku *Analfabeta*. Warto sięgnąć po jego „wiersze z łaski”, „bez łaski” i te „w stanie łaski uświęcającej”, by wyłowić z całego poetyckiego bogactwa walory i treści na miarę własnych oczekiwań, upodobań, odczuwanych rejestrów twórczych.

Ryszard Mścisz



Motta:

Mosty Zarzecza, schylone od miłości i metalu,
zjawiają się w nocnej mgle niby szalone duchy,
bosi księżyc widzi w Wilence Ateny,
po raz enty oszukany przez chytrą syrenkę.

Alina Borzenkaitė, *Bajki Zarzecza*
Przełożyła Mirosława Bartoszewicz

W drodze trzęsły nami dreszcze
Przeszliśmy z więzienia do więzienia
Na granicy serce pokrywa szron
Na granicy leżą ciała
Na granicy dusza poddaje się rozpaczy
Na granicy nie ma współczucia
Na granicy panuje śmierć

Ali Al Shaikhil, *Dzieci*
Przełożył Jakub Bieniasz



© Copyright by Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
Rok XXXI nr 3/2023 (121)
PL ISSN 1230-4832
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:

Magdalena Rabizo-Birek – redaktorka
naczelną, Anna Jamrozek-Sowa, Iwona
Misiak, Janusz Pasternski, Jan Wolski,
Matylda Zatorska (sekretarzynie redakcji)

Współpracownicy:

Marek Kusiba (Kanada), Kazimierz
Maciąg, Antoni Matuzkiewicz (Czechy),
Ryszard Młócsin, Elżbieta Rokosz,
Krystyna Walc, Piotr Wojtaszek

Projekt okładki: Antoni Nikiel

Recenzenci: dr hab. prof. UWYM

Joanna Chłosta-Zielonka, prof. dr hab.
Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet
Zielonogórski), dr hab. prof. UR Witold
Nowak, dr hab. Izolda Topp-Wojtowicz
(Uniwersytet Wrocławski).

Adres do korespondencji:

„Fraza”, ul. Rejtana 16 C, p. 107,
35-310 Rzeszów
e-mail: fraza@ur.edu.pl

„Fraza” w Internecie:

<http://fraza.ur.edu.pl>
[https://www.facebook.com/profile.
php?id=100088752245399](https://www.facebook.com/profile.php?id=100088752245399)
[https://www.instagram.com/kwartalnik_
fraza/](https://www.instagram.com/kwartalnik_fraza/) (prowadzi Piotr Wojtaszek)

Wydawca: Stowarzyszenie
Literacko-Artystyczne „Fraza”
35-310 Rzeszów
ul. Rejtana 16 c, p. 107

Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 15.10.2023 r.

Prosimy o teksty w wersji elektronicznej.
Materiałów niezamówionych nie
odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo do
zmiany tytułów i skrótów.

Korekta: Iwona Misiak, Krystyna Walc,
Matylda Zatorska

Skład i łamanie: „Otwarty Rozdział”

Druk: „Bonus Liber”

Spis treści:

LITERACKA POGOŃ PRZEZ LITWĘ

Paweł KRUPKA, Literacka pogoń przez Litwę	4
Kristina TAMULEVIČIŪTĖ, Wiersz z soli, Przyłomek, Pogrzeb, Dzieciństwo, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	6
Saulius VASILIAUSKAS, Babcia zmartwychwstała, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	8
Alina BORZENKAITĖ, Północne ryby, Wydma, Bajki Zarzęca, Wielka Niedźwiedzica, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	11
Paweł KRUPKA, Wiosna Poezji. Światowe święto litewskiego słowa	14
Martynas PUMPUTIS, W Związku Pisarzy, Przeczytane książki, Kto zanieczyszcza rzeki?, Prośba poety w średnim wieku o wcześniejszą emeryturę, Bez czynszu, przełożyła Agnieszka Masalyté	18
Nomeda GRIŠKEVIČIŪTĖ, Gołębie i cytryny, Krowie plamy, przełożyła Agnieszka Masalyté	21
Birutė GRAŠYTĖ-BLACK, Zapłaciłam liśćmi z oliwek, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	24
Juožas ŽITKAUSKAS, Spuścizny, Baśń, przełożyła Edyta Masulianiec, Drzewo Pochwalne, przełożył Paweł Krupka	25
By Litwa była okazalsza. Rozmowa z Juozasem Žitkauskasem	28
Uršulė TOLEIKYTĖ, Gryzonia, Ryzyko, Mama kotka i kotek, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	30
Dominykas MATULIONIS, Daltonia, przełożyła Edyta Masulianiec	32
Kornelija MIKALAUŠKAITĖ, Czas to pieniądz..., Mów mi o śniegu, kiedy przyjdzie zima..., przełożyła Edyta Masulianiec	41
Romuald LAWRYNOWICZ, Litewska muza. O poezji z towarzyszeniem muzyki	43
Linas DAUGĖLA, Solanka, Podróże, Odchodzące, przełożyła Mirosława Bartoszewicz	49
Verdėnė Monika VALKIŪNAITĖ, o pięknie, o ciele, przełożyła Edyta Masulianiec	52
Paweł KRUPKA, Kultura litewskiej mniejszości w Polsce	54
Sigitas BIRGELIS, Liczby, przełożył Jonas Jankauskas, Dusza, przełożyła Joanna Tabor, Słowo, przełożyła Alina Kuzborska	56
Tomasz SNARSKI, NeMo. Pomiędzy Neris a Motławą. Pentalogia gdańsko-wileńska (fragmenty)	59
Alina LASSOTA, Czas cofnięty w czasie, Listopad, Zmartwychwstanie, Oczy Śródmieścia, Tygrysy Ratu	63
Dominika OLICKA, Algebra codzienności, Przypomnienie	66
Alina LASSOTA, W tygry kultur. Litwa wielojęzyczna i wielokulturowa w sztuce	67
Agnieszka MASALYTĖ, Biel, 10 lutego	71
Agnieszka MACKOJČ, Fizjologia szczęścia. Podróż w nieznanne	73
Ewa BALIUL, Robocizny, eksperyment na miarę czasów, w których żyjemy	74
Mirosława BARTOSZEWCZ, Jest. Ranek	76
Patrycja STEFANOWICZ, Kobięcość	78

PORTRETY

Karol MALISZEWSKI, „Jestem zawsze niedaleko”. O liryce Zofii Mirskiej	80
Zofia MIRSKA, Przesiedleńcy, Rowerzysta, ***w partykule NIE..., Ogród, ***za ulicę Ostatnią,	92
Antoni MATUSZKIEWICZ, <i>Exegi monumentum</i> ... (na czterdziestolecie twórczości Zofii Mirskiej)	95
David MAGEN, Agnes, Mówią, Izaak 1946	97
Antoni MATUSZKIEWICZ, Piętno koloru. O poezji Davida Magena	99

MIEDZY POZNANIEM A (NIE)WIARĄ

Jurij ANDRUCHOWYCZ, Familia Gruzina, <i>Bad Company</i> , przełożyła Katarzyna Kotyńska	110
Walerij SZEWCZUK, Diabeł który istnieje (sełna czarownica), przełożyła Katarzyna Kotyńska	113
Na intelektualnym froncie. Spotkanie z Wasylem MACHNO	115
Wasyl MACHNO, Umywanie nóg, przełożył Bohdan Zadura	157
Marek R. LIPŃSKI, <i>Maria Antoniego Malczewskiego</i> – poemat zadziwiająco współczesny	163
Alii Ai SHAIKHIL, Syrena spacerująca po łądzie, ***Tkam wiersz z jedwabiu i wełny..., ***Imię moje: uchodźca z polskiego obozu..., Dzieci, przełożył Jakub Bieniasz	177
Joanna SARNECKA, Żenia	181
Doroła KORWIN-PIOTROWSKA, Obiecay sobie, Te(t)rabajtek, Darii, Zimowe święta, Za mną/przedemną	187
Grzegorz STRUMYK, Krzewinka	192
Michał BZINKOWSKI, Ślady, Jabłoni pamięci, Drzwi	196

Piotr MRAS, Książę, Perla i Wąż. Ezoteryczna wykładnia <i>Pieśni o Perle</i>	199
Maciej MELECKI, Meander, Wszawy odrzut, Odstąpienia	208
Henryk WANIEK, <i>Veritas ex machina</i>	212
Maciej BOBULA, W niebie	220
Beata NICOS-TRENC, Szkło jest materialem idealnie sprężystym... W razie niebezpieczeństwa stłucz szybę, „Nieperfekcyjność jest sztosem...”, Polisensorycznie, Gry i zabawy (nie)dziecięce... ..	232
Michał FOSTOWICZ, Między sztuką a poznaniem	237
Ryszard LENG, Nad brzegami opowieści	244
Maria WALENDOWSKA, Tropieleci Boga,	256
<i>Postscriptum do Tropieleci Boga</i> (Jacek Antoni ZIELIŃSKI)	267
Alina POCHWAT-CICHA, ***fale deszczu..., ***Twarz..., ***Nikomu... ..	269
Antoni MATUSZKIEWICZ, Poezja	271
Radosław LACH, Człowiek jest miejscem, Ostatnie dobre miejsce	276
Kazimierz BRAKONIECKI, Poeta jako ateista mistyczny	278
Janusz PASTERSKI, Pięć imion dla świata	288
Adrian SINKOWSKI, Skądinąd, Megafon, Narewka, Drzazgi, Dzień trzydziesty trzeci, Reling, Dzień czterdziesty dziewiąty: Brwinów	290

FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, Czarna cytryna	294
Grzegorz STRUMYK, Łatanina 42	297
Roman SABO, Notatki wileńskie	299
Robert SUWAŁA, Geniusz nocy	303
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, Wolność skowronka	308
Teresa TOMSIA, Jan Kasper – obecność zapisana	315

SZTUKA

Piotr WÓJTOWICZ, Rajske tęsknoty artystów	318
---	-----

O KSIĄŻKACH

Rafał RŻANY, Pocztówki z labiryntu czasu (Piotr Szewc, <i>Sekretne przejścia</i>)	323
Ryszard MŚCISZ, Kąpiel w poetyckim strumieniu świadomości (Piotr Przybyła, <i>Analfabeta</i>)	325
Bartosz SUWIŃSKI, Poezja wdzięczności (Elżbieta Olak, <i>W deszczu</i>)	328
Piotr WOJTASZEK, Więziarka nienawiści (Dorota Kotas, <i>Czerwony mlóteczek</i>)	330
Kazimierz MACIĄG, Dawno temu teraz, czyli poezja słów (Joanna Sarnecka, <i>Dawno temu teraz</i>)	332
Tomasz PYZIK, Budowanie pomnika Bogdana Czaykowskiego (<i>Kontynenty. Tom drugi. Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego</i> , red. Magdalena Rabizo-Birek, Bożena Szalasta-Rogowska)	334
V Konkurs na recenzje literacką im. Tymoteusza Karpowicza 2023	
Jagoda MACIEJCZYK, Czy ty też słyszysz ten świergot (Marcin Mokry, <i>Świergot</i>)	337
Piotr MARCINKÓW, Na zawsze śnieg (Maciej Robert, <i>Śnieg</i>)	339
Karolina CHYLA, Centrum nie istnieje (Emilia Padoł, <i>Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza</i>)	342
Ada CZERWIŃSKA, Upiory dwoistości (Łukasz Barys, <i>Jeśli przecięto cię na pół</i>)	344
Urszula MARGAS, Słowo stojące się ciałem (Anna Ciarkowska, <i>Dewocje</i>)	346
Sabina SIKORSKA, Najmilszy jest mi pierwotniak pantofelek (Patrik Pufelski, <i>Pawilon małych ssaków</i>)	347

KRONIKA

<i>Wrocław ocalałych po niemiecku</i> (Jan WOLSKI)	349
Nagroda im. Wisławy Szymborskiej w stulecie urodzin poetki. Notatki jurorki (Magdalena RABIZO-BIREK)	351
A jeśli zapytasz mnie o przyjaźń (zrecz. o Janinie Joannie Osewskiej) (Krystyna LENKOWSKA)	355

AUTORZY FRAZY	359
ZAPROSILI NAS	372
PUBLIKACJE NADEŚLANE	375
KOMUNIKATY	379

W galerii „Frazy”:



Marek Pokrywka, *Okrucy świętości*, olej na płótnie. Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

nakład 300 egz.

„Frazy” jest piśmie redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji.

Rada Naukowa „Frazy”:
Joanna Chłosta-Zielonka (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Olsztyn), Elwira Grossman (Uniwersytet Glasgow), Bogumiła Kaniewska (Uniwersytet im. A. Mickiewicza, Poznań), Marlis Lami (Universität Wien), Renata Makarska (Johannes Gutenberg-Universität Mainz), Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), Anna Nasiłowska (IBL PAN, Warszawa), Tomasz Swoboda (Uniwersytet Gdański), Tamara Trojanowska (University of Toronto), Maria Zadencka (Stockholms universitet)

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury, budżetu Województwa Podkarpackiego, budżetu Gminy Miasto Rzeszów



LITERACKA POGOŃ PRZEZ LITWĘ

Paweł Krupka

LITERACKA POGOŃ PRZEZ LITWĘ*

Spośród wszystkich wielkich i mniejszych sąsiadów najmniej chyba wiemy o Litwinach i najsłabiej znamy ich kulturę, mimo wielowiekowej wspólnej tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest z pewnością bariera językowa, szczególnie dotkliwa w dziedzinie literatury oraz wszelkich sztuk posługujących się tekstem.

Znikoma znajomość języka litewskiego wśród polskiej inteligencji, a więc także w środowiskach literackich, sprawia, że właściwie jedynymi tłumaczami literatury litewskiej byli do niedawna akademicy lituańscy z kilku polskich ośrodków, głównie warszawskiego i krakowskiego. Dopiero jakiś czas temu do tego grona dołączyła grupa młodych literatów wywodzących się z licznej przeciw polskiej mniejszości narodowej na Litwie. Polska kultura rozwija się tam od pokoleń, lecz do niedawna była utrzymywana w izolacji od ogólnokrajowego życia społecznego, a polscy pisarze z Litwy, niejako z natury predestynowani do tworzenia mostu kulturowego między obu naszymi krajami, nie zajmowali się wzajemnymi przekładami ani rozwojem polsko-litewskiej współpracy literackiej.

Obecny rok przyniósł znaczny postęp w promocji literatury litewskiej w Polsce. W różnych oficynach, nie tylko w tradycyjnie zaangażowanym w to dzieło sejneńskim Pograniczu, ukazało się kilka nowych litewskich książek, a kwartalnik „Akcent” poświęcił niemal w całości kulturze litewskiej cały tegoroczny numer

* Dział „Literacka pogoń przez Litwę” wymyślił, przygotował i zredagował Paweł Krupka.



Fot. Włodzimierz Gulewicz

Paweł Krupka

3 (173). Litewski materiał w lubelskim piśmie, zatytułowany *Litwa – bardzo bliska nieznaną*, to obszerna i dość kompletna prezentacja czołówki pisarzy i artystów – tych, których pozycja w kraju jest ugruntowana i bezdyskusyjna, są też rozpoznawalni poza granicami kraju. Teksty publicystyczne zamieścili w „Akcencie” czołowi litewscy krytycy i historycy różnych dziedzin sztuki, a utwory literackie przełożyli polscy lituaniści z Agnieszką Rembiałkowską i Joanną Tabor na czele.

Na łamach „Frazy” nie zamierzamy konkurować z znakomitymi bałtyst(k)ami. Pozostawiamy im słusnie przynależną opiekę nad „klasykami” i proponujemy materiał komplementarny w stosunku do przedstawionego w „Akcencie”. W tym numerze prezentujemy młodych twórców i młode twórczynie, w większości jeszcze zupełnie nieznanymi polskim czytelnikom, oraz ważne zjawiska w kulturze litewskiej, które umknęły uwadze redaktorów lubelskiego kwartalnika. Wielką w tym zasługą bezdyskusyjnie najbardziej zasłużonego promotora młodych twórców na Litwie, Juozasa Žitkauskasa, pisarza z Dzukii, regionu sąsiadującego z polską Suwalszczyzną, od lat zaangażowanego w polsko-litewską współpracę kulturalną, który wybrał dla nas znaczące miniatury literackie autorstwa najmłodszego pokolenia. Naszymi tłumaczami i publicystami są natomiast młodzi przedstawiciele polskiej mniejszości narodowej na Litwie, zwani tradycyjnie Wilniukami.

Oczywiście, ich rola w tym wydaniu nie ogranicza się bynajmniej do tłumaczenia i opisywania twórczości kolegów i koleżanek piszących po litewsku. Mając na uwadze znaczny odsetek mniejszości narodowych w litewskiej populacji i fakt, że najliczniejszą z nich stanowią Polacy, uznaliśmy za oczywiste włączenie ich twórczości do litewskiego materiału. Dotąd w polskim piśmiennictwie promowała się od wielu lat zaledwie garstka polskich intelektualistów i literatów z Litwy, zazdrośnie broniąc monopolu na reprezentację całej polskiej społeczności. Na łamach „Frazy” udzielamy więc głosu młodemu pokoleniu litewskich Polaków, który dotąd nie był w naszym kraju dostatecznie słyszany. Rzecz jasna, nie zapomnieliśmy o nielicznej, lecz aktywnej na polu kultury, litewskiej mniejszości w Polsce, zamieszkującej niewielki obszar przygraniczny i skupionej w dwóch głównych ośrodkach – Puńsku i Sejnach. Czytelnicy „Frazy” znajdą na stronicach numeru także ich utwory.

Zważywszy na fakt, że w twórczości literackiej litewskich Polaków od kilku pokoleń dominuje liryka, a i wśród rdzennych Litwinów, piszących wyłącznie po litewsku, jest ona wciąż popularna, oblicze tego litewskiego materiału jest zdecydowanie poetyckie, zarówno w zakresie prezentowanych tekstów literackich, jak też w materiałach publicystycznych. W tym dziale „Frazy” spróbujemy pokazać, jak widzą świat i swoje otoczenie młodzi Litwini i młodzi Litwinki. Mamy nadzieję, że ich wizje artystyczne okażą się ciekawe i dostarczą czytelnikom nowych wrażeń poznawczych i estetycznych.

Kristina Tamulevičiūtė

WIERSZ Z SOLI

Wioska,
Podwójne okno,
Dawno zmarła mucha.

Rozdwojony parapet,
Kryształ –
Z soli zrodzony wiersz.



Zródło: Meno bangos

Kristina Tamulevičiūtė

PRZYIMEK

Zostają formy i cofnięte kąty
Które zostawiły mgła i śnieg:

Błyszczący ojciec co wyszedł na podwórko
By pokazać żyrandol
I został.

W pokoju zjadłszy tapetę w kwiaty
Skrzypi mysz z dzieciństwa
Przedeklinowała mnie

Do miejscownika.

POGRZEB

Babcia zawsze mnie prowadziła
Na pogrzeby swoich przyjaciółek,

Najpierw liczyłam
Tylko tyle, ile umiałam.

Mówiłam – o, już czwarta,
Piąta, szósta...

Siedziałyśmy godzinami,
Obcinałyśmy knoty świec.

Większość leżących w trumnie
Widziałam po raz pierwszy.

Mogłabym przysiąc –
Niekłóre z nich

Oddychały.

DZIECIŃSTWO

Z gumowymi butami
Pełnymi wody,

Woskowanymi pogrzebową świecą,
Nartami zrobionymi przez ojca,

Pogryzionymi przez mole
Niejednakowymi wełnianymi skarpetami,

Wyśmianym w szkole
Znoszonym przez brata swetrem,

Stoi moje dzieciństwo
Ustawione do fotografii przez macochę
I nie rusza się.

Przełożyła Mirosława Bartoszewicz

Saulius Vasiliauskas

BABCIA ZMARTWYCHWSTAŁA

Ona to zrobiła: w pewien deszczowy jesienny wieczór po prostu otworzyła drzwi, weszła do kuchni i jak gdyby nigdy nie zaczęła obierać ziemniaki. Ciało było nieco odmłodzone, usta pomalowane na różowawy odcień, a włosy związane w kok. Za dużo nie mówiła, powiedziała tylko, że ugotuje zupę i spytała, czy będę jadł. Odruchowo skinąłem, chociaż nie byłem głodny, i poszedłem do swego pokoju.

W pokoju na stole paliła się lampka, krzesło, na którym zaledwie przed kilkoma minutami czytałem, jeszcze bujało się do przodu i do tyłu. Na kanapie leżała rzucona kołdra, a na półce obok zobaczyłem filiżankę na w pół wypitej kawy. Przez kilka chwil stałem jak zamarły, aż nagle przyszło mi na myśl, żeby posprzątać szafę. Najpierw wyjąłem szufladę ze skarpetkami i zacząłem je sortować: zbierałem osobne skarpetki w pary i pomału wkładałem jedną w drugą. Nie wiadomo dlaczego obok znanych skarpet było też wiele mniejszego rozmiaru i w różnych kolorach, przeznaczonych dla dziecka, może nawet dla niemowlaka. Skąd się tutaj wzięły? Kiedy się tak zastanawiałem, zauważyłem przed nosem łyżkę: „Zobacz, czy wystarczy soli!” – krzyknęła babcia, przepasana kuchennym fartuchem. Grochówka była tak smaczna, że zapomniałem, w jakich warunkach powstała.

Łyżki dzwoniły, objijając się o miski, a kiedy skończyliśmy się posilać, babcia zebrała naczynia, włożyła je do zlewu i, znalazłszy szczotkę, zaczęła zamiatać podłogę. Powiedziałem, że akurat dzisiaj wszystko odkurzyłem, ale ona nie reagowała. Przypomniałem sobie, że w szafce nad lodówką mam schowane kiedyś opakowanie rzadko palonych cygaretek, wzięłem je i wyszedłem na balkon.

Był wieczór, chłodnawo, ulicą pod górę pełzły samochody, a niedaleko w parku szczeknął prowadzony przez gospodarza pitbull. Udało się zapalić trzecią zapałką, papieros był lekki, ale bez smaku. Sąsiadka z domu obok weszła po drabinie na dach i, ku mojemu zdziwieniu, zaczęła wieszać pranie. Wspomniałem, że raz, kiedy pomagałem jej wyrzucić z podwórza nagromadzone śmieci, przyznała się, że zna moją babcie, bo ma rodzinę na wsi, gdzie po powrocie ze zsyłki babcia przez jakiś czas mieszkała. Obiecała opowiedzieć więcej innym razem, gdy będę miał czas, ale nie spotkaliśmy się. Czekałem, aż pranie sąsiadki zacznie łopotać na długim,

białym sznurze. Między ubraniami były skarpetki, nieduże, jakby dla małego dziecka, chociaż, o ile wiem, dzieci sąsiadki już dawno wyrosły, a wnuków jeszcze nie miała.

Gdy wróciłem z balkonu, w kuchni nikogo nie było. Paczkę cygaretek wrzuciłem z powrotem do szafki i poszedłem do gabinetu. Na kanapie siedziała babcia i piła herbatę. Mówiła, że bardzo długo żyje, że dawniej ktoś czasem zachodził do niej w gości, a teraz ciągle bywa sama i tyle. Chciałem wejść jej w słowo i jakoś, nie chcąc urazić, przypomnieć, że



Fot. Marijus Galius

Saulius Vasiliauskas

w ubiegłym roku zmarła, ale spojrzała na mnie i spytała, czy nie mógłbym przynieść na deser jej ulubionych pieczonych jabłek. Wspomniałem, że je zjadłem, ale nagle zauważyłem, że trzymam w rękach talerz z kilkoma ciepłymi, posypanymi cukrem jabłkami. Podziękowała i wzięła jedno. Kiedy zjadła, zebrała wszystko ze stołu i przed wyjściem do kuchni spytała, jak żyję. Pytanie speszyło mnie. Wtedy zapytała, czy jeszcze nie mam dziewczyny, innymi słowy, czy jeszcze nie założyłem rodziny, i szybko poszła do kuchni. Obracając się, zaczepiła o szafkę komody, z której wysypały się nieuporządkowane skarpetki. Popatrzyła na nie, potem na mnie i z uśmiechem wyszła na korytarz. Kiedy poszedłem do siebie, przykucnąłem i ułożyłem skarpetki – a było ich około setki – czerwone i niebieskie, w kropki i wzory, bawełniane i wełniane, wydziergane przez babcję. Po takiej pracy poczułem się wykończony i nie zauważyłem, kiedy zasnąłem.

Śniło mi się, że jestem w działającej w Workucie kawiarni Zodiak. Stół był przygotowany do święta, wszędzie wisiały balony, pracownicy w kuchni dzwonili naczyniami. Powoli schodzili się goście i jeden za drugim siadali przy długim, złożonym z kilku mniejszych, stole. Chociaż na podwórku wiał wiatr, nosili lekkie koszule i letnie sukienki. Babcia wyszła z kuchni i powiedziała, że zupa jest już gotowa. Po prostu tryskała energią, była młoda, może dwudziestoletnia, miała na sobie długi, biały fartuch. Przyniosła garnek, zaczęła nabierać zupę i nalewała ją każdemu po równo. Spojrzałem do swojego talerza i zobaczyłem, że na powierzchni płynu odzwierciedliła się młodość babci – pracuje w hotelu w międzywojennym Kownie i dostaje czekoladę od Zofii, żony ówczesnego prezydenta, pomaga partyzantom jako łączniczka, podczas zesłania nawet nie

dowiaduje się, gdzie zginął jej pierwszy mąż i sama, o mało nie zginąwszy w workuckim łągrze, znajduje drugiego męża – mego dziadka Stanisława. Widziałem, jak po powrocie na Litwę, chociaż nie do swej rodzinnej miejscowości, powoli dochodzi do siebie, jak wychowuje moją mamę, jak przebiera ją kilka razy w ciągu dnia, zmienia pieluchy... Podniosłem oczy – nikogo nie było obok mnie. Zebrałem miski i zacząłem szukać wyjścia.

Kiedy się obudziłem, było południe, a słońce grzało przez skrawek firanki. Przetarłem oczy, ziewnąłem i zrozumiałem: ona to zrobiła! Babcia zmartwychwstała po to, żeby ugotować zupę i spytać mnie, jak żyję. Zszedłem z kanapy i myślę, co jej odpowiedzieć... W telefonie zadzwiczyało przypomnienie ze spisem codziennych zajęć, do pokoju wbiegła córka, która niedawno zaczęła chodzić i zrobiło mi się łżej, gdy przypomniałem sobie, że wszystkie skarpetki są posegregowane.

Saulius Vasiliauskas

Przełożyła Mirosława Bartoszewicz



Bartosz Frątczak, z cyklu *Wilno śladami polskich fotografów: Józefa Czechowicza, Stanisława Filiberta Fleury'ego oraz Jana Bułhaka*

Alina Borzenkaitė

PÓLNOCNE RYBY

W słonym morzu rozpuszczają się widoki Hellady,
chybocząc się czółenko rybaka tęskni za portem.
Między winoroślami łążą szare osły,
dźwięczą pola cykad i dojrzewają cytryny.
Wschodni luk pachnie suszonymi ziołami,
drżą na wietrze ostre wierzchołki iglastych drzew.

Rzrzuca na wiele mil sosnową żywicę niebieskie
morze, gdzie zbierają się ostrożne, północne ryby.

WYDMA

Jestem córką rybaka,
do mojej wsi przypełzły wydmy:
wpiły się pazurami w bezpłodną ziemię
syczącą hydrą.

Piaskowe burze codziennie
szaleją za moim oknem,
zamiótszy nędzny sad
i ogród szparagów.

Gdy bracia są na połowie,
chodzę do kościoła,
codziennie się modłę.

Pękły krokwie,
skrzywiły się drzwi
świątyni.



Źródło: Delfi.lt

Alina Borzenkaitė

Nabrały piasku
codzienne potrawy,
puste pudła,
zmokły chusty...

Rybacy liczyli –
już siedem lat
jak trwa wojna¹.

BAJKI ZARZECZA

Mosty Zarzecza, schylone od miłości i metalu,
zjawiają się w nocnej mgle niby szalone duchy,
bosi księżyc widzi w Wilence Ateny,
po raz enty oszukany przez chytrą syrenkę.

Ona z upływem tysiąca lat zatapia gwiazdozbiory
zrozumiawszy, że wodą rzeki jest naprawdę – bagno,
jej praojcowie śpią w lodowcach razem z mamutami,
a w duszy tylko uspokaja się, osiadłszy w spokojnym oceanie.
Młody księżyc podąża za jej słowami niby za drogowskazem,
błądzi, zmienia się w pył zajazdów i burdeli,
gołębie, pijane od rozlanego na ulicy koniaku,
skrzeczą na strychu między brudem i stuletnimi kulami.
Żli nastolatkwowie, prześniwszy bogactwa i wojsko,
w tajemnicy obok mostu wykrywaczem metali szukają skarbów,
ale niczego nie znalazłszy, zziębnięci tną się w palce
znalezionym kluczykiem z napisem kostas+milda

Mosty Zarzecza, schylone od miłości i metalu,
zjawiają się w nocnej mgle niby szalone duchy,
bosi księżyc widzi w Wilence Ateny,
po raz enty oszukany przez chytrą syrenkę.

¹ W czasie wojny siedmioletniej (1756–1763) masowo wyrąbano lasy Mierzei Kurońskiej, gdzie wskutek redukcji roślinności zaczęły tworzyć się wydmy, a pojawiające się na ich drodze wsie były narażone na piaszkowe burze.

WIELKA NIEDŹWIEDZICA

przytłaczająco skrzypią
skrzynie myśli
pułapki lęku
niedawno zmasane olejem
zaczynające rdzewieć
w kolorze roztopionej miedzi
w gwiezdną noc
rozebrane przez Wielką Niedźwiedzicę

Alina Borzenkaitė

Przełożyła Mirosława Bartoszewicz



Fot. Roman Sabo

Gdyby Jadwiga poślubiła Witolda..., detal z mostu zakochanych w dzielnicy Zarzecze, Wilno 2008

Paweł Krupka

WIOSNA POEZJI

Światowe święto litewskiego słowa

O dorocznym festiwalu Wiosna Poezji pisałem już kilkakrotnie w polskich czasopismach literackich przy okazji jego kolejnych edycji. Trudno jednak nie poświęcić temu niecodziennemu zjawisku kolejnego tekstu w ramach szerszej prezentacji literatury litewskiej. W żadnym bodaj europejskim kraju nie powstała bowiem taka masowa, scentralizowana publiczna prezentacja poezji, celebrowana równocześnie w setkach miejsc na terenie całego kraju. Mało tego, Wiosna Poezji w epoce odrodzonej, niepodległej Litwy odbywa się na wszystkich kontynentach, gdzie żyją Litwini, nie wyłączając, oczywiście, Australii, gdzie wśród litewskiej diaspory od lat pojawiają się uznane w Macierzy talenty literackie.

W 2023 roku Wiosna Poezji obchodzi swoje 58. urodziny. Pierwsza edycja odbyła się z okazji dwudziestolecia śmierci popularnej poetki Salmei Neris z inicjatywy klasyka litewskiej poezji współczesnej Justinasa Marcinkevičiusa, który został też pierwszym laureatem festiwalu. Litewskie środowisko literackie umiejętnie wykorzystało względną odwilż panującą w pierwszych latach rządów Leonida Breżniewa i pod radziecką okupacją zdołało stworzyć instytucję kulturalną, która z biegiem lat rozwinęła się do wymiarów, których z pewnością nie byli w stanie wyobrazić sobie jej twórcy. Festiwal, politycznie na tyle bezpieczny, by nie wzbudzić niepokoju władz radzieckich, stał się dla litewskiego środowiska artystycznego ważną podporą w procesie utrzymywania języka i kultury w dobrej kondycji oraz obrony dziedzictwa narodowego przed sowietyzacją. Zaś po odzyskaniu niepodległości stał się wielkim, ogólnolitewskim świętem żywego słowa, które połączyło Litwinów w kraju z diasporą rozproszoną po całym świecie.

Festiwal od początku nawiązał do dawnej łacińskiej tradycji wyróżniania co roku jednego z twórców mianem *poeta laureatus*. Po Marcinkevičiusie pierwszą piątkę laureatów Wiosny Poezji stanowili twórcy uznani później za klasyków litewskiej poezji współczesnej, a ich twórczość znalazła się w encyklopediach i podręcznikach szkolnych. W latach 1966–1970 byli to kolejno: Algimantas Baltakis, Eduardas Mieželaitis, Janina Degutytė, Juozas Macevičius i Antanas Venclova. W kolejnych dekadach wśród laureatów nie zabrakło postaci tak barwnych i popularnych, jak Paulius Širvys (1973), Jonas Strielkūnas (1991), Aidas Marčenas (1994), Kornelijus Platelis (1996), Gintaras Grajauskas (2000) i Antanas Jonynas (2003). Ci autorzy stali się dla różnych orientacji oraz gatunków poezji ikonami i wzorami, wyznaczając drogi rozwoju litewskiej poezji w obecnym stuleciu.

W najnowszych edycjach Wiosny Poezji laureatami zostali także twórcy reprezentujący różne szkoły, temperamenty i środowiska. W 2019 roku wybór padł

na jednego z młodych gniewnych – popularnego wśród młodzieży czterdziestolatka Mariusa Burokasa. Rok później nagrodę zdobył piewca przyrody i działacz ekologiczny Alis Balbierius, którego malownicza postać z chustką na głowie i melodyjna, łagodna recytacja stanowią od lat atrakcję spotkań literackich. Gościliśmy go w Warszawie i na Suwalszczyźnie w tegorocznej edycji festiwalu. Pierwsze laury bieżącej dekady zdobyła zasłużona i lubiana kownianka, autorka intymnej liryki osobistej Dovilė Zelčiūtė, a rok później wyróżniony został Żmudzin z okolic Płungian, subtelny satyryk i dramaturg Liudvikas Jakimavičius, skupiający się w twórczości lirycznej i dramatycznej na problematyce społecznej. Tegorocznym laureatem festiwalu jest wszechstronny wileński twórca, literat, muzyk i fotograf Julius Keleras, znany w Polsce głównie z twórczości dla dzieci. To artysta rozpoznawalny po obu stronach Atlantyku. W naszym kraju po raz pierwszy jego utwory ukazały się przed dziesięć laty we wspólnej ze śląską poetką Barbarą Gruszką-Zych dwujęzycznej edycji zatytułowanej *Dwoje o miłości*.

Jak wspomniałem, główną osobliwością Wiosny Poezji, która wyróżnia ją spośród wielu europejskich festiwali literackich, jest jej rozmach, popularność i zasięg terytorialny. Co roku przez dwa do trzech tygodni litewskie przestrzenie kultury dosłownie żyją poezją, czyli żywym słowem mówionym, śpiewanym, rapowanym i prezentowanym na wszelkie możliwe sposoby w zamkniętych salach bibliotek, teatrów i domów kultury, ale także na placach, w parkach, a nawet na zaimprovizowanych scenach na brzegach jezior, których na Litwie są setki. Kilka lat temu dane mi było uczestniczyć w takiej sesji nad jeziorem w dzukijskim Kopciowie, gdzie prezentowaliśmy poezję nie tylko po litewsku, lecz także w językach mniejszości narodowych. W wymiarze popularności i masowego charakteru można porównać Wiosnę Poezji do naszego Narodowego Czytania. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, że u nas obcujemy z klasyką znaną wszystkim ze szkolnych lektur, Litwini zaś poznają twórczość liryczną współczesnych pisarzy, która wszędzie na świecie jest coraz mniej popularna i rzadziej dostrzegana przez ogół społeczeństwa.

Przyglądając się niewyobrażalnej w naszych warunkach popularności festiwalu poetyckiego, nie sposób oprzeć się rozważaniom na temat mechanizmów i narzędzi, które sprawiają, że liryka w wydaniu literackim staje się żywą, lubianą i pożądaną na dużą skalę rozrywką kulturalną, porównywalną z kinematografią lub cenionymi gatunkami muzycznymi. Jako filolog, literat i meloman dostrzegam kilka elementów, które wydają mi się kluczami do popularności Wiosny Poezji. Pierwszym z nich jest wrażliwość na żywe słowo, powszechna wśród litewskich pisarzy. Większość z nich doskonale czuje i rozumie, czym różni się poeta od pisarza, poezja od prozy, a liryka od epiki, podczas gdy w większości krajów europejskich, nie wyłączając Polski, te różnice niemal całkiem się zatartyły w ciągu minionego półwiecza. Litewski poeta na ogół wie, że w odróżnieniu od pisarza-prozaika, jest artystą scenicznym, a jego twórczość nie zamyka się w tekście, lecz stanowi nierozłączną jedność przekazu słownego z dźwiękiem, pokrewnym dźwiękowi muzycznemu.

Większość litewskich poetów potrafi nie tylko układać teksty, w których dominują zdecydowanie elementy liryczne, ale także umie konsekwentnie je interpretować na scenie, eksponując akustycznie przetworzony język poezji w oryginalnych strukturach rytmicznych i zróżnicowanej melodyce. Ich recytacje są przemyślane, starannie opracowane w zróżnicowanej stylistyce i nawet autorzy nieobdarzeni imponującymi warunkami głosowymi potrafią wykorzystać swe skromne środki naturalne tak, że nawet *a capella* oferują odbiorcom ciekawe i wartościowe słuchowisko. Do tego dodajmy jeszcze obecność w większości prezentacji artystów, komponujących do tekstów literackich muzykę w różnych gatunkach i mamy receptę na popularność poezji, uchodzącej w naszym kręgu kulturowym za zjawisko elitarne i niszowe, strawne nieledwie dla garstki hobbystów.

O związkach literatury z muzyką bliżej traktuje w tym numerze „Frazy” artykuł polskiego aktora, rapera i filmowca z Wilna Romualda Ławrynowicza, tutaj więc skupiam się na innych aspektach Wiosny Poezji. Jednym z nich jest wielość i różnorodność miejsc goszczących festiwalowe prezentacje. W stolicy ich głównymi przystaniami są, oczywiście, siedziby instytucji od lat zajmujących się promocją literatury, jak Pałac Ogińskich, okazała zabytkowa siedziba Związku Pisarzy Litwy z tętniącym życiem literackim dziedzińcem, ogromne przestrzenie gmachu Biblioteki Narodowej im. Martinasa Mažvydasa, niedawno wyremontowana i nowoczesnie wyposażona Aula Magna miejskiej biblioteki im. Adama Mickiewicza, a zwłaszcza ogromny dziedzińiec Sarbiewskiego na terenie Uniwersytetu Wileńskiego, gdzie setki widzów i słuchaczy tradycyjnie oklaskują poetów na uroczystościach zamknięcia festiwalu.

Nie przywykliśmy w naszych czasach do tłumnego fetowania poetów-literatów, trudno nam też wyobrazić sobie na przykład ministra kultury lub prezydenta stolicy interpretujących poezję na scenie. A to właśnie dzieje się w czasie Wiosny Poezji i dodaje festiwalowi szczególnego kolorytu. To kolejna cecha odróżniająca litewskie święto poezji od skromnych prezentacji w innych krajach, rzadko goszczących celebrytów. W ten sposób festiwal trafia równocześnie pod strzechy i na salony, stając się powszechną atrakcją. Ujmującym i niezapomnianym doświadczeniem jest odwiedzanie różnych scen festiwalowych w stolicy, w małych miastach i na wsiach oraz dziwienie się temu, jak poezja w różnych formach i postaciach rozlewa się po Litwie.

W kontekście światowego charakteru Wiosny Poezji wydaje się oczywiste, że festiwal trafia obowiązkowo do sąsiadów. Od dobrych paru lat regularnie w ramach jego obchodów grupa autorów odwiedza w Polsce północną Suwalszczyznę, gdzie żyje nieliczna litewska mniejszość narodowa, a następnie przybywa do stolicy, gdzie gospodarzami festiwalu są lituanie z Uniwersytetu Warszawskiego. Te wizyty stanowią zawsze dobrą okazję do spotkań ze studentami i pedagogami, a te zwykle owocują nowymi przekładami utworów gości oraz ich publikacjami. W tym roku uczestnikami polskiej części festiwalu, oprócz wspomnianego wyżej laureata z 2020 roku Alisa Balbierusa była dwójka doświadczonych i uznanych twórców –

Elena Karnauskaitė, a także znany od lat polskim miłośnikom kultury litewskiej laureat z 2014 roku Vladas Braziūnas, zasłużony tłumacz polskiej poezji i wierny kronikarz festiwalu z nieodłącznym aparatem fotograficznym.

Miłośnicy literatury litewskiej czynią starania, by w przyszłości obchody Wiosny Poezji rozszerzyć na inne polskie miasta i uzupełnić o kameralne spotkania autorów z wyspecjalizowanymi czytelnikami – badaczami i tłumaczami literatury, bardziej widowiskowymi prezentacjami. Czy przyniosą efekty, przekonamy się już za pół roku.

Paweł Krupka



Fot. Roman Sabo

Romas Vilčiauskas, *Pisanka* przy ulicy Pylimo, Wilno 2008

Martynas Pumputis

W ZWIĄZKU PISARZY

W kolejce z książką
Czekam na autograf.
Autor uśmiecha się do mnie
Widzę, zachwyca się każdym czytelnikiem –
Jest ich aż czworo!
A on nawet nie podejrzewa, o czym myślę.

Minie kilka miesięcy.
Może nie będzie się cieszył
Ale tak naprawdę nie zrozumie
Że się do mnie uśmiechał.



Źródło: Twitter

Martynas
Pumputis

PRZECZYTANE KSIĄŻKI

Do wiersza Kęstutisa Navakasa *Nieprzeczytane Książki*

Przeczytane książki machają do mnie z cienia, szczyjąc się zagiętym
[rogiem, ich
pożółkłe strony wywołują uśmiech.
Przeczytane książki oczyszczają się z moich odcisków palców, nie
[ograniczając się do
jednego czytelnika, życzę im powodzenia.
Przeczytane książki zjeżdżają kolejkami gondolowymi, podlewając
[obce pola swoimi
znakami wodnymi.
Przeczytane książki tańczyły obok mojego złóbka, będą tańczyć
[obok mojej urny.

KTO ZANIECZYSZCZA RZEKI?

Sprzęt AGD i meble na dole.
Nasi wujkowie i sąsiedzi,
Przetaczając komplet opon.
Rolnictwo, niechące nawożenie glonów.
Rurociągi małych wiejskich fabryk
Pompujące chemikalia, odpady,
Nagromadzenie cząstek tworzywa sztucznego.
Firmy farmaceutyczne,
Dzięki temu okoń nie ma już bólu głowy.

I oczywiście poeci,

Którzy wciąż wchodzą do rzek
Jeden po drugim,
Aby się w czymś upewnić
Albo wykazać głęboką znajomością filozofii.

PROŚBA POETY W ŚREDNIM WIEKU O PRZEDWCZESNĄ EMERYTURĘ

– Dużo napisałem, dobrze napisałem,
Wystarczy na solidną drużynę.
Obnażyłem swoje osobiste boleści,
Gniew, strach i tęsknotę,
Nieufność wobec prawdy i dobra.
Gejzer metafizyki zastąpiłem wodospadem.
Wszedłem do historii:
Byłem osobliwy
byłem prowokujący –
Ostrej myśli
(I jeszcze ostrzejszego języka).
Wycesałem estetykę własnymi rękami.
Wpłynąłem na moich rówieśników,

Teraz robię dla młodzieży,
Ponadto jestem nagradzany
Przestańmy więc dzielić pracę na wiersze.

– No dobrze już dobrze, zwycięzco,
Pisz te powieści.
Oto odpust.

BEZ CZYNSZU

Poeci kochają swoje żony,
Niektórzy bardziej czyjeś,
Prawdziwym talentem jest odciąganie myśli poety od żony.

Niektórym poetom pomógł modernizm
I pięknieta podstawa ego postmodernizmu,
Lub niska samoocena, jeśli mówimy ludzkim językiem,
przeszkadza
Po zastanowieniu stają się dziwne:
Głośno przeklinając, wałą w drzwi
publicznie
Jakby wylano na nich piwo albo jakby się zmoczyli.
Nawet metaforycznie.

Hej, prawdziwi faceci
Mają pretensje do gwiazdek na *Goodreads*,
Po powrocie ze spotkania cały wieczór i jeszcze kilka poranków
Myślą o mnie więcej o mnie niż o sobie
Albo cudzej żonie.

W ten sposób udowodniłem swój talent.

Martynas Pumputis
Przełożyła Agnieszka Masalytė

Nomeda Griškevičiūtė

GOŁĘBIE I CYTRYNY

Kochałem gołąbki. Kochałem gołąbkie jak własne. Jak moich własnych, całkowicie własnych przyjaciół. Przyjaciół, których goniłem po całym świecie. Goniłem je też na podwórku mojej babci. Taka dziecięca miłość. Kochałem gołąbkie tak bardzo, że w babcinej kuchni w kamienicy, gdy zaproponowano mi mięso zawinięte w kapustę, odmówiłem, bo gołąbki to przyjaciele! Przekonanie mnie do tego, że nie ma tam ani odrobiny gołąbka, zajęło dwa lata. Ani ziarenka, ani okruszka. Oczywiście, pewnego razu w końcu go zjadłem: na początku niechętnie, a potem zjadłem go ze śmietaną, a nie tylko śmietaną z kawałeczkiem gołąbka. Moja babcia miała dość zawijania tych małych gołąbków, tak jak ja, pracownik McDonalda, mam dość zawijania burgerów. Około pięćdziesięciu dziennie i żadnego dla siebie. Duże paczki i nie uwierzysz, co w nich jest: ani kropli, ani kropelki kwaśnej śmietany, bo gołąbek teraz jest zbyt pyszny, by zagłuszyło go zsiadłe mleko. Nie, nie, nie, właśnie o to mi chodzi. Nie pozwolę na to. Podczas gdy dzieci z sąsiedztwa opychały się tartymi ziemniakami, ugotowanymi odpowiedzialnie, jakby skończyły szkołę gastronomiczną, ja byłem trochę bardziej arystokratyczny: jadłem oryginalne japońskie dania, trochę zmodyfikowane przez Litwinów, ale wciąż na światowym poziomie. Gołąbki wprowadziły mnie w życie i jego przepływ. Oczywiście, nie wprowadziły mnie w życie w sensie kościelnym; nie złożyłem jeszcze ślubów życia. Nie miałem okazji złożyć ślubów, może później. Ale przyniosły mnie, poprowadziły, pokazały, nauczyły, kazały rzeźbić, ale nie jestem rzeźbiarzem ani archeologiem, klasycystą ani tym bardziej samym klasycyzmem. Nie jestem epoką. Nie jestem cieślą, nie jestem budowniczym ani stolarzem. Jestem sześćioletnim dzieckiem, które kocha gołąbki. *Veritas in gołąbki*. W gołąbках *veritas*. W moim żołądku jest robak. Oby nie askaryd, gorszy byłby tylko atak tasiemca. Sok z cytryny. Dużo, dużo i dużo soku z cytryny. Sok cytrynowy. Tak karmiłbym mojego małego tasiemca. Gołąbkami i cytrynami. Cytrynami i gołąbkami. Od



Nomeda Griškevičiūtė

Źródło: Uniwersytet Wileński

czasu do czasu piłbym wodę, w której moczyły się gołębie, może dodałbym trochę więcej soku cytrynowego. Dieta dla mnie! Wegetariańska? Nie. Wegańska? Nie. Polio? Nie, coś ty! Gołąbki i cytryny. Wciąż te same cytryny i gołąbki. Można mnie poznać po gołębiach, a innych ludzi po cytrynach. Daj mu żółtą i zobacz, co zrobi. A – lemoniadę, B – kwasce cytrynowy, C – wyciśnie do oka i zrzuci winę na drugiego, D – zgubi cytrynę pierwszego dnia. ABCD ABDC ACBD ADCB BCDA DCBA. Cytryna. Co ja bym zrobił? Wziąłbym lemoniadę i zrobiłbym z niej cytrynę, a potem odwróciłbym się od życia, a ono spojrzaloby na mnie, ja spojrzalbym na życie i oboje nie byśmy nie zrozumieli. Człowieka można poznać po cytrynach. *Veritas in cytryny*. In cytryny *veritas*. Dlaczego cytryny? Bo tak. Nie? Znak zapytania. Średnik. Kropka, dwukropek, ooooo! Jesteśmy Litwinami z Litwy, chcemy kaszy i kiełbasy! Gołąbków i cytryn! Najbardziej heksametryczny głos na całej arenie. Na arenie głów. Na arenie, na której gotuje się nie tylko gołębie, ale także najwięcej akcji. Akcja życia. Sześć lat akcji życia. Akcja na całe życie. Teraz jest sześć razy trzy i życie nie staje się jaśniejsze, ponieważ stoję i powtarzam te trzy słowa, te same słowa, które opisują dla mnie życie. W gołąbkach i cytrynach *veritas*. Wszystko się zgadza, można opisać gołąbkami i cytrynami. Ludzi, życie i wszystko inne, co poza tymi dwoma wydaje się nie mieć związku. Kochałem te gołąbki, kochałem je jak własne, ale niestety wszystkie zostały wywalone z placu, przegonione. Ale nie smućmy się! Bo zostały nam jeszcze kurczaki!

KROWIE PLAMY

Kto nie chciałby być tak wyjątkowy, jak kontur każdego kraju, jeśli powiemy, że nie zwracamy uwagi na granicę między Kanadą a USA? Wyjątkowy jak wystająca dzielnica Solecznik, każda zaleta i każda wada czy osobowość Taurogów. Codziennie nurkowałem w takich głębinach, aż musiałem kupić powietrze w hurtowych ilościach. Wyobraź sobie, co to znaczy być tak wyjątkowym, jak czarna krowa. A gdyby krowa była jak biedronka? Każdego roku jej życia pojawia się nowa plamka, co tylko pokazuje, że krowa nie starzeje się, ale z biegiem lat staje się bardziej wyjątkowa. Gdyby tak było, wszystkie krowy powinny rodzić się całkowicie białe, ale owce już zarezerwowały tę biel, więc krowy powinny rodzić się łyse. Ale jednocześnie najstarsza krowa powinna być cała czarna. Jest to jednak paradoks, ponieważ zaprzeczamy prawu szarości. Dlatego jeśli chcemy wprowadzić nowe prawo wyjątkowości miejsc, musielibyśmy wykonać wiele pracy. Większość ludzi zapytałaby oczywiście, po co nam w ogóle to prawo krowich plam. Znalezienie wielu argumentów nie zajęłoby pięciu

minut. Po pierwsze, chciałbym od razu zapytać – jakie jest najszcześniejsze zwierzę? Pies. Psy, ponieważ wszyscy chwalimy ich futro i mówimy im, jakie są wspaniałe i dobre. Najwyższy czas, żeby i krowy poznały wyjątkowość swojej sierści, bo naprawdę chciałbym zobaczyć szczęśliwą krowę tańczącą na polu, przecież nie tylko w Polsce są tańczące krowy. Po drugie, oczywiście szczęśliwa krowa oznacza szczęśliwe mleko. Serotonina będzie teraz dostępna, w najgorszym przypadku, już nie w postaci tabletek, ale w dowolnym produkcie mlecznym. Tanio, szybko, wygodnie i bardzo smacznie, ale wciąż czekamy na wyniki badań naukowych dotyczących tego twierdzenia. I wreszcie, dlaczego nie? Najmocniejszy i najlepszy argument zostawiliśmy na koniec. Moim zdaniem jest to najbardziej inteligentne zwierzę. Wszystkie krowy są świadome tego, jakie są wspaniałe i piękne, czego nawet my sami często nie potrafimy zrozumieć. Najprostsze fakty świadczą przeciwko nam. Mamy dywany i kapelusze z krowimi plamami, które sprawiają, że czujemy się wyjątkowi, swetry, spodnie i inne rzeczy. Chcę tylko przypomnieć, że tygrysy też były kiedyś wyjątkowe. Ale nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby krowy nie rozumiały swojego piękna. Bo kiedy krowy mówią muu wydaje mi się, że naprawdę są *mood*. A wszystko dlatego, że nie muszą nawet opisywać swojej unikalności. Tak więc moje prawo krowich plam można opisać dość prosto: jest to zjawisko unikalne, niesamowite i niezwykle wyjątkowe, udawajmy, że jest to osoba, której nie trzeba nawet tłumaczyć zjawisk powszechnej percepcji. A wszyscy ci, którzy będą mylić to z narcyzmem, mogą zadowolić się sztucznymi plamami, które tylko odbijają światło, a nie z prawem wyjątkowej krowiej plamy. Prawo, którego krowie nie trzeba tłumaczyć, bo zna je od urodzenia. Choć nie urodziłem się krową, choć bardzo chciałem nią być, mogę powiedzieć, że ich sposób życia jest czymś, czego muszę się uczyć do dziś i czego nauczę się jutro. Dlatego zapraszam na warsztaty krowich plam na ironiczną ulicę Końską, *dress code* – czarno-biały, bo w końcu może to jednak nie plama jest wyjątkowa?

Nomeda Griškevičiūtė
Przełożyła Agnieszka Masalytė

Birutė Grašytė-Black

ZAPŁACIŁAM LIŚĆMI Z OLIVEK

I
 Pasąc krowę,
 Nauczyłam się tabliczki mnożenia,
 Setek zagadek i przysłów,
 Jak obliczyć nadejście błyskawicy,
 Dogadać się z echem –
 Ono jeszcze pamięta moje imię.

Czasami krowę straszyl skrzydłem
 Przelatujący puchacz lub piesze i bose,
 Oddalające się od nas przez lassek
 Światło księżycy.

II
 Nie gwizdź, nie chodź tyłem,
 Wystrzegaj się skrzyżowań, nie odwracaj się przez lewe ramię,
 Nie śmiej się w czasie burzy,
 Nocami nie patrz w lustra,
 Do godziny dwunastej nie opowiadaj swoich snów.

Módl się, idąc samotnie obok leśnego maliniaka
 Módl się, rozmawiaj albo śpiewaj,
 Idź za dźwiękiem swego głosu:
Vervel verniau, verleisk verman
Verpa Verdi veti verna vermo.



Fot. Małach Black

Birutė Grašytė-Black

Przełożyła Mirosława Bartoszewicz

Juozas Žitkauskas

SPUŚCIZNY

A może wszystko tak już zostanie:
wiersze i groby,
czarne podwórka, biali kompani
i czeremchy przy płocie cmentarzyska
z brzęczeniem pszczół,
zapachem nieznanym
i baśniami, których nie pamiętamy,
bo dawno już nikt nam ich nie czytał.



Juozas Žitkauskas

Fot. Rokas Bagociūnas

BAŚŃ

Kiedy on przeżyje
połowę lata –
wówczas będzie zima,
płoty popękają,
śnieg do rękawów sypnie,
lecz nikt nie będzie chciał go zebrać,
bo śnieg już nie będzie
tak zimny, błyszczał tak,
będzie jak cukier puder,
z którego buduje się zamki cukrowe,
w oknach których
tańczą nadzy chłopcy,
wymachują luźnymi krawatami
i ze skrawków jedwabi
szykują posłania,
w których będą śnili,
jak we mgle zatonął pławik,
jak z białego śniegu
lepią głowy bałwanów,

ugniatają w rękach lodowe śnieżki
i czule wrzucają
jeden drugiemu za kołnierz.

Później leżąc w zielonych łózkach
wysysają z palców opowiadania –
zamiast czerwonej krwi,
zamiast czerwonego wina –
i nucą niebieskie kołysanki
aż do głosu utracenia,
aż do narodzenia –
niekoniecznie
na Boże Narodzenie.

Przełożyła Edyta Masiulaniec

DRZEWO POCHWALONE

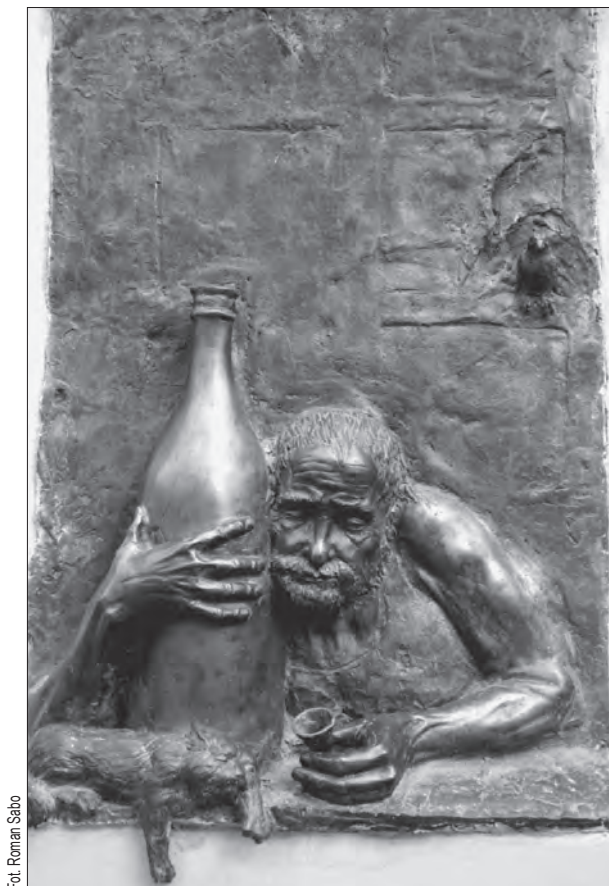
Drzewo,
jo naprzeciw Ciebie –
ino wystrugany
bucosek
nie wart ani
spackowego
furkotu

malučki robacek
niewart ani sikorki
najmniejszego okruska

Drzewo,
ba, tyś jedyne
na swoim i na inksyk świecie
wsechmogonce –
dyi dokoła
telo
wysokik pni

wielgik koron
ftore na syćkik niebak
z bajorzami
sie wznosom

Z gwary dzukijskiej na podhalańską
przełożył Paweł Krupka



Fot. Roman Szabo

Pijak, płaskorzeźba z ulicy Zarzecznaj, Wilno 2008

BY LITWA BYŁA OKAZALSZA

Rozmowa z Juozasem Žitkauskasem

Paweł Krupka: Piszesz nowoczesną poezję gwarą, podobno taka praktyka należy do rzadkości. Skąd ten pomysł? Czy są na Litwie inni tacy eksperymentatorzy?

Juozas Žitkauskas: Pisząc gwarą, nie eksperymentuję, po prostu wybrałem taką drogę twórczości. Wiersze piszę w mojej rodzimej gwarze dzukijskiej, którą znam i w której potrafię się wypowiadać, choć często trudno mi znaleźć lub przypomnieć sobie właściwe słowa. U nas, na Litwie, nie ma jednolitych gwar regionalnych, są pewne podstawowe wspólne cechy dialektalne, lecz każde miasto lub wieś ma własne słowa i związki frazeologiczne. Celem mojego pisarstwa gwarowego jest stworzenie przestrzeni poetyckiej, pokazanie, że gwarą jest i może być żywym tworem, a nie muzealnym eksponatem. Stawiam swoim tekstom wysokie wymagania, nie puszczam do publikacji wierszy niedopracowanych. Na Litwie jest wielu piszących gwarą, jednak nie wszystkie ich wiersze zasługują na miano literatury. Tych z nas, których twórczość dialektalna jest rozpoznawalna nie tylko w regionie, lecz w skali całego kraju, będzie może ósemka, nie więcej.

PK: Kiedy powstało stowarzyszenie Slinktys i jakie są jego główne cele?

JŻ: Stowarzyszenie powstało w październiku 2015 roku. Jego głównymi celami są skupianie młodych twórców i urozmaicanie życia kulturalnego kraju. Robimy to poprzez wydawanie książek, organizowanie festiwalu, wśród których najważniejszym jest festiwal młodych twórców „Literatūrinės slinktys”, oraz projekty edukacyjne. W minionych latach szczególnie rozwinęła się nasza działalność wydawnicza – wydaliśmy ponad dwadzieścia książek różnego rodzaju, najwięcej poetyckich.

PK: Dlaczego w swej działalności zwracacie szczególną uwagę na kwestie wielokulturowości i wielojęzyczności?

JŻ: Niestety, na projekty wielokulturowe i wielojęzyczne zostaje coraz mniej czasu. Dawniej było ich więcej. Od wielu lat obcuję z obcojęzycznymi społecznościami, mieszkającymi na Litwie. Myślę, że aby mniejszości narodowe lepiej integrowały się z ludnością Litwy i jej życiem kulturalnym, my – Litwini – musimy usilniej poszukiwać z nimi wspólnych punktów, a nie izolować je. Litwa od dawnych czasów była wielokulturowa, to zapewnia jej urok, barwność i różnorodność. Dzięki temu jest okazalsza.

PK: Jakie wasze działania wielokulturowe ostatnich lat uważasz za najważniejsze i dlaczego?

JŻ: Jednym z naszych najważniejszych wielokulturowych projektów był wirtualny festiwal Mosty Poetyckie, który razem, drogi Pawle, stworzyliśmy i zor-

ganizowaliśmy. W czasach pandemii to wydarzenie okazało się bardzo potrzebne. Teraz, gdy fala covidowa przeszła, nie organizujemy go, bo nie ma takiej potrzeby. Spośród projektów wydawniczych chciałbym przypomnieć współpracę ze społecznością litewskich Żydów – Litwaków. Wydaliśmy wspólnie serię książek dla dzieci „Biblioteczka YIVO” przy pomocy specjalistów z ośrodka judaików Biblioteki Narodowej im. Martynasa Mažvydasa. W ubiegłym roku wydaliśmy też antologię żydowskiej literatury dziecięcej *Zielone drzewka* pod redakcją Lary Lempertienė.

PK: Jakie są największe tegoroczne projekty stowarzyszenia Slinktys?

JŻ: We wrześniu przeprowadziliśmy nasz tradycyjny, już dwunasty, festiwal „Literatūrinės slinktys“. Wydarzenia odbyły się nie tylko w Wilnie, ale też w innych częściach kraju. Jak co roku wydaliśmy też zbiór pięciu debiutanckich książek w pudełku. Intensywnie pracujemy nad antologią łotewskiej poezji dziecięcej. To będzie solidna książka, około dwustu stron, opublikujemy w niej twórczość blisko pół setki łotewskich dzieci, od XIX wieku do czasów dzisiejszych. Wiersze przekładają na litewski doświadczeni tłumacze: Audrius Musteikis, Vladas Braziūnas, Erika Drungytė i Arvydas Valionis. Znajdą się tam też przekłady z łotewskiego jednego z najwybitniejszych poetów drugiej połowy XX wieku, Sigitasa Gedy.

PK: Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia.

Wilno, 15 września 2023 r.



Fot. Roman Sabo

Pogoń (herb Litwy), Wilno 2008

Uršulė Toleikytė

GRYZONIE

o wpół do piątej znalazłam odpowiedzi
zatracone między śmieciami umysłu
wyłażą brudne gryzonie wachając
przełknięte ale nie przeżute strumienie teorii
jak trzeba żyć czym mam ukryć
wgniecenia podłogi linoleum czy starymi deskami
czym zdziwić zebrany tłum
kiedy w domu niczego nie ma tylko dzwonek u drzwi
zepsuty wodociąg pełen nówek owadów
gryzonie na parapecie oglądające pojedynczych
przechodniów samochody stojące jak pomniki nagrobne
ranek jest ładniejszy niż te firanki
popchnąwszy wskazówkę zegara
gryzonie wracają do kryjówek

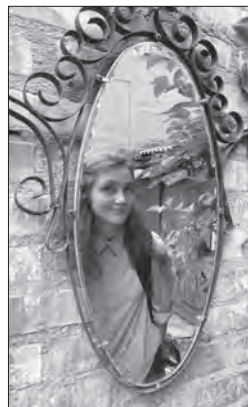
RYZYKO

mówiłam jej nie idź do sąsiadów
nie wierzyła
otworzyły drzwi dwie kobiety siostry dziewczynka
z zewnątrz do środka
drzwi opancerzone
nie przepuszczają dotknąwszy twarzą
dziewczynka byłaby dziewczynką gdyby nie przeklinała
stary mężczyzna jeszcze żyje
jakoś
wróżyła ryzyko kiedy za blisko kiedy za daleko daleko blisko
kiedy za mało
dwie kobiety siostry mężczyzna dziewczynka paczka
ona bierze wyrzuconą kostkę rosołu
przebiera językiem jakby to była zabawa

chwila ogłasza śmierć
wlewa do ust benzynę
ona piszcziała
za co
za ciebie dziewczynko za twoją siostrę
ostatki

MAMA KOTKA I KOTEK

kotek w pierwszym roku życia głodował
mama kotka nie miała pieniędzy
potem dzieci z podwórka wybiły jej oko
przestraszone uciekły
mama kotka liże kotkowi nogę
i rozumie że on długo nie pożyje
że jeżeli nie owrzodzone jelita
to byli gospodarze
straciwszy ten kłębek śmieci
wiszący na stercie kości
wrzucają do worka
i my już znamy te zakończenia
można byłoby raportować
o spełnionym cudzie
mama kotka i kotek
odnaleźli bezpieczne legowisko
i wtedy spokojnie zasnęlibyśmy
nie obudzilibyśmy się o piątej rano
wyczuwszy inne zakończenia
tylko mama kotka złapała infekcję oka
i zupełnie oślepla
a kotek poszedł na dwór
gdzie dzieci bawiły się procami



Źródło: Defili.lt

Ursulė Toleikytė

Przełożyła Mirosława Bartoszewicz

Dominykas Matulionis

DALTONIA

Gdybyś teraz zapytał Herkusa, jaki napis wyryc na jego nagrobku, nie zawahałby się:

+++++

Herkus nie raz był zakochany,
nie raz chciał umrzeć,
lecz ożenił się
i umarł
raz tylko.

+++++

Pasikonik budzi się rano zwinięty w kłębek, nieświadomie się onanizując. Więc włącza porno. Kończy. Na śniadanie – płatki. Tyłki wszelakich rozmiarów i kolorów spadają z opakowania mleka. Chrząszczą w zębach, tłamszą się, podróżują przez przełyk do żołądka. Połykając lepłą spermę, w której toną pośladki, przeżuwa szybko. Śpieszy się na zajęcia, śpieszy do domu, śpieszy wypełnić dziennik elektroniczny, śpieszy masturbować się, śpieszy się spać.

Poranek. Ze skorupki jajka na patelnię wylewa się pierś. I jeszcze jedna, i jeszcze. Gdy dodaje sera i kształt piersi coraz bardziej się uwidacznia, kieruje wzrok w górę. Uczyć, wypełniać dziennik elektroniczny, masturbować się, spać.

Z rana na opieczonej kromce chleba obserwuje mnóstwo miniaturowych sutków, które jeden po drugim twardnieją i odprężając się, tworzą falisty ornament. Nicią dentystyczną czyści resztki chleba. Podczas przerwy któryś już raz zauważa na korytarzu pierwszaczkę ujeżdżającą w wulgarnej pozie ławkę. Zdaje sobie sprawę, że może to być oznaką przemocy wobec dziecka. Rozumie też, że jest to zmartwienie jej wychowawczyni, więc postanawia się nie wtrącać. Zdążyć na lekcje. Uczyć. Kupić jedzenie. Wypełnić dziennik elektroniczny. Wybrać się na krótki spacer. Masturbować się. Spać.

Poranek. Pianka kawy – jędrna pochwa. Wypija kawę z zamkniętymi oczami. Szkoła, dom, dziennik, porno, sen. Poranek. Dworzec autobusowy. Telefon od babci.

– Obiecałeś, że pojedziesz, pamiętasz? Groby zarośnięte, od trzech lat tam nie byłam, a wy tylko gadać umiecie! Wstyd przed ludźmi.



Źródło: Kaunas 2022

Dominykas Matulionis

- Cześć. Pamiętam. Już jesteśmy na dworcu. Jedziemy z matką.
- Ona pozwoliła, by imię ci wybrał ojciec, człowiek, który wrócił tylko, gdy zmarł, czy to normalne, Pasiczku?
- Już wiele razy rozmawialiśmy o tym...
- Ale to jakby psu dać imię człowieka... Pasikonik – absurdalne... Ci alkoholicy są kreatywni tylko tam, gdzie kreatywność jest zbędna... Przecież możesz zmienić to imię, czemu tego nie zrobisz, nie chcesz zostać Herkusem? Herkus to dostojne imię.
- Już rozmawialiśmy o tym. Nie pamiętasz?
- Pamiętam tylko, że nie mogliśmy sobie pozwolić na zakup garnituru czy nowych butów, wysłać cię do szkoły muzycznej czy zatrudnić korepetytora. Mogliśmy jedynie nakarmić cię i wybrać przyzwoite imię. Twoja matka nawet tyle nie potrafiła...
- Autobus przyjechał, pa... – Rozłączył się.
- Matki nie widać. Idzie po bilety. Na dworcu jego wzrok przyciąga plakat. Kobieta z gołymi nogami, czerwonymi ustami i szafirowymi oczami, szafirowym spojrzeniem reklamuje pakiet internetowy. Oczy go uwodzą, jego kutas twardnieje, a z ust na plakacie wynurza się naga Azjatka o gęstych włosach do kolan. Za nią przez rozwarłe wargi kobiety, mającej na sobie jedynie buty na obcasach, wychodzi wysoka platynowa blondynka z okazałym biustem. Wyłania się stamtąd trzy, cztery, osiem, szesnaście rąk. Nagie kobiety różnych narodowości, koloru skóry, proporcji ciała zalewają całą poczekalnię, zbliżając się do Pasikonika. Ich obnażona skóra przylega do niego, oczy, ręce, nogi spletają się w kłęb i czepiają jego ubrania. Pobudzony i przerażony Pasikonik wypada na zewnątrz. Ogląda się za siebie, otwiera oczy. Za szybą zostały tysiące nagich kobiet, które, coraz bardziej słoczone, patrzą nań. We wszystkich oczach – szafiry.
- Bilety kupiłeś? – Mama pociąga go za rękaw, on odwraca się. Szafiry. Przerażenie. Dreszcz strachu. Przerażenie. Unika jej wzroku.
- Autobus toczy się, podskakuje, kasła, a on wciąż boi się spojrzeć jej w oczy.
- Masz oczy ojca. On nigdy nie lubił dzieci.
- Czasami wydaje mi się, że nie rozmawiamy, choć rozmawiamy... – Chce, żeby to była prawda, żeby matka nie znała go tak dobrze, jak tylko matka może znać syna. – Zmieniłem się, wszystko jest tak, jak powinno być.
- Nie musiałeś się zmieniać. Wystarczyło przeczekać.
- Kobiety przypominają mi ciebie. Niemal zawsze. Oczyma. Być może moja kariera w szkolnictwie i przyszłość wkrótce zostaną zniszczone z tego powodu.

- Jaka przyszłość? Twoja przyszłość? Nie kpij ze mnie.
- Nie ułatwiasz sprawy, będąc taką...
- Miałbyś łatwiej, gdybyś został naukowcem, fizykiem. Masz czas.
- Przepuść mnie, chcę się przesiąść.
- Siedź! Przekonasz siebie, że po wykonaniu misji marzenia znikną?
- Misję rozpoczęłaś ty, gdy zaufałaś marynarzowi. Z tego, co widzę,

bezsukcesyjnie...

- Gdyby mógł, zostałby z nami.
- Gdyby tylko chciał.
- Robił, co mógł, wiesz o tym.
- Tak, tylko utonięcie spowodowało, że został dłużej niż na miesiąc.

Wcześniej żyłaś niczym wdowa, a ja całe życie spędziłem z niewykorzystanym potencjałem ojca, i ty mi opowiadasz o misjach?

Wysokie ciśnienie, na które cierpią oboje, teraz uderza im do głowy.

Cisza.

Mogiłę pradziadków udało im się znaleźć tylko po telefonie do babci:

+++++

Tu spoczywa

Zabójca (napis wyryto kamieniem, zamazano, znów wyryto i znów zamazano, ale jest wciąż czytelny)

Herkus, Jewdokia, Anna

(notatka od Anny) „Herkus był profesorem”.

+++++

Wyrywał chwasty i cisnął ślimaka za wyszczerbiony murek.

– Rozważałem zmianę imienia.

Ona milczy. On kontynuuje:

– Kiedy umrze twoja matka, nie przyjedziesz już odwiedzić Herkusa i Jewdokii. A jeśli przyjedziesz, kto ci przypomni, gdzie ich mogiła? Przy najmniej zrób zdjęcie tego miejsca.

– Spalę ją, a urnę zakopię tutaj. – Tupie nogą. – I zbuduję ogromne mauzoleum: Annie, Herkusowi i Jewdokii. Obiecuję!

– Zapomnisz o grobach swojej rodziny, już zapomniałaś. Tylko jak wtedy pogodzisz się ze śmiercią?

Matka, jak gdyby nie słyszała, w milczeniu zeszkrobuje z nagrobka mech i porosty.

– Badania socjologiczne wykazały, że gdy naród przestaje kultywować zwyczaje pogrzebowe, popada w kryzys. Wówczas szuka się alternatywy. Firmy pogrzebowe oferują nowe, łatwe formy pochówku, kwitnie rynek Halloween, teorie spiskowe, miałki, uboczne religijne rytuały a wszystko

to ma na celu stłumić strach przed śmiercią, zmienić żalobę i tradycje; widziałem już, jakie programy oglądasz. Opowiadałaś o kosmitach, myślę, że to tylko dlatego, że nie wiesz, gdzie są pochowani twoi dziadkowie.

Pot występuje na jej czoło.

– Myślałem, żeby zmienić imię na Herkus. Imię pradziadka.

– Ty nic nie zmienisz – odpowiada – znam cię lepiej, niż sobie wyobrazasz. Potrzebujesz umarłych! Zadbaj o nich sam! A mnie nie pouczaj!

Bierze grabki, wkłada do torby ściereczki i odchodzi.

Kiedy palcami zdrapuje mech z nagrobka, czując ciepło pod opuszkami palców.

Trzymany w dłoni kamień dotyka skóry. Cała bryła staje się miękką, pulsującą piersią. Pasikonik, w niedowierzaniu, pobudzony nie potrafi oderwać rąk od kamienia. Szczekanie! Zaskoczony odskakuje. Obok warczy pies, a na nagrobku pojawiają się tysiące szmaragdowych oczu i wpatrują się w niego. Powiew wiatru porывa je z nagrobka i niesie w stronę lasu. Odwraca się, pies jest brudny, stary, warczy. Wzrok wędruje na nagrobek z zatartym napisem:

+++++

...ik

19...5

D...cz...ow

...n po...

+++++

Pies szczeka. Pasikonik wyciąga rękę:

– Piękny piesek.

Zwierzę szczerzy kły.

– Już, nie złość się, jak się wabisz, chłopcze?

– Opowiedz mi o niej – wykrztusza przez zęby zwierzę.

Co? Gadający pies! Tu! Przed nim. Ciśnienie uderza mu do głowy, opiera się o nagrobek, ciężko dyszy. Brudna motanina warcząc, posuwa się powoli.

– Opowiedz mi o niej! – wyszczekuje.

– O kim? O co tu chodzi?

– O Rozie, opowiedz mi o Rozie i szafirach – raz jeszcze wyszczekuje pies i zaczyna się zbliżać, ciało ma napięte, gotowe do skoku, szczeka.

– Roza! Roza! Roza!

– Dobrze już! Dobrze... Roza to kobieta, która mnie prześladowuje.

Pies szczeka:

– Roza! Roza!

– Czuję wszędzie jej obecność: na przystanku, w windzie, rano, gdy jestem sam, nawet w klasie.

– Roza! Roza!

– Jej oczy zielone jak szafiry, nie ma jej, ale jest, jej oczy jak oczy mojej mamy, jak babcine... A teraz rozmawiam z tobą. – Pies uspokaja się, zbliża się powoli. – Ona – to wszystkie kobiety, wszystkie mają oczy zielone, oczy Rozy – zielone, wszystkie ich oczy – szafiry.

Pies otwiera paszczę:

– Szafiry są niebieskie.

Pasikonik nic nie rozumie, spokojny już pies podchodzi do niego, mokrym nosem dotyka dłoni, podnosi głowę.

– Jesteś zwierzęciem tak jak ja.

– Co? – On, całkowicie skonsternowany, złości się.

– Jesteś zwierzęciem tak jak ja.

– Bzdura!

Pies skacze na niego i uchwycił nogawki, szarpie spodnie.

– Dobrze już, dobrze!

Jasne, błyszczące oczy zbliżają się do jego twarzy.

– Jesteś zwierzęciem tak jak ja. Możesz próbować stać się człowiekiem, ale nigdy ci się nie uda.

– Jak cię zrozumieć? – Pasikonik niczego nie pojmuję, ale pies podskakuje i chwycił jego rękaw, drze go, a jego głos roznosi się w powietrzu:

– Czy chcesz, bym pozostał zwierzęciem, tego chcesz? Czy też bym spróbował stać się człowiekiem, chociaż trochę?

– Chcę, chcę, tylko puść rękę!

Zwierzę puszcza rękę, jego oczy świecą.

– Jesteś zwierzęciem tak jak ja. – Ucieka, odwraca się, szczeka. – Szafiry są niebieskie! – I znika za nagrobkami.

– Zaczekaj! Powiedz mi coś zrozumiałego! Co? – krzyczy Pasikonik, a jego wzrok znów przykuwa bezimienny grób:

+++++

Pasikonik

1989–2035

Dzieci zwykle są podobne do dziadków

On był podobny do pradziadka

+++++

Wybiega z cmentarza, ale na autobus się nie śpieszy. Usiąść. Kawy. W miasteczku wszystko zamknięte. Oprócz stacji benzynowej. Pierwsze, co w niej zauważa, to taka sama jak na dworcu reklama internetu z kobietą o wyrazistych oczach, więc, zerwawszy szybko plakat, zwija go – żadnych więcej wizji, żadnych gadających psów!

Z toalety wychodzi drobna dziewczyna o rudych włosach.

– Co masz zamiar z nim zrobić? – Uśmiecha się.

On podnosi wzrok – szafirowe oczy. Przeważenie. Przeważenie. Przeważenie. Ciepło. Ciepło. Ciepło... Wzroku nie odwraca.

– Kolekcjonuję plakaty, człowiek przecież musi mieć jakieś hobby. Mogę go zabrać?

– Już se wzięłeś. Czasami ludzie wyrzucają jedzenie, a ja je wygrzebuję z koszy na śmieci i rzucam zwierzętom w drodze do domu... Rzucam na świeżo skoszoną trawę, pozamiatane chodniki, zawsze chowam twarz, bo obawiam się zostać skarcona. Podobnie jak ty z tym plakatem... Coś śmiesznie dziwne, ale nie możesz nic na to poradzić.

– Tak. Tak! Na przykład ja. Nie mogę nie pójść do kina, by tam długo siedzieć i przyglądać się ludziom. Po prostu. – Rozkłada ręce, wzdyma policzki i brzuch. – Widziałem raz otyłego starca. Miał nie twarz, a oponę samochodową. Brzuch, nawet stopy i palce u nóg niczym mocno nadmuchane balony. Chybcze całym swym wzdętym ciałem. I gdy film osiąga punkt kulminacyjny, wszyscy drży! – On się trzęsie, ona się obraża, bo nie rozumie, ale gdy on zaczyna sapać, mizdrząc się, aż występują krople potu, ona nareszcie uśmiecha się.

– Masz nie po kolei w głowie?

– Ależ tak! Wszystkie kobiety są dla mnie taką jedną Rożą, ona z kolei jest moją matką i babcią. Jeżeli, przypuścimy, zakochałbym się teraz w tobie bez reszty, tak naprawdę kochałbym się w Rozie i w twoich oczach widziałbym jej oczy. Nie ma na to rady.

Oboje zaczynają się śmiać.

– Zazdrościsz ci wyobraźni i nie zazdrościsz zarazem, po prostu jesteś dziwakiem. A teraz spróbuj zachowywać się normalnie.

– Dobrze... ale czy nigdy nie pomyślałaś, ilu mężczyzn poślubia swoje matki?

– Nie wiem.

– No a jak wielu tak bardzo potrzebuje matki, tak bardzo czuje się samotnie, że zakochuje się w kimś nie z miłości, a z tęsknoty za matką? Co?

– Nie wiem, to ty jesteś ekspertem z tą swoją Rożą.

– Odpowiedź brzmi: ponad połowa mężczyzn. Nie mogę tego potwierdzić badaniami socjologicznymi, ale ty pracujesz przecież na stacji benzynowej, obserwujesz ludzi, wystarczy ich zobaczyć i wiadomo, czyż nie?

– Co jest złego w związku z jednym z rodziców w ciele innego człowieka? Znajomo, swajsko.

– I co, przez całe życie nie poznać człowieka, z którym się mieszka? Nie przejrzeć go tak naprawdę? To normalne?

– Ty mówisz o normalności?

Na stacji dzwoni telefon.

– To moja szefowa, prawie zawsze obserwuje mnie przez kamery. Jest stara i bardzo samotna, muszę z nią porozmawiać.

– Jak masz na imię?

– Co cię obchodzi? Masz plakat i nie zwracaj mi głowy.

Prawie nic nie zapamiętał z tamtej rozmowy, ale zaczął zjawiać się na stacji co weekend.

Stoją przy grobie.

+++++

RODZINA

PIECZULÓW

+++++

Ona modli się. On się rozgląda.

– Wyobraź sobie, że kiedyś cmentarny pies twierdził, że jestem zwierzęciem.

Ona spogląda czule na jego zmieszaną twarz:

– Wszystko jest o wiele prostsze, próbujesz być liberalny, ale nigdy nie starałeś się dowiedzieć, skąd bierze się liberalizm.

On milczy.

– Czy dla ciebie jest ważne, żeby żona przyjęła twoje nazwisko?

– Nie mogę odpowiadać na twoje pytania, skoro ty nie odpowiadasz na moje. Znam tylko grób twojej rodziny, twoje imię i nic więcej. Ani gdzie mieszkasz, ani o czym marzysz, nic... – Wstaje. – Mam dość zbierania fragmentów twego życia i prób ułożenia z nich twojego portretu.

– Naprawdę jesteś zwierzęciem. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, gdzie jest grób mojej rodziny, pytam cię o małżeństwo, a ty wciąż potrzebujesz słów?

Odwraca się, by udać się na dworzec autobusowy.

– Po prostu powiedz, czy ma znaczenie, jeżeli twoja żona zachowa swoje nazwisko?

– Nigdy się nie ożenię – rzuca, idąc coraz szybciej. – Wiesz, widziałem wiele par, i wszystko bywa w porządku: pięknie żyje im się razem przez trzy lata, wówczas biorą ślub i po trzech miesiącach się rozwodzą... Zarówno moja matka, jak i babcia przed ślubem żyły wspólnie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jednego dnia jesteś taki, a następnego już inny. Stuprocentowa prawda nie istnieje.

– Żyjesz w podwójnym minusie, dlaczego na to pozwalasz?

Odwraca się.

– Dlaczego mnie tak traktujesz?

– Ponieważ nie jestem zwykłą, zatopioną w mediach społecznościowych, malowaną dziwką, która gra według zasad strzępów ideologii, które bezmyślnie zbierałaś przez życie. Po co w weekendy wracasz na stację? Czujesz przecież, że wszystko to może stać się twoim skarbem, prawda?

Zatrzymuje się, odwraca.

– A twoje oczy są szafirowe. – Próbuje delikatnie dotknąć jej policzka, ale gdy ona robi krok do tyłu, ściska jej twarz. – No, nie bój się, spójrz na mnie, mimo że masz niebieskie oczy, naprawdę są zielone. W twoich oczach odbijają się ciała miliardów kobiet, w odbiciu twoich oczu widzę morze nagich kobiecych ciał, które obejrzałem za swojego życia. Próbuje przepłynąć to morze łodzią, na której jestem jedynym marynarzem, rozumiesz? Salomeo?

Ona uderza go w policzek.

– Moje oczy są niebieskie, a nie zielone! Niebieskie! Niebieskie!

– Opowiedz mi coś o sobie, nie proszę o nic więcej.

Ona czerwieni się, cofa się o krok do tyłu, jeszcze jeden, ręką wskazuje w stronę miasta.

– Jedyne żółte dom jest mój. – Wskazuje nagrobek. – Tu moi rodzice, pradziadkowie i prapradziadkowie – kładzie dłoń na piersi. – Mam trzech braci, wszyscy są starsi ode mnie, dwaj wyemigrowali, jeden jest w stolicy. Nie jesteś pierwszy, który zatrzymuje się na stacji. Nie pierwszy, który przyjeżdża w weekendy. Nie pierwszy, który nie widzi, jak jest. Ja też nie widzę, czekam, aż ktoś idealny mnie uratuje, ale osobie niedoskonałej nie mogę odmówić, po prostu nie mogę, bo często się zakochuję. Rozumiesz?

– Na kogo czekasz? Może na siebie?

– Zamknij się! Ty dużo gadasz, ale nic nie widzisz!

– Brakuje ci ojca i nic więcej, dlatego zawsze wszystko idealizujesz i jest z tobą nieznośnie!

Chwycając jego dłonie, przyciąga je do policzków.

– Jakie są moje oczy?

– Zielone, szafirowe.

Uderza go w policzek i znów układa dłonie na swojej twarzy.

– Postaraj się! Ale nie możesz kłamać!

Spojrzeniem zanurza się w jej oczach, w morzu ciał – wszystkie widziane kobiety, ręce, nogi, skóra, pochwy po prostu wylewają się z oczu Salomei i ciekną po jej policzkach, po brodzie tryskającą, gęstą, zielonkawą masą, a on nie zamyka oczu, nie ucieka, tylko delikatnie dotyka jej policzków. Czuje skórę – nie ich, nie tych kobiet, nie matki, a jej skórę. Gdy z jej oczu wylewa się zieleń wypełniona częściami obcych, kobiecych ciał, po

raz pierwszy zauważa jej usianą plamkami, chorą skórę, delikatną linię nosa i odstające uszy. Po raz pierwszy ona nie przypomina mu nikogo innego poza sobą. Zieleń spod jej stop przesuwa się po chodniku na ściany domów, barwiąc wszystko na bladzielony kolor, wznosi się do niebios i wylewa na gwiazdy i księżyc. Ścisła jej dłoń.

– Niebieskie, jasnoniebieskie z żółtymi plamkami. Smaragdowe – szepcze, odwrócony w stronę domu. – Ale dom... Twój dom... I niebo, i ziemia.

– Jakiego są koloru? Jakiego są koloru?

Nie może nic powiedzieć, wszystko, oprócz jej szmaragdowych oczu jest koloru szafiru.

Wycie psa przecina noc, rozdzierając zielonkawą zasłonę, wstrząsa domem i asfaltem. Oderwana zieleń wznosi się do góry, w kłęb, który staje się zieloną sylwetką między nim a Salomeą. Kiedy wyłania się jej zarys, przez chwilę widzi mężczyznę podobnego do siebie i ta sylwetka nierzym pieczęć pokrywa jego skórę, ręce, nogi, twarz. Całe ciało obrasta zielonkawą masą. Wycie psa cichnie. Pasikonik biegnie w stronę wycia, przebiega pół miasteczka, ale nic nie widzi. Zdyszany zatrzymuje się. Znieruchomiała bada swoje dłonie, ubranie, dotyka skóry. Salomea go dogania. W jej oczach – szafiry.

– Twoje ręce, nogi, cały jesteś zielony.

– I ty to widzisz?

– Nie, po prostu czuję.

– Jestem zwierzęciem.

– Ja też. Ale czy to ma znaczenie?

– Prawdopodobnie nie ma. Myślałem o zmianie imienia. Co myślisz o Herkusie?

– A jaka różnica? Przecież wszystkie napisy na naszych nagrobkach zetrą się, zostaną tylko wyżarte przez czas krzyże.

+++++

.....

+++++

Dominykas Matulionis
Przełożyła Edyta Masiulianiec

Kornelija Mikalauskaitė

CZAS TO PIENIĄDZ,
ALBO PODWINIĘTE RZĘSY
MEFISTOFELES

Mała, nie dostawałam, czego pragnęłam,
brakowało wciąż miedziaków i siana,
i nie mogłam zaspokoić moich potrzeb materialnych,
ciągle mi wmawiano, że piękno wewnętrzne ważniejsze
od błyskotek i wyprostowanych włosów:
dlatego warto zainwestować w brzemię –
nauka kamieniem nie ciąży, dziecko.
Boję się, że dawno dawno temu
(choć naprawdę niedawno)
wybrałam rolę Mefistofelesa –
niszczyłam świat, by Faust któregoś dnia zatrzymał
obroty mojej ziemi.
Faust kochał głęboko św. Małgorzatę,
nie było zabójstw i nie było więzienia –
Małgorzata nie postradała zmysłów.
Kiedy Faust zatrzymywał piękną chwilę,
mój świat nadal się obracał –
zrozumiałam wtedy, że chyba jesteśmy z różnych planet.
I jeśli oblecę wszechświat, możliwie... Może... Ech...
Jestem rozrzutnicą, ślepą konsumentką,
Podsumowując wszystko – stuprocentową córką marnotrawną.
Prawdziwa moja rola – Wagnerowa – miłośniczka książek,
modliszka.
Goethemu zabrakło życia, by w książce zapisać, lecz
swoje złożyć w darze musiałam takiemu jak ja.
Mamo... Nie potrzebuję cielątka,
nie zmieniałam się –
przy okazji roztrwonię ostatnie pieniądze.
Nie wiem, dlaczego taką się stałam,
może poprzez garb – przygniotta mnie wiedza –



Kornelija
Mikalauskaitė

Źródło: Tauragės žinios

w tym pięknym świecie
dla mnie garbatej
miejsca nie zostało

MÓW MI O ŚNIEGU, KIEDY PRZYJDZIE ZIMA LUB WIDZIEĆ CIĘ TYLKO Z ZAMKNIĘTYMI OCZYMA

Pot i do ciała
lepiący się piasek,
chodzenie śladami cienia,
woda, co nie orzeźwia,
lecz solą piczce,
pukanie, bo uczono,
że pukającemu będzie otworzone –
po raz kolejny nieprawda:
ty nie uchyliłeś drzwi,
twój głos za nimi.
Mówisz,
zawsze dużo mówiłeś,
lecz ani razu nie padał śnieg.
Zdać się na pieszkie życie,
lecz suką nie jestem, nigdy
nie chcę być tresowana,
nie chcę smyczy i kagańca,
nie chcę, żeby w potylicę
drapała mnie matka głupich,
nie chcę widzieć śniegu z zamkniętymi oczyma,
o którym ty opowiadasz, nie widząc,
że pot, piasek i morze
i tak jątrzą mi rany.

Kornelija Mikalaukaitė
Przełożyła Edyta Masiulaniec

Romuald Ławrynowicz

LITEWSKA MUZA

O poezji z towarzyszeniem muzyki

Współczesna kultura litewska jest mocno osadzona w wielowiekowych tradycjach. Dotyczy to, oczywiście, także poezji. Litwini, trzymający się korzeni swej kultury, o czym świadczy choćby powrót do starobałtyckiego mistycznego kręgu, zwanego *romuva*¹, w rozwoju życia literackiego czy wciąż żywa w dzisiejszej kulturze tradycja wajdelotów, wędrownych kapłanów, mistyków i poetów. Dlatego współczesna litewska poezja nadal współżyje z muzyką w większym bodajże stopniu, niż w większości krajów europejskich, gdzie w ciągu minionych dekad gatunki liryczne zostały oderwane od sceny i muzyki, i zasymilowały się z dominującą twórczością epicką. Widać to gołym okiem nie tylko na koncertach, gdzie utwory są śpiewane lub rapowane, ale zwłaszcza na spotkaniach literackich. Wielu litewskich poetów doskonale czuje i rozumie różnicę między językiem poezji i prozy oraz potrafi świetnie odróżnić formy liryczne i epickie w czasie scenicznej interpretacji tekstów.

Mając powyższe na uwadze, trudno się dziwić, że na Litwie działa wielu poetów będących również kompozytorami i wykonawcami piosenek oraz tworzących muzykę do poetyckiej klasyki i wierszy autorów współczesnych, niezajmujących się muzyką. Ballada jest tam od lat bardzo popularna, a koncerty jej twórców, zwanych na Litwie bardami – nazwa ta została odziedziczona z tradycji radzieckiej, podobnie jak spora część dziedzictwa muzyki klasycznej – przyciągają zwykle liczne audytorium. Jednym z najwyższej cenionych klasyków tego gatunku był zmarły przedwcześnie w 2008 roku wileński poeta Vytautas Kernagis, którego liczne utwory stały się przebojami i są wciąż wykonywane przez kolejne pokolenia artystów. Jednym z nich jest śpiewana przez całą salę na comiesięcznych koncertach dinozaurów w Klubie Samotnego Wilka w zabytkowym wileńskim Domu Nauczyciela piosenka *Odcho-dzę*, której kluczowymi elementami są deszcz i miód, najbardziej charakterystyczne i bliskie duszy Litwina elementy miejscowej przyrody:



Fot. z archiwum R. Ławrynowicza

Romuald Ławrynowicz

¹ „Nowa romuva” była jednym z czołowych litewskich czasopism literackim w okresie międzywojennym i została reaktywowana po wyzwoleniu spod radzieckiej okupacji i po odzyskaniu przez Litwę niepodległości.

Odchodzę, zostawiam cię, nie gniewaj się
 Odchodzę, zostawiam cię, wybac mi.

Bo nie wiedziałem, że ty nie wiesz, co to śnieg,
 Że nie wiesz, co to deszcz i już.
 Bo nie wiedziałem, że ty nie wiesz, co to łąki
 I nie wiesz, co to pszczeli miód².

Spośród starszego pokolenia wciąż czynnych, koncertujących poetów, najbardziej rozpoznawalni są kontynuatorzy tradycji miejskiej Olegas Ditkovskis i Kostas Smoriginas, a także inspirujący się, głównie w warstwie muzycznej, tradycjami ludowymi Andrius Kulikauskas i Kazimieras Jakutis. Szczególnie zasłużonym twórcą muzyki do arcydzieł poezji współczesnej jest jazzman Alvydas Jegelevičius. Jego piosenki napisane do wierszy takich klasyków litewskiej poezji jak Jurgis Kunčinas czy Jonas Strielkūnas, stały się przebojami w wykonaniu kompozytora oraz popularnych artystów estradowych, na przykład aktora Vladasa Bagdonasa. Przytoczę wymowny fragment piosenki *Światło dzieciństwa* do wiersza Kunčinas, w której związek między przyrodą i etyką jest ścisły i wyznacza kierunek ludzkiego uczucia i myślenia:

Wstań, chłopcze, wstań!
 Widzisz świtu róż i blask
 Wstań, chłopcze, wstań
 Słońce się pnie.
 Wstań, chłopcze, wstań
 Popatrz tylko, jaki świat!
 Wstań, chłopcze,
 Nie zawiedzie cię.

Spójrz tylko wkoło, tam za oknem
 Kwiaty i migocący blask
 Ileż tam dróg i niebo modre
 Rosa promienna budzi świat.

W średnim pokoleniu bardów wyróżnia się autor muzyki do wielu wierszy poetów niemuzykujących i ceniony aktor z Troków, Giedrius Arbačiauskas, od lat gwiazda festiwalu Wiosna Poezji. Warto tu wspomnieć jego polski epizod sprzed kilku lat, kiedy skomponował muzykę do litewskich przekładów *Sonetów krymskich* i wykonał je na wspólnym koncercie z Michałem Konstratem w wileńskiej Bibliotece Mickiewicza. Wśród artystów komponujących muzykę głównie do własnych tekstów na uwagę zasługuje bardzo popularna twórczość wilnian Andriusa Kaniavy i Domantasa Rozauskasa, kownianki Ievy Narkutė i Żmudzinki Vilii Radvilė.

² Tu i dalej przekłady autorstwa Pawła Krupki.

Wśród młodzieży wierni tradycji balladowej pozostają tacy artyści jak Emilija Statinaitė, Gintarė Bauerytė, Živilė Mackevičiūtė, Gytis Ambrazevičius, Žilvinas Ališauskas czy Paulius Zakarauskas. Większość z nich wykonuje własne teksty, ale niektórzy chętnie sięgają po utwory poetów niekomponujących muzyki, zarówno z grona klasyków, jak i rówieśników.

W poezji balladowej, podobnie, jak w wydaniach książkowych, dominuje intymna liryka osobista, utrzymana zwykle w nastroju refleksyjnym, rzadziej ironiczno-żartobliwym. Wśród ulubionych przez kompozytorów klasyków poezji XX wieku ważne miejsce zajmuje melodyjna i rytmiczna twórczość Pauliusa Širvysa. Już co najmniej trzecie pokolenie artystów tworzy muzykę do jego licznych wierszy. Pod tym względem jego pozycję można porównać z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim. Z grona żyjących poetów-pisarzy szczególniejszymi względami śpiewających koleżanek i kolegów cieszą się dawny prezes Związku Pisarzy Litwy Antanas Jonynas i bardzo popularny pięćdziesięciolatek z Elektren – Rimvydas Stankevičius. Pięknym przykładem subtelnej i pomysłowej liryki miłosnej jest piosenka *Białe noce*, skomponowana przez Giedriusa Arbačiauskasa do wiersza Jonynasa, która stała się przebojem festiwalu Wiosna Poezji:

Twoje włosy i oczy
Świecą jakby dniem,
Księżyc w pełni
Przez okno tu wszedł.
Głową do twego serca
Słodko przytulić się
I białe dłonie ucałować chcę.

To nie księżyc dziś w nocy mi świeci, lecz ty!
Twojej miłości niezwykle blask!
W Wilnie białych nocy nie ma, mówią mi.
To nie tak, to nie tak...

Poezja litewskiego rocka wydaje się pozornie mniej subtelna niż gatunek balladowy, obszernie wykorzystujący twórczość niemuzykujących pisarzy. Niemniej ekspresja rockowych tekstów, prostsza i bardziej wyrazista, głęboko przemawia do wyobraźni. Jest zwykle barwna i sugestywna, a powtarzalna struktura utworów eksponuje te walory. Dla ilustracji zjawiska posłużę się tekstem jednego z kultowych przebojów klasycznego litewskiego rocka z końca ubiegłego stulecia, *Wymyślone życie*, autorstwa Jonasa Mackevičiūsa, do dziś wykonywanego przez wiecznie młodą grupę Hiperbolė:

Wymyśliłem deszcze, wymyśliłem słońce
Wymyśliłem morze i coś jeszcze też.
Wymyślone ptaki czasem zaśpiewają
Wymyślone pieśni i już żyć się chce.

Powymyślał wszystko, co straciłem w życiu
 Droge z piękną śmiercią i coś jeszcze też.
 Będą mi się śmiały wymyślone oczy,
 Wymyślone usta i już żyć się chce³.

Na oddzielną uwagę zasługują teksty litewskiego rapu, który pojawił się na Litwie w pierwszej dekadzie obecnego stulecia. Liczącą się wówczas formacją była grupa G'n'G Sindikatas z Gabrieliusiem Liudauskasem na czele. Należy do niej też słynny DJ o pseudonimie Mamania. Grupa jest wciąż popularna, najnowszy album wydała pięć lat temu. Ich teksty to typowo męska liryka w stylu polskiego rapera O.S.T.R. z Łodzi. Jej emblematycznym przykładem jest powszechnie znany, kultowy refren: „Ci, których boją się wszyscy, / Boją się tych, którzy niczego się nie boją”⁴.

Innym czołowym żonglerem słów, wykorzystującym szeroko ich właściwości fonetyczne i wieloznaczność, jest trzydziestosześcioletni Žygmantas Kudirka, który wcześniej występował pod pseudonimem Mc Mesijus. Napisał wówczas i wykonał wiele ważnych utworów, takich jak *Kto, jeśli nie my?* – zawierający krytykę społeczeństwa i kultury: „Ledwie zdobywszy niepodległość, od razu szukamy podległości: / jeden ograniczył się fajką, inny popadł w szał z powodu zniżek. / Jednemu w ustach skrzypią pigułki – inny pochłania wszystko, niczym młoda krowa”. Inną znakomitą pieśnią Kudirki jest utwór *Ręce precz od błękitnego globu*. Utwór, poświęcony tematyce ekologicznej, obrazuje konflikt ludzkości z naturalnym otoczeniem i przyrodą:

Próżniaku, na weekendzie byłeś na łonie przyrody i ją zapłodniłeś.
 Fauna szeptem, flora przeklina – dlaczego w lesie pod drzewami rosną butelki?
 Znosi się na alimenty. Gdzie komornik?
 Uratujcie przyrodę, bo zawsze ktoś coś przeżuwa, gdzie są kagańce?
 Ręce precz od błękitnego globu.

Dziś Kudirka działa głównie jako pisarz i slamer, który łączy eksperymentalną, postmodernistyczną poetykę z muzyką w zespole Vilniaus Energija, gdzie współpracuje z muzykiem Adasem Gecevičiusem. Studiuje też na wileńskiej ASP i jako dyrektor artystyczny kampanii reklamowych współpracuje z czołowymi agencjami na Litwie i w innych krajach europejskich.

Młode Litwinki nie wybaczyłyby mi, gdybym nie wspomniał najpopularniejszego pop-rapera obecnej doby Lilasa, który jeszcze dwa lata temu działał w duecie z rapperem Innomine, dziś natomiast tworzy i koncertuje solo. Krytycy uważają, że obaj osiągnęli sukces dzięki temu, że nie „owijają w watę metafor i wieloznaczności” tego, co chcą powiedzieć i walą „prosto z mostu”, nie tracąc

³ Przełożyła Mirosława Bartoszewicz.

⁴ Tu i dalej przekłady Romualda Ławrynowicza.

przy tym wrażliwości i zdolności do autorefleksji. Dobrze to ilustruje ten fragment ich piosenki *Karina*:

Podwójny dżin bez toniku
Tokio w myślach, już nie tacy jesteśmy
ludzie to nie plastyka, ludzie to plastik.
Cudownie, żenada, kurwa, fantastycznie.
Niebo nie zmieściło się w horyzontach dzielnicy Žirmūnai
Wydaje się, że samo życie jej pragnie.
Ma na imię Karina i jej świat jest idealny.
W idealnym, kurwa, świecie
i tak nie odnalazła swego miejsca
w idealnym świecie.

Przegląd litewskiego rapu zakończę fragmentem utworem *Potrzebuję szybkości*. Trójka raperów znanych jako Despotin Fam (Vaiperis, Mc Liežuvis i McŠmėkla) jest najwybitniejszymi reprezentantami sceny podziemnego, wileńskiego hip-hopu. Dziesięć lat temu rapowali o ulicy, imprezach i innych typowych dla gatunku tematach, ale w 2023 roku, będąc już dojrzałymi szafarzami słowa, lansują utwór *Potrzebuję szybkości*, który zmienia litewski rap i aktualizuje go do współczesnych amerykańskich standardów wyszukanego brzmienia. Dodatkowym walorem artystycznym jest supernowoczesny teledysk, jakiego nie widziało jeszcze litewskie oko. Tekst zawiera refleksje na temat głodu dóbr materialnych. Nie chodzi tu o szybkość samochodową, a o szybkość uciekania wymierzonego nam czasu. To rozważanie, jak chcemy przeżyć życie w komforcie przepychu, narzuconego nam przez kulturę cyfrowego postkapitalizmu. Tu każda dziewczyna marzy o przynoszącym miliony koncie na OnlyFans, a każdy facet chce być jak Leonardo DiCaprio, rozrzucających banknoty nad nagimi kobietami. W rezultacie większość pozostaje z niczym, zatraciwszy się w wyścigu szczurów:

potrzebuję szybkości
prezydenckiego zachodu słońca
religijnego zaangażowania
bez etykietek
tak właśnie się bawimy
potrzebuję płonącego krzyża
obym potrafił
gdy czasy zmieniają walutę

Wśród poetów niebędących muzykami, lecz stale z nimi kooperujących, chcę wyróżnić czterdziestolatka Ramūnasa Liutkevičiusa współpracującego z twórcą wyszukanej muzyki elektronicznej Dominykasem Niaurą. Ramūnas wydał zbiór poezji *Taniec rozkręca światło* w formie audiobooka, pozwalając Niaurze nasycić swoje autorskie recytacje przyjemnym i odkrywczym, elektroniczno-inteligent-

nym brzmieniem. Psychoanaliza poprzez semantyczną polemikę, wieloznaczność, skojarzenia, inwersje, poszukiwania społecznej i seksualnej tożsamości, echa dziecięcych traum, trudność relacji ze światem w świetle diagnozy autyzmu – to jest krew, która sączy się przez poetyckie ciało Ramūnasa Liutkevičiausa. Autor, który jest z wykształcenia językoznawcą, mistrzowsko wyczuwa styl i brzmienie współczesnego języka litewskiego, który w jego utworach fonetycznie rezonuje, jak odpowiednio dopasowane komputerowe dźwięki. Podmiot liryczny odbiera świat poprzez podświadome i intuicyjne odczucia cielesne, które wydają się kroić głębokie rany w duszy. Oto fragment tytułowego wiersza tomu:

obraz ciebie
utknąwszy we mnie
obraca się
jak 25 kadr
gospel kukulek
wstyd
iść i iść
zacinąwszy bębni uszu
w zimowych stacjach
wybuchają kafelki
gdy nie masz się o co oprzeć
opierasz się o taniec
taniec rozkręca światło

Wiem, że bardzo trudno w krótkiej wypowiedzi oddać choćby powierzchownie zjawisko współlistnienia muzycznego i tekstowego w różnych gatunkach i odsłonach współczesnej litewskiej poezji. Mam nadzieję, że ten fragmentaryczny z konieczności przegląd zachęci miłośników litewskiej kultury do sięgnięcia po nagrania wymienionych w tekście autorów i utwory, łatwo dostępne choćby na YouTube. Mimo niewielkich rozmiarów kraju i skromnego rynku sztuki Litwa oferuje melomanom wiele ciekawych atrakcji poetyckich, które z pewnością warto bliżej poznać.

Romułd Ławrynowicz

Linus Daugėla

SOLANKA

dawniej niewinni radzieccy ludzie
chwalili dzieci jedzące boczek

byłem tym dobrym dzieckiem
jedzącym boczek z chlebem
i konserwowymi ogórkami
wtedy przytrzymałem
staruszkom sąsiadom drzwi
z książką i kanapką w ręku
oni dziękowali dawali cukierki
śmiali się że czytam Hegla

kiedy staruszkowie wymarli dzieciństwo zakurzyło się
wyrzuconymi książkami
boczek roztopił się
splesniały dzień udekorował parapet

wylewam skwaśniałą śmietanę ma podwórko
już tylko solanka płynie w żyłach

przechodzić ogląda słony
cień mojego dzieciństwa
w kałuży śmietany

gdyby tu była Mona Lisa
patrzyłby tak samo



Linus Daugėla

Zródło: Švyturio laikraštis

PODRÓŻE

byłem w Szwecji
i w Niemczech
daleko

babcia parsknęła
a ja na Syberii

uśmiecham się
oboje niezauważenie
mocno ściskamy usta

babcia bierze łyżeczkę do herbaty
i długo miesza kawę

ODCHODZĄCE

spotkam prababcię obok domu
obszytego pokrzywą
ona pozna mnie
po niewidocznych ranach
na rękach z tamtej strony żył
uśmiechnie się

naleje wody
zszyje sny
rozprute przez napotkanych ludzi

potem razem będziemy siedzieć
patrzeć na przesadzone jabłonie
nastąpią końce świata
będziemy pić kawę nie czując smaku

wtedy ona będzie mówić że nikt
nie umie kochać

że świat jest głupi
jak noc

powie że umrę młodo
zdenerwuje się że czytam chodząc
i czasami zderzam się ze słupem

potem mnie odprowadzi
położywszy rękę na ramieniu

pójdę ociężałymi latami
poprzez poszarzałe pole
nie czując siebie

będzie tak prawdziwie że nawet nie zwątpię
w byt prababci

ona będzie żegnać mnie odchodzącego
póki nie zaboli ją ręka

Linās Daugėla
Przełożyła Mirosława Bartoszewicz



Sigitas Birgelis, *Jotvos 3*

Verdenė Monika Valkiūnaitė

O PIĘKNIE

zgrabnie i nieprzerwanie musiały płynąć małe strumyczki,
pod ogromnymi liśćmi drzemać spokojnie myszy i norniki,
przezuwając we wzdętych policzkach niezjedzone
zapasy zimowe.

musiały
nie wydymać im się brzuchy, a morze obok
musiało bić się o brzeg jak zawsze,
porywając piasek i zmniejszając powierzchnię
plaży.

musiało nie być pamięci o czasie.

musiało nie być ulatniającego się słonego zapachu,
bosych stóp, kąsanych przez wiosenne morze,
musiało nie być przyjaciół wchodzących do wody,
być nie musiało tu ciszy.

nie można było
chodzić każdemu w pojedynkę,
zanim pokąsa stopy pozimowy chłód,
podróżujący między nami,
między zmywanymi plażami,
konającymi myszami i nornikami.

musiało być pięknie –
żadnej ciszy, żadnej śmierci, żadnego celu:
musiało być pięknie.



Źródło: Pajūrio naujienos

Verdenė Monika
Valkiūnaitė

O CIELE

akceptuję swe ciało, napływające krwią wieczorami,
kiedy uprawiam poranną jogę, do której nigdy się nie budzę.

czytam swe ciało, układając z niego psa,
rozciągam się i rozumiem, że
zamiast pleców naprężyłam nogi.

trener pytał, czy wiemy, jak robi to piesek,
nogą skrobał się w ucho.
po czym ustawiał nas w szereg,

ostatni szedł przez pozostałych,
którzy ze wzniesionymi rękami napinali mięśnie,
gdy przechodził, każdy kopał go nogą w brzuch,
należało mieć mięśnie napięte,
by nie zabrakło oddechu.

miałam ciało napięte, byłam jedyną dziewczyną wśród
facetów, napinałam mięśnie brzucha, a jednak
przed każdym kopnięciem zamykałam oczy –
wojownikom tak nie przystoi,

potem biegaliśmy okrążenia wokół sali,
podskakiwaliśmy z przysiadem
i znowu biegliśmy,
i znowu.

nie wiem dlaczego, nie brakło mi tchu,
dziś by zabrakło.
akceptuję swe ciało,

dziś akceptuję,
że nie mogę.

Paweł Krupka

KULTURA LITEWSKIEJ MNIEJSZOŚCI W POLSCE

Po II wojnie światowej w nowych granicach Rzeczypospolitej pozostał bardzo niewielki obszar zamieszkały częściowo przez ludność litewską. To południowy skrawek litewskiego regionu Dzukii, położony w części Suwalszczyzny graniczącej z Litwą i Białorusią. Ludność litewska jest skoncentrowana na terenie trzech gmin: Puńska, Sejn i Szypliszek. Obecnie to niewielka społeczność, nie sięgająca dziesięciu tysięcy osób, ale aktywna w kultywowaniu i promocji litewskiego języka i kultury.

Piśmiennictwo w języku litewskim rozwijało się na tym obszarze od końca XIX wieku, a po zniesieniu przez władze carskie w 1904 roku zakazu druku książek litewskich w Sejnach powstało wydawnictwo Šaltinis (Źródło), które wydawało tygodnik o tym samym tytule, miesięcznik „Vadovas” (Przywódca) i dwutygodnik „Spindulys” (Promień). Wśród współpracowników tych periodyków znalazło się kilka znanych postaci litewskiego życia literackiego. Najwybitniejsi twórcy tego okresu związani z Sejnami to Antanas Baranuskas, Vincas Mykolaitis-Putinas i Juozas Kudirka.

Międzywojenną twórczość Litwinów, urodzonych lub mieszkających na terenach dzisiejszej Polski, reprezentują poeci Albinas Žukauskas, pochodzący ze wsi Bubeliai koło Sejn, Juozas Kėkštās, mieszkający w Warszawie, oraz bracia prozaicy Anelius i Albinas Markevičiusowie. Albinas Žukauskas jest klasykiem literatury litewskiej. Jego wiersze charakteryzują się wyjątkową kreatywnością. Miejsce urodzenia poety i doświadczenia z wioski Bubeliai znajdują odzwierciedlenie w całej jego twórczości.

Bracia Markevičiusowie urodzili się w Puńsku. Albinas pod koniec II wojny światowej wyemigrował do Kanady, a następnie USA, gdzie wyróżnił się jako pisarz, malarz i promotor kultury litewskiej. Anelius zamieszkał w radzieckiej Litwie. Jego poczucie humoru, a także przeniesienie litewskiego, mitologicznego diabła bagiennego, wciąż rozpoznawalnego w opowieściach starych ludzi z regionu Sejn, na skolektywizowaną Litwę, podkreśla komiczny charakter jego opowiadań. Tematyka jego utworów jest wciąż aktualna, bowiem dotyczy mieszkańców małych miasteczek i wsi.

Poeta Juozas Kėkštās, którego losy poprowadziły do Warszawy, aktywnie zaangażował się w działalność społeczności litewskiej. Swoją twórczość publikował w czasopiśmie „Varsnos”. Już na podstawie kilku jego wierszy możemy zauważyć jej charakterystyczne cechy. Poetyka Kėkštāsa była ascetyczna. Nie lubił upiększania, a każdy jego utwór długo dojrzewał, wychodząc z „pęknięć duszy”.

Ciekawa i wielogatunkowa jest dzisiejsza twórczość literacka polskich Litwinów. Do najbardziej znanych należą Birutė Jonuškaitė i Sigitas Birgelis. Oboje są

członkami Związku Pisarzy Litewskich, a Jonuškaitė od pięciu lat jest jego prezeską. To autorka znana w Polsce i niezwykle zasłużona w krzewieniu literatury polskiej na Litwie. Na język litewski przełożyła twórczość między innymi Janusza Korczaka, Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Marii Janion, Janusza Szubera, Janusza Rudnickiego, Magdaleny Tulli, Wojciecha Kuczoka, Jacka Dehnela, Ignacego Karpowicza. Jest też jedną z najczęściej wydawanych za granicą litewskich pisarek. Opowiadania Jonuškaitė tłumaczono na języki: angielski, polski, gruziński, ukraiński, białoruski, rosyjski, niemiecki, hiszpański, francuski, słowacki, słoweński i chorwacki. W Polsce jej utwory publikowano m.in. w „Akcentie”, „Dekadzie Literackiej” i „Toposie”. Sześciokrotnie otrzymała litewską nagrodę literacką za najlepszy utwór prozatorski roku. W 2004 roku przyznano jej Nagrodę Ministerstwa Kultury Litwy za twórczość publicystyczną w dziedzinie kultury, a w 2006 roku Nagrodę im. Witolda Hulewicza za pracę na rzecz zbliżenia literatury polskiej i litewskiej. W 2016 roku otrzymała Złoty Krzyż Zasługi RP. Wydane w Polsce w ostatnich latach w sejneńskiej oficynie Pogranicze jej dwie powieści, *Maranta* i *Maestro*, o tematyce związanej z życiem społecznym Litwinów z polsko-litewskiego pogranicza i dalszej diaspory, zyskały w Polsce duże uznanie.

Sigitas Birgelis to litewski poeta i fotografik mieszkający w Puńsku. Jest autorem wielu książek wydanych w Polsce oraz na Litwie w języku litewskim i polskim, oraz licznych filmów dokumentalnych. Od kilkudziesięciu lat fotografuje najważniejsze wydarzenia z życia Litwinów w Polsce, elementy architektury i sztuki sakralnej, przyrodne kapliczki i krzyże, osobliwości krajobrazu ziem, zamieszkałych przez Litwinów. Ponad tysiąc zdjęć jego autorstwa było publikowanych na łamach różnych czasopism, w podręcznikach szkolnych, książkach i opracowaniach. Jego fotografie były też prezentowane na indywidualnych wystawach fotograficznych w Polsce i na Litwie. Wiersze Birgelisa były tłumaczone na języki: polski, białoruski, rosyjski, niemiecki i angielski. Jest też tłumaczem litewskiej literatury na polski, a także aktywnym promotorem litewskiej kultury w regionie. Od kilku lat organizuje w Puńsku i Sejnach polskie obchody dorocznego światowego litewskiego festiwalu Wiosna Poezji.

Ciekawa jest także twórczość innych żyjących w Polsce litewskich pisarzy. Większość z nich to nauczyciele, byli lub obecni redaktorzy litewskojęzycznej prasy, zdarzają się jednak wśród nich także przedstawiciele innych zawodów. Kilkoro z nich opublikowało po kilka, a niektórzy nawet po kilkanaście książek. Z tej grupy twórców warto wymienić trójkę autorów: Algisa Uzdila, Janinę Aleksaitė i Jolantę Malinauskaitė-Vektorienė. Polscy Litwini kultywują dawne tradycje. Od kilku dekad wydawany jest dwutygodnik „Aušra” (Świt), noszący nazwę pierwszej w dziejach gazety wydawanej po litewsku w XIX wieku, a w 2005 roku został reaktywowany kwartalnik „Šaltinis”. Na terenie zamieszkałych przez Litwinów trzech gmin w Polsce działają szkoły z wykładowym językiem litewskim i zespoły folklorystyczne, które także w litewskiej Macierzy stanowią ważny element kultury i życia społecznego.

Sigitas Birgelis

LICZBY

Dać więcej
Niż można zabrać
I zabrać więcej
Niż można dać

Dać tylko po to
By było co dać
Odebrać tylko po to
By było co odebrać

W algebrze
Liczb dobrych i złych
Ostatnia jest
Nadzieja

W algebrze, jak wiadomo,
Jesteśmy tylko liczbami
Od zera do nieskończoności
Wieczne zera

DUSZA

dusza
nie ma rąk
ani nóg
ani wstydu w sercu

podokazywać
nocą nie może



Fot. Archiwum S. Birgelisa

Sigitas Birgelis

Przełożył Jonas Jankauskas

oczu gwałcić i patrzeć
jak inne się obnażają

dusza nie może doradzić
jak żyć
bez pracy, bez zdrowia
z zasiłku pogrzebowego

dusza jeszcze za życia
chce być uniewinniona
wyrokiem
sądu ostatecznego

wypisana ze szpitala
z powodu braku choroby
lenistwa lekarzy
albo dlatego że jej potrzeb
nie ma w spisie
leków refundowanych

dusza cię nie opuści
nawet jak ci się nie chce
podlewać jej winem
lub krwią za Ojczyznę

Przełożyła Joanna Tabor

SŁOWO

Nie wiedziałem, że słowo
Może dojrzewać
W domu Ojca
Jak dziecko

Że można je
Utopić w samotności
Albo pozostawić nienarodzone
W okienku życia

Że może rosnać
Jak karzełek
Poza nadzieją na zmartwychwstanie
Tych, co odeszli i nie wrócą

Nie wiedziałem, że po śmierci
Słowo nie ma znaczenia
W łonie matki, ojca, żony
Moim, dziecka

Może trzeba było je przytulić
Do piersi czasu, człowieka, ojczyzny
Nakarmić
Żeby nie milczało, nie odeszło

Przełożyła Alina Kuzborska



Bartosz Frątczak, *Wilno śladami polskich fotografów: Józefa Czechowicza, Stanisława Filiberta Fleury'ego oraz Jana Bułhaka.*

Tomasz Snarski

NEMO. POMIĘDZY NERIS A MOTŁAWĄ. PENTALOGIA GDAŃSKO-WILEŃSKA*

(fragmenty)

Choć jestem z Gdańska, to Wilno żyje we mnie od zawsze. To nie jest tylko miasto, to nie jest tylko symbol, to nie jest tylko miejsce na mapie. To jakaś niewidzialna, lecz odczuwalna więź bliskości, czułości, obecności, uważności. Wilno jest nad Wilią, ale jest też tam, gdzie ja. Tam, gdzie moje myśli i gdzie jest mój świat. Tam, gdzie jestem. Wilno jest ze mną w Gdańsku, towarzyszy mi w podróżach po świecie. W Gdańsku jestem z Wilna, a w Wilnie z Gdańska. A w świecie jestem i z Gdańska, i z Wilna.

Jestem wileńskim gdańszczaninem przez pochodzenie przodków. Przez opowieści babci Basi. Przez tradycję. I przez pierwszą podróż z pielgrzymką do Ostrej Bramy, gdy miałem może dwanaście, może czternaście lat. Ale czy tylko? Dlaczego Wilno stało się obiektem moich marzeń? Jak to się stało, że miasto odległe od Gdańska o kilkaset kilometrów zacząłem identyfikować jako swoje, rodzinne niemal, chciałoby się powiedzieć – ojczyste? Czy to polski romantyzm i tęsknota za Litwą z Mickiewiczowskich opowieści? Czy pamięć zapisana w genach? A może piękno litewskiej kultury i natury, przyroda z *Doliny Issy*, przywołały mnie, wiedzione wiatrem bałtyckiego humanizmu?

Wilno mnie wybrało. Zrodziło mnie z siebie i ze strzępów ocalałej, rodzinnej pamięci. Ze starych fotografii. Ale i ja je wybrałem. Pokochałem od pierwszego wejrzenia. Od chwili, gdy wraz z babcią przyjechaliśmy przed oblicze Matki Miłosierdzia. Jakież mogłem mieć wtedy pojęcie o obcym i nie-obcym mieście? Jakże mogłem rozumieć zawilości losu i wielkiej historii? Dlaczego wtedy akurat przyjechaliśmy do Wilna? Przecież babcia mogła mnie zabrać w każde inne miejsce, na każdą inną wycieczkę czy pielgrzymkę. No i przecież mogłem go nie poczuć, nie polubić, nie pojąć.



Tomasz Snarski

Zródło: Wordpress.com

* Pentalogia *NeMo. Pomędzy Neris a Motławą* jest częścią projektu sfinansowanego ze środków Miasta Gdańska w ramach Stypendium Kulturalnego.

Mogłem do niego nie przylgnąć i po kilku dniach zwiedzania po prostu porzucić. Mogłem nigdy nie związać z nim swojej tożsamości, swojego „ja”, swojego „teraz” i swojej przyszłości. W końcu to przecież tylko częśćka mnie. Jest jeszcze stocznia i port, morze i Solidarność. Jest robotnicza dzielnica o niemiecko-polskiej przeszłości. Letniewo, Letnica, Lauental. Jest polskie wybrzeże, skrzek mew na Przymorzu, oliwskie lasy i pagórki.

A jednak od dzieciństwa Wilno przyciągało i nadal przyciąga mnie do siebie. Nie chce wypuścić z rąk, raz schwyciwszy w objęcia. I choć pierwsze, co pamiętam, to ciepło pieca w przedwojennej, gdańskiej kamienicy, to jest ze mną też od zawsze niewypowiedziana tęsknota za Litwą, za Wilnem, za Ostrą Bramą. Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, a Wilno stracił?

Miasto nad Wilią nie jest tylko wspomnieniem, jest częścią codzienności. Tulimy się wzajemnie i jesteśmy razem. Pomiędzy Neris a Motławą. Pomiędzy językami, tradycjami, historiami i miejscami. Tu i tam. Tam i tu. Z ludźmi, którzy odczuwają podobnie jak ja. Z ich historiami, opowieściami. Z przyjaciółmi z Litwy. Z moimi studentami, którzy przyjechali do Gdańska z miasta Giedymina.

Każdy z nas jest w jakimś „pomiędzy”. Moje „pomiędzy” to świat nierzeczywisty, lecz istniejący najpełniej we mnie. Świat Wilna w Gdańsku, miejsca bez miejsca na mapie, głęboko skrytego w sercu. NeMo. Pomiędzy Neris a Motławą.

Wolność maranty

Maranty to podobno niezwykłe rośliny. Ich listki są tak światłoczułe, że rozkładają się do promieni słońca, a nocą zwijają w kłębek. Nie poznałbyś maranty nocą i maranty dniem. To wciąż ta sama maranta, a jednak inna. Zupełnie inna. Nie wiedziałem, że istnieją maranty i że mają takie właściwości, dopóki nie poznałem Birutė. To ona unieśmiertelniła wszystkie maranty, dając im życie wieczne na kartach swojej książki o tym właśnie tytule. I choćby wszystkie maranty poginęły, choćby nie było na Ziemi życia takiego, jakie znamy, będą maranty na kartach książki, w pamięci kultury, w litewskiej prozie.

Birutė jest przewodniczącą Związku Pisarzy Litwy, uznaną litewską pisarką, tłumaczką, dziennikarką. Przełożyła też mój tomik poezji. W Polsce znane są przede wszystkim jej dwie powieści, *Maestro* i właśnie *Maranta*. Poznaliśmy się dobrych kilka lat temu w Wilnie, na „Maju nad Wilią”. I połączyły nas „maranty”, polsko-litewskie uwikłania, w rozmaitych konfiguracjach i formatach.

Maranta Birutė Jonuškaitė to powieść psychologiczna i egzystencjalna. Główną bohaterką książki jest Rasa, Litwinka pochodząca z północno-wschodniej Polski, która przedstawia nam historię swojego życia, odkrywając zarazem świat wspomnień i uczuć. Silna, wrażliwa kobieta opowiada także o losie spotkanych na swojej drodze osób. Często przenosimy się również w świat wizji i imaginacji – gdzie to, co rzeczywiste, styka się z tym, co można dostrzec tylko okiem wyobraźni. W *Marancie* Jonuškaitė nie ma jednej historii, lecz wiele – łączą się dzięki uważnej i delikatnej narracji. Ze względu na pochodzenie głównej bohaterki w powieści znajdziemy esencję litewskich zwyczajów, tradycji, kultury, przywiązania do ojczystej ziemi, przyrody i rodziny. To wszystko poznamy niejako razem z życiem protagonistki opowieści, wręcz bezpośrednio „nad lnianymi bieżnikami z hymnem Litwy i Pogonią” (bieżnik – ozdobny ręcznik).

Jednocześnie na kartach *Maranty* odkrywamy, że na wskroś litewskie życie zwykłych ludzi niesie wartości uniwersalne. Jonuškaitė, czerpiąc ze swojej litewskości to, co najlepsze, przekracza ją, pokazując sprawy ogólnoludzkie w prozie codzienności. A to, że historia głównej bohaterki zaczyna się gdzieś w litewskich wioskach północno-wschodniej Polski, czyni całą fabułę arcyciekawą. Poznajemy bowiem tradycje, krajobrazy, życie litewskiej mniejszości. Na kartach książki przenosimy się nie tylko za ocean, do stolic Europy czy do Ziemi Świętej, ale nade wszystko do bliskich jezior i lasów, do Sejń, Puńska i Suwałk, nad jezioro Sejwy, do ziemi pięknej, lecz wciąż jeszcze nieodkrytej.

Birutė, choć Litwinka, pochodzi z Sejneńszczyzny. Nazywają ją „żywym mostem”, a czasem „pomostem”, między Polską a Litwą, między kulturami i językami. I rzeczywiście tak jest. Wspaniale mówi po polsku, jest życzliwa wszystkim naszym polsko-litewskim inicjatywom. Może dlatego tak bardzo polubiłem także jej *Marantę*? Pomyślałem, że maranta może być symbolem i mojej litewskiej tożsamości, mojej litewskiej części. Takie hasło, słowo-klucz, mówisz „maranta” – myślisz „litewskie korzenie”. No i urzekła mnie specyfika maranty. To roślina szczególna, bardzo wrażliwa na światło, ciągle w ruchu, ciągle pomiędzy zwinięciem a rozwinięciem listków.

„Najbardziej interesujące w marancie jest to, że za dnia listki ma skierowane w dół, a po zmroku stula je w tak zwanej pozycji snu. Jeśli wystawi się marantę na ostre światło, choćby na kilka minut, można ją zmusić, żeby rozłożyła zwinięte listki” – pisze Jonuškaitė. Czy maranta jest wolna? Czy otwiera i zamyka swoje listki z własnej woli? Czy też czyni tak, bo taka jest jej natura? Czemu nie robią tak inne rośliny, tylko maranta? Może tylko w świecie ludzi nadajemy temu otwieraniu i zamykaniu się na świat jakiś sens? A jeśli sensu nie ma?

Jestem marantą. Otwieram się i zamykam. Jestem inny niż reszta. Nie mam jednego miejsca, albo raczej moje miejsce to wielomiejsc. Takie NeMo pomiędzy dwiema rzekami. Pomiędzy Neris a Motławą. Pomiędzy Wilnem a Gdańskiem. A nawet nie pomiędzy, bo jeśli w Gdańsku, to także w Wilnie. A jeżeli w Wilnie, to także w Gdańsku. Czy to przypadek, że poznałem Birutę, która opowiedziała mi o marancie? Czy to konsekwencja tego pomiędzy, dar od mojego wielomiejsc, by było mi lżej w nieokreśloności? Muszę się zaprzyjaźnić z marantami. A może maranty są obywatelkami wielomiejsc? Może dlatego tak zwijają i rozwijają listki? Może dlatego są inne?

Birutę Jonuškaitę wystawia mnie, jak marantę, na światło, zmusza do rozłożenia zwiniętych listków życiowych dróg, do próby rozwikłania zmutów mojej historii. Nie ma się czego obawiać, zwinięte listki mojej maranty mogą także zbudzić się z egzystencjalnego mroku. Ostatnio nieco zapomniałem o marancie. Przestałem się zamykać i otwierać. Dni stały się niemal takie same. Gdy skończyłem wykład dla seniorów, na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Gdańsku, podeszła do mnie sędziwa kobieta. Miała w torebeczce maleńką marantę.

– Tak pan pięknie mówił o księżce Birutę i o marancie, to pomyślałam, że musi pan mieć własną. Czy pan mnie pamięta, panie Tomku? – zapytała.

Pamiętałem twarz, tak, to... nauczycielka z podstawówki w Letniewie, mojej rodzinnej dzielnicy. Po tylu latach spotykam ją, gdy role się odwróciły. Ja wykładam, ona słucha. Odżyły wspomnienia z dzieciństwa. Jak to możliwe, że znowu jest ze mną maranta?

Jestem z Gdańska, ale i z Wilna, z Litwy. Moja maranta znowu zamyka i otwiera listki. Będę o nią dbać. Będę inny niż reszta i nie pozwolę sobie na bezruch. Wolność maranty istnieje. Maranta ma prawo do istnienia i bycia inną. Nazwę ją „NeMo”. Bo połączyła mnie na zawsze z miejscem pomiędzy Neris a Motławą.

Tomasz Snarski

Alina Lassota

CZAS COFNIĘTY W CZASIE

zmarłym tyżwiarzom figurowym

czas cofnięty w czasie
pauza najdoskonalsza
ręce sztywne gałęzie
łapią kręgi powietrza
a przecież tamtego lata
mówił
że może umrzeć
ale to tak dla żartu

ten czas cofnięty w czasie

być może wieczna tafla
doskonalsza niż życie
tam są wszelkie korekty
na każdy gest
niezręczny

czas cofnięty w czasie
pauza najdoskonalsza
krzyż wielkość i błękit

LISTOPAD

Obce miasto starannie bielilo szronem
zablocone chodniki
stare domy mówiły że są piękne
choć miały rusztowań bandaże
stare schody
brudne jak średniowiecze



Fot. archiwum A. Lassoty

Alina Lassota

przewodziły donikąd
nieznajomy był uprzejmy
niczym bordowy liść
twoja twarz miała wyraz
 pustej kawiarni
na błotnistym chodniku
usiadł brunatny pies
 samotny jak listopad

ZMARTWYCHWSTANIE

przez drżący dzień
jak przez most niepewny –
iść po kamieniach
 widząc
 pomarańczę słońca

OCZY ŚRÓDMIEŚCIA

Od kilku lat
nie mogę patrzeć
 w oczy Śródmieścia.

Matka przychodzi
zimnym słońcem

Pies
o imieniu Tequila
 wyskakuje z każdej
 ulicy

Najbardziej boli na Polnej

Ojciec przechodzi wciąż
przez bramę na Sempołowskiej

Od kilku lat
nie mogę patrzeć
w oczy Śródmieścia.
Są ciężkie i nieruchome,
od kilku lat
oczy Śródmieścia
patrzą na mnie.

TYGRYSICY RATU

Czy można kochać
tygrysa?

Ognisty i niebezpieczny,
a czasem –
zabawny
i szczerzy
i patrzy prosto w oczy.
może więcej powiedzieć,
niż niejeden
człowiek –

Taka była Ratunia
w zoo
na Pradze warszawskiej.

Wybiegła
w ciągłe Przedwośnie
a miałam ją odwiedzić.

Alina Lassota

Dominika Olicka

ALGEBRA CODZIENNOŚCI

póki obłoki mierzą godziny
przechodnie mierzą minuty
i osiągnięcia
żwawo wypijają kawę
nie czując nawet jej zapachu
śpieszą na autobus
w domu zostawiając włączony sen
mkną aleją w przyszłość
rozmijając się z terażniejszością
jestem zalanym słońcem chodnikiem
liczącym obciążone kroki
póki obłoki mierzą godziny



Fot. archiwum D. Olickiej

Dominika Olicka

PRZYPOMNIENIE

dziecko dziurawi sklepienie nocne
pisakiem bez atramentu
prosi bż się z nim pobawić
podnoszę wzrok ku niebu
i czytam wiadomość
wyrzeźbioną alfabetem Braille'a
sypię wypukłe litery do oczu
jak kamyki do kieszeni
półtorej dekady temu
zapiszę na karteczce
pisakiem z atramentem
w kolorze nocnego nieba

Alina Lassota

W TYGLU KULTUR

Litwa wielojęzyczna i wielokulturowa w sztuce

Litwa to jeden z najmniej zaludnionych krajów Europy. Liczba jego ludności to około trzy miliony. Cechą charakterystyczną tej populacji jest znaczny odsetek mniejszości narodowych. Oprócz Litwinów można spotkać tu: Polaków, Białorusinów, Rosjan, Tatarów, Ukraińców, Karaimów, Romów i inne, mniej liczne społeczności. Obecnie wszystkie wspomniane diaspory tworzą swoje organizacje społeczno-kulturalne. Najbardziej aktywni są Polacy, Białorusini i Rosjanie. Czy współpracują ze sobą na niwie kulturalnej?

Zacznę od krótkiego rysu historycznego, wyjaśniającego źródła struktury ludnościowej Litwy. Już od czasów Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego ten nadbałtycki kraj był wieloetniczny i wielokulturowy. Różne narodowości żyły w zgodzie, tworząc wspólną kulturę ponadnarodową. Okres rozbiorów i dwie wojny światowe diametralnie zmieniły ten obraz. Wszyscy musieli walczyć o zachowanie swojej tożsamości narodowej. Dotyczyło to zwłaszcza Polaków i Litwinów.

W okresie międzywojennym Wilno, historyczna stolica Litwy, znalazło się na terenie Polski. Mimo prowincjonalnego charakteru miasta życie kulturalne Polaków było w nim wyjątkowo bogate. Działały tu słynne teatry Lutnia i Reduta oraz teatr im. Wojciecha Bogusławskiego, w którego okazałym gmachu obecnie mieści się Dom Nauczyciela, jeden z najważniejszych ośrodków kulturalno-edukacyjnych współczesnej, niepodległej Litwy, położony naprzeciwko pomnika Stanisława Moniuszki, pierwszego monumentu odrodzonej Polski w Wilnie. Zresztą kompozytor ten mieszkał i tworzył nieopodal swego popiersia, był organistą w kilku wileńskich kościołach. Odwiedzał poetę Władysława Syrokomlę w jego dworze w podwileńskiej Borejkwowszczyźnie, gdzie obecnie mieści się jego muzeum, łączące twórców litewskich, polskich i białoruskich. W obecnym wileńskim ratuszu, który niegdyś miał salę koncertową, odbyła się prapremiera *Halki*.

Idąc od ratusza ulicą Wileńską i Zamkową w stronę Zarzecza, spotykamy ślady polskich pisarzy: Słowackiego, Mickiewicza, Kraszewskiego i Gałczyńskiego, którzy na tej trasie mieszkali i tworzyli. Ślady owych historycznych twórców, jak również działalność literacka Skamandra oraz grup awangardowych z tak zwanej Korony, rzutowały na życie kulturalne międzywojennego Wilna. Tu działała ważna grupa literacka Żagary, którą stworzyli: Teodor Bujnicki, Czesław Miłosz, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Zagórski, nadając literackiemu Wilnu swoisty klimat, owiany nutą romantyzmu i katastrofizmu.

Po wojnie, kiedy w Wilnie nie było już żagarystów, a wspomniane teatry zostały zamknięte, rozpoczęły się prześladowania, wywózki i repatriacje Polaków. W tym trudnym okresie, w lipcu 1953 roku, powstał na Litwie polski dziennik „Czerwony Sztandar”. Później, w roku 1955, studenci Uniwersytetu Wileńskiego, uczniowie i nauczyciele słynnej „piątki”, którzy nie skorzystali z repatriacji, założyli Polski Zespół Pieśni i Tańca „Wilia”. Choreografem zespołu została mieszkająca w Kolonii Wileńskiej polska tancerka Zofia Gulewicz. W robotniczej dzielnicy, Nowej Wilejce, w drewnianym domu obok kościoła, pisał po polsku poeta Sławomir Worotyński. Swoje wiersze publikował w „Czerwonym Sztandarze”, później także w prasie polskiej, między innymi w „Radarze”. W latach sześćdziesiątych XX wieku powstały w Wilnie dwa polskie zespoły teatralne, aktywnie działające do dziś, będące częścią dynamicznie rozwijającego się życia dramatycznego stolicy Litwy.

Kultura litewska koncentrowała się w okresie przedwojennym zasadniczo wokół Kowna, które, jako największe miasto pozostające w granicach odrodzonej Litwy, przejęło rolę stolicy. Tu powstały pierwsze litewskie teatry, galerie sztuki i sale koncertowe. Tu wydawano czołowe czasopisma, w tym „Naujoji romuva”, o którym jeszcze będzie mowa.

Karaimów na Litwę sprowadził z Krymu wielki książę Witold. Ludność ta zamieszkuje obecnie Troki i rejon trocki. Znani są z oryginalnej kuchni, zwłaszcza słynnych kibinów, pierogów z kruchego ciasta z urozmaiconym nadzieniem. Początkowo Karaimi przestrzegali czystości krwi, później zaczęli zakładać rodziny z przedstawicielami innych narodowości, zamieszkujących Litwę. Karaimem był mąż znanej dziennikarki „Czerwonego Sztandaru” – Łucji Brzozowskiej.

W okresie transformacji po roku 1990, w niepodległej Litwie „Czerwony Sztandar” zmienił swoją nazwę i stał się „Kurierem Wileńskim”, kontynuując tradycję przedwojennej gazety o tym tytule. W 1986 roku podjęłam pracę w redakcji tej gazety. Pisaliśmy przede wszystkim o życiu, problemach i tradycjach Polaków na Litwie. Jednocześnie do redakcji napływały listy od Litwinów, Białorusinów, Tatarów, także Rosjan, chociaż oni mieli własne gazety z radzieckiej przeszłości. Wspólnie z koleżanką Leokadią Komaiszko, autorką pierwszych reportaży o Polakach w Kazachstanie, przeprowadzałyśmy wywiady z wybitnymi artystami estrady polskiej i światowej, którzy występowali w Wilnie. Dziesięć lat pracy w dzienniku polskim nauczyły nas żyć w tym tyglu kultur oraz tworzyć polską kulturę w tyglu litewskiej wielokulturowości.

Wielokulturowość Litwy prezentowałam przez długie lata w Warszawie, przede wszystkim współpracując z Duszpasterstwem Środowisk Twórczych kierowanym przez księdza prałata Wiesława Niewęglowskiego. Stworzyłam program interdyscyplinarny *O stanie kultury i ducha na Wileńszczyźnie*, widowiska artystyczne o życiu współczesnych Polaków na Litwie oraz o pograniczu kultur w Europie. Występowali w nich wybitni polscy artyści: Maja Komorowska, Wanda Bargielowska, Igor Śmiałowski, Jolanta Lotte, Krystyna Łubieńska, a także włosko-polska pisarka i tłumaczka literatury Irena Conti di Mauro.

Pogranicze kulturowe w Warszawie jest jednak zupełnie inne niż to w Wilnie. Tu tworzy je przeważnie ludność napływowa, na Litwie zaś mieszkająca tam od wieków ludność autochtoniczna. Na kanwie tych doświadczeń powstał interdyscyplinarny program artystyczny *Od Wilna do Wenecji*, który zrealizowałam z młodymi artystami teatru z Domu Kultury Śródmieście i malarzem sybirakiem Stefanem Centomirskim w Słowackim Instytucie Kultury w Warszawie na wiosnę 2003 roku.

Litwa była już wówczas u progu członkostwa w Unii Europejskiej. Wielonarodowe życie kulturalne w Wilnie kwitło. Powstało wiele nowych galerii i placówek kulturalnych. Na Zarzeczcu, w tak zwanej „republice artystów”, tłumaczono na kolejne języki świata *Konstytucję Zarzeczca* i odsłaniano uroczyscie nowe tablice z jej tekstami. W stolicy regularnie odbywały się wydarzenia literackie. Pisarzy litewskich skupiały pisma literackie: „Literatura ir menas”, „Metai”, „Kultūros barai”, „Naujoji romuva” oraz inne tytuły. Rozwijała się i stała się największym na świecie festiwałem poezji *Poezijos pavasaris* (Wiosna Poezji). Także polscy twórcy rozwinęli swoje instytucje kultury. Wśród wielu wymienię najaktywniejsze: Centrum Kultury im. Stanisława Moniuszki, prowadzone przez zasłużoną działaczkę Apolonię Skakowską, Muzeum Władysława Syrokomli w Borejkwoszczyźnie, a także Teatr Polski „Studio” i Polski Teatr w Wilnie.

Początkowo w odrodzonej Litwie każda z mniejszości narodowych działała głównie w swoim kręgu. Polscy literaci z Wilna gromadzili się wokół Muzeum Adama Mickiewicza. Spotykali się także podczas dorocznego festiwalu Maj nad Wilią, zainicjowanego i prowadzonego przez poetę i publicystę Romualda Mieczkowskię. Zmiany w tej materii zaczęła przynosić dopiero ostatnia dekada. Do promocji wielonarodowych związków kultury przyczynił się między innymi Instytut Polski, zwłaszcza pod kierownictwem (po roku 2015) energicznego i pomysłowego dyrektora Marcina Łapczyńskiego. Także dzięki polskim dyplomatom Litwini i litewscy Polacy zaczęli współpracować na niwie kulturalnej po wielu latach wzajemnej izolacji i nieufności. Z inicjatywy Instytutu Polskiego powstała polsko-litewska seria wydawnicza *Ścieżkami wileńskiego słowa*, zainicjowana ksiązką wspomnianego już, przedwcześnie zmarłego poety z Nowej Wilejki Sławomira Worotyńskiego, przełożona na sześć języków europejskich. W serii wydawanej pod redakcją dyplomaty i promotora polsko-litewskich relacji literackich Pawła Krupki oraz znakomitego tłumacza, zwycięzcy konkursu dla tłumaczy *Amat victoria curam*, Wiktora Tamošiūnasa-Tomaszuna, ukazało się dotąd pięć dwujęzycznych wydań polskich i litewskich autorów. Ważną rolę we współpracy pisarzy i artystów różnych narodowości mieszkających na Litwie odegrało reaktywowane przez niecodziałowanego Andriusa Konickisa czasopismo „Naujoji romuva”. W tym kwartalniku literackim zaczęto publikować coraz więcej tekstów polskich pisarzy z Litwy i Macierzy.

W sprawę rozwoju polsko-litewskich związków kulturalnych zaangażowała się polska młodzież twórcza na Litwie, tłumacząc utwory litewskich autorów na język polski i odwrotnie, oraz publikując przekłady w periodykach literackich obu krajów. Ważną rolę w tym procesie odegrało powstałe w 2009 roku Stowarzyszenie Literatów

Polskich na Litwie, początkowo izolujące się od kultury litewskiej pod kierunkiem starszych pisarzy, lecz od kilku lat bardzo aktywne w dialogu międzykulturowym pod przewodnictwem młodych literatów – Mirosławy Bartoszewicz, Dominiki Olickiej i nowego prezesa Bartosza Połońskiego. Olicka wspólnie z promotorem Litwy wielokulturowej, pisarzem Juozasem Žitkauskasem, kierowała w okresie pandemii wirtualnym festiwalem *Poezijos tiltai* (Mosty Poetyckie) o imponującym zasięgu geograficznym. Piszę o powyższych inicjatywach z satysfakcją, bowiem brałam w nich udział i mogę zaświadczyć o ich znaczeniu społecznym i kulturalnym.

Ja sama w latach 2013–2021 zrealizowałam w Wilnie i okolicach wiele interdyscyplinarnych widowisk i przedstawień o wielojęzycznym charakterze, w których uczestniczyli przedstawiciele różnych nacji zamieszkujących Litwę. Wymienię spośród nich te, które uważam na najważniejsze: wystawiony w Domu Kultury Polskiej spektakl teatralny o życiu polskiej malarki z niepełnosprawnością z Taboryszek, Anny Krepstul, zorganizowane w osiemdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej na dziedzińcu unickiego klasztoru ojców bazylianów widowisko *O wojnie i pokoju*, zorganizowana w podziemiach pod słynną Celą Konrada *Świętojańska Sobótka*, wystawiony w Bibliotece Adama Mickiewicza spektakl *O zesańcach, uchodźcach i emigrantach*, inscenizacja *Pytania* w Muzeum Władysława Syrokomli w Borejkwiszczyźnie oraz program poetycki *Tylos* (Cisza) w jednej z galerii sztuki na wileńskim Zarzeczcu.

Znaczącą rolę w promocji wielokulturowego charakteru Litwy odgrywają oba wspomniane wyżej polskie zespoły teatralne. W 2020 roku z inicjatywy Instytutu Polskiego, Polskiego Teatru „Studio” i Związku Pisarzy Litwy Narodowe Czytanie, organizowane poprzednio wyłącznie w polskim gronie, odbyło się na dziedzińcu Pałacu Ogińskich, okazałej zabytkowej siedziby Związku, w językach polskim i litewskim – do *Balladyny* Słowackiego dołączyliśmy litewską sztukę historyczną *W cieniu olbrzyma* Balysa Sruogi. Wówczas wspólnie z aktorką i poetką Nidą Timinskaitė, zasłużoną tłumaczką literatury polskiej, zagrałyśmy scenę z *Balladyny*. Na tym samym dziedzińcu Teatr Polski w Wilnie wystawił w ramach festiwalu Wiosna Poezji awangardowy spektakl *POP-EZJA*, stworzony przez Bożenę Sosnowską na podstawie tekstów młodych polskich pisarzy z Litwy. W obecnym sezonie święci triumfy inny spektakl tego samego zespołu – *Robczik* na podstawie powieści młodego pisarza polskiego z Wilna, Bartosza Połońskiego, napisanej w miejskiej gwarze.

W 2023 roku odbył się w Wilnie trzydziesty i, z braku środków, chyba ostatni festiwal „Maj nad Wilią”. Wiele trudności napotyka w działalności wydawniczej Stowarzyszenie Literatów Polskich. Niemniej, mimo powszechnie odczuwanych deficytów finansowych, polscy twórcy reprezentujący różne dziedziny sztuki są wciąż obecni na wielokulturowej mapie Litwy. Obok wymienionych instytucji prężnie działa obchodzący w tym roku ćwierćwiecze Związek Malarzy Polskich „Elipsa”. Sukcesy odnoszą polscy muzycy. W Wilnie rozwinęła się w ciągu ostatnich dwóch dekad bogata sieć polskich środków przekazu. Jesteśmy w litewskim tyglu kultur widoczni i doceniani.

Alina Lassota

Agnieszka Masalytė

BIEL

Biała kartka papieru
Zaczynamy od nowa
Bez bazgrania
Bez kleksów
Tylko czyste słowa
Jak rząd białych pionków
Ułożonych na śniegu
Zaczynają partię pierwsze
Raz w prawo, raz w lewo
Jak rząd zębów w paszczy
Cyka wieczne pióro
Siwa głowa nad kartką
Schylona ponuro
Piszą się wiersze
Cicho
Świat stoi w zamieci
Tylko nasze okno
Nie śpi
Leciutko się świeci



Agnieszka Masalytė

10 LUTEGO

To nic, że za oknem świat skutu mrozem.
Przyszłaś w samą porę
grzać ludzkie dusze.

Będziesz świadkiem historii –
upadków i chorób, końców świata,
początków świata i wojen.

To nic, że za oknem luty –
wiosnę nosisz w sobie.
Zrzucasz z ludzi ciepłe swetry i futra.
Ktoś myje okna po zimie, ktoś wietrzy chałupę.

Łypiesz oczami. Zimno.
Świat stoi otworem.

Agnieszka Masalytė



Bartosz Frątczak, z cyklu *Wilno śladami polskich fotografów: Józefa Czechowicza, Stanisława Filiberta Fleury'ego oraz Jana Bułhaka*

Agnieszka Mackojć

FIZJOLOGIA SZCZĘŚCIA

Włóczę się samotnie
cienkimi włóknami neuronów
tam i z powrotem.
W źrenicy oka
topię fale rozpacz i
kotwicę niepotrzebnych wspomnień.
Poprzez tajemnicze fałdy mózgu
zdobynam sam szczyt
w celu wywołania eksplozji dopaminy.
I mknę magistralą
ciemnych żył
wprost do serca.
Aby poczuć się choć na krótko
szczęśliwa.



Zdjęcie: „Kurier Wileński”

Agnieszka Mackojć

PODRÓŻ W NIEZNANE

Świadkowie nihilizmu
chcieli pojąć potęgę
zamyśłu świata.
Ocaleni z piekła Dantego
odmawiali sztuczną modlitwę
na Placu Piotrowym.
Myślami przykuci
do skał Kaukazu
i dręczeni przez jastrzębia
w końcu wyszli
z Platonowej jaskini
na światło,
które ich oślepiło.

Ewa Baliul

ROBCZIK, EKSPERYMENT NA MIARĘ CZASÓW, W KTÓRYCH ŻYJEMY

Spektakl Polskiego Teatru w Wilnie *Robczik* został określony przez media jako „najbardziej kontrowersyjne wydarzenie wiosny 2023 roku”. To sztuka teatralna w reżyserii Bożeny Sosnowskiej, oparta na powieści Bartosza Połońskiego o tym samym tytule. Powieść napisana jest współczesną miejską gwarą, którą posługuje się polska młodzież mieszkająca w Wilnie i okolicach. Fabuła utworu skupia się na scenach z życia codziennego bohatera, wileńskiego maturzysty, oraz jego najbliższego otoczenia, w tym kolegów i rodziny.

Zarówno powieść, jak i spektakl zostały stworzone przez ludzi związanych ze sobą – wileńskich Polaków, którzy często spotykają się na Wileńszczyźnie z milczeniem lub negacją swego przekazu. Twórcy tego eksperymentu postawili sobie za zadanie wywołanie dyskusji i postawienie trudnych pytań dotyczących tożsamości i kwestii społecznych. Co to znaczy być Polakiem na Litwie? Co jest dziś dla nas najważniejsze? Jak definiujemy normalność rodziny i życia oraz bycie sobą?

Przedstawienie powstało przed wydaniem książki. Było to spowodowane wojną w Ukrainie i perturbacjami na rynku wydawniczym, które opóźniły publikację. Zatem spektakl wystawiono i zdobył uznanie publiczności, zanim książka trafiła do czytelników. To okazało się korzystne dla powieści, ponieważ Połoński miał możliwość wykorzystania dialogów improwizowanych przez aktorów do ulepszenia i pogłębienia treści. Po kilku miesiącach od premiery sztuki książka została wydana przed gdańskie wydawnictwo Części Proste. Utwór miał premierę na Gdańskich Targach Książki. Wszystkie egzemplarze *Robczika* zostały wykupione jeszcze przed ich zakończeniem.

Dlaczego ta sztuka była potrzebna litewskim Polakom? Odpowiedź na to pytanie jest wielowymiarowa. Przede wszystkim ukazała portret grupy społecznej, która często jest marginalizowana, a jej problemy pomijane. Jednakże postacie przedstawione w spektaklu, choć odnoszą się do konkretnego społecznego kręgu, poruszają kwestie o uniwersalnym charakterze. Sztuka okazała się narzędziem, które pomaga młodym ludziom nie czuć się samotnymi w swoich problemach.

Innym ważnym aspektem tak sztuki teatralnej, jak i powieści, jest język postaci. Ów wileński *aequo-* i topolekt jest odbiciem dzisiejszej litewskiej odmiany języka polskiego, pełnej rusycyzmów, lituanizmów i anglicyzmów, będących konsekwencją zmieniającego się z biegiem czasu otoczenia językowego i kulturalnego



Ewa Baliul

Zdjęcie: ZW.lt

litewskich Polaków. Od chwili ukazania się pierwszych fragmentów *Robczika* język powieści stał się przedmiotem zainteresowania wielu językoznawców badających transformację językową polskiego społeczeństwa na Litwie.

Producentka telewizyjna Joanna Warecha przyznała, że „poszła na ten spektakl, żeby lepiej zrozumieć Wileńszczyznę”. Ostatecznie lepiej rozumiała siebie i Polskę w czasach transformacji, kiedy wszyscy pragnęli sukcesu, ale często tracili z oczu swoje człowieczeństwo i wartości, wykluczając lub zapominając o tych, którzy byli słabsi.

Robczik miał na celu ukazanie rzeczywistości bez idealizacji, tak zwanego „malowanego patriotyzmu”, który jest promowany na Wileńszczyźnie przez polityków i polską inteligencję. Dziennikarz Aleksander Radzenko tak scharakteryzował to zjawisko: „Etos, patos i bigos – tak można podsumować 99,9% przemówień liderów Polaków na Litwie, wileńskich koncertów, przedstawień teatralnych, wystaw, festiwali oraz innych wydarzeń. Natomiast *Robczik* to miłowy krok ku... normalności”.

Najczęstszymi reakcjami widzów na spektakl były żywiołowe podziękowania oraz wyrazy szacunku za jego realizm. Publiczność wyrażała wdzięczność za przeżycie różnorodnych emocji: wstydu, radości, smutku, za śmiech. Połoński chwalił się: „Otrzymaliśmy wiele podziękowań od nauczycieli i pedagogów socjalnych”. Jedna z nauczycielek z wileńskiej szkoły podeszła po przedstawieniu do pisarza i powiedziała, że spektakl pomógł jej zrozumieć wiele dotyczących jej uczniów kwestii, których wcześniej nie dostrzegała. Uświadomiła sobie, że ci, którzy wyrażają się bezpośrednio i dosadnie, często ukrywają głębokie problemy rodzinne. To, co wcześniej wydawało się być brakiem kultury czy niedojrzałością, nagle zyskało nowe znaczenie i pozwoliło na zrozumienie realnych problemów. Połoński podsumował to słowami: „Ta refleksja dotknęła mnie bardzo głęboko, ponieważ uważam, że nasze społeczeństwo często odrzuca takie osoby, nie próbując zrozumieć ich sytuacji, a tym samym skazuje je na trudne życie”.

Oczywiście pojawiły się także reakcje negatywne. Najczęściej pochodziły od osób, które nie widziały spektaklu ani nie czytały książki. Ich komentarze skupiały się na braku tradycyjnego przekazu polskości, który od dziesięcioleci jest forsowany przez instytucje polityczne i kulturalne.

Warto również wspomnieć o próbach sabotowania spektaklu. Niektórzy próbowali to robić, rezerwując bilety, a następnie nie przychodząc na przedstawienie. Inni donosili na niestosowność dzieła do ambasady RP w Wilnie lub publikowali anonimowe komentarze, a nawet używali cudzych kont na Facebooku, by wyrażać krytyczne opinie. Na szczęście te działania nie przyniosły skutku, bowiem widzowie masowo chodzili na wszystkie przedstawienia *Robczika*, a sporo osób wracało na nie kilkakrotnie. Spektakl po prostu trafił do ludzi. Dla wielu z nich były to silne przeżycia, które można porównać do katharsis w jego antycznym znaczeniu.

Mirosława Bartoszewicz

JEST

Jest taki dzień, gdy słońce się śmieje
Jest taki dzień, gdy hula wiatr
Jest taki dzień, gdy nic się nie dzieje
I również taki, gdy płacze świat.

Jest noc, co gwiazdy zawiesiła
Jest noc, co wdziała chustę czarną
Jest noc, co księżyc przepędziła
i taka, która jest zbyt gwałną.

Jest ranek cichy i spokojny
Jest ranek z dna osnuty mgłą
Jest ranek w świt i zapach hojny
Jest ranek, kiedy wszyscy śpią.

Jest wieczór w ćwierk i hałas pełny
Jest wieczór w powroty obfity
Jest wieczór, co przynosi sny
Jest wieczór smutny, szary, zły.

RANEK

Poprzez aromat
porannej kawy z mlekiem
czuję zapach naftaliny.
A on, siedzący w zadumaniu
z filiżanką w splecionych dłoniach,
ze szklanym wzrokiem
nieobudzonych oczu,
układa scenariusz nadchodzącego dnia.
Siadam naprzeciw,



Fot. Ewelina Mokrzejka

Mirosława Bartoszewicz

opłatom dłońmi ciepłą
filizankę herbaty i
wpadam w zadumę
utkwivszy wzrok w parze
unoszącej się z napoczętych
napojów.
Układam scenariusz całego życia.



Fot. Roman Sabo

Wileńscy nowożeńcy na obwieszonym miłosnymi deklaracjami
moście nad Wilenką, Wilno 2008

Patrycja Stefanowicz

Debiut

KOBIECOŚĆ

Kobiecość.

Przez pierwsze 11 lat masz łatwo.

Żyjesz w krainie pięknej, kolorowej, bezpiecznej.

Gdy nagle masz 11 urodziny zdmuchujesz swoje świece,

Zamawiając bardzo głupie marzenie.

Wszystko się zmienia.

Ty się zmieniasz.

To co było przedtem bezpieczne, wywołuje w tobie panikę.

Tam, gdzie kiedyś widziałaś kolory, teraz widzisz ciemność.

Pierwszy raz czujesz ból.

Nie ten z rozbitego kolana.

Lecz ten z obrzydzenia.

Brzydzisz się samej siebie.

Stajesz się wyższa.

Cięższa.

Nosisz okulary, które potem zaczną cię brzydzić.

Chłopaki z klasy porównali cię
do modelki z filmów dla dorosłych.

Nosząc spódnice, nie czujesz się księżniczką.

Boisz się zbyt dużo pokazać.

Lecz boisz się zbyt dużo przykryć.

Porównujesz się do innych.

Starasz się być lepsza.

Bardziej mądra, bardziej ładna, bardziej chuda.

Przy tym próbujesz się kolegować z każdą dziewczyną z klasy.

One cię poniżają.

Starasz się bardziej. Przestajesz jeść.

Każdy poranek zaczyna się od wejścia na wagę.

5 kg na tydzień.

Niby dobrze, ale nadal nogi masz grube.

Teraz jedyne, co spożywasz, to woda,

Jedyne o czym myślisz, to twoje odbicie w lustrze.
I jedyne, co robisz, to próbujesz ciekawić się wszystkim.
Wszystkim, żeby byłaś ciekawa.
Ciekawa dla każdego,
bo inaczej to wszystko znowu zatoczy koło.
Bo usłyszeć od innych to, że jesteś głupia
zniszczy cię jeszcze bardziej niż twoje 11 urodziny.



Bartosz Frątczak, z cyklu *Wilno śladami polskich fotografów: Józefa Czechowicza, Stanisława Filiberta Fleury'ego oraz Jana Bułhaka*

PORTRETY

Karol Maliszewski

„JESTEM ZAWSZE NIEDALEKO” O liryce Zofii Mirskiej

1.

W zdjętym z półki słowniku *Pisarze Dolnego Śląska*¹ nie znajduję hasła *Zofia Mirska*. Byłem przekonany, że właśnie tam przeczytałem o niej po raz pierwszy i dowiedziałem się wówczas, że urodziła się w Twierdzy koło Lwowa, że po maturze w Cieplicach Śląskich i po studiach we Wrocławiu osiadła w Kłodzku, gdzie przez wiele lat pracowała jako nauczycielka języka polskiego. Kilka lat wcześniej taką nauczycielką w Bystrzycy Kłodzkiej była Urszula Kozioł. Wypełniając lukę we wspomnianym słowniku, trzeba byłoby w hasle dotyczącym Zofii Mirskiej wspomnieć o Kłodzkim Klubie Literackim. Właśnie tam, w przyjaznym gronie, w poetyckiej wspólnotcie, dojrzewała, wydając kolejne książki.

Oficjalnie uważamy, że Kłodzki Klub Literacki powstał w 1959 roku. Do Kłodzka przyjechał Piotr Brożek, wtedy młody poeta, teraz człowiek teatru, zastał tutaj Janka Kulkę i Annę Zelenay, która po studiach i nieudanym małżeństwie wróciła do Kłodzka; jednak częściej przebywała w sanatoriach i szpitalach niż w Kłodzku. Ona debiutowała w 1948 roku, ale praktycznie drogę do pisania otworzył jej Miron Białoszewski, który leczył się, podobnie jak Zelenay, w szpitalu w Otwocku. Powiedziała mu, że pisała kiedyś wiersze, ale mąż jej wybił to z głowy. Białoszewski zachęcił ją do powrotu do poezji. I tak się stało. Dlaczego rok 1959? Wtedy zawiązał się Klub Twórczej Inteligencji, który skupiał nie tylko literatów, ale również plastyków i mu-

¹ *Pisarze Dolnego Śląska. Informator bibliograficzny*, red. E. Niechcay-Nowicka, Wrocław 1998.

zyków. Niektórzy zmieniali nazwę na Klub Inteligencji Twórczej i żartowali sobie, że to jakiś KIT, bo piszą tam dziwne, niezrozumiałe wierszyki².

Pierwszym przewodniczącym Kłodzkiego Klubu Literackiego, który wyłonił się ze wspomnianego Klubu Twórczej Inteligencji, był Jacek Łukasiewicz, następnie Bogusław Michnik, a w późniejszych latach Michał Fostowicz. Wspominam o tym, bowiem te nazwiska, znajomości i przyjaźnie miały wpływ na poezję Mirskiej, dodatkowo podkreślając w niektórych jej wierszach znaczenie lokalności i poczucia wspólnoty. O twórcach i twórczyniach z klubu pisze ona jak o najbliższych członkach rodziny. Kilkadziesiąt lat bycia w Kłodzkim Klubie Literackim otworzyło ją na ludzką i artystyczną bliskość i zażyłość. Dobrze znając historię klubu, w swoich utworach wspomina ikoniczne postacie kłodzkiej poezji – Annę Zelenay i Jana Kulkę. Żałuje, że nie zdążyła Zelenay poznać osobiście, że się minęły:

Anna Zelenay

Tobie życia
a mnie kilku dni
zabrakło
do daru Twego uśmiechu
byłaś już wyluskana
z krajobrazu miasta
uwikłana w czerń i biel
prześwietlałam cię w oczach
Janka Majki Bogusia
siadałam jeszcze
na tych samych krzesłach
czekaliśmy jeszcze
na Twój powrót
Anno Zielona
hemoglobina znów krąży
pod korą drzew
my po Tobie
do Ciebie
przez zasy wieczoru
też zostaniemy sami...³

W tym wierszu Mirska nawiązuje do tytułu debiutanckiej książki Zelenay, *Zielona hemoglobina*, w której wiele wierszy mówi o poczuciu jedności ze światem organicznym, z przyrodą. W tytułowym utworze dochodzi do znaczącej wymiany, podobna do ludzkiej czy też zwierzęcej krew krąży również w roślinach: „pod skórą

² Z wywiadu udzielonego mi przez Bogusława Michnika. Zob. *Poezi uratowali Kłodzko* [w:] K. Maliszewski, *Pociąg do literatury. Szkicownik literacki z Dolnego Śląska*, Wrocław 2010, s. 115.

³ Z. Mirska, *Tam i z powrotem. Wiersze zebrane*, Nowa Ruda–Kłodzko 2014, s. 56.

drzew⁴. Ludzkie przypadłości (krwotoki, rumieńce) dotyczą także roślin. Krew buzuje wszędzie. Chorobliwy (gruźliczy) rumieniec może przydarzyć się liściom, lecz jeśli krążąca w tkankach zielona hemoglobina wybucha, to „seledynowym rumieńcem”⁵. Monolog tęskniącej za miłością kobiety w naturalny sposób łączy się z wizją przyrodniczego cyklu. Gorączka miłości, o ile się przydarzy, trwać będzie w cyklu określonym przez sączenie się krwi w gałązkach i pnączach. To jest właśnie ta zielona hemoglobina, istota związku uniesienia miłosnego z siłami przyrody, z jej utajonym sokami. To motywy bardzo bliskie Mirskiej, wciąż przez nią oryginalnie ponawiane.

Wracając do jej utworu poświęconego Zelenay, zwróćmy uwagę na wymienione w nim imiona. Należą do: Jana Kulki, Bogusława Michnika i Marii Dzierżyńskiej, zwanej Majką. Gdy w roku 1970 umiera Anna Zelenay, związany z nią uczuciowo Jan Kulka zaczyna myśleć o opuszczeniu Kłodzka i po kilku latach przenosi się do Łomży. Znikają z lokalnego życia literackiego dwa największe talenty poetyckie. Po latach Kulka odwiedza Kłodzko i Kłodzki Klub Literacki. Mirska opisała wtedy jego wizytę w utworze *Na przyjazd Jana Kulki*. Zwróciłbym szczególną uwagę na jego zakończenie:

witamy, minęło, mijamy
by niebo oczyścić z łez
zostało nas tu kilku
przebitych słowami
na dłoni wyciągniętej
ziarno wiersz
nie zatrzyma ptaka przed odlotem

więc jestem
zawsze niedaleko
Zofia⁶

Mówi się tu o niewielkiej garstce nadal piszących wiersze, zarażonych („przebitych”) magią poezji. Dla nich wiersz wciąż coś znaczy, jest jak ziarno, karmi sensem i daje nadzieję na wzrost. I jeszcze to jest ważne, że pośród tych nielicznych strażników słowa, siewców wierszy, jest ona, Zofia – „zawsze niedaleko”.

To jest bardzo znamienne wyznanie i określa sytuację poezji po wielkim wybuchu, po latach jej świetności w Kłodzku. Określa także strategię twórczą samej Mirskiej. Ona nigdzie nie wyjechała, pozostała na stanowisku, dalej z uporem robi swoje – uprawia lirykę. Stąd wrażenie świadomej skromności poczyniń, wręcz bezradności powściągliwego słowa. Wydaje mi się, że w wielu jej wierszach można wyczuć taki ton. Większa zasadność lirycznej obecności, obrazowy rozmach, poczucie pewności i społecznego odzewu – to wyznaczniki niegdysiejszego znaczenia

⁴ A. Zelenay, *Zielona hemoglobina*, Wrocław 1962, s. 14.

⁵ Tamże.

⁶ Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 103.

poezji. W takiej atmosferze i kulturze Mirska debiutowała, lecz z czasem nauczyła się pokornieć, spuszczać z tonu, słuźebnie maleć. To mnie przy lekturze jej wierszy najbardziej uderza i na swój sposób porusza.

Pokory uczył ją nie byle kto, bo wrocławski krytyk literacki, okazjonalny poeta, Marek Garbala. Często obecny na warsztatowych spotkaniach klubu, słynął z surowości względem czytanych tekstów, najczęściej zalecał skreślać i zaczynać od nowa. Czepiał się – jak to się mówi – każdego przecinka. Mocno zapadł poe-
tece w pamięć, skoro wspomina go w dwóch wierszach. Najpierw w drobiazgu zatytułowanym *Krytyk*, a potem w dłuższym, pożegnalnym utworze pt. *Markowi Garbali*:

Krytyk

Skreślił szatę
skreślił nagość
dzień i noc
i skreślił sny

bo wiersz nie ma być święty
święty niech będzie spokój

taki zostawił ogarek
kreślił Garbala Marek⁷

Mamy tu w skrócie program estetyczny, któremu hołdował krytyk i który udało mu się wpoić niektórym kłódkim adeptom. Na pewno Zofii Mirskiej. Jak najmniej słów, a i te przesiane unikać muszą banału, odświętności, patosu. Poeta dąży do paradoksu, skoro skreśla i szatę, i nagość. To co zostaje? Bardzo niewiele, prawie nic. I o to chodzi. O kilka koniecznych, jakby ostatecznych, słów. Reszta jest gadulstwem, przynależnym prozie. Większość wierszy Mirskiej zdecydowanie mieści się w tej szkicowo nakreślonej poetyce. Tuż po śmierci Garbali, przewodnika ko poetyckiej formie, poetka zapisuje na gorąco słowa:

wycinałeś wyrazy z ciemnych tekstów
[...]

krzyczałeś o swoim życiu pisz
twardą ręką nogami na przelaj
słowami jak świeża rana⁸.

⁷ Tamże, s. 125.

⁸ Tamże, s. 133.

Marek Garbala jako poeta, ale również krytyk, wierny raczej lingwistycznej, emocjonalnie powściągliwej, tradycji, jawi się we wspomnieniu Mirskiej jako ktoś inny. Obok dyscypliny formalnej ważne były dla niego „słowa jak świeża rana”, czyli jednak jakiś wyrazisty, a bolesny rdzeń poetyckiej wypowiedzi.

Z kolei często wspominany przez nią Michał Fostowicz był dla niej kimś w rodzaju przewodnika duchowego. Ten filozof, malarz i poeta nie skreślał przecinków, nie wrywał wyrazów. Otwierał członków klubu na tradycje ezoteryczne, na wschodnią duchowość. Mirska jeden z ostatnich tomików (*Czerń i biel*) rozpoczyna cytatem z tłumaczonego przez Fostowicza Williama Blake’a: „Lecz kiedy umrę, powstanę znów, a ty wraz ze mną./ Taka jest Przyjaźń i Braterstwo: bez tego nie istnieje Człowiek”⁹. Wierszem następnym w tym zbiorze jest zimowy obrazek z Międzygórze (w Masywie Śnieżnika), miejsca życia i śmierci Fostowicza. W epitafrum padają najpierw słowa skierowane do żony zmarłego, Alicji:

przywołuję z imienia Jego
jasną łagodną postać
gest poprawiający włosy
słyszę – yyy – przerwę we frazie
dla namysłu i świadomych wątpliwości
by trafić myślą w słowo¹⁰.

Potem mamy przedstawienie pierwotnej sytuacji lirycznej, która była źródłem wzruszenia, a następnie poetyckiego obrazu:

w Międzygórze w bieli śniegu
staliśmy nad Jego grobem
milcząc jak śmierć
między tak a nie¹¹.

Zakończenie utworu wydaje się być prezentacją podzielanych przez poetkę, poglądów Fostowicza na temat człowieka i jego miejsca we wszechświecie. Umierający człowiek jest jak gasnąca gwiazda:

rozpada się uwalnia energię
odmienia wszechświat
darem serca i umysłu

obdziela świetlisty pył
który krąży aż dotrze
do naszych myśli słów obrazów¹².

⁹ Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 215.

¹⁰ Tamże, s. 216. Pierwodruk wiersza w dziale *Hommage à Michał Fostowicz*, „Fraza” 2011, nr 1 (71), s. 75 (przyp. red. „Frazy”).

¹¹ Tamże.

¹² Tamże.

Może właśnie na tym polega wspomniane wcześniej „Braterstwo”? Braterstwo w słowach i poprzez słowa. Natomiast siostrzeństwo realizuje się w szerszej perspektywie, w kobiecym spojrzeniu łączącym wiele rozproszonych aspektów filozoficznych, estetycznych i życiowych. Bo jednak najwięcej wierszy Mirskiej wiąże się z Majką, Marią Dzierżyńską, przyjaciółką, poetką i malarką, również członkinią Kłódzkiego Klubu Literackiego. Wiersze są jej dedykowane bądź występuje ona w nich bezpośrednio jako poetka, lub, częściej, jako malarka i rysowniczka. Nawet jeden z tomików Mirskiej ozdobiły szkice Dzierżyńskiej, a w innym pojawiły się jej poetyckie fotografie. Dogadywanie się obu pań, poetki i rysowniczki, wzajemne uzupełnianie się, to ciekawy wątek twórczości Zofii Mirskiej.

Prośba do Majki

Stwórz mi łąkę
ale zieleni trzymaj krótko
pozwól hasać kształtom
pokaż kosmos źdźbła
odcień wszechkwiatu

a gdy czas nas przechytry
i tyle cudów zostanie pominiętych
utrwal życie zaschnięte
w sepii zamocz badyle
motylem światła zaznacz nasienie

lato odchodzi
śpiesz przed całunem¹³

2.

W innym utworze (z tej grupy „klubowej” i przyjacielskiej) pojawia się Roman Gileta. W tekście wspomina się wspólną poetycką młodość, czasy, gdy Gileta mieszkając i pracując (jako wiceprezes spółdzielni rolniczej) w Kątach Bystrzyckich, bywał na spotkaniach warsztatowych i wieczorach artystycznych Kłódzkiego Klubu Literackiego. Wydawał tam także swoje tomiki. Z utworu wynika, że członkowie klubu nieformalnie „przy setce wódki” spotykali się u Gilety na wsi¹⁴. Metaforyczne „w kątach gór” brzmi też nad wyraz konkretnie, aluzyjnie nawiązując do nazwy wioski Kąty:

¹³ Tamże, s. 138.

¹⁴ Zob. R. Gileta, *Kąteckie Spotkania Artystyczne* [w:] tenże, *Wyrwane z życiorysu*, Wrocław 2021, s. 237.

Portret Romana Gilety

przyjacielu
 czy wspominasz naszą młodość
 gdy schronieni w kątach gór
 uciekaliśmy przed światem
 w niedomówione wiersze
 i połykaliśmy słowa jak
 setkę wódki utrzymaną
 w zmęczonej klaskaniem prawicy
 a dzisiaj
 gdy wiek zmarszczył nam czoła
 i okulary wsadził na nos
 próbuję odnaleźć harmonię świata
 w Twoim uśmiechu¹⁵

Tu wchodzimy w ważny dla Mirskiej obszar poezji zakorzenionej, czyli takiej, w której nazwy własne współtworzą ściśle określoną domenę duchową. Sądzę, że to w tej chwili najwybitniejsza, najbardziej konsekwentna poetka Ziemi Kłodzkiej. Prócz grupy tekstów o samym mieście, o twierdzy i starych kamienicach, napisała bardzo wiele utworów „podmiejskich”, lokując siebie i swoją lirykę – niczym punkt obserwacyjny zmian świata i słowa – na uboczu, na jakiejś wielkiej peryferii. Można tę jej mikroojczyznę znaleźć na mapie, bowiem jest to Dolina Jodłownika, potoku płynącego niedaleko domu poetki. Kontemplacja najbliższej okolicy sprzyja „obojętnieniu na centra”¹⁶. Osiąga się naturalny stan skupienia wymiarów świata w sobie samym, w domu za miastem, i widzi się ów mityczny środek świata na własnym podwórzu, tuż obok studni albo raczej drewnitni, między rozsypnymi bierwionami. „Mieć swoje miasto na skraju”¹⁷ – to znaczy zabierać centrum ze sobą i rozpoznawać centrum w sobie.

Nad Jodłownikiem

Rzeko pluskająca
 czerwoną łatką pstrąga
 kto zdoła wyłowić
 przeszłe wpatżenia
 płyniesz ja stoję
 wśród milczenia wierzb
 a wszak się nie ostoję¹⁸

¹⁵ Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 234.

¹⁶ Tamże, s. 146.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Tamże, s. 31.

Jodłownik wraca potem w innych wierszach, lecz w tym najwcześniejszym wydaje się być rzeką z wyobrażeń Heraklita dotyczących upływającego czasu. Stojąca na brzegu postać „nie ostoi się”, porywana coraz dalej i dalej – także w głąb historii, w której stojący na tym samym brzegu przed laty ludzie sądzili, że przetrwają¹⁹. Trwanie ma wiele imion w tej poezji i wtóruje stałej poetyckiej obsesji przemijania. Trwanie, a właściwie nietrwałość trwania, to może najważniejszy problem tej wrażliwości. Bohaterka jest nadwrażliwa we wszystkim, ale najbardziej w tym, co określamy nieraz mianem „kruchości bycia”. Wiele wierszy sprawia wrażenie ostatnich, pisanych w półgeście, w jakiejś przestrzeni na krawędzi życia i śmierci. Tyłu już zostało pochowanych, tyłu dobry Bóg schował do worka, wykorzystawszy chwilowe zaistnienie owych figurek w teatrze świata. Bohaterka wie doskonale, że sznurki podtrzymujące jej istnienie również słabną. Mówi o tym często i z goryczą. Ale obok tej goryczy czy żalu są jeszcze: dzielność, śmiałość, pogodzenie, czasem nawet żart z sytuacji egzystencjalnej człowieka, z tego tragicznego i groteskowego zawieszenia między niepewnością życia i pewnością śmierci²⁰.

3.

W *Popularnej Encyklopedii Ziemi Kłodzkiej* o poezji Mirskiej ktoś napisał, że jest to:

twórczość charakteryzująca się prostotą wyrazu i wrażliwością w opisie natury, mocno zakorzeniona przy tym w rodzimym pejzażu, utralająca ulotność nastrojów i uczuć, z biegiem czasu coraz bardziej refleksyjna w opisie ludzkiego losu, usiłująca po stoicku mierzyć się z przemianami i cierpieniem²¹.

Natura, zakorzenienie, pejzaż... Coś już na ten temat powiedziałem. Warto jednak na koniec uzupełnić ten wątek. Odnajduję tu bowiem w wielu fragmentach pasję bycia współdzielonego z przyrodą (współbycia), w pewnym stopniu zbliżoną do analogicznej „zachłanności” u Leśmiana. On jednak tworzył całe symfonie znaczeń z tym związanych, kłodzkiej poetce wystarczają przebłyski i sygnały. Są jednak na tyle intensywne, że potrafią wzruszyć i przekonać. Przy niektórych skromnych, niepozornych (pozbawionych antropocentrycznej pychy) zapisach Mirskiej słyszę słowa biologa Matta Ridleya: „Dokądkolwiek się udasz, cokolwiek znajdziesz, zwierzę,

¹⁹ Antoni Matuszkiewicz napisał o tym aspekcie twórczości poetki: „czas jest w twórczości Mirskiej kategorią szczególną. Widzimy, jak płynie, upływa. Ludzie, gdy o nich mowa, starzeją się i umierają. Wszechobecna przyroda rozkwita i zamiera. Mimo to ma się wrażenie pozostawania w nieruchomym centralnym punkcie kołowrotu przemian”. Tegoż, *Melodia poznania* [w:] Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 8.

²⁰ Korzystam z fragmentów własnej przedmowy do jednej z książek Zofii Mirskiej. Zob. *Żeby przejść na drugą stronę* [w:] Z. Mirska, *O oddech wyżej*, Wrocław 2005, s. 3–4.

²¹ *Popularna Encyklopedia Ziemi Kłodzkiej*, t. II, red. J. Laska i M. Kowalcze, Kłodzko–Nowa Ruda 2009, s. 259.

roślinę, robaka, bakterię, plamkę pleśni, jeżeli jest żywa, stosuje ten sam słownik i zna ten sam kod. Życie jest tylko jedno”²².

O ile we wcześniejszych wierszach te formy współdzielonego bycia wpisywały się w formuły ogólne i uniwersalne (drzewo, ptak, zboże itd.), będąc niejako w tle rozterek bohaterki, o tyle w późniejszej twórczości zaczęły wysuwać się na plan pierwszy, zyskując zdecydowaną widoczność, samodzielność, a także nazewniczą konkretność. One przetrwały próbę czasu, mało tego – zyskały na niej. Chociaż coś w rodzaju programu twórczego i życiowego znajdując w jednym z najwcześniejszych wierszy, to do późniejszej intensywności zawierzenia naturze jeszcze daleko:

Zasłońcie mnie od świata
 drzewa siostry moje
 zielonym ciałem krwi
 zjednajcie z prawdą
 co z ziemi rośnie
 zasłońcie mnie od świata²³

Program, o którym wspomniałem, zawierał jeszcze jeden ważny punkt – wycofania się, ucieczki od zgiełku świata i „żółci kłamliwych słów”²⁴. Wraz ze zgodą na „poboczność” zaczęła rosnąć świadomość współbycia, czyli zgody na rozpuszczenie się w przyrodniczej substancji świata. Czy kosztem ludzkiej? Może niezupełnie, ale są fragmenty potwierdzające to przypuszczenie. Zauważanie się w odludnej, osobnej lokalności zaczyna wiązać się z czułością dla przyrodniczego drobiazgu, otwieraniem oczu na cuda i dziwy natury. Tomik *W nawiasach ścieżek* z 1985 roku rozpoczyna wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów „mieszkam w dolinie / zarośniętej wierzbami / kołysanej ziemi i zbożem”²⁵. Te słowa są jeszcze dość konwencjonalne, ale pełnią ważną funkcję wprowadzenia w tajemnicę coraz mniejszego świata, kurczącej się rzeczywistej własności duchowej.

Paradoks polega tu na tym – i brzmi trochę jak gnoma z tłumaczonego przez Fostowicza Lao Tsy, że im on (świat) coraz mniejszy, to jakby większy, jakby więcej ujawniał. Wreszcie można coś dokładnie zobaczyć, wyjść poza ogólniki i poznać klisze. To wówczas bohaterka liryków Mirskiej dopuszczona zostaje do jakiegoś utajonego duchowo-roślinnego wnętrza świata. Już nie tylko „mieszka w dolinie”, ale właśnie staje się doliną, wierzbą, przydrożnym zielskiem, „kocha tę ziemię / mleczną zgarbioną i hardą”, zyskując dar wzajemności. Niczym jakaś

²² Cyt. za: B. Bryson, *Krótką historią prawie wszystkiego*, przeł. J. Bieroń, Poznań 2016, s. 343.

²³ Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 13.

²⁴ Tamże, s. 16.

²⁵ Tamże, s. 37.

mitologiczna postać, doświadczająca substancjalnych metamorfoz, staje się na przykład dzikim bzem. Wprawdzie w wierszu, o którym myślę, nie dochodzi do pełnego utożsamienia, niemniej fraza „jestem za dzikim bzem” może być rozumiana na różne sposoby:

Jestem za dzikim bzem
widocznym gdy chłód rozbierze naturą
jestem jego losem
uwiązany do ziemi
spętany pijanym chmielem
drapię i łamię uschnięte badyle
i z trwogą patrzę na nowe
kielkujące palce korzeni
jestem za nim
gdy w szale wypleniam bylinę
wysysam korzenie
każdym szychem podsyłam gniew
zdobynam twierdzę
jestem za nim
gdy nieba szukam w ziemi
gdy wracam pokonana
a bunt mój zaburza barwa lata
Jestem w nim
gdy wyciszenia chłodem szukam nadziei
gdy z naszych zmęczonych rąk
żółć liści kapie w kałuże...
jestem za dzikim bzem²⁶

Z intensywnością współodczuwania natury sąsiaduje nieraz, albo z niej wynika, delikatnie sygnalizowana religijność. Swego rodzaju boskość doświadczana jest już wraz z postępującą identyfikacją z zielonym żywiołem wypełniającym najbliższe okolice domu. Taka „lokalna transcendencja” dzieje się bez przerwy i spełnia się powściągliwie, zgodnie z regułami przyjętej ascetycznej poetyki. Od czasu do czasu to wszystko, co przyziemne, mineralne i organiczne, wystrzela w górę tęsknotą za czymś więcej. Trudno o tym mówić, Mirska jednak próbuje:

Chciałam
namacać Boga jak ptasie gniazdo
w krzaku tarniny

²⁶ Tamże, s. 52.

W panice zmysłów
cofnięta ręka
krwawi...²⁷

*

Nie wiem, co miał na myśli – cytowany przez Antoniego Matuszkiewicza – Michał Fostowicz, tak medytujący nad wierszami bohaterki tego szkicu: „Milczenie zawarte w mowie, cisza brzmiąca w muzyce, nieokreśloność w określoności i całkowicie inny świat w tym świecie, inne słońce, świat niespełniony, nieosiągalny, oglądany z dna głębokiej studni – wzywa”²⁸.

Nie wiem, i wiem. Być może każdy poważny projekt artystyczny jest efektem poczucia nadmiaru bądź niedomiaru dostępnego świata. Jeżeli ten zawodzi, stwarza się jakiś drugi. Patrzy się inaczej. Czujnie ogląda się za siebie, ale jednak kroczy się dalej. W stronę własnego odczytywania i rozumienia tajemnicy losu. Bo obok tych wszystkich oczywistości, obok tego, co wydało mi się tu jasne, jest jeszcze coś, na co zabrakło mi słów. Co mnie ominęło. Niech ta ciemność otworzy się dla innego, dla innej.

Karol Maliszewski

Bibliografia

- Bryson Bill, *Krótką historią prawie wszystkiego*, przeł. Jacek Bieroń, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2016.
- Gileta Roman, *Wyrwane z życiorysu*, wyd. Astrum, Wrocław 2021.
- Maliszewski Karol, *Pociąg do literatury. Szkieletownik literacki z Dolnego Śląska*, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2010.
- Maliszewski Karol, *Żeby przejść na drugą stronę* [w:] Z. Mirska, *O oddech wyżej*, wyd. Sonata, Wrocław 2005.
- Matuszkiewicz Antoni, *Melodia poznania* [w:] Z. Mirska, *Tam i z powrotem. Wiersze zebrane*, wyd. „Maria”, Nowa Ruda–Kłodzko 2014.
- Mirska Zofia, *O oddech wyżej*, wyd. Sonata, Wrocław 2005.
- Mirska Zofia, *Tam i z powrotem. Wiersze zebrane*, wyd. „Maria”, Nowa Ruda–Kłodzko 2014.
- Pisarze Dolnego Śląska. Informator bibliograficzny*, red. Elżbieta Niechcay-Nowicka, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. T. Mikulskiego, Wrocław 1998.
- Popularna Encyklopedia Ziemi Kłodzkiej*, t. II, red. Janasz Laska i Mieczysław Kowalczek, Kłodzkie Towarzystwo Oświatowe, wyd. „Maria”, Kłodzko–Nowa Ruda 2009.
- Zelenay Anna, *Zielona hemoglobina*, Ossolineum, Wrocław 1962.

²⁷ Tamże, s. 61.

²⁸ A. Matuszkiewicz, *Melodia poznania* [w:] Z. Mirska, *Tam i z powrotem...*, s. 6.

„I’m always nearby”. On Zofia Mirska’s poetry

Summary

In this essay, the author focuses on the local poetry related to the cultural circle of the Kłodzko region. He discusses in detail the achievements of an important poet in this environment, Zofia Mirska. In the analysis, he emphasizes the ecocritical meaning of her works and stresses the connections with the „small homeland” revealed in the poems. The most important aspects of this interpretation concern nature, rootedness and landscape, as well as religiosity combined with love for the land.



Fot. Iwona Matuszkiewicz

Zofia Mirska na spotkaniu autorskim z okazji 40-lecia debiutu poetyckiego,
Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Kłodzku, 25.05.2023 r.

Zofia Mirska

PRZESIEDLEŃCY

widzę tę trzyletnią dziewczynkę
ubraną w futerko z królików
leżącą na jakimś piernacie
a wokół niezliczone toboły i ludzie
to byłam ja! Zostałam sama
mama poszła coś załatwić

otulona kocem patrzyłam na dziury w dachu
i czarne niebo z małymi gwiazdami
widowisko otworzyło mi oczy
pierwsza pamięć zanotowała rzeczy i miejsce
zaczęłam istnieć!

wtedy jeszcze nie zjadłam
z drzewa świadomości – dziś wiem
była zima 1947 roku dworzec we Wrocławiu
przesiedleńcy ze Lwowa ze swoim dobytkiem
załatwiali nowe miejsca zamieszkania
Ojciec akowiec odnalazł nas na wiosnę
po dziewięciomiesięcznej udanej ucieczce z Sybiru

w wieku dojrzałym w garbach Śnieżnika
zobaczyłam Drogę Mleczną
pamięć wróciła do tamtych przeżyć
stałam samotna w zachwycie
malałam do atomu
zagubionego we wszechświecie

dziś wiem i czuję
że znów mnie przesiedlą
i jak każdy nie wiem
czy do gwiazd?
czy do ciemności?

ROWERZYSTA

O, radości, iskro bogów

F. Schiller

często wracam do chwili
którą przeżyłam w Hamburgu
zaczytana na balkonie
z widokiem na Johansalle
nagle usłyszałam głośny śpiew
zza drzew wyłoniła się kobieta
jechała na rowerze
fałowała kierownicą
jakby do taktu
swej radosnej pieśni
czy byłam zazdrosna?
czym jest radość
i na jakiej ulicy zakwita?
Na mojej ulicy Ostatniej
nikt z rowerzystów
jeszcze nie śpiewał

w partykule
NIE
cała moja wolność

OGRÓD

kilka arów i tyle kolorów dźwięków zapachów
gdy na to patrzę ulegam przemianie
uwalniam się od złudzeń
w głębi duszy zanurzam się w tańcu
między światłem a mrokiem
buduję dzień z własnej pieśni

ale wystarczy że wyjdę z ogrodu
stanę na moście górskiego potoku
i dopada mnie smutek
bo płynę z moim Jodłownikiem
w doliny upiornego świata

za ulicę Ostatnią
za moje miejsce
między kuchnią a ogrodem
za poranne słońce
za wróble kosy i sroki
za barwy kwiatów i zieleni
za rodzinę i przyjaciół
– dziękuję

czy cichy szepc słów
wysłucha Bóg?

Zofia Mirska

Fot. Roman Sabo



Plaskorzeźba z Zaułka Literackiego, Wilno 2008

Antoni Matuszkiewicz

EXEGI MONUMENTUM...

(na czterdziestolecie twórczości Zofii Mirskiej)

Jubileusz, pojęcie nierozłącznie związane z czasem. Warto więc uświadomić sobie, że świętująca dzisiaj czterdziestą rocznicę debiutu poetka jest jedną z ostatniego już pokolenia, które ma w swoich personaliach zapisany ślad innej epoki, innej Polski, innego jej kształtu, usytuowania, odmiennych społecznych korzeni i perspektyw. Tacy ludzie są stąd, ale jeśli już nie pamięcią własną, to tradycją rodzinną są wciąż również stamtąd (mówię to jako prawie rówieśnik protagonistki naszego spotkania). W życiorysach młodszych generacji zanikają stopniowo nazwy miejscowe nierozłącznie związane z I i II Rzeczpospolitą, takie jak Wilno, Grodno, Stanisławów, Lwów, czy Twierdza koło Lwowa, miejsce urodzenia Zofii Mirskiej.

Choć jest ona z wykształcenia humanistką i kultura literacka na pewno jest w jej twórczości obecna, to poezja ta w swojej istocie nie jest z poezji innej, nie jest z książek, z literatury, czy – broń Boże – ideologii takiej czy innej. Jest ze siebie, przede wszystkim z siebie, jest sobą, nie cudzym bękartem. Co nie znaczy, że jest w sobie zamknięta, że nie wchodzi w dialog, nie potrafi zachwycić się innym. Jest z życia, taka odpowiedź nasuwa mi się spontanicznie, jeśli ktoś miałby mi postawić pytanie, skąd pochodzi. Z życia własnego, życia najwyraźniej tutejszego. Do tego stopnia, iż rzec by można, że to nie Mirska pisze o tym, czy tamtym, lecz że tutejszy, kłódzki *genius loci* upatrzył ją sobie na swojego rzecznika, świadomy tego, że w jej ustach właśnie pozbędzie się jakiegokolwiek prowincjonalności, jej okiem rozzejrzy naprawdę szeroko. Rozpozna siebie, dzięki jej wrażliwości. I twórczej postawie, jaką trafne pozwalają określić słowa z poematu klasyka czeskiej awangardy, Jiříego Kolařa *Mistrz Sun o sztuce poetyckiej*: „stać pewnie na własnych nogach / podczas gdy wszyscy wzajemnie się podpierają”.

Można o poezji mówić w sensie ogółu wierszowanych tekstów, ale również w znaczeniu dochodzenia prawdy, filozofii, czyli umiłowania mądrości w postaci wiedzy pewnej. Można rzec nawet, że to poezja jest tą najodpowiedniejszą formą uprawiania filozofii, ponieważ zawiera element liryki, zachowuje głos człowieka, owego miłującego, świadomie respektuje jego istnienie (w podobny sposób mądrość ujmuje Ewangelie...). W tym drugim podejściu nie mamy już obszaru, płaszczyzny poezji, niby łąki z całą jej bioróżnorodnością, ale coś, co można sobie wyobrazić na kształt zwiężających się, wpołśrodkowych kręgów tarczy strzeleckiej, systemu stopni wtajemniczenia, wstępowania na wierzchołek góry lub zstępowania w głębinę. Co z samej swej natury wprowadza aspekt dośrodkowy albo wertykalny, zgodnie z tym, czy punktu ciężkości tego, co istnieje, upatrywać będziemy w wewnętrznej czy

zewnętrznęj rzeczywistości. I to ta grawitacja mądrości, uwrażliwienie na tę grawitację, sytuuje dany utwór, twórczość, sytuuje autora jako poetę na odpowiednim dlań poziomie. Patrząc tak właśnie, zobaczymy prawdziwą wartość poezji Zofii Mirskiej, zaś samą autorkę na właściwym jej miejscu pośród innych piszących. Ponieważ – tu powracam do tekstu Kolaża – może ona „przyjść z czymś nowym / nieoczekiwanym / lecz o czym wszyscy wiedzieli że jest”.

Jaką trzeba mieć bowiem samoświadomość artystyczną i egzystencjalną, aby stworzyć taką wersję Horacjańskiego *non omnis moriar*:

odkłada się we mnie
kamień na pomnik dorastam
do zagłady

Antoni Matuszkiewicz



Fot. Roman Szabo

Panna na niedźwiedziu, Wilno 2008

David Magen

AGNES

Jestem Agnes.
Jestem złodziejką.
Jestem Igorem Stachowiakiem.
Jestem Bartoszem Sokołowskim.
Jestem Łukaszem Łagiewką.
Jestem strachem przed policją.
Jestem, bo mi się należało.
Jestem osobą pobitą.
Jestem osobą zgwałconą.
Jestem osobą zaburzoną psychicznie.
Jestem osobą niestabilną emocjonalnie.
Jestem osobą z wieloma traumami.
Jestem traumą po szpitalach.
Jestem traumą po przesłuchaniach.
Jestem traumą po aresztowaniach.
Jestem bólem po przemocy instytucji rządowych.
Jestem i walczę o siebie.
Jestem.



Fot. D. Magen

David Magen

MÓWIA

Mówią
gołąb to nie ptak
a latający szczur
Fruwający
nad miastem Żyd
który wyleciał
z obrazu Chagalla
Samael
anioł śmierci

Szybujący nad granicą
uchodźca
Człowiek ze skrzydłami
na paradyzie równości

IZAAK 1946

Człowieka tak się zabija jak zwierzę.
Tadeusz Różewicz

Przeżyłem całopalenie
Byłem jagnięciem
skazanym na śmierć
Ocalałem
prowadzony na...
Górę Moria

Zabił mnie Ogień
Pragnienie Polski
bez Żydów i komunistów

David Magen



Zaulek Literacki w Wilnie, za bramą mieszkał Juliusz Słowacki, Wilno 2008

Antoni Matuszkiewicz

PIĘTNO KOLORU

O poezji Davida Magena

Książkę poetycką *Ulica Bohaterów Getta*, wydaną przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Nowej Rudzie w roku 2022, autor, David Magen (Tomasz Leśniowski), urodzony w roku 1968, uważa za swój właściwy debiut literacki (nie licząc pięciu niskonakładowych edycji poetyckich w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku oraz udziału w publikacjach zbiorowych). Wykorzystana w projekcie okładki fotografia kamienicy o żółtej barwie (przeplatającej się też przez wiersze zawarte w książce), która ma tablicę adresową zawierającą tytuł tomu, odsyła do żydowskiego losu, żółtej gwiazdy na ramieniu lub na piersi, harmonizując zarazem z pseudonimem David Magen (Gwiazda Dawida) przybranym przez autora, który żydowskich przodków nie ma, na samym początku drogi poetyckiej. Elementy judaistyczne i biblijne występują już we wspomnianych juveniliach Magena, także w tytułach wierszy *odłamek macewy* oraz *Virginia, Abigail* (imię żony króla Dawida, Abigail).

Ten pseudonim jest najistotniejszym gestem artystycznym, życiową kreacją Leśniowskiego. Gestem określającym jego nosiciela społecznie, historycznie, ale również transpozycją na to, co ogólne tego, co intymne, wypowiedzeniem w języku powszechnym tego, co nie do wypowiedzenia. I myślę, że w takim głębokim ufundowaniu stworzonej przez poetę osoby leży przyczyna bezkompromisowości sądów i pojawiającej się niekiedy bezwzględności sformułowań. Mocy swoistego *de profundis*, nierodzającego się jedynie z przekonań, z pracy umysłu, ale czerpiącego z rezerwuaru emocji, zasobów własnego doświadczenia. Autor tomu jest człowiekiem o ponadprzeciętnej wrażliwości i empatii, który zdaje sobie sprawę, iż traci szansę na pełną akceptację środowiska, w jakim wyrósł, wewnątrz tym bardziej jej potrzebuje i stąd, być może, obok twórczości *sensu stricto*, jego społecliwość, okołoliteracka i pozaliteracka aktywność organizacyjna w społeczności lokalnej, o czym sporo dowiadujemy się z posłowie Karola Maliszewskiego, a także profil jego wykształcenia i pracy zawodowej, wyrażający się w publikacji *Klimat społeczeństwa w domu dziecka* (2007).

Powracając do projektu okładki omawianego tomu – liternictwo, także żółte, umieszczone jest na plakiecie w kolorze nasyconej czerwieni (w zestawieniu z tytułem kojarzącej się z przelaną krwią). Czerwień spotykamy już w pierwszym utworze, to jakby czarodziejskie sukno, pod którym łączą się różne rzeczy: „korale wczesnych wiśni” i napis „zrobiony czerwonym spray'em”, i ktoś „z dużym bordowym miśkiem”, i „szalejące pożary”, a w domyśle – wszystko. Tym bardziej, iż wy-

stępuje tu też onomastyka topograficzna dotycząca różnych miejsc (Lozanna, Duszniki-Zdrój, Podhale). To życie widziane od podszewki. Rzeczony napis (*NOTHING COMPARES...*) jest cytatem z piosenki Sinéad O'Connor będącej manifestem wspaniałości ludzkiego istnienia. Szybko jednak, już w kilku następnych utworach, natura, życie odsłaniają swój kres, cienie i ciernie. Kobieta: „Ma oczy / błyszczące / od łez” (***)*Przy mrocznym stawie...*), a wiersz kończy się pohukiwaniem sowy. W innym utworze: „śmierć / mi ciebie / zastąpiła” (***)*Na twym grobie...*). Pojawia się tytuł *Inskrypcja z cmentarza żydowskiego w Radomsku*. Utwór *Mojżesz* rozgrywa się na cmentarzu żydowskim we Wrocławiu i zawiera dystych: „Łzami więc / rozbite tablice posklejam”, który wymagałby osobnego omówienia.

Nie ma w tym tomie wierszy błahych, nawet jeśli jest kilka utworów młodzieńczych, enigmatycznych i skromniejszych w wyrazie, to i one zastanawiają swą poważną aurą. Wspomniany życiowy i twórczy gest Leśniowskiego może być śmiało uznawany za egzemplifikację postawy ze słynnego niegdyś wiersza Antoniego Słonimskiego *Ten jest z ojczyzny mojej*:

Z matką żydowską nad pobite syny
Schyla się, ręce załamując żalem,
[...]
Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.

Jak wiadomo, tytuł wiersza stał się również tytułem przełomowej książki Władysława Bartoszewskiego *„Ten jest z ojczyzny mojej”*. *Polacy z pomocą Żydów 1939–1945* z roku 1966. Najbardziej znanym w świecie przykładem podobnej postawy jest *„Ich bin ein Berliner”* z przemówienia Johna Kennedy’ego w Berlinie Zachodnim, jako wyraz solidarności po wzniesieniu muru dzielącego miasto: „Wszyscy wolni ludzie, gdziekolwiek żyją, są obywatelami Berlina, i tym samym ja, jako wolny człowiek z dumą mówię «Jestem berlińczykiem!»”. Tak więc David Magen w tym sensie mówi: Jestem Żydem! Jestem ofiarą największej znanej w dziejach niesprawiedliwości i jako taki staję po stronie wszystkich znajdujących się w podobnej sytuacji: „Jestem petem, kapslem, puszką po Pepsi-Coli [...] / Murzynem, Turkiem, Cyganem, Żydem, / Kolorowym, bezrobotnym, bezdomnym” (*Do prawdziwych*).

Ponieważ jest w swoim postępowaniu konsekwentny, pojawiają się także u niego ograniczenia, które po dziś dzień mają wpływ na stosunki Żydów z innymi narodami, w tym szczególnie na współzycie żydowsko-polskie. Jest to relatywizacja cierpienia innych, co wynika z samej perspektywy i świadomości – to my jesteśmy (zawsze byliśmy) pokrzywdzonymi najczęściej i mamy prawo ustalania skali nieszczęścia. W tomiku objawia się taki ton w wierszu *Żałoba*, który jest artystycznie, w swojej zwięzłości i kolorystyce, bez zarzutu. Wychodzi od dwuznaczności słowa

„żałoba”, potocznie określającego także brud za paznokciem, zarazem przypomina frazeologizm minimalizujący coś przenośnie – jest tego tyle, tylko tyle ile brudu za paznokciem, zaś barwą odpowiada jej sadza i popiół. Rozumiem, że żałoba po Lechu Kaczyńskim, bo o nią tutaj chodzi (*de facto* po wszystkich ofiarach smoleńskich, ale to i tak niecała setka), to prawie nic wobec Szoa, jakie się w utworze pojawia (spalona stodoła, obozowe krematorium) jako kontrpunkt, ale wolałbym, aby w myśl zasady, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat, analogicznie traktować nawet pojedynczą śmierć i żałobę. Jak twierdzi Jan Němec: „Pisarz oczywiście musi pobrudzić sobie ręce. Często to właśnie brud za paznokciami jest tym, czym piszemy. Z drugiej strony, istnieją także wrażliwe opuszki palców. Właśnie dzięki nim mamy prawo dotykać drugich, którzy – na szczęście – nie są nigdy tacy sami jak my”.

Pozostaniemy przy podobnej kolorystyce. W nawiązaniu do innego wiersza z tomiku pt. *Czarna dama*: „Za nią maszeruje / naród zjednoczony / nad wieloma trumnami”, i parę wersów dalej: „budujący świadomość / w rytm pogrzebowych marszy”, trzeba przypomnieć o stosunku do zmarłych, charakterystycznym dla kultury zachodniej (judeochrześcijańskiej), jako nastawionej na indywidualne przeżycie, w przeciwieństwie do bardziej kolektywistycznego Wschodu, szczególnie w jego karykaturalnej, sowieckiej wersji. Wystarczy przypomnieć ekshumacje i postępowanie Polaków w kwestii Katynia przy całkowitym braku zainteresowania oficjalnych czynników rosyjskich wobec innych pochówków na tym cmentarzysku, o Kuropatach pod Mińskiem już nawet nie mówiąc. Widoczne jest to też dzisiaj na Ukrainie, kiedy ciała własnych żołnierzy wojsko rosyjskie pozostawia nieraz na łasce losu. Żydzi starają się o zachowanie bodaj imienia każdego człowieka, nawet jeśli z wiadomego powodu nie posiada on grobu. Niemcy „ostatecznie rozwiązując kwestię żydowską”, świadomie starali się zapobiec temu, by naród ten mógł się kiedyś jednoczyć „nad wieloma trumnami”.

Rzecz dotyczy w ogóle bardzo głębokich korzeni człowieczeństwa, jeśli pamiętać o kościach przodków zabieranych ze sobą przez koczowników, czy choćby przekonaniu pierwotnych mieszkańców Ameryki, którzy czuli się u siebie tam, gdzie mieli własny cmentarz. Ale i współcześni Amerykanie mają potrzebę uczczenia zmarłych. Kiedy z Nowego Jorku do Waszyngtonu przewożono zwłoki Roberta Kennedy’ego, na całej trasie wzdłuż torów stał nieprzebrany tłum. Nie od rzeczy będzie przytoczyć w tym miejscu ironiczną uwagę Virginii Woolf (kilkakrotnie wspominanej w książce Magena) na temat inności Europejczyków i Amerykanów: „Ale najlepiej tę różnicę między nami a nimi ilustruje taka oto obserwacja: my mamy cienie, które wloką się za nami, oni – blask, który tańczy przed nimi. I dzięki temu są najciekawszymi ludźmi na świecie – patrzą bowiem w twarz przyszłości, a nie przeszłości” (z eseju *Ameryka, której nigdy nie widziałam*).

Omawiany wiersz napisany jest w konwencji pamfletu politycznego i jako taki czarno-biały z zasady. Personifikacja Polski to zdecydowany negatyw. Historia ojczysta użyta jest tutaj tendencyjnie, ponieważ ma za zadanie skompromitować inną ideologię, również uzasadniającą się historycznie. Myślę, że to dobry przykład

diagnozy autora posłowania, iż poeta krytykuje: „raz melancholijnie i szydyczko, to znów na odlew, wręcz publicystycznie”. Tu na pewno „na odlew”, a co gorsze, na ośle. Jest rzeczą zadziwiającą, jak bardzo ludzie mocno zorientowani ideologicznie, bez względu na ideologię, odporni są na rzeczywisty stan rzeczy. *Protokoły mędrców Syjonu* są zbyt atrakcyjne dla antysemitów i zwolenników historii ezoterycznej, aby przejmować się ich udokumentowanym historycznie fałszerstwem. (Aktualnie napis reklamujący owo dzieło widnieje na pomostach nad autostradą pod Ołomuńcem...)

Nie dziwi zatem, że przywołany w omawianym wierszu Magena: „Lud pierwotny [...] atakujący czołgi / na koniach szablami” zdomował się w prasie polskiej w czasach wczesnego PRL-u. Jak można przeczytać w materiałach Muzeum Historii Polski, „Niemcom w spreparowaniu tego kłamstwa pomógł opis bitwy pod Krojantami 1 września 1939. Opis zmyślony przez korespondenta włoskiej gazety «Corriere della Sera», Indro Montanellego. Opisał bitwę, której nie widział, a zmyślił jej przebieg w sumie w dobrej wierze (jak możemy przypuszczać), chcąc pokazać odwagę polskich ułanów. Opowieść włoskiego dziennikarza została podchwycona przez propagandę niemiecką. 13 września wydrukował ją magazyn «Der Wehrmacht», a Goebbels nakazał umieścić ją w filmie dokumentalnym «Feldzug in Polen» oraz w filmie «Kampfgeschwader Lützow», które miały dokumentować głupotę i nieracjonalność Polaków”.

Podobnych utworów, gorąco publicystycznych, jest w książce jeszcze kilka (im bliżej końca, tym więcej), ale pozostaniemy raczej przy tych, gdzie emocje autora okrywa bardziej suta materia poetycka, a retoryka nie przeważa nad metaforyką. W zakresie owej najaktualniejszej problematyki jest takim na pewno *Día de los muertos*, czyli zaduszkowy obrzęd alegorycznie przetransponowany na modłę meksykańską: „Zjem cukrową czaszczę prezesa / mocno doprawioną tequila”, a także zaskakująco trafny, utrzymujący czysty ton satyryczny a zarazem mocno zakotwiczony w kulturze *Las smoleński*. Nie negując niczego, co zostało powiedziane wcześniej, trzeba jednak dodać, że w książce jest ukryty głęboki nurt wspólnotowy. Adresatami inwektyw są ludzie określonej postawy wobec kraju i jego historii, zaś niejawnym protagonistą jest sama Polska. Ojczyzna, reprezentująca synekdotycznie świat w ogóle, ale nie tracąca swojej jedyności. Polska, w jakiej mieliby się na nowo odnaleźć Żydzi i ludzie tacy jak Żydzi. *Gdy boli powiew wiatru* to wiersz, gdzie słowo „ojczyzna” pada, a inicjalną frazę: „Gdy boli powiew wiatru / ruch warg / przy słowie / ojczyzna”, można rozumieć dwuwektorowo – ból, który „jest ostrzeżeniem” – jak czytamy dalej, może pochodzić z wewnątrz, z obawy, że to, co się powie, jest ryzykowne, może być zrozumiane w niewłaściwym kontekście, może zostać sprofanowane, ale również z zewnątrz, kiedy ktoś wypowiada to słowo tak, że rani. „Pozostaje strach” – tak czy inaczej, zachodzi tutaj korespondencja ze znanym wierszem Kasprowicza *Rzadko na moich wargach...*

„Wolności nie ma / bez odrzucenia” – pisze poeta w wierszu *Na jesień*, zaś jego puenta to: „Zostaje / bliźna liściowa / i przerwane połączenia”. Tytułowa

jesień, to nie tylko śmierć liści, ale spożywanie warzyw i owoców, także tych najzdrowszych, ponoć, zawierających antycyjany (antocyjany), o charakterystycznej fioletowej barwie:

Przez antycyjany
jestem fioletowy
Martwy więc
wiecznie młody
szlachetny i uduchowiony.

Narrator korzysta zatem z tego, co poprzedzało jesiennosc, co zdążyło wyrosnąć. Pozostając w kręgu skojarzeń żydowskich, można dopatrzeć się w tym żywotności i pożyteczności tej tradycji, martwego (zsiniałego), ale nieśmiertelnego Dawida. To jego młodość (najmłodszego syna Jessego) przeciwstawia się tutaj nieuchronnej w naturze śmierci. Można to odnieść do losu narodu żydowskiego, ale przede wszystkim, ze względu na wyraźny liryczny ton wiersza, do narratora świadomie wybierającego los tych jednocześnie umarłych i żyjących: „Ja / wróg Polski i świata / zakładam opaskę / z Gwiazdą Dawidową”. Pełnego wiary, że ów zdrowy pokarm pozwoli mu funkcjonować mimo blizny, unieważniając poniekąd ostateczność odrzucenia.

Zbliżony w symbolice jest inny wiersz, jeden z najgłębszych w tym zbiorze, *Jagodowy Auschwitz. Rewers Holokaustu*. Dziewczyny „Jedzą jagody z małych misiek”, przyjmują więc wspomniane już antocyjany w ich najlepszej postaci. Jedzenie jagód nie dotyczy jedynie tych, co je jedzą, ale i otoczenia, zmieniając także warunki czasowe. Nie obserwujemy tylko współczesnej, przypadkowej scenki dotyczącej merkantylnego i konsumpcyjnego wykorzystywania historii Zagłady, ale dokonuje się swoista *apokatastasis*. Oparte o balustradę (cóż za kontrast z obozowymi drutami...) dziewczyny, Żydówki, które w rzeczywistości zginęły, żyją, i żyją ich prześladowcy, którzy już prześladowcami nie są. Rzec można, że przyszli do siebie, są znów ludźmi sprzed unieważnionego właśnie koszmaru, piją i śpiewają. Zwyczajni młodzi ludzie, którzy jeszcze nie mają świadomości tego, kim się staną, kim mogą się stać, że, być może, zaistnieje bariera dzieląca ich na katów i ofiary. Tylko patrzący ma tę świadomość. Przypomina się tutaj także ów „lud warszawski z rzymski” z Miłoszowego *Campo di Fiori*.

W drugiej części wiersza dwunastu dziewczynom odpowiada dwunastu apostołów. Rzec dzieje się w katedrze ormiańskiej (we Lwowie najprawdopodobniej), co nie jest bez znaczenia, gdy pamiętamy o poprzedzającym Zagładę ludobójstwie Ormian. Apostołowie, na stojąco, w rzędzie (więc podobnie jak dziewczyny stały rzędem przy ogrodzeniu) „jedzą ciało Jezusa”, czyli trwa Ostatnia Wieczerza. „Syn Boży” stoi „Pośrodku nich z kielichem w ręku”. Narrator klęka „przed nim oparty o balustradę”. Największy z Żydów, w towarzystwie innych Żydów, przyjmuje do eucharystycznej wspólnoty narratora, dobrowolnego Żyda... Utwór ma budowę nawią-

zującą do średniowiecznych malowideł hagiograficznych, na których przedstawiano nie tylko temat zasadniczy, lecz też inne zdarzenia z życia danej osoby, obok lub na dalszym planie, w ten sposób przenosząc wypadki poza czasową jednoznaczność, umieszczając je w perspektywie wieczności.

W wierszu Magena spotyka się ze sobą Stary i Nowy Testament, borówkowej barwy antocyjany tradycji starozakonnej korespondują z „ciałem Jezusa” – bielą chleba, pokarmem wiecznym. Powtarza się motyw balustrady, tego, co dzieli, lecz tutaj służy ona przede wszystkim do tego, by się na niej oprzeć. W zakończeniu wiersza to już nawet nie balustrada, a kościelne balaski, które, co prawda, rozgraniczają tradycyjnie wnętrze świątyni na część mniej i bardziej sakralną, zarazem jednak, w przebiegu liturgii, łączą, stają się stołem sakramentalnym. Trwa więc mistyka komunii powszechnej, do której przystępuje podmiot wiersza. W tym kontekście domniemana śmierć dziewcząt zyskuje dodatkowo wymiar odkupieńczy, czym wykracza już poza granice judaizmu. Można przywołać tu symboliczne „wniebowstąpienie” w finale filmu *Korczak* Andrzeja Wajdy, które wzbudziło kontrowersje. I jeszcze dygresja kolorystyczna. Cyjan, czyli błękit berliński (potem błękit pruski), był pierwszym syntetycznym pigmentem, a jego budowa chemiczna posłużyła do wytworzenia cyjanku, związanego później z produkcją cyklonu B, emanującego niebieskawą barwą. Osady błękitu pruskiego zostały odkryte na wewnętrznych ścianach i sklepieniach komór gazowych. Tak więc umieszczenie w wierszu borówkowych antocyjanów okazuje się dodatkowo uzasadnione.

Motywy jedzenia i picia oraz pokarmów i napojów często występuje w księżce Magena. Pełnią różne funkcje przenośne, na przykład: „Jesteś chlebem i solą ziemi. Pożywieniem przyszłych Hitlerów” (*Jesteś chlebem i solą ziemi*), „Jak kostka cukru w zbyt / słodkiej herbacie, wsiąkam powoli w posągi, rzeźby i portale” (*Niedziela w Kłodzku. Ulicą Wita w górę*). W *Marzeniach Virginii* bohaterka, mała Virginia Woolf, mówi: „Będę jadła orzechy / [...] Będę jadła trawę”, przepowiadając własne utonięcie, sugeruje pogodzenie się z powszechnym krążeniem substancji w przyrodzie, stawianiem się mierzwą dla innych istot, do czego predestynuje nas sposób odżywiania. „Przeżyję, ale do ust nie wezmę szwajcarskiej czekolady” – brzmi puenta wiersza *Szwajcarska czekolada* – zwracającego uwagę na to, jakim zwierciem dramatu z czasów okupacji był oportunizm sytych – komfort eliminujący *caritas*.

Powracając do kwestii pseudonimu autora, napięcie między jawnym a ukrytym jest zasadnicze dla całego tomu. W wierszach z wczesnego okresu objawia się to najprościej. W *Zajęcu i sarnie* prócz płochliwych zwierząt, eksponujących momentalną terażniejszość, jest też pośrednio ktoś inny, kto: „Głębokie ślady zostawił na skraju / abyś zrozumiał zapadania sens”. To sięgnięcie poza pozory, owocujące poznaniem. Poeta nawiązuje do mitologicznego tropu – zasłony Izdy. Proces ten zachodzi różnorako. Znaczący bywa już sam tytuł. W wierszu *Wszystko przypomina mi* katalizatorem wspomnień są: „Trawy uczesane / przez wiatr i zaorane pole”, zaś konkluzją jest „bycie niewidoczne”. Wprost mowa jest o tym w innym

wierszu, *Byłaś tu przed chwilą*: „co uchyliłaś zostanie uchylone. Nauczyłaś mnie swojej twarzy na pamięć” – twarzy prawdziwej, wcześniej niedostępnej, jak się domyślamy, ale odtąd już tylko przypominanej przez oglądane wówczas wspólnie filmy. Zastoniętej zatem na powrót, choć już inaczej. O tym, że podmiot wierszy doskonale zdaje sobie na co dzień sprawę z istnienia zasłony, świadczą słowa skierowane do kobiety, która pozornie chciała tylko zamówić rozmowę telefoniczną: „Nazwij to snem lub nazwij po imieniu. / Wróć do przeszłości, dzieciństwa”. Jest dlań jasne, iż pod konwencjonalną frazą: „Pod rysunkiem słów kryje się / zamiar powiedzenia o czymś innym, / co nie pozwala żyć i boli” (*Nazwij to snem*). Wie, że *We mnie mieni się przestrzeń* – jak autor zatytułował inny tekst. „Gramy sami / przed sobą // Własne odbicia śledzimy z uwagą w oknach i lustrach” – czytamy w wierszu *Droga do szczęścia*.

Coraz bardziej odkrywa się przed poetą czas historii, jako nieodłączny od własnego życia. Nieoczywiście nieunikniony. W idyllicznej z pozoru epifanii:

Wzgórza kręciły się w kółko
coraz szybciej
Stworzyły czarny lej
[...]
który zabrał wszystko
ludzi domy drzewa

– nieruchomość pejzażu tai możliwość przyspieszonej projekcji. Gwałtownie znikają dawni mieszkańcy, ich sady i sadyby popadają w ruinę, a narrator uświadamia sobie: „Urodziłem się pośród wzgórz kręcących się w kółko”. Jest sielski „majowy dzień”, ale: „znalazłem się sam / na drodze [...] / W dolinie rozchodziły się słowa / śpiewanych w kościółku / Godzinek”. Zaklinanie rzeczywistości, obejmowanie jej potoczną miarą czasu, zdrobnienie nazwy świątyni i w takiej też formie funkcjonujący tytuł nabożeństwa wskazują na znikomość ludzkich wysiłków. Poruszamy się po kruchym lodzie, w każdej chwili świat może ukazać oblicze, jakiego się nie spodziewamy, jakiego nie odsłoni też nasza sztuka:

Dzień
przed wybuchem
wojny
w kuchni
poety
powstawały
kalkowe
frottage

Jak można się domyślić, chodzi o Maxa Ernsta. Człowiek nie spodziewa się, że za oknami zagotuje się historia i powszedniość przestanie się powielać. „Jak /

w wiejskiej / szkole / kilka lat / temu” (**Dzień...), możliwe jest to kiedykolwiek, także w jakichś Świerkach czy Włodowicach, gdzie w najlepsze trwają zajęcia wychowania plastycznego. Podobnie dzieje się w utworze *Na drugim brzegu dom*. Można domyślić się, że mówiącym jest tutaj Niemiec patrzący na Dolny Śląsk przez graniczną rzekę: „Tam w dali stoi mój rodzinny dom / Jak dawniej w oknach kwitną pelargonie”, który pamięta „noc i łomot w drzwi”, śmierć dziecka, po której „w oczach pozostało / odbicie czerwonej gwiazdy”. Swoistym pendant do powyższego jest wiersz *Ruska trumna*, gdzie narrator, odwiedzający zapewne kresy, konstatuje, że patrząc z zewnątrz wszystko tu pozostało, życie płynie jak niegdyś, doznaje wstrząsu dopiero widząc perspektywę ementarnej drogi: „Ale na boga / nie w ruskiej trumnie”.

Podszyta rozpaczą ironia usiłuje w kulisach regionalnej topografii (*Nieuchronność (Görbersdorf)*) zmierzyć się zarówno ze świadomością niemieckiej przeszłości Sokołowska, jak i gorączkowymi próbami sakralnego wpłynięcia na losy świata w ogóle, staro- i nowotestamentowymi, ortodoksyjnymi i nieortodoksyjnymi rytuałami, aż „znów zacnie leczy dr Brehmer”, praktykujący tam prekursor klimatycznej terapii gruźlicy w XIX wieku. Na przekór wszelkim dotychczasowym nieuchronnościom nieuchronna okaże się więc paruzja demiurga, lokalnego boga-przetwórcy średniowiecznej osady garbarzy w sanatoryjny konglomerat.

Jest jeszcze wiersz *Auschwitz*. Błędem redaktorskim jest umieszczenie tego wiersza na stronie parzystej książki. Wzrok czytającego nie doznaje w pełni zaskoczenia, widząc nagle przed sobą coś nowego, ale musi się obejrzeć się za przekładaną kartą. A siła tego utworu opiera się wyłącznie na koncepcie, zdumieniu w reakcji na pierwsze spojrzenie (takie wprost, jakby twarzą w twarz) – ponieważ (poza tytułem) nie ma tam nic do czytania. Jak zakłada poeta, czytelnik wszystko wie i w tym okamgnieniu jest tym – niby w konwencji haiku – czym było Auschwitz. A nawet jeśli nie wie, to wystarcza oślepiająca jasność przekazu, świadomość białej plamy. Bezradnie wpatrzeni w przezroczystość klepsydry, z której właśnie przesypało się wszystko – czujemy ciężar zdarzenia. Zasłona jest tutaj odsłonięta, tożsama ze stronicą, z kartką.

Są w tej książce rodzaje zasłon bardziej złożonych, nieoczywistych, utkane z napięć odnoszących się do różnicy między dzieciństwem a dorosłością (*Marzenia Virginii*, gdzie angielska pisarka infantylnie antycypuje własny zgon, *Wspomnienia Susan*, które kończą się „W szkielecie z żółtych korzeni” oraz zdradziecko sielankowe *Dzieciństwo Bernarda*). Mowa jest o nieoczywistości identyfikacyjnej: „Jestem milionem różnych rzeczy, ale żadną z tych, / które znasz...”, oraz moralnej: „To ja Marilyn Manson, pierdoła klasowa / z katolickiej szkoły wychowana na kurwę”. Rzecz dotyczy sławnego piosenkarza, który jest zarówno „honorowym satanistą”, jak i „zbieraczem protez” dla wietnamskich ofiar wojny (*Marilyn Manson*). Podobny charakter ma wiersz *Luis Buñuel*: „Łączę świętość z pożądaniem / Łączę czystość z grzechem / Łączę kościół z burdelem”.

Poetę interesuje również problem koherencji osobowości, aktorskiej i prywatnej, z szaleństwem w tle (to Klaus Kinski z wiersza *Aguirre, gniew boży*). Są

w tomie „portrety” innych artystów, w których sztuka przełamuje się z perwersją, chorobą weneryczną, neurozą (Vincent van Gogh, którego przesładuje kolor żółty..., Gustav Klimt, który mówi: „nie wiem co jest snem”). Edgar Degas i Claude Monet reflektują odmiennosc swojego widzenia od rzeczywistości, ich sztuka nie będzie więc mimetyczna, transparentna, będą „zasłaniać” na swój niepowtarzalny, artystyczny sposób. Jeszcze inaczej mówi o tym podmiot wiersza *Między*, kiedy rekapitułuje obfitość możliwości, jakie daje pamięć (zwłaszcza wspomnienie Paryża), odkrywając się przed sobą poprzez dokonanie wyboru. Podejrzewamy, że jest to wybór paradoksalny („podróż z dworca d’Orsay / z Degasem i Renoirem”), że we właściwej sztuce sublimacji jednoczą się przeciwieństwa, odnajduje się to, co jest między „transcendencją bazyliki Sacré-Coeur a placem Pigalle [...] gwiazdą porno a Nike z Samotraki”.

Są w książce dwa dedykowane twórcom wiersze, w których motyw zasłony (tkaniny) występuje wprost. To liryk *Marcel Proust*, którego bohater: „Zasłonięty przed światłem / aksamitnymi kotarami [...] prosi: / – *Nie trzepcie tych dywanów*”. Ostatnie zdanie utworu jest zapewne cytatem, ale tutaj, podsumowując wiersz, jawi się niejako w podwójnej funkcji. To nie tylko kolejny (obok wymienianych poprzednio) element izolacji, wygłuszenia, chroniący skupienie nadwrażliwego pisarza, ale zarazem całość nieustępliwie dzierganego przezeń dzieła, zagrożonego destrukcją. Razy trzepaczki godzą wprost w literacką tkanę, z jaką utożsamia się w poszukiwaniu utraconego życia. Świat bezkompromisowo komponowanej repliki przenika się bowiem ze światem realnym, a wspomniane działanie zachodzi w jego świadomości w obydwu sferach naraz. Drugim takim utworem jest *Na śmierć Paolo Pasoliniego*:

Ze złamaną jak konwencja szczęką
 sercem pękniętym
 od kół alfa Romeo
 odciętymi palcami
 które nie wykreślą
 już świętości Mateusza
 W apogeum rozkoszy
 nad ranem na plaży Ostii
 oblepiony piaskiem
 niczym galaretką cukrem
 leżał przykryty całunem.

Wiersz opatrzony jest mottem z Alberto Moravii: „Straciliśmy przede wszystkim poetę”, jednak z mojego punktu widzenia jego treść pozostaje doń w kontrze – nie, nie tylko poetę straciliśmy. Wiersz jest niesłuchanie cielesny i rozpada się na dwa następujące momentalnie po sobie spojrzenia. W tym pierwszym dominuje przerażenie wobec ciała zbezczeszczonego, wobec hybris, ohydy i skandalu śmierci, natomiast w tym drugim zamordowany spoczywa z godnością

ofiary, jest „przykryty całunem”, jakby przymkniętą nad nim powieką autora, który, akceptując jego homoerotyczną pasję, kształtuje w swej wyobraźni najkliwszy w całej książce, dojmująco cielesny obraz. Brzmi to niemal jak zakończenie wiersza Konstandinosa Kawafisa *Grób Euriona*, w którym narrator stwierdza: „To przynajmniej się przechowa (mowa o dziele historycznym zmarłego młodzieńca – uwaga A.M.) / Ale utraciliśmy rzecz cenniejszą: piękność jego, / która była apollińskim objawieniem” (przeł. Zygmunt Kubiak). Wtargnięcie chaosu łączy się z odwiecznym rytmem natury, który również „nad ranem” pozostawia na plażach bezbronne, galaretowate organizmy. Bardzo osobiście brzmi przy tym przypomnienie popularnych w dzieciństwie autora najtańszych łakoci. Związana z etosem starożytnych „słodcy śmierci”, właściwa ginącym bohaterom, ma przesłonić niskie okoliczności zaistniałej tragedii. Zastanawia, że poeta pomija w dedykacji pierwsze z imion bohatera – powinno być bowiem: Piera Paola Pasoliniego. Rezygnuje w ten sposób z wymienienia pierwszego papieża, a pozostawia apostoła łączącego w swojej biografii dramatyczne przeciwieństwa, którego nawrócenie rozpoczęło się wraz z upadkiem i który jest również twórcą nieśmiertelnego wyznania poetyckiego („a miłości bym nie miał”...).

Federico Garcia Lorca to wiersz prościutki, relacjonujący okoliczności rozstrzelania poety. Tu także zwraca uwagę motto: „Nie chcę więcej oglądać tego pierdolonego kraju”. Zdaniem Karola Maliszewskiego: „Te słowa Manuela Fernándeza-Montesinoso dotyczące faszystowskiej Hiszpanii, nabierają uniwersalnego charakteru”. I nie ma się co dziwić autorowi tych słów, którego ojca, a także wuja – Lorcę właśnie – wówczas rozstrzelano. Natomiast w imię uniwersalizmu trzeba wziąć pod uwagę także to, co działo się w „tym kraju” parę lat wcześniej, gdy pod parasolem republiki (wspieranej moralnie i niemoralnie przez sowiecką Moskwę, dosięgającą wówczas szczytu paranoicznych czystek i procesów pokazowych) oddziały Czerwonej Gwardii masowo mordowały duchownych, gwałciły zakonnice, dewastowały kościoły (spalono tysiąc świątyń). Nawet nierychliwy Watykan zdążył dotąd beatyfikować prawie dwa tysiące męczenników, a drugie tyle czeka w kolejce i pewnie to jeszcze nie koniec, ponieważ wciąż trwają prace dokumentacyjne.

Pozostając przy uniwersalności, to aspiruje do niej więcej tekstów zbioru. Takim, w założeniu, jest wiersz *Pozwólcie żołnierzom*: „Strzelać do cywilów / podpalać domy [...] zabijać / gwałcić kobiety dziewczynki / podrzynać gardła” – publikowany osobno już kilka lat wcześniej, ale wobec wydarzeń na Ukrainie brzmiący dziś niesłychanie profetycznie. Książkę zamyka utwór tytułowy. „Ulica Bohaterów Getta” pogrążona jest w słońcu, a w tle widać poniemiecki napis reklamowy. „Po chodniku / żółte mirabelki / toczą się leniwie” – to klamra z owocami wiśni z tekstu wstępnego, ale tutaj widzimy rzeczywistość jakby z większego dystansu. Owoce już opadają i – co najważniejsze – mają barwę symbolicznie istotną dla ekspresji całej publikacji. „Nie słyhać krzyków / marszowego kroku / nikt nie hajluje” – to już ostatnie słowa, wygłos absolutny całości. Fermata. Ewokacja ciszy, która, być może, nie powściągnie burzy, jaką zdają się zapowiadać opisywane uprzednio czarne chmury.

Powracając do słów autora posłowania: „poeta ostrzega, przypominając, że ludzie ogarnięci żądzą władzy szybko tracą pamięć i w łatwy sposób, przy przyzwoleniu i obojętności mas, wracają do dawnych zbrodni”. Zgoda, książka poety z Nowej Rudy, jest na tyle autentyczna, na tyle uczciwa i szczerza emocjonalnie, że (pomijając retoryczne mielizny) jego lęk jest wiarygodny, również dla czytelnika odmiennej ideowej proveniencji i również jego skłania do namysłu. Te wiersze „nabierają uniwersalnego charakteru” także dla tych, których rosnący niepokój mogą budzić inne krzyki, marsze i hasła, poprzewracane figury i krzyże, nachalna pstrokatość graffiti na kościelnych i cmentarnych ścianach.

Chciałbym zakończyć swoją przygodę z tą książką krótkim wierszem Vladimíra Holana w moim własnym przekładzie, pod którym – jak myślę – Tomasz Leśniowski mógłby się podpisać:

Kochaj

Nierówności ziemi a więc i nierówność ludzi
tylko na kolanach poczujesz.
Kochaj jednak obydwie i wierzę, że tym bardziej,
że nie są miłości, jest tylko jedna miłość,
tak jak wszystkie krzyże są tylko jednym krzyżem.

Antoni Matuszkiewicz



Fot. Roman Sabo

Ślubnym pojazdem jest często w Wilnie „zrehabilitowana” czarna Wołga, Wilno 2008

MIĘDZY POZNANIEM A (NIE)WIARĄ

Jurij Andruchowycz

FAMILIA GRUZINA

Kikabidze, twierdziła niewzruszenie,
jego familia Kikabidze

Co za pomysł, zapraszać dziwkę na piwo
o drugiej w nocy
udając biznesmena z jakiejś Litwy czy Łotwy
na delegacji w Kijowie

A przecież, taka okazja
wybadać co lud wie tutejszy
o kraju, w którym żyje,
o tych, którzy już nigdy żyć tu nie będą,
o tych, którzy już nigdy nie będą żyć

Zabili go, mówiła dalej,
dokopał się za głęboko
to był najlepszy dziennikarz
z naszego kraju.

Nie mogę poprawiać jej błędów
skąd miałbym wiedzieć, jak było naprawdę
jakżeż się facet nazywał

tak chciałbym uwierzyć w moją bajeczkę
Oto ja, biznesmen z innej byłej republiki
(tak, biznesmen z innej byłej republiki!)
i od samego już świtu
będę w tym kraju
podpisywać umowy, oblewać umowy,
żłopać kawę i koniak, łykać normocard,
pisać fakсы i esemesy,
i raz dwa zwiję do mojej Rygi

a ona
ciągle powtarza:

Kikabidze,
jego familia Kikabidze

BAD COMPANY

Pierwszy nasz filozof – pedał, jak to tenor.
Ojciec założyciel – mason i bonvivant.
Romantyk – niby wieszcz, a na dziwki chadzał.
Po nich w ślad grafoman, bałwan i pleciuga.
Hermafrodyta – znajdzie się, a jakże,
ateista obłąkany – proszę, w pierwszej linii.
Modernistki dwie – lesbijki, to rzecz pewna.

Jednym słowem, doborowe towarzystwo.
Ale wiek dwudziesty niesie jeszcze gorszy obraz:
Poetyckie objawienie – tenor, czyli patrz jak wyżej.
Tłumacz, mistrz i geniusz – raz, gaduła, dwa, przekłety Lach.
Żyd neoromantyk, teoretyk Rusek,
A Burhart i Johansen – to gołym okiem widać.

Jeden neoklasyk może by się nadał,
ale mu z gęby jedzie.

Inżynier emigrant o postawie kadeta,
prosty jak konstrukcja gwoździa.
Wielki ideolog, ten był jeszcze prostszy,
co ręce miał czyste i po partii pokera.
Profesorków zestaw, szpiega też mieliśmy,
plus czekistów paru i komuchów do kompletu,
parunastu oficjeli
i dawaj na ura, kto na kogo doniesie

Samobójców za mało jak na wielką literaturę
choć pal to lichy.

Literatura mogła być inna
powtarzał mój kolega, ale patrz, popatrz tylko, kto ją robił!
Sami żywi ludzie: luzerzy, konformiści, męczennicy,
co jeden, to smętny, chory, skulony,
piskłeta podskubane, kamieniem strącone nieloty.
Literatura nie mogła być inna.
Bogu dziękujmy właśnie za taką – przez nieboraków pisaną.

Grymas na twarzy, pot na skroniach,
w ustach sucho, zapach siarki i mdłości,
ciemna, głucha cela.
Dobrej nocy, klasycy, jutro porozmawiamy.
Skóra zdarta z Gombrowicza
opada bezgłośnie.

Jurij Andruchowycz
Przełożyła Katarzyna Kotyńska

Walerij Szewczuk

DIABEŁ KTÓRY ISTNIEJE (SETNA CZAROWNICA)

Wędrowny inkwizytor, lub, jak go inaczej nazywano, Hexenkomisarre („komisarz czarownic”) Johann Spiengler, przyjechał do miasteczka Möckmühl w czarnym zamkniętym powozie. Towarzyszyli mu kat i sekretarz na wozie pod skórzaną budą oraz kilku zbrojnych jeźdźców. Konie ciągnące wóz poganiał cherlawy karzeł o kaprawych oczkach, z rzadkim zarostem na twarzy. Woźnica komisarza był natomiast wielki i gruby, jego widoczna z daleka czerwona twarz budziła w ludziach niewytłumaczalny strach; zresztą właśnie dla takiego efektu inkwizytor trzymał przy sobie to straszidło. Spod zachodzących na oczy krzaczastych brwi przebijało się ostre spojrzenie, na głowie kudłily się szare jak popiół włosy, a odsłonięte części twarzy przypominały dwa dobrze zbite kawałki mięsa; czoła z kolei człowiek ten właściwie nie miał.

Gdy Johann Spiengler przybywał do miasta, zajeżdżał pod ratusz i posyłał jednego ze swoich sług do burmistrza, sam nawet nie myśląc wychodzić z kolasy. Burmistrz wychodził do niego osobiście, kłaniał się nisko i pochylał głowę przed błogosławieństwem. Wtedy komisarz oznajmiał swoje przybycie i nakazywał niezwłocznie wywiesić na drzwiach ratusza i najbliższych kościołów obwieszczenie, wedle którego każdy mieszkaniec miasta był zobowiązany, pod groźbą ekskomuniki i kary sądowej, w ciągu dwunastu dni donosić na wszystkich, których podejrzewano o czary, którzy mają złą opinię lub podejrzanie się zachowują. Donosicielowi obiecywano błogosławieństwo niebios i nagrodę pieniężną z majątku czarownicy lub czarownika, a także zachowanie jego imienia w tajemnicy.

Inkwizytor pozostawał w kolasie, dopóki nie przygotowano obwieszczenia, nie przybito go na drzwiach ratusza i dopóki nie wyprawiono posłańców, aby wywiesili je na kościołach. Takie już miał dziwactwo, miało to dowodzić jego niezwyklego oddania sprawie, której służył. Co więcej, jego powóz jechał za człowiekiem, który wykonywał to polecenie, przy czym woźnica wymachiwał biczyskiem i głośno pokrzykiwał. Już sam ten krzyk i cały uroczysty akt natychmiast rozganiały zgromadzony na placu tłum ciekawskich – inkwizytor z zadowoleniem obserwował pustkę, jaka tak szybko powstawała wokół niego: zatrzaśnięte okna, nawet pozamykane okiennice, puste ulice i plac, po którym teraz swobodnie hulał wiatr. Nawet ten wiatr

zaczynał wiać w szczególny sposób, jakby przesiąkając zapachem strachu, a może i grozy, która ogarniała miasteczko; a może też sam wiatr stawał się posłańcem tego strachu. Wiatr pachniał, jak lubił czasem w swoim otoczeniu żartować komisarz, przecuciem krwi i śmierci.

Po zakończeniu tych uroczystych przygotowań powóz ruszał do gospody. Johann Spiengler w każdej miejscowości zatrzymywał się zawsze u tych samych osób, tak więc w miasteczku Möckmühl udał się do swego znajomego, Maksymiliana Spee; ten zresztą od dawna wiedział już o przybyciu budzących przerażenie gości i stał przy otwartych wrotach, a kiedy ojciec Johann, albo jak go inaczej nazywano, ojciec Johanes, raczył wysiąść z kolasy (miał zadbane wygląd, pośrodku jego okrągłej twarzy sterczał mały, zadarty nos, a poniżej spoczywały wydatne, pogardliwie skrzywione usta), gospodarz kłaniał się w pół i przypadał do księżowskiej ręki – doskonale wiedział, że przybyli do niego na popas goście, którzy za nocleg, żywność i wino nie płacą, ale przyniosą mu nie mniej korzyści niż ci, co za to wszystko dają brzące monety.

– Wielu masz teraz gości? – spytał Spiengler, błogosławiąc gospodarza.

– Jest kilku, wasza wielbność – usłużnie odpowiedział szynkarz.

– Oznajmij im mój przyjazd – powiedział Spiengler, zadzierając głowę, jakby dla wywyższenia swojej osoby. – A jeśli ktoś z nich zechce ze mną rozmawiać, jestem do dyspozycji.

To zdanie należało już niemal do rytuału. Oznaczało, że od tej chwili gospoda staje się rezydencją inkwizycji i że przychodzić tu można tylko po to, aby donosić. Ojciec Johann wiedział z doświadczenia, że nikt do niego teraz nie przyjdzie i zdąży spokojnie spożyć obiad oraz uciąć sobie poobiednią drzemkę, bo dopiero po zmroku zaczną się dla niego prawdziwa praca – właśnie wtedy do gospody zaczną się skradać donosiciele, a wówczas już nie pora myśleć o spaniu. Wiedział nawet, o czym będą mówić, bo praktycznie wszędzie opowiadali jedno i to samo: kogoś już od dawna podejrzewa się o czary; jakaś kobieta w czasie burzy stała za miastem i uważnie wpatrywała się w niebo; czyjś mąż od spojrzenia sąsiadki dostał boleści; ktoś inny powie, że po kłótni z sąsiadami zachorował mu koń albo wieprz; czasem chorował sam donosiciel, a czasem jego znajomy – i to dlatego, że jakaś kobieta dotknęła go i rzuciła na niego przekleństwo, które się spełniło.

Johann Spiengler sporządził nawet z dobrego papieru książeczkę, w której zapisywał wszystkie wypadki czarów, niezależnie od aktów sądowych – bo te oddawał Inkwizycji, a książeczkę miał zawsze przy sobie. Otóż kiedy wysłuchiwał kolejnego donosu, znajdował podobny wypadek w swoich zapiskach i potakiwał ruchem głowy – powtarzalność

motywów świadczyła o prawdziwości słów donosiciela, wszak mówił on o tym, co należało do wiedzmiich praktyk. Większą ciekawość, nawet swego rodzaju radość, czuł wtedy, gdy oskarżenie było nowe, oryginalne – świadczyło to, że czarownice wynajdują nowe sposoby działania i wykrzycie tych sposobów stanowiło jego, ojca Johanna, świętą powinność. W wolnych chwilach lubił przeglądać swoją książeczkę. Były tam zapisane różne różności: wieśniak ukradł oskarżonej worek, załatał nim spodnie, po czym rozboleło go kolano, bo łąta była właśnie na kolanie; drugi zjadł u sąsiada pieróg i od tego zrobiło mu się niedobrze; jeszcze inny skarżył się, że od przekleństwa oskarżonej zachorował jego byk; a dwie kobiety spalono na stosie za to, że w lecie chodziły po lasach, szukając leczniczych korzeni. Jeszcze inna otarła usta po Komunii, kiedy obchodziła przestrzeń wokół ołtarza – to znaczy, że usiłowała przemienić okruch opłatka w środek czarnoksięski. Zresztą, dawno już przekonał się, że każde nieszcześliwe wydarzenie jest spowodowane podejściem diabła albo działalnością czarownic: susza, burza, epidemia, choroba bez przyczyny i tak dalej.

Johann Spiengler pospieszył do przeznaczonej dla siebie izby; miał nieprzepartą chęć przewertować przed obiadem swoją książeczkę. Dlaczego przed obiadem? Bo obiad zawsze go morzył i usypiał, a teraz, choć znużony podróżą, był pełen sił i zaciętości. Ale ojcu Johannowi nie była pisana ta rozkosz przed posiłkiem. Ledwie usadowił się w fotelu, ktoś zastukał do drzwi i powiadomiono go, że jeden z gości gospody Maksymiliana Spee pragnie niezwłocznie rozmawiać z komisarzem czarownic. Inkwizytor zdziwił się, bo tak otwarcie zgłaszając się na rozmowę, donosiciel ujawniał się przed ludźmi, a może i przed diabłem, który później na pewno weźmie na nim odwet, ale fakt był faktem i komisarz, trochę nierad, że ktoś odważył się naruszyć jego rozkład dnia, usiadł głębiej w fotelu, odwróciwszy się twarzą do drzwi. Czekало go jednak rozczarowanie: przyszedł do niego syndyk z miasta Metz, Agrypa von Netesheim, ten sam, z którym niegdyś uczył się w akademii i nawet przyjaźnił przez jakiś czas, ale teraz zanosilo się między nimi prawie na pojedynek, a wszystko przez jakąś kobietę z Metzu. Śledztwa w jej sprawie Johann jeszcze nie zakończył, to znaczy wciąż trzymano ją w więzieniu, zakutą w dyby, w nadzwyczaj ciasnej celi. Agrypa udawał, że działa ze względu na dotyczącą tej czarownicy skargę przyjaciela swego ojca; w Metzu nieraz już prowadzili spory wokół tej sprawy – wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Agrypa tak się nią przejął, że nie opuszczał go nigdzie, odszukał nawet tutaj, choć za chwilę pewno powie: ich spotkanie jest dziełem

przypadku, bo niby to on, Agrypa, przyjechał tutaj w interesach. Tak też się stało.

– Rad jestem, że cię widzę, Agrypo – rzekł ojciec Johanes. – Pod warunkiem, że nie zaczniesz znowu wstawiać się za tą czarownicą. Jej sprawa jest już zamknięta i nie radziłbym ci okazywać aż tyle przychylności córce szatana. Czyżbyśmy nie zakończyli sporu?

– W tym właśnie problem – powiedział Agrypa. – Zwracałem ci już uwagę na fakt, że w aktach nie ma żadnego dowodu wystarczającego do skazania tej kobiety.

Inkwizytor był niezadowolony. Nadmierny upór niegdysiejszego przyjaciela zaczynał go drażnić. Cóż, ta diablica była oczywiście kochanką Agrypy, nie inaczej, a on sam niemiłosiernie naigrawa się z jego skłonności do pamiętania dawnej przyjaźni. Johann westchnął.

– Za dowód wystarczy to, że jej matkę spalono na stosie jako czarownicę.

– Sam doskonale wiesz, Johanesie, że to nie dotyczy jej sprawy. To dotyczy sprawy jej matki.

Ojciec Johann skrzywił tłuste wargi.

– Przypomnij sobie *Malleus maleficarum* – powiedział. – Ten dowód jest całkowicie zasadny; wiadomo wszak, że czarownice od razu po porodzie poświęcają swoje dzieci diabłu albo wręcz poczynają je z inkubami, rozpleniając tym samym czarownictwo w rodzinie.

Agrypa aż poczerwieniał.

– To błędna teologia, Johanesie! Nie dość już katowania niewinnych kobiet i rzucania ich w ogień? Czy w ten sposób niszczy się herezję? Twoje dowody pokazują, że sam jesteś heretykiem!

Johanowi mróz przebiegł po kościach. Słowa Agrypy to już nie przelewki. Poza tym powoli ogarniała go złość.

– Wyjaśnij! – rozkazał; przecież teraz chodziło już nie o wiedźmę, a o niego samego, inkwizytora Johanesa.

– Wyjaśnię – twardo ciągnął Agrypa. – Niech będzie tak, jak mówisz. Ale wtedy zostaje podana w wątpliwość łaska chrztu. Wtedy nie mają sensu również słowa kapłana: „Odejdź precz, nieczysty duchu i ustąp miejsca świętości, jeśli przez bezbożność matki także i to dziecko znalazło się we władzy szatana”. To chcesz powiedzieć?

Johann nie wytrzymał. Skoczył na równe nogi i palcem wskazał drzwi.

– Nie nadużywaj naszej dawnej przyjaźni, Agrypo! – krzyknął. – Lepiej zjeżdż mi z oczu i nie igraj z ogniem!

– Chcesz powiedzieć, że to koniec naszej przyjaźni? – cicho spytał Agrypa, choć oczy mu pały.

W tym momencie komisarz poczuł ucisk pod łopatką. Może przesadził? Czy nie lepiej byłoby odprawić tego człowieka spokojnie, żeby nie przeszkadzał w świętym dziele, a dopiero potem wziąć się za niego? Może nie osobiście, ale komuś go wskazać...

Ojciec Johann usiadł i zamilkł na dłuższą chwilę.

– Nie, nie chcę zrywać naszej przyjaźni, Agrypo – powiedział łagodnie. – Ale to nie jest dobre miejsce do takich dysput. Tak czy owak problem nie zostanie rozwiązany, dopóki nie powrócę do Metzu. Tam wrócimy do naszej rozmowy. Może nawet uratujesz tę dziewczynę, o którą tak się troszczysz.

– Dziękuję, Johannesie. Troszczę się o nią nie ze względu na własną korzyść, ale dlatego, że na świecie musi panować Boża sprawiedliwość.

– To już niepotrzebnie, Agrypo. – Johann skrzywił wydatne usta. – Bóg sprawuje sądy nie na tym świecie, a na tamtym, lepszym. W tym świecie sędziami ustanowił nas.

– A jeśli się pomylicie?

– Wtedy On nas osądzi. Każde dziecko wie, Agrypo – niewinnemu pisane Królestwo Niebieskie, a winnemu piekło, Panie, zbaw nas od niego.

– Zaiste – rozchmurzył się Agrypa. – Cieszę się, że, chociaż przypadkiem, spotkaliśmy się raz jeszcze i doszliśmy do porozumienia.

Obiad przyniesiono na pokoje, przy tym w miejsce sługi pofatygował się sam gospodarz. Ojciec Spiengler lubił dobrze zjeść, a szczególnie przypadły mu do gustu wykwintne potrawy, jakie po mistrzowsku przyrządzał tutejszy kucharz, który swego czasu zakosztował lepszego losu, ale przez nadmierną skłonność do win znalazł się w tej gospodzie, cieszącej się zresztą zupełnie dobrą opinią. Tak więc kiedy ojczulek ujrzał tacę, a na niej sałaty i pasztety, którym przychodziło w sukurs dobre, stare wino, natychmiast zapomniał o swoich obowiązkach i przykřej rozmowie, jaką właśnie odbył z Agrypą, podniósł ręce do góry, poddając się czarującemu atakowi uśmiechniętego od ucha do ucha gospodarza.

– Z radością służę ile sił waszej wielbności – przypochlebił się szynkarz, dobrze wiedząc, że przyszedł nie na darmo – wymagały tego ich stosunki. Gość miał zaprosić jego, gospodarza, do wspólnego stołu (choć jadło i wina należały do szynkarza), pan Maksymilian musiał przy tym udawać ogromne wzruszenie z powodu tak wielkiego wyróżnienia. Resztę potraw donosić im będzie sługa. W ten sposób zostali sam na sam, obiad ciągnął się dobre dwie godziny, ojciec Johann z rozkoszą pochłaniał dziesiątki przynoszonych potraw, gęsto zapijając rzeczywiście wyśmienitym winem. Rozmawiali przy tym jak prawdzi-

wi dobrzy znajomi, opowiadając wesołe historie; gospodarz śmiał się, aż dudniło, a ojczulek chichotał cienko, choć taki śmiech nie bardzo pasował do jego nobliwej osoby, do tego przybyłej z tak poważną misją.

Dopiero, gdy owoce zostały podane i zjedzone, pan komisarz spoważniał, twarz mu skamieniała i po raz pierwszy spojrział na gospodarza i towarzysza uczty tak, że temu aż zadrżały łydki.

– Teraz, panie Maksymilianie, proszę o smaczną zakąskę. Znajdzie się coś?

– Katarzyna Lips, wasza wielbność.

– Kto to taki?

– Żona nauczyciela, wasza wielbność Wstaje późno i często na jej ciele widać ślady.

– Jest świadek?

– Tak, dziewczyna, która u nich służyła. Czasem na ciele Katarzyny pojawiają się i rany. Oprócz tego patrzy spode łba, a czasem zamiera w środku dnia, przewracając oczyma. A najgorsze... Panie mój, ona czyta książki!...

– Książki? – Komisarz aż podskoczył. – Skąd je bierze?

– Od męża nauczyciela, który je kupuje, chociaż nie zarabia tyle, żeby kupować aż takie luksusy.

– O, to już para gołąbków. Jak go zwą?

– Peter Lips, wasza wielbność.

– To bogaty dom?

– Niebiedny. Ojciec Petera był znanym w mieście kupcem, handlował bydłem. Ale syn nie chciał przejąć dobrego ojcowskiego rzemiosła, tylko studiował przekłętą nauki gdzieś w Wurzburgu.

– Gdzie? – Podskoczył ojciec Johann. – Do pańskiej wiadomości: tam nie wykładają przeklętych nauk!

– No, to już wasza wielbność wie lepiej niż ja – pokornie zgodził się szynkarz. – Ja wiem swoje: jeśli kobieta, zamiast dbać o dom, czyta książki, wasza wielbność, to bez tego, czyjego imienia nie chcę nawet wymówić, na pewno się nie obędzie.

– Dobrze – powiedział ojciec Johannes, bo już zaczynały mu się kleić oczy. – Sowiecie cię wynagrodzimy. Sowiecie!

– Czy smakuje waszej wielbności zakąska? – przymilnie spytał szynkarz.

Ale ojczulek już ziewał. Lubił przed snem poprzeciągać się z rozkoszą; zresztą był to również znak dla gospodarza, aby się oddalił. A odbywał się ten proces tak: ojczulkowi zaczynały drżeć wargi, oczy mu się zamykały, zachodziły mgłą, potem z rozchylnych ust wyrывało się

westchnienie, a chwilę później szerokie usta Johanna Spienglera roz-wierały się tak, że aż trzeszczały szczęki. Podobnie było i tym razem, i szynkarz natychmiast zerwał się na nogi, aby, broń Boże, nie prze-szkodzić dostojnemu gościowi i nie zepsuć mu tych słodkich chwil przed snem i odпочzynkiem. Tak też się stało, bo ojciec Johannes miał jedną słabość: po dobrej uczcie koniecznie musiał się zdrzemnąć, przy czym senność spadała na niego niczym lawina i raptownie porywała – siedzącego czy leżącego.

Tak więc i teraz, siedząc w fotelu, niby zapadł się w podzie-mia: spadał jak czarny ptak, rozłożywszy skrzydła-ręce z rozwianymi połami czarnego płaszcza, wokół świszcząco powietrze, a może i nie powietrze – świst nadchodził z dołu, jakby z podziemnych przewo-dów wyrwały się strumienie pary; zresztą rzeczywiście od tego świstu rozlewała się mgła, kosmata i kłębiasta, w której migwały jakieś nagie czerwone postacie. Wtedy do niego, Johanna Spienglera, przyplęnęło oblicze Agrypy von Netesheima, także czerwone i krzywo uśmiechnięte, i Agrypa powiedział:

– Twoje dowody wykazują, że sam jesteś heretykiem, ojczu Johannie!

– Ale spaliłem już dziewięćdziesiąt osiem czarownic! – krzyknął Spiengler. – Jeszcze dwie i będzie ich sto, nie licząc tej, której bronisz i do której płoniesz grzeszną namiętnością. Te dwie znajdę tutaj, ale i twoja spłonie na stosie, Agrypo! Rozpocznę nią swoją drugą setkę!

Agrypa tylko się roześmiał, obnażając czerwone wargi i zęby, i komisarz nagle zrozumiał, z kim ma do czynienia. Jęknął, bo rozja-śniło mu się w głowie, niezależnie od pogrążenia we śnie i lotu w czer-wono-niebieskich falach cuchnącej mgły. Jego mózg mimo wszystko pracował trzeźwo i dokładnie, bo zawsze stał na straży Bożej chwały, we śnie czy na jawie. A przez cały ten czas, odkąd został inkwizytorem, dobrze poznał zarówno swoje rzemiosło, jak i wszelkie podstępny szatana – nie na darmo wszystko to pilnie i starannie zapisywał. Dobrze wie-dział też, że nie należy zapominać i o obronie własnej, bo przecież siła diabelska jest większa od ludzkiej.

I tak go to zdenerwowało, że aż się obudził i długo siedział w fotelu, przytomniejąc i karcąc się za lenistwo, które przeszkodziło mu położyć się do łóżka i normalnie zasnąć. Znów zabrzmiał mu w uszach głos Agrypy i to niespodziewane oskarżenie o herezję, skierowane przeciw nie byle komu, przeciw niemu samemu, komisa-rzowi Spienglerowi – nie, to pachniało czymś niedobrym. „Tego nie można tak zostawić, trzeba uprzedzić ruch przeciwnika. Już ja go wy-przedzę!” – postanowił twardo.

Mrugnął oczkami, co jak ciemne śliwki pływały w mleku białek, i więcej nie myślał o Agrypie – myślał o sprawach pilniejszych: zaraz wezwie ludzi i pośle ich po tę czarownicę, którą Pan pozwolił mu zde-maskować i zniszczyć ku przestrodze następnym pokoleniom. I poczuł, jak zawsze w takich przypadkach, ogromne zainteresowanie kolejną ofiarą, a jednocześnie chłodne, ale podniecające skupienie myślowego, co powążył się wyjść na grubego zwierza.

Doczłapał do dzwonka i zadzwonił po dwakroć, wzywając straż. Tuż zanim otworzyły się drzwi, ojciec Johanes myślał tylko o jednym: czy brać jedynie Katarzynę Lips, czy także jej męża. Peter Lips był z pewnością czarnoksiężnikiem, ale jeśli brać ich oboje, to jego do owych stu czarownic zaliczyć nie można. Zasadniczo pojmanie obojga było wygodniejsze dla Świętej Inkwizycji – wtedy cały majątek niegodziwców podlegnie konfiskacie. Z tego majątku ma zapłacić również gospodarzowi domu, w którym przebywa – nie, lepiej wziąć ich razem! A co do liczby sto, istnieje prostsza i tak samo pewna droga. Zresztą, czarnoksiężnicy mieli u niego odrębny rachunek, tam także wychodziła okrągła liczba – dwadzieścia pięć. A dziewięćdziesiąt dziewięć czarownic mogłaby stać się służącą, która doniosła na swoją gospodynię. Trzeba się jej przyjrzeć! Tak więc ojciec Johann nakazał sługom, aby brali oboje Lipsów, a ich była służącą wezwali na przesłuchanie.

Od pewnego czasu Katarzyna Lips czuła trwogę. Wszystko zaczęło się od tego, że przegnała swoją służącą, Elizę Hilgen, bo była nieporządna, leniwa i pyskata. Eliza popatrzyła na gospodynię spode łba i wycedziła:

– To pani nie ujdzie na sucho, już ja się postaram! – Po czym odwróciła się i odeszła.

Katarzyna zdenerwowała się. Nie miała żadnego powodu, aby trzymać u siebie taką niewdzięcznicę, ale żeby ta w swojej bezczelności posunęła się aż do gróźb – tego już za wiele! O wszystkim mogłaby zapomnieć, gdyby niedługo potem nie zaczęła odczuwać rezerwy sąsiadek, z którymi wcześniej utrzymywała jakie takie stosunki. Najwyraźniej ta smarkata napowiadała o niej jakichś kłamstw, oczerniła ją, rozplotkowała wszystkie uszczypliwe, ale przecież dobroduszne kpiny z sąsiadek, na jakie Katarzyna czasem sobie pozwalała w rodzinnym gronie. Tak więc dokoła niej wzrastał mur wrogości; witano się z nią, cedząc słowa przez zęby, albo i nie witano się wcale. Gdy przechodziła ulicą, kobiety milkły i patrzyły za nią pustym wzrokiem. A co najgorsze, Katarzyna nie mogła znaleźć sobie nowej służącej, chociaż szukających pracy dziewczyn zawsze było pod dostatkiem. Widziała wyraźnie, że dokoła niej zaczął powstawać jakiś spisek. Nie wy-

trzymała i poskarżyła się Peterowi; jak mógł, uspokajał ją, radząc rzadziej wychodzić na ulicę, nie drażnić babskich oczu, odnosić się do wszystkich jak dawniej, niby nie zauważając ich zmienionego zachowania, wreszcie pójść i szczerze wyświadczyć się ojcu Markusowi, który jest człowiekiem rozważnym i wpływowym.

Katarzyna posłuchała męża, zaczęła jedynie z rzadka wychodzić z domu, zawsze grzecznie witała się ze wszystkimi i udawała, że nie dostrzega odwróconych pleców kobiet. Poszła też do ojca Markusa i szczerze opowiedziała o tym, co się wokół niej działo, i o niegodziwej służącej, jaka najpewniej ją obmówiła.

Ojciec Markus zdawał się wiedzieć coś więcej.

– Chodzą słuchy, moja córko – powiedział łagodnie – że czytasz książki swojego męża i często przesiadujesz nad nimi nawet do północy.

– Czy to grzech, ojczec? – spytała Katarzyna, bo to, co mówił ojciec Markus, było prawdą.

– To nie grzech dla człowieka uczonego i mężczyzny, ale grzech dla niewiasty – odrzekł ojciec Markus.

– Ale w tych księgach są objaśnienia Pisma Świętego! – broniła się Katarzyna.

– Objasniać Pismo Święte mogą mądrzy filozofowie, ludzie wielkiego umysłu, a istotom o rozumie małym i wiotkim jak kobiecie włos wystarczy modlitwa i wyznanie wiary, czyli bogobojne i uczciwe życie.

– Czyż nie żyłam bogobojnie i uczciwie?

– O tym sama wiesz najlepiej. Ale coś robiłaś nie tak, skoro ludzie odsunęli się od ciebie. Trzeba upodabniać się do innych, a nie wyróżniać, bo pycha to jeden z wielkich ludzkich grzechów. Książki niech czyta twój mąż, a ty trzymaj się kobiecego gospodarstwa, które jest ci przypisane.

– Ja nie zaniedbuję kobiecych obowiązków, ojczec. – Katarzyna spuściła oczy.

– Kobiece obowiązki nie kończą się w domu – powiedział ojciec Markus. – Dotyczą również otaczającego cię świata. Kiedy sama jesteś żoną, a do innych żon odnosisz się z pogardą, także popełniasz grzech.

– Co więc mam robić, ojczec?

– Módl się i ufaj! Bądź pokorna i dobra! Codziennie pójdz do kościoła, podejdz do swoich sąsiadek, przeproś je pokornie... A książki porzuć. Wielki rozum powiększają, a mały mogą złamać.

Wyszła z kościoła głęboko zamyślona. Nie, nie wszystko na tym świecie potrafiła zrozumieć. Czytać i pisać nauczyła ją mąż, a ona okazała się tak zdolna, że nadzwyczaj łatwo przyswoiła te umiejętności. Zdziwiony Peter zaczął wyklądać jej kurs gramatyki i łacinę. Również tę

wiedzę posiadała bez trudu, a po kilku latach mogli między sobą rozmawiać po łacinie. Nie mieli dzieci, więc Katarzyna znalazła pocieszenie w nauce. Mąż rozpoczął z nią kurs poetyki. Po roku pisała już wiersze, do tego tak udatnie, że budziła zdziwienie Petera.

– Powinnaś była urodzić się jako chłopiec – powiedział jej kiedyś. – Stałabyś się sławna na całym świecie. A tak... Byłe tylko jakiejś biedy z tego nie było.

Więcej już jej nie uczył, choć pragnęła poznać tajemnice retoryki i filozofii. Wtedy właśnie zaczęła czytać jego książki, nawet te najtrudniejsze. Robiła to zawsze z dala od ludzkich oczu i gdyby nie ta niewdzięcznica Eliza, nikt by się o tym nie dowiedział.

Nie wyszła z kościoła, a wybiegła. Gorzka obraza paliła serce: co złego uczyniła? Czy jest grzechem, gdy kobieta zajmuje się nauką i poezją? Czy nie trzeba szerzyć na świecie wiedzy, a niewiedzy – niszczyć? Ale w niejednej księdze czytała, a i Pismo Święte o tym mówiło, że wiedza może kryć się w niewiedzy, bowiem to, co dla świata jest mądrością, dla Boga może być głupotą i na odwrót. Do czego wtedy potrzebne byłyby wszystkie te książki, nauki i rozmyślenia? Po co szkoły, kolegia i akademie, po co magistrowie, filozofowie i teolodzy? Dlaczego mężczyźni wolno dążyć do wiedzy, a kobiecie nie? Czy mały rozum napełniony mądrością świata nie może stać się wielkim? Gdyby miała dzieci, wystarczyłoby jej zajęcia koło nich i nie męczyłyby jej takie myśli. Nie, nie wszystko na świecie mogła zrozumieć, pewna była tylko jednego: swoimi zajęciami nie wyrządziła nikomu żadnej szkody. Oto jedyne zło, jakiego się dopuściła: nie wytrzymała koło siebie głupiej, pyskatej dziewczyny, która podglądała ją, podsłuchiwała jej rozmowy z mężem, a potem wynosiła to wszystko na ulicę.

I teraz Katarzyna czuła, jak świat, niby pętla, zwęza się i zaciska wokół niej, jak zaczyna jej brakować powietrza, czuła, że wpadła jakby w szklaną kulę i biegnie w niej, biegnie, cały czas pozostając w tym samym miejscu, podczas gdy kula ucieka jej spod nóg, a do szkła przyciskają się ze wszystkich stron twarze o rozpląszczonych nosach i wytrzeszczonych oczach, gapie wytykają ją palcami, rozdziawiając zębate gęby, rechoczą i coś krzyczą. Nie, ona wie, co krzyczą:

– Diablica! Diablica!

Właśnie to jest straszne.

Katarzyna opamiętała się. Rzeczywiście ktoś krzyczał: uliczne chłopaki. „Powścickali się? Dlaczego ośmielili się w stosunku do niej użyć tego słowa?”. Przestraszona, zaszczuta, obejrzała się – słońce zaświeciło jej w oczy, oślepiając na moment. Biała chmura o niezwyklej kształcie

zastygła koło niej. Rozbłysła jaskrawozielona trawa na zboczach. W oczy wpadły wykrzywione od krzyku twarze chłopaków. Zza drewnianych okiennic wyglądają ciekawskie oczy, kobiece oczy – och, jakże one jej nienawidzą... a ona ich. A obok wejścia do jej domu stoi czarny zamknięty powóz i stoją jacyś uzbrojeni ludzie w czarnych strojach, a wokół nich zbici w gromadę mieszczanie, wyciągający ręce w jej stronę. W tym samym miejscu, obok wozu, zastygł jej mąż, Peter, z kajdanami na rękach (czy to możliwe?), i zwrócił twarz w jej stronę. Jego twarz jest tak blada, jak ta chmura nad głową, koło słońca.

Katarzyna poczuła, że jej również krew ucieka z ciała, oczy otwierają się szeroko, a usta rozwierają jak do krzyku. Zatrzymała się w biegu i raptem skręciła, rzuciła się do ucieczki, jak najdalej stąd, ale jakaś niewyraźna postać, która czekała na nią w pobliżu, podstawiła jej nogę – a może to podbiegł któryś z tych nieznośnych chłopaków, co tak strasznie przezywali ją diabolicą. Potknęła się i upadła w pył. Wtedy usłyszała rechot, pocmokiwanie i tupot ciężkich butów. Zerwała się i krzyknęła jak śmiertelnie zraniony ptak. Ciężka pięść spadła jej między oczy – i znów upadła w pył. Mocne, grube łapska chwyciły ją za nogi i pociągnęły drogą, a ona wiła się i krzyczała, ale tym razem też nic to nie pomogło.

– To prawdziwa czarownica – powiedziała Eliza Hilgen z pełnym przekonaniem. – Obserwuję ją od dawna. Kiedyś wstała późno, a gdy pomagałam przy ubieraniu, zobaczyłam na jej ciele czerwone, okrągłe plamy wielkości monety. To było rano. A któreś nocy zakradłam się do jej sypialni. Leżała jak martwa i nie poruszała się. Dotknęłam – ciało było zimne. Przed świtem coś zafurczało w kominie, ja specjalnie nie spałam, żeby wszystko wysłuchać i zobaczyć, i zobaczyłam biały cień, co wylażł z pieca i co sił pobiegł do sypialni. A jeszcze warzyła zioła, a o czym i po co czytała w książkach, tego nie wiem. A jeszcze zabiła dziecko i warzyła je w kotle, tańcząc wokół i pohukując. A jeszcze do niej przychodził mężczyzna, całkiem podobny do pana Petera, ale z cudaczną czapką na głowie i w bardzo małych butach. Gdy zdjął czapkę, zobaczyłam na głowie tego niby pana Petera różki; rzucił się panią całować i obejmować – tfu, tfu, tfu, lepiej nie wspominać, żeby na mnie nie spadło! A potem zrzucił buty i zobaczyłam, że zamiast ludzkich stóp ma kopyta. I zaczęli wyprawiać takie niegodziwości, złorzecząc przy tym Bogu, że aż nie mogę o tym opowiadać, a ich słów powtórzyć.

– Powtórz, dziecko, powtórz – łagodnie powiedział komisarz.

Wtedy Luiza padła na kolana, przeżegnała się, podniosła oczy ku niebu i zaczęła się zaklinać:

– Bijcie mnie czy zabijcie, ale takie słowa przeciw Bogu nigdy przez moje usta nie przejdą!

– Dobrze. W takim razie opowiedz, jakie harce wyprawiali.

O tym Luiza zgodziła się opowiedzieć, choć z początku trochę się wahała, ale tylko pod warunkiem, że całą relację wyszepecze panu komisarzowi do ucha. I zaczęła szeptać, namiętnie, z zachwytem, jakby nie tylko nie potępiała, ale wręcz zazdrościła swojej pani i sama rada by tak postąpić.

– Dość – przerwał ojciec Johann. – Cóż jeszcze?

– To, że dniami i nocami czytała czarne księgi, a znad tych ksiąg podnosiła się czarna para, pani oddychała tą parą i coś bełkotała. I po tych czarnych stronach skakały czarne ludziki z tak samo czarnymi ogonami, a pani patrzyła na to, klaskała w dłonie i śmiała się. Potem włosy stanęły jej dęba, a ja tak się przestraszyłam, że wszystkie zęby mi dzwoniły.

– Czemu od razu na nią nie doniosłaś? – spytał ojciec Johann.

– Bo chciałam wysledzić wszystko i nie spłoszyć jej przy tym – twardo odpowiedziała Luiza.

– A doniosłaś, kiedy cię odprawiła?

– Bo wszystko już wysledziłam i więcej bym nie mogła.

– A pan Peter też czytał te czarne książki?

Luiza jakby oprzytomniała, rozejrzała się trwożnie.

– Pan Peter to dobry człowiek – powiedziała. – On i żonę odwoził od czytania czarnych ksiąg.

Ale przecież wiedział, że jego żona jest czarownicą?

– Nie, nie wiedział – odrzekła Luiza bezbarwnym głosem. – On tylko, o ile wiem, odwoził ją od czytania książek.

– Skąd wiesz? – surowo spytał ojciec Johann. – Tylko nie kłam!

– To dobry człowiek – przestraszyła się Luiza.

– Wyjaw prawdę – uroczyście przemówił komisarz. – Żebyś nie musiał wydobywać jej z ciebie innym sposobem.

Luiza gwałtownie pokręciła głową.

– Powiedziałam prawdę.

Wtedy z sąsiedniej komnaty wyszedł kat. W rękach trzymał Daumenstock, czyli zacisk.

– Widzisz tę zabawkę? – powiedział. – Rękę albo nogę wkłada się tu, a ten gwint trzeba dokręcić – będzie bardzo bolało. Lepiej się przyznaj.

– Do czego? – z przerażeniem zapytała Luiza, ze strachu myśli zawirowały jej w głowie.

– Już zapomniałaś, o co pytałem. Czy Peter Lips wiedział, że jego żona jest czarownicą.

– Tak – szepnęła Luiza, a wargi jej zadrżały.

– I odwoził ją nie tylko od czytania książek, ale też przekonywał, aby nie latała na sabat?

- Tak – szepnęła Luiza.
- I czytał te same czarne księgi?
- Nie, on czytał mądre książki.
- A skąd wiesz, skoro sama jesteś nieuczona?
- Diabełki po tych księgach nie skakały.
- Wyjaw prawdę! – powtórzył ojciec Johann, a kat pokazał Luizie Beinestaube, czyli hiszpański but.
- Niezła rzecz, dziewczeczko. Jeśli chcesz, pokażę ci, jak działa. Luiza wrzasnęła.
- Mów! – krzyknął ojciec Johann.
- Czytał te same książki – wydusiła z siebie.
- Teraz to rozumiem – pochwalił kat.
- Wystarczy – powiedział komisarz, ziewając. – Wszystko zapisałeś?
- zwrócił się do pisarza. – Niech postawi krzyżyk.

Luiza postawiła.

– Nie oddalaj się od miasta – przykazał ojciec Johannes, dłubiąc palcem w ucho, bo coś go zaswędziało. – Możliwe, że jeszcze cię wezwijemy. Idź, córko, z Bogiem i niech cię Pan błogosławi.

Luiza dygnęła, pocałowała go w rękę i co sił pobiegła do drzwi, bo już robiło się jej tu strasznie, a do tego czuła na plecach uważne spojrzenie inkwizytora, który patrzył na nią jak wąż na żabę, a nie znała przecież myśli, jakie krążyły mu po głowie. Były to bardzo niebezpieczne dla niej myśli...

Wszystko to odbywało się w magistracie, gdzie znalazł tymczasową siedzibę wędrowny sąd kościelny, tutaj bowiem mieściły się pomieszczenia więzienne z dybami i narzędziami tortur.

Katarzyna leżała w głębokiej piwnicy, jej nogi tkwiły w dybach tak, że nie mogła się poruszyć, a na szyję nałożono jej obrozę z żelaznymi kolcami zwróconymi w stronę ciała, przyczepioną łańcuchem do ściany. Ręce miała przykute do poprzecznej kłody, podczas gdy leżała na kłodzie podłużnej, była więc jakby rozpięta na krzyżu. Nie mogła nawet drgnąć, w zdrętwiałym ciele czuła już ból i zwracała się myślą i modlitwą do Tego, który był ukrzyżowany 1516 lat temu, bo głosił światu pokój i miłosierdzie, i wszystkie dziesięć przykazań. I oto przyszli jego uczniowie, zrozumiałwszy z tej nauki to, co było dla nich korzystne i pożyteczne, i w imię Jego Krzyża poczęli krzyżować wszystkich niewygodnych i niepokornych, a razem z nimi i niewinnych, w imię miłości sięjąc śmierć, a w imię pokory – pogardę. Ta myśl utkwiała w głowie Katarzyny Lips jak ćwiek i nagle zdało jej się, że ktoś kiedyś bezpowrotnie zdradził Nauczyciela, że uczynek Judasza Iskarioty był tylko pierwszym znakiem

tej wielkiej zdrady (Nauczyciel o tym wiedział i nie odbyło się to bez jego woli); zresztą to nawet nie była zdrada, ale odstąpienie. Prawdziwą zdradę szykowali wierni i oddani, ci którzy według własnych potrzeb zapierali się Go, a kiedy warto było pokajać się, to kajali się i nawracali; ci, którzy z początku odtrącali Nauczyciela, a potem nagle przeszli się Jego nauką, bo ujrzeli jej moc i wieczny żywot.

Myślała o tym już wcześniej, czytając księgi Pisma Świętego, ale nie dopuszczała takich myśli do serca; teraz jednak, rozpięta jak i On na krzyżu, przeczuwając czekające ją męki, myślała jedynie o Nim i wielkiej zdradzie, bo mimo woli przechodziła jakby w Jego postać, a jej myśli niby napelniały się Jego myślami.

– Panie – wyszeptła – przyszedłeś na świat i oddałeś siebie na ukrzyżowanie, bo chciałeś zbawić nas od nienawiści, która zalała ten świat. Ale, Panie, Ty nie zbawiłeś świata, a jedynie rozciągnąłeś swoją mękę na wszystkie wieki. Nakazujesz dobrym i mądrym ginąć, a złym – panować. Czy tak powinna wyglądać nauka miłości?

Nasłuchiwała przez chwilę, jakby chciała usłyszeć odpowiedź, ale wokół panowała cisza. Wymuszony bezruch powodował nieznosny ból w całym ciele; poprzeczna kłoda wpijała się w plecy, ciało jakby zaczynało rozpadać się od środka. Nie, nie wiedziała dokładnie, co ją czeka, bo o tym, co dzieje się z podejrzanymi o czary krążyły tylko pogłoski, zwłaszcza o nieludzkich torturach, jakim są poddawani; tym więcej, że nikt stąd nie wrócił żywy. Tylko raz widziała, jak palą czarownice i było to przerażające widowisko, drugi i trzeci raz tam nie poszła. Nieszczęsne kobiety miały połamane palce u rąk i nóg, poczerniałe twarze, osmalone głowy, oszalałe spojrzenie, sine plamy na szyjach – i oto ona także znalazła się w ich skórze. Gdzieś niedaleko leży, tak samo zakuty, jej dobry i niezwykle spokojny mąż, Peter. Jakże chciałaby z nim porozmawiać, poprosić o radę, ale to także jest niemożliwe. W tym momencie poczuła, że musi sobie przypomnieć coś bardzo ważnego: z przeczytanych ksiąg czy może z tego, co przy jakiejś okazji opowiadał jej mąż; wydawało jej się, że mogłaby to być szansa ratunku. Tak wytężyła pamięć, że aż zawirowało jej w głowie. Gdzieś czytała, czy może mąż mówił, że oskarżonemu o czary nie pozostawia się żadnej możliwości obrony. W *Malleus maleficarum*, czyli *Hexenhammer – Młocie na czarownice*, ustanowiono zasadę, że imiona donosicielei są objęte tajemnicą. Do jednego tylko sposobu mogli uciec się oskarżeni, ale co to miało być? Nie, nie mogła sobie przypomnieć. Kiedyś była o tym mowa w luźnej pogawędce, może w spokoju, na chłodno, znalazłaby to w pamięci, ale teraz, gdy poddano ją mękom, gdy nie wiedzieć czemu upodobniono do Nauczyciela, jednocześnie nazywając Jego

wrogiem, była całkowicie bezradna. Przekręciła głowę – i szpikulce natychmiast wbiły się w szyję, krzyknęła, spróbowała poruszyć rękami i nogami – jedyną odpowiedzią na jej zmagania był ból.

Wtedy usłyszała kroki w korytarzu – szło chyba dwóch ludzi. Kroki mocno dźwięczały w ciszy i od ich łomotu ogarnęło ją przerażenie. Zatrzymali się koło jej drzwi; zazgrzytał klucz. Jeden ze strażników trzymał pochodnię – wsunął ją w podstawkę, oświetlając przedtem całą postać Katarzyny.

– Co, pośluszymy, zanim przerobią ją na mięso?

– He he! – zaśmiał się drugi. – Ty pierwszy czy ja?

– Jasne, że ja – odpowiedział pierwszy, najwyraźniej starszy. – Odepnij obrożę, żeby się nie zadławiła. Słyszysz, ślicznotko, – pochyliła się nad nią zarośnięta gęba. – Może cię rozkujemy i zabawimy się z twoim przyzwoleniem? Wiedźmy takie rzeczy lubią, i to aż do przesady.

Katarzyna zaczęła krzyczeć. Wtedy wetknęli jej w usta knebel i po kolei brali siłą. Słyszała sapanie, czuła ciężar i zapach bimbrowu i czosnku; potem upadł na nią drugi, od niego śmierdziało alkoholem i cebulą. I znów – ciężar i sapanie. Dusiła się, próbowała opierać, ale była bezsilna. Łzy spływały jej po policzkach – oto on, początek tortur: pozbawienie czci. Nie, godności została pozbawiona już wcześniej, kiedy wleczono ją za nogi do wozu – to było pierwsze spotkanie z brutalną siłą, w ręce której trafiła.

Potem dali jej spokój. Zamknęli drzwi i poszli, łomocząc buciurami i rozmawiając wesoło. Wiedziała, że nie po raz ostatni do niej przyszli. Wtedy wylała resztę łez i uspokoiła się na tyle, na ile mogła. I przyszła jej do głowy dziwna myśl: świat jedynie z pozoru jest słoneczny i piękny. W rzeczywistości to tylko trzewia apokaliptycznego zwierza. Żyje w nim również nieprzejrzana mgła, która nie ma ani kształtu, ani rozmiarów. Możliwe, że to ta mgła ma formę niewidzialnego i bezkształtnego zwierza, czegoś na podobieństwo drapieżnej ryby, która od czasu do czasu pochłania jakiegoś istnienie. I ten, któremu przydarzy się takie nieszczęście, trafia do jej wnętrza, to znaczy w jej władanie, a jego wina lub niewinność nie mają znaczenia. Ma znaczenie tylko to, że człowiek stał się własnością tego zwierza i póki zwierz nie zje go i nie przetrawi, póty z wnętrzości swoich nie wypuści. Kiedyś taka mgła (a może apokaliptyczny zwierz, a może drapieżna, niewidzialna ryba) przyszła i do Nauczyciela. Połknęła Go, jak pochłania każdego śmiertelnika, choć nie był śmiertelny. Kto wie, może On sam wyszedł na spotkanie apokaliptycznemu zwierzowi, tej właśnie mgle, aby nauczyć następne pokolenia, jak, wszedłszy w niego czy w nią, pozostać czystym.

– Boże, Boże – wyszeptła. – Czyż można we wnętrzu apokaliptycznego zwierza, w piekle tego świata, pozostać czystym?

I znów w korytarzu zadudniły kroki, i znów przyszli do niej ci dwaj brutalni słudzy ciemności, rozkuli ją, znowu zgwałcili i, nie szczędząc szturchańców, pognali przez suterrenę. Ciało miała zeszywniałe i ledwie kuśtykała, tkwiła w niej głęboka uraza po tym, co z nią zrobili, ale cieszyła się, że może przynajmniej rozprostować zdrętwiałe członki (choć przychodziło to z tak wielkim trudem), że w plecy nie wżerają się poprzeczki kłody, że za chwilę spróbuje wszystko wytłumaczyć sędziemu z komitetu walki z czarownicami: doszło do jakiejś wielkiej pomyłki, oskarżyła ją jej własna służąca, kłamczucha i podła niewdzięcznica, a ona, Katarzyna, w rzeczywistości żyła bogobojnie, często chodziła do kościoła i w porę przystępowała do spowiedzi; że jest wierną owieczką Jezusowego stada i chce nią pozostać na wieki.

I wszystko, co chciała powiedzieć, wyrzuciła z siebie od razu, gdy tylko znalazła się przed ojczulkiem o zadartym nosie i pełnych wargach, z oczami jak guziczki; przecież od dziecka uczono ją zaufania do osób duchownych. Opowiedziała, płacząc, jak traktowali ją strażnicy, ją, porządną i uczeiwą kobietę. I ten ojczulek słuchał jej uprzejmie, potakując ruchem głowy, uśmiechając się prawie niepostrzeżenie, a w kącie izby siedział za stolikiem pisarz, niby nieruchome straszycło, ale niczego nie zapisywał, tylko patrzył na nią szklanym wzrokiem, a w drugim kącie stał kat, niczym pomnik, z rękami skrzyżowanymi na piersi, ale nie uśmiechał się, twarz miał jak wyrzeźbioną z kamienia, a ona mówiła i mówiła, i nie mogła się zatrzymać, i lzy spływały jej po policzkach – aż wyciągnęła ręce do ojca Johanesa, przecież to właśnie on miał ją zrozumieć i pomóc zbliżyć się do Boga – błagała i prosiła. Ojciec Johanes nie przerywał jej, słuchał uważnie, niczym spowiednik, lekko pochyliwszy głowę i pozwolił jej powiedzieć wszystko (to znaczy cierpliwie czekał, dopóki nie wypłynęły z niej wszystkie słowa) – był spokojny i dobroduszny, ten pan komisarz, a kiedy zamilkła, miłosiernie pozwolił jej usiąść i jego głos popłynął łagodnie i ciepło:

– Mam nadzieję, pani, że twój rozsądek i ustępliwość pozwolą ulżyć mojej ciężkiej, niewdzięcznej pracy, a ciebie wybawić od mąk. Zaraz wszystko wytłumaczę. My nie więzimy ludzi niewinnych, a jedynie tych, przeciw którym mamy oskarżenia. Przystępstwa dzielimy na *crimina ordinaria*, przystępstwa zwyczajne, oraz *crimina excepta*, przystępstwa wyjątkowe. Ale istnieje też nadzwyczajne przystępstwa, *crimina excepta in excepta*, niezwykle wśród nadzwyczajnych. Takie przystępstwo dokonuje się potajemnie, ukrywa we mgłę, osłaniają je ciemne siły. Takim przystępstwu pomaga sam szatan, ucząc czarownicę okłamywać sąd, zaprzeczać własnym winom, mą-

cić pamięć świadków, zaślepiac sędziów i morzyć kata. Przeciw tobie, pani, mamy niezaprzeczalne zeznania, złożone przez żyjących świadków.

– Podaj mi papier – zwrócił się do pisarza. – Proszę, oto możesz, pani, sama przeczytać, wszak potrafisz; jeśli zaś nie, ja przeczytam.

– Mogę przeczytać – powiedziała Katarzyna, biorąc karty.

I właśnie w tym momencie, gdy wzięła dokument i przeczytała, doznała olśnienia i wreszcie przypomniała sobie, jak może się bronić.

– Te zeznania złożyła Luiza Hilgen na podstawie śmiertelnej wrogości, jaką do mnie żywi i z zemsty za to, że odprawiłam ją ze swego domu za niezręczność i niegodziwość.

Johann Spiengler ze zdumienia aż otworzył usta: po raz pierwszy w jego praktyce walki z czarownicami zdarzyło się, żeby oskarżona znała prawo kanoniczne.

– To możliwe, całkiem możliwe – powiedział łagodnie, już zawnazsu napawając się radością, że jego setną: czarownicą; będzie nie tamta prostytutka, pyskata służąca, tylko ta – nie kolejna zwyczajna ofiara szatana, a jego ulubienica. – Tak więc, może ta niedobra dziewczyna odchodząc, patrzyła spode łba? I może groziła wam?

– Tak było – odpowiedziała Katarzyna Lips.

– I oświadczasz, pani, to z całą odpowiedzialnością, jaka spada na świadka?

– Oświadczam – powiedziała Katarzyna i ojczulek radośnie pokijał głową.

– Przyjmujemy twoje oświadczenie – odrzekł łagodnie. – Niegodziwą aresztujemy jako twą współniczkę. Bardzo się cieszę, że wydajesz, pani, tych, którzy byli z tobą w zмовie i zgodzie.

– Przecież, panie komisarzu, nie powiedziałam, że to moja współniczka, bo jestem uczciwą kobietą – krzyknęła Katarzyna. – Ja jedynie dałam odpór jej zeznaniom przeciw mnie, bo są spowodowane śmiertelną do mnie wrogością.

– Możliwe, całkiem możliwe! Ale niestety... Mamy jeszcze jednego świadka, przeciwko któremu nie możesz pani powiedzieć, że pozostaje twoim śmiertelnym wrogiem.

– Kto jest tym świadkiem?

– Widzę, że znasz, pani, *Malleus maleficarum*, więc wiadomo ci, że my, sędziowie, w żadnym razie nie możemy podać oskarżonemu imienia świadka. – Zamyślił się na moment i opuścił głowę, ale po chwili znów ją podniósł; oczka mu zabłyśły. – Ale tobie, za wskazaniu współniczki, powiem. To... mąż twój, Peter Lips! Prawda, że zmuszeni byliśmy porozmawiać z nim nieco brutalniej niż z tobą.

Katarzyna nie wytrzymała i krzyknęła. Cios był wymierzony aż nazbyt celnie. Teraz już ostatecznie przekonała się, że ta mgła, ten apokaliptyczny zwierz, bezkształtna ryba, pochłania ją. Peter, dobry i łagodny człowiek, nie wytrzymał tortur, bo nikt nie może ich wytrzymać, opowiedział o tym, co się nie wydarzyło, mgła zmusiła go do tego, wydusiła zeń okrutne słowa, nie, nie okrutne, a wydobyte torturami i biciem, wyrwane z jego języka rozżarzonymi szczypcami.

– Co się z nim stanie? – spytała głucho.

– To, co i z tobą pani – odpowiedział spokojnie ojciec Johann.

– Spalą nas żywcem?

– Cóż, nie ode mnie to zależy. Mogę wam, na przykład, pomóc, bo w niektórych sprawach można się z tobą, pani, porozumieć. Jeśli przyznasz się od razu, bez użycia wiadomych ci sposobów, zostaniesz uznana za tę, od której szatan odstąpił i której już nie broni. Wtedy mógłbym obiecać, że zostaniecie uśmierceni przed spalaniem.

Wtedy Katarzyna znów pomyślała o Nauczycielu. Możliwe, że On także przyszedł na sąd, aby przekonać sędziów, przecież miał tak wielką siłę przekonywania. Zrozumiał jednak, że apokaliptycznego zwierza nie zdoła przekonać nawet Boży Syn. Wtedy wybrał Krzyż, choć Jego moc była większa od siły sędziów, i przyjął śmierć, choć był nieśmiertelny. Bo tylko w taki sposób mógł przekazać światu swoją największą, najstraszniejszą i najbardziej pouczającą przepowiednię. Przecież to właśnie wtedy udowodnił istnienie szatana na Ziemi. Ta właśnie mgła, która pochłania niby niewidzialna ryba, tenże apokaliptyczny zwierz stanowi jego obraz. Ta mgła trwa w moźnych tego świata, nieważne, jak głośno nazywają siebie światłem lub nawet obrońcami światłości. Ta mgła jest wszechobecna i wieczna, istnieje nie w jednym czasie, ale w czasach. Nie kończy się wraz z jednym pokoleniem, a trwa w pokoleniach. Jest jak kielek w ziarnie, bo każde ziarno ma dwa kielki – jeden, zielony, do życia, drugi, czarny, aby gnić. Tak więc i Nauczyciel poszedł na śmierć, aby śmierć zwyciężyć; oddał się ciemności na pożarcie, aby nauczyć światłych ludzi: istnieje siła, jakiej nie pokona nawet Syn Boży, jest śmierć, jaka nie minie nawet nieśmiertelnego, ale to jeszcze nie znaczy, że On, Nauczyciel, poddał się śmierci i ciemności. Uległ śmierci i ciemności dwaj łotrzy, którzy wisieli obok niego. Zmiłował się nad jednym z nich, Barnabą, aby nauczyć ludzi wielkiej prawdy: życie we mgle nie jest życiem.

Katarzyna Lips, kobieta, której mądrość miała przepaść w ciemności, patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na łagodnie uśmiechniętego ojca Johanna Spienglera, człowieka z uśmiechem na ustach, ale i o niezwykle chłodnym spojrzeniu, i pomyślała, że mogłby ją łatwo okłamać: jej mąż jeszcze nie został poddany torturom i nie przeciw niej nie zeznał. Ale

wiedziała, że to może się stać, co więcej, wiedziała również, że nawet jeśli mąż, poddany torturom, nic przeciw niej nie powie, także i to nie odmieni jej losu. I Katarzyna nagle poczuła, jak przepełnia ją determinacja, że – przecież – ten pojedynek z niby-ojczulkiem, który siedzi naprzeciw niej jest nie tylko sprawdzianem dla jej ducha, ale także kontynuacją odwiecznego zmagania, jakie rozpoczął na ziemi Nauczyciel.

– Wyjaw prawdę – przemówił uroczyście ojciec Johann. – Czy przyznajesz się do tego, o co oskarżyła cię twoja służąca, Luiza Hilgen i co potwierdził mąż twój, Peter Lips, nauczyciel? Czy przyznajesz się, że brałaś udział w sabacie, że odbywałaś stosunki płciowe z inkubem i że zabawiałaś się z nim w sposób rozpustny i wyuzdany? Jeśli tak, opowiedz, jak to się odbywało i w jaki sposób igrałaś z inkubem, czyli nieczystym w ludzkiej postaci.

– Jestem uczciwą kobietą i zadaną matroną – stanowczo odparła Katarzyna. Ojciec Johanes spojrział na nią okrągłymi oczkami pełnymi szczęścia.

– Po tym wszystkim, co o tobie powiedziano, możesz tak twierdzić? Sama to oświadczasz czy tak każe ci mówić szatan?

– Sama i według swego rozumu – powiedziała Katarzyna.

– A wiesz, do czego to doprowadzi? Zmuszeni będziemy poddać cię torturom. Chłopcze, pokaż jej, jak będziemy musieli ją męczyć. Właściwie będziemy torturować nie ciebie, a szatana w tobie, więc sama rozumiesz, że miłosierdzie tu niemożliwe.

I kat pokazał jej wszystko to, co pokazywał Luizie. Katarzyna patrzyła na katowskie narzędzia szeroko rozwartymi oczami, ale milczała.

– Mam jeszcze dla ciebie, Katarzyno Lips, miłosierdzie – powiedział Spiengler – bo dobrze poznałem wasz wiedźmi ród. Dobrze wiesz: ten, kto nie zakosztował tortur, nie może uwierzyć w ich siłę. Ale to straszna siła i czekają cię straszne chwile, Katarzyno.

Katarzyna zadrżała.

– Czyżbyś się nie bała?

– Boję się – powiedziała otwarcie. – I chciałabym przyznać się do wszystkiego. Ale powiedzcie mi, ojcze, uczciwie: czy mogłabym zachować czystość duszy, gdybym dała fałszywe świadectwo?

– Fałszywego świadectwa nikt od ciebie nie wymaga – powiedział komisarz. – Wymaga się od ciebie tylko przyznania do tego, o co oskarżają cię świadkowie.

– Oskarżenie Luizy Hilgen jest nieważne – odpowiedziała Katarzyna – bo zostało spowodowane śmiertelną do mnie wrogością. Oskarżenie mojego męża, jeśli istnieje, także nie jest ważne, bo nie jest prawdziwe, lecz wymuszone przez was. Dobrze wiem, co uczyniłam, a czego nie.

– No, to niezupełnie tak – już chłodniej odparł Johann Spiengler. – Mogłaś coś zrobić, nie wiedząc o tym. Na przykład chodziłaś na sabat czarownic, zostawiwszy ciało w domu, czyli byłaś tam obecna duchem, nie mając świadomości własnego uczynku.

– Czy można sądzić ludzi nieświadomych własnego uczynku? – spytała Katarzyna.

– Naturalnie – powiedział ojciec Johanes. – Bo sądzi się nie nieświadomość, ale uczynek.

– Po cóż więc mnie przesłuchiwać, jeśli nie znam swoich złych czynów? Jakiż tedy pożytek z moich zeznań?

Ojciec Johann znowu wytrzeszczył oczy. O, naprawdę trafiła mu się niezwykła czarownica, nauczona mądrości przez samego szatana. Jak wielką siłę ma jej logika! Ale i on jest nie w ciemności.

– Znasz swoje złe uczynki – powiedział – tylko wiedza ta jest w tobie głęboko ukryta. My zaś spróbujemy odegnać od ciebie twego obrońcę – szatana, i wszystkim sobie wówczas przypomnisz. Kacie, zaczynaj.

Kat chwycił Katarzynę za rękę i zaciągnął w kąt, gdzie stała drabina i leżały katowskie instrumenty.

– Rozbierzesz się sama czy mam ci pomóc? – spytał.

– Sama – odpowiedziała Katarzyna.

Zrzuciła odzież, choć czuła ogromny wstyd. Ale nie chciała, aby rozbierał ją ten nikczemnik. Kat tymczasem chwycił pochodnię, która paliła się w uchwycie i podniósł do jej włosów. Zatrzeszczały i zaczęły płonąć, Katarzyna poczuła ból i rzuciła się do ucieczki. Ale kat podstawił jej nogę i upadła, płomienie przy tym zgasły. Kat związał ją mocno i znowu podpalił.

– Boże, dopomóż! – krzyknęła Katarzyna. – Boże, nie opuszczaj mnie niewinnej!

Kiedy oprzytomniała, zawisła nad nią twarz kata. Nieznośnie bolały oparzenia na głowie, w pachwinie.

– No i jak? – spytał kat. – Rozjaśniło ci się w głowie?

– Lepiej się przyznaj – powiedział słabym głosem ojciec Johann.

– Dobrze – rzekła Katarzyna. – Chętnie umrę i przyznam się do czego chcecie. Ale pod jednym warunkiem. – Oblizała spieczone wargi.

– Czyście słyszeli, ojcze – powiedział kat. – Ona nam stawia warunki! – zarechotał grubiańsko.

– To jej prawo – spokojnie przemówił z głębi izby ojciec Johann. – Słuchamy.

– Przyznam się do wszystkiego – powiedziała Katarzyna – jeśli wy, moi sędziowie, weźmiecie na siebie odpowiedzialność za mój grzech kłamstwa.

Kat aż od niej odskoczył.

– Słyszeliście, ojciec Johannie? – krzyknął. – Nie, ja czegoś podobnego jeszcze nie słyszałem!

– To dowodzi – odparł spokojnie ojciec Johann – że szatan obiecał jej obronę. Kacie, dalej. Poszukaj na jej ciele miejsc szatana.

Kat zaczął nakłuwać igłą ciało Katarzyny, ale ona już nie krzyczała, wzdrygała się jedynie za każdym ukłuciem. Ojciec Johannes nawet nie wstał ze swego fotela, ale uważnie obserwował poczynania kata.

– Według mnie u niej całe ciało to miejsce szatana – powiedział. – Zdarza się tak u jego ulubienic. Jestem przekonany, że trafiła nam się czarownica nadwyzczaj lubiana przez diabła.

– I ja tak sądzę – odezwał się kat.

– Katarzyno Lips! – rzekł inkwizytor. – Zanim przejdziemy do prawdziwych tortur, wzywam cię jeszcze raz: wyjaw prawdę!

– Panie sędzio – odpowiedziała kobieta – o jedno tylko proszę: uznajcie moją niewinność. Chętnie bym się przyznała, ale naprawdę jestem niewinna. Nie uczyniłam nic złego.

– Przejdźmy do trzeciego stopnia tortur – powiedział ojciec Johann.

Kat zaczął wkręcać nogę Katarzyny w zacisk. Kiedy krzyknęła, włożył jej w usta capistrum, knebel i jeszcze mocniej dokręcił śrubę. Katarzyna skurczyła się w sobie, ale z jej oczu nie wypłynęła ani jedna łza.

– No cóż – powiedział ojciec Johannes. – Niech poleży. Chodźmy, napijemy się po kielichu wina.

Poszli do sąsiedniej izby; pili, jedli, opowiadali wesołe historie i wrócili do katowni jakieś pół godziny później. Katarzyna leżała bez czucia. Kat wylał na nią wiadro wody, a gdy wyjął jej z ust capistrum, znów zaczęła krzyczeć:

– Jestem niewinna, o Jezu, nie opuszczaj mnie! Dopomóż mi w moim cierpieniu!

– Trzeba będzie przejść do tortur czwartego stopnia – zdecydował ojciec Johann.

Ale tu czekała ich niespodzianka. Choć oskarżonej założono hiszpański but i dokręcono go, nie tylko nie uroniła żadnej łzy, ale nawet nie krzyczała, choć tym razem nie miała knebla w ustach.

– *Per maleficium*¹ – zdziwił się komisarz i pochylił nad ofiarą. – Czy przyznajesz się do winy?

– Jestem niewinna – jęknęła Katarzyna.

¹ Diabelska sztuka.

– W porządku – powiedział ojciec Johann. – Uważamy, że tortury czwartego stopnia wytrzymała.

– Widziałeś kiedy coś podobnego? – spytał kata.

– Czasem się zdarza. – Ten uchylił się od odpowiedzi.

– Rozciągnij ją! – rozkazał inkwizytor.

Kat wykręcił Katarzynie ręce, potem zawiesił nad ziemią, do nóg przyczepiając ciężary. Później zaczął ją siec różgami. Katarzyna jęczała głucho, a przynaglana do przyznania się, nie odpowiadała. W końcu krzyknęła, wzywając Bożej pomocy i zemdląła.

Kiedy odzyskała świadomość, zobaczyła ojca Johanna, który siedział przy niej na ławie i uważnie się jej przyglądał.

– Niepotrzebnie zacięłaś się w uporze – powiedział do niej. – Musisz się przyznać, bo masz być winna. Torturować cię będziemy nie tylko dziś, ale i jutro, i pojutrze, dopóki się nie przyznasz. Jeśli umrzesz w czasie tortur, tak czy owak zostaniesz ogłoszona czarownicą i spalona. Jeśli wytrzymasz wszystkie męki, w co wątpię – to znaczy, że tym bardziej jesteś winna: szatan daje ci siły i powstrzymuje twój język, abyś nie mogła mówić i przyznać się. Tak więc posłuchaj mnie, dobrze ci radzę: lepiej przyznaj się od razu, bo nie ma stąd dla ciebie ucieczki. Jeśli wiodłaś złe życie, czyniłaś to do spółki z diabłem, jeśli ucziwe – udawałaś ucziwą, żeby nie padły na ciebie żadne podejrzenia. Jeśli boisz się tortur – jesteś winna, jeśli wierzysz w swą niewinność – tym bardziej jesteś winna, bo szatan broni cię i służy ci pomocą. Bez niej człowiek nie może wytrzymać tego, co już z tobą uczyniono. Jeśli bronisz się i przekonujesz nas o swojej niewinności, znaczy to: winna, a jeśli milczysz podczas tortur, stanowi to pierwszy dowód twojej winy. Tak czy inaczej musisz umrzeć, i to straszną śmiercią, bo podczas tortur przewracałaś oczami – to znaczy, że spojrzeniem szukałaś szatana; byłaś wyprężona i oczy miałaś nieruchome – to także znaczy, że widziałaś diabła. Znalazłaś dość sił, żeby wytrzymać dzisiejsze męki – już zasłużyłaś na karę. Jeśli zaś wytrzymasz wszystkie tortury, pozostaniesz przy życiu i nie przyznasz się – będziesz siedzieć w więzieniu, póki tam nie umrzesz. Tak więc masz przed sobą tylko jedną drogę: przyznać się. I uczynisz to.

Katarzyna słuchała tego monologu i zdawało jej się, że ojciec Johann zaczyna się przed nią rozplywać i mienić, jakby zmienił się w istotę powstałą z wody. Zobaczyła na własne oczy, jak czernieje jego okrągła twarz z zadartym nosem, wydatnymi wargami i oczami jak guziczki; z głowy Johanna Spienglera nagle wykiełkowały różki, a gdy spuściła wzrok, ujrzała, że jego nogi porosły szczecią, a zamiast butów pojawiły się kopytka.

– Czy widzisz szatana? – spytał komisarz donośnym głosem.
– Widzę – odpowiedziała szeptem Katarzyna.
– Czy byłeś na sabacie czarownic?
– Zaciągnięto mnie tam... siłą! – powiedziała.
– Ten szatan, którego widzisz, chce cię bronić?
– Nie – odrzekła Katarzyna. – Chce mnie sądzić.
– Tego wystarczy – powiedział ojciec Johann Spiengler, komisarz z komitetu walki z czarownicami. – Przyznała się i możemy ją osądzić.

Przeszedł przez pokój, stukając raciczkami, a za nim ciągnął się długi, czarny ogon. Odwrócił się do Katarzyny, która patrzyła na niego z niewypowiedzianym przerażeniem i mruknął:

– Jesteś silną kobietą Katarzyno Lips. Mówiąc otwarcie, żal mi ciebie.

Następnego dnia po tym, jak w miasteczku Möckmühl spalono małżeństwo Lipsów razem z ich służącą (Luiza także nie chciała przyznać się do praktykowania czarów i kilka razy nakładano jej hiszpański but oraz wieszano u sufitu; jej także opalono włosy na ciele i odnaleziono przy pomocy igły kilka diabelskich plam, w końcu i ona uległa) ojciec Johann Spiengler wraz z orszakiem wyjeżdżał z miasteczka w zupełnie niezłym nastroju (jego udział w skonfiskowanym majątku Lipsów był wcale pokaźny), udając się w dalszą drogę, a dokładnie do miasta Metz, gdzie czekała niezakończona sprawa tej kobiety, za którą wstawiał się Agrypa von Netesheim.

Po drodze ojciec Johann rozważał kilka problemów: kogo należy uznać za jego setną czarownicę, Katarzynę czy Luizę, bo druga z kobiet okazała się nawet bardziej uparta niż pierwsza. Zdecydował, że jednak Katarzynę, przecież była to uczona czarownica. Drugie, o czym myślał: przyszła pora zająć się tym natrętem Agrypą. Koniecznie trzeba poświęcić przyjaciela; wystarczy w tym celu poszczuć na niego kogoś ze swoich nowych znajomych, ot choćby Friedricha Mintza, to nie-trudne. Ojca Johanesa zastanawiała także dziwna siła diabelska, o której tyle się wokół mówiło; w głębi duszy nie wierzył w nią. Wszystko, co istnieje – musi istnieć – rozważał w duchu komisarz – więc, myśląc logicznie, jeśli istnieje on, walczący z siłą nieczystą, to śmieszne byłoby przypuszczenie, że ta siła nieczysta nie istnieje; nie mógł jednak pozbyć się skrywanych wątpliwości. Oczywiście nie należało o tym nikomu wspominać. Nikt nie nazwie jego pracy przyjemną ale ojciec Johann nie zamieniłby jej na żadną inną nie tylko dlatego, że przynosiła dochody. W pewnym sensie wierzył w swoją misję, a także w to, że wykonując to niewdzięczne zadanie, chroni siebie przed swawolą inkwizycji; dobrze poznał jej nieskomplikowany, ale bezlitosny mechanizm działania. Chciał przynajmniej

spokojnie dożyć swego wieku, nigdy nie zaznając takiego przerażenia, jakie sam niósł światu.

To właśnie była ta fatalna myśl, za którą Bóg czy diabeł postanowił się zemścić. Ledwie o tym pomyślał, zatrzymano jego powóz; jacyś ludzie wyrwali drzwiczki kolasy, chwycili inkwizytora za sutannę i pociągnęli za sobą. Ojciec Johann Spiengler krzychał i lamentował. Ciągnięto go po ziemi, nie szcędząc kopniaków, aż został rzucony pod koła identycznego powozu, jak jego własny. Drzwiczki otworzyły się i wysiadł zeń jego nowy przyjaciel, Friedrich Mintz, ten sam, którego chciał poszczyć na Agrypę von Netesheima.

– Jesteś pan aresztowany, były panie komisarzu – oznajmił Mintz oficjalnym tonem. – Mamy niezaprzeczalne dowody, podane przez żyjących świadków, że jesteś pan heretykiem.

Ojciec Johann Spiengler podniósł wzrok i zdało mu się, że z ciemnej otchłani powozu Friedricha Mintza wypłynął kłębek mgły. Podpłynął do niego, jak ryba albo apokaliptyczny zwierz, i rozwarł zębatą paszczkę, aby go połknąć.

Ojciec Johannes wrzasnął i chciał uciekać, ale ktoś podstawił mu nogę. Gdy upadł, rzuciło się nań kilku strażników. Związali go mocno, a na ręce nałożyli solidne kajdany. Spiengler wrzeszczał, krzychał, modlił się, piszczał, kłął, ale uderzono go kijem po głowie i ucichł.

Walerij Szewczuk

Przełożyła Katarzyna Kotyńska



Fragment wystawy na ścianie domu państwa Bécu poświęconej wileńskim twórcom, Wilno 2008

NA INTELEKTUALNYM FRONCIE

Spotkanie z Wasylem Machno*

Barbara Balicka: Witam państwa serdecznie w Wypożyczalni Muzycznej Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rzeszowie na spotkaniu z niezwykłym gościem. Jest z nami pan Wasyl Machno, ukraiński pisarz, poeta, esecista, tłumacz, autor sztuk teatralnych. Przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, mieszka w Nowym Jorku. Pochodzi z Tarnopola, ale ma też związki z naszym regionem, o czym na pewno opowie. Jest autorem wielu książek, tutaj mam jedną z nich, *Kalendarz wieczności*¹. To wyjątkowa powieść, wielowątkowa, wielowymiarowa, jej akcja rozgrywa się w różnych przestrzeniach czasowych i geograficznych. Niedawno ukazał się też w Polsce tom jego poezji *Wiersze jerozolimskie* w przekładach Bohdana Zadury². Współorganizatorem dzisiejszego spotkania jest Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne Fraza. Jest z nami pani profesor Magdalena Rabizo-Birek, redaktorka naczelna kwartalnika „Fraza”, która poprowadzi spotkanie.

Magdalena Rabizo-Birek: Pani dyrektor Bożena Janda zgodziła się na gościć, życzliwa nam była – jak zawsze – kierująca Wypożyczalnią Muzyczną Barbara Balicka. Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać o spotkaniu, okazało się, że wiedziała, kim jest Wasyl Machno, znała jego twórczość, zwłaszcza tom opowiadań *Listy i powietrze*³. Ta książka zawiera zapadające w pamięć niezwykle historie, opowieści z ukraińsko-polskiego pogranicza, przedstawiające też inne nacje zamieszkujące przez wieki te ziemie. Gdy zaczęłam sprawdzać, kiedy Wasyl Machno pojawił się w Rzeszowie, na łamach kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza” i w moim życiu, okazało się, że jest z nami naprawdę długo i mocno związany. Jesteś Wasylu, co sprawdziłam, najczęściej przez nas publikowanym pisarzem ukraińskim, choć Bohdan Zadura, twój tłumacz i największy w Polsce promotor współczesnej literatury ukraińskiej, bardzo dba o to, żebyśmy mieli utwory najciekawszych autorów i autorek ukraińskich. Jak się okazało, Wasyl jest z nami od dwudziestu lat, więc świętujemy na tym spotkaniu mały jubileusz. Pojawił się w historycznym, „ukraińskim” numerze „Frazy” 2002, nr 1–2, w dziale „Miejsca graniczne – miejsca spotkania” i to od razu z ważną rekomendacją. Został wprowadzony do „Frazy” i do polskiej poezji przez Mistrza z Sanoka, Janusza Szubera, który przywitał go tak, jak poeta starszy wita młodszego – wierszem *Do Wasyla Machno, poety*. Przesłał mi też esej Wasyla, będący zapewne efektem jego pierwszej podróży do

* Spotkanie odbyło się 24 listopada 2022 roku w Wypożyczalni Muzycznej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie.

¹ W. Machno, *Kalendarz wieczności*, przeł. B. Zadura, Warszawa 2021.

² Tegoż, *Wiersze jerozolimskie i 16 innych wierszy*, przeł. B. Zadura, wstęp Y. Petrovsky-Shtern, Częstochowa 2022.

³ Tegoż, *Listy i powietrze. Opowiadania pograniczne*, przeł. B. Zadura, Lublin 2015.



Wasyl Machno i Magdalena Rabizo-Birek w Wypożyczalni Muzycznej WiMBP w Rzeszowie, 24 listopada 2022

Sanoka i spotkania z Januszem, *O powietrzu, czasie i poetach jednego miasta*. Pani dyrektor wspominała o tym, że nasz gość jest również tłumaczem literatury polskiej, angielskiej i serbskiej. Czy tomik Janusza Szubera w przekładzie na język ukraiński z 2007 roku *Сни́мануї́ у сім'ї / Złowiony w sieć* był twoją pierwszą książką polskiego poety przetłumaczoną na język polski, czy wcześniej ukazał się tom Zbigniewa Herberta?

WM: Herberta.

MRB: Jesteś zatem tłumaczem zaprzyjaźnionych ze sobą poetów Herberta i Szubera. Przygotowałeś pierwszy wybór wierszy Szubera wydany poza Polską, dopiero potem ukazały się tomy angielski i chorwacki. Tym razem jednak nie o Szuberze będziemy rozmawiali – jak to było na twoim przedpołudniowym wykładzie na polonistyce Uniwersytetu Rzeszowskiego⁴. Ty jesteś głównym bohaterem naszego spotkania. Polska literatura, kultura i historia są ważną częścią biografii i twórczości naszego gościa. W Polsce ukazała się obszerna część literackiego dorobku Wasyła. A jest to ponad dwadzieścia książek: tomów wierszy, prozy, esejów i dramatów – od debiutu tomem *Schizma* z 1993 roku po ostatnio wydane *Psalmy*. Drugą ważną osobą jest dla Wasła Machny Bohdan Zadura, dzięki któremu regularnie ukazują się w Polsce jego nowe książki i wybory poezji, między innymi tomy *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* i *Nitka*⁵. Wspomnieliśmy o opowiadaniach *Listy i po-*

⁴ Wasyl Machno wygłosił wykład pt. *Janusz Szuber – więzień języka*.

⁵ Tegoż, *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko*, Wrocław 2006 i *Nitka*, Sejny 2011. Oba w przekładzie Bohdana Zadury.

wietrze wydanych w Lublinie i wspaniałej powieści *Kalendarz wieczności*. Można ją nazwać powieścią historyczną albo powieścią o historii. Rozgrywa się od XVII wieku po współczesność, głównie w Jazłowcu, pobliskiej wiosce Mytnica i w Czortkowie. Obejmuje burzliwy czas wojen polsko-tureckich, w którym wielokulturowy Jazłowiec przeżywał okres świetności. Miał wtedy trzy bramy: ormiańską, żydowską i polską, był ważnym ośrodkiem handlowym, administracyjnym i militarnym. Kończy się zaś w miejscu, w którym mieszkasz od początku XXI wieku, czyli w Nowym Jorku. To zatem powieść idącą przez wieki. Trzeba także wspomnieć twoją podkarpacką książkę, wydaną nakładem Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Dębno i Miejskiego Centrum Kultury w Leżajsku, która nosi tytuł *Dubno, koło Leżajska*⁶. Dziś ta miejscowość nazywa się Dębno. W książce znalazły się wiersze i eseje, ułożone w taki sposób, że tworzą rodzaj autoportretu Wasyla Machno i jego przodków ze strony ojca, urodzonego w 1940 roku w Dębnie/Dubnie. Decyzjami polityków po II wojnie światowej jego rodzina i ukraińscy mieszkańcy wsi zostali zmuszeni do przeniesienia się do zachodniej Ukrainy. Urodziłeś się w Czortkowie, w okolicach Jazłowca, skąd pochodzi rodzina twojej mamy. Tam spotkali się twoi rodzice. Gdyby historia była dla naszych narodów łaskawsza, to może urodziłbyś się w Polsce.

WM: Tak, ale byłoby zupełnie inaczej, bo ojciec nie spotkałby mojej mamy.

MRB: Mam podobną historię. Gdyby nie wojna, nie migracje ludności, istnielibyśmy w jakiejś innej postaci.

WM: Jest jak jest, niestety.

MRB: Ale twoje pochodzenie sprawiło, że ten pograniczny tygiel narodowościowy, kulturowy i religijny jest tak mocno obecny w twojej twórczości, że interesujesz się Polską i masz dla jej kultury i historii oraz Polaków wiele zrozumienia. Chyba nas lubisz?

WM: Na to wygląda.

MRB: A to nie takie częste. My sami siebie nie lubimy, stąd twoja sympatia dla nas wydaje nam się wyjątkowa. W Tarnopolu, gdzie Wasyl studiował, a potem pracował jako wykładowca uniwersytecki i gdzie zaczął tworzyć, założył grupę poetycką „Zachodni wiatr”. Nazwa zdradza, która strona światowej kultury przyciągała cię najmocniej. Zachodni wiatr to nie tylko kultura polska, ale przede wszystkim Ameryka i poezja amerykańska, ważna dla ciebie tradycja widoczna nie tylko w tematach, ale i formie twoich utworów. Dzisiaj mówiłeś z podziwem, że Szuber tworzył krótkie, skondensowane wiersze. Nie jest to „mocna” strona twojej poezji, bo większość twoich wierszy zajmuje więcej niż jedną stronę książki. Jak napisała twoja przyjaciółka, Anna Frajllich, znakomita polska poetka mieszkająca w Nowym Jorku, łączysz lirykę z narracją, twoje wiersze mają narracyjny oddech⁷. Pierwsze moje pytanie dotyczy tego, kiedy zacząłeś pisać. Czytając w ostatnich dniach bardzo intensywnie twoje utwory, szukałam odpowiedzi na to pytanie, ale jej nie znalazłam. Przeczytałam tylko charakterystyczne zdanie w twoim szkicu o Szuberze, w którym

⁶ Tegoż, *Dubno, koło Leżajska. Wiersze i eseje*, przeł. B. Zadura, Leżajsk 2012.

⁷ A. Frajllich, *Własny kanon* [w:] W. Machno, *Dubno, koło Leżajska*, s. 8.

podkreślasz, że nie miał on żadnych tradycji literackich w rodzinie, a został poetą. Jesteś podobnym przypadkiem. Kiedy zacząłeś pisać, kiedy rozumiałeś, że chcesz zostać pisarzem?

WM: Napisałem jeden, dwa wierszyki w piątej klasie. Zawsze miałem szacunek do słowa. Rzeczywiście, w mojej rodzinie nie było tradycji pisarskich, ale mój dziadek był bardzo dobrym opowiadaczem, takim wiejskim filozofem.

MRB: Nie wspominałam, że wychowałeś się na wsi, co jest niezwykle istotne.

WM: W pierwszej i drugiej klasie chodziłem do wiejskiej szkoły.

MRB: Czyli mieszkaleś z dziadkami we wsi Mytnica pod Jazłowcem.

WM: Tak. Dziadek wciąż coś opowiadał. To było bardzo ciekawe. Wokół niego zawsze było wielu ludzi, jego przyjaciele i rówieśnicy przychodzili do nas. Pracowałem jako górnik w Krzywym Rogu, a podczas II wojny światowej był żołnierzem.

MRB: Czy Krzywy Róg jest w Donbasie?

WM: Nie, to jest obwód dniepropietrowski. Dziadek miał dwa konie i kiedy po wojnie tworzyli kolchozy, zabrali mu je. Powiedział wtedy, że nigdy nie będzie pracować w kolchozie, po czym wyjechał dobrowolnie do kopalni w Krzywym Rogu i tam pracował siedemnaście lat. Pracował, przyjeżdżał do wsi, budował dom, później poszedł na emeryturę i wrócił na stałe do wioski. Górnicy mieli bardzo wysoką emeryturę. Byliśmy pierwszymi, którzy kupili telewizor. Przychodzili go oglądać wszyscy sąsiedzi. Zawsze wtedy wspominali swoją młodość. Ktoś pamiętał czasy austro-węgierskie, wielu pamiętało polskie. Dziadek zawsze mówił o tym, że w polskiej szkole, której cztery klasy skończył, uczyli się pocztu czterdziestu dwóch królów Polski. I opowiadał o tych królach. Nie zawsze rozumiałem to, co mówił. Teraz jestem już w jego wieku. Kiedy piszę, wspominam jego słowa, opowieści sąsiadów, ich metafory. To mnie wprowadza w inny wymiar. W wieku kilkunastu lat myślałem, że jestem nieszczęśliwy, bo wychowałem się w wiosce, z prostymi ludźmi. Teraz myślę, że to było wielkie szczęście. Moje życie tak się ułożyło, że później mieszkalem wyłącznie w miastach: w Krzywym Rogu, Tarnopolu, przez jakiś czas w Krakowie, od dawna w Nowym Jorku. Nie miałem zbyt wiele kontaktu ze wsią, jedynie te kilka lat spędzonych u dziadków. Dziadek nie pisał, ale opowiadał i miał swoje powiedzonka. Moja mama i jej brat byli utalentowani muzycznie. Grali w domu, mama ukończyła Instytut Muzyczny w Iwano-Frankiwsku. W domu dziadka było wesoło, brat mamy grał na weselach, przyjeżdżali do niego koledzy, przywozili wódkę i zakąski. To było coś atrakcyjnego, w takim klimacie się wychowałem. Dziadek i babcia uważali, że jestem skrzywdzony, bo rodzice się rozwiedli, kiedy miałem pięć lat, dlatego miałem wszystko, czego chciałem. Byłem szczęściarzem. Pokazałem coś palcem w sklepie i dostawałem to, bo byłem pierwszym wnukiem w rodzinie. Zacząłem pisać wiersze, kiedy studiowałem filologię ukraińską, ale miałem problem z nazwiskiem, bo kojarzyło się z Nestorem Machno⁸.

⁸ Nestor Machno (1888–1934) – ukraiński anarchista i rewolucjonista pochodzenia chłopskiego, więzień carski. Zwolniony z katorgi w 1917 r. założył w Hulajpolu zbrojny oddział złożony głównie z chłopów, walczący z armią austro-węgierską i pruską oraz wojskami Hetmanatu ukraińskiego, Białą Gwardią

MRB: Przypomnij nam, kim był.

WM: To był sławny ukraiński anarchista, który urodził się w Hulajpolu i walczył, między innymi, z bolszewikami.

MRB: Bułhakow chyba opisał go w *Białej Gwardii*.

WM: W *Białej gwardii* opisał raczej Pawła Skoropadskiego⁹. Dla Sowietów Machno był wrogiem. W jednym z wierszy napisałem, że przyszedłem do biblioteki i bibliotekarka zapytała mnie: „Jak się nazywasz?” Mówię: „Machno”. Popatrzyła na mnie tak, jakby za mną stali jeszcze Stepan Bandera¹⁰ i Symon Petlura¹¹. To jest nazwisko tego rodzaju. Kiedy byłem bardzo młody, do Tarnopola przyjechał Iwan Dracz¹² i ktoś mu mnie przedstawił. Później przyjechałem do Kijowa, spotkałem się z nim, zadzwonił do redakcji jakiegoś miesięcznika. To był rok 1982, Związek Radziecki, cenzura. Przyszedłem do kierownika działu poezji w tym miesięczniku, popatrzył na mnie i powiedział: „Musisz zmienić nazwisko, bo nie mogę wyjaśnić tam na górze, że nie jesteś krewnym Nestora Machno”. Zrozumiałem, że nie będę publikował, zrozumiałem, że z takim nazwiskiem w Związku Radzieckim nie mam szans.

MRB: Nie masz szans na karierę literacką?

i armią bolszewicką. Od 1921 r. na emigracji w Rumunii i Polsce, po roku 1923 we Francji, gdzie przedwcześnie zmarł.

⁹ Pawło Skoropadski (1873–1945) – ukraiński wojskowy i polityk. General lejtnant Armii Imperium Rosyjskiego. Walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej 1904–1905 i w I wojnie światowej. W kwietniu 1918 r., wspierany przez armię niemiecką, przejął władzę w Ukraińskiej Republice Ludowej, zmieniając jej nazwę na Państwo Ukraińskie i obwołał się jego hetmanem (Hetmanat). Po klęsce Niemiec i zakończeniu działań wojennych został obalony przez Symona Petlurę i wyjechał do Niemiec. W czasie II wojny światowej zabiegał o uwolnienie przywódców ukraińskiego podziemia z niemieckich obozów koncentracyjnych. Był sceptyczny wobec możliwości utworzenia ukraińskiej państwowości przez hitlerowskie Niemcy. Zginął podczas alianckich nalotów w Metten.

¹⁰ Stepan Bandera (1909–1959) – ukraiński polityk niepodległościowy, jeden z przywódców Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), organizujący w okresie międzywojennym zamachy terrorystyczne na polskich polityków; od 1940 r. przywódca Frakcji OUN-B, której zbrojne oddziały przekształciły się w Ukraińską Armię Powstańczą i są współodpowiedzialne za czystki etniczne na Polakach w latach 1943–1945. Desperacko i bezwzględnie walczył o niepodległą Ukrainę Bandera był więziony za działalność terrorystyczną przez Polaków i w czasie wojny za działalność niepodległościową przez Niemców, jego dwaj bracia zginęli w obozie koncentracyjnym Auschwitz, ojciec został zamordowany przez NKWD, a siostry trafiły na wiele lat do łagrów. Zginął przed drzwiami swego mieszkania w Monachium, otruty cyjankiem przez agenta NKWD Bohdana Staszynskiego.

¹¹ Symon Petlura (1879–1926) – ukraiński działacz niepodległościowy, polityk i wojskowy. Po rewolucji lutowej w Rosji uczestniczył w powołaniu Ukraińskiej Republiki Ludowej. W grudniu 1918 r. obalił rząd Pawła Skoropadskiego i doprowadził do zjednoczenia Ukrainy wschodniej i zachodniej. W latach 1919–1920 walczył zarówno z Polakami, jak i wojskami bolszewickimi, które zajęły Kijów. Po napaści bolszewików na Polskę zawarł z nią sojusz, zerwany przez marszałka Piłsudskiego po podpisaniu przez Polaków pokojowego traktatu ryskiego, w wyniku którego większość ziem Ukrainy znalazła się w granicach ZSRR. Wojska ukraińskie w Polsce zostały internowane. Petlura został zamordowany przez Szymona Szwarebacha w Paryżu, czego powodem miały być dokonywane przez jego wojska pogromy ludności żydowskiej.

¹² Iwan Dracz (1936–2018), ukraiński poeta i polityk, tłumacz polskiej poezji. Współtworzył Demokratyczną Partię Ukrainy, był przewodniczącym państwowego komitetu ds. polityki informacyjnej, telewizji i radia. Deputowany Rady Najwyższej Ukrainy kilku kadencji. Uczestnik Pomarańczowej Rewolucji 2004 r.

WM: Tak. Moja córka przez jakiś czas studiowała w 10. Uniwersytecie w Paryżu i kiedy przyjechała na studia, poszła na cmentarz Père-Lachaise. Tam jest kolumbarium, na którym znajduje się tablica upamiętniająca Nestora Machno, ozdabiają ją niebiesko-żółte wstążki i kwiaty. W Paryżu od razu poszła na grób Nestora Machno.

MRB: Co to znaczy dla ciebie być pisarzem ukraińskim dziś, w czasie wojny? Co to znaczy w ogóle być pisarzem ukraińskim, co znaczy być pisarzem ukraińskim w: Mytnicy, Czortkowie, Krzywym Rogu, Tarnopolu, Nowym Jorku, Polsce? Wiem, że nie lubisz tego rodzaju pytań i komentujesz je krytycznie w swoich esejach, ale zaryzykuję.

WM: Podchodzę do nich z dystansem, bo uważam, że pisarz to nie jest zawód. Wszyscy ludzie żyją w jakimś języku, ale tylko niektórzy wariaci piszą całe życie i wydają książki, kochają to, mają różne ambicje. Być ukraińskim pisarzem jest kwestią języka i tożsamości. Wielu pisarzy z Europy mieszka w Nowym Jorku i pisze w swoim języku. Znam pisarza, który nazywa się Norman Mania, pochodzi z Rumunii. Ma osiemdziesiąt kilka lat. Jest rumuńskim pisarzem, bo pisze po rumuńsku, a nie po angielsku. Tożsamość wyraża się przez język. Często w Ukrainie czytam o sobie: „Wasył Machno – ukraińsko-amerykański albo amerykański pisarz”. Żeby być amerykańskim pisarzem, trzeba się urodzić w Ameryce i pisać w języku angielskim. Można przejść na angielski, ale ja już nie zdążę tego zrobić. Nie znam go na tyle dobrze, żeby w nim pisać, to jest bardzo trudne. Czymś innym jest rozmawiać, czymś innym pisać. Najlepszy czuje się w języku ukraińskim, mogę też pisać po polsku. Jeżeli przychodzą do mnie pytania od dziennikarzy z Polski, to piszę odpowiedzi po polsku, ale proszę, żeby poprawić moją polszczyznę. Mogę pisać w językach słowiańskich. Być pisarzem podczas wojny oznacza, że musisz coś zrobić. Literatura też jest frontem. Front jest nie tylko tam, gdzie z Rosjanami walczą nasi chłopcy i nasze wojsko. Istnieje również front intelektualny. Wiem, że wielu pisarzy ukraińskich, którzy są na Zachodzie i w Ukrainie, teraz prowadzi taką działalność. Przyjeżdżają do różnych krajów, uczestniczą w festiwalach, wydają książki, piszą artykuły. I to jest bardzo ważne, bo przez literaturę także można osiągnąć państwowość i tożsamość ukraińską. Bądźmy szczerzy – dopiero po Rewolucji Godności w Ameryce zaczęto inaczej patrzeć na Ukrainę. W żadnej księgarni w Nowym Jorku czy gdziekolwiek indziej w Ameryce nie znajdziecie książki Tarasa Szewczenki przetłumaczonej na angielski. A Puszkina znajdziecie i jest go dużo. Ukraina przeżywa ciężki okres, ale jednocześnie wspólnota światowa daje szansę – ukraińskiej literaturze, malarstwu i nauce. Otwierają się dla nas drzwi, które do tej pory były szczelnie zamknięte. Ile wiecie o tym, co się dzieje w literaturze w Wenezueli i Kolumbii? Coś o kolumbijskiej wiecie przez Gabriela Garcíę Marqueza, ale co dzieje się w literaturze albańskiej? Amerykanie tak właśnie patrzyli na ukraińską literaturę, wiedzieli tylko, że jakaś jest. To się teraz zmienia. Nasi pisarze zabierają głos w świecie i to jest dla Ukrainy, ukraińskiego narodu, bardzo ważne.

MRB: Co się wiąże z twoją drugą książką poetycką, którą mieliśmy nadzieję zaprezentować – poświęconym wojnie na Ukrainie, zainspirowanej nią tomem wierszy *Psalmy*, która ma się na dniach ukazać w wydawnictwie Pogranicze, prowadzonym przez Krzysztofa Czyżowskiego w Sejnach, bardzo zasłużonym w publikowaniu utworów pisarzy z naszego kręgu kulturowego – ze środka, wschodu i południa Europy. Jej nakładem ukazał się w 2011 roku wybór twoich wierszy *Nitka*, dwujęzyczny, podobnie jak *Wiersze jerozolimskie*, dzięki czemu czytając, możemy uczyć się języka ukraińskiego.

WM: Przed wyjazdem do Polski ukazała się też moja amerykańska książka zatytułowana *Paper Bridge*, wydana przez Plamen Press w Waszyngtonie. Dziewiątego listopada 2022 roku miałem jej prezentację w bardzo ciekawym miejscu, które nazywa się Dupont Underground. To dawna stacja metra. Żeby dojść do sceny, trzeba podziemiami przejść z pół kilometra. Widnieją tam różne ciekawe murale i obrazy ściennie. Ale to bardzo chłodne miejsce, trudno je ogrzać. W teatrze Soho Playhouse odbył się spektakl na kanwie moich wierszy z najnowszego tomu, nosi tytuł *Psalmy*. Jego celem było zebranie pieniędzy dla ukraińskiego wojska, które już zostały przekazane, a także dla piątki ukraińskich pisarzy, którzy zostali w Ukrainie. To młodzi pisarze, potrzebujący wsparcia. Sam ich wybrałem, a pieniądze (po 500 dolarów) już im wysłano. Udało się nam zgromadzić sporą publiczność. To jest broszurka z tego wydarzenia, opublikowana po angielsku i hiszpańsku. Wiersze czytaliśmy po ukraińsku, bo główny aktor i reżyser spektaklu jest artystą z Ukrainy. To Grygor Melskyi, założyciel żydowskiego teatru Mazel Tov w Kijowie, który od czterech lat mieszka w Stanach. W taki sposób też możemy pomagać ukraińskim żołnierzom i twórcom.

MRB: Nie mówiliśmy jeszcze wiele o *Wierszach jerozolimskich*. Książka zawiera nie tylko wiersze, co jest jej zaletą, bo – jak powiedziałeś dziś podczas wykładu – jeden procent każdego społeczeństwa czyta poezję i interesuje się nią. Zdaje się, że tę średnią (1354 osoby) wskazał niemiecki poeta Hans Magnus Enzensberger. Cykl jerozolimski składa się z siedmiu psalmów, pierwszy z nich nie ma tytułu. Forma gatunkowa psalmu jest wspólna dla tych utworów. Nie znam jeszcze twoich wojennych wierszy, czy może raczej wierszy pisanych w czasie wojny, mam nadzieję, że coś o nich opowiesz. Jest znakomity wstęp, który napisał...

WM: ...Yohanan Petrovsky-Shtern. Jest profesorem Jewish Studies na uniwersytecie Northwestern w Chicago.

MRB: Był jednym z twoich przewodników po Izraelu. Twoje *Wiersze jerozolimskie* łączą się z wydarzeniem, które zorganizowaliśmy kilka lat temu tu, w Wypożyczalni Muzycznej – promocją tomiku *Cienie Getsemani* Jana Belcika, poety z Krosna¹³. Jest to cykl wierszy napisany po jego pobycie w Ziemi Świętej. Twój tom ma podobną genealogię, a jednym ze sposobów jego lektury jest potraktowanie go jako swego rodzaju poetyckiego reportażu. To jedna z możliwości, bowiem zwraca uwagę także kunsztowna gra z formułą Psalmów Dawidowych. Stworzyłeś

¹³ J. Belcik, *Cienie Getsemani*, ilustr. M. Makiel-Hędrzak, Rzeszów 2017.

tym razem bardzo regularne wiersze. Twój cykl jerozolimski jest mocno wpisany w tradycję żydowską, starotestamentową, co podkreśla stylizowana litera hebrajska na pięknie zaprojektowanej okładce, podczas gdy Belcik podąża tropami Nowego Testamentu, Ewangelii, Chrystusa i apostołów w Ziemi Świętej. Dlaczego wędrowałeś po Izraelu tropami starotestamentowymi?

WM: Dostałem stypendium Encounter od ukraińsko-żydowskiej społeczności w Kanadzie i pojechałem na piętnaście dni do Izraela. Wtedy Yohanan był w ramach grantu lub stażu na Uniwersytecie Jerozolimskim. Zdecydowaliśmy się, że zwiedzimy Jerozolimę, ale pojedziemy także do Tel Awiwu, Hajfy, Akki i Tsfat. Tsfat to jedno z czterech sakralnych miejsc dla wyznawców judaizmu. Wędrowaliśmy, kąpaliśmy się w morzu w Hajfie, było bardzo przyjemnie. Przyjechaliśmy do Tsfatu w piątek przez szabat. Byłem ubrany w dżinsy i koszulę z krótkim rękawem. Na szczęście miałem czapkę. Mówię do Yohanana: „Będziecie obchodzić szabat, przyjechali chasydzi w tych swoich strojach, ja jeden w tym hotelu jestem gojem”. Wszyscy na mnie patrzą, ale w porządku, jest stół z jedzeniem, wszystko jak trzeba. Yohanan mówi do mnie: „Pójdę się pomodlić do synagogi, a ty sobie pospaceruj”. Chodziłem z aparatem fotograficznym po zaułkach miasta i nagle podszedł do mnie wysoki chasyd. Miał ze dwa metry wzrostu i zapytał mnie groźnie: „Masz mocny aparat?”. Ja na to: „A co?”. On mówi do mnie: „Bo zaraz go rozwałę. Jest sobota, nie wolno nic robić”. To było bardzo ciekawe doświadczenie. Kiedy wróciłem do Nowego Jorku, najpierw napisałem esej o tym pobycie. On jest włączony do tego tomu. Później napisałem wiersze, a kiedy kijowskie wydawnictwo Krytyka zdecydowało się wydać tę książkę, pojawił się pomysł, żeby je przełożyć na angielski. Esey po angielsku był już gotowy, ale okazało się, że byłoby dobrze, gdyby ktoś napisał wstęp. Pomyślałem o Yohananie. To bardzo obszerny wstęp, opisał w nim naszą podróż, scharakteryzował różne wątki mojej poezji...

MRB: Mądry...

WM: Oczywiście. Mogłem napisać *Wiersze jerozolimskie* o współczesnej Jerozolimie, gdzie na rynku Mahane biegają koty, a kiedy idziesz deptakiem koło hotelu King David, faceci proponują ci fotografie pięknych dziewcząt z numerami ich telefonów. W tym świętym mieście jest wszystko.

MRB: Nie tylko sacrum, ale i profanum.

WM: Wszystko jest. Lubiłem chodzić do starego miasta, gdzie są cztery części: chrześcijańska, arabska, żydowska i ormiańska. Zdecydowałem się napisać wiersze, które byłyby wyrazem zachwytu tym miastem i dialogiem z Absolutem.

MRB: Nastroiłeś się tam metafizycznie?

WM: To nie są wiersze religijne, chociaż zawierają biblijne nawiązania. Ważne było moje spojrzenie na Jerozolimę, bo kiedy jest się w tym starym mieście, wszystko działa na ciebie – domy, deptaki, *via dolorosa*, i nawet to, że po prostu mieszkają tam ludzie. Chłopcy jeżdżą na rowerach. Wszystkie ściany pokrywa drut kolczasty. Tu przechodzą żołnierze izraelscy, tam Arabowie. Tu pokazują ci, że to mogiła Zachariasza, a tam jest coś innego. Wszystko jest skupione w jednym miej-

scu i kiedy człowiek przechodzi tamtędy pierwszy raz, myśli sobie: „Jak może tak być?”. Trzy wielkie religie – judaizm, chrześcijaństwo i islam – w jednym miejscu. Kamienie, słońce i te wszystkie języki... Turyści, którzy chodzą za przewodnikami jak owce za pasterzem. Kiedy wchodzisz do świątyni lub miejsca, gdzie modlą się chasydzi lub wyznawcy judaizmu, rozumiesz, że słowa biblijne, które oni czytają na głos, żyją swoim życiem. Dlatego przeczytam wiersz z tego tomu. Miałem w Kijowie spotkanie promujące *Wiersze jerozolimskie*. Zaproszono ilustratora, redaktorke tomu i redaktora wydawnictwa, była osoba prowadząca spotkanie, no i ja. Oni gadają, gadają, gadają, gadają, nikt nie daje mi dojść do słowa. Siedzę spokojnie i wreszcie ktoś z publiczności powiedział: „Pozwólcie autorowi przeczytać choć jeden wiersz”. Przeczytam po polsku, tak?

MRB: Może najpierw po ukraińsku.

WM: Po ukraińsku będzie łatwiej. To ostatni wiersz w tomie – *Psalm drugi*:

Господи – якщо кожна рослина Твоя флейта
і навіть будяк і його джміль
і слина шовкопряда якою склесне
повітря слів – крихка його крейда –
і навіть прихована тінню міль

як цей космос пливе Твоїми шляхами?
як же їм розминутися – як їм йти?
ми не чуємо музики під ногами
камінь дихає дванадцятьма серцями
пагорбом – й містом Твоїм золотим

і якщо можна було б звільнити
флейту від голосу – будяк від джмеля
яке молоко у повітря долити
як тісто в пекарні пухне замісити
щоби проковтнула камінь земля

з початку який задуманий мислею
відправною точкою комет і зірок
навіть якщо би прикинутись мишею
навіть якщо ці пагорби ми залишимо
з порохом на сандалях удвох

і тому що кожній рослині Ти Господин
і в кожному звукові флейти Твій дух
пахне цикорій в пекарні як дим
в запечених яблуках золотих
в хлібові що в молитві в першій рядку

і тому то ніхто не вступить у Твій задум

– прозора драбина і хиткі поверхи –
горлиці над оливками Гетсиманського саду
і вогняні кошики зорепаду
на відстані витягнутої руки

I po polsku:

Panie – jeśli każda roślina jest fletem Twoim
i nawet oset i trzmiel jego
i ślina jedwabnika którą jest zlepione
powietrze słów – krucha jego kreda –
i nawet ćma ukryta w cieniu

jak ten kosmos płynie Twoimi ścieżkami
jak one się mijają – i jak iść mają właśnie
nie słyszemy muzyki pod swymi nogami
kamienie oddychają dwunastoma sercami
Twego wzgórze – i Twoim złotym miastem

i jeśli byłoby można głos rozdzielić z fletem
– a oset uwolnić od trzmiela
jakim napełnić by powietrze mlekiem
jak ciasto pulchne w piekarni zamiesić
by przelknęła kamienie ziemia

która jako punkt startowy każdej komety i gwiazdy
na początku pomyślana została
i nawet jeśli ktoś mysz udawać miałby
i gdyby te pagórki opuścił z nas każdy
z prochem na swoich sandałach

i dlatego, że Panem jesteś każdej rośliny
i w każdym dźwięku fletu jest Twe technienie
pachnie cykorią w piekarni niby
w domu pieczone złote jabłka dymem
i pierwsza linijka modlitwy chlebem

i dlatego nikt nie przejrzy Twego zamiaru
– przezroczysta drabina i chwijne piętra –
turkawki nad oliwkami Getsemańskiego Sadu
i ogniste kosze gwiazd lecących na dół
w odległości ręki wyciągniętej

WM: Drugi wiersz przeczytałem już tylko po polsku. Jest zatytułowany *Między Wzgórzem Oliwnym i Świątynnym*.

w nocy na Wzgórzu Francuskim
ponad gajami oliwkowymi
płynęły powietrzne strugi
do granic Palestyny.

mieszały się jagnięta i kury
w zabitej deskami wiosce
nawet dzieci tam były ponure.
co łatwo było mi dostrzec

w trampkach idąc w dolinę Cedronu
czy też do Jaffskiej Bramy,
w powietrzu oliwnym i cedrowym
bagażem lat przygniatały

z sercem głodu ponad namiotami
w koczujących plemion czasie owym
nie zgodzisz się pewnie z Sartre'ami
co do pojęć kluczowych

nad Oliwnym i nad Świątynnym
noc i niebo adamaszkowe
i na drodze kulawej dziwny
tupot biegnących owiec

w tym powietrzu w słowach zawartych
na jeden tylko oddech
oliwki jak żołnierze wyrosły
i posiadały na schody

na górskich skalistych tarasach
wypatrując pastuchów
widzisz na asfaltowej trasie
owcze stado turystów w ruchu

i pielgrzymów na tych zboczach
w Getsemańskim Sadzie
i w powietrzu duszę swą owijasz
niby w ascety ubranie

MRB: W polskim wydaniu jest jeszcze część zatytułowana *16 innych wierszy*, a na końcu znajdziemy komentarz *1016 słów od tłumacza*. To ważny tekst, Bohdan Zadura nigdy jeszcze tak nie pisał o znajomości z tobą i o przekładaniu twojej poezji. Państwo pewnie usłyszeli – te wiersze Wasyla są rymowane i rytmiczne.

To zawsze wielki problem dla tłumacza, a Bohdan świetnie je przełożył. Czytając współczesnych pisarzy ukraińskich, a szczególnie twoje utwory, mam poczucie bliskości i dobrego zrozumienia. Właściwie nie czuję kulturowej obcości. Piszesz także językiem mojego pokolenia. Jesteśmy rówieśnikami, więc wychowaliśmy się – mimo granic – w podobnym świecie, mamy podobne kulturowe tradycje i fascynacje literackie. Czy ty również odczuwasz bliskość polskiej kultury? Czy pociągało cię raczej to, co jest w niej inne, coś, czego ci brakuje w ukraińskiej? Mieliliśmy teraz przykład – do tego wątku jeszcze wrócę – twoich fascynacji kulturą i tradycjami żydowskimi. To jest część twojego świata, twojej tożsamości, może już nieistniejąca, ale wisząca trochę w powietrzu, przez te trzy główne nacje, bo są jeszcze Ormianie, ważni w Jazłowcu, Żydzi w sztetlach, Ukraińcy na wsi i Polacy... Świat, który jest nam wspólny.

WM: Tak, to jest ten świat, o którym napisałem jedno zdanie, przywołane podczas wykładu w Uniwersytecie Rzeszowskim: „Polacy mieszkali w swoim państwie, Żydzi mieszkali w swoich księstwach, a Ukraińcy mieszkali na swojej ziemi”. To jest Galicja. Dla mnie zawsze tak było. W dzieciństwie słyszałem, że w wiosce, w której mieszkalem, byli Polacy i Żydzi. I zawsze mnie ciekawiło, gdzie oni są teraz. Dziadek i babcia nie mogli dać zrozumiałej, jasnej dla dziecka odpowiedzi. Byli Żydzi, gdzieś zniknęli, byli Polacy i też ich nie ma. Bardzo chciałem zobaczyć Polaków i Żydów. Jacy oni są? Czy to ludzie podobni do nas, jak moi sąsiedzi, czy zupełnie inni? Chcę pisać o wielokulturowości tej ziemi. To jest ważne także dla Ukraińców, bo przecież przez okres Związku Radzieckiego ta część naszej historii została zatarta. Były jakieś domy, napisy w innych językach, w rodzinach wspomniano dawne czasy. Dziś to powraca. Teraz w Buczaczu stoi pomnik Szmuela Agnona¹⁴, są rezydencje dla pisarzy ukraińskich, byłem na jednej z nich. Wtedy po wielu latach pojechałem do Jazłowca.

MRB: Dla Szmuela Agnona, co zresztą napisałeś w eseju, Buczacz był żydowskim miastem, jakby nie mieszkał w nim nikt inny....

WM: Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku zadzwonił do mnie Jurko Andruchowycz, który powiedział: „Tu jest gość z Izraela z francuską ekipą filmową, szukają żydowskich śladów, chcą przyjechać do Tarnopola. Czy mógłbyś pokazać im miasto?”. Okazało się, że to jest córka Szmuela Agnona, Emunah Yaron, która mówiła tylko w dwóch językach – po hebrajsku i angielsku. Dogadywaliśmy się po angielsku, ale okazało się, że jej mąż jest z Łodzi i świetnie mówi po polsku. On po polsku, ja po polsku, jakoś się zakreśliło. Byłem w muzeum Agnona w Jerozolimie, kiedyś na peryferiach, dziś w centrum miasta.

MRB: Zastanawiam, czy w Polsce znamy Agnona. To, co o nim piszesz, jest bardzo ciekawe. Myślę o tym, jaka jest jego polska recepcja, czy w ogóle ją mamy.

¹⁴ Szmuel Agnon, właśc. Szmuel Josef Czaczkes (1888–1970) – ur. w Buczaczu izraelski prozaik i badacz tradycji żydowskich. Laureat literackiej Nagrody Nobla w 1966 r. (współlaureatką była niemiecka poetka żydowskiego pochodzenia Nelly Sachs). W 1907 r. osiadł w Palestynie, w latach 1913–1924 mieszkał w Niemczech. Zmarł w Izraelu. Jego powieści i opowiadania, pisane w języku hebrajskim przedstawiają świat galicyjskich chasydów z przełomu XIX i XX w.

WM: W 1966 roku razem z Nelly Sachs dostał literackiego Nobla, a pochodził z Buczacza.

MRB: W jakim języku pisał?

WM: W hebrajskim. Dyrektor jego muzeum w Jerozolimie¹⁵, Jeffrey Saks, organizuje różne wydarzenia i konferencje. Często bywam ich gościem. Ostatnia odbyła się zdalnie, ale są też plany zorganizowania międzynarodowej konferencji o Agnonie. Ukraińcy bardzo cenią takie związki i takie wątki. Myślę, że dla Ukrainy to bardzo dobrze, bo pokazuje z jednej strony wielokulturowość i wielonarodowość kraju, a z drugiej uczy młodsze pokolenie dialogu z innymi narodami i ludźmi, a to jest bardzo ważne. Jeżeli nie ma dialogu, to mamy wojnę. Przeczytam następną wiersz z tomu *Wiersze jerozolimskie i 16 innych wierszy*, ale proszę potraktować go z dystansem. Ma tytuł *Pomnik*:

a kiedy się echem i wspomnieniem stanę
i kiedy pomnik tam w Czortkowie stanie
w pobliżu Bristolu – niedaleko rynku
koło powietrza tamtego budynku
w którym ja i tato i mama
i polski rower, i rosyjska rama.

i deszcz i śnieg karmić będą wodę Seretu
„a czyj to pomnik” „jakiegoś poety”
„a co on pisał i czym on oddychał”
„jeździł rowerem – przesiewał przez szprychy
to światło które zastygało w słowie”
„dlatego teraz stoi tu, w Czortkowie?”

„a od którego wieku, od którego wiersza
woda w Serecie robi się zieleńsza?”
„a czemu on wyjechał, został w Nowym Jorku?”
„bo mówił, że jest rybą, co ma diament w oku”
„ile poszło na to brązu, ile miedzi”
„stawiali go przez miesiąc – tak mówią sąsiedzi”

„a z Ameryki czy Czortków odwiedzał?”
„był tutaj podobno na tym skwerku siedział”
„w tym Bristolu nawet mieszkać był gotowy”
„ubierał się porządnie i nie nosił brody”
„bywał w tym Czortkowie miesił jego glinę”
„ponoć zawsze najbardziej lubił tutaj zimę”

no to dobrze że coś tu stanęło w ogóle”
„miasto kultury – i nowe reguły”

¹⁵ <https://agnonhouse.org.il/english/>.

„przynajmniej cień jego w kurz tu padać będzie”
 „spójrz jak pająk srebrną nitkę sobie przędzie
 i piwo dobre – to i żyć miło powiem
 i rzeka koło nas tak przepływa sobie”

„trudne czy też proste o czym są te wiersze?”
 „ja nie czytałem – podobno są gęste
 dużo tam miodu gliny dzwonek krowich
 mówił że pisanie to czyszczenie mowy
 ze słów – zbędnych co mu przeszkadzały”
 „poezja to żądło osy – mówił jeszcze”

i póki nie wspomniem a krwią i ciałem jestem
 i póki Czortków w koronie jest koroną,
 szukam pałacu i wieży spojzeniem
 do klamki która nie ma drzwi się zbliżam
 trzymam miasto za karasia pletwę
 i ono mnie trzyma
 i sam nie jestem

Roman Adamski: Jak wygląda sytuacja ukraińskich pisarzy na wschodzie kraju? Im bardziej na wschód, tym pewnie jest trudniej. Powiedział pan, że zebraliście wsparcie dla pięciu pisarzy. Gdzie oni są, czy walczą? Utrzymuje pan z nimi relacje?

WM: Jeden z pisarzy, dla których zbieraliśmy pieniądze, mieszka w Buczy. Jest białoruskim poetą, który poślubił Ukrainkę. Ich dom został zniszczony. Teraz wrócili i go odbudowują. Jest też młody poeta z Kijowa, który ma żonę i małą córkę. Dwie poetki pochodzą z Doniecka, wyjechały na zachód, gdzieś w okolice Lwowa. I jeszcze poetka z mojego miasta Tarnopola, Hanna Osadko, której mąż zginął na froncie. Latem został pochowany w Tarnopolu. To był mój osobisty wybór. Pomyślałem, że to nieduża kwota, ale może im jakoś pomoże. Dostałem od nich listy, byli bardzo wdzięczni. Czułem się tak, jakbym sam coś dostał. Część ukraińskich pisarzy przebywa na Zachodzie: w Polsce, Niemczech, Austrii. Jest im łatwiej, bo są na stypendiach i przez jakiś czas mogą sobie jakoś radzić. Ale ci, którzy zostali, szczególnie na wschodzie, potrzebują wsparcia. Nie wiem, czy teraz będą wychodzić książki, czy będzie jakieś życie literackie. Ukraina to nie jest Ameryka czy Polska, gdzie przyjeżdżasz do uniwersytetu albo na festiwal, wszystko jest zorganizowane, opłacone, dostajesz honorarium. Tam panują zupełnie inne warunki. Jestem w kontakcie z niektórymi pisarzami, ale wszystkim nie mogę pomóc. Jeżeli za te wiersze, które zostały wykorzystane w nowojorskim spektaklu, można zarobić jakieś pieniądze, oczywiście nadal będę im pomagał.

Katarzyna Gudzik: Przyjechałam nie z Dubna, ale z Dębna. Jestem tu dzięki Monice Balickiej, od której dowiedziałam się o pańskich korzeniach. Boh-

dana Zadurę kojarzyłam z zajęć z literatury, stąd też moja obecność tutaj. Pierwsze pytanie nie będzie pytaniem, ale prośbą. Skoro jesteśmy na Podkarpaciu, a pański ojciec pochodził z Dubna, czy byłoby możliwe, żeby przeczytał pan ten wiersz, którego bohaterką jest pani Monika.

WM: Tak, oczywiście.

KG: Drugie moje pytanie jest inne. Mawia się, że nie istnieje poezja po Zagładzie. W tym momencie Ukraina znajduje się w stanie wojny. Czy pana zdaniem można tworzyć literaturę w trakcie wojny? Czy to jest raczej spisywanie doświadczeń, dzienników?

WM: Często o tym myślę. Wiersze, które napisałem o wojnie, powstały bardzo szybko, w ciągu dwóch miesięcy. To były emocjonalne reakcje na sytuację w Ukrainie. Niektóre z nich są bardzo proste i to było świadome. Później napisałem cykl o dawnym chińskim poecie Du Fu z epoki Tan. W czasach kiedy żył, tam, gdzie mieszkał, toczyło się wiele wojen. Stracił dom, swoje rękopisy, to było trudne życie. Chciałem zupełnie innymi środkami pokazać, co to jest wojna. Nie tylko wprost mówić, że wojna to Bucza i Mariupol. Poezja jest takim mobilnym gatunkiem, który może sobie pozwolić na momentalną reakcję. Mamy wiedzę pochodzącą z mediów, ale poezja może dodać emocje do faktów. Trudniej jest z prozą. Teraz powstają i ukazują się dzienniki. Powstaje kronika, którą piszą mass media. Możemy ją czytać, spisują ją również pisarze, którzy przeżyli albo przeżywają wojnę, a na wschodzie rosyjską okupację. To osobiste doświadczenie jest bardzo ważne. Jeżeli natomiast chodzi o prozę artystyczną... Myślę, że niezbyt szybko powstanie coś wartościowego na temat tej wojny. Trzeba to dobrze przemyśleć. Literatura potrzebuje czasu. Jeśli przyjrzymy się literaturze straconego pokolenia I wojny światowej – pisarzom takim jak John Dos Passos, Ernest Hemingway, Erich Maria Remarque – to oni napisali swoje powieści o wojnie dwa, trzy lata po jej zakończeniu. To młode pokolenie miało już jakąś świadomość przyczyn tej wojny, jej kosztów i ofiar. Nie jestem zachwycony tym, że w Ukrainie po kilku tygodniach i miesiącach wydaje się powieści o wojnie. Taki temat potrzebuje czasu, przemyśleń, refleksji. Myśl, którą pani przywołała, o poezji, która nie może istnieć po Zagładzie, to słowa Theodora Adorna. Sądzę, że nie mówił o tym, że poezja przestanie istnieć, ale że poezja, literatura po Zagładzie musi być inna, spojrzenie ludzkości musi ulec zmianie. Rozumienie tego zdania często jest chybione, bo interpretuje się je tak, jakby powiedział, że literatury miałoby już nie być. Nie. Trzeba odczytywać te słowa w innych kontekstach.

KG: Też tak rozumiem to zdanie. Zajmuję się wspomnieniami osób, które ocalały z Zagłady, czasami sięgam do poezji tworzonej w trakcie wojny. Chodziło mi o to, czy pan jako Ukrainiec uważa, że to, co powstaje, kiedy toczy się wojna, jest literaturą. Nie chcę porównywać tych sytuacji, ale przy okazji pandemii pojawiły się wątki osobiste, publikowano wspomnienia. Czy pisarze ukraińscy zrzeszają się i publikują różne teksty dotyczące aktualnej sytuacji? Czy wy – ukraińscy pisarze – patrzycie na to, co piszecie w kategoriach literatury pięknej czy literatury faktu?

WM: Myślę, że to raczej literatura faktu – te wszystkie wspomnienia, kroniki, spisywanie osobistych doświadczeń. Sądzę, że literatura piękna przyjdzie później. Musi być spojrzeniem z pewnej perspektywy, a teraz nie możemy wszystkiego ogarnąć. Nie wiemy też wszystkiego, dlatego musi pojawić się dystans czasowy. Wtedy powstaną wielkie teksty literatury ukraińskiej. Co do pani prośby o przeczytanie wiersza... Ta książka o Dubnie nigdy by się nie ukazała, gdyby nie Monika Balicka, która mieszka w Dębnie/Dubnie i była motorem jej powstania. Powiedziała mi: „Wasył, musimy coś zrobić”, i wszystko zorganizowała. Kiedy przyjechałem na jej promocję z Zadurą, sala w Muzeum Ziemi Leżajskiej była tak wypełniona, że godzinę podpisywaliśmy książki. Napisałem wiersz zatytułowany *Dubno, koło Leżajska*, taki jest też tytuł tej książki, jej wydawcą jest Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Dębno. Jestem również poetą wsi Dębno i to mnie bardzo cieszy:

Dubno, koło Leżajska

Monika wyciska szybkość ze swej skody.
Lipiec za Sanem zielony jak kukurydza.
Zapach papierosów Monice nie szkodzi –
zwyczaj, który jeszcze wyniosła ze szkoły:
paczka fajek w kieszeni – kusiutka spódnica.

Gnamy tak jak w kryminale łotrzyki,
ja – od Nowego Jorku w czterdzieste wciąż głębiej,
Monika – wyciągnąwszy ramiona i obojczyki –
między tirami zuchwale przemyka,
na kartofle i krowy trąbiąc, szosą pędzi.

W Dubnie, co koło Leżajska nad Sanem,
Po ojca mego dzieciństwie przechodzę.
I chmury – jak krowy – lecą tak samo,
i dzieci gonią po trawie za psami,
i myślę, że je po rzece dogonię.

W tym powrocie – mówi do mnie Monika –
jest coś, co w sercu kołacze i dudni:
kłuje jak ćpuna lub alkoholika.
Przygodna Polka próbuje przenikać,
czego ja oczekuję po Dubnie?

Może i na mnie czeka wagon z przesiedleńcami.
Ojciec z rodzeństwem swoim czeka jeszcze.
Oficer na zimny peron nas prowadzi,
zostawiamy ziemię i w sen zapadamy
między świętami a Sylwestrem,

lecz Monika mówi, że do Łańcuta skręca.
Czerwonych Gitar puszcza kiedyś modny
przebój *więc po drodze* śpiewają – kto dziś pamięta –
cieple technienie i świeca zdmuchnięta
i pięcioletni chłopiec do chmury podobny,

siedzę w aucie i prawie nie słyszę silnika,
cichną Czerwonych Gitar i Moniki głosy.
Że mój pociąg rusza we wtorek, wie Monika.
Widzę piątkę dzieci, która w furgonce znika,
Widzę jak Dubno do nieba się wznosi.

MRB: Opowiadałeś podczas spotkania na uniwersytecie o tym, jak Szuber wykreował mit Sanoka. Mamy Sanok realny, ale jest też drugi, mitologiczny i literacki. Dzięki tobie Dębno/Dubno też przeniosło się w sferę mitu.

WM: Jeżeli mieszkańcy Dębna będą tak myśleć, będą zachwycony i dumny. Na razie myśli tak tylko Monika.

MRB: Szczęśliwe miejsce, które ma poetę – parafrazując Czesława Miłosza. Pokazałeś mi także swój tom amerykański, który ukazał się niedawno. Czy ten kanon wierszy, który wybrał tłumacz, pokrywa się z tym, który wybrał Żadura, czy są między nimi różnice? Bohdan chwali się tym, że przetłumaczył ponad jedną trzecią twojej twórczości poetyckiej, a to jest jednak skromniejszy wybór.

WM: Ale to jest moja trzecia książka po angielsku.

MRB: Zastanawiałam się, porównując na przykład przekłady Szubera na angielski lub właśnie na ukraiński, jak tłumacze wybierają wiersze.

WM: Sprawa z angielskimi tłumaczeniami jest taka, że to musi być coś, co przemówi do amerykańskiego czytelnika. Nie mogą być to wiersze, o których powiedzą: „Co to jest ten Czortków?”. To dla nich nic nie znaczy. Patrzy się także na rynek książki. Wiersze z najnowszej amerykańskiej książki pochodzą z moich dwóch ostatnich tomików – *Papierowy most* i *Jednożaglowy dom*. Pierwszy ukazał się w 2019 roku, drugi w 2021. Wydało je ukraińskie wydawnictwo Ctraporo Jleba. Tłumaczka wybrała z nich czterdzieści wierszy. Nigdy nie pytam tłumaczy i tłumaczek o to, które utwory przełożą. Oni tłumaczą i pokazują mi przekłady, ja się zgadzam na ich wersje. Uważam, że to normalne. Inaczej jest, kiedy tłumaczy się prozę. Powieść *Kalendarz wieczności* została już prawie przełożona na angielski i w połowie na niemiecki. Jestem z jej tłumaczami w stałym kontakcie, pytają mnie o różne rzeczy. Kiedy książkę redagowano w Państwowym Instytucie Wydawniczym, było dwóch specjalistów: jeden od historii Imperium Osmańskiego, a drugi od czegoś innego. Też mieli swoje uwagi. Bardzo mnie rozbawiło, gdy historyk osmański napisał: „Tak nie mogło być, ale to wyobraźnia autora, niech pozostanie”. Był życzliwy, nie chciał zmieniać tego epizodu. Kiedyś spotkałem się z Olgą Tokarczuk w Nowym Jorku, jeszcze przed jej Noblem. W Yonkers mieszka Iza J. Barry, która organizuje salony literackie, tam się spotkaliśmy. Pracując nad tą powieścią, przypomniałem

sobie, co opowiadała Olga. W pewnym miejscu *Ksiąg Jakubowych* napisała, że kobiety siedzą i szyją za pomocą igieł. I te igły błyszczą, odbijają światło. Później jeden profesor jej powiedział, że w tym czasie igieł metalowych jeszcze nie było. Były tylko drewniane, a od drewnianych żadne światło nie mogło się odbijać.

MRB: To mi przypomina anegdotę dotyczącą pierwszej powieści Olgi, *Podróży ludzi Księgi*, która rozgrywa się w siedemnastowiecznej Francji. I pojawiło się pytanie: do jakiej wysokości rosną i owocują w górach porzeczki? Ile rzeczy musi pisarz wiedzieć... Twoja książka jest pod tym względem podobna, obejmuje kilka epok historycznych, musiałeś wejść w różne światy: turecki, żydowski, polski, dawny ukraiński.

WM: Kiedy skończyłem pisać tę powieść, moja żona była bardzo szczęśliwa. W moim gabinecie na podłodze wszędzie leżały artykuły, rozprawy i książki. Przypominał labirynt. Dwa razy podczas pisania odwiedziłem Stambuł, chciałem zobaczyć, jak wygląda Topkapi, Morze Marmurowe, zorientować się w tym mieście, bowiem kilkakrotnie pojawia się w powieści. Pierwszy raz pojechałem specjalnie do Stambułu, później dostałem zaproszenie na międzynarodowy festiwal poezji. Trwał dziesięć dni, miałem tylko dwa wystąpienia, a poza tym chodziłem i zwiedzałem. Byłem też w Jerozolimie i w Jazłowcu. Bardzo mi się podobała pierwsza recenzja we „Frazie”, gdzie napisano, że to *Kalendarz wieczności* nie jest powieścią historyczną¹⁶. Niektórzy ukraiński krytycy pisali, że to jest powieść historyczna i wskazywali, gdzie się pomyliłem. Historia jest ważna, jest tłem zdarzeń, ale chciałem napisać powieść o brudzie życia na tym małym kawałku ziemi, o tym, że przez stulecia przychodzą wojny, mijają państwa, zmieniają się generacje, a ta ziemia trwa. Ona jest, chociaż wszystko się zmienia. Przeszłości nie można dzielić tylko na czarne i białe, na plusy i minusy. W mojej powieści jest całe spektrum wartości: Ukraińcy, Polacy, Ormianie, inne ludy, wojacy, którzy przychodzą i rabują. To jest historia lokalna i globalna, bo każda rzecz lokalna wiąże się z czymś globalnym. Jeżeli wiatr wieje na plaży i piasek się przemieści, to jest bardzo ważny detal, bo coś znaczy. Jeżeli w ciągu czterystu lat zmienia się wszystko na tym skrawku ziemi, to także coś znaczy. Chciałem znaleźć odpowiedź dla siebie i żeby czytelnik też tak na to spojrział, doświadczył tego ruchu z szerszej perspektywy. To nie jest powieść historyczna i walczę z krytykami, którzy tak o niej piszą. Walczę w ten sposób, że nie wypowiadam się o tym, co oni piszą, ale w wywiadach albo na spotkaniach pozwalałam sobie na swoją wizję tego, co założyłem sobie w tym utworze.

Oksana Weretiuk: Pisziesz w tej powieści o Galicji „salamandrowa ziemia”. Z czym kojarzy ci się salamandra? Mnie kojarzy się z Karelem Čapkem i wojną z salamandrami lub jaszczurami w *Inwazji jaszczurów* z 1936 roku.

WM: Znam tę powieść, ale inspiracja była inna. Przeczytałem opowieść Ewilji Czelebiego, tureckiego podróżnika, który wędrował przez ziemie Ukrainy.

¹⁶ M. Zatorska, *Co to za kraj? O powieści Wasyla Machno „Kalendarz wieczności”*, „Fraza” 2020, nr 3-4, s. 40-43.

By metaforycznie opisać, że ta ziemia jest w ogniu wojny, napisał, że to jest salamandrowa ziemia, że salamandrą trzeba gasić ogień. Metafora salamandrowej ziemi wydała mi się bardzo trafna.

MRB: Salamandra jest symbolem ognia?

WM: Tak. W powieści pewien kupiec wozi ze sobą salamandry, bo ktoś mu podpowiedział, że jeśli będzie pożar, to one go przed nim uchronią. Przyjechał na rynek w Jarosławiu, przywiózł towary i wtedy wybuchł tam straszny pożar. Wszystko się paliło, nawet konie. Kupiec stracił zmysły, później bał się ognia. Dlatego woził ze sobą salamandry, żeby w razie czego wrzucić je do ognia, a wtedy może on sam i jego majątek nie spłoną.

Janusz Pasternski: Czy możesz przeczytać jakiś fragment powieści?

WM: Chętnie, jeśli mamy czas.

MRB: Wasyl od wielu lat mieszka w Ameryce i opowiadał mi, że tam spotkanie autorskie trwa 45 minut, z których piętnaście przewidziane jest na pytania i koniec. U nas norma to dwie, trzy godziny.

WM: Przeczytam początek powieści, bo trudno mi znaleźć tamten salamandrowy fragment. Kiedyś byłem zaproszony do Belgradu na festiwal literacki. Chodziliśmy od knajpy do knajpy z poetą *Radomirem Andrićem*, prezesem Stowarzyszenia Serbskich Pisarzy, ale pamiętałem, że o siódmej mamy czytanie w Teatrze Narodowym, który nazywa się po serbsku *pošoriste*. Czesi mają *divadlo*, u Serbów jest *pošoriste*, od słowa *pošor*, patrzeć. Nie od pozorów, ale od patrzenia. Czas mija, mówię do Andrićcia, że o siódmej mamy czytanie, a on na to, że spokojnie, mamy czas na wszystko. Przyszliśmy o ósmej i okazało się, że zdążyliśmy, spotkanie wciąż jeszcze trwało. Przeczytam początek pierwszego rozdziału, zatytułowanego *Mesjasz ze Smyrny*:

Nasza historia zaczyna się jesienią roku 5426 od stworzenia świata i 1666 od narodzin Chrystusa, 1115 wedle kalendarza ormiańskiego i 1076 wedle muzułmańskiego kalendarza hidżry, gdy ze smyrneńskiego portu wypłynęła galera. Zdarzenie, na które można by nie zwrócić uwagi, gdyby tą galerią płynął do Stambułu ktoś inny, a nie sam Sabataj Cwi, mieszkaniec Smyrny, który ogłosił światu swoje postanowienie. Nadchodziły lata, o których z lękiem debatowali uczeni w piśmie Żydzi i chrześcijańscy teologowie, żeby zrozumieć, co czeka ten świat. A oczekiwali na przyjście Mesjasza i na koniec świata. Dlatego też nie cichły spory w synagogach, bo uczeni w piśmie, podążając za każdą literą Tory, śliniąc palce, rozwijali zwoje pergaminu, aby zgłębić słowa najpierw oczami, a następnie rozumem. A teologowie, jak Joanicjusz Galatowski, byli przekonani, że tylko chrześcijanie trzymają się prawa Mojżeszowego, a więc tylko oni zostaną zbawieni. Astronomowie przyglądali się niebu, wypatrując gwiazd i innych niebieskich oznak, żeby jako pierwsi zauważyć cokolwiek dającego jakąś wskazówkę o dniach ostatnich. A wiadomo, że przed dniami ostatnimi przyjdą fałszywi mesjasze, wojny, głód, choroby, potopy i nastanie ferment we wszystkich narodach. W Londynie, na przykład, szalała wtedy dżuma, przywleczona przez holenderskich kupców. Urzędnik Królewskiej Admiralicji Samuel

Pepys w swym dzienniku zapisze, że po zarządzeniu władz o wybicu wszystkich psów i kotów obszar epidemii tylko się rozszerzył. Przez całe lato szczury roznosiły śmiertelną chorobą, a mieszkańcy Londynu wynosili trupy z domów i układali je na ulicach, bo nie było czym wywozić ich na cmentarze. I dopiero na początku września królewski piekarz zapomniał wygasić piec, w którym piekł chleb dla dworu – i wtedy pożar strawił pół miasta. Wraz z budynkami spłonęli także roznosiciele choroby – i wszyscy, którzy opuścili Londyn, powrócili. I byli też na świecie ludzie, o których zapomniano i dlatego my też nie możemy ich pamiętać. A ten Sabataj Cwi, który podzielił świat na dwadzieścia sześć części (o czym opowiemy później) dla swoich wyznawców, zupełnie się nie przejmował, że imperia i królestwa od dawna już władają tym, co on tak lekko rozdaje. Imperium Osmańskie, Hiszpania i Portugalia, Cesarstwo Moskiewskie i dynastia Qing w Chinach, rezygnacja patriarchy Nikona i odkrycie grawitacji przez Izaaka Newtona, angielsko-duńska wojna i pierwsza drukowana Biblia w języku ormiańskim wydana w Amsterdamie – oto czemu to wszystko, powiązane niewidzialnymi nitkami historii, żyło wtedy w oczekiwaniu na dni ostatnie, bo ostatnie dni zawsze są z nami.

MRB: To bardzo dobre zakończenie, optymistyczne. Wydaje się nam, że dziś mamy koniec świata. A ostatnie dni dzieją się zawsze, po nas przyjdą inni.

WM: Absolutnie. Ten tekst jest wielokulturowy i są w nim różne poziomy. Krytycy nie zauważyli jego wewnętrznego rymowania. O Sabataju Cwi mówi się w pierwszej części, osmańskiej. Później mówi się o nim w drugiej części, podczas II wojny światowej, gdy ukraiński ksiądz odnajduje w swoich dokumentach jakieś hebrajskie papiery. Wtedy z Tłustego ucieka dwójka Żydów, jeden z nich zna język hebrajski i ten ksiądz, który ich przechowuje, prosi, by odczytał te pisma. Okazuje się, że jest to list Natana z Gazy do jazłowieckiego kahału o Sabataju Cwi. Chciałem, żeby te detale zostały zauważone, bo są ważne, na nich opiera się architektonika powieści. Wielu ukraińskich czytaczy mówiło mi, że do 170 strony stale myśleli, żeby przestać czytać tę książkę. Gdy pytałem dlaczego, odpowiadali, że bohaterów jest tak wielu, że kręci im się w głowie. Ale po 170 stronie szło już łatwiej, dlatego proszę, żebyście państwo wytrzymali do 170 strony.

MRB: Bardzo dziękujemy Wasylowi za przyjazd do nas i za to, że mogliśmy posłuchać, jak czyta i mówi, poznać go trochę bliżej. Pani dyrektor i Biblioteczka Wojewódzkiej i Miejskiej w Rzeszowie dziękują za gościnę, i przede wszystkim państwu, bo czytelnicy, „czytaczce” po ukraińsku, są najważniejsi. Bez nich – bez was – nie byłoby nas, piszących literaturę i ją badających.

WM: Chciałbym podziękować wszystkim, którzy przyszli, organizatorom, zwłaszcza Magdzie za wszystko, co zrobiłaś, bym mógł po raz pierwszy przyjechać do Rzeszowa. Dziękuję.

Zapis i redakcja Matylda Zatorska
Współpraca i przypisy Magdalena Rabizo-Birek

Wasył Machno

UMYWANIE NÓG

Czternastego dnia miesiąca Nissan zaczęło się święto Paschy. Wszystko, co będzie się działo w ciągu następnego tygodnia, poczynając od Przaśników – to wielkie święto i dlatego do miasta przybywało mnóstwo pielgrzymów. Po pojmaniu, sądzie, straceniu i Jezusowym zmartwychwstaniu dzień święta Paschy dla chrześcijan przesunąć się o jeden dzień w stosunku do tygodnia hebrajskiego. Za siódmy dzień Żydzi uważali Jom Sabat. I kiedy stało się to, co się Stało, nowotestamentowa Pascha zaczęła się i odtąd zawsze już zaczynała się w pierwszą niedzielę pierwszej pełni księżyca, obliczana na podstawie dłoni, nazwanych dłońmi Jana Damasceńskiego, na których odczytywało się dwadzieścia osiem kręgów słońca – na lewej, i dziewiętnaście kręgów – na prawej, wedle których określano dzień zmartwychwstania. Ale do czasu stracenia Jezusa ostatnim – siódmym dniem tygodnia było Jom Sabat. Na siedem dni przed Paschą, kiedy dni tygodnia nazywano po hebrajsku a nie inaczej, Kajfasz szczególnie sumiennie zachowywał czystość. Czy nie co roku przed Paschą ogarnia go to szczególnie drżenie, gdy wchodzi do Świątyni? Jednak od jednej myśli piecze go w dołku. Wewnętrzna zgryzotę tłumaczył sobie lękiem przed buntem. Wystarczyłaby byle prowokacja, bo wtedy rzymscy żołnierze bezlitośnie wysieką pobudzony judejski tłum. Czy będzie wiedział, kto i z jakimi zamiarami przybędzie do wiecznego miasta? Z nożem ukrytym za pazuchą czy z czystą duszą, by wypełnić Paschę? Bał się jednego – jeśli dojdzie do zamieszek, Poncjusz Piłat zastąpi go kimś innym, jak piętnaście lat temu stało się z Annaszem, jego teściem. Annasz zachowawszy członkostwo w Sanhedrynie, zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby na czele rady judejskiego narodu stał jego zięć, czyli on, Kajfasz. Wysyłani przez Kajfasza słudzy wracali z galijskich osad i miasteczek, opowiadając o cudach i prorocत्वach Jezusy. Pierwszy kapłan wysłuchiwał przyniesionych na językach wieści. Przypominało mu się, jak to dwadzieścia lat temu przyszedł do Świątyni ze swoimi rodzicami podrostek, z którego ust słowa zlatywały niczym gołębie. Kajfasz szykował się wtedy do przejścia urzędu pierwszego kapłana, bo nad głową Annasza zbierały się czarne chmury niezadowolonia Rzymian. Wśród star-

* Fragment powieści *Anioł i osioł: z wierszami o ogniu i wodzie*.

szych i mędrców, którzy kołem otaczali Jezusę i go słuchali, Kajfasz siedział w drugim rzędzie, a za nim, oddychając mu w kark, tłoczyli się gapie. Dziwny był to widok dla kogoś z boku – wokół podrostka zebrało się tylu siwo-brodych mędrców. A jeśli wówczas ktoś z ciekawości podchodził bliżej, usłyszane słowa i przenikliwy umysł Jezusy robiły na nim wrażenie. Jak się okazało, rodzice Jezusy sądzili, że chłopiec z innymi pielgrzymami wraca do Betlejem, ale nie znalazłszy go wśród nich, zawrócili z połowy drogi. Kajfasz zapytał siedzącego obok lewitę, czy wie, ile chłopiec ma lat. Ten odpowiedział, że dwanaście. „Nie każdy uczony w piśmie – pomyślał Kajfasz – dożywając podeszłego wieku, tak dobrze zna Mojżeszowy Pięcioksiąg”. Tak samo myśleli wszyscy, którzy słuchali wówczas Jezui. Myśleli także, że dopiero za rok zostanie wezwany, by odczytał fragment Tory i założy mu tefilin, wypowiadając błogosławieństwo: „Baruch ata ado-nai elo-einu melech aolam asher kidshanu bemitzvotav vetsivana legoniah tefillin”. „Skąd to u niego?” – roilo się w głowie Kajfasza. Zostawszy pierwszym kapłanem, od czasu do czasu wracał myślą do spotkania z niezwykłym chłopcem z Galilei, ale ten zniknął jak kamień w wodę. Trzy lata temu poganicze karawan przynieśli do Jerozolimy wieść o młodym proroku i Kajfasz natychmiast wysłał swoje sługi do Galilei. Zeszłej Soboty odprawiano ofiarę korbanot a musaf. Kajfasz wszedł do Świątyni jak zawsze w towarzystwie kohenów i lewitów. Tym razem wszystkich, którzy tam byli, zdziwiło, jak spokojnie ofiarne zwierzę, nie opierając się, dało się zabić. Zwisająca głowa cielęcica leżała na ofiarnym kamieniu, podrygując. Kajfasz odłożył ostry nóż, którym przed chwilą przeciął zwierzęciu szyję, i pierwszy raz po tylu latach służby przyłapał się na myśli, że duszący zapach ciepłej krwi przypomina teraz zapach terpentyny. Z przeciętej szyi tryskał brązowy strumień, i lewita, scedzając jego resztki, opryskał się od głowy do stóp. A jakże może być niemiłe to, co miłe jest Najwyższemu? Odprawivszy rytuał, Kajfasz umył ręce z krwi, wytarł je i poszedł się przebrać. Już wychodząc, zobaczył na podwórzu przed mosiężnym ołtarzem, jak jeden z kohenów, wzięwszy od kobiety parę gołębi, skręcił jednemu szyję oraz skrzydła i krwią przyniesionego na ofiarę pomazał pióra drugiego gołębia, po czym go wypuścił. W domu czekała na Kajfasza wieść o przybyciu Poncjusza Piłata. Doniesiono mu, że prokurator wjechał Bramą Damasceńską i zatrzymał się w twierdzy Antonia. Z Galilei na święto Paschy przyjedzie także Herod Antypas. Jezua z uczniami nocował wtedy za murami miasta w pobliżu Góry Oliwnej. Jeden z jego bliskich, Juda Iskariota, skarżył się, że nawet przed świętem trudno teraz zebrać dostatecznie dużo środków na wynajęcie mieszkania w mieście. „Gdzie podziała się szczodrość i ofiarność naszego narodu?” – powiedział na głos, zaglądając do pustego skórza-

nego trzosu. Jezua przemilczał narzekania Judasza. Zebranych datków było rzeczywiście tyle, co kot napłakał. Wtedy któryś z uczniów, być może Jakub, syn Zebedeuszowy, zaproponował ten ogród u podnóża góry. A więc miejsce jest bezpieczne. Ze wszystkich stron przybywali na święto pielgrzymi, większość z nich nocowała w okolicy, bo w mieście wszystko, co nadawało się do wynajęcia, było już zajęte. Przeważnie podróżowali nie sami, a – spętawszy ich nogi sznurkiem – z jagniętami, które albo ze sobą przynieśli, albo kupili koło Świątyni, na Owczym Targu. U progu czwartego dnia Jom Hamishi w Jerozolimie zebrali się już wszyscy, którzy zajmą w tej historii odpowiednie miejsce. Właśnie tego dnia, gdy wieść o przybyciu Piłata Poncjusza dotarła do uszu Kajfasza, pierwszemu kapłanowi doniesiono, że od wschodniej strony Bramą Złotą na osiołku wjechał do Jerozolimy Jezua Nazareńczyk. Niepokoiło Kajfasza, że ludzie witali go tak uroczysto, jakby to król judejski wstępował na tron. Bo wówczas mieszczanie, dowiedziawszy się, którą bramą wjeżdża władca, stawali po obydwu stronach procesji z gałązkami palmowymi w rękach i radośnie wołali: „Hosanna!”. Wezwany przez Kajfasza uczony w piśmie przeczytał słowa proroka Ezechiela: „I rzekł do mnie Pan: «Ta brama ma być zamknięta. Nie powinno się jej otwierać i nikt nie powinien przez nią wchodzić, albowiem Pan, Bóg Izraela, wszedł przez nią. Dlatego winna ona być zamknięta. Jedynek władca może w niej zasiadać do uczty przed obliczem Pana. Wchodzić jednak winien przez przedsionek przy bramie i tą samą drogą znowu wychodzić».”. „Jeśli uczony w piśmie – myślał Kajfasz – wiernie przeczytał Ezechiela i w tym wersecie chodzi właśnie o tę bramę, to co to wszystko znaczy?”. Postanowił poradzić się Annasza i udał się do domu teścia. Miasto napełniało się pielgrzymami, którzy włóczyli się wąskimi uliczkami, przeszkadzając jeden drugiemu. Z piekarni pachniało prażnikami, wszędzie toczył się handel i nawet w Świątyni przekupnie i bankierzy, ciesząc się z napływu chętnych, sprzedawali swój towar. Dom Annasza był o dwa kroki, więc Kajfasz nie siedł długo. Uniknął przepychanek, których w takie dni się nie ustrzeże ani biedak, ani areykapłan. Drogę torowali mu koheni i lewici, rozpychając tłum na wszystkie strony. Wszedłszy do domu, zobaczył w jednej z komnat Annasza i pochwycił jego przestraszone spojrzenie. Rok temu o tej porze też się spotkali, żeby omówić przybycie prokuratora, lecz tylko mimochodem wspomnieli o Jezua, o którego cudach i nauczaniu przypowieściami dochodziły słuchy. Wiedzieli, że chodzi z kafarnaumskimi rybakami po Galilei i Samarii. Nie martwiło ich, że czasami zagląda do Judei. Nie spodziewali się, że tego roku przybędzie z uczniami do Jerozolimy obchodzić Paschę. Słyszeli, że pozwala sobie mówić, że zburzy Świątynię, a po trzech dniach zbuduje nową – i to ich niepokoiło. Annasz odczytał

myśli zięcia i zapytał: – Wiesz, gdzie ten Jezua jest teraz?. – Ostatnio był w Świątyni – odpowiedział Kajfasz. – Powywracał stoły przekupniów i bankierów, wyganiając ich ze słowami, że to dom modlitwy jego Ojca. Annasz pomilczał chwilę, a potem zapytał: – Powiedział dom mego Ojca? – Tak właśnie powiedział – potwierdził Kajfasz. Po wieczery w domu człowieka, którego posłani przez Jezucę Piotr z Janem zauważyli byli z dzbanem wody, Jezua wrócił z dwunastoma do Getsemańskiego sadu. Nadchodził czwarty dzień tygodnia Jom Hamishi i do Pesach zostały dwa dni. Grupka, oddalwszy się od murów miasta, weszła w ciemność oliwnego sadu. Chociaż spali tam już kilka nocy, dopiero tego wieczoru uderzył ich w nozdrza cierpki zapach żółtych kwiatów. Do Jerozolimy przysła wiosna i gałązki drzew oliwnych wypuściły pachnące kwiaty. Od strony Doliny Cedronu nie cichło szczekanie psów i czyjaś, być może przywiązana do oliwek, oślica, głosem przypominającym świst powietrza z przedziurawionego miecha, płoszyła noc. We wszystkich czterech Ewangeliach Juda Iskariota – czy był człowiekiem z Kariotu, czy z jakiegoś przedmieścia, czy może nawet zabójcą – staje się kluczową osobą w zdarzeniach aresztowania Jezusy Nazarejczyka o trzeciej straży. Wszystko, co dzieje się w tamtej chwili, bez względu na psie szczekanie i oślicę, której zachciało się wtedy rodzić, bez niego nie mogło się obyć. Zostawiwszy Annasza, Kajfasz wrócił do domu, zebrał najbliższych i zaczął się z nimi naradzać. Zapytał, patrząc na każdego, czy nie słyszeli czegoś o Jezui Nazareńczyku. W domu Kajfasza przebywało sześciu z tych, którzy służyli w Świątyni, czyli koheni i lewici. Oni też zasiadali wraz z nim w Sanhedrynie. Byli wśród nich saduceusze i faryzeusze. I choć w każdej chwili mogły między nimi pojawić się niesnaski, to jednak każdy z nich potwierdził, że po Jerozolimie chodzą słuchy, że Nazarejczyk nazywa siebie Jednym z Ojcem i Synem Bożym, a lud, który idzie za nim i daje posłuch jego prorocत्वom, uważa go za Mesjasza. Tych sześciu razem z Kajfaszem wypowiedziało jak kruki straszne słowa, że za takie bluźnierstwa zasłużył na śmierć. Postanowiono sądzić go wedle Prawa. Wtedy Kajfasz rzekł do obecnych, że koniecznie trzeba się dowiedzieć, w jakim miejscu ten Jezua przebywa, ale zważył. Powiedział: „Teraz, kiedy miasto pełne jest pielgrzymów – nie znajdziemy go”. Wtedy postanowili znaleźć kogoś, kto jest łasy na pieniądze. Mieli jednak mało czasu na takie poszukiwania, a jerozolimski i przyjezdny lud nie zrozumiałby czynionego bezprawia. Oto czemu Kajfasz wysłał kilku swoich niewolników, żeby pochodzili ulicami i powęszyli, możliwe, że któryś z nich zetknął się w tłumie z Judą Iskariotą. Wpadłszy na siebie, zaczęli się kłócić. Tak się poznali. Poncjusz Piłat wyjechał z Cezarei być może tydzień przed świętem Pesach. Nadmorska droga ciągnęła się wzdłuż Morza Śródziemne-

go do Jerozolimy. Każdej wiosny przed zbliżaniem się czternastego Nissana namiestnik Judei rozkazywał garnizonowi cezarejskiemu szykować się do drogi. Żołnierze mieli go chronić, ale część z nich potrzebna była do podniesienia bezpieczeństwa w miejscach, gdzie zgromadzili się pielgrzymi. Do tego dodatkowe siły dla wzmocnienia twierdzy Antonia, w której zatrzymywał się Poncjusz Piłat, zawsze mogły się przydać. Do ochrony cieśniny legion X jeszcze przed Poncjuszem Piłatem przeniesiono do Cezarei i rozmieszczono w koszarach, pobudowanych na wzgórzach. Jeśli wszystko układałoby się dobrze, to wyjechałoby po śniadaniu w towarzystwie licznego wojska, namiestnik mógł liczyć na dwudniową podróż. Najpierw – w porannym chłodzie. Potem robiło się upalnie i słońce podmuchy nad morza niewiele pomagały. Właśnie dlatego Piłat kazał się zatrzymać. Wojsko odpoczywało, szukając cienia, w którym można by się było ukryć. Namiot Poncjusza stawiano w pobliżu morza. Namiestnik z żoną Klaudią Prokulą chwywali, jak żaglówka w czasie ciszy, kierunek bryzy. O jerozolimskim zmroku Piłat z konwojem dotarł do twierdzy. I chociaż po całodziennej jeździe czuł zmęczenie, wysłuchał jednak raportu komendanta. Pod ochroną rzymskiej załogi znajdowały się główne bramy, którymi pielgrzymi wchodzili do miasta, Świątynia, twierdza. Żołnierze stali również na zatłoczonych targach, szczególnie Owczym, dokąd na sprzedaż zganiano tabuny owiec, przeznaczonych na ofiarę paschalną. W tłumie mogli kręcić się zabójcy czy zeloci – przestępcy i podstępni napastnicy. Pod koniec komendant wspomniął o Kajfaszu, który złożył wizytę w twierdzy, ale po co – tego nie zrozumiał. Poncjusz Piłat spytał o akwedukt, którym dostarczano do miasta wodę pitną. Usłyszawszy w odpowiedzi, że z dostawą wszystko w porządku, kazał przygotować sobie na następny dzień łaźnię. Święto Pesach i święto Przaśników Piłat zamierzał spędzić w Jerozolimie i za tydzień wrócić do Cezarei. W stolicy prowincji czuł się Rzymianinem, a po Jerozolimie, zwłaszcza w takim czasie, oczekiwał niebezpieczeństwa. „Ale gdzie ono się przyczaiło? – pytał siebie. – Tutaj za mocnymi słupami twierdzy czy za mocnymi murami miasta?”. Na północ od pałacu widać było Ogród Oliwny. U podnóża góry, zwanej Oliwną, nocowali Galilejczycy. W dzień chodzili do miasta. Jezua gromadził tam tłumy, a jego uczniowie zbierali na ulicach jałmużnę, żeby się pożywić. Nikogo tutaj nie znali. Poncjusz, przechodząc szerokim korytarzem tarasu w kierunku sypialni, rzucił spojrzeniem w kierunku ciemnej góry, od strony której napływały zapachy oliwek i kwiatu terpentynowca. Od czasu przybycia do Cezarei nauczył się rozróżniać zapachy. Terpentynowy był mdły i niczym prasa wyciskająca oliwę zgniatał płuca. Zbliżał się czas pierwszej straży. Warta obejmowała ochronę fortecy, a słudzy dolewali oliwy do lamp na całą noc. Od strony

Doliny Cedronu dochodziły krzyki osłów. W czwartek, pierwszego dnia Przaśników, Piotr z Janem Zebedeuszowym poszli do miasta. Zbliżając się do miejskich murów, zobaczyli z daleka człowieka, który niósł na plecach dzban z wodą. Jezua uprzedził ich, że spotkają nieznajomego. Uczniowie usłyszą też o jego pragnieniu urzędzenia paschalnej uczyty w tym domu, do którego wejście niewymieniony w żadnej z Ewangelii sługa. Szli za nim krok w krok i trafili do Józefa z Arymatei. Dom, do którego doprowadził ich nosiwoda, stał na wzgórzu zwanym Syjonem. Gospodarz, dowiedziawszy, jacy to goście przestąpili jego próg, uważnie wysłuchał Szymona Piotra, który powiedział: – Nasz nauczyciel, Jezua z Nazaretu, chce wyprawić Paschę w twoim domu. Czy nas przyjmiesz? – Tak – odrzekł gospodarz. Szymon Piotr i Jan Zebedeuszowy, rozejrzawszy się, zrozumieli, że przebywają w zamożnym domu. Józef z Arymatei zaprowadził gości do najbliższego pokoju i pokazał, gdzie przygotowuje dla nich wieczerzę paschalną. Galilejscy rybacy nie wiedzieli, że skierowano ich do członka Sanhedrynu i faryzeusza nieprzypadkowo – Józef sympatyzował z Nazarejczykiem. Nawet zeszłej niedzieli, zmieszawszy się z tłumem, witał Jeszuc pod łukiem Złotej Bramy. Józef z Arymatei rozpoznał tych nieznajomych. Jan Zebedeuszowy jako pierwszy szedł za oslicą, a Szymon Piotr odpychał tych, którzy zbyt zbliżali się do Jezuy, zagrażając mu drogę. Kiedy wszystko zostało uzgodnione, dwa cienie opuściły dom Józefa i podążyły w kierunku Góry Oliwnej. Nazajutrz Nauczyciel, pełen smutku, wejście z dwunastoma do domu. Ułożą się wokół zastawionego potrawami i napitkami dywanu. Józef jako dobry gospodarz każe swoim niewolnikom umyć gościom nogi. Taka była tradycja. Do pokoju, w którym Nauczyciel z uczniami dopiero się położyli, opierając się na lewym łokciu, weszło kilku niewolników z dzbanami, napełnionymi wodą i z tkanym w domu płótnem. Ale Nauczyciel poprosił niewolników, żeby zostawili dzbanki i ręczniki i opuścili pokój. Sam wziął dzbanek i zarzuciwszy ręcznik na ramię, zaczął obmywać nogi Piotrowi. Lał wodę na zakurzone i popękane stopy i wycierał je lnianym płótnem żółtego koloru, które barwiono mieszaniną liści migdałowych i pokruszonej skóry granatu. Niewolnicy przynieśli dwanaście ręczników i On każdemu uczniowi umywał nogi, okazując pokorę swojej miłości. Goście Józefa znów ułożyli się wokół zastawionego potrawami dywanu i przez cały wieczór nie mogli pojąć, po co Nauczyciel, niby niewolnik gospodarza, mył im stopy.

Wasył Machno
Przełożył Bohdan Zadura

Marek R. Lipiński

MARIA ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO

– poemat zadziwiająco współczesny

Literatura każdego narodu (przykłady: angielski, szkocki, walijski, irlandzki) i każdego kraju (na przykład Wielkiej Brytanii) ma swoich wielkich twórców – przywłaszczonych często przez cały świat, o których wie każdy i których wybrane dzieła powinien znać. To jednak zależy od ich dostępności i tego, czego nauczono o nich w szkole. Dostępność nie stanowi dziś problemu – dzieła wybitnych twórców, zwłaszcza takie, których nie chronią już prawa autorskie, są powszechnie dostępne za darmo (lub za bardzo małą opłatą) w Internecie. Trzeba jednak chcieć czytać. Rola programu szkolnego i nauczyciela z powołania, znającego swój przedmiot i całym sercem oddanego temu powołaniu – jest więc ogromna.

Napisałem tych kilka zupełnie banalnych zdań nie bez celu. Chciałem bowiem napisać (i nawet to uczyniłem) esej o ważnym dziele. Ale czy rzeczywiście ważnym? To prawda, że jedyne obszerniejsze dzieło tego autora wpłynęło w sposób znaczący na rozwój literatury polskiej. Jestem głęboko przekonany, że i dziś może ono dostarczyć potężnych wzruszeń, wiedzy o życiu, pomóc zdiagnozować wiele naszych problemów – jest więc w tym sensie współczesne. Czy jednak istnieje w świadomości społecznej Polaków? Czy ktoś, kto zawodowo nie musi tego dzieła czytać, zapozna się z nim z własnego wyboru i chęci? Taka obecność wyznacza przecież drugi, jakże ważny sens (czyli ważność, wartość) współczesności. Mam wydanie poetyckiej „powieści ukraińskiej” *Maria* Antoniego Malczewskiego – bo o tym dziele tutaj piszę – z 1976 roku (Państwowy Instytut Wydawniczy, wydanie piąte, nakład 30290 egzemplarzy). Dane te sugerują, że w dziesięciu latach poprzedzających 1976 rok (dokładnie 1956–1976) – ponad sto tysięcy ludzi i instytucji kupiło egzemplarz tej książki, potencjalnie była więc czytana. Należy też pamiętać o trzech wydaniach Ossolineum (ostatnie rok 1958). Po 1976 roku było, o ile mogłem sprawdzić elektronicznie, niewiele wydań *Marii* (doliczyłem się jedynie trzech).

Rozważania te kierują mnie w stronę ważnego pytania: czy są obecnie w Polsce przeprowadzane polonistyczno-socjologiczne studia mające za przedmiot recepcję dzieł literackich, na przykład: jak popularny jest (tu i teraz) *Pan Tadeusz*? A jeśli tak, to kto ten poemat czyta z własnego wyboru (jakie grupy wiekowe i o jakim wykształceniu)? Moja elektroniczna kwerenda dała wynik zerowy. Takich studiów nie ma. Są one relatywnie kosztowniejsze niż studia badacza polonisty, który potrzebuje tylko kilkudziesięciu książek, dostępu do specjalistycznych artykułów i komputera, by przeprowadzić większość swych badań. Badania społecznej recepcji

utworów literackich wymagałyby wyjazdów w teren (prawdopodobnie całego zespołu badawczego), ankietowania lokalnych nauczycieli i czytelników, uzyskania zgody władz na takie ankietowanie oraz przewyciężenia innych administracyjnych i statystycznych trudności. Wynik takich badań byłby jednak bezcenny: uzbroidłby ludzi odpowiedzialnych za układanie programów szkolnych w połowę wiedzy potrzebnej do ich sensownego układania.

Drugą połowę takiej wiedzy stanowi dogłębna znajomość historii literatury polskiej i historii kultury światowej. Jesteśmy jacy jesteśmy dzięki genetyce i historii kultury. Brak kompetencji w tych dziedzinach (z wyjątkiem genetyki?) jest programową tragedią. Podejrzewam, że mamy z taką tragedią do czynienia obecnie, w Polsce roku 2023. Arcydzieła literatury powstałej w okresie romantyzmu, a więc walki o niepodległość, zostały relegowane do statusu wzmianki w programach. Pamiętajmy: bez tej romantycznej literatury nie byłoby Józefa Piłsudskiego i Ignacego Paderewskiego, nie byłoby Polski niepodległej. *Maria* Malczewskiego powstała w tym okresie, odegrała znaczącą rolę, a teraz podzieliła los innych wybitnych dzieł, wykreślonych z programu nauczania. Polacy! A zwłaszcza nauczyciele! Musimy to zmienić! „Nie miecz, nie tarcz bronią języka, lecz arcydzieła”.

Dlatego nie mogę powiedzieć nic o współczesnej recepcji poematu *Maria* Malczewskiego. Raz jeszcze zadaję pytanie: czy ktoś, kto nie musi z obowiązku zawodowego, ją czyta? A jeśli czyta, to jak, kiedy (w jakim wieku) i po co? I co wnosi z tej lektury? Czy zatem *Maria* rzeczywiście jest, jak przeczuję, poematem zadziwiająco współczesnym? Piszę w ciemno i po omacku, mając jako kompas wyłącznie własne, bardzo ograniczone poczucie współczesności. Jest ona zawsze (jak wiadomo?) dwojaka, wedle spostrzeżenia Norwida, który przeciwstawił ignorancję salonowej publiczności represjom rosyjskim – poczuciu współczesności Słowackiego, piszącego *Anhellego* na emigracji, z dala od Polski¹.

Podstawowe stwierdzenia

Są tylko dwa takie stwierdzenia, ale kontrastujące z dotychczasową recepcją dokonania Malczewskiego. Zawłaszczony przez romantyków pisarz sam nie był romantykiem. Jego wykształcenie, skłonności, sposób pracy, kariera wojskowa, osoba duchowego sponsora poematu (Juliana Ursyna Niemcewicza), przypisy do *Marii*, a nade wszystko – perypetia socjalno-lekarska z panią Rucińską sugerują, że był mocno osadzony w polskiej tradycji oświeceniowej i preferował ideały obozu „szkiełka i oka”, a nie obozu romantycznego. Jako byłemu żołnierzowi Napoleona, wyznawcy mesmeryzmu jako terapii, kulturowo było mu bliżej do braci Śniadeczek, Stanisława Staszica i Aleksandra Fredry. Dlaczego więc romantycy uznali go za swego prekursora? Czy z powodu jego kultu dla George’a Byrona? Ale Byron

¹ C. Norwid, *Pisma wszystkie*, t. 6, Warszawa 1971, s. 463, w. 19–26. Ten fragment eseju w innej redakcji ukazał się w „PAUzie” krakowskiej (rok XIII, nr 563).

był nie tylko pisarzem, a szeroko znanym bojownikiem o wolność – i to nie swego narodu. Walczył o tożsamość pewnej kultury we współczesnym mu kontekście europejskim, w tym o jej przekaz historyczny. To właśnie Malczewski musiał cenić niezwykle wysoko. Jego arcydzieło z fantazjami literackimi Byrona ma niewiele wspólnego (prócz motta pieśni drugiej *Marii* – jako przedwstępu do jedyne go naprawdę Byronowskiego dwuwiersza poematu: „Bo w życiu choć ta jedność – że rozkosz z cierpieniem, / Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się – znuzeniem” (*Pieśń druga*, XIII, w. 8–9).

To prawda, że istnieje wielka literatura krytyczna, zestawiająca i porównująca treść poszczególnych zdań wyrwanych z twórczości obu poetów – i istotnie, można dopatrzeć się tu pewnych podobieństw. Jest faktem, że Malczewski posiadał i czytał dzieła Byrona. Nie należy jednak chyba ograniczać się do tego typu porównań. Trzeba dobrze rozpoznać ogólny cel autora, zestaw ideałów i przekonań obecnych wewnątrz dzieła. Wtedy dopiero porównania między różnymi pisarzami nabierają głębszego sensu i nowego znaczenia. Uwielbienie i mitologizujący kult romantyków dla Malczewskiego miały swe źródło w wyborze treści z jego poematu i świetnym, do dziś nieprześcignionym pomysłem gnomicznych, przysłowiowych i do kości realistycznych definicji nieszczęścia.

Sięgnijmy jednak głębiej. Jak zdefiniować pisarza jako „typowego romantyka” (jeśli ma sens wprowadzanie takiego pojęcia)? Byłoby to bardzo trudne. Może więc spróbować określić mianem „romantycznego” tego autora, który pisze utwory „romantyczne”? A definicja utworu romantycznego? Tu już łatwiej, dzięki Mickiewiczowi. „Miej serce i patrzaj w serce” to jeden postulat. Drugim było uznanie ludu jako nauczyciela, uznanie dla jego prawd i humanistycznej praktyki. „Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu” – mówi Mickiewicz do arche krytyka „romantyczności”, Jana Śniadeckiego. To jednak romantyzm specyficznie polski. A dzieła romantyków angielskich, francuskich a zwłaszcza niemieckich? Jakie było ich przesłanie? Też dwa proste postulaty, jeden merytoryczny, drugi techniczny. Twórca nie powinien nigdy bać się własnego serca, swych uczuć, skłonności i nastrojów. Ich potężne, często niszczące ujawnianie było zakazane w literaturach poprzedniego okresu. Romantyzm uczucia i odczucia nobilitował. A postulat techniczny? Forma utworu, jeśli piękna i artystycznie odpowiadająca treści, nie powinna być niczym ograniczana. Wszystko jest dozwolone. To także było surowo zakazane w poprzednim okresie. Tę swobodę innowacyjną szczególnie silnie piętnował Jan Śniadecki w eseju *O piśmach klasycznych i romantycznych*².

Jak wygląda praktyka zrealizowana w *Marii* w świetle tych postulatów? Czy Malczewski „patrzył w serce” i przedstawiał prawdy ludowe? Czy losami bohaterów poematu steruje ekspresja uczuć? Czy kształt poematu (jest to właściwie pierwszy polski utwór gatunku, który zdefiniowano później jako *powieść poetycką*) odpowiada postulatowi dominacji odkrywczej i nowej treści nad formą? Odpowiedź na

² „Dziennik Wileński” 1819, t. 1, s. 2–27.

te pytania jest złożona. Malczewski bardziej „patrzy” w rozum niż w serce. Jego bohaterowie kierują się w życiu i w akcji rozumem oraz logiczną oceną sytuacji. Nie ma tam fantastycznych zdarzeń, duchów i upiorów (oprócz wzmianki o takich wierzeniach). Są ludźmi, więc targają nimi mocne uczucia: miłości, lęku, nienawiści. Ale te uczucia są z gruntu prawdziwe i zdroworozsądkowo osadzone w kontekstach poematu. Dlatego Malczewski mówi do nas jako „moc mający, a nie jak uczeni w piśmie” (Mt. 5, 17). Jedynym uczuciem mogąącym zatrzeć o „romantyczność” jest „przeczcucie”, które Śniadecki określiłby zapewne jako duby smalone.

Malczewski przewidział możliwość takiej krytyki. W przypisie do poematu powołuje się na osobiste doświadczenia swego protektora i nauczyciela, antyromantyka Tadeusza Czackiego. Píše tak: „Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnym zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tyłu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciółom, że ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczcuciem dowiadywał”. *Maria* jest jednak niezwykle silną (a czasem chyba wobec fanatycznych klasyków – złośliwą) obroną romantyzmu. Malczewski zasłania romantyków Szekspirem: „Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których wam się ani marzy w waszej filozofii”³. Czy to romantyzm? Nie – zdrowy rozsądek Szekspira, który aprobował i praktykował sam Malczewski. Najbardziej romantyczną stroną poematu Malczewskiego jest zrealizowanie postulatu technicznego szkoły romantycznej. Prawdopodobnie przyczyniło się ono w pierwszych miesiącach po publikacji poematu do klęski finansowej tego wydania. Zawinił brak przestrzegania reguł klasycyzmu, o co upominał się w swej (nie tak bardzo krytycznej) recenzji Dmochowski. Ale *Maria* tworzy własny model formalny poematu. Jego treść jest dzięki temu przekazana bardzo skutecznie. Intryga jest zrozumiała, uczucia bohaterów także. Pytania bez odpowiedzi w poemacie są pytaniami egzystencjalnymi, które zawsze pozostają bez odpowiedzi (tak jak człowiek śmiertelnie chory pyta: „dlaczego ja?”, „dlaczego teraz?”). Nikt nie zarzucił Conradowi miałości i nieważności jego pytań egzystencjalnych bez odpowiedzi. A nie był przecież romantyką. Był kapitanem żeglugi wielkiej. Tak więc wygląda moja druga obrazoburcza teza esaju: *Maria* to jakby Jan Śniadecki (nie postać oczywiście, a udratowana próbka poglądów) przebrany za młodego, cierpiącego Wertera Goethego, a przez to właśnie kpiący z uznanych gatunków literackich (pierwsza teza dla przypomnienia: Malczewski nie był romantyką).

O czym zatem opowiada *Maria*? Jest to przenikliwa, potężna i wstrząsająca analiza nieszczęścia jako kondycji ludzkiej. Cała reszta utworu stanowi sztafaż i pretekst. Nie należy uczyć się z *Marii* polskich dziejów, obyczajów i realiów historycznych, takich jak stroje czy uzbrojenie. Autor, absolwent Liceum Krzemienieckiego, gdzie nauczono go porządnej pracy, przestudiował źródła i starał się je w poemacie uwzględnić, ale nie pedantycznie: jego cel główny był przecież zupełnie inny. Czy

³ Przekład Malczewskiego [w:] tegoż, *Maria. Powieść ukraińska*, Warszawa 1976, s. 105.

spod pióra rzeczywistego romantyka nie wyszło nigdy nic podobnego? Ależ tak, jest jeden utwór, który opisuje potworność ludzkiego nieszczęścia bez jakiegokolwiek romantycznego przebrania i komentarza. To pierwszy znany wiersz młodego Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) *Pocztylion*. Ale jest to „gawęda gminna”, w dodatku opisująca prawdziwe zdarzenie. Nie był to projekt literacki, raczej doraźny zapis. Czy zapis ten był „romantyczny”? Nie, wręcz przeciwnie. Ale autor wyrósł na prawdziwego romantyka.

Historycy dostrzegli w *Marii* refleksję literacką na temat rzeczywistego morderstwa na zlecenie – ofiarą była pierwsza żona targowiczana Szczęsnego Potockiego. Być może. Ale w odniesieniu do takich realiów nie należy upatrywać zbyt wiele, prócz może stwierdzenia, że Malczewski chciał zapewne inspirować się w swym poemacie rzeczywistością historyczną – by wzmocnić nośność opisu i argumentów, przemawiających za przedstawioną w poemacie interpretacją nieszczęścia.

Pomysł poematu

Czym jest nieszczęście w życiu ludzkim? Co jest jego przyczyną? Jak się ono manifestuje? Co je zapowiada? Jaka jest reakcja ludzi dotkniętych nieszczęściem? Jak żyć potem? Jakie są konsekwencje? Nieszczęście to wcale nie los – jest ono głęboko uwarunkowane, tyle że dotknięci nim ludzie zazwyczaj nie wiedzą nic (lub bardzo mało) o tych warunkach.

Malczewski odpowiada na te pytania, kreśląc szkicowo obraz akcji (głównie militarnej) i romansowo-kryminalnej intrygi. W akcję wplata obszernie definicje nieszczęścia (nazywam je tutaj diagnozami) oraz przysłowia, zawierające jego dokładniejszą charakterystykę. Tło stanowi opis piękna świata, jego wartości, niezwykłości i tajemnicy – jako kontrast wobec ogromu okrucieństwa. Czym różni się diagnoza od przysłowia? Dla przysłowia używam tutaj definicji ze *Słownika ilustrowanego języka polskiego* Arcta („zdanie jakieś, zawierające myśl moralną albo spostrzeżenie obyczajów, wyrażone w formie alegorycznej”), posiłkując się też szerszą definicją *Wielkiego słownika języka polskiego* („krótkie, często powtarzane sformułowanie wyrażające uniwersalne treści, traktowane jako wskazówka, ostrzeżenie lub komentarz jakiejś sytuacji”). Diagnoza jest to wyraźne wskazanie nieszczęścia (lub jego opis), nawet wtedy, gdy wyraża także piękno świata.

Przesłanie pierwsze: zignorowanie historii, a więc zlekceważenie rzeczy wielkich i istotnych dla narodu. Czy jest to nieszczęście? Być może nie – to tylko żal i rozterka, bardzo nieokreślone, niejasne, za mgłą... Ale to lekceważenie owocuje pychą i bezwzględnością wyższą niż sprawy narodowe. Jeśli tak, to nie widzi się niczego złego w użyciu konieczności obrony kraju dla własnej podłej intrygi. Czy ten sposób myślenia i postępowania jest obcy czasom dzisiejszym? Malczewski w sposób misterny odsłania nam mechanizm Targowicy, przybliża sposób rozumowania targowiczana. To było wielkie nieszczęście, które stało się przyczyną indy-

widualnych nieszczęść, jakich wiele zdarzyło się w tym czasie. Malczewski nie mylił się. Przysłowia przytoczone poniżej zawierają jedną główną myśl: gdy ignoruje się „myśl przeszłości”, jej łagodne, życzliwe przypomnienie i uczucia towarzyszące, to zostają nam tylko groby i „rozterka” – bez nadziei, bez celu, bez granic. Czy tak być musi? Nie – ale wymaga to dobra, czujnego sumienia, wysiłku i zapewne pomyślności losu, a przede wszystkim, dobrego rozeznania wspomaganego rozumem.

Przysłowia:

I głucho – tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzie by tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie –

[*Pieśń pierwsza*, VIII, w. 8–12]

Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało;
Na równinie mogiły – więcej nie zostało

[*Pieśń druga*, I, w. 19–20]

Przesłanie drugie: „gwałt niech się gwałtem odciska” – moje własne nieszczęście przekażę dalej (i znowu: czy ten sposób postępowania jest obcy czasom dzisiejszym?). Tak rozumuje Wojewoda. Syn po kryjomu popełnił mezalians. To wielkie osobiste nieszczęście ojca i całej rodziny. Syna nie można ukarać – jest dziedzicem imienia i majątku. Trzeba więc uderzyć w drugą stronę tego układu. I Wojewoda jest skuteczny. Po prostu każe zabić osobę niewygodną – żonę syna. Przysłowie przytoczone poniżej podkreśla ohydę rodzącej się zbrodni, planowanej przez człowieka mającego wielką, autokratyczną władzę „pana Ukraińskiego”, przyzwyczajonego do jej nieograniczonego używania. Wojewoda ignoruje powszechnie uznawane przykazania wiary i etyczne zasady, bo jest despotą. Jakże często bywało tak na Ukrainie, nie w poematach, a w twardej i okrutnej rzeczywistości. Polska i Ukraina w tamtych czasach była wylęgarnią i kolebką zdrady dobra narodowego. A mogło być zupełnie inaczej!

Przysłowie:

Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy –
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłej niemocy [...]

[*Pieśń pierwsza*, VI, w. 13-14]

Przesłanie trzecie: przeczcucia, niepewność i zagrożenia. Nie bardzo wiadomo, co robić, jak postąpić? Tutaj Malczewski sięgnął niezmiernie głęboko i przenikliwie do źródeł nieszczęść osobistych, indywidualnych i zbiorowych, narodowych. Jaki jest wspólny motyw przytoczonych poniżej przysłów? Trzeba mieć wielką siłę moralną i świetne przygotowanie, by sprostać okolicznościom, gdy o ich

konsekwencjach mamy niedostateczną wiedzę. Można zdać się na wyroki boskie – ale Bóg pomaga tylko tym, którzy by znaleźć właściwe rozwiązanie, nie zaniedbali niczego tak rozumem, jak i uczuciem.

Przysłowia:

Ah! Jakże to boleśnie nazad się obrócić,
Widzieć Rozpacz grożącą, i nie móc się wrócić!
Ah! Jakże to okropnie w przymusie zostawać,
Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać!

[*Pieśń pierwsza*, XII, w. 15–18]

A Maria? – ah! I Maria czuła się szczęśliwą!
Szczęściem niewiast – dla których słodkie w życiu chwile
Są jak pogodne niebo – gdy piorun grzmi w tyle.

[*Pieśń pierwsza*, XV, w. 18–20]

Przesłanie czwarte: twarz nieszczęścia w różnych odsłonach – jest już, to nicodwołalne i ostateczne, jest wyrokiem. Co teraz? To przesłanie interesowało Malczewskiego najbardziej i nie dziwnego – był to wynik jego doświadczeń. Jak przeżyć i pozostać człowiekiem w sytuacji cierpienia nie do zniesienia? I nie jest to cierpienie na pięć minut, a na resztę życia. A niezmiennosc wyroku ma straszliwą siłę w życiu ludzkim. Z jednej strony jest to przepaść zemsty i nienawiści – Wacław jest na najlepszej drodze, by połączyć się w tych samych uczuciach ze swym ojcem Wojewodą: „gwałt niech się gwałtem odciska”. Ale w „czwał” poprzez ludzkie sumienie rusza z nim Pacholę, które ma nieszczęście wpisane w życiorys, tyle że przeżywa je bez gniewu i nienawiści. Mówi tylko: „to mnie ciężko na sercu i ja sobie płaczę”. Drugą egzemplifikacją ideału akceptacji nieszczęścia jest postawa Miecznika po zabójstwie jego córki. Ale Miecznik wybiera w nieszczęściu bierność i samotność. Inaczej Pacholę – może ono być, a więc jest, żywą tarczą potencjalnie chroniącą od zła czającego się w drugim człowieku.

Najbardziej przenikliwe pytanie egzystencjalne poematu, dramatyczne przysłowie aktualne dla Malczewskiego w chwili, gdy to pisał, a także dla nas dzisiaj, brzmi:

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy Duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem – objął rycerza i w czwał poleciał.

[*Pieśń druga*, XIX, w. 37–40]

Nic dziwnego, że Malczewski w ostatnich latach życia wyglądał w oczach przyjaciół i znajomych na „duchowego prezbiteriańskiego” i modlił się często (przed śmiercią bez przerwy) – stanął bowiem przed pytaniami i wyborami osta-

tecznymi i wiedział o tym. Jaka rola przypada w tej sytuacji pani Rucińskiej – towarzysze ostatnich lat i ostatnich chwil poety? Czy nie była ona przypadkiem modelem postawy Pacholęcia w *Marii*? Jeśli tak, to być może zbliżamy się do odpowiedzi na pytanie, dlaczego Malczewski zdecydował się dzielić życie z tą kobietą. Czyż nie była ona jedyną barierą, jaką znalazł (w dodatku nie wiedząc, czy rzeczywiście, na pewno nią jest) między złym światem i złem w nim samym a dobrem, którego pragnął?

Ale jednak autor *Marii* – wiedziony zapewne nieomylną intuicją geniusza – do niczego nas nie namawia i nie przymusza. Przedstawia diagnozę i analizę nieszczęścia. Konsekwencje – lub raczej alternatywy życiowe – są naszkicowane piórkim i wspomniane bardzo dyskretnie.

Przysłowia:

I cicho – jak modlitwa w łono Boga płynie –
I pusto – smutno – tęskno – jak gdy szczęście minie.
[*Pieśń pierwsza*, XIX, w. 27–28]

Bo w mej zdziczalej duszy wypleniono radość.
Bo wpływ mego Anioła grób w blasku zobaczy”.
„To czegoż chcesz, pachole?” – „Uciec od Rozpaczy”.
[*Pieśń druga*, I, w. 32–34]

Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką Nieszczęścia, zabrzmiały przeczcuciem?
[*Pieśń druga*, VI, w. 26–29]

Wszystko on już postradał – i chyba to zyska,
Że nie czas, ale płomień zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkim zamyśleniu korząc się przed Bogiem –
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty [...]
[*Pieśń druga*, XIX, 19–23]

Jak interpretować słynną formułę o przyjacielu jako nowym wrogu? Są tutaj dwie możliwości. Dla nowego Waclawa, pełnego nienawiści i chęci zemsty, każdy człowiek jest wrogiem, a więc jest nim i Pacholeć. I druga interpretacja: Pacholeć jest wrogiem, bo jego własna postawa wobec nieszczęścia stanowi uderzające przeciwieństwo postawy Waclawa. Skłaniam się do uznania tej drugiej interpretacji jako bliższej ujęciu Malczewskiego.

Czym jest nieszczęście w życiu ludzkim? Jak się ono manifestuje? Co jest jego przyczyną?

Diagnozy:

– ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny –
I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny –
I świata jądłem gorszkie, zatrute kołaczę –
To mnie ciężko na sercu i ja sobie płaczę.

[*Pieśń druga*, I, w. 25–28]

A gdy się troski do duszy wkradną,
Hucząc w niej chmury czarnemi;
A gdy nieszczęścia na kogo spadną
I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
Smutek nachyli ku ziemi [...]

[*Pieśń druga*, II, w. 39–43]

Bo na tym świecie Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

[*Pieśń druga*, II, w. 49–50]

A gdy kto, dążąc z dalekiej drogi,
W mieszkanie Przyjaźni zajdzie?
I już w uściskach topić ma trwogi?
Lecz ciche, puste przebiegłszy progi
Twarzy kochanej nie znajdzie;
Więc drząc, czy się co złego nie dowie,
Spuszczone czoło zasmuci...

[*Pieśń druga*, II2, w. 73–79]

Te diagnozy pochodzą z dwóch stron powieści: pierwszy fragment to słowa Pacholęcia; pozostałe są słowami Masek. Nieszczęście może być endemiczne lub losowe, oba stanowią część ludzkiego losu. Trzeba się przed nieszczęściem bronić, ale zmuszeni jesteśmy je zaakceptować. Pacholę w takim właśnie nieszczęściu się znajduje. I druga postać nieszczęścia, które jest wynikiem woli i wyroku bliźnich, ich złości, nienawiści, pychy i przewrotności. Maski definiują to wszystko, co za chwilę stanie się w gospodarstwie Miecznika.

Co lub kto zapowiada nieszczęście? W jakich okolicznościach się ono wydarza?

Diagnozy:

W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza.
Podobna do owoców umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, wśród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, znajduje – popioły.

[*Pieśń pierwsza*, X, w. 16–20]

O! Jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
 Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
 Twarz ogromna księżycza malutka się dwoi.
 O! Jak ślicznie, wśród ciszy w naturze rozlanej,
 Lecieć z stęsknionym sercem do swojej kochanej!
 I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
 I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią.
 Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie,
 Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie
 W dzikiej, tęsknej i żywej, i tkliwej muzyce
 Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
 Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
 Lekkim tchnieniem rozkoszy mgłą trosków odmiata
 I dusza rozjaśniona, jak by ujście miała
 W niebiosą swego twórcy z kajdan swego ciała.

[*Pieśń druga*, XIV, w. 6–20]

I tak to mijał stępy – lecz świetne marzenie,
 Co nimi ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
 Oh! zbyt krótkie! jak widmo wstaje Przypomnienie;
 I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
 Szepczą droszcz i niepokój zgromadzone mary.

[*Pieśń druga*, XIV, w. 29–33]

Te diagnozy są wzruszającym świadectwem spostrzeżenia, że ból człowieka jest tym większy, im piękniej naokoło. Radość z piękna świata jakże często kończy się smutkiem klęski, nieszczęścia i śmierci. Co więcej, nieszczęście i piękno połączone są w jedno w naturze świata. Nikt nie oddał tego w sposób bardziej przejmujący i trafniejszy niż sztuka i literatura Japonii. Ale Malczewski w *Marii* jest bardzo blisko tych samych odczuć – i to przedstawionych bardzo zwięźle. Szczególnie fragmenty opisujące powrót Wacława z pola bitwy – pełnego oczekiwań i miłości, wzruszeń wielokrotnionych pędem konia, światłem księżycza i tłem ogromnego stepu wiosną – są bliskie ideału w swej trafności.

Jaka jest reakcja ludzi dotkniętych nieszczęściem? Jakie są konsekwencje?

Diagnozy:

Aż w nim powstała wreszcie ta Chciwość szalona
 Krwi – krzyku – dzwonów – płomień popsutego łoża,
 Co domowej niezgody rozpala pochodnię
 I w własnym swoim gnieździe – zbrodnią karze zbrodnię!
 Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
 Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki –
 O! Jak bezecnej Zemście, co nim słusznie miota,
 Towarzyszy okropnie Rozpacz i Zgryzota!

A wszystkie razem bole w osłupiałym oku
Łączy myśl przeraźliwa – Niezmiennosc Wyroku!
[*Pieśń druga*, XVII, w. 38–47]

I tak Waclaw od razu wszystko w świecie traci:
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi, swych braci;
I już nigdy swej lubej ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Której blask czysty, słodki anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni – serc próżność – powłoczył złudzeniem;
I tak Waclaw pozostał samotny w pustyni –
Jakże zniknienie Marii ciemną ją uczyni!
[*Pieśń druga*, XVIII, w. 1–8]

I dziwno – jak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jak by już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem – ni żalu, ni skargi
Nikomu nie zwierzyły wypłowiawe wargi;
Ni łzów w hardym spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą – jednaki.
[*Pieśń druga*, XX, w. 21–26]

Co dzieje się w duszy człowieka dotkniętego nieszczęściem? Czy dusza jest pojęciem romantycznym, czy raczej chrześcijańskim? Dlatego Miecznik jest „mniej z ludźmi, więcej z Bogiem”. Taką drogę wybrał sam Malczewski. Dwa poprzedzające fragmenty opisują inne wybory: zła, zemsty i nienawiści. Proporcje tych wyborów w stanie szlacheckim czasów autora *Marii* były mniej więcej zgodne z jego diagnozą: dużo zemsty i nienawiści, mało dobra. Postawa Pacholęcia jest wyjątkiem i nie wchodzi do tego rozliczenia. Był to smutny i bez-wiedny („nie wiem – objął rycerza.”) optymizm Malczewskiego. Czy płacz nad światem jest czymś dobrym? Nie wiadomo, ale nie jest niczym złym.

Postacie poematu

Postawy i wzorce: kozaka, Wojewody, Pacholęcia, Waclawa, Marii, Miecznika. Jedynym szczęśliwym człowiekiem w poemacie jest kozak. Od niego, od pędu jego konia zaczyna się poemat. Dlaczego kozak jest szczęśliwy? Bo czuje się wolny, z nadania natury, choć przecież jest tylko sługą wypełniającym wolę pana. Ale tej wolności nie można kupić ani się jej nauczyć. I tej szalonej wolności przeciwstawiona jest cała reszta poematu.

Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony,
Na śliczne czarne oczy spojrział rozczulony;
Skłonił nisko Ichmościom, i co bądź się zdarzy,

Kozak z służbą odchodząc – wesoło im gwarzy.

[*Pieśń pierwsza*, XIII, w. 1–2]

Wojewoda jest więźniem swego stanu. To człowiek głęboko nieszczęśliwy. Ale jest wielkim panem, więc mocą swej woli doprowadza do nieszczęścia innych. Czy nie dlatego Polska straciła niepodległość w XVIII wieku? Władza i status skorumpowane kłopotem, nieszczęściem, pieniądzem i... pychą. Zakamieniałe sumienie, brak dobra i miłości. Ale wielkie nieszczęście może i dobrego człowieka sprowadzić na złą drogę.

Pacholę ma nieszczęście wpisane w życiorys, tak jak kozak wolność. Nie może od niego uciec ani się przed nim schować. Człowiek napiętnowany endemicznym nieszczęściem jest (statystycznie) bez ratunku. Czy Malczewski powiedział nam, dlaczego Pacholę jest nieszczęśliwe? Nie musiał. Pacholę jest nieszczęśliwe z natury. W czasach głębokich podziałów stanowych można było urodzić się w okolicznościach skazujących na nieszczęście.

Wacława spotyka nieszczęście „w akcji”, w biegu. I ma on poczucie, że cokolwiek by nie zrobił, czarny scenariusz już czeka na niego. Wie, że pies, którego bał się najbardziej, ugryzie go. Opis rozwoju nieszczęścia Wacława jest jednym z najbardziej prawdziwych i wstrząsających obrazów tego stanu w naszej polskiej literaturze.

Dlaczego Maria jest tytułową bohaterką poematu? Bo doznaje najbardziej niesprawiedliwego i okrutnego nieszczęścia, jest wobec nieszczęścia absolutnie i do końca bezbronna, jest uosobieniem ludzkiego nieszczęścia i losu. Była to częsta dola kobiet tego (i późniejszego) czasu. Dyskretny opis kobiecego nieszczęścia tych czasów znajduje się w innym, krótkim utworze Malczewskiego *Portret Idalki*. Bezkarne zabijanie aniołów miało jednak swoje następstwa: potężny ruch emancypacyjny wieków XIX i XX, potwierdzający przekonanie Norwida, że kobieta może wszystko zrobić tak samo albo lepiej niż mężczyzna, ale po kobiecemu. Uważanie jej za kogoś gorszego jest nieprawdziwym i śmiertelnie niebezpiecznym (bo antyhumanistycznym i antycywilizacyjnym) anachronizmem. W każdym społecznym kręgu i w każdej instytucji, nie wyłączając Kościoła.

Miecznik, a *rèbours* Wojewody, chciałby nieszczęścia usunąć i oddalić, zapobiec im, zwłaszcza gdy grożą jego bliskim. Brak mu jednak przezorności i pomysłu. Polska od XVII do końca XIX wieku była pełna Mieczników, szlachetnych, dobrych ludzi, pełnych wielorakich zalet, rozsądnych zasad i umiejętności – ale bez pomysłu na ich skuteczną realizację. Pierwszym naszym Miecznikiem „z pomysłem” od czasów króla Jana III Sobieskiego był Józef Piłsudski. Poemat Malczewskiego był więc mocno osadzony w realiach: nie historycznych czy materialnych, a w psychologicznych realiach losów ludzkich, które jednak w dużej części definiują historię i sterują nią.

Dlaczego autor *Marii* nie poszukał i nie przedstawił w poemacie budującej roli nieszczęścia? Wszyscy wiemy, że nieszczęście może złamać, unicestwić dobro i stać się potężnym źródłem zła – jak nienawiść i zemsta. Całe dzieje relacji polsko-

ukraińskich na przestrzeni ostatnich czterystu lat są tego potężnym i jakże smutnym przykładem. I może właśnie to było jednym z powodów, że poemat Malczewskiego przedstawił nieszczęście jednostronnie: intryga – śmierć jako „Niezmienność Wyroku” – zemsta. W Ukrainie próbowano „*membra putrida* leczyć, nie wycinać” (hetman Stanisław Żółkiewski) – niestety bezskutecznie. Miecznikom ukraińskim zabrakło pomysłów. Czegóż jeszcze zabrakło?

Nieszczęście może być wszak zupełnie czymś innym: może budować, a nie niszczyć. Dzieje pierwszych chrześcijan, dotkniętych nieszczęściem okrutnych przesładowań ze strony wszechwładnej, potężnej i, wydawałoby się, niezwyciężonej maszyny Imperium Romanum, są świętym przykładem nieszczęścia budującego. W naszej polskiej historii znajdziemy wiele podobnych: nieszczęście osobiste królowej Jadwigi; poświęcenie się sprawie narodowej Tadeusza Kościuszki i wielu innych bohaterów tego okresu; wiele dramatycznych historii z czasów obu wojen światowych (na przykład ofiarowanie się ojca Maksymiliana Kolbe w obozie w Auschwitzu). Nieszczęście ma więc swą stronę heroiczną, może wyzwolić w pojedynczej osobie dobro, manifestując się konkretnym działaniem i wymiernym zyskiem dla społeczeństwa. Jaki jest tego warunek? Co wyraźnie oddziela nieszczęście przedstawione przez Malczewskiego w *Marii*, od tego, jakże innego, budującego nieszczęścia?

Wydaje się, że jest to potężna siła wiary lub idei (jak w przypadku pierwszych chrześcijan i ojca Kolbego), także moralna jakość jednostki, patrzącej na nieszczęście jako życiowy budulec:

I

Jak dziki zwier przyszło Nieszczęście do człowieka

I zatopiło weń fatalne oczy...

– Czeka – –

Czy, człowiek, zboczy?

II

Lecz on odejrzał mu, jak gdy artysta

Mierzy swojego kształt modelu;

I spostrzegło, że on patrzy – co? skorzysta

Na swym nieprzyjacielu:

I zachwiało się całą postaci wagą

– – I nie ma go!⁴

Nieszczęście może być silnym i skutecznym nauczycielem dobra i miłości, może obudzić nawet najtwardsze sumienie. Poemat o tym, podobnej jakości jak *Maria*, w literaturze polskiej jeszcze nie powstał – choć wiele było prób i zbliżeń (na przykład *Szczesna i Assunta* Norwida). A *Poemat dla dorostłych* Adama Waży-

⁴ C.K. Norwid, XXX. *Fatum*, [w:] tegoż, *Vade-mecum*, Warszawa 1969, s. 69.

ka? *A Kolęda nocka* Ernesta Brylla? Nie wchodzimy jednak na razie do ciemnego pokoju, pełnego szkieletów i duchów⁵.

Marek R. Lipiński

Ps.

Polecam jedną tylko pracę, bardzo pomocną w nawigacji przez słabo znane życie i niezwykłą twórczość autora *Marii*: Marty Białobrzeskiej *Antoni Malczewski. Literackie mitologizacje biografii*, Wydawnictwo Prymat, Białystok 2016. Dlatego właśnie zwróciłem się do Autorki o pomoc przy pisaniu tego eseju. Za tę pomoc serdecznie dziękuję.



Stanisław Tabisz, *Frasobliwy zamyślony*, rysunek na papierze, 2011.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

⁵ Dramatycznych świadectw nieszczęścia jest w polskiej literaturze dużo, zaczynając od *Trenów* Jana Kochanowskiego (a może też kilka przed-kochanowskich utworów?), na *Wieży* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego arbitralnie kończąc. Jednak utworów będących analizą nieszczęścia jednostek jest mało. Przychodzi mi na myśl *Zazdrość i medycyna* Michała Choromańskiego, a także niektóre utwory Witkacego. Co prowadzi mnie do wniosku, że bardzo przydałby się artykuł krytyczny (naukowy, a nie esej, który jest jedynie chorągiewką problemu) o nieszczęściu w polskiej literaturze – z odniesieniami do literatury światowej.

Ali Al Shaikhil

SYRENA SPACERUJĄCA PO LĄDZIE

Ty, pomimo suszy,
Jesteś w stanie naprawiać światy.
Twoje serce to biała mewa a rzęsy to skrzydła.
Unosisz się w powietrzu jak wiosenna bryza,
Jak ciepłe, zbuntowane słońce.
I te twoje oczy,
Twoje oczy są morskie
Jak zanurzone w wodzie,
Zanurzone w niej od początku historii.
Powiedz mi, jak nie utonąć?
Zanurzyłem się w twoich oczach
I utonąłem.
Dlaczego nie uratujesz swojego wraku, kapitanie fantazji?
Twoje rzęsy są jak liście palmowe,
A twoje włosy przeczesują żywe fale,
twoja głowa jest chmurą.
W nocy pada deszcz.
Pokój niech będzie do świtu.

Tkam wiersz z jedwabiu i wełny.
Wysłałam ci go, kiedy jest ci zimno.
Jeśli uderzy cię letni upał,
Umieszczę swój język w śniegu
I zawinę go w upalny dzień
Tak czuje się wiosna.

Imię moje: uchodźca z polskiego obozu.

Straszne wieści po przebudzeniu, a poranek okazuje się nocą bez końca.

Nim stałeś się poetą – byłeś człowiekiem, więc teraz też jesteś poetą

[i człowiekiem, który cierpi, i

jak papieros spala się, patrząc na Ukrainę.

Nie myśl o dotykającej cię niesprawiedliwości: gdy jakikolwiek kraj walczy

[z najeźdźcą,

zamienia się na miejsca z twoim sercem.

Bomby spadają na moją ojczyznę, niegdyś pełną miłości i piękna,

dziś zalaną ołowiem i zasypaną prochem.

To się skończy tylko wtedy, gdy staniemy się jedno.

Kiedyż wreszcie uchylimy drzwi dla miłości i pokoju, kiedy miną koszmary,

kiedy wolność spadnie deszczem i zaspokoi nasze pragnienie,

kiedy zaczerpnijemy powietrza pachnącego wodą i śpiewem ptaków?

Nie obnażaj się, obnażone niech będą zamysły człowiecze.

Gdy oni zakładają maski chciwości i nieprawości, i zmieniają się w najeźdźców,

my zamieniamy pustynie w ogrody.

Nasze twarze i dusze są jak niebo.

Jesteśmy jak żyzny muł, oni to zniczuchomiałe błazny.

Nasze dzieci – ptaki na nieskalanym niebie. Uczymy je miłości i piękna.

Sięgamy po dobro i pokój. Chcemy naprawić drogi, które zniszczyliśmy.

Jesteśmy konwojem z pomocą humanitarną.

Trwamy na posterunku jak drzewa, gałęzie i liście.

Strzeżemy was jak ptaki, by nieść wam nadzieję.

Jesteśmy jak mur i jak uliczna barykada.

Trwamy w imię miłości i pokoju.

Na nowo obsiejemy ogrody, zakiełkują kwiaty wolności i światła.

Choćby nawet mój kraj doświadczał przemocy, jest mi drogi i pragnie mej troski.

Nie strzelajcie, zatrzymajcie wojnę w podniebnych miastach wśród kwiatów,

powstrzymajcie kule i działa – już wystarczy.

Cała miłość mojego serca, cały pokój mojego serca są dla ciebie, ludu Ukrainy.

Dzięki niech będą Polsce wspierającej Ukrainę.

Niechaj was niebiosa błogostawią. Kochamy was.

DZIECI*

W drodze trzęsły nami dreszcze
Przeszliśmy z więzienia do więzienia
Na granicy serce pokrywa szron
Na granicy leżą ciała
Na granicy dusza poddaje się rozpaczy
Na granicy nie ma współczucia
Na granicy panuje śmierć
Drzewa umierają
Ziemia umiera pod naszymi stopami
Przechodzimy przez granicę
Dzieci delikatne jak róże
Na granicy umierają mężczyźni i kobiety
Na granicy nikt nie słyszy krzyku dziecka, poza niebem
Przechodzimy przez granicę
Nikt nie wie, co się z nami dzieje
Uciekliśmy z kraju śmierci i tyranii
Przechodząc przez granicę rysowaaliśmy nasze sny
Rysowaaliśmy, że żyjemy, że jesteśmy bezpieczne
Chcemy bezpieczeństwa, które zgubiłyśmy
Zostałyśmy ulepione z gliny i chcemy być bezpieczne
Na granicy stara kobieta
Na granicy mała dziewczynka
Na granicy nie ma współczucia
Zgubiłyśmy się na granicy
Los chciał, żebyśmy przeżyły.

Ali Al Shaikhil
Przełożył Jakub Bieniasz

* Wiersz napisany na performance *LifeLocation* zrealizowany przez Joannę Sarnecką, premiera na Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Butoh BUTOHPOLIS. Tytuł nadany po konsultacji z autorem, wprowadzono także rodzaj żeński, który nie występuje w liczbie mnogiej w języku arabskim.

Mam 25 lat, pochodzę z Iraku. Poezja to jest moje posłanie miłości i pokoju, i pokojowej koegzystencji wszystkich istot. Czuję się zarazem dzieckiem i starcem, chcę wyrazić zarówno cierpienie, jak i miłość ludzi oraz innych żywych istot.

Ali Al Shakhil

Ali przybył do Polski w sierpniu 2021. Uciekał z Iraku, gdzie doświadczył przemocy i tortur. Zatrzymany przez służby na granicy polsko-białoruskiej, został uwięziony w strzeżonym ośrodku dla cudzoziemców w Przemyślu, gdzie przebywał dziewiętnaście miesięcy, cierpiąc z powodu PTSD. Jego uwięzienie i przetrzymywanie było bezprawne, ponieważ osoby w takim stanie, zgodnie z ustawą o cudzoziemcach, nie powinny przebywać w detencji. Mamy nadzieję, że jest już bezpieczny w cywilizowanym kraju, gdzie jego prawa i potrzeby są respektowane, ale nie ma pewności. Droga nie ma końca.

Joanna Sarnecka



Joanna Sarnecka, z cyklu *Pocztówki z Przemyśla*, festiwal Centrum Światów jest Tutaj pod hasłem *Schronienie /Więzienie*, 23–24.09.2022. (na rewersach pocztówek znajdują się historie osób przetrzymywanych w przemyskim Strzeżonym Ośrodku dla Cudzoziemców)

Joanna Sarnecka

ŻENIA

Żenia, Żenia, co ja bym bez niej zrobiła? Naprawdę, po raz pierwszy pomyślałam - jak cudownie mieć żonę! W jednej chwili moją opustoszałą po wyprowadzce dzieci, smętną chałupinę, moją jaskinię osamotnienia zamieniła w dom, najprawdziwszy dom. Wszystko zaczęło w nim żyć, błyszczeć, zupełnie jakby cieszyło się z jej obecności. Ona i ta jej mała dziewczuszka, Milenka, w zasadzie chciałam im oddać mój dom, bo na co mi dom, skoro nie umiem go już wypełnić życiem? A im potrzebny. Bardzo. No, ale ruszyły w dalszą drogę i teraz czekam, i wypatruję wieści.

Pamiętam jak to się zaczęło. Zadzwoniła jakaś kobieta, że ktoś szuka mieszkania, pani z dzieckiem, mówię – wspaniale, warunki może nie najlepsze, ale jakoś sobie poradzimy. I pamiętam Żenię, jak wyszła ze swojej maszyny – solidnego suwa, w pięknej kurtce – dokładnie takiej, jaka mi się bardzo, ale to bardzo podoba, odkąd pamiętam, takiej kanadyjskiej z podbiciem w kolorze ostrej pomarańczy, wyszła i trochę jakby oniemiała. – To tu? Pani tu mieszka? Ano tak, teraz i pani tu mieszka, i mieszkamy razem. Dziewczynka też była zdziwiona, że można tak żyć w XXI wieku w drewnianej lupince ze ścianą lasu naprzeciw wejścia, starą wysychającą studnią, ciemnością i rozgwieżdżonym niebem nad głową. Szybko jednak potraktowały to jako przygodę, ot, wakacje. Ferie zimowe. W wakacje śpi się gdziekolwiek, gotuje w jednym garnku na ognisku i nie marudzi, tylko się jest. I tak właśnie zaczęło się nasze wspólne życie.

24 lutego byłam na granicy. Tęgie mrozy chwytały nocą. Strach było patrzeć w stronę puszczy. Policja miała wtedy nowy pomysł na siebie. W sukach siedziało dwóch mundurowych, jeden z drogówki, który zatrzymywał, że niby trójkąta go interesował, albo gaśnica, drugi z prewencji, który spisywał. Zupełnie jak z dowcipu, że jeden milicjant na przykład mówi, a drugi myśli. Trochę byli śmieszni, bo czasem nie ogarniali terenu, wydawało im się, że są sprytni, a przywiezieni z drugiego końca Polski dawali sobie weisnąć kit, gdzie i po co jedziemy, bo nie mieli pojęcia o topografii, może widzieli mapę, ale to wszystko. Mieszkałam wtedy w chatce na skraju wsi. Za oknem, jak dywan, kładły się oszronione łąki zakończone koronką lasu. W nocy intensywnie granatowe niebo z miliardem gwiazd wisiało nisko

nad głową – nieskończoność na wyciągnięcie ręki. Wszystko zdawało się mieć jakiś kosmiczny wymiar, przestrzeń się rozszerzyła, nie było granicy, wszystko się otworzyło, jak przy porodzie. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że na zawsze tracę moją kochaną lokalność, moje świeżutkie korzonki zanurzone płytko w podkarpackiej, kamienistej ziemi, że odtąd ja też, jak ci ludzie w lesie, będę w drodze, bezdomna.

Pamiętam te poranne chwile. Pamiętam światło z okna, zapach chałupy i dymu z właśnie rozpalonej kuchni. Pamiętam chłód, wszystko pamiętam, szklisty, mroźny poranek. Włączyłam radio. A tam informacja – zaczęła się wojna na Ukrainie. Wtedy jeszcze mówiło się na Ukrainie i powoli nauczyliśmy się wszyscy nowego języka. Dziś już nikt tak nie powie, „na” zastąpiliśmy ostatecznie „w” i od tej małej językowej rewolucji uruchomił się wielki silnik empatii.

Nie pamiętam, od kiedy zaczęli napływać ludzie, ale jakoś zaraz, szybko. Kobiety z dziećmi pod pachą i jedną torbą – tak nam to opowiadało. Faktycznie różne osoby, w różnych sytuacjach, z różnymi pakunkami, ale nie pojedyncze, dużo, bardzo dużo ludzi. Nowe bieżnięstwo.

Wróciłam z granicy białoruskiej i zaczęłam zajmować się tą drugą granicą, choć tak mnie ścisnęło, kiedy wiedziałam, że tam, w lesie, zamazują ludzie, także kobiety i dzieci, a tu wszyscy dostają pomoc, że gremialnie Polska milczy o Kurdach, Irakijczykach, Erytrejczykach, Etiopczykach proszących o pomoc na północy, bo może swobodnie mówić o Ukraińcach i wystarczy tej empatii, koniec, stop. Już się czujemy dobrze, już nasze ego zaspokojone. A im ciemniejsza skóra, tym niższy poziom empatii. Taki świat. Studenci z krajów afrykańskich studiujący w Ukrainie z trudem dostawali się do Polski, szykanowani, zawracani, źle traktowani. Rasizm to prymitywna funkcja w behawiorze *homo sapiens*. Im bardziej podobny do mnie, tym bardziej człowiek – proste i żalodne zarazem. Niedługo potem jechałam pociągiem pełnym bieżniów. Najsmutniej było patrzeć na młodzież. Oni w takiej nieustającej niezgodzie nawet na najbardziej aksamitną rzeczywistość niemal biologicznie byli niegotowi na nowe wyzwania. Jakiś nastolatek szedł przez pociąg przytulony do swojej deskorolki, nastolatka, która jechała z babcią, nagle zaczęła wymiotować i obrzygała cały korytarz. Mimo to wesola romska rodzina starała się pomóc, rozweselić, dać sobie choć uśmiech w tej. Reszta siedziała blada, osowiała i milcząca.

Po doświadczeniach na granicy wiedziałam, jak można działać, jak się można cudownie i sprawnie organizować, jaka to siła i sprawczość. Także i tu się zorganizowaliśmy, ale tu nas nikt nie ścigał za pomoc, nikt nas nie szykanował, nie dawał mandatów, nie robił obław w lesie. Po prostu stworzyliśmy pomocową sieć, jeden szukał rzeczy, inny mieszkań, kto inny

pomagał prawnie i wszystko działało bez zarzutu. I tak właśnie któregoś dnia zadzwonili, że Żenia szuka domu. I tak się spotkałyśmy.

Od początku Milenka najbardziej lubiła koty. Widziałam po niej, że jest zdenerwowana, trudno jej się skupić, jej świat zawałił się w ciągu kilku dni. Zostawiła szkołę, koleżanki, dom, kochanych dziadków i ruszyły z matką w nieznane. Koty pomagały jej to wszystko jakoś znieść i powoli sprawiły, że się uspokoiła. Naprawdę, po miesiącu to była inna dziewczynka.

Żenia to mocna kobieta. Nie boi się niczego. Jest przy małej i broni jej jak lwica. Ich przekomarzania, śmiechy, wspólne zabawy, malunki, rozmowy o sprawach poważnych – patrzyłam na to wszystko trochę z boku, ale byłyśmy coraz bliżej. Dzielił nas tylko język, ale powoli zbudowałyśmy pomosty, najpierw z gestów, potem kilku rosyjskich słów, które jeszcze pamiętam, wsparłyśmy się tłumaczem, a dalej już jakoś poszło i dziś nie pamiętam, żebyśmy miały jakikolwiek kłopot ze zrozumieniem się, kiedy piekłyśmy razem chleb, albo gadałyśmy o facetach. Dwie samotne matki, ja sporo starsza, ale Żenia bardziej odważna, koleżanki, obco-bliskie sobie siostry.

– Smitia – tak to nazywam – powiedziała przeszukując kredens.

– Nasiona?

– Nie, prosto smitia.

– To brzmi jak śmieci.

– No da, bo to takie śmieci właśnie. O, są. – Wyjęła torebki lnu i nasion słonecznika.

– Czyli jednak nasiona.

– Ech, nie. No dobra, dosypię – wyspała trochę. – Jutro kupię więcej, zawsze powinny być w domu, smitia.

Teraz już wiem i zawsze o tym myślę, kiedy kupuję te jej smitia, żeby dosypać do mąki na chleb. Teraz mi ją przypominają.

Na przełomie marca i kwietnia znów pojechałam na granicę. Mniej już było checkpointów, ale policja i straż graniczna upierdliwa jeszcze bardziej. Stali w miejscowości obok, za każdym razem zatrzymywali nas i legitymowali. Moja córka dostała mandat za przebywanie w wydumanej strefie. Jednej nocy dostałyśmy pina. Zebrałyśmy się szybko i pojechałyśmy moim samochodem. Czułam, że to nie będzie dobre. Ktoś nas powinien zawieźć, ale byłyśmy same. W lesie kilku syryjskich studentów i jeden Jemeńczyk trzęśli się z zimna, siedząc pod wykrotem. Zjedli zupę i się ożywili. Tak, taka zupa czyni cuda. Bładosina twarz nabiera kolorów, zobojętniały, oswiały człowiek nagle ożywia się, opowiada, śmieje. Próbowaliśmy pogadać. Jeden z chłopaków pokazał wielką bliznę na szyi: – To od pocisku – powiedział – wojna.

Oczywiście, każdy wie, że w Syrii wojna, że ten Putin bruździ. Ale, jak zabija w Ukrainie, to źle, a kiedy w Syrii, to już obojętne. Pożegnaliśmy się, życząc sobie nawzajem szczęścia i my ruszyliśmy w ciemność. Ale już w pobliżu samochodu zobaczyłam z oddali światła. Padłyśmy na ziemię i czekałyśmy, myśląc, co dalej. Ale światel było coraz więcej, zaczęły się nawoływania i wiedziałyśmy już, że to policja. Odpalili też wielki reflektor. No niestety, nie uciekniemy. Skitrałyśmy pospiesznie plecaki w krzakach, a ja postanowiłam uruchomić w sobie wszystkie aktorskie moce, by nas z tego wyciągnąć.

– O, policja! Panowie, dziękujemy – wybiegłam, wołając. – O Boże drogi, już myślałam, że to jacyś źli ludzie, może przemytnicy nawet. Jak dobrze panów widzieć. Zgubiłyśmy się w lesie. Nie wiem, jak to się stało...

– Dawać je tu – zakomenderował gość o twarzy oprycha. Dwóch młodych policjantów poprowadziło nas do sukki. – Oddzielnie – zakomenderował oprych i wsadzili nas do dwóch różnych samochodów i się zaczęło: Co robimy w lesie? A po co?

– Obserwujemy nocne zwierzęta, to bardzo ciekawe i zeszliśmy ze ścieżki i...

– Zwierzęta? Już chłopaki idą szukać tych uchodźców, jak ich złapiemy, to bierzemy was ze sobą.

– Nic o tym nie wiemy, zwierzęta obserwujemy – brnę. – O, a ty synku w wieku mojego syna jesteś – zagadnęłam młodziaka naprzeciwko mnie o dziecinnej, pyzatej buzi. – A wiesz, że mój syn studiuje bezpieczeństwo narodowe. A ty studiowałeś?

– Nie – trochę burknął, a trochę się zainteresował.

– A, tylko szkoła policyjna – to mało, trzeba iść na studia. To bardzo ciekawe. Syn mi często opowiada, naprawdę warto.

Drzwi się otwierają.

– Mamy coś w ich samochodzie – zameldował chudzielec w zwisającym mundurze i wyciągnął książkę *Bajki perskie*.

– Czytasz po persku? – zapytał mnie oprych, o mały włos nie doprowadzając mnie do ataku śmiechu.

– A pan chyba też czyta po persku, skoro pan tytuł przeczytał, prawda? – zapytałam, robiąc bardzo poważną minę. Zaklął. Po raz pierwszy widziałam policję na takich hormonalnych dopalaczach. Zdawało im się chyba, że nakryli ważnego przemytnika, trzy sukki przygotowali, żeby tego biedaczynę zwinąć, a tu jakieś dwie laski, przy czym jedna już siwa i mogłaby być matką niejednego z nich. WTF, ale wtopa.

Potrzymali, potrzymali i puścili. Ale nie było miło. Nie było. A na odchodnym zbir jeszcze powiedział: – Niech się panie po lesie w nocy nie błąkają, bo wilki są.

– Wilki nie atakują ludzi – odparowałam.

– Ale te zakosztowały już ludzkiego mięsa – dodał i odwrócił ku nam swoją paskudną gębę zbira, polskiego chłopca, co na niedzielę robi w domu mordobicie.

Ech, co ty człowieku mówisz, co ty robisz, to wilk w tobie zawył, to on zakosztował ludzkiego mięsa na tych polowaniach, jakie na ludzi urządzać. Pierwsze takie polowania po polowaniach na Żydów. Stara, dobra polska tradycja. Wilk w tobie, ciemna dzika moc wyje, człowieku, straszny i przerażający człowieku z wilkiem w sercu.

Z tego wyjazdu wracałam poruszona, niespokojna, myślami wracająca do lasu, płaczliwa, rozbita. Były też i dobre wspomnienia: ciemne oczy Jemeńczyka samotnie przemierzającego las. I cudowna ekipa z Erytrei święcąca w nocy białkami przerażonych oczu. Ludzie są tacy piękni i przeróżni, a ich twarze – niepowtarzalne rzeźby, choćby nie było ani słowa – powiedzą wszystko. Dobrze było ich spotkać, bo przedzieraliśmy się trzy godziny przez bagna. A teraz zostawiałam za sobą migające niebiesko i czerwono światełka checkpointów, las, pelen ludzi i złowieszcze helikoptery. Do domu, nareszcie do domu.

A w domu one. Ciepło, zapach jedzenia, ciasto się piecze, w piecu się pali. Cała ta straszna historia weszła ze mną do środka i wtedy wyraźnie to poczułam, jak bardzo powinnam była oddać Żeni ten dom, bo już nie jest mój, albo raczej ja już do niego nie przynależę, ja już mieszkam w lesie, z wilkiem z mroków policyjnego serca. Oswajam go, karmię własną piersią, a on za to prowadzi mnie przez bagna. Już nie jestem stąd.

Kiedy mała poszła spać, siadłyśmy w kuchni przy herbacie. Opowiedziałam Żeni wszystko. Była oburzona: – Jak to jest, naszych wpuszczają, choćby i nie potrzebowali, wszystko mogą, teraz na Ukrainia załatwisz, co chcesz, a tam? To niesprawiedliwe!

Ano tak, kochana Żeniu, ale to nie twoja wina. Nie twoja. Dobrze, że jesteś, że jesteście, bezpieczne. Szkoda, że oni ma. Małe dziewczynki jak Merida, którą spotkałam nieco później, a której urodziny świętowaliśmy w lesie, a potem ją spushbackowali i nie wiem, co się z nią dalej stało. Jak Ali, jemeński nastolatek, który bał się tygrysów w puszczy (pamiętam jak go przytuliłam na do widzenia, a on pocałował mnie w rękę, co za wstyd). Szkoda, że oni nie mogą usiąść z nami przy stole. Na nich się poluje, łapie po lesie, a jak dobrze pójdzie, więzi potem miesiącami w obozach. Żeniu, nie martw się. Dobrze, że jesteście całe i zdrowe.

Kiedy wyjeżdżały, mnie już nie było. Byłam znów na granicy. Ale wcześniej się wyściskałyśmy, obdarowałyśmy i obiecałyśmy sobie kontakt. Były ze Lwowa, ale nie chciały ryzykować, nie czekały na bomby, wyje-

chały. Dziś wiem, jak dobra to była decyzja, bo i Lwów nie jest bezpieczny, i nigdy nie wiemy, co się jeszcze może wydarzyć. Pełne życia Żenia i Milenka muszą mieć teraz piękny, ciepły dom, w którym gotują, pieką, który wypełniają swoim wesołym gwarem. A ja idę do lasu. Na mój dom patrzę czasami z daleka, czasem podchodzę bliżej, zaglądam przez okienko. Nie pali się w piecu, ciemno i pusto, mysz tylko pilnuje i smitia wyjada z kątów, smitia, które nam się wtedy rozsypały, kiedyśmy z Żenią piekły nasz wspólny chleb, chleb pełen życia.

Joanna Sarnecka



Joanna Sarnecka, z cyklu *Pocztówki z Przemysła*, festiwal Centrum Światów jest Tutaj pod hasłem *Schronienie / Więzienie*, 23–24.09.2022 (na rewersach pocztówek znajdują się historie osób przetrzymywanych w przemyskim Strzeżonym Ośrodku dla Cudzoziemców)

Dorota Korwin-Piotrowska

OBIECAJ SOBIE

Obiecaj sobie
tylko radość
teraz
kiedy już wiesz

jest tyle rodzajów zieleni
ile początków
i na odwrót

śpiew kosa
strzepuje
z rzęs jaśminu
gwiazdny pyłek

liście mlecza pod światło
drapieżne
niereczywiste
tłoczą białą energię
do reflektorów kwiatów

nie obdarowuj tego małego
przydrożnego ślimaka
autostradą
nie pomknie nią

daj
sobie
trwać

czasem
w zaciszny dzień

gdy wszystko jest
na swoim miejscu
jeden jedyny liść
nagle drga i drga w niepokoju
niepotrzebnie

obiecaj sobie radość
gładkie obracanie
kamyka dni na języku

woda płynie
nie tam gdzie chce
lecz gdzie to możliwe.

TE(T)RABAJTEK

Jakież to nieekonomiczne!
Patrzę na niego
nowobiologicznego
ledwie wyklutego z ciała
przecież mógłby
mieć całą wiedzę przodków
w jednym złączu

a będzie musiał
powtarzać te idiotyczne
gu-gu am-am i tak dalej
dwa plus dwa jest cztery
aż po teorię względności
i terabajty danych

to cud
że w ogóle
wyszliśmy z jaskiń
– co pokolenie
cała wstecz

i ciągle odrabianie
strat w archiwach

a jednak
z tej minimalnej nadwyżki
mała piąstka
z dużą figą z makiem.

DARŃ

Trwa trwoga
potykamy się o nie swoje
tragedie
w nocy budzi nas
nie nasz krzyk
a w nim my
nasi przodkowie nasze dzieci
z aortą przegryzioną przez wojnę
spod skóry przeziera darń
w niej ludzka kość.

ZIMOWE ŚWIĘTA

Z okazji
narodzin słodkiego reniferka
leżącego w szopce na sianku
pod gwiazdką
śniegu
w oczekiwaniu na wiosenny cud
zieleni Zziemipowstania
wśród jajeczek oraz zajaczków
i radosnych dżingli
życzę Ci
gdy przyjdą Trzy Pewności:
Trwoga
Zwątpienie

Ból

nie do wytrzymania
a zawsze przychodzą
żeby ktoś
żeby coś
żeby cokolwiek
żeby jakaś Weronika z chustą albo pamperszem
dotykaniem ręki na czole
żeby starczyło dla Ciebie
ziarenka maku
by śnić lub bez snu
zasnąć.

ZA MNĄ/PRZEDE MNĄ

Gdzieś zaraz za mną
przede mną
obok
w ruchomym kręgu
najbardziej bezpośrednio
nieuchwytnie
pewnie
jesteś
bo pragnę
niezależnie
od mojej woli
ponad głową
tuż nad ramieniem
we mnie
wzdłuż aorty
poza mną
w kosmicznym pyłe
Obecny
Nieobecny
Obecna
Nieobecna
jesteś

porządek chaos
ani orzeł ani reszka
twardy metal pomiędzy

bo jak nie
to kto by nad nami płakał?

Dorota Korwin-Piotrowska



Wojciech Trzyna, *Ikona z modraszka*, pastel na papierze, 2022.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Grzegorz Strumyk

KRZEWINKA

Odwracam się i nikogo nie ma. Są trzy białe brzoźki. Nie poruszają nawet oczami, tylko patrzą. Tak. Patrzę na drzewa i zaraz je pytam: kim jesteście? Kiedy wszedłem w zagłębienie terenu i kucnąłem, nie było wokół wolnego miejsca. Z wszystkim, co znalazło się w zasięgu wzroku, byłem blisko, tak blisko, jak w jakimś uścisku dążącym do jeszcze większej bliskości.

Wszystko jedno w jakim stanie. Nie powinienem był zostać odnaleziony.

Byleby nie zjawili się ludzie, nie pojawili się nawet w myślach. Nie po to tu przyszedłem, by usłyszeć ludzką mowę, rzucane słowa.

Nie było rzeczy martwych, tylko ja, bo nie mogę żyć w jednym ciele, w jednej myśli, bo wciąż za mało. Próbowałem i nie umiem. Ostatecznie pozwala mi żyć jedna myśl, że nie żyję jeszcze. Nie kierowałem się logiką, że jeśli coś mi nie służy, to jest niedobre.

W półkrzaczek się zmieniłem, tak samo oczekujący nie wiadomo na co, tylko nie na spotkanie z ludźmi, by nikt mnie nie wyrwał z mojego niebycia.

W taki czy inny sposób spotkam wszystkich, do których jestem teraz podobny, do nieobecnych i niemówiących.

Poszycie lasu pode mną było grube, zielone, soczyste, wciągało. Myśl, że się rozsypany, rozplywam, była jak witanie się z nowym życiem.

Stare formy. Słowa wyszły z użycia. Potrzebowałem, pragnąłem być zrównany ze światem. Świat nie trzymał się już żadnego opisu. Wybiegał naprzód przy każdym słowie. Przychodził, wracał w ciszy od słów.

– 10.

– 6.

– 5.

– 1.

– 1.

Policzone słoiki wyjęte z paczki wysłanej do siebie. Patrzę przez szklane naczynia. Wydają się czymś innym wypełnione. Są ostatnim zapisem świata. Ustawiam z książkami krwawoczerwone płody. Jednak krwi

tam nie ma. Mimo wszystko. Na półkach. Jestem spokojniejszy, jak przy odwiedzinach świata tylko.

Nie umiem tylko słowami mówić, nie umiem tylko słowami pisać, a jednak to robię. To, co jest tu, wymaga nieodnalezienia się w niczym. To dlatego zapisuję na karteczkach i naklejam na słoiki:

- Jagoda.
- Płatki róży.
- Owoce róży.
- Borówka.
- Czeremcha.
- Kruk?

Z rozpedzonego po pokoju spojrzenia. Po półkach, naczyniach, ubraniach, co by to nie było – wszystko unieruchomione, zamknięte. Kruk patrzy czarnym okiem w fioletowym słoiku, jak tam w lesie, w trójkę, nade mną.

Pojechałem nie słyszeć ludzkiej mowy. Na mokradła, na błota, przedzierając się przez las. W wynajętym pokoju na samym końcu korytarzyka z oknem na wschód. Tak miało się zacząć moich dziewięćdziesiąt dni w strefie, do której sam siebie przeprowadzałem w ukryciu. Gdyby ktośkolwiek mnie zobaczył, wiedział, gdzie idę, podpatrzył, nie znalazłbym się w strefie. Później tak ją nazwałem. Na początku było to moje miejsce. Strefę oznaczały: brak ludzkich głosów, odgłosów ich życia i pracy, możliwość stania się niewidzialnym dla ludzkich oczu. Zanim nie zacząłem znikać i dla siebie.

Jak dziecko, gdy zasłania oczy, zakrywa twarz i to wystarcza, by zrodziła się świadomość niewidzialności, po wnikięciu w strefę obejmowało mnie całego poczucie nieobecności gdziekolwiek. I gdyby nie powiew powietrza dotykający dłoni, ich wewnętrznej strony, mógłbym oszaleć po dłuższym czasie lub tylko nie wrócić już do porozumiewania się z ludźmi. Zacząłem tak wolno chodzić, że wokół roztaczał jeden obraz, płaski, wysięclany mchem. Wyciszony i niedoznający niczego poza dobrem obecności, nie pamiętając o własnym ciele, o zajmowanym przez nie miejscu. I to nie było chwilowe. Powtarzało się za każdym wejściem w strefę. Było normalnością, powtarzalnością, od której, tym razem, nie chce się uciec. To dla eksperymentu musiałem wyobrazić sobie pejzaż ze sobą w tej chwili, aby odnaleźć się, przekonać, że jestem w konkretnym miejscu. W parowach, zagłębieniach, jamach, obniżeniach pagórkowatego lasu zapisywałem w jedyny możliwy sposób, tym samym tworzywem, z jakiego świat był stworzony, nie ze słów, nazw, pojęć. Wtedy mógłby być doskonale gładkim sześcianem, nieskazitelną bryłą. Bóg mógłby być tablicą. Ten las w strefie

był stworzony przez zmysły. Świat stworzyły zmysły. Kucałem tu, klękałem w dolinach pagórków i zrywałem jagody, wszystko, co las mógł mi dawać, czym karmić.

Karmiłem się światem bez ludzi. Wystarczał za wszystkie jego opisy. Nie byłoby to możliwe bez ukrycia się przed oczami innych, próbami opisu, co robię. Kiedy próbowałem stanąć obok, widziałem tylko przykucniętego w dole człowieka.

A on naprawdę nie chciał być dla ludzi częścią ludzkiego świata. Zmęczyły go wszystkie historie z ludźmi, a światło na pajęczynie nie. Jego życie w tej chwili nie wymagało żadnych rozwiązań. – Mam nieskończenie dużo czasu – wyszeptał. Słowa płynęły z nieruchomego ciała.

Nie wiedziałem, co się spełniło, jakie dokładnie pragnienie, myśl, wszystko naraz. Było to jak odpuszczenie ciężkiego zmęczenia tkwiącego w samym środku życia. Zmęczenia każdą myślą, słowem, uczuciem. Kim byłem do tej pory, zbiło się w kamień nie do przeniknięcia, który pozostał gdzieś daleko, wiedziałem nawet gdzie.

Tuż przed wyjazdem zdążyłem postawić wielki kamień w ogródku. Wysoki ponad metr głaz znalazłem na podwórzu kamieniarza. Razem wybraliśmy go na pomnik, który miał stanąć w cmentarnym ogródku pod drzewem posadzonym jeszcze przez matkę. Kamieniarz wykuł imiona i daty, i wreszcie ujrzałem to, co chciałem przeczytać, trzy opowieści nie do rozbicia, w każdej cząstce jak całość. Wykute w kamieniu tytuły z imion i lat, w których miały miejsce zdarzenia. Reszta w kamieniu, pod którym już na trzech piętrach, a licząc w centymetrach, warstwach są pochowani: tata, brat, mama, i nie byłoby do zapisania nic ponad to, gdyby nie ziemia. Jak z jednej ziemi zostaliśmy ulepieni. Nasza czwórka ciągnęła do drzew bardziej niż do ludzi. Do zapowiadanego pod nimi uspokojenia samoudręczeń. Kiedy kamień mogłem obejść z każdej strony, odczytać historię życia w dwóch, trzech słowach imienia i nazwiska, i kamień od momentu postawienia wrósł w otaczającą go bujność drzewa od samych korzeni, zostałem autorem niezemskiej opowieści.

Dotykanie kamienia było czymś przyjemnym. Ciepły i wcale nie twardy, kiedy się po nim dłoń przesuwało. Miał swoje strony: gładką i szorstką, które stykały się na granicy światła i cienia. Każdy z pięciu palców dłoni mógł dotykać innej płaszczyzny, różnych zakamarków. Dłoń nie gładziła nic martwego, mogła dawać życie, ożywiać kamień.

Kamienie z natury przyciągają, chce się dotknąć coś tak doskonale całego. W żyłkach, pasemkach i plamach zamknięte ciśnienie życia.

To powtórzyło się w lesie. Wołałem imiona, bo niemożliwe wydało się obrócenie imion w pył. Z rękami w krzewinkach zbierałem do ostatniej

dojrzałej jagody. Dopiero z napełnionych garści sypałem do ust. Do końca krzewinka musiała oddać mi to, po to tu była. Nie mogła tego czuć, ale ja po to byłem, by oddać krzewinkom swoje odczucie, że chcemy być wybierani do końca. Objąć krzaczek, ścisnąć i zrywać. Całe szczęście w oddaniu świadomości. Chciałem, aby świat się mną nakarmił, a ja nim w każdej postaci. Nie pierwszy przecież raz. Nie jestem w żadnym łańcuchu. Z zysków i strat już nic nie rozumiałem. Pilnowałem się powietrza, żeby napływało. Tu to ja oddycham światem pięknym i okrutnym, ale bez ludzi. Ta nieobecność ludzi w pięknych miejscach. Jeśli już nie został człowiek, to zostać z jakąś sprawą. Na skraju rozświetlonej łąki w środku lasu przetaczała się wojna o łąkę, o jasność na łące. Wokół ciemny las. Nic mnie nie wciągnie w wojnę. W pół obrotu zastygło ciało. Dobrze, jak jest gdzie się położyć. Jestem tak daleko od naglących, niemogących czekać spraw, że w rozmowie to pustka. Szkoda tylko pogrzebanych zmysłów, bo to się skończy.

Po jakimś czasie, po wielu przejściach do strefy, gdy dzień zaczynałem wyjściem wcześniej rano nad morze i kąpielą, a kończyłem w lesie pad błotami, wrzosowiskiem. Z zebranymi krajobrazami w jednym dole, poniżej pni sosen; nie umiałem już stamtąd wyjść na powierzchnię bez kręcenia się w kółko, jakbym zapomniał drogę. Przed siebie i w tył, zawracałem i znowu to samo. Pobyt tam był zgubny dla ciała. Nie miało co robić, jak po uwolnieniu z długoletniego więzienia, myślałem tylko o położeniu się, może po przebudzeniu będzie inaczej, będę w jednym tylko miejscu. Pokój z werandą ogrzewaną wystarczy i nie będę pamiętał, że kiedyś wydarzyło się życie ze szczegółami, zanim trafiłem do strefy.

Grzegorz Strumyk

Michał Bzinkowski

ŚLADY

ślady mokrych stóp
niknące w słońcu
na bruku
i odciski kolejnych
już znikłych
wessanych w szpary
między jedną chwilą
a drugą odbitą
w tamtej

bezgłośnie

czerwiec 2021

JABŁOŃ PAMIĘCI

spadały w studnię czasu jabłka z babcinej jabłoni
złote renety szorstkie znikały w niepamięci
potężniał konar od zmartwień ciężły gałęzie ku ziemi
rozpraszały się ptaki z ciepłych letnich wieczorów

gasły różane zachody w szklankach mętnej herbaty
gorzkiej i słodkiej bo takie pijał dziadek wieczorem
powolniał czarny zegar wbijając sekundy w ciszę
niczym wieko od kufra ryglując bezpowrotnie

a jabłka wciąż spadały czerwienią paląc trawę
jesienniała izdebka od woni koszów z wikliny

krań ołowianych chmur spruwał pajęczę sieci
drobne skrzydlate sekundy pierzchały rozproszone

goniąc na oślepy minuty które już dawno umknęły
wichrem zagnane nad krawędź pamięci rozpadliny

wichrem który powalił pień spróchniałej jabłoni

wichrem który powraca

lutymaj 2022

DRZWI

tak ciężko skrobie się
warstwy lakieru
z drzwi
wiodących w przeszłość

jak dotrzeć do drewna
pachnącego żywicą
tak świeżą ciągle żywą

warstwy
nie poddają się łatwo
skrobaniu szlifowaniu
płynnemu rozpuszczaniu
nie chcą by światło
dotknęło drewna

z zeszkrobanych
zostają drobiny
głęboko wcięte w pory
zrogowaciałej skóry

odpryski pamięci
rozmozaikowanej
łudzkiej dotykającym

boję się skrobać
kto wie czy nagie drewno
nie odsłoni

pierwszego światła

czerwiec 2022

Michał Bzinkowski



Andrzej Niedoba, *Człowiek na przystanku*, drewno polichromowane, 2022.
Z wystawy *Powrót do raj. Spotkanie*

Piotr Mras

KSIAŻĘ, PERŁA I WĄŻ

Ezoteryczna wykładnia *Pieśni o Perle*

Pieśń o Perle (znana również pod nazwą *Hymn o Perle*) należy do wybitnych świadectw starożytnej poezji mistycznej. Autor utworu i pochodzenie tekstu są nieznane. Przyjmuje się, że napisał ją Bardesanes z Edessy (154–222), gnostyk i poeta syryjski, autor wielu tekstów mistycznej religii gnozy. Jego autorstwo potwierdza analiza stylistyczna i ideowa zachowanych fragmentów innych pism Bardesanesa (w znacznej mierze zniszczonych przez ortodoksyjny kościół chrześcijański). *Pieśń o Perle* powstała około 180–200 roku i została wtórnie włączona do gnostyckiego apokryfu *Dzieje Tomasza Apostoła* z połowy III wieku. Do dnia dzisiejszego zachowała się jej wersja syryjska, oraz nieco późniejsza redakcja grecka, zawierająca pewne zmiany w treści i symbolice. Jej walory liryczne i religijne od dawna zwracały uwagę historyków. Była ona przedmiotem licznych analiz literackich, interpretacji symbolologicznych i metaforycznych.

Do tej pory znane są mi cztery różne tłumaczenia pieśni na język polski. Najbardziej popularny jest poetycki przekład wersji greckiej Czesława Miłosza (*Hymn o perle*, Kraków 1983). Miłosz tłumaczył ją z języka angielskiego i – jak napisał – „tekst jest wolną przeróbką”. Niniejszą analizę ideową prowadzę w oparciu o tekst tłumaczony z oryginału syryjskiego przez Marka Raczkiewicza¹.

Pieśń o Perle to orientalna baśń paraboliczna z interesującą i rozbudowaną strukturą znaczeń mistyczno-symbolicznych. Narratorem opowieści jest Książę z Królestwa na Wschodzie. Opisuje on swoją podróż i pobyt w Egipcie z misją zdobycia ukrytego skarbu, niezwyklej Perły, pilnowanej w głębinach morza przez ogromnego węża. W warstwie ideowej baśni przedstawiony został upadek, odrodzenie i wyzwolenie duchowej Jaźni z niewoli materii, ciała i jego niższej duszy. Symbole w utworach gnostyków, znane również w innych tradycjach ezoterycznych, religijnych czy kulturowych, pod wpływem ich mistycznych wizji nabierają szcze-gólnego, niepowtarzalnego kolorytu i wyjątkowych wartości ideowych.

Utwór rozpoczyna się od zdania: „Kiedy byłem małym dzieckiem i mieszkalem w moim Królestwie, domu mojego Ojca i w bogactwie i rozkoszach moich żywciceli przebywałem, ze Wschodu, naszej ojczyzny, rodzice moi w podróż mnie wyprawili” [HoP]. W ezoteryce Wschód, gdzie wschodzi Słońce i rodzi się światło, był symbolem Duchowego Centrum, które gnostycy nazywali Królestwem Świa-

¹ *Hymn o Perle*, przeł. M. Raczkiewicz, „Studia Redemptorystowskie” 2004, nr 2, s. 201–210. Cytaty z tego przekładu oznaczone jako [HoP].

tości lub Pleromą (gr. pełnia). Był on źródłem nieustającej tęsknoty za „utraconym Rajem”. „Małe dziecko” to personifikacja tajemniczej mistycznej siły, która rodzi się i rosnąc, dąży do pełni i doskonałości. Dziecko symbolizuje stan niewiedzy i czystości, początek drogi. Książę, kiedy był małym dzieckiem, wysłany został z „domu Ojca”, z Pleromy, w niebezpieczną i trudną podróż. Zachodzi związek między symboliką podróży i procesem rozwoju duchowego człowieka. Podróż jest tu symbolem inicjacji – wtajemniczenia do świata nadprzyrodzonego. Etapy tej wędrówki są rytami oczyszczającymi, kolejnymi stopniami przemiany wewnętrznej.

Książę uosabia iskrę świetlistą – pneumę (gr. duch, tchnienie), która zstępuje z Pleromy do świata materialnego. Pneumę posiadają tylko nieliczni, wybrani ludzie duchowi – pneumatycy, nazywani Synami Królewskimi lub Synami Światłości. Jedyne oni, dzięki otrzymanemu w darze tajemniczemu objawieniu – gnozie (gr. *gnōsis* – poznanie), osiągną zbawienie i życie wieczne w Pleromie. Według Bazylidesa z Aleksandrii (ok. 85–145) tylko niewielu ludzi mogło osiągnąć tę tajemną wiedzę i dostąpić wiecznego życia. W przeciwieństwie do nich, ludzie materialni – hylicy (gr. *hylē* – materia), pozbawieni pneumy, żyjący w ciemności, hołdujący doczesnym bogactwom i zmysłowym rozkoszom, są skazani na unicestwienie. Ich życie kończy się wraz ze śmiercią materialnego ciała.

Rodzice Księcia hojnie wyposażyli go w daleką drogę bogactwami z królewskiego skarbcza, dając mu „pakunek wielki i zarazem lekki”. Zdjęli z niego „wspaniałą szatę”, symbol świetlistej doskonałości, oraz królewski płaszcz z purpury. Zaś w jego sercu wypisali słowa: „Jeśli zejdziesz do Egiptu i przyniesiesz Perłę jedyną, która leży pośrodku morza, w pobliżu węża syczącego, wówczas włożysz znowu twoją wspaniałą szatę i twój płaszcz. Razem z twoim bratem zostaniesz dziedzicem w naszym Królestwie” [HoP].

Podróż wiodła przez Babilon Wielki – symbol życia zepsutego, nierządu i bałwochwalstwa, opisany w Janowej Apokalipsie metaforą Wielkiej Nierządnicy [Ap, 17, 3–6]. Babilon był przeciwieństwem idealnego, świetlistego Niebiańskiego Jeruzalem, miasta świętego, wzniesionego na fundamentach z kamieni szlachetnych [Ap 21, 1–17]².

Następnym etapem drogi Księcia był Sarburg, słynny w czasach starożytnych mityczny labirynt w Egipcie, uważany za siedlisko demonów i złych duchów. Przejście przez labirynt to popularna w ezoteryce próba inicjacyjna na drodze poszukiwania samego siebie – duchowej Jaźni. Wyrażał on ideę upadku i zatraty ducha oraz konieczność jego odrodzenia. U alchemików labirynt był symbolem stanu *nigredo* (łac. czerń), a wyjściem z niego było znalezienie magicznego *lapis philosophorum* (łac. kamień filozoficzny). Gnostyk opuszczał labirynt otrzymując „list – wezwanie”, który był przebudzeniem i początkiem mistycznego objawienia gnozy.

²*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych* (Biblia Tysiąclecia), oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, przeł. W. Borowski i in., red. nauk. A. Jankowski i in., Pallottinum, Poznań 1980

Książę rozpoczyna misję zdobycia Perły od Egiptu. W tradycji judeochrześcijańskiej ten kraj utożsamiano z domem niewoli, z którego Jahwe wyprowadził Izraelitów do Ziemi Obiecanej. W naukach gnostyków Egipt był ucieleśnieniem demonicznej zasady zła, symbolem bogactw tego świata, królestwa materii i śmierci. W aspekcie ludzkim to symbol zwierzęcej natury człowieka i jego uwikłania w iluzję grzesznej zmysłowości. Egipski kult bogów z głowami zwierząt, duże znaczenie magii w życiu codziennym oraz adoracja śmierci (balsamowanie ciał zmarłych) były dla gnostyków czymś niezrozumiałym i odrażającym. Dla manichejczyków (dualistyczna gnoza irańska) „ten świat” był dziełem złego Boga, miejscem walki światła (dobra) i ciemności (zła).

„Zejście w dół”, z Królestwa na Wschodzie do świata materialnego, należy uznać za metaforę wcielenia pneumy w materialne, biologiczne ciało, czyli moment urodzenia się na „tym świecie”. Według mandejeńczyków dusza bez własnego zawinięcia wypada z Pleromy do obcego jej świata. „Ciężko i źle mi w cielesnym ubiorze, w który mnie odziano i wrzucono”³. Do słów-kluczy gnostyków należała sentencja: „Nie jesteśmy z tego świata”⁴. Nazywali siebie obcymi, tworząc szczególną elitę, odrębną od pozostałych ludzi, gdyż uczestniczyli w wyższym, nadprzyrodzonym świecie. Żyjąc na „tym świecie”, uważali siebie za więźniów materii, czasu i swojej niższej duszy (ego).

„I włożyłem ich strój, aby nie podejrzewali mnie, że przybyłem z daleka, by zabrać Perłę” [HoP]. „Ich strój” to metafora ciała, uwięzienia pneumy w obcym, absurdalnym, zmysłowym świecie, który był miejscem zła, cierpień i destrukcji. Mieszkańcy Egiptu rozpoznali jednak, że Książę nie pochodzi z ich kraju. „Przylączyli się do mnie podstępnie i dali mi nawet spróbować ich pożywienia. Zapomniałem, że byłem Synem Królewskim i służyłem ich królowi. Zapomniałem też o Perle, po którą wysłali mnie moi rodzice. I od ciężkości ich pokarmu zapadłem w głęboki sen” [HoP]. Metaforą życia w Egipcie, w materialnej, grzesznej rzeczywistości, są zwroty: „ich pokarm”, „byłem obcy dla nich”, „towarzystwo nieczystych”, „głęboki sen”. Rezultatem życia w iluzorycznym świecie materii był stan zapomnienia o własnej tożsamości. Dla gnostyków „głęboki sen” oznaczał stan niewiedzy i duchowej śmierci.

Rodzice Księcia znali jego trudną sytuację i „cierpieli z tego powodu”. Królowie i dostojnicy Wschodu przygotowali plan uratowania Księcia z materialno-zmysłowego zniewolenia. Napisali do niego list, na którym „każdy z wielkich złożył na nim swoje Imię” [HoP]. List, „który Król opieczętował własną prawicą”, posiadał magiczną moc, chronił przed demonami, żywiącymi się duchową substancją, i całym złem świata materialnego. „Podobny był [list] do przylatującego z nieba

³ *Ginzâ* 461, 10–11. *Ginzâ* („Skarb”) – święta księga mandejeńczyków, spisana w VII wieku w języku mandejskim (dialekt semicki) na podstawie tradycji ustnej z I wieku. Cytat za niemieckim przekładem (tłumaczenie moje): *Ginzâ. Der Schatz oder Das große Buch der Mandäer*. Übersetzt und erklärt von M. Lidzbarski, Göttingen 1978.

⁴ Cyt. za: S. Hutin, *Gnostycy*, przeł. K. Demianiuk, „Literatura na Świecie” 1987, nr 12, s. 23.

orła, króla wszystkich ptaków. Usiadł przy mnie i cały stał się mową” [HoP]. Orła uważano za posłańca niebios, przeciwnika węża (sił chtonicznych), za symbol potęgi Ducha. „Zbudź się i wstań z twojego snu [...]. Przypomnij sobie, że jesteś Synem Królewskim [...]. Wspomnij na Perłę, po którą zstąpiłeś do Egiptu. Na jego głos obudziłem się i wstałem z mojego snu” [HoP]. „Głos listu” był wezwaniem pochodzącym z Królestwa na Wschodzie, metaforą otrzymania mistycznego daru gnozy.

Pobyt Księcia w Egipcie należy rozumieć jako drogę wewnętrznego rozwoju duchowego gnostyka. Żyje on w niewiedzy i upojeniu materią, aż do odrodzenia się w gnozie, która jest objawieniem prawdy o jego świetlistym rodowodzie z Pleromy. Gnostyk, otrzymując objawienie mistyczne, pojmując, że nie jest z „tego świata”, przypomina sobie, że jego ojczyzna jest poza czasem i przestrzenią, poza światem przedmiotowym, poza materią. Pojmując, że należy do wybranych przez Władcę Pleromy do życia wiecznego w Królestwie Światłości. Były to poglądy zbieżne do ontologii platońskiej, w której nieśmiertelna dusza, zniewolona w materii, traci swą duchową pełnię, zapomina o swojej praegzystencji. Prawdziwa wiedza pochodzi z przypomnienia – anamezy (gr. *anámnēsis* – przypomnienie) duchowego jestestwa. Odkrycie świetlistej tożsamości wyzwala duszę z więzów ciała i powraca ona do doskonałego świata idei.

Gnostycy porównywali „przebudzonych” do tych, którzy żyli w upojeniu i z tego upojenia wytrzeźwieli. Wezwanie do przebudzenia słyszą jednak i mogą się zbudzić z „głębokiego snu zapomnienia” tylko ludzie duchowi, posiadający pneumę – pneumatycy. Synowie Króla królów budząc się, poznają swoje prawdziwe pochodzenie, swoją świetlistą Jaźń. Sokrates „budził” swoich rozmówców, Jezus leczył niewidomych, otwierając im oczy na konieczność duchowego odrodzenia. Symbolem przebudzenia dla gnostyków była ryba, która nigdy nie zamyka oczu i nigdy nie śpi. W kulturze starożytnej walka ze snem była ważną próbą inicjacyjną, opisaną już w najstarszym, sumeryjsko-akadyjskim eposie *Gilgamesz*. W mitologii greckiej Hypnos (Sen) to brat bliźniak Thanatosa (Śmierci). Zwycięstwo nad fizycznym zmęczeniem i snem było znakiem posiadania mocy duchowej oraz dowodem pokonania duchowej śmierci.

„Przebudzenie” za sprawą głosu mistycznego listu należy do powszechnych wyobrażeń w religii gnozy (tematem całej XXIII *Ody Salomona* jest „list – wezwanie”). „Wołanie z góry” budziło uśpioną w materii i ciele pneumę. „Przypomniałem sobie, że byłem Synem Królewskim, i że moje szlachetne urodzenie dąży do swojej natury” [HoP]. List stanowił przełom w misji, był otwarciem duchowych oczu, rozpoczynając u Księcia świadomy proces poznania własnej Jaźni. „Zobaczyłeś ducha i stałeś się duchem”⁵. Ten, kto widzi duchową rzeczywistość, staje się tym, co widzi. Jest obecny w świecie Ducha.

Objawienie gnostyczne, symbolizowane przez oświecający i stwórczy płomień, jest poznaniem całkowitym i bezpośrednim. Odkrycie duchowej Jaźni

⁵ *Ewangelia Filipa*, 48, przeł. i oprac. P. Kieniewicz, b.m. 2020, s. 40.

w samym sobie było głównym celem religii gnozy. U podstaw systemów gnostycznych leżało przeżycie objawienia Ducha – iluminacji. Owo mistyczne doświadczenie było warunkiem zbawienia. Dar gnozy był instrumentem objawienia i transformacji, impulsem procesu wyzwolenia pneумы z cielesnej powłoki. Iluminacja nie jest przeżyciem jednorazowym. To ciąg mistycznych objawień, przeżywanych zawsze głęboką nocą, w samotności, w absolutnej ciszy i milczeniu umysłu.

Doznając mistycznego ośnienia, gnostyk odkrywa swoją świetlistą istotę i nadprzyrodzoną rzeczywistość. Uświadamia sobie istnienie czegoś dotąd nieznanego, tajemniczego. Całe dotychczasowe jego życie było inicjacją – przygotowaniem do objawienia boskiej światłości. „Poznaj swoją świetlistą istotę” – taki był metaforyczny sens sentencji *gnōthi seauton* (gr. poznaj samego siebie), umieszczonej na tympanonie portyku świątyni – wyroczni Apolla w Delfach. Posiąść gnozę znaczyło poznać, „kim byliśmy i kim się staliśmy, gdzie byliśmy i gdzie nas wrzucono, dokąd zmierzamy i skąd przyjdzie nasze wybawienie, czym są narodziny i czym jest odrodzenie”⁶.

„Przypomniałem sobie Perłę, po którą wysłano mnie do Egiptu” [HoP]. Ezo-terycy byli przekonani, że perły powstają przez zjednoczenie niebiańskiego światła i ziemskiej wody – *coniunctio oppositorum* (łac. zjednoczenie przeciwieństw). Kuli- lista forma perły i jej niezwykła, iskrząca, białosrebrzysta barwa były symbolem doskonałości i pełni. W kulturze śródziemnomorskiej perły morskie ceniono wyżej niż złoto. Afrodyta, zrodzona z muszli morskiej, nazywana była w Syrii Perłową Damą. W wizji apokaliptycznej Jana każda z dwunastu bram Niebiańskiej Jerozolimy jest perłą [ApJ 21, 21]. Perła była również symbolem pierwszego, duchowego człowieka (Adam Kadmon w kabale). Dla gnostyków ta ogromna, realna wartość perły stała się symbolem najdroższego skarbu człowieka – jego duchowej Jaźni.

Książę, przebudzony ze snu zapomnienia, świadom teraz swojego królewskiego pochodzenia, walczy z wężem i zdobywa swoją „Perłę jedyną”. „I zacząłem zaklinać węża straszliwego i syczącego. Sprawilem, że zamknął oczy i zapadł w sen, albowiem wymówiłem nad nim imię mojego Ojca i mojej Matki, Królowej Wschodu” [HoP]. Walka z wężem lub smokiem to popularny motyw starożytnych mitów i średniowiecznych legend czy baśni. Zwykle strzegły one ukrytych, trudnych do zdobycia skarbów. Dla gnostyków wąż jest symbolem zła, upadku, przyczyna utraty boskiego Raju. Był on synem Jaldabaôta (tak gnostycy nazywali biblijnego Jahwe), złego demiurga, który stwarzając doczesny, niedoskonały świat, uwięził w nim duchowe iskry – pneumę. Przedstawiano go często pod postacią węża z głową lwa. Węża oraz „głębiny morskie”, w których ukryta była Perła, utożsamiano z Królestwem Ciemności, chaosem, destrukcją, siłami zła i światem materii.

Książę nie zwyciężył „straszliwego, syczącego węża”, pokonując go w walce fizycznej (jak przedstawiano to dawnych mitach i legendach), ale pokonał go

⁶ Teodot, Szkoła Walentyna. Cyt za: S. Hutin, *Gnostycy*, s. 14.

duchowo, wykorzystując moce magiczne (niektórzy autorzy widzą w tym motywie wpływy tradycji babilońskiej). W ezoteryce pokonanie smoka czy węża oznaczało pokonanie niższej duszy – fałszywego Ja (ego).

„Zabrałem Perłę i wyruszyłem w drogę powrotną do domu mojego Ojca” [HoP] – powrót do Królestwa na Wschodzie odbywał się tą samą drogą. Wiódł go „list – wezwanie” z pieczęcią Króla. „A list mój, ten który mnie obudził, znalazłem przede mną na drodze. I tak jak zbudził mnie swoim głosem, tak teraz prowadził mnie swoim światłem” [HoP]. W tym znaczeniu „głos listu” staje się symbolem procesu iluminacji duchowej, której celem jest stanie się własną transcendentalną Jaźnią, o czym pisał Novalis⁷.

Dalej czytamy: „Ich strój brudny i nieczysty zrzuciłem i zostawiłem w ich kraju” [HoP]. Słowa „strój brudny i nieczysty” odnoszą się do ciała materialnego, w którym Książę urodził się i żył w Egipcie. Książę odzyskał „Perłę jedyną”, czyli swoją duchową Jaźń, zostawił „strój nieczysty” (ciało biologiczne i niższą duszę), wrócił do Królestwa na Wschodzie. W apokryficznej *Ewangelii Tomasza* perła jest symbolem największego, wiecznego skarbu: „Królestwo Ojca podobne jest do kupca, który znalazł perłę. Ów kupiec był mądry: sprzedał towary (dobra materialne) i kupił sobie za nie samą perłę (Jaźń). Wy sami szukajcie jego skarbcza i miejsca, do którego mól nie wpadnie, aby pożreć, ani robak go nie zniszczy”⁸. Tym skarbczem jest życie wieczne w doskonałej Pleromie.

„I tak obrałem drogę, aby pójść prosto do światła naszej ojczyzny, Wschodu” [HoP] – królewscy rodzice wysyłają Księciu na spotkanie jego „szatę chwały”. „Moją wspaniałą szatę, którą niegdyś zdjąłem, i mój płaszcz, który ją okrywał, z wyżyn Hyrkanii (Pleromy), moi rodzice posłali do tego miejsca przez skarbników” [HoP]. „Wspaniała szata” czy „szata chwały” to metafory Bliźniaczego Ducha, niebiańskiego alter ego Księcia.

„I kiedy nie pamiętałem już jej świetności – małym dzieckiem byłem bowiem, kiedy zostawiłem ją u mojego Ojca – nagle, kiedy stanąłem przed nią, szata wydała mi się lustrzanym odbiciem mnie samego” [HoP]. Idea Bliźniaczego Ducha, nazywanego również Wiecznym Obrazem, Obrazem-Aniołem lub Towarzystwem (syr. *Szygos*), znana w tradycji palestyńsko-syryjskiej, opisana w tekstach mandejskich, została rozwinięta przez babilońskiego mistyka Maniego (216–ok. 276). Maniego uważano za zespolonego z Bliźniaczym Duchem już podczas doczesnego życia. W koptyjskim *Psalmie Bema*, opisującym męczeńską śmierć Maniego, zamieszczone są jego słowa: „Spoglądałem na mojego Bliźniaczego Ducha swoimi świetlistymi oczami i oglądałem mego chwalebego Ojca”⁹.

⁷ Novalis, *Uczniowie z Sais. Proza filozoficzna. Studia. Fragmenty*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1984.

⁸ *Ewangelia Tomasza*, logion 76. Cytat za: *Ewangelia Tomasza*, przeł. W. Mysior [w:] *Apokryfy Nowego Testamentu. Ewangelie apokryficzne*, red. M. Starowiejski, Kraków 2003, s. 197.

⁹ *Psalm Bema*, 19, 22–24. Cytat za: M. Woszczech, „Przychodził jak błyskawica...”. *Szygos-Paraklet i judeochrześcijańska pneumatologia w Kolońskim Kodeksie Maniego* [w:] *Gnoza. Gnostycyzm. Literatura*, red. B. Sienkiewicz, M. Dobkowski, A. Jonec, Kraków 2012, s. 48.

Książę opisując wspaniałość swojej świetlistej szaty, kończy słowami: „I obraz Króla królów był na niej wyhaftowany i namalowany wszędzie” [HoP]. W swojej istocie Książę był doskonałym odbiciem Ojca – Władcy Pleromy, który go wyemanował. Jezus nauczał, że do Królestwa Niebieskiego wejść tylko ci, którzy „uczynią dwa jednością” i „dadzą obraz w miejsce obrazu”¹⁰. Gnostycy uważali, że Bliźniaczy Duch przybywa do umierającego w momencie jego śmierci i jednoczy się z jego Jaźnią. „Świetlisty Obraz objawia się temu, kto opuszcza swoje ciało”¹¹. Umiera tylko ciało, Duch jest wiecznie żywy, nieśmiertelny.

Podpiero mistyczne zjednoczenie ludzkiej jaźni z niebiańskim Wiecznym Obrazem tworzy doskonałą i pełną Istotę Świetlistą. „Albowiem dwóch nas było, kiedy byliśmy rozdzieleni, a teraz znowu byliśmy jednym w jednym kształcie” [HoP]. Książę nazywa świetlistą szatę chwałą swoim skarbem i bogactwem: „Wyciągnąłem ręce i chwyciłem ją, i przyozdobiłem pięknem jej kolorów, i moim płaszczem o wspaniałych kolorach okryłem się cały” [HoP]. Tylko scalona w pełni Istota Świetlista mogła przekroczyć granicę Królestwa na Wschodzie. Podobna idea zjednoczenia duszy znana była już w religii staroegipskiej, przedstawiona na hieroglifach w *Tekstach Piramid* (Sakkara, XXIV–XXII w. p.n.e.): „Ka”, niematerialny sobowrót człowieka i jego duch opiekun, łączył się po śmierci z jego duszą „Ba”.

Książę połączył się ze swoim niebiańskim Wiecznym Obrazem jeszcze przed wejściem do Pałacu Królewskiego: „Tak przybrany skierowałem się ku bramie powitań i uwielbień, pochyliłem głowę i uwielbiłem wspaniałość mojego Ojca, który mi ją posłał” [HoP]. Ponieważ Książę wypełnił powierzoną mu misję i zdobył „Perłę jedyną”, dołączył do dostojników królewskich. Stał przed obliczem Króla królów, władcy Pleromy, który „uradował się na mój widok i wraz z nim byłem w jego Królestwie” [HoP]. Książę został, tak jak mu obiecali królewscy rodzice, wspólnie ze swoim „bratem”, czyli zjednoczony ze swoim Wiecznym Obrazem/Bliźniaczym Duchem „dziedzicem Królestwa na Wschodzie”.

Mędrcy gnozy zalecali uczniom: „Wyrzeknijcie się świata i wszelkiej materii, którą on zawiera”¹². Zbawcza wiedza była przekazywana tylko Synom Światłości. Najważniejszą sentencją modlitewną były słowa: „Uwolnij nas od ciemności tego świata, do którego zostaliśmy wrzuceni” [*Ginza*, 254, 36], „Zbaw nas od materii tych ciemności” [*Pistis Sophia*, 32, 49]. Żyli w samotności, oddaleni od chaosu codzienności. Uważali, że „Boga można nazwać tylko poprzez milczenie, tylko poprzez milczenie można Go wielbić. Boga nie można wyrazić ani usłyszeć”¹³.

Apostoł Juda Tomasz, według tradycji brat bliźniaczy Jezusa, śpiewał *Pieśń o Perle* w indyjskim więzieniu dla swoich „zniewolonych braci”. W metaforycznym rozumieniu byli to gnostycy, których pneuma przebywała jeszcze w niewoli materialnego ciała. Pieśń miała istotny sens moralno-dydaktyczny, wzywała do

¹⁰ *Ewangelia Tomasza*, logion 22, dz. cyt., s. 189.

¹¹ *Kephalaia* 36, 9–15. Cytat za: M. Woszczech, dz. cyt., s. 51.

¹² *Pistis Sophia* 100, 249. Cytat za: S. Hutin, *Gnostycy*, s. 27.

¹³ *Corpus Hermeticum*, I, 31. Cytat za: S. Hutin, *Gnostycy*, s. 30.

wytrwałości, odsłaniała tajemnice gnozy i świetlistej Pleromy. Boski dar łaski objawienia, przemieniał człowieka cielesnego w duchowego. Tą zbawczą wiedzę znali tylko wtajemniczeni uczniowie. Przecistawiali oni mistyczną *gnōsis* pospolitej *pistis* – wierze zwykłych wiernych. W jednej z przypowieści Jezus przestrzega ich: „Nie dawajcie psom tego, co święte i nie rzucajcie swych pereł przed świnie, by ich nie podeptały nogami i obróciwszy się was nie poszarpały” [EMt 7, 6]. Była to przepowiednia złowieszcza, gdyż religia gnostyków nazwana została herezją, ich księgi palono, a oni sami często ginęli w cierpieniach i zapomnieniu.

Piotr Mras

Bibliografia

- Arnold-Döben Victoria, *Die Bildsprache der Gnosis*, Brill, Köln 1986.
- Biblioteka z Nag Hammadi. Kodeks I i II*, przeł. i oprac. Wincenty Myszor, Księgarnia świętego Jacka, Katowice 2008.
- Corpus Hermeticum. Die hermetische Schriften*, Übersetzt und erklärt von Maria Magdalena Miller, Olms Verlag, Hildesheim 2020.
- Dzieje świętego Tomasza Apostoła*, przeł. i oprac. Luiza Rzymowska, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2004.
- Eliade Mircea, *Historia wierzeń i idei religijnych*, t. II, przeł. Stanisław Tokarski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2008.
- Ewangelia Filipa*, przeł. i oprac. Paul Kieniewicz, Wydawnictwo Nearcha, [b.m.] 2020.
- Ewangelia Tomasza*, przeł. Wincenty Myszor [w:] *Apokryfy Nowego Testamentu. Ewangelie apokryficzne*, red. Marek Starowieyski, Wydawnictwo WAM, Kraków 2003, s. 180–202.
- Ginzā. Der Schatz oder Das große Buch der Mandäer*. Übersetzt und erklärt von Mark Lidzbarski, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 1978.
- Gnoza. Gnostycyzm. Literatura*, red. Barbara Sienkiewicz, Mariusz Dobkowski i Artur Joncz, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2012.
- Hermes Trismegistos, *Corpus Hermeticum*, przeł. Henryk Pietruszczak, [nakładem tłumacza], Zgorzelec 2015.
- Hutin Serge, *Gnostycy*, przeł. Krystyna Demianiuk, „Literatura na Świecie” 1987, nr 12, s. 12–48.
- Jonas Hans, *Religia gnozy*, przeł. Marek Klimowicz, Wydawnictwo Platan, Warszawa 1994.
- Kybalion. Eine Studie über die hermetische Philosophie des alten Ägyptens und Griechenlands*, München 2002.
- Miłosz Czesław, *Hymn o perle*, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1983.
- Myszor Wincenty, *Na tropach tajnej wiedzy*, „Znak” 1975, nr 252, s. 655–687.
- Myszor Wincenty, *Symbolika pereł w utworach gnostyków i manichejczyków*, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie” 1992, nr 36, s. 41–48.
- Novalis, *Uczniowie z Sais. Proza filozoficzna. Studia. Fragmenty*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Czytelnik, Warszawa 1984.
- Quispel Gilles, *Gnoza*, przeł. Beata Kita, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988.
- Pagels Elaine, *Ewangelie gnostyckie*, przeł. Iwona Szuwałska, Wydawnictwo Purana, Wrocław 2007.

- Prokopiuk Jerzy, „*Hymn o Perle*” w *świecie gnozy*, „Masada” 1991, s. 118–135.
- Rackiewicz Marek, *Hymn o Perle*, „*Studia Redemptorystowskie*” 2004, nr 2, s. 201–210.
- Rudolph Kurt, *Gnoza. Istota i historia późnoantycznej formacji religijnej*, przeł. Grzegorz Sowinski, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2011.
- Woszczech Marek, „Przychodził jak błyskawica...”. *Szygyos-Paraklet i judeochrześcijańska pneumatologia w Kolońskim Kodeksie Maniego* [w:] *Gnoza. Gnostycyzm. Literatura*, red. Barbara Sienkiewicz, Mariusz Dobkowski i Artur Joncz, Wydawnictwo Nomos, Kraków 2012, s. 43–58.

**The Prince, the Pearl and the Serpent. An esoteric interpretation
of *The Hymn of the Pearl***

Summary

The sketch is an interpretation of *The Hymn of the Pearl*, an oriental parabolic fairy tale with an extensive structure of mystical and symbolic meanings. It is believed to have been written by Bardaisan of Edessa (154–222), a Gnostic and Syrian poet. The work was written around 180–200 and was included in the gnostic apocryphal Acts of Thomas the Apostle (the mid-3rd century). The narrator of the story is a Prince from the Kingdom in the East. He describes his journey and stay in Egypt with a mission to obtain an extraordinary Pearl, guarded in the depths of the sea by a huge serpent. In the ideological layer of the fairy tale, the fall, rebirth and liberation of the spiritual Self from the bondage of matter, the body and its lower soul are presented. The prince personifies a luminous spark - pneuma (Greek: spirit/breath), which descends from the Pleroma to the material world. Symbols in the works of the Gnostics, also known in other esoteric, religious and cultural traditions, acquire a unique color and exceptional ideological values under the influence of their mystical visions. The song had an important moral and didactic meaning; it called for perseverance and revealed the secrets of gnosis and the luminous Pleroma. The divine gift of the grace of revelation transformed the carnal man into a spiritual one.

Maciej Melecki

MEANDER

Sfatygowany ciąg bezbrzeżnie kolczastego stanu, precyzyjnie maskowany
Łamiącymi się grymasami, odruchowym kłykiem oznak dobrej woli, rzeczami
Stu różnych postaci patroszących koryta nie do końca wysłych nurtów,
Rozciąga się na wszystkie struny bieżącego napięcia, które kierunkuje omam
Losu, dyndający niczym przetrącone berło z niedomkniętych ust pogrążonego
W malignie, zawisłego nad nami, dysponenta. Żywe zjawy wydają polecenia,

Podparte groźbami donosu do instancji przewyższających pobliskie dachy, aby
Wspierać się o to, co jest jedynie skostniałym całunem mgły, nabrawszy surowej
Pewności, co do swych parciany w istocie racji, którymi będą przeto
Szachować przez kolejne trzynaście lat. Bez okładu i przy samej ziemi, kiedy
Szatkuje cię taka właśnie poziomicą, w stałym, pędliwym kłaczu będąc, zacierając
Wszelkie granice wychynięcia gdzie indziej niż poza dno opasującego nas rowu.

Nie masz już innych niezabagnionych stron, każda narzyna cię bowiem swym
Dookołym rumorem, jaki gruzuje ci twarz, gdy przechodzisz na wylot wszelką
Zaporę szybciej niż perz, mając przed sobą dzielający plecy oraz skronie niewidzialnie
Wymachiwany bat, świszczący jego pręgi wizg, przeszywający śródstopie lęku prędeży
Niż zgrzytający w mózgu zawias zwidzenia niekończących się form tego samego,
Dośrodkowego dźgania czubkiem kielni, młotkowania najmniejszej zgrzebnej fałdy,

Ażeby meander był pozbawiony wiru, wyklepany jak promień tępej kosy. Krańcowa
Karma pustki. Przyszłe położenie nie jest wszak warunkowane obecną mutacją
Posiniałej kadzi, gdzie dogorywa resztką wrzenia, ponieważ ma w sobie zaduszony
Azymut szarego rozpylenia, ciężącego w nim skrętu poza najbliższą krawędź. Chromy
Skos mętniejącego przeciągania liny, na której wiszą pałuby miejskiego mrowia,
Rośnie w kole każdorazowego zderzenia z martwością samoczynnego przebiegu

Poszczególnej chwili, jako klatki bez prętów, na podnośniku wzmocnienia włókien
Szorstkiego porzucenia, odchodzących w ostateczny niebyt. Puściczące przekładnie
Wytracają szale, wybory są złudną macierzą dla późniejszego ruchu, gdyż nie do

Zatrzymania jest każda zębatka celu, widlasty bosak rozgrzebań kluczy po dnach Czaszek wszelkiego przywidzenia, które zawiera w sobie poszczególne rozszczepienia Jaźni stałego przeskoku. Prześwieczone pola zbrudzonych przejść na drugie bieguny

Jaskrawego dostrzeżenia zbliżają się tylko do przedpiekła każdego ostatniego dnia Miesiąca, jakby podziały nie były tylko dwutorowe, kiedy magma szlamu nie Zastyga obolem na grdyce, a jedynie płoży się widzialnością podmuchów iłu Prosto w zniерuchomiałe oczy. Odwyszawiona skóra złudzeń. Katakumbowy szlak Coraz bardziej wyżętego z tchu oporu wobec bezliku porowatych osaceń kończy się Lotną deltą w ostrokołe dziennego przytroczenia do mechaniki cyfr, jaka ogołaca

Aż do pokostu podłoża, z którego sterczą spłowiełe liście łopianu, suche badyle rojeń, Kępy naszych niesłownych potknięć. Skąd więc u kogoś to wieczne tlenie cząstek Wypierających permanentne zagrożenie, skoro schodząc z tego świata, nieustannie Opuszcza tylko siebie, fantomowo ciężąc komuś u boku. Obsesyjne przestrajanie Fal na wertykalnych skalach swojego kutego rytmem pulsu, pozostaje stałym Niezrównoważeniem. Bezmiar mata mety. Luka przerobu. Troisty odwrót. Szreń.

WSZAWY RZUT

Nieprzetrawione resztki wciąż niedalekich obrazów, lecz ostatnich Już wydechów, kiedy wkleśła leżałaś naprzeciw bezwładu okna, Rozrywają skalę, jaką nas się mierzy aż po grób, ziarnistego Płowienia. Potrojony rozpad, kolcujące skrzienia na skroniowym Przechyle w chciwie wnikający odór powoju, kiedy niecestwienie Rozprzęga każdą z ochrypłych już od zrostów gam, w lukę

Zstępującej obroży, bezdennych wirów na rogówkach gubnej naci, Gdyż idę zakosami codziennie do ciebie, coraz bardziej piołunowo Widny w tej zestalanej zamieci. Opuść się w ostrokatą zagon. Wyrwy kotwiczą w mierzwie tego ścieśniającego rozedrgania, Które kumuluje posuwisty pat, na splotce przepalanej gnilnym Prochem, jak rozpękana od uderzeń dysza czterolistnych śnień,

Karbującym czoła horyzontalnym ryglem, wrażonym w oczodół Prętem ponagleń, abyśmy byli tylko dla siebie cieniami pleców,

Byśmy byli terroryzowani konkretnym brakiem szansy manewru
Poza ten próżniowy rów, gdzie dogrzebujemy się do kęsów
Jadalnej gliny, żyjąc w ręciovym załomie wszawego kresu.
Puścićjacy wyłom. Magmatyczny dur. Krachujący wyziew kryz.

ODSTĄPIENIA

W całkowitym wyzerowaniu, skasowaniu pomyłonych dat, przestrzelonym
Progu, oderwanym od ruchomego spodu, wydmuchiwany szpik z kolejnego
Szczelba przetrącenia, bez odpowiedzi wobec nisko zawieszzonego haka,
Między rafami zwłoki kończy się i zaczyna poniewierka, a przedział jest
Dłuższy od najszerszego murszenia pustką, wchłaniający wszelkie chrzęsty
Zgarbionego stłoczenia, które trwa bez żadnego klamrowania, tu, na dole
Ściętego wierzchołka, w nieustannym wypiętrzaniu najmniej porowatych

Fałd tego wszechwładnego

Przypadku, zostawiającego za każdym razem torowisko szram na skroniach
Domkniętego wymachami dojścia w spółwiały błysk zapalki, gdyż skurcza
Nas ościsty wąż przebiegających dookoła krzywizn. Kto odłowi z tego
Przeciągu śruty i ziarna, zamaszyste przerzuty skalnych występów znikających
W jamistości danych kołomętów, zastępujących w skinieniu kąta odwrotność
Przypadku, naniesienia innej sumy zdrojnych okoliczności, przemycających
Cierniste cykle przesilenia, szpachlujących szczeliny pogubienia, gęsto porastające

Stromiznę każdego przechylenia

W oczodół wyblakłych kresek krwi, owej zmiennej pojemności próżniowego baku
Odchodzenia w załom bezwładnie opadającej w mózgu mety, ściągającej bardziej
Niż powróż brzegu. Zagon odludnych postaci uwitych z drutu i szmat podrzyna
Przeponę zwidu, kumulując zgiełkliwe potrącenia najwidniejszych tropów, na
Rozjazdach przełajowych torów przecinających ci twarz w mgielne popołudnie,
Kiedy z kanciastego omamu, który nami zawiaduje, mimowiednie wyrasta w

Błądniku sina skrzynka chromego

Rejestru tylko tych najbliższych, dotkliwie osiągniętych chybień, samo zacierających
Punktów ostatniej orientacji w rozrytej trajektorii turbulentnych ztrat. Rozwidlenie
Każdej sekundy prowadzi zawsze w jedno rozstrojenie twardniejącej w echu strony

Naszego ciężenia donikąd. Okrąż serpentyny. Oddal jar na tej zgruchotanej skali.
Mierz bez trzpienia wszelkie formy dźgnięcia. Poszarpane jak suchy wykrot
Tutejsze chmury, niczym szybkobieżny grom na flankach danego rozchodzenia,

Dociskają ci, niczym ołowiany powój,
Grdykę aż po spad kolistej łachy, uwieźlej w twardniejącej mierzwie mazi, jaka
Usztywnia bezzwrotny ruch na tym postronku kluczeń. Spodziewany jak ociemniały
Traf bezdenny zakos losu, w burzowym mgnieniu pojedynczych wyroków, które
Szabrują ci najmniejszą przerwę w tej serii zwarć, zaroieniu krzepliwych widm,
Sztorcującym przymusie zmroku, gardlujących o rojonej potędze, którą już teraz
Jesteś gładzony, rozcierany cegłami, ażeby mogły rosnąć w tobie kolejne odstąpienia
Od rozchybotanej linii koryt, w pomyjach których masz aż do zestalenia brodzić.

Maciej Melecki



Wojciech Trzyna, *Drzewo*, olej na płótnie, 2003.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Henryk Waniek

VERITAS EX MACHINA

W rejonie, do którego tutaj zapraszam, faktów solidnie udokumentowanych nie będzie zbyt wiele, choć jego rozległość – czyli między wiekiem XIII a epoką *fin de siècle* – jest wypełniona mnóstwem źródeł. Pisanych, oczywiście, a również rysowanych, malowanych, także zabytkowych obiektów i wreszcie przekazów „szeptanych”, nieformalnych i legendarnych, i z tego tytułu często podważanych. Chciałbym tu mieć do czynienia szczególnie z tymi ostatnimi, a to ze względu na ich dramatyczną ekspresję, kontrowersyjność, a też „wdzięk mistyfikacji”. Poza tym, mówią one o sprawach, na które głucha jest i ślepa tak zwana badawczość naukowa, mająca za nic wolne wzloty ducha. Rejon to jest nie dla profanów, nie dla moli książkowych ani prostaczków zadowolających się czczą zwykłością. Okrywa go bowiem cień tajemnicy, z którą zmagają się psychonauci rzeczywistości ukrytej.

Ale powiedzieć, że dwaj bohaterowie, których wybrałem do tej opowieści, byli ezoterykami, nie będzie zbyt ściśle. Jakkolwiek mają w tej dziedzinie pewien udział i tam się ich zazwyczaj umieszcza, sami by siebie chyba tak nie określili. A jednak... Jestem zmuszony uwzględnić ich obu, a nawet – zgodnie z tradycją – przydać im status mistyków. Co to jednak oznacza – być mistykiem – nie powiem, żebym wiedział dokładnie. Domyślałam się tylko, że chodzi o rodzaj egzaltacji, stawiającej na głowie potoczne życie pocziwego człowieka, zrodzonej pod ciśnieniem skumulowanej wiary, otwierający tak zwany „wewnętrzny wzrok”. Czyli olśnienie jakąś prawdą, którą mistyk bierze za dobrą monetę, nie zważając na to, że trafiają się również fałszywe.

Wyprawianie się w trzynaste stulecie do Katalonii można sobie zastąpić lekturą wcale licznych prac, w których wspominana jest postać Ramona Lull (tak to zapisuje się w trybie katalońskim, ale często występuje też jako Raymond Lully, Raymonds Lullus itp.). Ów *doctor illuminatus* po latach wahań wstąpił do zakonu dominikanów, gdzie go nie chcieli. Zatem poszedł do franciszkanów, którzy go przyjęli z otwartymi ramionami. Zdaje się, że nigdy nie otrzymał święceń kapłańskich i u „braci mniejszych” był zaledwie tercjarzem. Niemniej, z różnym powodzeniem, na polu religijnym podejmował się czynów heroicznych. Na przykład misjonarskich wobec wyznawców islamu, zarówno na Półwyspie Iberyjskim, jak i w Afryce Północnej. Na ogół bez powodzenia. A jedno z takich przedsięwzięć stało się prawdopodobnie przyczyną jego śmierci. W Tunisie obrzucili go kamieniami muzułmanie, gdy urągał ich prorokowi. Z bujnego życia tej barwnej postaci, bogatego w kryzysy, objawienia i aktywność filozoficzną, tutaj wybieram tylko jeden szczegół, mianowicie, stworzoną przez niego skomplikowaną aparaturę,

rodzaj astrolabium albo liczydła, służącego do wnikania w teologiczny porządek wszechświata.

W urządzeniu tym zostały zapisane wszystkie pojęcia, symbole i modele. Z ich układu wynikały sylogizmy będące odpowiedzią na każde możliwe pytanie. Opisy tego urządzenia zawarte są w licznych tomach jego dzieła *Ars*, które udoskonalał przez całe życie. Składały się na tę machinę ruchome koła o różnych średnicach, tarcze kwadratowe lub trójkątne, także ruchome, być może zespolone zębatymi kółkami. Wystarczyło więc tylko ustawić wybrane hasła w odpowiednim porządku i otrzymać rezultat, który rozwiewał wszelkie wątpliwości. Wszystko to jednak – być może.

Bo nie wiadomo, czy aparat ten powstał w sensie fizycznym, czy też pozostał tylko w opisach, choć zwykło się uważać, że Llull rzeczywiście stworzył jego model z koncentrycznych elementów. „I wszystko się w nim poruszało” – jak pisze jeden z brytyjskich monografistów Llulla. Wziąwszy jednak pod uwagę wielość danych i niezliczoną liczbę możliwych kombinacji, musiałaby to być maszyna wielkich rozmiarów, w której rotacja poszczególnych płaszczyzn (znamy je z piętnastowiecznych rycin sporządzonych dokładnie według opisów i rysunków Llulla) wymagałyby konstrukcji niebywale skomplikowanej. W każdym razie nigdzie nie znalazłem wiadomości na temat tego urządzenia, albo przynajmniej jego części, by zachowało się w zbiorach, archiwach czy muzeach. Więc może to tylko legenda, że Llull przy pomocy biegłych rzemieślników stworzył aparat, za pomocą którego można było ukazać kosmos teologiczny, obowiązujące w nim normy i prawa, adekwatny do wszystkich religii (tzn. chrześcijańskiej, mojżeszowej i muzułmańskiej), zawierający całkowitą wiedzę uniwersalną. W założeniu przyrząd ten miał ułatwiać pracę misjonarzom. Kręcąc kołami i ustawiając ich sylogizmy byli w stanie wykazać niewiernym, jak bardzo się mylą, nie przyjmując „prawdziwej wiary”. Wyobrażam sobie, że na sam widok takiej maszyny poganin dostawał zawrotu głowy i mógł się od razu nawrócić.

Wydaje się, że urządzenia podobnego rodzaju powstawały od starożytności, mając zastosowanie już to w nawigacji, już to spekulacji filozoficznej lub innych dziedzinach. Archimedes jakoby miał ich cały arsenał. Zachowały się jedynie wzmianki o nich, ogólnikowe relacje, choć nie można wykluczyć, że na przykład słynny „mechanizm z Antykythery” jest jednym z nich. Znając ich charakter tylko w przybliżeniu, można uznać je za rodzaj protokomputerów, mechanicznych zbiorów haseł, pojęć czy symboli wybranych z odpowiedniego systemu wiedzy, wierzeń i ideałów. Więc jakkolwiek Ramon Llull nie byłby w tej materii pionierem, właśnie od niego zaczyna się ta opowieść. Bo następni twórcy podobnych aparatów często powoływali się na *Arbor sapientiae*, gdzie Llull już szkicuje swój projekt, lecz przede wszystkim na jego *Ars demonstrativa*, gdzie jest on wyłożony w pełni i wzmocniony szeregiem tablic dydaktycznych.

To pierwsza z dwóch zapowiedzianych postaci. Tradycja mistyczna od późnej starożytności bazowała na wizjonerstwie wszelkiego rodzaju, lecz równocześnie

szukała dla siebie racjonalnego, logiczno-filozoficznego uporządkowania. Już sam Pitagoras, przy wszystkich swoich ekstazy wizjach, trzymał się logiki liczb. *Techne* oraz wszelka mechanika należały wszak do nauk tajemnych. Mistycy chcieli mieć dostęp do boskiej mechanologii, która symbolizowała porządek *sui generis* i żelazną wewnętrzną logikę. A jej językiem były liczby, ułożone w kwadratach magicznych, kabalistycznie zaszyfrowane, bezwzględnie wymierne. Z całą siłą pragnienie to wyrażało się w średniowieczu, następnie w dobie renesansu, aż wreszcie w epoce baroku, głównie u różokrzyżowców, propagujących rozmaite cudowne urządzenia, będące swojego rodzaju automatami, które konstruowano w oparciu o systemy teozoficznych wartości – hierarchie bytów nadprzyrodzonych, mocy, chórów anielskich, imion boskich itd. Jakkolwiek ich działanie polegało na funkcjach czysto fizycznych, to ze swej natury przynależały do metafizyki. Służyły bowiem fabrykacji cudów. A również, podobnie jak liczne encyklopedie czasów oświecenia, obiecywały dostęp do wszechwiedzy. Mistycznej, oczywiście.

Ale zamierzam też wyprawić się poza przełom wieków XIII i XIV, czyli czasy Llulla, oraz późniejsze lata Giordana Bruno, Pica della Mirandola, Alexandra Dicsona, Johna Dee, Roberta Fludda i innych mistyków, czerpiących inspirację z magii praktycznej. Kieruję się mianowicie w wiek XIX, epokę pary i elektryczności, dobę pozytywizmu, a więc najbardziej racjonalistyczny, pragmatyczny i utylitarny rozdział historii nowożytnej. Pomijając, że rodzący się w tym czasie kapitalizm także kiełkował na przesłankach religijnych (by nie rzec – ewangelicznych), oraz na praktykowaniu magii (a jest nią cała ekonomia i sfera kapitałowo-finansowa), dostrzegać trzeba bulwersujące odrodzenie się w tym stuleciu wszelkich okultyzmów i szkół teozoficznych, które przeniosło się także na nasze czasy. Ważną postacią inspirującą ten proces, głównie w obszarze kultury francuskiej i angielskiej, był Józef Maria Hoene-Wroński, czyli druga z postaci, której tu poświęcimy uwagę.

Ramon Llull, według jego anonimowej biografii napisanej w Paryżu (1311), wielokrotnie doświadczał duchowych wizji (np. widzenie ukrzyżowanego Chrystusa, objawienie Trójcy Świętej itp.), które były punktami zwrotnymi jego podróży w głąb boskiej tajemnicy. Pierwsze objawienie Jezusa na krzyżu miało miejsce, gdy Llull bezskutecznie usiłował napisać pieśń dla uwielbianej niewiasty. Ale dopiero za czwartym razem wizja Ukrzyżowanego przekonała go, że powinien odrzucić wszelką błahość światowego życia, aby oddać się wyższemu celom. I tak też się stało. Pieśni miłosne poszły na bok, ustępując miejsca sprawom Ducha. W tej przemianie duchowej może miał także swój udział wstrząs, jakiego doznał, gdy pewna dama odsłoniła przed nim swą pierś, przeżartą przez okrutną chorobę. Ten szczegół z życia błogosławionego Ramona opowiedział mi pewien dominikanin. Nie wiem, skąd to wiedział, bo nigdzie nie znalazłem potwierdzenia tego faktu. Ale, że miały miejsce jakieś objawienia, które tu nazwijmy iluminacją, nie podlega kwestii.

W całkowicie innych okolicznościach również doznał iluminacji Józef Hoene-Wroński. Miało to miejsce podczas uroczystego rautu z okazji urodzin Pierwszego Konsula, 15 sierpnia 1803 roku w Marsylii, gdzie pracował w Obserwatorium

Astronomicznym. W olśnieniu zobaczył najgłębszą tajemnicę bytu, pojął Absolut i w stanie umysłowego zamroczenia opuścił bal. Wydaje się, że nie był to wypadek odosobniony, jako że w jego stosunkowo długim i owocnym życiu wielokrotnie zdarzały się punkty zwrotne o charakterze objawień. Jedno z nich przerodziło się w panslawistyczny mesjanizm, lekką ręką zawłaszczony później przez Adama Mickiewicza. Biografie Hoene-Wrońskiego pękają w szwach od wynalazków, teorii matematycznych, koncepcji kosmogonicznych. W tej wielości ostatecznym ukoronowaniem dzieł tego niezwykłego człowieka było zbudowanie „pewnego ruchomego mechanizmu kwadratury koła” – jak pisze jeden z jego angielskich biografów. W aparaturze tej zawarte zostały wszystkie (?) dane dotyczące przeszłości i terażniejszości, a także elementy myśli filozoficznej i naukowej, a umiejętne ich zestawianie miało ujawniać rzeczywisty stan rzeczy. Co więcej, z układu jego elementów można było odczytać przyszłość. Już samo to narzuca skojarzenie z wróżbiarstwem prognostycznym, z dywinacją i wizjonerstwem. Ale jej konstruktor nie był mistycznie nastawionym fantastą ani wizjonerem, co dowodnie potwierdza jego wielokrotne natrząsanie się z masonerii czy naiwnych doktryn teozoficznych. Zasadniczo należałoby w nim widzieć neopitagorejskiego adepta Liczby, pioniera w analizie algorytmów, wynalazcę pierścienia arytmetycznego, arytmoskopu oraz uniwersalnego kalkulatora. Lecz Hoene-Wroński szedł dalej.

Około roku 1820 wciągnął go konstruowanie wielkiej syntezy z trzech elementów – wiedzy, polityki i religii. Spoiwem tego systemu była specyficzna historiozofia. Całe dzieje ludzkości, minione, obecne i nadchodzące, podzielił na bodaj pięć epok, w których dokonuje się dziejowa transmutacja Ducha. Ten kierunek myślowy przerodził się później w jego osławiony mesjanizm. Podobnie jak Ramon Llull postrzegał kulminację duchowego procesu człowieczeństwa w ostatecznym triumfie chrześcijaństwa (a dokładniej – łacińskiego katolicyzmu), tak Hoene-Wroński widział ją w powszechnym uznaniu Absolutu. Miało się to dokonać przez zniesienie różnicy pomiędzy sferą bytu i sferą wiedzy, a tym samym przekroczenie rzeczywistości trywialnej i wzniesienie się w sferę „achrematyczną”. A tam rozum człowieka „zbywszy się nareszcie wszelkich pęt ziemskich, posiadzie nieskończoną władzę odkrywania samej istoty absolutu”.

Wroński twierdził, że dysponuje dowodem na faktyczne istnienie Absolutu. Zostało mu ono dane we wspomnianym „objawieniu” z 1803 roku, kiedy „rozdarta została zasłona świata” i zobaczył „istotę wewnętrzną” Absolutu. Dodawał przy tym, że to było czymś „nieobejmowalnym” i „nie dającym się wysłowić”, toteż nie da się wyartykułować logicznie, albowiem – jak twierdził – „ja logicznie nie może jeszcze przekroczyć sfery doczesnej”. Tak napisał w swych trzech tomach *Prolegomena do mesjanizmu*. Dzień urodzin Napoleona Bonaparte wypadł w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, stąd jego koncept jest silnie naznaczony mariolatrią i odtąd dodał do swych personaliów imię Maria. Sedno jego nauczania opierało się na wierze w epokową misję ludów słowiańskich. W związku Rosji i Polski widział ukoronowanie historycznych aspiracji całej ludzkości i warunek jej

wstąpienia w epokę Absolutu. Dla patriotyzmu polskiej emigracji we Francji był to koncept oburzający, a właściwie odrzucany, przeto w środowisku polskim czyniło Hoene-Wrońskiego wyrzutkiem.

Ale jeszcze wcześniej, bo już w 1810 roku, swe dociekania opublikował Hoene-Wroński w sążnistej księdze, zapowiadającej nowe podstawy dla wszystkich nauk, a szczególnie matematyki, którą uważał za fundament poznania. Była to teoria zdecydowanie pitagorejska, przypisująca Liczbie i jej właściwościom status istoty całego uniwersum. Pojęcie „racjonalności” w filozofii Wrońskiego obejmuje także poznanie Absolutu – „czysty ogład” jako czynność poznawczo-egzystencjalną, warunkującą metafizykę operującą sędami syntetycznymi *a priori*. Nie da się tego wyartykułować logicznie, ale nie jest to banalne przeżycie mistyczne, „rozplynięcie się w Absolutcie”, mające w jego rozumieniu wątpliwą wartość. Dla Wrońskiego akt poznania Absolutu musi być połączony z wysiłkiem intelektualnym, podczas gdy doktryny mistyków, za jakich uważał Towiańskiego i Mickiewicza, są „mrzonkami teozoficznymi”.

W sensie filozoficznym idee Hoene-Wrońskiego krystalizowały się w opozycji do myśli heglowskiej. Bowiem G.W.F. Hegel, traktując „ducha, świadomego siebie, tak, jak on jest w człowieku, jako będący samym już Absolutem”, uznał, że dla człowieka bytem absolutnym jest już samo życie doczesne. Hoene-Wroński uważał, że jest to o wiele za mało. W tym kontekście zastanawiająca jest jego prorocza obawa, zdumiewająco trafna, przed straszliwymi dla ludzkości skutkami możliwego zwycięstwa „lewicy heglowskiej” w Rosji.

Pełna doktryna Hoene-Wrońskiego jest zawarta w wydaniu pośmiertnym jego *Messianisme, philosophie absolue. Apodictique messianique fondant...* W układzie tablicowym jest tam przedstawiona architektonika świata, funkcjonowanie prawa tworzenia i jednocześnie jego „achrematyczna” filozofia. Rzeczywistość ujęta jest w „systematy” – od największego stopnia ogólności do najmniej-szego. Każdy kolejny zawiera określony zbiór pojęć ogólnych (nazw) i ich relacje, charakterystyczne dla danej rzeczywistości, przeto jest opisem swego początku, rozwoju i celu. Są to: 1) własne tworzenie się Boga; 2) stworzenie rzeczywistości; 3) stworzenie świata; 4) stworzenie człowieka; 5) tworzenie się własne człowieka; 6) stworzenie religii absolutnej; 7) rozwój progresywny ludzkości. Te i jeszcze inne elementy miały się składać na aparaturę, której poszczególne części, dowolnie przesuwane, były w stanie ujawniać zależności przyczyn i skutków, również co do wydarzeń nadchodzących. Uwierzyłem, że to urządzenie, albo tylko jego prototyp, zachował się i znajduje się w zbiorach Biblioteki Kórnickiej. Tam jednak są przekonani, że urządzenie to, wraz z całą wilanowską biblioteką Branickich, zostało przekazane Bibliotece Narodowej. I *vice versa*. A już miałem nadzieję, że uda mi się to zobaczyć. Niestety.

Z innych informacji wynika, że w roku 1873 Éliphas Lévi (Alphonse-Louis Constant) kupił od handlarza starzyzną, niezwykle globus, który uznał za największe dokonanie Hoene-Wrońskiego. Opisał go szczegółowo jako „prognometr”

służący do poznania wszystkiego, co było, jest i będzie, lub być powinno. Po śmierci Lévięgo obiekt ten odziedziczył hrabia Jerzy Mniszech, by po kilku zmianach właścicieli znaleźć się w rękach „znanego okultysty”. Był nim zapewne Konstanty Branicki, a jego wnuk Adam przekazał go wraz z Biblioteką Wilanowską w depozyt do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Trwam w przekonaniu, że gdzieś jednak istnieje obiekt zwany „globusem Wrońskiego”, który w Polsce nie budził żadnego zainteresowania. Jedyne artykuły na jego temat autorstwa Józefa Babcza ukazały się w specjalistycznym czasopiśmie miłośników dawnych globusów i ograniczył się do opisu Éliphasa Lévięgo cytowanego w książce Chacornaca. Natomiast biograf Hoene-Wrońskiego, Lech Łukomski, na zlecenie Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, opracował ekspertyzę tego globusa i opublikował jej wyniki w listopadzie 1977 roku. Według jego słów, składa się on z dwóch koncentrycznych globów oraz kilku obejmujących je pierścieni, gęsto pokrytych grawerowanymi napisami w języku francuskim, wszystko wykonane w brązie. Łukomski wątpił, by Wroński był konstruktorem owego aparatu, ponieważ napisy i ornamenty na globusach nie są zgodne z jego ideami.

Wracę tu słowo o wspomnianym Eliphase Levim, klasyku dziewiętnastowiecznego okultyzmu. Swe wysokie notowania zawdzięcza takim dziełom, jak *Dogme et Rituel de la Haute Magie* (1855) oraz *La Clef des Grandes Mystères* (1861). Zanim jednak dał się poznać jako ekspert w materii kabały oraz magii, zetknął się z pismami Hoene-Wrońskiego krótko przed jego śmiercią (1853). Entuzjazm Leviego nie miał miary. Jego zdaniem Hoene-Wroński założył niewzruszalną podstawę nauki, zarazem ludzkiej i boskiej. Odważył się zdefiniować istotę Boga i odnaleźć w samej tej definicji prawo absolutnego ruchu i powszechnego stwarzania.

Warto jeszcze wspomnieć o panslawizmie Wrońskiego. Jego mesjanizm traci charakter kosmopolityczny, a zyskuje narodowy. Autor *Messianisme, philosophie absolue...* głosi mianowicie, iż odnowa świata będzie dziełem Słowian. A doszedł do tego, stwierdzając, że swe zadanie historyczne spełniły już narody germańskie – wydając filozofię spekulatywną i romańskie – dając ludzkości wzór praktyki społecznej i politycznej. A jako, że w historii obowiązuje „rozdział przeznaczeń ludzkich na poszczególne narody”, przeto teraz głos należy do narodów słowiańskich, „dziewiczych w rozwoju postępowym ludzkości”. To Słowianie winni wziąć na swe barki trud reformowania ludzkości, rozwiązać antynomie społeczne, by przez rozwój wiedzy i moralności dojść do Prawdy i Dobra Absolutnych. Ale to jest sprawa przyszłości, bo świat słowiański nie jest jeszcze gotowy. Zatem powinien posłuchać tego objawienia i stanąć „pod potężną opieką cesarza rosyjskiego”. Wtedy ludzkość, już jako „Unia Absolutna”, wejdzie w „epokę prawdy”.

Ale – jak już powiedziałem – nie tyle gęszcza myśli religijnej czy filozoficznej są przedmiotem tej gawędy. Są nim mechaniczne urządzenia, za pomocą których można uchwycić metafizyczny sens egzystencji. W epoce technik cyfrowych, sztucznych inteligencji i wszechmocnego Google’a nie mamy prawa uznawać ich za ideę z rejonów czystej fantastyki. Tym bardziej, że niejedna idea, niegdyś fanta-

styczna, wcielała się w życie. Przekończywszy chciałbym raz jeszcze obu tych natchnionych majsterkowiczów sportretować w finalnej fazie ich misji.

Po pierwsze, Ramona Llulla w kwiecie wieku (a żył lat 83, co było rzadkością w jego czasach), czyli około czterdziestki, już po powrocie z Paryża, gdzie budził zainteresowanie, pochylonego w pewien letni wieczór nad prawie gotową swoją konstrukcją, która na każde pytanie udzielała wyczerpującej odpowiedzi. Wystarczy tylko pokręcić jednym kołem i drugim, aby zodiaki i astrologiczne planety znalazły się na właściwych miejscach, następnie skorelować to z kwadratami elementów natury i za pomocą trójkąta symbolizującego Trójcę Świętą otrzymać konkluzję. Spróbujmy. Zaczniemy od znaku Bliźniąt skojarzonych z Jowiszem (najbardziej solarnej z planet, pominiawszy oczywiście słońce), mających w odwodzie Cherubów i Trony, co mieści się w połowie drogi między elementem ognia a wodą. I oto otrzymujemy pewnik, że nauki Mahometa są fałszywe, bowiem prawdziwe są tylko Chrystusa. Taki wynik musiał wypełniać Ramona Llulla uczuciem szczęścia, jakiego nigdy nie zaznał. Miał przed sobą urządzenie, które – na polu wiary religijnej – ustanowi Prawdę Uniwersalną, a przede wszystkim zniszczy cały islam. Na polu walki o wyższość jednej baśni nad drugą, była to (miała być) broń o bezwzględnej sile rażenia. Co do tego, Llulla nie miał wątpliwości. Pokręcił raz jeszcze i wyszło to samo. *Tertium non datur*. Kręciłby tak bez wytchnienia, gdyby nie zrobiło się późno, a w migoczącym świetle kaganka aparatura stawała się zawodna. Z radością w sercu poszedł więc spać, aby nazajutrz znów, poruszając kołami i kwadratami, utwierdzać się w swoim. I tak dzień w dzień, od jednego pewnika do drugiego, od aksjomatu do aksjomatu. Może od tych manipulacji i ustawicznego kręcenia, aparat z czasem zaczął płać figle. Oznajmiał na przykład, że Czyste Zło jest atrybucją Boga, a zalecana miłość przynależy do kategorii grzechów śmiertelnych. Boski kosmos stawał się nagle piekielnym chaosem.

Ramon nad tym pracował. Udoskonalał. Wykluczał możliwe pomyłki. Dodał nowe trybiki i szlifował gwinty. Wszystko bezowocnie. Ale nie tracił wiary, nie ustawał i z zadowoleniem przyjmował pochwały. W każdym razie liczyło to nie powiedziało mu, że nie należy wobec muzułmanów lżyć Mahometa, bo ciężko za to zapłaci. U schyłku życia, gdy się ma tę świadomość, że na pewne rzeczy jest już za późno, być może zaniechał wysiłku. Był już tą cudownością swojej konstrukcji – *Deus ex machina* – zmęczony. Zesłał te wszystkie okrągłe, kwadratowe i trójkątne pokrętne tablice w najciemniejszy kąt swojej klitki, jeśli wręcz nie na śmietnik. To by wyjaśniało, dlaczego dzisiaj żadne muzeum, gabinet osobliwości, kolekcja rarytasów i tym podobne instytucje, nie mogą się szczycić posiadaniem niezwyklego liczydła, za pomocą którego błogosławiony Ramon zamierzał ustanowić powszechne chrześcijaństwo. Aparat się więc nie zachował, lecz przeżyła go idea, która przez stulecia kusiła obietnicą prawdy absolutnej. Nie można wykluczyć, że w pechowym roku 1315 udał się do Tunisu wraz ze swym cudotwórczym aparatem, jakkolwiek musiało to być uciążliwe. Arabowie, choć z szacunkiem traktowali wszelkie wynalazki, w tym wypadku od niego odstąpili. Spalili machinę, która obrażała ich religię.

Pocieszeniem pośmiertnym Llulla niech będzie fakt, że Kościół nie tylko mianował go patronem inżynierii komputerowej, ale trwa jeszcze ciągnący się już dziesięć stuleci jego proces kanonizacyjny.

Moim zdaniem Hoene-Wroński bardziej na to zasługiwał, tyle że nie był franciszkańskim tercjarzem. Ale nie można mu zarzucić, że był ateuszem. Przeciwnie. Apelował do papieża o racjonalizm w religii. Z wielką troską definiował Boga, choć uparcie powtarzał, że Absolut jest niewyraźalny. Przeszkadzały mu także inne sprzeczności, ale już był z tym oswojony. Podobnie jak z niedostatkiem, który go czasami spychał ku nędzy, ale nigdy do kryzysu wiary w Absolut. Co więcej, pewien był, że przy pomocy sprężynek i kółek zbuduje maszynierię, przerastającą wszelką ludzką mądrość. Nastawiona na dowolny szczegółowy problem będzie go rozwiązywać w try miga, wraz z określeniem wydarzeń, które dopiero nastąpią. Za jego czasów technika zegarmistrzowska już osiągała szczyty precyzji. Jej aparaty były kosztowne, ale dzięki funduszom bankiera J.P. Arsona, a może innych dobroczyńców, sporządził fantastyczną kombinację pół globusów i całej serii pierścieni, czyli chronometr, który obliczał nie tylko czas mijający, lecz również ten, co dopiero nadchodzi. Prognometer – jak to nazwał Eliphas Levi – miał wskazywać szlaki rozwoju ludzkiego geniuszu. Arcygenialna maszyna.

Ja bym tego osobiście nie robił. Zabrakłoby mi pewnie odwagi, by tak pokręcić kołami, pół globusami i pierścieniami, aby ta wszechwiedząca aparatura powiedziała mi, ile mam jeszcze życia przed sobą. Kiedy umrę? Ale Hoene-Wroński, zbratany z Absolutem na dobre i złe, nie mając któregoś popołudnia nic szczególnego do roboty, dlaczego nie miał poustawiać tak danych, by mu wyszła dokładna odpowiedź. Czy tak rzeczywiście uczynił, tego nie wiem, ale zdaje się, że miał nadzieję na inny bieg rzeczy. Dowodem są jego słowa, które wypowiedział *in articulo mortis* do swojej żony: „A przecież jeszcze tyle miałem do zrobienia”. Zmarł, mając lat 77, co jest liczbą wiele znaczącą dla kogoś, kto przez całe życie grzebał się w liczbach.

Henryk Wanick

Maciej Bobula

W NIBIE

Tak krzyczeć, jak on, Stefan, krzyczał, trzymając się futryny drzwi drewnianych, drzwi pięknych, szlifu gładkiego, z solidnego modrzewia, zbitych przed czterdziestu laty, z pięknymi wpustami na czopy, nakreozotowanych i lekko śmierzących – trochę jak Misia Habrat, sąsiadka, którą nacierano rybią łuską – z rombami, dwoma dużymi w pionie na środku, dwoma małymi w poziomie u góry i dołu, obramowanych dechami zbitymi ściśle, że żadnej tam nie uświadczysz szpary, żadnego prześwitu, dziurki, nic, na drzwiach przybity zamek puszkowy i rygiel na zasuwę; dwunastoletni Stefan przez nieuwagę zdarł sobie tym rygłem kawałek skóry z dłoni i AAAAAAAAAAAAAAAAAA, darł ryja w niebogłosy, że nikt w tym domu jeszcze tak ryja nie darł prócz niego samego, na różnych etapach życia – jako dziecko, nastolatek, dorosły. To dorosłe wycie było ze wszystkich najbardziej rozpaczliwe. Bo też wiedział, jak się to wszystko skończy. Na szczęście miał drugie życie i wiedział, jak je przeżyć.

A co te jego krzyki znaczą? Znam Stefana jak własne dziecko, śmiało rzec można, opiekowałem się nim, od kiedy był mniejszy niż krótsza przekątna tego mniejszego rombu na drzwiach, to jest od czasu, kiedy pojawił się tu po raz pierwszy, w tej framudze, której teraz się tak kurczowo trzyma, tuż po tym, jak z brzucha matki swojej, Rozalii, został wyrwany tydzień wcześniej niż powinien. Albo tydzień później, nie pamiętam, za długo tu już stoję, w każdym razie mały był. Zawsze był mały, nigdy specjalnie nie urósł.

Moje deski, moje belki, mój cudowny szkielet. Wyciachany z sosny, modrzewia i dębu, przywieszony z tartaku Jowela Chazana przez dziadka Stefana, Romualda, pamięta jeszcze wynalezienie lampy naftowej, która zresztą i tu zawitała, bo co, jak nie naftą wypełniona lampa, oświetlało pierwsze Stefanie kroki, później ruchy jego grdyki, kiedy na kolację przełykał hreczkę, cieknące po policzkach łzy, kiedy sprana dupa bolała jak chyba jeszcze nigdy; wszystko to, bo chciał zobaczyć, jak wysoko sięgnie ogień po zapaleniu tatkowej beli siana. Wyżej niż myślał. I bardziej niż myślał, chlastała go ta tatowa witka, którą widział wtedy po raz przedostatni, ostatni, kiedy podebrał ją ojcu, żeby podrażnić nią perliczki sąsiada, na co ten połamał ją na kolanie i cisnął w błoto z taką siłą, że krople błota osiadły na policzku Stefana. Jedna z tych kropli, ta najniższa, przy krtani, nie

chciała się później domyc, choć w ruch poszło nawet mydło, którego matka używała rzadko, ale ta jedna kropla została i rozrosła się jeszcze delikatnie z wiekiem.

– To takie znamię – potem powiedział mu ktoś. – Robi się, kiedy czarownica rzuca na ciebie urok.

A tę czarownicę, co rzuciła na niego urok, owszem, znał. To dzięki niej zyskał zdolność przepowiadania przyszłości. Po tym, jak część jego dalszej rodziny z Ostrówek została bestialsko wymordowana, upijał się bimbrem od Władka Galarety, który to Galareta bimber pędził, kielbasy nabijał całe wianki i kitrał to wszystko tak, że nikt go nigdy nie nakrył. A kiedy nasz Stefan podkręcił sobie stopień upojenia, wtedy czarownica nachylała się nad nim i szeptała mu do ucha to i owo o tym, co ma się stać. Komu krowa się ocieli, kogo wezmą na przesłuchanie, kto już z przesłuchania nie wróci. Gdzie się zakręcić i komu co powiedzieć, żeby wziąć za to grykę, kartofle, kapustę i marchew. Jak dobrze owe kartofle i marchew zakopcować. Jak wymienić je na bimber u Władka Galarety, żeby były nowe przepowiednie. Stefan czarownicę, swoją dobrodziejkę słyszał, ale nigdy jej nie widział. Jak przyszło, co do czego, nie wracał do domu na noc, bo zasnął w krzakach, pełen skruchy opowiadał o niej swojej żonie, Katarzynie, przepraszając ją za wszystko, gotów ponieść najwyższy wymiar kary za zdradę, ta jednak zupełnie nie wiedziała, o co mu chodzi. Wiedziała, że ciężki czas, przeżył chłop te wszystkie śmierci, popił z tego i tyle.

– Wybuchłem na minie, byłem oczami taczki, widziałem przyszłość – przekonywał ją.

Ale Kasia nie wiedziała, o co mu chodzi. Tej nocy, kiedy leżeli w łóżku, a rozgorączkowany Stefan opowiadał o wiedźmie, myślała sobie, co by to było, gdyby był niemową, czy by też nie wołała tak. Bo porządny mężczyzna, robotny i obrotny, mądry, bo przecież uczył wiejskie dzieci na własną rękę, czytać umiał, pisać umiał, wysławiał się tak, jakby sam ksiądz przez niego przemawiał, do tego silny, choć mały, sprytny; we wojnę wcale im nie było tak źle z pożywieniem, głodu takiego, jak u innych nie, a i na pomoc innym starczało gryki, kartofli, kapusty, dobre jego serce, ale tym językiem to go kto pokarał. Albo ją. No i jego tą paskudną skłonnością do wódki. Pił, a potem wyśniewał pierdoły. I przepowiadał przyszłość. Bo tę znał z autopsji, tak jak z autopsji, to jest swojego poprzedniego życia, już wiedział, jak zdobyć pożywienie, gdzie się zakręcić, co, którego roku sadić, gdzie wzejdzie. Z kim robić geszefty.

Czarownicę słyszał wyraźnie, jak słyszy ją teraz, Katarzynę, ciężko oddychającą. Leżał tam w rowie przy kanieckim polu, pod kaliną koralową, a ta smagała go życiącą po tej myszce przy krtani, pieszcząc jednocześnie

jego czuprynę, której natura mu nie poskąpiła. Spytałabyś, skąd tam czarownica w polu? A stąd, mówił, że w tych miejscach tam, gdzie dzieci w maju śpiewały Litanię Loretańską do Maryi, robiły bukiety majowe, które układały pod krzyżami; gdzie też chadzał pastuch i święcił pastwisko koślawą palmą, którą nurzał w wodzie wcześniej błogosławionej przez księdza, i tym sposobem odpędzał węże i czarownice; teraz w tym miejscu przy polu, pod kaliną koralową, ale i przed nią, na całej długości i szerokości ziemi uprawnej kiedyś, należącej do Kanieckich, teraz nienależącej do nikogo, żywej duszy z palmą nie było, bo dzieci Kanieckich wyjechały z rodzicami do Polski. I załęgły się wiedźmy, w tym ta, która pijanych układała do snu, a wcześniej opowiadała anegdoty, historie, opowieści z mitologii, jak na przykład ten mit o Attisie, który zakochał się w rzeczonym stworzeniu, kobiecie, a jego ukochana, Kybele, bogini, sprawiła, że oszalał, po czym obciął sobie pitolka i, kiedy doszedł do siebie, chciał popełnić samobójstwo, a nawet tak zrobił, ale to w innej wersji mitu – w tej, gdzie się wykrwawia na amen. Choć też nie wiadomo, czy takie okaleczenie było samobójstwem, czy nie było. Czy to można tak nazwać. Bo jak kto szalony i robi sobie krzywdę, to chce się zabić, czy nie chce? W tej pierwszej wersji, gdzie sobie obcina i się potem zabija – czy to nie jest samobójstwo dwa razy? – dumal na głos z lekkim podnieceniem, że wiedźma mu dała nie lada zagadkę na myślenie. Ze smutkiem wspomniła też o tym, że już niedługo się będą tu widywać, bo pora mu wyruszać w Polskę, jechać tam, gdzie ona, gdzie jego matczyzna ukochana, gdzie język, mordy piękne jego kumpli najlepszych, gdzie chustka jego Katarzyny, gdzie dzieci ze swoimi brudnymi buziami. Wkrótce bowiem kanieckie pole nie będzie Polską, już przecież nie jest, choć są jeszcze tu Polacy. Wkrótce pora mu zostawić dom ojczysty i babczysty, kołować się w wagonie bydłęcym, jechać tygodniami pod gołym niebem, nie żreć całymi dniami, srać w dziurę na tory.

Nie chciał tego, bardzo tego nie chciał. Wiedział wszak, jak to się skończy. Obmyślił plan, że skoro wie, jak to się wszystko skończy i tak mu się powodzi na tych jego pijackich rendez-vous z czarownicą, zwoła wszystkich znajomych z okolicy, upije się, wpadnie w trans swój szamański i opowie, jak to z tym wyjazdem do Polski będzie. Jak on przynajmniej skończył swój pierwszy żywot, choć tego, że żyje tak samo po raz drugi, im oczywiście nie zdradzi. W każdym razie spróbuje zasiać ziarno niepokoju, bo on już dobrze wie, że to nie kraj, w którym się żyje, jest ważny; ważne jest to i tylko to, co się zna, co swoje. A ziemia tu swoja, dom swój, język swój, tylko ludzi trza zatrzymać, żeby swoi zostali.

Postanowił więc, że opowie tę swoją opowieść z życia po śmierci najmłodszej córce, pięcioletniej Wiktośce. Drugiemu ich dziecku, dwu-

nastoletniemu Poldkowi, nie myślał nawet powiedzieć, bo go tylko Poldek wkurwiał brakiem szacunku do gospodarki, łązęgowskim usposobieniem, wiecznie brudną buzią, przywiązaniem do głupich książek i lekkim smrodkiem spod pach, która to woń nie była wprawdzie wybitna, ale była jego, Poldka, zawłaszczając ją przestrzeń tak, że nozdrza ojca się buntowały na tę impertyncję, a w głowie się gotowało; no i tak żyli w konflikcie, ojciec z synem, syn z ojcem.

– Zdradzisz mnie, synu – powiedział raz do niego, kiedy zasierpowali zboże i wiązali snopki knyblem. Poldek patrzył tylko niemo i nie rozumiał. Ukochanej Wiktośce za to mógł powiedzieć, bo Wiktośka rozumiała go jak mało kto na całym świecie. Jak nikt z żywych. Siedzieli pod jabłonią, która tuż obok niego, jej korzenie zaraz przy moim fundamencie. Na jabłoni wisi huśtawka zbita przez Stefana. Siedzi na niej Wiktośka, nieruchomo wpatrzona w korę drzewa, Stefan z ukradka, żeby córka nie widziała, popija bimbier. Wpatrzony jest w sękowatą gałąź, która wygląda jak ręka babci, którą po raz pierwszy całą gołą zobaczył bez życia w niej; zwiślała ze stołu w kuchni. Do głowy przyszło mu wtedy nią podryndać. Co też zrobił, i za co dostał lanie, że hej. Kolejne z tych jego wyć. Ręka dyndała jak huśtawka. Ta babci i ta, co go łała.

– Tata, tata, a jak byłeś mały, to czy często płakałeś? – spytała go Wiktośka.

– Nie, nigdy, nigdy, córuś. Zawsze byłem bardzo dzielny – odpowiedział jej i wstał, żeby chwycić tę gałąź, ale nie doskoczył. Obok niego przelatuje wtedy biedronka i siada na korze drzewa, tuż przy Wiktośce.

– Popatrz, mały robuś.

– Biedronka, to jest biedronka, nie robuś, córuś. Córeczko.

– Robaś. Mały robaczek. Jak nasz kotek, Bibaś.

– To biedronka, mówi się, jak łąka, mąka, męka, ręka, wnęka, rzeka, czeka, obszczecka, pszeka. Nie będzie tu nas.

– Co mówisz, tatuś?

– Będą nas chcieli stąd wygonić.

– Wygonić? Ale dlaczego?

– Bo tu już nigdy nie będzie Polski, kochanie.

– Nie będzie? A co będzie?

– Inny kraj. Po wojnie będą tu mieszkali inni ludzie.

– A skąd ty to wiesz?

– Śniło mi się, że tak się stanie. Chcesz wiedzieć, co mi się śniło w tym śnie?

Chwilę temu do głowy jeszcze nikomu nie przychodziło, że Polska będzie istnieć, ale Stefan już wtedy wiedział, że będzie, że ją przeniosą gdzieś indziej i od teraz będzie tam właśnie.

Myślał z początku, że to głupie, bo kto by tak wcześniej taką głupotę pomyślał, że państwo przeniosą na zachód, ale on już wiedział, że tak będzie. W pierwszym życiu zareagował na to entuzjastycznie i był jednym z pierwszych, którzy jechali badać nowy teren, eksplorować bujną tam zielenią, zajmować żyzną ziemię. Chciał natychmiast uciec z miejsca, które pogrzebało jego ciotki i wujków, kuzynów i kuzynki, i trudno się było temu dziwić. W drugim życiu powoli i nieśmiało, jeszcze przed zaplanowanym konwentem, próbował zagajać innych, co szło mu bez skutku. Inni bardziej byli wtedy zajęci tym, jak mieć zapas jedzenia dla siebie i najbliższych, jak uciec przed rezunami, mniej interesowały ich losy Polski. I jak przychodzili po te rzeczy, których Stefan im użył, raczej unikali tego jego sprowadzania dyskusji na temat tego, że Polskę przeniosą, i tej jego sondy, czy i oni przeniosą się razem z Polską, jeśli Polskę przeniosą. Bo czy naród to ludzie i język, czy ziemia, gdzie się mieszka? Czy patriotyzm nie polega na tym, że broni się tego drzewa, przy którym się wychowało i wszystkich jego jabłek, prócz tych, które się dobrowolnie rozda? Bo on zamierza zostać i prowadzić dalsze życie tu, gdzie dom jego, gdzie ziemia, gdzie sprzęt rolniczy, gdzie to drzewo mu najdroższe.

– Tę jabłoń sadził mój dziad, dom też on postawił, matka z tych jabłek piekła ciasto, razem z kaczką, w brytfannie. Tam, gdzie chcą nas wywieźć, tam mieszkają ludzie, co mają głowy jak psy – tego ostatniego zdania nie wypowiedział na głos przy żonie i sąsiadach. Wypowiedział je przy córce, kiedy opowiadał jej swój sen. Co do dziada też się myli, bo część robót, to owszem, dziad Romuald, ale duża część to babka Józefina, ona siedziała i tą samą ręką, co później dyndała bezwładnie jak huśtawka, uszczelniała szpary w stykach belek gliną z sieczką z zielonki, ona sama nosiła trzcinę na dach, robiła polepy z plew powleczonych gliną, glinę wcześniej czyściła z korzeni i wszelkiego kamienia, gnioła stopami, plotła wiązanki okłotu z lekko omłóconego zboża. Wyglądała gonty zacierką, mówiła, gdzie przybićłaty, żeby nie zakłęsały. Tworzyła mnie – ich dom. A tę jabłoń obok mnie to ona zasadziła. Dziadek Stefana chciał ją ciąć, ale mu nie dała. Powiedziała, że jeszcze jej prawnukom to drzewo się przysłuży.

– Co ci się śniło, tato? – spytała Wiktośka, odpychając się lekko od ziemi, wprawiając huśtawkę w lekkie kołys.

– Rzeczy najdziwniejsze, najprzeróżniejsze, kochana. Było zupełnie ciemno, ale tak ciemno, że nic nie widać, a ja szukałem drogi do domu i nie mogłem po tym ciemku znaleźć. Spojrzałem w górę, żeby dojrzeć, czy są gwiazdy, ale ich nie było. W zasięgu wzroku nie było kompletnie niczego. Słysząc było tylko straszny huk i wybuchy, dochodziły ze wszystkich stron. I niby trzeba kryć się, uciekać, ale dokąd i jak, kiedy nic nie widać. Pomy-

ślałem wtedy o tym, dokąd najbardziej chciałbym pójść, zamknąłem oczy – nie było w ogóle różnicy pomiędzy zamkniętymi i niezamkniętymi oczami – i zacząłem wyobrażać sobie dom, najbardziej chciałem do domu w takie ciemno; tam jesteś przecież ty, jest twoja mama, jest Poldek; wszyscy moi ukochani tam są. Zacząłem od zapachów: mocnej kawy w niedzielę, którą pachnie w całym pokoju, świeżego mleka, mięsa szczupaka z jeziora od Bombki, kapłona duszonego w warzywach. Och, jakie to wspaniałe zapachy i jak mnie do nich ciągnie, one mogłyby mnie ściągnąć z drugiego końca świata do domu. Nigdy nie byłem na drugim końcu świata, ale te zapachy bym na pewno tam poczuł i wrócił do domu jak po sznurku. Z tego wszystkiego zrobiłem się głodny i ruszyłem na poszukiwania domu w tym huku wybuchów, zacząłem biec, ale trudno mi było powiedzieć, dokąd biegłem, bo wyobrażać sobie zapach i po ich sznurku iść do domu, to jedno, a po prostu zgłodnieć od wyobrażania sobie ich, to inne. I nie wiem też, czy w ogóle biegłem, bo niby ruszałem nogami, ale czy się przemieszczałem, to już nie wiem. W pewnym momencie coś jednak drgnęło pode mną, wstrząs jakby czy coś. Może mnie trafiła jedna z tych bomb wybuchających, w każdym razie leciałem przez chwilę do góry, z takim łaskotaniem w brzuchu, przerażeniem i podnieceniem jednocześnie. I, jakby to powiedzieć, rozleciałem się na kawałki, bo nie miałem rąk ani nóg, nie miałem tułowia, to łaskotanie w brzuchu musiało odbywać się nie wiem, gdzie. Coś jak czucie w części ciała, której już nie masz. Ale wtedy się rozjaśniło w mojej głowie i wokół. Zacząłem widzieć coś więcej niż ciemność – najpierw rogal księżyc, który widniał na horyzoncie, obrócony dwoma końcami do dołu, wisiał tak nisko, że wydawało się, że można było podejść i go chwycić, i już chciałem iść, ale wtedy przypomniało mi się, że nie mogę, bo nie mam nóg. Do tego coś mi się stało w głowę, w poczucie bliży i dali, bo wszystko wydawało mi się bliżej niż dalej. Nie miałem takiego poczucia tej przestrzeni – tego, gdzie jest blisko, gdzie daleko. I księżyc wydawał się blisko, niemal w zasięgu ręki, chciałem w jego stronę, ale nie mogłem, chciałem wyciągnąć rękę, żeby sprawdzić, jak jest daleko, ale nie mogłem zupełnie. Byłem samym tylko patrzaniem.

– Nie mogłeś się ruszać jak duch?

– Nie mogłem, leżałem tylko jak wzrok uwięziony w martwym ciele przewróconym na bok. To było straszne. Najpierw nie widziałem nic, a kiedy coś zobaczyłem, nie mogłem się rozejrzeć.

– I co było dalej? Długo leżałeś?

– W końcu zaświtało, pojawiła się jasna luna na niebie, księżyc zniknął, zobaczyłem niebieskie niebo, różne odcienie tego niebieskiego, zmieniające się z minuty na minutę, ciemne, jasne, światło z jednego kąta, potem z drugiego i jeszcze innego, upływ czasu, wędrujące słońce. I tak aż

do wieczora, kiedy to oprócz patrzenia stałem się jeszcze słyszeniem. We śnie minęło to szybko, ten czas między rankiem a wieczorem. Wieczorem, kiedy słońce już zachodziło i było na wysokości moich oczu, usłyszałem głosy dwojga ludzi, którzy podeszli do mnie i obrócili mnie do siebie, zobaczyłem ich twarze, wyglądali jak bandyci, to jest mieli takie podejrzane twarze, przed którymi przestrzegał mnie ojciec, mówił, że to łotry, co napadają na podróżnych albo, co gorsza, na ludzi w ich domach, rabują co popadnie, a czasem nawet zdarza się, że zabijają człowieka w jego własnym pokoju. To byli właśnie tacy ludzie, przeraziłem się ich. Postanowiłem udawać martwego i chyba oni dali się na to nabrać, bo pokręcili się, pokręcili. Jeden, ten wyższy, w niebieskiej czapce kolejarskiej, z wąsami, w koszuli z podwiniętymi rękawami, w ubłoconych butach, jakby takich łapciach z wikliny czy innego badziewia i głosie chropawym jak pierwszy gruzłowato-kostropaty wykwit rdzy na tej takiej blasze od przyczepy, on zapytał tego drugiego:

– Kolejny tu padnięty. Bierzesz go na taczkę?

[...]

– Macie flaszkę? – zapytałem, bo zaczęło się robić niezręcznie. Oni zdziwieni, że żyję. Ja zdziwiony, że mówię. Trzeba było spirytusu, żeby w końcu nadać wydarzeniom właściwy bieg.

– N-nie – wyjąkał Stasiu. – Oddali my Ruskim.

– Cichaj, Stasiu! – wrzasnął przenikliwie Szymon, podbiegł i popchnął biednego Stefana. – Bo jeszcze usłyszą i nas zbiją, jak ostatnio. Wtedy znów zapomnisz języka w gębie, gnoju.

– Spokojnie, już prawie po wojnie – rzuciłem bystro, bo skoro Ruskie już tam, to zdaje się, że już było po. W prawdziwości jeszcze ich tam aż w Niemczech nie było.

– Coś ty taki zahukany, przyjacielu? – spytałem gorąco krwistego Szymona, co mu aż oczy zaszkły wściekłem i brakowało tylko, żeby się obślił z tego wszystkiego.

– Bo gdybyś widział, co te Ruskie tu wyprawiają. Nic się nie da zrobić. Mieliśmy raz jednego wieczora mało, bo czwartą część flaszki na dwóch, a zjawilo się dwoje tych ichnich żołdatów i do nas oni, dawaj, żebyśmy im oddali, a my spragnieni, bo tu nocą nic tylko się zachlać i zapomnieć, co się za dnia widziało, oddać nie chcieliśmy. I oni nas potłukli tak, że do dziś mnie w biodrze kłuje. Buty też miałem jak nowe, zabrałem po nieboszczyku, co znalazłem trupa, skórzane, lekko tylko okurzone ruina, a oni zabrali, powiedzieli, że dobrze, że matki nie mam na sobie, bo też by mi ją zabrali i braciszka mi zrobili. Po czym zarechotali jak jakieś dzikie ptactwo – Szymon aż się trzęsie z tego wszystkiego, jego chrapliwy głos, jakby jeszcze o oktawę przerdzewiał w czasie tego opowiadania.

– Ma rację, nie powinienem wspominać nawet tych diabłów, bo oni jak z podziemi wylażą, ani się obejrzysz. Jak tak ze mną obaj rozmawiali, dwaj łachmyci, co by tym Ruskim matki sprzedali za łyk mizernej gorzałki, to jeszcze się im przyjrzałem, tym ich chudym gębom, i po zapadłych oczach, obciążniętych skórą kościach znać było, że nie tylko berbelucha, ale i garść hreczki do jedzenia nie była u nich codziennym przywilejem.

– A jak wyście tu w ogóle trafili? – spytałem rozochocony. Coraz bardziej chciałem zobaczyć, jak to miasto wygląda. Rzadko w życiu bywałem w mieście, a w niemieckim to nigdy.

– Przyjechaliśmy transportem z Polski centralnej. Mieliśmy jechać do Białogardu, ale za butelkę wódki z naszego wagonu starto Białogard, a napisano Wrocław – pospieszył z odpowiedzią Stasiu, gładząc się po ogolonej skórze na szczęce.

– My są spod Mielca, a tam bida, że zupa z agrestu taki przysmak, że niech kiszka z tynkiem się chowa. Bo dla niektórych tam to i tynk był przysmak, z braku laku to i on dobry, jak i kit. No i tu miało być bogactwo, lepszej jakości życie.

– A tu, kurwa, rzyć, bo wszystko gorszej jakości póki, trupy, ruiny, zawieja, plądrunek – dodaje Szymon i splota gęsto na żwir pod łapciem.

– Trupy gorszej jakości niż w centralnej? – dopytuje złośliwie.

– A gdzie – macha ręką. – One akurat wszędzie takie same. Pierwszy to jeszcze jest wydarzenie, bo człowiek traktuje takiego trupaka jak świętości, bo nie wiadomo też, czy on już w niebie nie siedzi po prawicy Ojca, ale reszta to oni już wychodzą jak z fabryki śmierci, nie byłoby miejsca na tyłu, choćby byli jak wszy i obleźli Ojca, no i różnią się od siebie niewiele. Wybałuszone oczy, zdziwione, kawałek flaka, stopa w drzazgach z mięsa. No i przywyka się, powoli przywyka się, choć się nie powinno. Ale to jak ze wszystkim. I do trupów idzie przywyknąć. I do ich gadania – odwraca się, patrzy w stronę dymów nad miastem.

– Bo co, ja nie pierwszy, który do was gada? – dziwię się.

– No nie, już trzeci albo czwarty. Na początku zawsze strach, bo człowiek życie całe nie przywykł do takich dziejów, a teraz one jakby się nagle spowszechniły. I jak taki, co wypowie, to na początku dygot, ale już mniej. Teraz dopiero wychodzi, co te wojny z nami, ludźmi, porobiły. Do czego przyzwyczaili.

– I wyście się tak sami do siebie zatrudnili do zbierania tych ciał?

– Nie było nic innego dla takich parchów jak my – wtrąca się Stasiu. – Chcielibyśmy do jakiej cieplej robótki przy budowie albo czym podobnym, wzięli nas, popracowaliśmy, ale Szymon wziął i jednemu tam z murarskich majstrów zakosił sprzętu: kielnie, czerpak, puckę, przebijak, sznur, no i tę

taczkę, co ty teraz na niej. Sprzedaliśmy wszystko na targu, nakupiliśmy bimbru, zabalowaliśmy kilka dni, i nie było już po co wracać. Potem jeszcze wzięli my te taczkę, odkupiliśmy za ubrania po jednym trupie, bo się okazało, że jest praca, ale trzeba mieć taczkę.

Nieźle trutnie, myślę sobie, Boga w sercu nie mają i mnie jeszcze do dołu jakiego wiozą, żeby tam z innymi szczątkami zakopać i zostawić. Zęba by zabrali, oko wylupili, wnętrznosci jak dywan rozwinęli. Jak krowę sprzedali w kawałkach rzeźnikowi. I co tu robić, żeby tak nie było, jak przekonać, żeby mi godny pochówek zapewnili, krzyż chrześcijański ze sztachet zbili i na kopcu umościli? Czasu mi trza, żeby im się wymknąć i znaleźć kogoś, kto by mnie po ludzku potraktował. Do dołu z innymi nie chcę, bo i jak tak? Potem po śmierci z nieswoją ręką, z, nie daj Boże, dwiema lewymi rękami, całą wieczność po lewicy Ojca, bo gdzie indziej. Gorsze to niż piekło.

– A nie przewieźlibyście mnie trochę po mieście? – wyrывa mi się nagle z tej desperacji. – Bym rzucił okiem jeszcze, co się tu dzieje zanim spocznę na wieku. Dałbym ja wam za to flaszkę.

– Skąd ty flaszkę weźmiesz, trupaku? – Szymon, wyraźnie zainteresowany, podchodzi do mojej taczki, zagląda mi w oczy. Odpowiadam z taką pewnością siebie, że mało brakowało, a sam bym sobie uwierzył. Ale wierzyć mi nie bardzo chcieli. Spotniałem.

– Znam ci ja bimbrownika w mieście, wspaniały człeniek, wisi mi przysługę, ja mu wszak jęczmień dostarczałem.

– A który to niby jegomość, ten bimbrownik?

– Władek Galareciarz, przyjechał z Ostrówki w wołyńskim. Nawiózł tu bimbru ze sobą, ma go ukrytego od groma.

– Coś ty pierdolisz... Władek Galareciarz? Nie ma takiego bimbrowniczego – macha ręką Szymon. Niebo nad nami już zupełnie pociemniało. Tu i ówdzie widać było gwiazdy, pojedyncze z nich powychodziły nieśmiało, jakby speszone sytuacją, w której właśnie się znalazłem. Umarłem, ale wciąż boję się śmierci.

– No dobra, nie ma takiego, ale zanim mnie zakopiecie, przewieźcie mnie trochę choć po mieście, tak z dobroci serca, wiem, że macie. Proszę, chcę jeszcze sobie ten świat pooglądać, jego piękno w tej nowej Polsce, na tych Ziemiach naszych Odzyskanych – zacząłem mówić do nich tak prozalnianie, jak tylko byłem w stanie, pociekły mi łzy i, zdaje się, że rozkręciłem się przy tym, rozochociłem, bo była taka luka, w tych moich żebrach, że spojrzeli na siebie, a ja poczułem, że mogę ich przekonać.

– Wyproszę dla was miejsce w niebie, chłopaki.

– Ale masz gadane – rzucił z wyraźną odrazą Szymon, po czym splunął. Nic, tylko ci krowiaków do gęby napchać i patrzeć, jak puchniesz

na kufie. Odzyskanych, mówisz? Chyba wycyckanych, kadłubku bez ręki, widać, że gówno wiesz, chuja znasz, bo nic tu nie ma do oglądania. Ruiny, miny, kundle, zwłoki, parszywe mordy, zaschnięte gałki końskiego łajna. I zupełnie nie wiesz, o co prosisz, dokąd ty w tany idziesz. Ale dobra, jedziemy. Wyproś nam miejsce w piekle. Bierz go z tą taczka, Stasiu. Pokażemy mu miasto.

– Wiktośka, gdzie ty? – spytał, ale nikogo nie było przy nim, sam był, żywej duszy wokół, on przyciśnięty do framugi moich drzwi, wszyscy wyjechali, on nie zauważył, opowiadał dalej.

Ruszyliśmy, najpierw powoli, w stronę tych kurników na pierwszym planie, gdzie dymy i stukot, gdakanie i smród, pojedyncze światełka pełgające we framugach okien, które jeszcze jakimś cudem nie wypadły z okiennych otworów, choć pewnie w wietrzne dni ciągnęło przez nie wichrem, jak sami diabli, bo, jak się przyjrzeć, to widać szczeliny światła, skruszyła się cegła podczas bombardowań. Ale to i tak nic przy sąsiednich szeregach w pierzei, gdzie z mieszkań ostały się, jak w uśmiechu szkorbutnika, jedynie szczyby. W niektórych pokojach ściany były poprzebijane, tu i ówdzie brakowało sufitu, gdzieś tam prądu. W niektórych oknach stali ludzie i patrzyli na nas, ich twarze były sponiewierane, malowała się na nich żalność. W jednym oknie siedziała kobieta, pochylona nad kopciłką, robiła coś na drutach, nie wiem, co, ale wtedy pomyślałem, że sznur, bo czego innego tu chcieć, potrzebować. Co to ta kopciłka, kochanie, ano sznurek właśnie – skręcony z bawełnianych szmat, zanurzony w nafcie. Wokół pachniało ziemią, krwią. Ode mnie, od miasta? Nie wiem. Wokół wszędzie czerni i głucho, od czasu do czasu lekkie, krótkie troskotanie kur, nie spały jeszcze, i głuche wycie z oddali, jakby parkoty diabłów. Zapalenia nerwu słuchowego można było od tego wycia dostać.

To, co tam dalej zobaczyłem, przekracza wszelkie pojęcie i wierzą mi, nie chciałabyś, czegoś takiego zobaczyć, zresztą i tak nie pozwoliłbym ci patrzeć. I aż opowiadać trudno, ale opowiadać trzeba, żeby wiedzieć na przyszłość, co nas tam czeka. Skręciliśmy, jechaliśmy w jakąś ścieżkę między drzewa, gdzie nad nami platany, Stasiu siedł po jakiejś trawie, bo chrzęściła jak psia sierść, gdy ją wziąć i pogładzić pod włos. Zostawiliśmy za sobą wszystkie zręby tych chałup, ich światła, przed nami zabłyszczał staw, bajorko, w nim lyskała ciemność spowijająca korony drzew i te pojedyncze gwiazdy, które miały odwagę być tam z nami.

– Wjedź z nim do środka – rzucił pospiesznie Szymon, a Stasiu przyspieszył, skręcił nagle i podjechał pod niegdyś biały, pobielany wapnem, teraz osmolony sadzą, uwalnany wojną dom z cegły, piękny, Niemiec to są jednak nie lada architektki, pomyślałem.

Wjechaliśmy do środka, coś zaskrobotało, jakby mysy pościg, gdzieś jakiś kwik i tupot, Szymon odpalił zapałkę, wyjął kawałek łuczywa, rozświetlił wnętrze, wokół gęsto rozsiane po kątach i przy suficie połacie pajęczyn, na nich ćmy, muchy, samce komara, sam dom zaś pustawy, weszliśmy przez krótki korytarz z popękkanymi ścianami działowymi do środka, w podłożu klepisko z gliny, która dudniła pod kołem taczki, choć wcześniej musiał być tam parkiet, rozsiane pod szczapy drewna leżały porozwalane po pokoju o wysokim suficie, w którym nie było nic prócz ścian, okien, porozbijanego szkła, strzępów jakichś ubrań i tych kawałków drewna. Wszystko porozwalane na ziemi okropnie. Szymon podszedł do jednej z bocznych ścian, podsunął do niej łuczywo, na ścianie objawił się napis: Zdień żyło 7 sowieckich żołdatow, pochylił się, przystawił łuczywo do ziemi, tam obok siebie leżało siedem wyschniętych kup kału.

– To chciałeś zobaczyć? – spytał i uśmiechnął się. Nie odpowiedziałem, skrzywiłem się jedynie.

– Swołocz kurewska – zasyczał za mną Stasiu, zatrzymał taczkę, podszedł do tej ściany, było w niej okno z rozbitą szybą, za oknem stało drzewo, ale nie mogłem dostrzec jakie, być może jabłoń, taka jak nasza. Stasiu pochylił się i trochę po boku od tych kup śmierdzących, obok tych żołnierzy radzieckich, znalazł saboty z drewna, co się mieniły kiej u pana, zdjął swoje kłapiące, skórzane buty i przymierzył.

– Jak na ciebie robione – rzucił swoim chropawym, twardym głosem Szymon.

– No – uśmiechnął się Stasiu, wziął i zaczął zakładać drugiego, wtedy wyraz na jego twarzy z ucieszenia przeszedł na zohydzenie, skrzywił się silnie i czem prędzej wyjął stopę, która teraz upačkana była lekko brązową wstęgą. Ósmy żołdat ukryty w sabocie.

– Yyy – zakwilił cienko, na co Szymon zaczął rzeć w niebogłoso, zgiał się w pół i podtrzymywał za uda z tego śmiechu, który raz po raz wstrząsał jego ciałem.

– Ahahaha, aleś się wjechał – krzyczał w niebogłoso. – Pięknie wysmarowane okrasą od wewnątrz, ahahaha.

Stasiu wyszedł czym prędzej, wytarł nogę o kępy trawy rosnące przed domem. Podszedł do bajora, wsadził nogę, obmył. Na powrót wdział swojego starego kłapiaciaka.

– Musimy cię przykryć jaką płachtą – rzucił do mnie Szymon. – Wchodzimy w miasto, w mieście nie można wozic odkrytych zwłok. Za zwyczaj mamy plandekę, ale żeśmy zgubili. A ciebie mieliśmy i tak zawieźć na cmentarz za miastem – postawił taczkę, poszedł za dom, usłyszałem jak w coś kopie, potem rozsuwa chyba jakowyś skobel, bo metalicznie coś trza-

snęło. Po chwili wrócił, miotnął jakimś czymś w stronę Stefana. Workiem jutowym, jak się okazało. Stefan go rozłożył, rozciął, żeby był większy, położył na mnie.

– Wytniemy ci otwór na oczy, żebyś co widział. Zamknij oczy – poleciał i pomacał ręką worek, żeby wyczuć, gdzie mam oczodoły. Zaznaczył palcami, wziął worek i jakimś kozikiem, co go miał w kieszeni swojej obstrzępionej marynarki, począł wycinać w nim koła. Kiedy to zrobił, jeszcze raz przykrył mnie tym workiem, dziury były spore, widziałem dość dobrze. Byłem taczka z oczami.

Wyszliśmy stamtąd w miasto, a im głębiej szliśmy w miasto, tym się robiło ciemniej i ciemniej. Paliły się tylko niektóre z latarni, oświetlały ruiny miasta, które rozciągały się coraz szerszymi połaciami. Minęliśmy też po drodze kilka ognisk, przy których siedziała garstka jakichś dzieciaków. Dużo łąziło dzieciaków, niektórzy sami, niektórzy gromadą, większość z wózkami, na których wieźli stoły, krzesła, obrazy, książki – wszystko, co da się spalić na ognisku. Ale nie tylko, niektórzy na wózkach mieli worki z jabłkami, jedni zaś zdejmowali kanapę, którą położyli przy ognisku i na niej usiedli. W oddali słychać wrzaski, czasem coś hukło, czasem coś dupło, miałem wrażenie, że w pewnym momencie słychać było płacz zbiorowy, jakby cała rodzina naraz płakała. A chwilę po tym płaczu modlitwa, nagle, przez otwarte okno od mieszkania odmawia się litanie do Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Matko Boska Ostrobramska w podwójnej koronie,

Módl się za nami

Matko Boska Ostrobramska Orłem i Pogonią,

Módl się za nami

Matko Boska Ostrobramska w warownej kaplicy,

Módl się za nami

Matko Boska Ostrobramska wileńskiej ulicy,

Módl się za nami

– Dawaj wodku i odkrywaj dwieri – ktoś w pewnym momencie huknął w drzwi, zdaje się kolbą od strzelby i zakrzyknął do tych modlących się. Słychać było krzyki i szarpaninę. Potem coś jakby palba z pepeszy.

Maciej Bobula

*Laureatka nagrody głównej XVIII edycji Ogólnopolskiego Konkursu
Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia Olkusz 2022*

Beata Nicoś-Trenk*

SZKŁO JEST MATERIAŁEM IDEALNIE SPRĘŻYSTYM NIEPODLEGAJĄCYM STAŁYM ODKSZTAŁCENIOM

*Pozytywne wyniki badań laboratoryjnych świadczą jedynie
o spełnieniu wymaganych parametrów materiałowych,
nie zwalniają projektanta z przeprowadzenia obliczeń dowodzących,
że element wykonany ze szkła jest bezpieczny w konkretnym rozwiązaniu.*

(swiat-szkla.pl)

wiesz że cząsteczki w lustrze stale zapierdalają
może dlatego nie zawsze rozpoznajesz w odbiciu siebie
właściwie to nawet częściej nie rozpoznajesz niż rozpoznajesz
cząsteczki rozbiegają się zbiegają rozdzielają łączą drgają
gdy przerazi je jakiś dźwięk lustro pęka na siedem lat nieszczęść
przez szczelinę przechodzi Alicja z pustymi wiadrami
spóźniony Królik z zegarkiem bez wskazówek
i Wielbłąd z głową tkwiącą w uchu igielnym
igłę trzyma Szewczyk Dratewka i szyje szyje zszywa szklane cząsteczki
żebyś się częściej rozpoznawała pod płótnem
rzuconym na lustro białym niemalowanym
żeby ci się zjawy nie plątały między cząsteczkami tabletkami
no nie schizuj już szkło jest materiałem idealnie sprężystym

* Wiersze pochodzą z będącego główną nagrodą konkursu tomiku *Popierdoliu* (w druku).

W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA STŁUCZ SZYBĘ

tłum stoi tłum siedzi tłum ma pełne siatki
tłum ma mięso tłum ma warzywa
na sałatkę z tradycjami
stoję w tłumie bez siatek bez mięsa bez warzyw
na sałatkę z tradycjami
tramwaj wchodzi w zakręt kręci mną koło w przegubie
mam dużo bransoletek i kolczyki z piórami
próbuję oddychać wdech wydech wde---ch
w razie niebezpieczeństwa stłucz szybę stłucz szybę stłucz wydech
w-d-eee---ch stłucz wyyyydech skąd ta krew na palcach nie schizuj
zliż
za nieuzasadnione użycia młotka awaryjnego
grozi odpowiedzialność karna „stój jak kamień...”

„NIEPERFEKCYJNOŚĆ JEST SZTOSEM...”*

mój ulubiony psychiatra ma przy kluczach
srebrną tabliczkę z imieniem Arkadiusz
mamy tu jeszcze zabłąkane pociągi
złodziei tramwajów wożących nocami
przez miasta przypadkowych pasażerów
czasami płaczę bez powodu – mówię
– na tym polega choroba psychiczna –
odpowiada mój ulubiony psychiatra
warto jednak żyć w tym kraju

* z wiersza Ivana Davydenko *Biesiada*

POLISENSORYCZNIE

ty nie dostaniesz obróżki, jesteś tylko kobietą

Ilona Witkowska

można być mono można poli *sapiens* i *ludens* w mózgu
zagnieżdżił się rój szerszeni sączą jad w neurony siadają rzędem na synapsach
zmutowane jaskółki roją się urojeniami tańczą jak sobie grają tango
angelologiczne stygmatyczne aż Fra Angelico maluje kolorowe anioły jak
[ukąszony

nadprodukcja skojarzeń jadowitych i objawionych
mutacje kwazarów błyski i trzaski na złączach zwiastowania
zdrowaśmarije pełne łask między udami i dalej dalej
pan z tobą a duch sieje gdzie chce te szerszenie wskazane zaimkiem
wskazującym z braku wolnego palca (wszech)światowe
mega(lomańskie) rozrastają się do mitycznych rozmiarów brzęczą:

jesteś taką kobietą że dostaniesz obróżkę i na kosmiczny spacerek
ty nasza polidygresyjko trochę secesyjna trochę *art déco* i trochę modern
femme noir et angélique zgeometryzowana ale a-
symetryczna na harfie na cytrze Panu Bogu po uszach i diabłu
pół nuty smyczkiem po różkach psychodelicznie
w szpilkach po bruku polisensorycznie
więcej *ludens* mniej *sapiens* w podskokach laleczko bez zbędnych pożegnań

GRY I ZABAWY (NIE)DZIECIĘCE TRYPTYK DYGRESYJNO-SKÓJARZENIOWY (WIERSZ DO CZYTANIA HORYZONTALNEGO I WERTYKALNEGO)

Gdy przeciąganie liny trwa zbyt długo, powstaje za duże napięcie powierzchniowe i lina pęka.

(po przeczytaniu fragmentów *Badań magnetycznych lin stalowych* Jerzego Kwaśniewskiego)

gąski gąski	z wstążkami	w błękiecie
spod lasów	na łąkach na	zielonym
raz dwa trzy	wyciągnięcie	skrzydeł –
wilk patrzy	ciał-dusz tak	łakomy(ch)
na kogo wy-	czekacie lot	opóźniony
padnie takt	nie-t(en)-akt	trzepotliwy
huzia diab-	o lo la li la la	ruch znów
li na wiatr	dusz śpiew	na tej łące
w kominie	o mój miły o	co ty na to
bez domu	Augustynie	wszystko
z dymem	minie minie	marność nad
ogień las	żar-ptak gra	marnościami
płonie ach	taki czas ach	czas żałować
płonie do	płatków róż	rannych zórz
dna DNA	w krwiobiegu	katedr krach
szkoda za	bogów toast	diabli do ust
szkodą Ah	(elektryczną	naładowaną)
= A x h już	do sekundy	broń się broń
mija czas	chwilą) po	byłem byłem
pamięć w	niepamięć	szansa kształt
siódmy (?)	byt koci zna	yin-yang znak
las znasz	czarno-biały	rytm znasz (?)
li ten kraj	w którym ci	w smak-takt
dziewczę	cytryna na	języku – nie
cud miód	skumbrie –	wytykaj się
na baję baj	być albo nie	na yoricka
raj nie raz	śnieg szron	śpiew drwa

nie dwa o
tak wszel-
ki duch czy
anioł stróż
tuż tuż tuli
na linie bujaj

tak kończą
kie królowe!
widmo strach
skrzydła tuli
do snu luli lu
się nie/bój

błazen król
trefl traf ach
gra na lirze
śmierć (patrz
tańczy znów)
magnetycznej

Beata Nicoś-Trenk



Andrzej Niedoba, *Konik na biegunach*, olej na płótnie, 2018.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Michał Fostowicz

MIĘDZY SZTUKĄ A POZNANIEM*

Podczas studiów na Uniwersytecie Wrocławskim (1968–1974) zajmowałem się poezją, krytyką literacką oraz teorią literatury. Publikowałem recenzje oraz eseje w piśmie literackim „Agora”, wydawanym przez polonistów, mającym wówczas zasięg ogólnopolski. Moja praca magisterska, opóźniona o kilka lat (1989) miała tytuł *Funkcja poznawcza dzieła literackiego*. Kwestia sztuki i poznania czy też – poznania poprzez sztukę stała się dominującym zagadnieniem w moich późniejszych przemyśleniach i publikacjach. Wydaje się niezbędne, by podstawowym trudnościom w ujęciu tego problemu poświęcić na wstępie parę zdań.

Przekaz artystyczny, ze względu na specyfikę środków wyrazu, nie ma wiele wspólnego z przekazem naukowym czy potocznym. Mówienie o „poznaniu” w odniesieniu do dzieła artystycznego może się jednak wydawać nazbyt rozszerzające w stosunku do samego pojęcia poznania. W podobny sposób problematyczne jest nazywanie „poznaniem fizycznym” niedającej się określić relacji pomiędzy „ja” i noumenem. Uważam jednak, że mamy takie samo prawo mówić o poznawaniu w odniesieniu do, na przykład, rachunku różniczkowego, jak i –bezforemnego i nieprzekazywalnego zapachu kwiatu. To, co zmysłowe i to, co noetyczne czy duchowe, nigdy nie jest całkowicie rozdzielone.

W naszym kontakcie ze sztuką najistotniejsze nie jest to, co poznajemy przedmiotowo jako morfologię dzieła czy jego „strukturę”, lecz co poznajemy „poprzez” dzieło, jako pewien stan. Poznanie artystyczne ma więc zasadniczo postać poznania intuicyjnego¹ lub też stanowi formę wehikularną intuicyjnego wyglądu. Właśnie ten rodzaj poznania możemy określić jako akt wyobraźni otwierający „inną rzeczywistość”.

Nie można więc zagadnienia poznania w utworze artystycznym sprowadzić do obecności schematów pojęciowych czy prawd filozoficznych wyrażonych w dziele sztuki². Nie można również ograniczać prawdy dzieła sztuki do „przeżycia

* Szkic został napisany po roku 2008 jako autoreferat w postępowaniu habilitacyjnym autora, do którego przygotowania przerwała jego choroba nowotworowa i śmierć 10 grudnia 2010 r. Maszynopis znalazł się w posiadaniu Zofii Mirskiej, zaprzyjaźnionej z Michałem Fostowiczem, która przeczytała go na zorganizowanym w dziesięciolecie jego śmierci przez Stowarzyszenie Międzygórze Reaktywacja sympozjum „Miejsce po Michale” 12 czerwca 2021 r. w D.W. Gigant w Międzygórzu. Za zgodą na publikację redakcja „Frazy” dziękuje Miłosławowi Fostowiczowi.

¹ Jak pisze rosyjski filozof Mikołaj Bierdiajew: „Jeśli możliwe jest poznanie intuicyjne, to nie może ono mieć czysto intelektualnego charakteru, ono może być jedynie całościowe, konkretne, a więc również emocjonalne i wolitywne”. Tegoż, *Zarys metafizyki eschatologicznej. Twórczość i uprzedmiotowienie*, przeł. W. i R. Paradowscy, Kęty 2004, s. 26.

² Takie podejście reprezentuje Alicji Kuczyńskiej *Sztuka jako filozofia w kulturze renesansu włoskiego*, Warszawa 1988. Jest raczej oczywiste, że ta interesująca książka mówi nie tyle o sztuce jako „filozofii”, co o możliwości rozważania zagadnień sztuki w kontekście filozofii.

estetycznego”, eliminując jego wartość noetyczną. Doświadczenie świata oparte na doznaniu (czyli na terażniejszości) nazywa się estetycznym, jednakże mówiąc o estetyzacji, przywołuje się głębszy aspekt kontemplacyjnego przeżycia, który wywodzi się z greckiego pojęcia *theoria*. Z pewnością jest to sens pomijany, a może całkowicie zapomniany w epoce nowożytnej. Jak mówi japoński filozof Kitaro Nishida: „jeśli usuniemy nasze uczucia i wołę z aktualnego świata, przestanie on być faktem — stanie się abstrakcyjnym konceptem, dlatego artysta, a nie uczony, dociera do prawdziwej rzeczywistości”³. To „dotarcie do prawdziwej rzeczywistości” stanowi więc kwintesencję poznawczej aktywności nieredukowalną do pojęciowej abstrakcji, tylko bezpośrednio obecną w doświadczeniu – zintegrowaną z byciem. Wydaje się, że nieustanna potrzeba tworzenia i obcowania ze sztuką wskazuje na możliwość i potrzebę poznania głębszego niż „jednowymiarowe” poznanie filozoficzne lub naukowe; wskazuje mianowicie na formy obrazowe lub symboliczne wymagające tyleż rozumienia, co i bezpośredniego udziału, czyli zintegrowanego stanu świadomości. Ten rodzaj poznania integrujący ludzki umysł William Blake nazywa poznaniem poprzez wyobraźnię, dodając, że jest on zwalczany przez abstrakcyjną filozofię⁴.

Język sztuki jest językiem zmysłowych konkretów, a nie abstrakcyjnych symboli, konkretność to forma, w której podmiot i przedmiot są jednym – można powiedzieć – jednym ciałem. Konkretność „tu i teraz” to zarazem doznanie bezpośredniości i wykroczenie poza czas, który jest w swej istocie abstrakcyjną formą bytu.

Relacja sztuki i poznania czysto pojęciowego jest analogiczna do pierwotnej relacji pomiędzy mitem a logosem. W dalszych dziejach kultury relacja ta określa różnice pomiędzy poznaniem sacrum – rzeczywistości transcendentnej (piękna, dobra, itp.), a poznaniem rzeczy i zjawisk. Poznanie imaginacyjne, którego specyficznymi narzędziami są metafora, symbol i mit, ujmuje rzeczywistość transcendentną (sacrum), jak i bezpośredniość doznań wyrażanych w sztuce. W jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z „inną rzeczywistością”, wychodzącą poza dominujące w naszej umysłowości przedmiotowe ujmowanie świata. Poznanie będące „szukaniem” nieoddzielne jest od doświadczenia; jego abstrahowanie ma sens jedynie jako rodzaj objaśniającego wprowadzenia – jak to ma miejsce w opisie krytycznym. Rozwijaniu tych zagadnień były poświęcone niektóre moje eseje publikowane w czasopiśmie, moja rozprawa doktorska i, ostatnio, obszerna książka poświęcona artystycznej i zarazem teozoficznej doktrynie Blake’a⁵.

Do czasu uzyskania doktoratu na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego (1997) byłem aktywny głównie w sferze praktycznych działań artystycznych, a również jako krytyk, tłumacz i animator kultury. Opublikowałem kilka tomików poetyckich, przekłady książek z języka angielskiego oraz miałem

³ K. Nishida, *An Inquiry into the Good*, transl. M. Abe, Ch. Ives, Yale University Press 1990, s. 49.

⁴ Abstrakt *Philosophy warring in enmity against Imagination / (Which is the Divine Body of the Lord Jesus, blessed for ever)*, W. Blake, *Jerusalem*, pl. 5, w. 57–58.

⁵ Por. M. Fostowicz, *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008.

kilkanaście indywidualnych wystaw obrazów.

Moje zainteresowania kulturą i filozofią Dalekiego Wschodu (jak i korespondencją odmiennych kultur) spowodowały, że zostałem przyjęty na Wydział Studiów Buddyjskich w The Naropa Institute w Bolder, w Colorado (Program in Buddhist Studies, Contemplative Religion Track 1990). Ostatecznie studiów tych nie mogłem podjąć, gdyż odmówiono mi wizy.

W 1994 wydawnictwo PWN przyjęło do druku moją książkę pt. *Świat bez prawdy. Poezja jako światopogląd*. Książka ta stała się następnie po niewielkich zmianach moją rozprawą doktorską obronioną na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Ostatecznie, po rozwiązaniu wrocławskiego oddziału PWN, książka została wydana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Zielonogórskiego (2003). Obecnie jest przygotowane jej drugie, poprawione i poszerzone wydanie⁶.

Świat bez prawdy stanowi podsumowanie około dwudziestoletnich zatrudnień i dociekań dotyczących istoty sztuki i poezji pojmowanej – jak to wyżej zostało przedstawione – jako stan kreatywności, a nie zbiór artefaktów. Pierwsze szkice zawarte w tej książce zaczęły powstawać na początku stanu wojennego, a jej tytuł, nawiązujący do myśli Friedricha Nietzschego, koresponduje z podstawowym nastrojem postmodernistycznej filozofii, choć raczej do tego nurtu nie należy. Jest to książka krytyczna z perspektywą filozoficzną. Bohaterami poszczególnych szkiców są nieprzypadkowo dobrani artyści i filozofowie, którzy wszyscy spotykają się na jednym rozdrożu pomiędzy mitem a rozumem. Twórcy ci – są wśród nich Blake, Charles Baudelaire, Bolesław Leśmian, Rafał Wojaczek, a również filozofowie Søren Kierkegaard czy Friedrich Nietzsche – mimo zasadniczych różnic są pewnego rodzaju duchowymi dysydentami, uciekinierami z utopii rozumu, uciekinierami często w szaleństwo, odosobnienie lub chorobę i śmierć. Jednak to, co określić można jako ucieczkę czy dewiację, patrząc od innej strony, może się jawić jako działanie twórcze, kreujące suwerenny podmiot, niezależną od zewnętrznych wpływów świadomość. Jest to dojrzewająca w czasie formacja dysydentów, niepodatna na wpływy dominującej metafizyki, feudalnej teologii, sącząca krytycyzm i zwątpienie wobec najbardziej charakterystycznej dla zachodniej kultury postawy określanej jako modernizm.

Książka ta nawiązuje w pewien niejawny sposób do napisanego w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zbioru esejów Colina Wilsona pt. *Outsider*, antycypującego w sferze intelektualnej społeczny ruch kontestacji i wszystkie jego późniejsze następstwa, z New Age i postmodernizmem. *Świat bez prawdy* jest próbą głębszej i zdystansowanej refleksji filozoficznej nad zjawiskiem zasygnalizowanym i dość powierzchownie przedstawionym w książce Wilsona.

Wobec zasadniczej perspektywy wyznaczającej proces kulturowy pytania zawarte w tej książce zostają odwrócone; kierunek badań prowadzący ku rzeczy-

⁶ Tegoż, *Świat bez prawdy. Poezja jako światopogląd*, wyd. II rozszerzone, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010.

wistemu odkryciu jest ruchem hermeneutycznym ku ukrytym (wewnętrznym) przyczynom działania, a nie jego skutkom czy ideom. Pytania o to, czym jest sztuka?, czym jest poezja?, zostały zastąpione pytaniami: jaki rodzaj świadomości, jaki typ dążenia potrzebuje środków artystycznych, aby się ujawnić? Stopnienie podmiotu i przedmiotu jest doświadczeniem tożsamości transcendującym świadome ja. To doświadczenie może się manifestować jedynie przez szczególnie rodzaj formy inicjującej czy też prowokującej to pierwotne połączenie. Jej pierwowzorami są symbole archaicznej kultury. Ich kontynuacją jest współczesna forma sztuki. Myśl ta pojawia się już w filozofii Friedricha Schellinga, według którego absolutna tożsamość, w której świadome łączy się z nieświadomym, będąc podstawowym celem filozofii, znajduje wyraz jedynie w dziele sztuki⁷.

Oparcie się na własnym suwerennym „ja” (pojmovanym jako wyobraźnia wola czy jestestwo) jest oparciem się na próżni czystej i niepodlegającym żadnemu przedmiotowieniu świadomości. „Nie w poznawaniu, lecz w tworzeniu tkwi nasze uzdrowienie” – pisał Nietzsche⁸. „Niech ginie świat, bylebym tylko zawsze pił sobie herbatę” – mówi bohater *Notatek z podziemia* Fiodora Dostojewskiego⁹. Pewność prawdy, zagwarantowanej przez abstrakcyjne reguły, nie jest tak istotna jak pewność samego bycia lub działania, jak pewność życia, które wyraża samo siebie w całkowitej bezpośredniości. Jednakże psychologicznie zdanie się na prawdę „wewnętrzną”, jest w konsekwencji całkowitą ciemnością i całkowitą izolacją, wykopaniem przepaści – jak to formułuje Oskar Miłosz – „pomiędzy poetą a wielką rodziną ludzką”¹⁰. To dramatyczne odstępstwo może być jednak traktowane jako niezbędny warunek duchowej przemiany, jako czas inkubacji, a więc również jako etap drogi twórczej.

W kolejnych latach (druga połowa lat dziewięćdziesiątych XX wieku) zająłem się w sposób systematyczny studiowaniem i tłumaczeniem pism Blake’a. W 1998 wyszedł pierwszy wybór moich przekładów pt. *Wieczna Ewangelia* (zbiór powiększony ukazał się w 2007). W tym samym roku zorganizowałem ogólnopolską konferencję pt. *Wizyjny świat Blake’a*, która odbyła się w Świdnicy z udziałem wybitnych uczonych, pisarzy i artystów. W tym też czasie podjąłem się napisania rozprawy habilitacyjnej poświęconej sztuce Blake’a i jej związkom ze starożytnością.

Moja książka o Blake’u sytuuje się w porządku różnorodnych komentarzy do jego dzieła, jakie powstają od końca XIX wieku. Próbuję się więc odnieść w niej nie tylko do samego dzieła Blake’a, ale również do różnych możliwości interpretacyjnych, które pojawiły się w rozległym dyskursie wokół jego twórczości. Jest to więc, w stopniu w jakim było to dla mnie możliwe, synteza różnych ujęć i pomysłów interpretacyjnych.

⁷ F. W. J. Schelling, *System idealizmu transcendentalnego*, przeł. K. Krzemieniowa, Warszawa 1979, s. 347.

⁸ F. Nietzsche, *Pisma pozostałe*, przeł. B. Baran, Kraków 2004, s. 203.

⁹ F. Dostojewski, *Notatki z podziemia*, przeł. G. Karski, Warszawa 1964, s. 154.

¹⁰ Zdanie to zostało przytoczone przez Czesława Miłosza w wykładach harwardzkich *Świadectwo poezji*, Wrocław 1986, s. 22–23.

Książka składa się z kilku części. Część pierwsza wprowadzająca omawia podstawowe cechy artystycznej ekspresji Blake'a, jego symbolizmu czy też traktowania środków artystycznych jako hermeneutycznych narzędzi, co wyróżnia zasadniczo twórczość tego artysty pośród jemu współczesnych. Blake nie oddziela sztuki od myślenia. Można powiedzieć, że uprawia filozofię środkami sztuki. Formy artystyczne są zarazem formami myślenia – poszukiwania i ujawniania ukrytych treści.

Część druga nazwana jest *Wieczną Ewangelią*. Najistotniejsza jest tu idea „przywrócenia sztuki starożytności”, co Blake poprzez swoje dzieło postuluje i co przeciwstawia jałowości współczesnej, nowożytnej kultury. Intencja przywrócenia starożytnej sztuki nie oznacza jednak zwykłej inspiracji antykiem (jak w neoklasycyzmie), lecz zastąpienie władzy rozumu władzą wyobraźni. Jest to dążenie do przywrócenia świadomości, której podstawą jest mit, co stanowi, ujmując najprościej, misję religijną. Sztuka jako wehikuł tej misji pełni funkcję soteriologiczną. Podstawą tego dążenia jest historycznie ukształtowany paradygmat, który Karl Jaspers nazywa przesłaniem „epoki osiowej”, Ananda Coomaraswamy „tradycyjną filozofią”, Aldous Huxley – „filozofią wieczystą”, Blake używa określenia „wieczna Ewangelia”¹¹.

„Sztuka starożytności” w pojęciu Blake'a oznacza zatem umiejętność mistycznego przekształcenia osobowości, ale jest również narzędziem przywrócenia integralności człowiekowi zbiorowemu, upadłej ludzkości, która jako jeden zintegrowany podmiot nazywana jest przez niego Albionem. Sztuka jest narzędziem gnozy – poznania czy samopoznania i poprzez tradycyjny symboliczny kod odwraca znaczenia świata upadłego (doczesnego) ku ich duchowym przyczynom. Dlatego Biblia – jak pisze Blake – jest „Wielkim Kodem Sztuki”¹² i wszystkie problemy artystyczne postrzega on nie w kontekście obowiązujących teorii estetycznych, lecz jako podporządkowane wewnętrznej samorealizacji (którą umownie możemy określić jako wyższą formę piękna duchowego). W szczególnym stopniu neguje on i odrzuca klasycystyczną teorię sztuki jako emanację racjonalistycznej, autorytarnej wizji świata.

Kolejna część pt. *Język mitu* przedstawia funkcjonowanie Blake'owskiego mitologemu, zgodnie z regułami „sztuki tradycyjnej”, która stanowi wyłączną artykulację archetypów. Archetypy będące żywymi impulsami jaźni nie są czymkolwiek przedmiotowo uchwytnym, nie są „ideami”, tylko raczej pewnymi autonomicznymi podmiotami. W tym sensie „język mitu”, język prawdziwie wizyjny,

¹¹ Dodać należy, że przywracanie starożytnej duchowości w centrum oświeceniowego racjonalizmu stanowi wyzwanie zarówno dla wiary, jak i rozumu. Blake nie powtarza starego mitu w nowej wersji, lecz tworzy własny mit i jednocześnie – ryt inicjacyjny dla człowieka współczesnego. Nie jest to kolejna herezja, raczej połączenie perspektywy religijnej zinterioryzowanej, połączonej w duchowym centrum (u Blake'a jest to Chrystus Wyobraźni) z kręgiem zewnętrznej, obiektywnej natury i ukształtowanej przez człowieka kultury. Połączenie tych dwóch kręgów rzeczywistości – wewnętrznej i zewnętrznej, duchowej i zobiektywizowanej oznacza zbawienie – pełnię bytu (pleromę).

¹² W. Blake, *Wiersze i pisma*, przeł. M. Fostowicz, Kraków 2007, s. 251.

można nazwać językiem bogów, mocy czy jednostek nadrzędnych w stosunku do „ja”. Tak pojęte impulsy wyobraźni konkretyzują się w zorganizowanej postaci symbolicznego kodu. Dlatego zawartość wyobraźni prezentuje się w najbardziej pełny sposób jako żydowska i chrześcijańska Biblia: „Stary i Nowy Testament jest Wielkim Kodem Sztuki”¹³.

Część nazwana *Systemem sztuki* mówi o posłannictwie sztuki jako właściwej realizacji duchowego (inicjacyjnego) celu. Forma wzniosłej sztuki, kontur wyodrębnionej świadomości, buduje dyscyplinę zintegrowanego człowieczeństwa w jego walce z chaotycznymi siłami natury. *Wojna duchowa*, kolejna część, ukazuje ambicje upadłego rozumu, opierającego się przekształcającej wizji. Mówi o ciągłej walce „imitatorów i najemników” z prawdziwą sztuką, której finałem będzie Armagedon — ostateczne zwycięskie rozstrzygnięcie „sprawiedliwych”.

Ostatnia część nazywa się *Morze czasu i przestrzeni* i jest opisem, i interpretacją jednego tylko obrazu pod tym właśnie tytułem. W twórczości Blake’a obraz ten zajmuje wyjątkowe miejsce, stanowi bowiem najbardziej pojemną syntezę różnych wątków i wyobrażeń jego artystycznej mitologii. Jest to mandala Blake’owskiego kosmosu, a zarazem rekonstrukcja archaicznego pojmowania świata (tradycyjnego modelu).

Ten tradycyjny kosmos – kosmos Blake’a, jak pisze jeden z najwybitniejszych komentatorów jego twórczości S. Foster Damon, nie jest geocentryczny ani heliocentryczny tylko egocentryczny, tzn. jego podstawą, jego „osią” nie jest materia, lecz świadomość¹⁴. Tym samym jest to świat zintegrowany z ludzkim umysłem, w którym mityczne zamknięcie (systemu geocentrycznego) zostało przełamane przez świadome swej odrębności „ja”, jednakże to „ja” nie zostaje wchłonięte przez obiektywną, niezależną od świadomości rzeczywistość. Świat Blake’a jest więc światem zintegrowanym ze świadomością, manifestuje się on na wszystkich poziomach: percepcji, uczuć i intelektu w tym samym czasie¹⁵. Takie integralne doświadczenie Blake traktuje jako właściwe „dzieło” twórczej wyobraźni.

Poznanie poprzez bezpośrednią partycypację, czy też wewnętrzną integrację (czym dla Blake’a jest działanie wyobraźni) jednakowo dotyczyć może sztuki, doświadczenia mistycznego, czy filozofii pojmowanej, jak u swoich początków, jako praktyczny cel.

Michał Fostowicz

Do druku podała Zofia Mirska
Redakcja Magdalena Rabizo-Birek

¹³ Tamże.

¹⁴ Por. m.in. S. Foster Damon, *A Blake Dictionary. The Ideas and Symbols of William Blake*, with a new index by Morris Evans, Brown University Press, Providence 1988.

¹⁵ Tę manifestację Blake nazywa „poczworną wizją”.

Bibliografia

- Bierdiajew Mikołaj, *Zarys metafizyki eschatologicznej. Twórczość i uprzedmiotowienie*, przeł. Wiera i Ryszard Paradowscy, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2004.
- Blake William, *Wiersze i pisma*, przeł. Michał Fostowicz, Miniatura, Kraków 2007.
- Damon S. Foster, *A Blake Dictionary: The Ideas and Symbols of William Blake*, with a new index by Morris Eaves, Brown University Press, Providence 1988.
- Dostojewski Fiodor, *Notatki z podziemia*, przeł. Gabriel Karski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964.
- Fostowicz Michał, *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008.
- Fostowicz Michał, *Świat bez prawdy. Poezja jako światopogląd*, wyd. II rozszerzone, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010.
- Kuczyńska Alicja, *Sztuka jako filozofia w kulturze renesansu włoskiego*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988.
- Miłosz Czesław, *Świadectwo poezji*, Constans, Wrocław 1986.
- Nietzsche Friedrich, *Pisma pozostałe*, przeł. Bogdan Baran, Inter Esse, Kraków 2004.
- Nishida Kitaro, *An Inquiry into the Good*, transl. Masao Abe, Christopher Ives, Yale University Press 1990.
- Schelling Friedrich W. J., *System idealizmu transcendentalnego*, przeł. Krystyna Krzemieniowa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1979.

Between art and cognition*Summary*

The essay is archival in nature. It was written after 2008 by Michał Fostowicz (1948–2010) – a poet, translator, painter and philosopher of art – as a summary of his professional accomplishments in the habilitation procedure, the basis of which was his monograph *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności* (*Devine analogy. William Blake and the Art of Antiquity*) (2008). His plans were interrupted by cancer. The text came into the possession of Zofia Mirska, a friend of the author, who submitted it for publication. Fostowicz describes in it his artistic and intellectual explorations, inspired by both European philosophy and the thought of the Far East, focused on the relationship between art and cognition, knowledge through art, the relationship of imagination and rational thinking. He also describes his two books – *Świat bez prawdy. Poezja jako światopogląd* (*The World Without the Truth. Poetry as a Worldview*) (2003, 2010) and *Boska analogia* (*Divine Analogy*).

Ryszard Lenc

NAD BRZEGIEM OPOWIEŚCI

Stoimy nad jeziorem. Wytrzępuję kamyk z buta. Uwierał mnie, odkąd ruszyliśmy w górę. W oddali widać przeciwny brzeg. Wczesnym przedpołudniem było ciemno i mglisto, ale teraz blade słońce rozjaśnia i mozolnie rozrzedza gęste, zimne powietrze. Nie grzeje jednak dostatecznie i chłód czuje się nadal. To przecież koniec miesiąca Kislew, w kalendarzu juliańskim druga połowa grudnia. I choć to Galilea, przecież i tutaj zdarzają się zimne dni. Jest rok 71.

Demetriusz podchodzi ostrożnie do skarpy.

Samuel zatacza ręką półkole.

– Stąd ładny widok, ale uważaj, byś nie spadł. Nie jest, co prawda, wysoko, ale połamiesz nogi. Tu, gdzie stoimy, ład wcina się w jezioro i gdzieś w tym miejscu byłaby głowa anielskiego harfisty. Nasz wielki król Dawid śpiewał psalmy, przygrywając sobie na harfie. Cesarz Neron też pisał wiersze i pieśni. Mówią, że grał na lirze i recytował, gdy Rzym stał w płomieniach. Ale to pewnie bajki.

– Czy to nie owi nazarejczycy?... – pyta Demetriusz. – A widok stąd zaiste ładny.

– Podpalili Rzym? Być może. Zrobią wszystko, by koniec tego świata przyspieszyć, co ma poprzedzić powrót ich... Nauczyciela. Więc po lewej, tam daleko, masz Kafarnaum, bliżej Tarycheę. Na południu, przestonięta przez cypel, leży założona przez Greków Filoteria. Przed cyplem, w głębi, są źródła Hammath, a za nami, za wzgórzem równina Genezaret...

Dwaj starzy ludzie. Chudy, przygarbiony Żyd ma ręce gdzieśgdzie pokryte łuszczącą się skórą. Podpiera się laską. Twarz grubego, ociężałego Greka jest lekko pożółkła, wyraźnie niezdrowa. Oddycha ciężko, na jego czole błyszczą kropelki potu. Żydowski rabbi i grecki kupiec. Dziwny to widok. Samuel powie potem, żegnając ruszającego w świat Demetriusza:

– Grek i Żyd! Wy zwiecie to paradoksem, w naszej mowie nawet takiego słowa nie ma. Tak mi się przecież zdaje, że jeszcze coś do tego świata dorzucimy. Już przecież coś dodaliśmy. Gdyby się zastanowił, judaizm to hellenizm wzbogacony ideą jedyne Boga. Tak się to wszystko miesza. Wasza Niobe i nasz Job. Wasz Platon i nasz Mojżesz. Mądrość filozofa, wiedza o naturze oraz znak boskiej mocy, czyniony ręką proroka. Grek

i Żyd to dwie strony tego świata, dwaj królowie. Czy pojawił się trzeci król, by zawstydzić tych dwóch? Czy jest dla niego miejsce? Czy nie będzie już ni Greka, ni Żyda?

Samuel i Demetriusz zjedzą teraz jęczmienne placki z tłustą baraniną, które przygotowała im zapobiegliwa gospodyni, i ruszą w drogę. Do domu medyka, który dawno temu przybył tu z Babilonu, i który pomógł już Samuelowi, a teraz – mają nadzieję – uzdrowi jego greckiego przyjaciela. Opuszczam ich, niechże wędrują sami. Samuel zna te okolice Tyberiady, zresztą to już niedaleko. Medyk i tak niewiele zaradzi na chorobę kupca. Wyleczy go dopiero lekarz z wyspy Kos, ale na to trzeba poczekać parę lat.

Schodzę nad wodę, która dzisiaj jest spokojna, choć gniewna potrafi wyrzucić każdą rybacką łódź. Jestem tutaj, ale mógłbym stać w innym miejscu tego brzegu. Niech to jezioro będzie niczym moja opowieść o czasach sprzed dwóch tysięcy lat. O Nim i Jego świecie. Z silną, przemożną nadzieją dotarcia do racjonalnej odpowiedzi na zadane pytanie: jak, dlaczego? Dlaczego On, a nie Jemu podobni. A tylu ich było. Wędrowali po piaszczystych i kamienistych drogach Judei, Galilei, także Samarii. Też czynili cuda, uzdrawiali, gromili występne życie, grzechy przeciw Panu. Anioł krążył wtedy po tamtym świecie, czyniąc ferment i wlewając w ludzi nadzieję jakiejś zmiany. Anioł czy demon? Chwymano ich wszystkich i zabijano bez litości. Niektórzy uciekli. I tak przez cały pierwszy wiek. I rozplynęli się jak ta mgła nad jeziorem. Słuch po nich zaginął. Ledwie wzmianka w zapiskach dziejopisa, liście jakimś, raporcie, albo nic zgoła, tylko coś z drugiej, trzeciej ręki. Ale pamięć o jednym pozostała. Więcej niż pamięć. Jak to opowiedzieć, nie dotykając legend Jego życia (co już tylu robiło), nie wyolbrzymiając, nie przesadzając z narracją, że od razu tysiące, a każdy rozmoldony z oczami uniesionymi ku górze. Nie, nie tysiące i nie w centrum, a na obrzeżach życia. I szept ledwie, ktoś coś do kogoś. Ktoś słyszał, ktoś czytał. Inny słuchał wysłanników i płacząc rozmyślał. Albo nie myślał nawet. Czuł. A potem jakieś drżenie, jakaś moc w ludziach, jakaś determinacja. Chwila powrotu jest bliska, z nim starcie z siłami ciemności i już Królestwo Boże. A naturalni sceptycy, a filozofujący obserwatorzy? Seneka na przykład. Marek Aureliusz. A ludzie tacy, jak Żyd Samuel czy Grek Demetriusz? Samuel nie uzna w Jezusie Mesjasza, tym bardziej Syna Bożego, choć wątpliwości go nie opuszczają. Spyta (podążając za myślą rabbi a Gamaliela): – A jeśli my z Bogiem walczymy? – gdy odpowiada koledze, czcigodnemu Pistosowi, który podniesionym głosem mówi: – Wyłączać trzeba z synagogi każdego, kto Nazarejczyka lub Jemu podobnych uzna za Mesjasza! – Wyzwoleniec

i dziedzic majątku Demetriusza Frygijczyk Daos będzie całe życie krążył wokół nauk Jezusa, ale nigdy nie zdecyduje się, by te nauki przyjąć.

Trzeba wyraźnie powiedzieć: ten świat był pogański (w Palestynie – oczywiście judaistyczny w różnych wariantach). Chrześcijaństwo dopiero się rodziło. Trzeba zatem ten świat pokazać w różnych udrapowaniach, barwach, tylko od czasu do czasu rzucając na tkaninę „nazarejski motyw”. Nie widać go właściwie. A obraz staje się jakby odwrócony. To, co pierwsze w poprzednich narracjach, ukrywa się w cieniu, co drugie, wysuwa się do przodu, wyraźnie jaśniej.

Idę wokół mojego imaginacyjnego jeziora opowieści. Napiszę o miejscach, o ludziach, zdarzeniach, tak, jak to sobie wyobraziłem. Bo (możliwie logiczne) zmyślenie czasem jest tu ważniejsze od niepewnego faktu. Kilka lat bliskiego obcowania z tamtą cywilizacją na pewno mnie odmieniło. Nie jestem historykiem, ale starożytność, świat antyku od lat mnie fascynuje i napisałem parę opowiadań, które miały tam swe źródło. Spróbuję odтворzyć mój dziennik/notatnik prac nad książką, nad *Golgota*, wyborów, lektur... Nie będzie to chronologicznie ułożone, ale zawsze wedle jakiegoś planu. I i II wiek n.e.

Zacznę od miast i miejsc.

Skoro jestem nad jeziorem Genezaret (różnie je zwano: Kinneret, Galilejskie, Tyberiadzkie), parę słów o źródłach Ammatu (żydowskie Hammath) niedaleko Tyberiady. To cieplice, jakich pełno rozsianych wokół *mare nostrum*. Korzystał z galilejskich gorących źródeł jeden z wodzów powstania przeciw Rzymowi, Jan z Gischali, był tu i Wespazjan Flawiusz, przy końcu wojny, jeszcze zanim zdobyto Jerozolimę, zanim wierne legiony obwołały go cesarzem. „Ale nie chciał spać u boga”, mówi łąziebny, któremu w oczach migocą wesołe światełka. „Może bał się węży? Lub psów? A może szkoda mu było miodowego placka?” – chichocze i ścisza głos. Flawiusze za delatorami nie przepadają, ale licho nie śpi. Wiadomo przecież powszechnie, że Wespazjan, choć porządny chłop, miał okrutnie gryzącego węża... w kieszeni.

I umyśliłem sobie, że około 80 roku w części greckiej źródeł (była i część żydowska cieplice) stał nieduży wprawdzie ale prawdziwy Asklepiejon, czyli świątynia boga medycyny Asklepiosa wraz z niewielką lecznicą. Były (wspaniałe) Asklepiejony w Epidauros, na Kos, w Pergamonie. Ich ruiny jeszcze można zwiedzać. Więc może i tu? Pod okiem króla Agryppy II.

Ten Asklepiejon nie był duży, ale urządzony z rozmysłem i wygodny dla odwiedzających. Brama wejściowa witała, co prawda, napisem: „Śmierć ma zakaz wstępu do Asklepiejonu przez wzgląd na szacunek bogom” i drugim, mniejszym: „Erast stracił tu nowy lniany chiton. Niech tego, kto go

ukradł, Asklepios w świątyni srogo ukarze, a najlepiej niech mu odbierze zmysły”, ale dalej było już lepiej. Święty krąg obejmował małą świątynię Asklepiosa z abatonem, w którym spali szukający uleczenia, ołtarz, gdzie składano dary (głównie ciasta z miodem i orzechami oraz kadzidło i wino, bo krwawych ofiar bóg tutaj nie przyjmował), świętą sadzawkę oraz posągi innych bogów: Apolla, Hygiei i Epione. I od niedawna posąg Wespazjana, który umierając rzekł podobno: „Czuję, jak staję się bogiem”.

Obok Asklepiejonu wybudowano budynek medyków i lecznicę, miało bowiem Ammatus także swoich lekarzy. Asklepiejon, lecznica i baseny ze źródłami przenikały się, połączone siecią żwirowych alejek i kamiennych schodków. Były w Ammatus: izby do spania dla chorych, wyłożony płytkami rudego piaskowca pokój do chirurgicznych zabiegów, nieduża eksedra do rozmów, wspólna jadalnia, latryny, kuchnia z zapleczem, a nawet grecka biblioteka (niestety licho zaopatrzona) i niewielka palestra do ćwiczeń. Pomyślano o cichych, ustronnych miejscach i jeszcze o małym tarasie widokowym na jezioro, które w ostatnich latach sięgało znów dawnych brzegów. Młodziutkie nierządnicę przywożono z pobliskiej Tyberiady i nie zdarzało się, by ktoś narzekał. Było też skromne miejsce na pochówek – ludzi lub prochów – bo zgony w Ammatus, choć rzadko, niestety się zdarzały.

Skąd to skupienie uwagi na greckiej, a i żydowskiej lecznicy? Ponieważ chorzy przynoszą z sobą różne opowieści, a w niektórych pojawia się rabbi z Nazaretu. Od wydarzeń na Golgocie minęło ponad czterdzieści lat. Ludzie, którzy się z Nim zetknęli są już niemłodzi, ale wciąż pamiętają. Pamiętają na tyle, że mogą być pomocni w spisaniu historii Jego życia i nauk.

A tymczasem jest pora przedwieczorna. Błyskają fale jeziora, z od dali słyhać śpiewany jednym głosem psalm. Głos powoli zanika, aż cichnie. Kiedyś Tyberiada zajmie całe wzgórze, ale nie będzie to prędko. Prędej doktorzy Prawa skończą redagować komentarze, choć nie stanie się tak, nim piętnaste pokolenie nie przeminie.

Ale oto przed nami Jerozolima, Jeruzalem, hebrajskie Jeruzalaim. Jej fundamenty położył podobno król Dawid. Wojna z Rzymem dopiero nadchodzi. Cóż zresztą może się stać, skoro Pan ma w opiece to miejsce. Nie tak Jerozolima duża jak Aleksandria czy Antiochia, ale wielce sławna. Otoczona murami, z licznymi bramami: Złotą, Damasceńską, Lwów, Heroda... Górne i Dolne Miasto. Przepyszny Pałac Heroda (teraz siedziba namiestnika rzymskiego), Pałac Hasmoneuszy, nawet teatr i hipodrom, choć one już z innej, obcej kultury. Historycy piszą, że liczyła niespełna pięćdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców, ale w czasie wielkich świąt gromadziła trzy razy tylu pielgrzymów. Z diaspory, którą Żydzi tworzą od pokoleń. Kto

nie widział Jeruzalem, ten nie widział pięknego miasta. Wreszcie ten cud prawdziwy – wielka świątynia. Trzecia świątynia, którą zbudował Herod na miejscu tej pierwszej, Salomonowej i drugiej, wzniesionej po powrocie z niewoli babilońskiej.

Nawet ci, którzy do Jeruzalem często pielgrzymowali, cóż oni mogli powiedzieć? Mury, mury do nieba, wieże, bramy, sadzawka, jedna, druga, może anioł uzdrowi? Uliczka, jedna, druga, trzecia, schody, ciągle schody, most, dziedzińce. Błogosławieństwo kapłana, ofiara, całopalna, pieniędzy, modlitwa, dziękczynna, błagalna, z powrotem, jadalnia, noclegownia, znów modlitwa, spać. A ten, który przy jej budowie pracował? Żaden Goliat nie dźwignie stągwi z wodą, którą wypił z jej sadzawek ani kosza z chlebem, który tam zjadł przez te wszystkie dni. Nie ma schodów, którymi by nie szedł, drzwi, którymi by nie wchodził – poza tymi jednymi, świątyni, stołka czy ławy, których by nie sprawdził, naprawił lub zrobił, dachu, na którym by nie siedział, lochów, do których by nie zszedł. Kto nie widział Herodowej świątyni, ten nie wie, czym jest prawdziwie piękna budowla.

Czy przez przypadek, głupotę legionisty, czy z rozkazu Tytusa, syna Wespazjana, dowodzącego ostatnią fazą wojny i szturmem na miasto, świątynia spłonęła. Był rok 70. Budowano ją pięćdziesiąt, może i więcej lat, znikła w okamgnieniu. Jakby pył się rozwiął na drodze, którą przejechali konni. I kamień na kamieniu. Zniknęły, spopielili się: siedziba Sanhedrynu, Dziedziniec Pogan, Dziedziniec Kobiet, Brama Nikanora, Izraela, Kapłanów, Przybytek, Święte Świętych. Pozostała jedna ściana, fragment zachodniego muru, zwana Ścianą Płaczu. Cesarz Hadrian zmienił w II wieku nazwę miasta na Aelia Capitolina, a w miejscu, gdzie niegdyś stało żydowskie miejsce kultu, ufundował świątynię Jowisza Kapitońskiego. Tak śmiertelne ciosy uderzyły w miasto i jego świątynię, której nie zdołał zbrukać Pompeusz Wielki, Antioch IV ani Kaligula.

Ale to będzie później, później, czas się cofa, jest rok 30. A może 28 lub 33? Tego nie wiemy i raczej nie dowiemy się nigdy. Nikt jeszcze nie myśli o najgorszym. Nadchodzi święto Paschy, zewsząd zjeżdżają pielgrzymi. Jedna z reguł judaizmu mówi, by każdy Żyd przynajmniej raz w roku odbył pielgrzymkę do świętego miasta. W ten sposób w święta (a jest ich немало) tłumy pielgrzymów wchodzi do miasta, potem na teren świątyni.

Ale co to? Co za ruch, zamieszanie? Taka ciżba ludzi, że iść dalej nie bardzo się da. „Hoszana! Hoszana!” – widać mężczyznę, który wjeżdża do miasta na osłicy, za którą biegnie mały osiołek. Ludzie rzucają palmy pod kopyta, zielone gałązki i kwiaty, tak że kobierzec mu cały usłali. „Mesjasz, Mesjasz jedzie!” – krzyczy tłum, „Król! Król!” „Królestwo już jest! On

zaraz Rzymian przepędzi!”. Ludzi ogarnia szaleństwo. Tłum sunie na świątynny dziedziniec, potem do bazyliki. A tu stoły poprzewracane, pieniądze się sypią, baranki biegają i ryczą, klatki otwarte, gołębie i synogarlice uwolnione fruwać, jacyś ludzie wniebogłose krzyczą. A człowiek, który jechał na osłicy, teraz w rękę ma powróż i okłada nim tych ludzi. Myśli potem Annasz: „Synowie już obliczyli straty. Więc trzeba z tym szybko skończyć. Wiem, że to bluźnierca, że fałszywy Mesjasz, że Przybytek chciał burzyć, wiem, wiem, ale policzmy tylko te straty. Już za same szkody w świątyni powinien iść pod kamienie. Ale nam teraz nie wolno. Trzeba do namiestnika”. Minęło parę dni. Ten człowiek z osłicy idzie cały pokrwawiony, niosąc wielką belkę, i co chwila osuwa się na ziemię. Gromada żołnierzy popycha go i jeszcze dwóch, bijąc rzemieniami po głowach, po plecach, po nogach. Krzyżują ich, obok kilka płaczących kobiet i dwaj mężczyźni, jeden bardzo młody, drugi sporo starszy. Przecie Mesjasz, król. A tu na krzyżu ma umrzeć? Cierniowa korona na głowie. I napis. Więc król.

Nęka mnie myśl, na co patrzył umierający na krzyżu Jezus. Golgota, miejsce straceń, była tuż za murami, jak nakazywał zwyczaj. Miał przed sobą miasto, które przyjęło go w chwale i zaraz odrzuciło, splugawiło i posłało na śmierć. Na wprost miał świątynię z przyklejoną nienawistną rzymską twierdzą Antonią, na prawo Pałac Heroda, gdzie urzędował Rzymianin i gdzie go skazano na śmierć. Ale może patrzył w jakiś występ muru, na ptaka ścierwnika, który już krążył nad jego głową, na czerniejące niebo, na odrzwia bramy Efraima, przez którą go tu przyprowadzono. Albo na Górę Oliwną, gdzie Ojciec mu kazał wytrwać tę kaźń. „Abyś oglądał szczęście Jeruzalem”.

Wyobraźmy sobie teraz, że po drugiej stronie Wzgórza Czaszki pewien zamożny kupiec mieszkający w Jerozolimie zakładał niewielki ogród. Nie jest to niemożliwe. Wykopaliska odkryły pozostałości jakiegoś ogrodu czy sadu w pobliżu Golgoty.

Kupił ten kawałek ziemi w ubiegłym roku i wiele sobie po nim obiecywał. Co prawda bliskość Czaszki była nieco przykra, co prawda w grotach blisko ogrodu wykuto parę grobów do przyszłego „zasiedlenia”, ale chodziły słuchy o budowie trzeciego muru, który od północnego zachodu miał ogrodzić miasto, wzmacniając jego obronność. Jeśli tak – skończą się krzyżowania i pochówki, bo ani jednym, ani drugim nie wolno robić w obrębie miasta. Ziemia tu wapienna, przewiewna, raczej lekka, bez złej pleśni, miejscami nieco gliniasta, może mało żyzna, ale jeśli nad tym popracować parę lat, jeśli dobrze dobierać uprawy, wozić obornik z okolicznych gospodarstw i popiół z całopalenia, podlewać, gdy zbyt sucho (woda jest wielkim problemem), pozwolić ziemi co siódmy rok odpocząć... to kto wie, kto wie.

W pobliżu tego ogrodu składają w jednym z wykutych wcześniej grobów powieszono na krzyżu Skazańca, ale o tym, co mogło dzieć się potem, nie będąc teraz pisal.

Zostanę jeszcze przez chwilę na terenie Palestyny. „Nie znajdziemy wprost w Piśmie Świętym terminu »Palestyna«. *De facto*, jest on pewnym anachronizmem w odniesieniu do czasów Jezusa Chrystusa, a jednak jest wygodnym terminem na oznaczenie wszystkich okresów archeologicznych ziemi biblijnej” – pisał do mnie ks. prof. Jakub Wilk. Dodam, że podobny, nie mały kłopot jest z terminem „Żydzi”. Dla obcych często było to wygodne uogólnienie.

Jest jeszcze miasto, które było ani wielkie, ani specjalnie sławne, ale zaznaczyło swą obecność na kartach historii wyraźnie. I dla mnie było ważne. To Cezarea Nadmorska. Stała rezydencja namiestnika rzymskiego Judei. Formalnie stolica prowincji. Stąd namiestnik udawał się do Jerozolimy w czasie wielkich świąt, tu stacjonowała druga kohorta rzymska (pierwsza stała w Jerozolimie).

W Cezarei Nadmorskiej w roku 44 zginął w tajemniczych okolicznościach żydowski król (Herod) Agryppa I. Urządził tu onegdaj, w Cezarei Nadmorskiej, igrzyska na cześć cesarza, którym był wtedy Klaudiusz. Miał w czasie tych igrzysk rozstrzygnąć jakiś spór między mieszkańcami Sydonu i Tyru. Przybył do teatru odziany w nadzwyczaj piękną, mieniącą się srebrem szatę. W porannym ostrym słońcu wyglądał jak bóg i tak też zaraz poczęto wołać: „Bóg tu do nas przybył, zaiste prawdziwy bóg”. Powinien był zaraz z tego teatru uciec, wszystkiemu zaprzeczyć, ukorzyć się przed Panem, tym bardziej, że zobaczył na gałęzi sowę, złą wróżbę niosącą. Ale on się napawał tymi okrzykami i wydało mu się naprawdę, że jest bogiem, a nie śmiertelnym człowiekiem. Lecz naraz chwyciły go straszliwe bóle brzucha i po pięciu dniach zmarł, a mówią, że w tych dniach jego ciało toczyło robotwo. A później takiej śmierci obawia się jego syn, król Agryppa II.

Tu przed rokiem 60 przetrzymywano w więzieniu apostoła Pawła, który stąd wyruszył statkiem w swą ostatnią podróż. Do Rzymu.

Tu, w Cezarei Nadmorskiej, od epizodu grecko-żydowskiego zaczęła się w 66 roku wojna żydowska, wyczekiwane wielkie powstanie Żydów przeciw rzymskiemu panowaniu.

Tu wreszcie odkryto materialne potwierdzenie, że namiestnikiem Judei był kiedyś Poncjusz Piłat. To zatopiony w morzu niewielki fragment budowli z inskrypcją wymieniającą jego imię.

Przesunę palec na mapie w lewo. Aleksandria. Można tam z Cezarei dotrzeć łądem, ale w porze żeglugowej, która przypada od marca do początków października, najlepiej statkiem.

Mówiono: Aleksandria przy Egipcie, ponieważ w sensie prawno-administracyjnym nie stanowiła części Egiptu. Założona została wedle tradycji przez Aleksandra Wielkiego, co jest jednak tylko legendą. Stał tu potem sarkofag z jego ciałem, ale w I wieku był już pusty. W czasach, o których piszę, Aleksandrią i Egiptem władali Rzymianie. Co ciekawe, namiestnikiem prowincji mógł być tylko ekwita, senatorowie mieli bowiem zakaz wjazdu do Egiptu. Obawiano się, że namiestnik-senator tak bogatej prowincji dojdzie do zbytnej potęgi i może mieć chrapkę na zastąpienie panującego cesarza.

Aleksandria tym wyróżniała się nieprzyjemnie, że była areną nieustannych sporów między społecznościami grecką i żydowską (oceniano, że była tu największa diaspora żydowska). Spory te przekształcały się w krwawe burdy, co niejednokrotnie wymagało rzymskiej interwencji. Nie przeskodziło to w zainstalowaniu się w Aleksandrii młodego chrześcijaństwa. To był tygiel, tu wpadało i topiło się wszystko, co w świecie powstawało. Zawitał tu podobno Marek Ewangelista, ale Paweł w Aleksandrii nie był. W Aleksandrii była i chrześcijańska gmina żydowska, i grecka gmina także. Wielu Żydów przybyło tu po powstaniu, po wojnie żydowskiej. Niektórzy po prostu wrócili, bo w Jerozolimie mieszkała kiedyś duża grupa Żydów z Aleksandrii. Stara moneta powraca do obiegu po wyciśnięciu na niej nowego znaku. Wielu chrześcijan było gnostykami. Z czasem Aleksandria wyda wspaniałych myślicieli: Klemensa, Orygenesusa.

Można długo opowiadać o żydowskiej i chrześcijańskiej Aleksandrii. O powstaniu Septuaginty, czyli pierwszym przekładzie Starego Testamentu z hebrajskiego i aramejskiego na grekę, dokonany jakoby przez siedemdziesięciu tłumaczy. O filozofie żydowskim Filonie z Aleksandrii, żyjącym na przełomie I wieku p.n.e. i I wieku n.e., który usiłował łączyć Platona z Mojżeszem.

To miasto magiczne. Ale jest w nim jakiś nieusuwalny smutek nieubłaganego losu. Kiedyś i teraz. Aleksandryjczyk Konstantinos Kawafis (1863–1933), grecki poeta, autor słynnej *Itaki*, tak pisał w wierszu *Miasto*:

Nie znajdziesz nowych miejsc, nad inne morza nie dotrzesz.

Miasto pójdzie za tobą. Po drogach będziesz krążył
tych samych. W tych samych dzielnicach się zestarzejesz,
w tych samych domach posiwieją ci włosy.

Zawsze do tego samego trafisz miasta. Rzuć nadzieję,
że jest dla ciebie statek w inne strony, albo droga.

Tak, jakeś zrujnował swoje życie tutaj,
w tym ciasnym kącie, zrujnowałeś je wszędzie.

Przeł. Ireneusz Kania

Efez. To jedno z jońskich miast w Azji Mniejszej, rozłożone nad Morzem Egejskim. W starożytności obok Pergamonu stanowił Efez ośrodek lokalnej władzy, ale przede wszystkim w jego pobliżu zbudowano wspaniałą, wielką świątynię Artemidy, jeden z siedmiu cudów świata antycznego. Historyk Filon z Bizancjum pisał tak: „Świątynia Artemidy efeskiej niezwykłym jest przybytkiem bogów na ziemi. Kto ją raz ujrzał, przekonał się, że niebo i ziemia zamieniły się tu miejscami i że świat nieśmiertelnych bogów przeniósł się z niebios na ziemię”. Tu także pielgrzymowano, ale pielgrzymował świat pogański. Co dwa tygodnie, a latem w czasie corocznego wielkiego święta częściej, między miastem i świątynią szła procesja. Pochód wychodził ze świątyni, szedł chwilę wśród łąk, po czym wkraczał do miasta, mijając po drodze termy, górną agorę, z prytanejonem i odbudowywaną świątynią Izidy, przechodził pod bramą Heraklesa, mijał fontannę Trajana, patrzył na wille na zboczu naprzeciw świątyni cesarza Hadriana, skręcał w prawo i wchodził na drogę wyłożoną marmurem, mając po lewej stronie bibliotekę, do której prowadziła okazała brama, szedł wzdłuż wschodniego krańca agory, w teatrze uczestniczył w zabawach na cześć Artemidy, po czym zawracał, kierując się tą samą drogą ku północnemu wschodowi. Sunąc powoli, zgarbiał mieszkańców. Tak było również w 136 roku.

W świątyni stał posąg Artemidy Wielopierśnej, Wielkiej Matki, utożsamianej czasem z rzymską Dianą. Postacie z fryzu biegnącego wysoko ponad cellą rzucały drżące cienie. Odblaski tańczyły w migocącym świetle pochodni. Naos (najważniejsze w świątyni pomieszczenie, w którym umieszczano posąg bóstwa) oddzielono od reszty świątyni wzorzystą kotarą, którą zwieszono na dwóch drągach z brązu. Złoto i srebro mieniły się w oprawach z kości słoniowej, hebanu, czarnego kamienia. Lwy u dołu szaty bogini przysiadły na tylnych łapach, szczyrzyły zęby, ich grzywy poruszały się. Piersi bogini falowały, wieża na jej głowie unosiła się w górę... Matka pszczół. Słyszałeś brzęczenie owadów, ich samych jednak nie widziałeś. W ustach czuć było smak miodu.

Świątynia przetrwała w IV wieku p.n.e. atak szaleńca Herostratesa, ale najazdu Gotów w III wieku n.e. już nie. Już jej nie odbudowano. Odejście starych bogów, upływ lat, bezmyślność i chciwość ludzka sprawiły, że teraz stoi tam jedna wyszczerbiona kolumna (podniesiona w 1973 roku jako symbol starożytności, która bezpowrotnie odeszła), ułamany kawałek drugiej. Sam Efez także upadł. Zamulenie zatoki odsunęło go od morza i to był koniec. Portu i miasta.

Ale zanim to nastąpiło, był Efez świadkiem wielu ważnych wydarzeń. W pobliżu, na wyspie Patmos przebywać miał i pisać stareńki apostoł Jan. Tu w lesie w małym domu mieszkała podobno przed zabraniem do

nieba Maria, Matka Boża. Tu powstała z czasem liczna, silna gmina chrześcijańska. Stąd chrześcijanie wędrowali w świat, krzewiąc nową wiarę. Wcześniej jednak, bo w połowie pierwszego wieku zdarzył się w Efezie incydent. Oto nauczający tu apostoł Paweł doprowadził do spalenia sławnych ksiąg wróżbiarskich, a potem odwoził ludzi od kupowania figurek świątynnych. Zrobił się ruch, kogoś poturbowano. Paweł więcęj do Efezu nie jeździł. Wielka Artemida Efeska!

Gdyby ktoś płynął z Efezu na zachód, wiatry nie będą mu sprzyjać i potrwa to długo (i tak lepiej niż lądem). Wyląduje w Brundisium i dalszą drogę do stolicy odbędzie pieszo lub powozem. Nie spotka na swej drodze małej wyspy, wysepki właściwie Pandatarii, na Morzu Tyrreńskim, po drugiej stronie Apenińskiego Półwyspu. To miejsce zesłań kobiet rzymskiej elity.

Stała tam niewielka willa. Willę tę zbudował jeszcze cesarz August dla występnej córki, dla Julii. Sporo te mury widziały. Po Julii i jej matce Skrybonii Agryppina Starsza, potem Julia Liwilla, wreszcie Oktawia, żona Nerona. On ją tu zesłał, a potem kazał zabić, by poślubić Poppeę. Nałano gorącej wody i uduszono Oktawię w kąpeli. A potem ucięto jej głowę i tę głowę posłano do Rzymu, by mieć pewność, że zabito właściwą osobę. Jej oczy jak oczy ryby świeżo zdjętej z patelni, a skóra czerwona jak rak. Agryppina zamorzyła się sama, a Julia też ponoć zmarła z głodu, ale już w Rhegium.

Wyspa, gdy spojrzeć na nią z boku, wyglądała jak odłupany kawałek sardonyksu o słojach jak drewno albo przekładany kilka razy kremem i śliwkami placek, który niewprawnemu albo gapiowatemu kucharzowi nie wyrósł jednak równo. Tam, gdzie postawiono willę Julii, ogień był dobry, mocny, po drugiej stronie paliło się ledwo, ledwo. A gdyby wznieść się do góry i stamtąd popatrzeć, wysepka wyglądałaby jak... jaszczurka albo sztylet, *pugio* (krótki sztylet rzymski).

Trafiła tu Domicylla, ofiara rządów cesarza Domicjana, trzeciego z rodu Flawiuszy. Tego najmniej udanego – okrutnika, który, zamknięty w pokoju, muszkom urywał nogi. Domicylla, żona Tytusa Flawiusza Klemensa, byłego konsula, oskarżonego wcześniej o ateizm i sprzyjanie żydowskiemu obyczajom. Skryta lecz żarliwa chrześcijanka. Nie umarła na Pandatarii, ale do Rzymu już nie wróciła.

Rzym. Nareszcie. Omfalos tamtego świata, siedziba władzy cesarskiej, wszelkich agend, urzędów, kasy państwowej, cesarskiej, wspaniałych świątyń, posągów. Tu były wielkie, czasem złote pałace, amfiteatry, przestronne wille, cieniste parki i jasne ogrody. Tu w czasach pryncypatu (a i potem) rozstrzygały się losy imperium. Kto miał Rzym, gwardię cesar-

ską za sobą, ten panował nad światem. Choćby był nastolatkiem (Neron), niemrawym hipochondrykiem (Klaudiusz), zgryźliwym ponurakiem (Tyberiusz). Trzeba było mieć zapewnione regularne dostawy zboża i oliwy i fantazję w organizowaniu igrzysk, by tę władzę utrzymać. Co ciekawe, całe imperium (Rzym i prowincje) było tak urządzone jeszcze przez Augusta, że nawet szaleniec na tronie (Kaligula) nie zakłócał nadmiernie funkcjonowania państwa. Machina do pewnego czasu działała bez zakłóceń. Niewiarygodne jak niewielu Rzymian w imieniu cesarza sprawnie rządziło prowincjami. Tyberiusz mówił: „Chcę, by moje owce były strzyżone, a nie obdzierane ze skóry”.

Gdy pierwszy raz wjechałem do Rzymu nocą, rozświetlona biel marmurów urzekła mnie. Potem, za dnia, długo stałem przy szczątkach Forum Romanum. Ale Rzym, ten wielki, wspaniały, miał też swoją podszewkę – dzielnice ściśniętych do granic i niebezpiecznie wyciągniętych w górę (nawet sześć pięter) kamienic (insuli), rozległa sieć wychodków i zalane ściekami ulice, wysypiska śmieci, na których znaleźć można było porzucone, niechciane dziecko, pomarańczowogłowe prostytutki przy Via Sacra, dzielnica Subura, gdzie lepiej było nie wchodzić zbyt głęboko, a nocą wcale bez należytej ochrony, ale gdzie przy Argiletum można było kupić przeróżne książki. Około milion mieszkańców (szacunki), gdzieś tak dwieście tysięcy obywateli uprawnionych do wsparcia.

Więc zdecydowałem się opowiedzieć o tej drugiej stronie miasta, często zakrytej. O jednym z tych tak licznych pożarów, które wybuchały i niszczyły substancję mieszkaniową pomimo armii wigilów-strażaków, napisać o Rzymie sądowym (przepisy prawa były inne niż współczesne, a słynne *iuris romani* rodziło się w bólach), o rzymskich wychodkach publicznych, dziwnych dla nas ludzi współczesnych miejscach spotkań towarzyskich, funkcjonowaniu zorganizowanej sieci prostytutek. O pracy cesarskiego urzędnika i pośrednika obrotu nieruchomościami (jak dziś), starzejącym się gladiatorze w szkole Ludus Magnus, przyjrzeć się rzymskiej willi (raczej przeciętnej) i nędznej szkole retoryki, której znajomość była podstawą każdej urzędniczej i politycznej kariery. To nie Rzym cesarsko-senatorski, ale i on miał swoje intrygi, kłopoty i małe radości. Ale już tlił się tam ogień wzniesiony nauką Nazarejczyka i nie zmieniły tego ani rządy Nerona, ani Domicjana. Był rok 111, panował Trajan, drugi z pięciu „dobrych cesarzy”.

Na przykład szkoła retoryki i nauczyciel.

Rozchylił ostrożnie okiennice, zawiąło, więc od razu je zamknął. Rozstawił lampki – znów te pospolite motywy, gladiatorów, figlujących

dziewczyn... – rozpalił w piecyku, natychmiast zrobiło się ciepło. Prawdę mówił właściciel, dobrze grzeje. „Szkoła” brzmiało może i dumnie, ale raczej w jego wyobrażeniach. Jedna klasa na parterze małej kamienicy, przy drodze do Castra Praetoria. Daleko od centrum, od Forum, ale czynsz nie był wysoki. Długo i ciężko pracował, odkładając cierpliwie as do asa, denar do denara, żeby móc ją w końcu otworzyć. Chodził po całym Rzymie, roznosił karteczki z informacją, pisał na ścianach, rozlepił duże karty. Podziałało. Ceny miał przystępne, więc kilkunastu uczniów retoryki zapisało się na nowy rok szkolny. Czy miał inne wyjście? Wespazjan powołał szkołę państwową i wypłacał pensje – niemałe – retorom łacińskim i greckim, ale on dostał od Trajana odmowę. Może teraz, gdy otworzył swoją szkołę i napisze coś w końcu?

Kończę pierwszy spacer wokół jeziora. Nie zająrzałem dziś do Lugdunum w Galii (obecny Lyon), gdzie w roku 177 dochodzi do masakry wyznawców Jezusa, pominąłem Palatyn w Rzymie, gdzie w tym czasie Marek Aureliusz przegląda notatki do swoich *Rozmyślań* (może dziać się to w Sirmium, Karnutum albo na przykład w Akwilei – nie wiemy). Ominąłem Ateny i Korynt (Grecja pod rzymskim butem nie przypomina tej klasycznej lub choćby tej z czasów hellenistycznych). Pominąłem, niestety, Antiochię – trzecie pod względem liczebności miasto świata rzymskiego. Antiochia, także trzeci (bo jeszcze Damaszek) historycznie ośrodek nowej wiary, gdzie prawdopodobnie powstała jedna, a może dwie Ewangelie i gdzie bywał Paweł. I nie wspominałem o winnicy w Nomentum położonym opodal Rzymu, gdzie na dobrowolnym zesłaniu przebywał Seneka, niegdysiejszy preceptor i doradca Nerona, filozof, nauczyciel etyki, którego jedni i dziś czytają z namysłem, inni odrzucają, uważając za wyjątkowego hipokrytę.

Co wynika z tego swobodnego przeglądu? Że świat obracał się jak gdyby nigdy nic i tylko czasem chybotał nieznacznie.

Maria Walendowska

TROPICIELE BOGA

Wierzmy, ponieważ przejęci jesteśmy wiarą, wiarą w potęgę Zbawiciela i w jego odkupicielską śmierć. Lecz tamci, owi mitologowie i teologowie kręgu zodiaku i dawnych nauk nie zostali przejęci tą potęgą, jeszcze nie, nam zaś nie dane jest przymusić ich, aby się nią przejęli [...]. Po to bowiem, by człowiek odczuł potrzebę zbawienia i zbawczej wiary, by utracił radość z mądrości i harmonii swoich myśli, a wziął na siebie wielkie ryzyko wiary w cud zbawienia, musi mu się najpierw zacząć źle powodzić, bardzo źle, musi przeżyć cierpienia i rozczarowania, gorycz i rozpacz, woda musi mu sięgnąć po szyję [...]. Bóg bowiem nie zsyła nam rozpacz, aby nas zabić, lecz zsyła ją, aby nowe pobudzić w nas życie.

Hermann Hesse, *Gra szklanych paciorków* (*Spowiednik*)

Krań zodiaku

Od wieków, od wczesnego świtu dziejów, od najpierwszych chwil rozpoznania samego siebie, człowiek wciąż podejmował próbę osiągnięcia jednolitości, harmonii i pełni, i podejmował ją na przekór dramatycznemu odczuciu wewnętrznego rozbicia.

W wierzeniach Wschodu często spotyka się motyw rozdarcia duszy, rozdwojenia wszechświata i wątek Sobowtóra. Mikrokosmos osobowości ludzkiej stanowi tu replikę makrokosmosu.

Na granicy dwu porządków, doczesnego i „tamtego”, dusza stykała się z Małym Strażnikiem Progu, istotą uosabiającą wolne od maski ziemskich pozorów wnętrze człowieka. Ta osobliwa konfrontacja, dokonana bez pośrednictwa łągodzących fałszów, bez żadnego makijażu, konfrontacja nagła i drastyczna, wstrząs nieoczekiwany, tylko to zawierało jedyną groźbę śmierci; ostrzejsza kara nie była już grzesznikowi potrzebna. Współcześnie, za Carlem Gustawem Jungiem nazwalibyśmy tę maskę „personą”, nieautentyczną, ukosmetyzowaną, zwierchnią psychiką, która jest nam potrzebna, abyśmy mogli, rzekomo, łatwiej żyć i skuteczniej działać. Jednak ta imitacja przynosi sukcesy ledwo krótkotrwałe i pogłębia świadomość walki wewnętrznej prawdy z koniecznym pozorem.

Przeświadczenie o antynomiach natury ludzkiej znalazło swą skończoną, religijną formę w staroperskim mazdaizmie – w Aweście. Tutaj nastąpiła swoista

teologizacja psychologii: ludzkie właściwości i cechy uzyskały postać boską. Bóg świetlanego Ormuzda z gwiazdno-mrocznym panem występku, Arymanem, stał się motorem dziejów ludzkości, ich dialektyką, zasadą i sensem. U końca historii zwyciężyć miał jednak Ormuzd, w walce tej tkwiła więc szansa triumfu i trudny nakaz codziennego ujarzmiania występków. Ale już późniejsza mutacja nauk Zoroastra, manicheizm, w okrutny sposób odebrał swym wyznawcom nadzieję; otóż zmaganie dobra i grzechu będzie trwać wiecznie, lub przynajmniej tak długo, jak długo ma istnieć stworzony przez demiurga „materialny” i ludzki świat, skażony, skalany, tym tragiczniejszy, że przeczuwający Boga, ale nie umiejący się doń wspiąć.

Na rozlicznych skrzyżowaniach nauki ze sztuką, religii z psychologią i historią, w procesie atomizacji i jednoczenia się kultur oraz ciągłych nawrotów pewnych treści, dostrzec można, iż człowiek nigdy nie uwolnił się od paru generalnych problemów, że nie rozwiązał – jak dotąd – paru niewiadomych.

Problemy te podjęła m.in. psychoanaliza, inspirując, silniej nawet niż egzystencjalizm, literaturę i sztukę XX wieku. Jest rzeczą nader charakterystyczną, że właśnie psychoanaliza (w tym głównie C.G. Jung, choć w jakimś stopniu również Sigmund Freud) tyle miejsca zarezerwowała na badanie starych kultów i na poszukiwanie ich śladów w psychice współczesnego człowieka.

Każda bowiem religia zawsze była pierwszą nauką psychologii, pierwszym, a w długich okresach dziejowych jedynym zbiorem prawd o ludzkich zachowaniach, postawach, dążeniach i tęsknotach. Ten zbiór uzupełniały tablice przykazań, dekalogi – różne dla różnych wyznań, zakazy płynące z mądrej rozważliwej, z wiedzy o prawdziwych niebezpieczeństwach, z wiedzy nie mniejszej niż współczesna wiedza o człowieku i społeczeństwie.

Jeszcze przy końcu ubiegłego stulecia te stare religie tkwiły w archiwalnych lamusach. Nieczytelne symbole, daremne modły, zużyte gesty – jedynie poetom można było po nie sięgać. Człowiek pozytywizmu nie szukał siebie w przeszłości, a jeśli ją badał, czynił to w celu potwierdzenia swej odrębności. Potem przyszedł neoromantyzm i hipertrofia literackiego historyzmu. Potem przyszła psychoanaliza.

Nie wiśmy jej za to, że w poszukiwaniu ciągłości człowieka weszła na obwód prehistorii, że się zwróciła znowu ku „teologom i mitologom kręgu zodiaku”. Hermann Hesse, przyjaciel Junga, wieloletni jego pacjent i uczeń, poszedł śladami swego mistrza (uczonego z Zurychu) i poszedł niejako w tył, po tropach duszy ludzkiej, umiejscowionej *dzisiaj*, ale zanurzonej w ciemnościach *wczoraj*. Przeniósł do literatury to, czemu psychoanaliza usiłowała dać formę naukowej dyscypliny; dziś psychoanaliza Ericha Fromma i Victora Frankla jednoznacznie określa ów trop. Jest to trop ku Bogu. Ku Bogu, którego trzeba na nowo doświadczać i na nowo uczyć się Go poprzez trudną naukę jednoczącej miłości.

Wszyscy bohaterowie Hessego – to tropiciele Boga, tragiczni poszukiwacze prawdy albo choćby tylko wytchnienia i spokoju, wędrowcy po mitach, biało-czarne figury gnostyckich ksiąg. Jak w psychoanalizie Junga, tak w literaturze Hessego widoczne są rozstaje aleksandryjsko-syryjskich systemów religijnych i w istocie

czas współczesny, scenografia i kostiumy bliskie naszej epoce pogłębiają jeszcze ów historyczny i artystyczny kontrapunkt, który stanowi zasadę książek Hessego. Rzecz dzieje się niby dziś, ale rzecz działa się wczoraj, i więcej: rzecz dzieje się zawsze. Te same utajone drogowskazy – do Boga? – do człowieka? – donikąd? Ten sam napór na świadomość, szamotanina między wolnością a przykazaniem, ten sam rozpaczliwy ból i samotność człowieka, nakierowanego w przód, a zbaczającego, cofającego się. Ta sama męka grzechu, dźwiganego niczym wór, wciąż te same, rzadkie, jak rzadkie! – eksplozje radości i nadziei.

Droga (bo książki Hessego są książkami o DRODZE) wywodzi się z płątaniny religijnych zagadek II i III wieku, ze zbitego gąszczu dziwacznych doktryn i moralnych kontrastów. Nie po raz pierwszy spostrzegamy, że sztuka ulega groźnemu czarowi tamtych otchłannych „teologii”. Uległ im Hesse, dziś wraca do nich Jorge Luis Borges. Nie oni jedni, i nie tylko dzisiaj. Szacowna *Encyklopedia Kościelna* „podług teologicznej *Encyklopedii Wetzera i Weltego*” (tom XIII, rok 1880), we wstępie do hasła *Manes i manicheizm* ubolewa, iż „pojęcia gnostyckie snąć mają w sobie urok jakiś, potężnie działający na umysł ludzi”. Zaledwie bowiem w owych zamierzchłych stuleciach „uporano się z obłąkanymi naukami” Szymona Maga, Menandra, Walentyna, Kassjana, Nikolaitów, Ofitów, Antytaktów etc. „Znów się na Wschodzie stary błąd zjawiał, przebrany w nową formę”. Błuzniercze nauki adoptowanego przez perską wdowę Kubrykusa, który przybrał imię Manesa, zapłodniły umysły różnych podejrzanych myślicieli: Akuasa, Arystokryta, Fortunata, Sekundyna i Faustusa, przeciw któremu wypowiedział się zwycięsko święty Augustyn, biskup Hippony...

Podróż z Faustem i Schubertem

W tym miejscu, w tym punkcie zodiaku, po raz pierwszy w kontekście metafizyczno-religijnym, pojawia się imię Faustus. Po całych wiekach wypłynię znów w Europie, aby wieść żywot ni to realnej osoby, której biografię „pieśń gminna” przystroi w baśniowe szaty, ni to symbolu filozoficznego, ni pytania o granice ludzkich możliwości i bezsiły. Ów „Faust epoki renesansu”, jak piszą Günter Albrecht i Johannes Mittenzwei (*Klasycyzm niemiecki. Życie i twórczość Goethego i Schillera*. PIW 1970), a właściwie –Georg Helmstätter, mieszkaniec Erfurtu, student z Heidelbergu, był uczonym i buntownikiem; łączył skłonność do czarnomagicznych praktyk z nieukojoną nostalgią poety, ze społecznymi uczuciami rewolucjonisty.

W roku 1594 Christopher Marlowe wystawia już w Londynie swoje *Tragiczne dzieje doktora Fausta*. Później Lessing, a wreszcie Johann Wolfgang Goethe zdobywają legendę o Fauście z powrotem dla Niemiec i tak oto nieszczęsny i dumny dłużnik Piekła wraca do swej ojczyzny. Około stu lat jeszcze minie i Faust pojawi się znów w wielkiej, moralistycznej, literaturze Rosji i Niemiec – Iwan Karamazow i Adrian Leverkühn podejmą trud rozpaczliwego paktowania z szatanem. Tu dokonała się już znacząca transformacja, odpostaciowanie diabła, przeniesienie go

z rejonów zewnętrznych do wewnątrz człowieka. Dialog zamienił się w monolog; czytelnik nie wie, z kim rozmawia Karamazow, przed kim broni się i komu ulega niemiecki kompozytor, czy Gość Nieznany zawitał zza drzwi, „z czeluści”, czy też nie musiał nigąd przybywać i w ogóle nie jest żadną autonomiczną postacią, tkwi w nich samych, jest ich odbiciem w lustrze, ich cieniem na ścianie, głosem ich odręzionej, wspaniałego człowieczeństwa.

Literatura i sztuka niemiecka, jak żadna inna, zawsze zwracała się ku wymarłym mitom i wschodnim filozofiom; zawsze pobrzmiwa u Niemców nuta tajemnych odczuć, demonicznych powikłań i manichejskiego dramatu. W jednej z ostatnich pieśni Franza Schuberta do słów Heinricha Heinego, ze zbioru *Schwannengesang (Łabędzi śpiew)*, wędrowiec wracający po latach do miasta, gdzie pozostała jego ukochana, dostrzega nocą pod jej domem widmo samego siebie „przdrzeźniającego” swe dawne uczucia i własne, czułe gesty. Obrzydzenie i gniew, lęk i smutek ogarniają wędrowca.

Czy widok sobowtóra może być aż tak przytłaczający? Gustaw Meyrink powiada w *Golemie*, że niewielu tylko ludziom dane było jeszcze za życia znaleźć się w piekle i wrócić stamtąd na ziemię bez szwanku. Znano przecież takiego, który tam wszedł i zdołał wyjść cało, a na pytanie, co ujrzał w piekle, odparł, że zobaczył tam po prostu samego siebie, nikogo i nic więcej.

Oto tajemnica piekła, oto europejski wariant wschodnich podań o Małym Strażniku Progu, oto Mann, oto Dostojewski i oto wreszcie Hesse: głosy, przemawiające z człowieka, twarze w powierzchniach mglistych luster, wywleczony z prawierzeń cień, sobowtór, urągliwe nasze alter ego, nieodstępny towarzysz tych chłodnych godzin samotności, walki i klęski, o których nie można nawet powiedzieć nikomu najbliższemu, od których ucieka się w modlitwę albo w ciepły smutek i nadzieję snu.

Świetny tłumacz i znawca psychoanalizy, Jerzy Prokopiuk, pisze w posłowniu do książki Junga *Psychologia a religia*:

Archetyp cienia reprezentuje ciemny aspekt osobowości człowieka, odszczepioną część jego osobowości. W literaturze ukrywa się m.in. pod postacią szekspirowskiego Kalibana, Mr Hyde'a u Stevensona, potwora Frankensteina u pani Shelley, portretu Doriana Graya u Wilde'a, cienia Peter Schlemihla u Chamisso czy „wilka stepowego” u Hessego. Spotkanie z własnym cieniem jest równoznaczne z uświadomieniem sobie własnej stłumionej funkcji i postawy psychicznej.

Literatura Hessego, literatura cienia, należy do faustycznego kręgu sztuki. Zakładając pewne uproszczenie, można by powiedzieć, że na literaturze i sztuce Europy odcisnęły się dwie koncepcje psychologiczne, dwa mity: mit Fausta i mit Hamleta. Gdybyśmy zechcieli porównać Fausta z Hamletem, lub raczej względną trudność czy łatwość recepcji tych dwu wątków przez odbiorcę z różnych epok, licytacja wypadalaby na korzyść Hamleta. Hamlet jest zbudowany prosto, ozdobnie,

a zarazem realistycznie: śmierć, obłąd, tragedia i walka są to znane doświadczenia dziejów. Hamlet jest bardzo „historyczny”, a więc każdemu bliski. Sam Hamlet, duński królewicz, uwikłany zostaje w ciężkie, lecz również zrozumiałe sprawy – zewnętrzne, wobec których zajmuje stanowisko. Na scenie jest więc on, ale także i inni; jest jego sprawa i inne sprawy, tym innym sprawom i ludziom Hamlet się przeciwstawia – znów w imię siebie samego. Mamy wyraźne podziały, wyraźne linie, wyraźnych ludzi z krwi i kości, wyraźny budulec.

Hamlet jest efektowny. Psychologia w połączeniu z historią i życiorysami władców, dramat oprawny w purpurę, śmierć strącająca korony – takie widowiska nie starzeją się nigdy, są dla każdej epoki nośnikami wielkich prawd, przykładami wielkiej sztuki, choć zawsze będą w sobie miały coś z jasełek.

Tymczasem Faust... Z pozoru Faust jest nikły, szary. Tragedia Fausta nie wzbogaci kronik żadnego królestwa, Faust jest pozahistoryczny, nie obraca się między ludźmi, a między własnymi pytaniami, zamienionymi w osoby. Faust zawiązuje swój los w scenerii ubogiej pracowni na strychu i nigdy stamtąd nie wychodzi. Mefisto, Małgorzatka, Walentyn, ludzie i lemury, wszystko to są figury zodiaku, postacie z monologu, sytuacje przeżyte z samym sobą. Ta profuzja własnego „ja” – polifonicznego, skłóconego, podpowiadającego sobie kreacje, możliwości i rozwiązania, ta inwazja pogmatwanych treści, głęboko ukrytych w pokładach nieświadomości – jest psychologią sztuki i „faustycznej”. Jest to także psychologia książek Hessego.

W notatniku *Jak powstał Doktor Faustus* Tomasz Mann, wracając wspomnieniem do okresu II wojny światowej, pisze:

Ze Szwajcarii przysłano oba tomy *Glasperlenspiel* Hermanna Hesse. Po wielu latach pracy ukończył nasz przyjaciel w dalekiej Montagnoli swoje trudne i piękne starcze dzieło [...]. Często mówiłem, że proza ta jest mi tak bliska, jakby była „kawałkiem mnie”. Obecnie, w obliczu jej całości, byłem niemal przerażony jej pokrewieństwem z tym wszystkim, co mnie tak bardzo zajmowało [...]. Ten sam związek z muzyką [...]. Bardzo szeroki horyzont intelektualny, wiedza o kulturze [...]. I nie wiem, czy kiedykolwiek miałem lepszą okazję dla wyrażenia ciepłych i pełnych szacunku uczuć koleżeńskich, podziwiania doskonałego mistrzostwa.

A wcześniej jeszcze, w gratulacyjnym liście do Hessego z 1945 roku, Mann, podpisując się imieniem i nazwiskiem jednego z mistrzów gry szklanych paciorków, Thomasa von der Trave, zwierza się „dalekiemu przyjacielowi”, jakby dla potwierdzenia tegoż „pokrewieństwa”, z realizowanego właśnie pomysłu spisывania losów „niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna” – współczesnego Doktora Faustusa.

Znamy tę postać, jest przedziwna, ukształtowana z wielu elementów, biograficznych – Mannowskich i literackich, z listów Hugona Wolfa, z życiorysu Friedricha Nietzschego, wreszcie sam słynny dialog Adriana z diabłem przypomina podobną scenę z *Braci Karamazow*. Faustus zatem to problem i człowiek nieprzemijający – to artysta, który stojąc na rozdrożach moralności i sztuki, więzi z narodem

i więzi z ludzkością, wciąż dokonuje wyboru między wartościami. Faustus Manna to, dodatkowo, problem Niemiec, niemieckiej wielkości „zbrodni i kary”. Nie wiemy, do kogo w ostatnim zdaniu książki zwraca się Serenus Zeitblom, „składając ręce i mówiąc”: „Bóg niechaj się zlituje nad waszą biedną duszą, mój przyjacielu, moja ojczyzno”. Do artysty, który umarł w pohańbieniu chorobą? do narodu, który w chwili śmierci artysty jest jeszcze „na szczycie swych najdzikszych triumfów”, ale triumfy te są wszak owocem Paktu, muszą więc skończyć się klęską? Mnożą się pytania. Czy sztuka – i w ogóle wszelka działalność ludzka – jeśli poczyna się z grzechu, może zaowocować jako dobro? Czy dzieło, które zawdzięcza swój geniusz diabelskiej pomocy może być adresowane do Boga? W czym przejawia się łaska – w dobrodziejstwie spokojnego życia, czy w niepewności i smutkach tworzenia? W czym wreszcie tkwi przekleństwo – w historii wikłającej ludzkie losy, czy w psychice, charakterze, naturze i powołaniu człowieka? Literatura faustyczna jest literaturą pytań, odpowiedzi i recepty zdarzają się tu rzadko.

Ying i Yang – bieguny człowieka

Twarz Fausta pojawia się w książkach Hessego tylko dwa razy, choć nigdzie tam nie napotykamy jednej jakiegś określonej postaci, jednego życiorysu, jednej sytuacji, która wyodrębniłaby spośród całej ilości innych osób i zdarzeń konkretnego, historycznego, tego właśnie człowieka.

Jest to tak, jakby w szklaną powierzchnię legendy o Fauście Hesse uderzył kamieniem i powierzchnia rozpadła się na tysiąc drobin – na niezliczoną ilość Faustów. Wszystkie bowiem postacie Hessego są nośnikami problematyki faustycznej, wszystkie są fragmentami kogoś lub czegoś, wszystkie „dzieją się”, nawarstwiają, mnożą, rosną i biegną do przodu. Schubertowski, tradycyjnie niemiecki motyw wędrowki, podróży, drogi jest szkieletem tej literatury.

Powiedzieliśmy: bieg do przodu, a być może należałoby powiedzieć, że jest to raczej wędrowka po obrębie koła. Nie mamy u Hessego wyraźnych rozróżnień między punktami wyjścia a dojścia. Przy pobieżnym czytaniu sprawa wydaje się zresztą prosta, bo proza Hessego – ciężkawa, miejscami naiwnie zornamentyzowana, niekiedy nawet cikliwa i po staroświecku romantyczna, utrudnia wejście w sam rdzeń wielkiej metafory tego pisarstwa. Bohaterowie wychodzą na ogół z dzieciństwa, potem ich dalsze losy jak gdyby się na to dzieciństwo nawijają, omotują je w kokon lat, dopiero od pewnego okresu rozpoczyna się mozolny proces odkrywania zapomnianych, tajemniczych wzruszeń, smutków i radości. Dzieje się tak po południu lub o zmierzchu życia, już poza tą pierwszą smugą cienia, poza granicą oddzielającą nowość od powtarzalności.

Trudno odgadnąć, w którym momencie człowiek ujrzy przed sobą tę granicę, ile trzeba bólu, zmęczenia, zawodu i krótkich, błyskawicznych porażek śmiercią, żeby z nagła wyrósł przed biegnącym w przyszłość człowiekiem ów mur, owa tablica z ostrzegawczymi napisami: stań, pomyśl, spójrz wstecz.

Człowiek ogląda się i widzi, że to, za czym szedł od młodości, to, o czym marzył i co chciał zdobywać, jest powleczone jednostajną szarzyzną i że jedynie wąty blask ogni dzieciństwa oświetla życiową pustkę. Ciepły i płodny blask, on to zabarwia bezdroża i używa piękna ruinom, on wyraźnie oświetla te punkty-drogowskazy, które dotąd mijano się w pośpiechu i zaślepieniu życiem, obok których przechodziło się bez wiedzy o ich znaczeniu.

Pogańska jasność dzieciństwa, wspomnienie mitycznej matki i opuszczonego domu wyznacza linię cięcia przez człowieka. Ale jest to dopiero powierzchnia Hessego, pierwsze rozpołowienie wszystkich Faustów z jego ksiązek, jest to, powiedzmy, poziom „freudowski”, najłatwiejszy do odcyfrowania. Dzieciństwo płonie ogniami, ale również i ono ma swoje mroczne rejony, zatajone zgrzyty, nierozszyfrowane symbole. Dzieciństwo Emila Sinclaira naznaczone jest świadomym ciężarem krążenia między jawnym lękiem, upostaciowanym w osobie złego kolegi, Franza Kromera, a niepojętą przyjaźnią i dobrocią, której wyrazem jest Maks Demian, chłodny, nieprzenikniony przedstawiciel krainy, gdzie nie istnieją wyraźne podziały na dobro i zło, gdzie nie dochodzi się do prawdy na odpowiedzialność jej głosicieli, lecz gdzie prawdy szuka się często do końca życia i często bezskutecznie w samym sobie. *Demian* Hessego wprowadza nas na ścieżki, którymi odtąd będzie szedł wilk stepowy – Harry Haller, którymi pójdzie, aby znów wrócić do zgubionego śmiechu matki, rzeźbiarz Złotousty, na które wejdzie wreszcie magister ludzi, Józef Knecht. Wejście w życie – to podążanie za głosem, za niebezpieczeństwem objawienia, do nieznanego celu.

Stale trwało tylko jedno – skarży się Emil Sinclair – ów głos we mnie, ów sen [...]. A może miałem szukać i coraz dalej szukać, przez całe lata i nie zostać niczym, nie dojść do żadnego celu? A może miałem dojść do celu, który okaże się zły, niebezpieczny i straszliwy?¹

Nierozpoznawalność i wieloznaczność celu zjawia się u Sinclaira tuż po przekroczeniu furtki dzieciństwa, w latach samotnej młodości, w okresie tęsknoty za nieobecnym Demianem. Przypadek, „który nigdy nie jest przypadkiem, lecz własnym pragnieniem i wolą człowieka”, styka młodego Emila z dziwnym muzykiem, organistą Pistoriusem, jednym z dwóch bodaj tylko bohaterów Hessego, który ujawnia prawie bez podtekstów twarz i żywot Fausta. Jest to jednak tylko etap w dojściu do Demiana, do domu w małym mieście między wielkimi drzewami, do matki Demiana – symbolu Wielkiej Prawiecznej Kobiety, na której obecności i uśmiechu kończy się ta książka, będąca jak gdyby zapowiedzią najpiękniejszej i najbardziej „jungowskiej” opowieści, jaką literatura kręgu faustycznego zdołała kiedykolwiek z siebie wydać – *Narcyza i Złotoustego*. Są to dzieje ludzkiej duszy mieszkającej w dwu osobach, wyobrażonej przez dwa powołania, dwie możliwości: intelektualną i artystyczną, reprezentującej dwa sposoby odnalezienia celu – dzięki zanurzeniu

¹ Cytaty z powieści Hermanna Hessego według przekładów: Marii Kureckiej (*Gra szklanych paciorków, Demian*), Marcelęgo Tarnowskiego (*Narcyza i Złotousty*), Józefa Wittlina (*Wilk stepowy*).

się w życiu, niczym w lesie, w łące, w upale i burzach lata, i dzięki zanurzeniu się w księgach, w chłodnym uspokojeniu klasztoru, w refleksji, opanowaniu i wiedzy.

Często zdarza się słyszeć opinie, że Narcyz i Złotousty stanowią raczej doskonałą konkurencję, są przykładami dwu odmiennych stanowisk wobec siebie i życia, wobec swych twórczych uzdolnień i wreszcie wobec Boga. W interpretacji *par excellence* psychoanalitycznej rzeźbiarz Złotousty jest kapitalnym przykładem osobowości o przewadze i wyraźnej ekspozycji archetypu Anima, czyli kobiecego elementu duszy. Anima jest to bogini, Magna Mater, jest to jak gdyby splót archaiczno-mitycznych, wczesnych dziejów ludzkości z jednostkowymi przeżyciami każdego dzieciństwa. Jest to, jak pisze Antonio Moreno w swej świetnej pracy o Jungu: „archetyp samego życia [...] bez względu na to, czy jest ono dobre czy niedobre, piękne i przyjemne czy brzydkie i złe”². Fantazje, sny, sztuka, grzech i dobroć, siostra, matka, czarownica, całym tym światem doznań grząskich i efemerycznych, światem radości i cierpienia ludzkiego rządu Anima, nazwana tak przez Junga od greckiego słowa *anemos*, czyli wiatr lub duch.

Tymczasem Animus, „archetyp męski” – pisze Moreno – „lubi mężczyzn podobnych Bogu i nałogowców”. Jest bardziej „zbiorowy”, twardszy, konsekwentny i autorytatywny. Przyjaciół Złotoustego, mnich z Mariabronn, Narcyz, dzięki przewadze archetypu Animus istotnie stanowi przeciwieństwo amoralnego dziecka szczęścia, Złotoustego. Jednak losy obydwu przyjaciół w szczególny sposób zaprzeczają tezie konkurencyjności. Obserwujemy na kartach tej książki jakby stałe wspomaganie się, stałą współzależność pierwiastków duchowych Narcyza i Złotoustego. Po życiu, spędzonym osobnie i inaczej, po rzekomo roztrwonionym życiu rzeźbiarza i kontemplacyjnym, surowym życiu Narcyza, przychodzi kobieta – Śmierć, ma twarz Matki, o której Złotousty w latach swej młodości nie pamiętał i którą wówczas przypomniał mu nie kto inny, a właśnie wyniosły i zimny zakonnik, Narcyz: „ – Ale jakże ty umrzesz kiedyś, Narcyzie, jeżeli nie masz matki? Bez matki nie można kochać. Bez matki nie można umrzeć” – te „ostatnie słowa Złotoustego” zapłonęły w sercu Narcyza „jak ogień”.

Ta pogańska, fauniczno-faustyczna opowieść dzieje się, jakby dla podkreślenia mrocznej głębi całej sprawy, w sentymentalnym niemieckim pejzażu, podobnym malowance z fajansowych kufli, gdzie horyzonty płyną strugami niebieskich wzgórz, gdzie cechowe kamieniczki sąsiadują z murami uniwersytetów, gdzie czerwienieją jesienią bukowe lasy, a zamkowe ogrody pną się zwojami bluszczu nad ciche ulice wieczornych miast. Tędy chadzał Zielony Henryk Gotfryda Kellera, tędy poszła niemiecka literatura. Czy to Lubeka, Norymberga, Kaisersaschern...? W zaczarowanym krajobrazie gotyckich kościołów, w krajobrazie pulsującym muzyką, w słodkim i przygnębiającym kraju dzielnych rzemieślników i akademickich myślicieli toczy się wątek bajki o rozdwojeniu duszy, opowiedziany półszepem, który w *Wilku stepowym* z nagłą przemienia się już w krzyk i spazm.

² A. Moreno, *Jung, bogowie i człowiek współczesny*, przełożył S. Ławicki, Warszawa 1973.

Wilk stepowy ma zmienioną scenę. Jest to anonimowe, wielkie miasto. Idylliczne wzgórza i łąki przeblaskują tylko niewyraźnie we wspomnieniach Harry Hallera. Miasto żyje wieczorem w tancbudach i rozwrzeszczanych egzotyczną muzyką tingel-tanglach. Tysiące mieszkań, w których nikt nic nie wie, wchłaniają pomnożoną ludzką samotność; tu nie liczy się na zrozumienie, nieczęste postacie wyłaniające się spośród miejskiego tłumu są raczej odpychające. „Geniusz cierpienia”, zagubiony między mieszczaństwem intelektualista Faust, Harry Haller, wilk stepowy, człowiek nawiedzony i obłąkany, kryje się niczym ranne zwierzę przed życiem, które go boli, ucieka zeń do wynajmowanych pokojów miejskich kamienic.

Harry Haller nie ma wyraźnego powołania, jak Narcyz czy Złotousty, jest w pewnym stopniu kontynuacją Emila Sinclaira, wrażliwego „poety do wewnątrz”, chłopca niepewnego celu. Psychologiczny, imaginowany życiorys Hallera opowiada o osobliwej odmianie Fausta, o człowieku, który rozumie sztukę, ale który sztuki nie tworzy, który szuka w sobie odpowiedzi na sens życia, ale znajduje tylko prawdę o rozdarciu, nieprzystosowaniu i bezsensie. W miarę rozwijania się fabuły, surrealistycznej, mieszejącej sny z codziennością, Faust-Haller o rozpołowionej duszy rozdrabnia się na jeszcze mniejsze cząstki. Zygzaki między prawdą i fałszem naznaczają całą duchową rzeczywistość wilka stepowego labiryntem figur, w których można się zgubić. Przypadkiem poznana uliczna dziewczyna ma twarz ukochanego przyjaciela z dzieciennych lat; ten motyw znamy już z *Demiana*. Równocześnie i równolegle – jest ona wspomnieniem o wszystkich znanych Hallerowi kobietach, jest grzechem i największą szansą odkupienia, podobnie jak Pablo saksofonista, odtwórca i entuzjasta zniechęconego przez Hallera jazzu, nosi w sobie wielkość Mozarta.

Rytm *Wilka stepowego* przypomina puls w gorączce. Natłok postaci o pozornie ludzkich sylwetkach stwarza napięcie, którego Hesse nie rozładowuje w żadnej z końcowych sytuacji. Przeciwnie, na ostatnich stronach książki, w scenie z zabójstwem Herminy, w scenie z Mozartem, z rozsyanymi figurkami szachowymi, z odczytaniem wyroku skazującego Hallera na „karę życia”, puls się przyśpiesza i gorączka wzrasta aż do momentu, gdy na skinienie Mozarta rozlega się nad głową Hallera „śmiesz nieskazitelnie czysty, utrzymany w górnych rejestrach, straszliwy śmiech zaświatów, zaledwie do zniesienia dla ludzkiego ucha”. Tak śmieją się Nieśmiertelni, ci, którzy nie tolerują samobójców. „– Będzie pan więc musiał przyzwyczaić się do słuchania radiowej muzyki życia” – mówi złośliwie Mozart – „Musi się pan nauczyć śmiać: tego się od pana wymaga [...]. Tchórz, chcesz umrzeć, a nie żyć. Lecz, do wszystkich diabłów: właśnie żyć powinieneś”.

Haller podzielił życie na udrękę dnia i na ucieczkę w mozartowskie noce, na wyraźne piękno i brzydotę, na muzykę knajp i Muzykę Nieśmiertelnych, na oczywiste dobro i oczywiste zło. Gdzie są te oczywistości? – pyta Hesse. Gdzie są ci ludzie tylko źli lub tylko dobrzy? Czy żyć „heroicznie”, to znaczy żyć dla siebie, bez ludzi, bez miłości, bez drobnych spraw, w których wszak pobłyskuje częściej niż w książkach światło nieśmiertelności i owego mitycznego spokoju, który nie

zostanie nam dany, póki nie zapracujemy nań życiem? I Harry Haller odpowiada: „kiedyś nabiorę większej wprawy w ustawianiu figurek. Kiedyś może nauczę się śmiechu. Czekał na mnie Pablo, czekał na mnie Mozart”.

Jest to pierwszy krok Fausta ku nadziei.

***I King* – księga przemian**

Do *Gry szklanych paciorków* zbliżamy się etapami, podróżując przez całą twórczość Hessego. Droga znaczona jest grzechem rozpaczcy, samobójczą zapamiętałością cierpienia, na przemian – wstrętem do świata lub bolesnymi próbami afirmacji świata, zrozumienia siebie w świecie. Gdzie jest Bóg na tych stronicach, szczerlnie wypełnionych „pramatką naturą”, „prajcem duchem”, Haydnem, Novalisem, ciężkimi oczekiwaniami na gnostyckiego Abraxasa, radami chińskiej wyroczni w Bambusowym Gaju? A jeśli jest – jaki jest ten Bóg? W *Bhagawadgicie* czytamy: „Na jakiegokolwiek drodze zbliżasz się do mnie, ja sam wychodzę ci na przeciw”. Ta dobrotliwa pewność, to wyniosłe rozgrzeszenie musi być dla chrześcijanina uzupełnione świadomością wyboru takich dróg, które w istocie zbliżają do Pana; nie są to wszystkie drogi, czy – innymi słowy – nie każda spośród licznych dróg życiowych regulowana jest takim właśnie drogowskazem, taką intencją. Jeżeli jednak widnieje u początków ścieżek choćby ślad owej intencji, wówczas mało znaczy to, którądy, przez jaką ciemność i lęk ścieżka prowadzi.

W książce Hessego przechodzimy obok epoki chaosu, pustosławia i degradacji człowieczeństwa, obok „epoki felietonu” i wkraczamy w harmonijną rzeczywistość matematyki, muzyki, syntezy, uładowanych emocji, doskonałego związku nauki i sztuki. Znajdujemy się w mitycznym państwie Kastalii i w Waldzell – „prastarym, brunatnym miasteczku”, gdzie rozległe gmachy byłego klasztoru cystersów mieszczą szkołę „kształtującą ludek biegly w kunszcie gry szklanych paciorków”.

Tam, wśród żywopłotów i lipowych alei kryje się Vicus Lusorum, centrum uczelni, dusza Kastalii, tamże króluje muzyka, która dzięki setkom lat naukowych i artystycznych doświadczeń ludzkiej myśli została podniesiona do rangi formuły jednoczącej elementy w całość. Minął czas wojen, minęły napięcia i rozdarcia, nie ma na ziemi Fausta. Surowe światło liczb, dźwięków i cierpliwej mądrości ksiąg, wielkie słońce spokojnej filozofii oświeca Kastalię.

Spokojna i harmonijna jest także droga Józefa Knechta, ucznia prowincjonalnej szkółki w miasteczku Berolffingen do najwyższych stopni dostojenstwa i wiedzy – do tytułu Mistrza Gry Szklanych Paciorków. Knecht jest wrażliwy, utalentowany, posiada dyscyplinę, pewność celu, nieomylność artysty, pracowitość uczonego z powołania, uznanie otoczenia, Knecht nie ma pęknięć i blizn, świat go nie boli. Drobne dystanse i wahania oraz niepokoje młodości – trudna przyjaźń z „kontestatorem” Plinio Designorim, ucieczka do Bambusowego Gaju, zbyt długie studia muzyczne – wszystko to jedynie uwypukla wewnętrzny ład i doskonałość Knechta.

Czytamy, nie wierząc Hessemu, a nawet niezupełnie rozumiejąc, że to jest właśnie Hesse, autor ustokrotnionego Fausta, wędrowiec, przemierzający najtrudniejsze szlaki ludzkiej duszy. Czyżby doszedł do Boga, wyrażonego czystym wzorem matematycznym, do lodowatego Boga wyspekulowanej muzyki? Trudno to sobie wyobrazić, ale śledzimy nadal *Opis żywota magistra ludi Józefa Knechta*, zdziwieni chłodnym, choć wspaniałym happy endem, jaki swym tragicznym Narcyzom, Sinclairom i wilkom stepowym zaproponował pod koniec życia wielki samotnik z Montagnoli.

Obok Kastalii trwa nadal Kościół i do niego, do opactwa i klasztoru benedyktynów w Mariafels, Knecht zostaje wysłany w zaszczytnej misji dyplomatycznej. Po jej wypełnieniu szykują się dalsze honory, wkrótce Knecht staje u szczytu swych dokonań. Wówczas ucieka do gór, do domu przyjaciela Designori i wybiera śmierć w górskim jeziorze.

Jedyny zbawiony wśród tłumu potępionych Faustów, jedyny sprawiedliwy między grzesznikami z książek Hessego, jedyny i pełny, i doskonały pośród duchowych kalek, rozszczepionych na drobiny, umęczonych nakazem spajania się, zrastania, dźwignia do niepewnej nadziei, Józef Knecht cofa się, ginie, a jeszcze przedtem, w dramatycznej rozmowie z dostojnikiem Kastalii zgłasza oficjalną rezygnację, „jak mu rozum i serce nakazuje”. Rezygnacja zapowiada śmierć, zimne prawa rządzącego w „błogosławionej” Kastalii Zakonu nie dopuszczają wycofania się stąd w inny rodzaj życia. W tej rozmowie, po raz drugi od czasu, gdy Emil Sinclair rozmawiał z organistą Pistoriusem, widoczna staje się twarz Fausta – blizny pod naskórkiem, rozpadliny, przysypane obowiązkiem, „powołaniem”, zaszczytami – całym życiem. Ile wysiłku i wiary Józef Knecht musiał włożyć w decyzję, która wszak oznaczała uchylenie maski i odrzucenie, jako pozor, wszystkiego, kim był, co zdziałał, co mógł jeszcze osiągnąć. Wydaje się, że Hesse w jakiś okrutny sposób przypieczętował całe swoje pisarstwo jednym, ostatecznym Nie, że „przetrzymał” nas przez całą swą niejednoznaczną twórczość, że pozwolił nam, tak jak pozwalał swoim bohaterom, ludzić się tylko ulotną nadzieją, aby zakończyć wszystko zgrzytem i wyrokiem.

Jednak *Grę szklanych paciorków* trzeba czytać od końca, od innego końca niż koniec życia Józefa Knechta.

W Waldzell był zwyczaj, że studenci spisywali dla nauczycieli, a poniekąd dla lepszego rozpoznania samych siebie, swoje fantazjowane życiorysy. Knecht, jeszcze jako student, napisał trzy takie biografie, trzy własne wcielenia, trzy etapy drogi do Kastalii. W pierwszym, najstarszym, sprzed tysięcy lat, jest uczniem plemiennego czarownika i jest zarazem owym starym czarownikiem. W drugim, wczesnochrześcijańskim wcieleniu jest pobożnym pustelnikiem, rozpatrującym zagadki grzechu, chorym z poczucia nieobecności Boga w swej duszy, dręczonym pustką i nudą oschłej „świętobliwej” samotności. W ostatnim wcieleniu jest Knecht hinduskim księciem, który dzięki staremu mistrzowi przeżywa w krótkiej chwili całe dalsze swe życie, aby, rezygnując zeń, znaleźć prawdę tam, dokąd przynętały go losy: w puszczy, u boku milczącego jogina.

Trzy wcielenia, trzy tropy Boga, Kastalia jest czwarta, tu schodzą się kierunkowskazy wszystkich poprzednich tropów, tu doszedł w poszukiwaniu prawdy Faust, wieczny tułacz po stuleciach, miastach, świątyniach i księgach. Kiedy już nie mógł, jak Harry Haller, znieść dłużej ani siebie, ani uwierającego świata, nakaz brzmiał: należy dalej żyć, nadzieja tkwi w życiu. Kiedy, jak Józef Knecht, osiągnął, zdawałoby się, pełnię, żył pożytecznie dla siebie i dla innych ludzi, wysoki nakaz pchnął go ku wodom jeziora. Dla Knechta nadzieją mogła być tylko śmierć. Śmierć i życie – ta sama, trudna ścieżka do trudnego Boga, rozdwojona ścieżka do Jedynego, odkupienie dla Fausta.

Jak pisał o tym Mann, przyjaciel Hessego?

Postuchajcie tego zakończenia, wysłuchajcie go wraz ze mną: cichnie jedna grupa instrumentów po drugiej, kończy się cały utwór wysokim g wiolonczeli: ostatnie słowo, ostatni powiewny dźwięk, rozplywający się zwolna i pianissimo w fermacie. Potem już więcej nic – noc i milczenie. Ale ten dźwięk zawieszony, pobrzmiwający pośród milczenia, dźwięk, który już nie istnieje, którego dusza jedynie jeszcze nasłuchuje, a który był pogłosem żałoby, nie jest nim już, odmienił sens swój, świeci jak światło wśród nocy.

W to światło wszedł ostatni Faust Hessego, mistrz Józef Knecht.

Maria Walendowska

Podał do druku Jacek Antoni Zieliński

POSTSCRIPTUM DO TROPICIELI BOGA

Nota biograficzna nie mówi, kim naprawdę była Maria Walendowska, zmarła w roku 2013 w wieku 79 lat. Nie negując jej wkładu w socjologię religii, muszę stwierdzić, że treścią jej życia było filozofowanie. Jest oczywiste, że bardziej interesowała ją psychologia religii (ze szczególnym uwzględnieniem psychologii głębi) niż socjologia religii, jednak na gruncie psychologii nie czuła się tak pewnie, aby ją traktować jako dziedzinę pracy zarobkowej. Zachowany, niepublikowany tekst *Tropieciele Boga*, napisany w roku 1975, zawiera istotę jej zainteresowań intelektualnych. Nie tylko intelektualnych, bowiem wyeksponowany w nim problem wewnętrzznego rozbitcia, duchowego rozdarcia, jako stanu towarzyszącego rodzajowi ludzkiemu niemal od zarania jego dziejów, był jej własnym problemem.

Zdarzają się ludzie, którzy ten problem odczuwają osobiście, egzystencjalnie i Maria do takich ludzi należała. Wielkie odczytanie, erudycja, które przez ten tekst przeświecają, a w których zdobywaniu pomagał jej Jerzy Prokopiuk, z Marią zaprzyjaźniony, mówiąc najprościej, pomagały jej żyć, ponieważ była osobą myślącą. Prokopiuk dedykował jej jeden ze swych ważnych tekstów – *Hermannia Hessego spirala życia*, zamieszczony w wydaniu *Podróży na Wschód* Hessego z 1991 roku. W tekście tym cytuje fragment *Tropicieli Boga*, pod tytułem zmienionym raczej

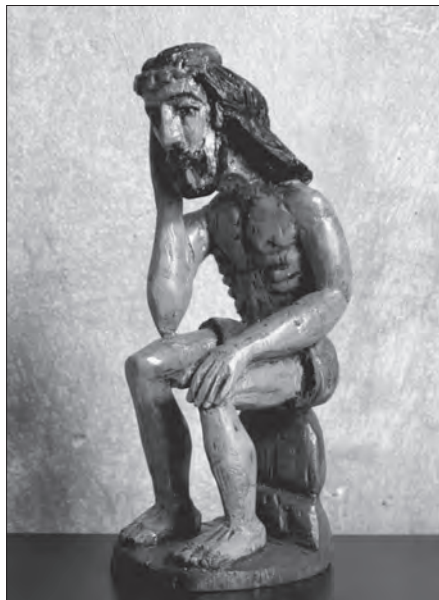
omyłkowo na *Przyjaciele Boga*, zaznaczając, że jest to cytat z maszynopisu autorstwa Marii Walendowskiej. We wspomnianej dedykacji nazywa Marię „Celimeną”, gdyż tak ją nazywała żartobliwie większość przyjaciół od czasu, gdy w Teatrze Osobnym Mirona Białoszewskiego zagrała Celimenę w adaptowanym przez Białoszewskiego fragmencie Molierowskiego *Mizantropa*.

Rozmowy z Marią, prowadzone w latach siedemdziesiątych XX wieku, ukazały mi nowe perspektywy myślowe i pomogły mi zrozumieć lepiej samego siebie. Córka Marii, Magdalena Chołostiakow, wspomina, że gdy jej matka traciła wzrok, czytała jej głośno ulubione lektury: *Doktora Faustusa* Tomasza Manna, *Siddharthę* Hermanna Hessego, *Krystynę, córkę Lavransa* Sigrid Undset, *Siedmiopiętrową górę* Thomasa Mertona, *Niepodzielone* Kena Wilbera, myśliciela amerykańskiego, zbliżonego w swym widzeniu świata do Teilharda de Chardina.

Czy jest możliwe, że *Tropiciele Boga* to jedyny tekst tej rangi, jaki Maria po sobie zostawiła? Wygląda na to, że tak. Czemu nie ogłosiła go drukiem? To pozostanie jej tajemnicą.

Jacek Antoni Zieliński

Warszawa, maj 2023



Andrzej Niedoba, *Chrystus frasobliwy*, drewno polichromowane, 2021.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Alina Pochwat-Cicha

Fale deszczu
Uderzają
O szklany brzeg
Mojej wyspy
Echo naśladuje
Oddech
Śpiącego Piętaszka

Szukam drogi
Nie umiem być
Robinsonem

Twarz
Na fotografii
Jest nieruchoma
Oczy
Straciły blask
Usta
Nie powiedzą
Już nic

Jak przytulić
Fotografię

Nikomu
Nie mówię
Milczę
Z demonami
Bawię się
W chowanego
Zamykam
Oczy
Zaciskam pięści

Nie chcę
Pamiętać

Alina Pochwat-Cicha



Stanisław Tabisz, z cyklu *Święci*, rysunek czarnym atramentem na papierze, 2009.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Antoni Matuszkiewicz

POEZJA*

Takie zapatrzenie
że stojąc nad przęsłami brwi
samemu zaczyna się płynąć¹

Trzeba zatrzymać się nad sobą, a wtedy się płynie, to znaczy powołuje się, niejako sam ze siebie, ruch. W widzeniu, w indywidualnej formie widzenia stwarza się niedostrzegalna zazwyczaj rzeczywistość. Poprzez emanowany przez nią obraz. To, co jest, jest, jakie jest, jest jak jest, a dostrzegane jest w ruchu, ponieważ ten, kto dostrzega, ponieważ dostrzeganie tego, kto dostrzega, jest w ruchu, po stronie czasu. Zapis poezji, czyli najczęściej wiersz, wypływa ze szczeliny pomiędzy tym prozaicznym światem a naszą wizją. Światem innym.

Podstawą jest, że „widać”, widać naprawdę, zawsze widać, choć to widziane bywa, jest, niekiedy niewidzialne. Pozostaje niewidzialne, ale dotknięty nim człowiek widzi, reaguje na jego obecność w swojej wizji rzeczywistości. Aby tak widziane w ogóle się mogło w tym ludzkim świecie pojawić, nawet dla samego widzącego, musi mieć kształt, musi mieć formę, stać się słowem, tak jak to Słowo w prologu Janowej Ewangelii, które może być tłumaczone w czasie teraźniejszym, to jest w czasie wiecznym, absolutnym dla danej rzeczywistości. Chcąc nie chcąc, każdy piszący staje się prorokiem tego Słowa.

Człowiek musi mieć świadomość, że widzi, a następnie nazwać to ze swojego punktu widzenia, nazwać po swojemu. Wprowadzić do swojego świata, objąć horyzontem swojego świata. Nie wiemy, jakie jest to Słowo na początku, ale w zetknięciu z jego znaczeniem korzystamy z naszych słów. Bezradni wobec jego blasku, często poznajemy je dopiero przeczytawszy, co sami przed chwilą napisaliśmy...

Na początku jest Słowo, czyli wszystko, co jest, trwa, ujęte słowem, patrzymy na to, widzialne i niewidzialne dla naszego wzroku, jedno i drugie widzimy na swój sposób. Spotykamy to, o ile tylko zostaje stworzone, to znaczy, uwidocznione w świecie ludzkim, dane człowiekowi w objawieniu. Jeśli chwytą się ten moment widzenia, człowiek go chwytą, to tylko tak, że coś się staje w dostępnej mu przestrzeni poznania, coś tworzy się, zostaje dlań stworzone i musi zostać w jego percepcji określone, zamknięte, nazwane. Twórczość jako pieczęć nowego życia, nowego świata.

* Tekst napisany z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia debiutu literackiego autora, obchodzonego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Nowej Rudzie 12 grudnia 2022 r., wówczas przeczytany. Drukowana wersja została poprawiona.

¹ Jako motto wykorzystałem własny wiersz ze zbioru *Lżejsze od Ziemi*, Wrocław 1982. Ten sam utwór posłużył mi już niegdyś jako pretekst do refleksji o twórczości, patrz: „Fraza” 2000, nr 1/2.

Jak każde odczytywane czy słuchane słowo rozwija się też w czasie, w trakcie percepcji, bywa pojmowane po pierwszej, drugiej zgłosce, po wymówieniu całości. Od razu, jak katechumen wynurzający się z chrzcielnej wody, musi być otulone prześcieradłem mowy w całej jej świeżości. Za tajemnicą dotknięcia, tajemnicą niewidzialnego widzenia postępuje natychmiast forma, forma tego świata, w którym nic nie może zaistnieć bez formy, chociażby na początku forma wymykała się jej doświadczeniu. Choćby nie przeczuwał on w ogóle owej formy.

„Żarząca gwiazda prosi, by na nią popatrzeć. A gdybyśmy nie byli tak zajęci sobą, pojęlibyśmy jej język i posłanie” – powiedział Nicola Tesla w swoim ostatnim wywiadzie. To, co jest, można zobaczyć wszędzie, zobaczyć zawsze, ale rozstrzygający jest stan patrzącego, jego dyspozycja bezinteresownego, poza poznaniem samym, widzenia. Odnalezienie się w sobie widzącym. Wiara, że może to nastąpić, wynikająca z ewentualnego doświadczenia uprzedniego, intuicji, czyjejś sugestii albo wiary w sensie ścisłym. Zasadą jest, że ani ja – patrzący – ani to, na co patrzę (co odbieram w jakikolwiek sposób) nie jest ograniczone, że jest wolne, ja jestem wolny, od jakiegokolwiek projektowania wizji. Jeśli wspomniałem wcześniej o doświadczeniu, to tylko w znaczeniu fenomenologicznym, że takie zdarzenie zaistniało, nie zaś odnośnie jego treści, formy etc.

W tym miejscu trzeba postawić obok siebie widzieć i wiedzieć, i zdecydowanie sobie uświadomić, że nie jest prawdą, iż się nie wie, nie wie nic więcej ponad oczywistość, doczesność, śmiertelność. Także ponad rosnący horyzont nauki. Istnieje mnóstwo wiarygodnych relacji, mitów, religii i dzieł sztuki, których inspiracje zdolny jest przyswoić sobie i spożytkować każdy nieuprzedzony i wrażliwy człowiek.

Wie się, że się wie, że można wiedzieć – widzieć, odbierać, być obdarzonym – wprost i natychmiast, jeśli tylko pozwolą na to wewnętrzne i zewnętrzne okoliczności. Gdy nie przeszkodzi niewiara. Kiedy od człowieka do człowieka sięga filozofia, wielowymiarowa filozofia, można też powiedzieć filozofia stosowana, czyli miłość. Miłość, miłość jako droga poznania, jaka nie jest kierowana w nieznanne, domniemane, ku wiedzy abstrakcyjnej, w wysterylizowane zawczasu puste niebo, ale jest z drugiego człowieka, jest, jak to miłość w ogóle, z drugim człowiekiem (przecież w chrześcijaństwie i miłość, i słowo to człowiek).

To na przykład fundamentalny we wszelkim życiu duchowym związek nauczyciela z adeptem, nie polegający na tym, że uczeń otrzyma jakieś informacje, ale że dzięki miłości wiedzy (filozofii) dozna doświadczenia tego drugiego. Uwierzy w jego dotknięcie prawdy. Dozna w nim siebie, jakim dotąd nie był. Zaplonie od płonącego w tamtym ognia. A przy tym potwierdzona zostanie praprawda o naszej prajedności.

To w człowieku została wypowiedziana prawda. Prawda ma kształt człowieka. Tylko człowiek, jako istota przekraczająca umysł i ogarniająca dalsze wymiary bytu, może być naczyniem prawdy. „A pokój Boży, jaki przewyższa wszystko, co można pomyśleć, uchroni wasze serce i wasze myśli w Chrystusie Jezusie” (*List do Filipian*, 4,7)

Spotkałem w swoim życiu kilku widzących, poczynając od tego niezarejestrowanego moją kilkuletnią wówczas pamięcią mężczyzny w sanatorium, który przy stoliku mówił mojej Mamie o przyszłości niektórych obecnych tam ludzi, a kiedy zapytała o mnie, czy będę może inżynierem, powiedział, że nie, zostanę pisarzem. O którym to wyroku dowiedziałem się kilkanaście lat później, kiedy już zacząłem pisywać. Zresztą moja Mama była od młodości przekonana, że można widzieć, to czego nie widać, miała znaczące sny i przeczucia, spotykała umarłych.

A moja historia jako piszącego jawi mi się w tej chwili, z tego miejsca mojego znacznie bardziej zaawansowanego już życia, jako historia kogoś, kto widzi, kto pragnie zobaczyć. Taki jaki wewnątrz jestem, jakim się piszę, bardziej jestem z tego, co zobaczyłem, z własnej natury przecierającej ku prawdzie niż z kultury, literatury, z tego, co przeczytałem.

Początkiem było zmierzenie się z tym, co widać i jak widać. Co znaczy widzieć, a co zobaczyć, to dotycząca osiemnastolatka anegdota ze świdnickiej ulicy Lelewela związana ze spostrzeżeniem po raz pierwszy z taką intensywnością, spostrzeżeniem jako wyzwanie, zadanie – namarzniętego na gałęzi lodu – i niemożność wyrażenia tego, co się widzi. Jakby to wciąż – aż tak oczywiste – pozostawało niedozobaczone. Że to aż takie, niespodziewane, przerastające mnie namacalnym wręcz sensem, piękne. Potem dowiem się, dopatrzyć się z czasem, że to, co się nazywa pięknem, jest niepokojem istnienia, cechą, wymiarem tajemnicy. Świadomością jej otwartych granic. Okryciem odkrywającej się prawdy.

Przeskakując kilkanaście lat, podczas których napisałem już trochę wierszy i zdążyłem zadebiutować (w roku 1972, czyli 50 lat temu...), znalazłem się, z powodu zadomowionej w naszej rodzinie gruźlicy, znów w sanatorium. W Sokołowsku. To tam poznałem inną stronę widzenia, doznając bardziej siebie jako widzącego. Uwagi dotyczącej nie tylko okoliczności, ale i stanu w jakim się znajduję. Odcięty przez kurację od powszednich utrapień, co dzień konfrontowany z górską naturą, rozpiśnięty na dobre, to znaczy nauczyłem się zasad spostrzegania rzeczywistości tak, by przemówiła. Zostałem jej początkującym sekretarzem. Świadectwem tego są *Góry Kamienne*, które zaskoczyły mnie, ponieważ już samą swą formą różniły się od tego, co pisałem wcześniej. Chciały być takie, a ja musiałem im na to pozwolić.

Studium

Passe-partout mglistej nieskończoności wybiera wciąż inny fragment. Góra, zazwyczaj pewnie wynikająca z ziemi, okazuje się lawiną pomysłów. Spada wielkimi, wilgotnymi płatkami. Błyszczące chwilami ostrze światła konsekwentnie zakreśla nierówności, tnie sztywne warstwy lasu, jakby na ten sam obiekt nakładała się praca odmiennego artysty o wyobraźni poddanej rygorom.

Forma nie jest gotowa. Czują to zwierzęta. Narzucając całej kotlinie ciepłoty bezruch, dwie sarny ciemnieją u podnóża. Już ukończone, odstawione na arkusz czystego papieru. Czekające na stworzenie świata.

Dla mnie jest to wciąż – także teraz – tamta chwila, minuty zapisane pierwszego maja któregoś roku, ale to nie minęło, nie mija, nie ma w sobie zarodu nieistnienia, poza pamięcią, poza psychiczną i fizyczną wytrzymałością materiału w jakim jest utwalone. Substancją owego „arkusza” wklejonego do książki.

Jak wspominałem, spotykałem ludzi widzących. Pana Romana Szutera, ucznia lwowskich kabalistów, profesora Andrzeja Szyszko-Bohusza z Krakowa, wałbrzyskiego poetę Kazimierza Chmielowca. To widzenie trzeba rozumieć nieco szerzej, nie musi odbywać się tylko za pośrednictwem fizycznych oczu. Mówi o tym właściwie duchowości wschodniej podejście do wewnętrznej struktury człowieka. Wiedzy o wewnętrznej strukturze człowieka, zobaczonej przecież niegdyś, przez wielkich widzących, w tak zwanej starożytności. Tu wypada wspomnieć Michała Fostowicza i *Realność świata wizji*, zorganizowane przez Stowarzyszenie ITON sympozjum w Świdnicy poświęcone Williamowi Blake’owi. Co i jak widział Blake – i tylu innych wcześniej czy później – czy ten jego świat nie jest z nas? Czy nie widzimy go również? Czy poprzez fantasmagorie Blake’a nie widzimy czegoś, nie doznajemy, chciałoby się rzec – dotykalnie – swą myślą, w samym sobie? Patrząc choćby na jego precyzyjnie nakreślone szczegóły, choćby ostentacyjną muskulaturę mitycznych postaci, sięgając wzrokiem horyzontów odrealnionych pejzaży – widzimy, widzimy naprawdę. Widzimy tak coś, z czym w tej naszej przeszłości nie mielibyśmy nic wspólnego. „Sami nie wiemy jak, ale z oddechem przychodzą do nas słowa i tony, jakie nie są zwyczajną mową” – zwierzył się Knudowi Rasmussenowi stary eskimoski śpiewak Kilime.

Dwa lata starszy ode mnie poeta Risto Ahti, który tłumaczył m.in. Blake’a na język fiński, powiedział: „Przy pracy twórczej uważam za najważniejsze uchwycić indywidualny, prorocki i absolutny obraz świata. Pisanie jest dla mnie pracą podobną do pierwszych słów Biblii: Na początku było Słowo, a to Słowo stało się ciałem. Chcę zrozumieć wiersz i chcę, by poezja starała się zrodzić wolnego człowieka, który zakosztuje tak samotności, jak powszechności. Nie wiem, czym z tych dwóch jestem, czy słowem, które wypowiem, czy słowem, które mówi”.

Znowu wróciliśmy do tego cytatu z *Prologu* św. Jana, ale jest to tam powiedziane raz na zawsze, jest powiedziane w imieniu nas wszystkich, nierozłącznie od samego istnienia, wszyscy z tego wewnętrznie jesteśmy. Z naszymi światami i czasami. Z tą czy inną literaturą rysującą się na naszym widnokrzegu. Nieznani, nieznani sobie, przychodzimy do ziemi niczyjej. I poznając ją w wolności i bezinteresowności, poznajemy siebie, stwarzając ją na swoje podobieństwo. Poddając ją sobie.

W miarę postępowania w swoim wnętrzu, kontemplacji istnienia, ukrytej pracy naszej tzw. nieświadomości, wizja łagodnieje. Jak łagodniejsze rzeźba najwyższych gór oglądana z rosnącej wysokości. Aż z pułapu tysięcy kilometrów kula ziemską zdaje się być gładka niby bila. I my sami, nawet jeśli jesteśmy, jeśli bywaliśmy jak „na słońcach swych przeciwne – Bogi”, to, nic nie tracąc ze swej istotowości, z wolna odnajdujemy się w rosnącym pokrewieństwie. W powszechnej emanacji tła.

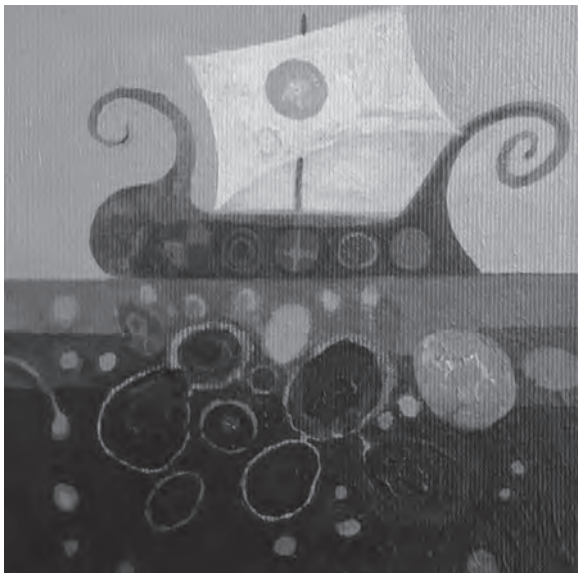
Francuski pisarz i podróżnik Sylvain Tesson, przez pół roku żyjący samotnie w chacie nad Bajkałem, zanotował, że człowiek odcięty od telewizji odkrywa, że

okno jest pojemniejsze niż ekran. Tak samo, dodam, dzięki praktyce, to, co widzimy oknem, jak również to, co zazwyczaj widzimy okiem, okazuje się mniej pojemne od tego, co jest, a co naprawdę można zobaczyć. Jesteśmy istotami o nieskończonych możliwościach. Pan Wasilewski z Gliwic, który posiadał dar spontanicznej profecji, powiedział mi podczas naszego jedyne go spotkania: widzę coraz mniej, ale za to poszerza się moje jasnowidzenie.

Widzenie jest jedno, tylko różnią się jego stopnie i kategorie. Patrząc z taką uwagą, aby widzieć inaczej. Patrząc na tego, kogo ma się kochać jak siebie samego, widzieć tego, kogo ma się miłować ze wszystkiego serca swego. Jezus odpowiadając na prośbę Filipa, mówi: „kto widział mnie, widział i Ojca” (Ewangelia św. Jana, 14,9).

Pisząc o nadziei, Józef Tischner stwierdził: „Ciężar istnienia przemieszcza się z terażniejszości i przeszłości na przyszłość”. Myślę, iż za sprawą poezji ciężar istnienia przemieszcza się w przeciwnym kierunku, z przyszłości w terażniejszość. Nadzieją poety jest właśnie ukryta w poezji terażniejszość. Jej wieczna terażniejszość. W jakiej światło, w którym się widzi nie pochodzi z ognistego miecza archanioła, lecz z krzewu, który płonie, ale się nie spala.

Antoni Matuszkiewicz



Stanisław Tabisz, *Grecka łódź*, akryl na płótnie, 2015. Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Radosław Lach

CZŁOWIEK JEST MIEJSCEM

Te pokoje, wypełnione pozorami pełni –
pustką i samotnością,
jak świat zewnętrzny, jak i wewnętrzny.
Te pokoje, habitaty gadaczy i rozplodzicieli
wyścielone ludzkim niepokojem, czekaniem,
nędzą rozpanoszone pokraczne przestrzenie,
gdzie i krzyż wisi, a czasem człowiek.

Te pokoje, w których chronimy się
przed zimnem, przed życiem, przed deszczem,
te pokoje, te schrony dla istot
niebываłych, niezrozumiałych, niezrozumianych
i nierozumnych w efekcie permanentności,
wpędzonych w mechanizm totalny,
w mechanizm powtarzającego się dnia,
w którym cierpienie dominuje najczęściej cykl
niedającego się niczym wykorzeń
obłąkańczego klepania w nieskończoność
tych samych zachowań słów, odruchów,
gestów, czynności oraz gorączkowego lub
mimowolnego szukania chociaż
cienia światła, które w przeciwieństwie do mroku
jest coraz radsze.

Te pokoje, jak wygodne macice,
w których zachodzi twój regres lub rozwój,
gniazda owadzie, w których dusisz się
lub unosisz ponad sufitem majacząc.
Te pokoje, niemi świadkowie twojego
poczęcia i twojej powolnej agonii,
bo przecież tym jest w końcu życie.

Te pokoje rosną,
te pokoje rozpadają się w tobie
I chciałbyś, żeby było coś poza nimi.
Poza tym gdzie możesz być.
Chciałbyś, żeby człowiek był miejscem.

OSTATNIE DOBRE MIEJSCE

Śmierć powoli poznaje nasze imiona.
Jaka różnica kiedy rozszyfruje je w całości?
Wypadałoby chociaż przed nią nie udawać,
zachować kłamstwa dla samych siebie
że mamy tutaj jeszcze coś do zrobienia,
że mieliśmy tu coś do zrobienia kiedykolwiek.

Życie tak piękne, że od dawna spacerujemy
po stałych ścieżkach robactwa,
przechodzimy na stronę wrogów,
obróceni plecami do własnej istoty,
z twarzą skierowaną ku fikcyjnym światłom,
z braku,
z braku prawdziwych.

Obejmujemy siebie jakby to miało nas uratować
przed tym co robimy sobie, co robimy innym,
co robi nam świat. W objęciu widzimy
ostatnie dobre miejsce.

Nie kaźcie nam wracać.
Nie chcemy już wracać.

Kazimierz Brakoniecki

POETA JAKO ATEISTA MISTYCZNY

To, co nie istnieje, nie jest tajemnicą

Stanisław Jerzy Lec

*Wiara to doświadczenie tego, że rozum jest oświecony
przez miłość*

Simone Weil

1.

Pochodzę z rodziny katolickiej, w której religia była autentycznie przeżywana oraz praktykowana, szczególnie ze strony rodziny matki. Pominę indyferentnego ojca (dwa razy w roku w kościele – zachowana w mieście ludowo-obrzędowa oczywistość), a skupię się na postaci w tej sferze najważniejszej, na dziadku Wacławie Sokólskim. Mieszkając od 1945 roku w Olsztynie, prenumerował i czytał uważnie z ołówkiem w rękę „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”, którymi następnie ja się zająłem w kilka lat po jego śmierci, kiedy znalazłem w piwnicy sterty tych (jeszcze niespalonych w piecu) czasopism i cienkie zeszyty z jego budującymi notatkami o naturze Boga i wiary w kontekście zdobyczy współczesnej nauki (szczególnie go zajmował Teilhard de Chardin). Lżejszej lekturze katolickich gazet, jak na przykład „Przewodnik Katolicki”, oddawała się jego żona, a moja babcia Tosia, która przekazywała przeczytane czasopismo swojej córce Zuzannie, mojej mamie. Jako dziecko przesiąkałem katolicyzmem fideistycznym, „matczynym” – mama dzięki mocy religii przetrwała wraz z Tosią i dalszą rodziną sześć lat gehenny w Związku Sowieckim.

Jako nastolatek fascynowałem się i brzydziłem ciałem, i grzechem; silnie przeżywałem życie i śmierć Jezusa (utożsamiałem się z jego męką i opuszczeniem). Od wczesnych lat przerażała mnie śmierć i trapiło zło, jego natura, a osobiście wydarzenia II wojny światowej. Tym bardziej, że wychowałem się na olsztyńskiej ulicy i podwórku „polsko-warmińsko-mazursko-pomorsko-niemieckim”, w którym dziecięce gry i wspomnienia wojenne dorosłych, jak i ówczesne patriotyczne seriale odgrywały dużą rolę w spektaklu peerelowskiej interpretacji dziejów najnowszych. Ogromny cień wojny i związana z nią trauma rodziców i dziadków ważyły na naszym wychowaniu i sentymentach. Na mnie jakby szczególnie silnie. W parafialnej katedrze modliliśmy się do obrazów i krucyfiksów noszących ślady niemieckiej religii. Mój kolega z podwórka pokazywał mi wojskowy pas ojca z kłamrą „Got mit uns”. Bóg niemiecki walczył z Bogiem polskim.

Należę więc do pokolenia powojennego, które po raz pierwszy w historii Polski przez wiele lat nie zaznało koszmaru wojny, zestarzało się w pokoju, do-

czekało demokracji, żyjąc na przecięciu religii rodzinnej (parafialnej, skrywanej) z ideologią państwową (edukacja, propaganda, kariera), jak i historii prywatnej (prawdziwej, skrywanej, niechcianej) i tej oficjalnej (nieprawdziwej, urzędowej). W szybko laicyzującym się kraju socjalistycznym (co, uważam było postępowe) religia żyła życiem podskórnym, ale nigdy niezlikwidowanym, w końcu zdobywając status drugiej władzy w postaci spolegliwego Kościoła (począwszy od epoki Gierka). Miliony należały do PZPR, miliony (często te same) chodziły do kościoła, chrzcili dzieci, co z PRL-u uczyniło ewenement w Europie Wschodniej. I tak, jak trudno było od lat siedemdziesiątych CC wieku znaleźć ideowego (i prawnego) komunistę, tak trudno również było znaleźć autentycznego i intelektualnie zakorzenionego w wartościach chrześcijańskich polskiego (prawnego) katolika. Wygrały osoby łączące paradoksalnie i umiętnie te dwie „naczelne” (katokomunistyczne) postawy – przy czym zwyciężały interesowność, hipokryzja, obrzędowość, kłamstwo, oportunizm. Heroiczne wyjątki się zdarzały, ale nie w moim prowincjonalnym i wymieszanym społecznie mieście na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. To mnie jako młodego człowieka szukającego autorytetów drażniło, buntowało, z tym musiałem sobie jakoś poradzić, szukając indywidualnej drogi z dala od przyziemnego katolicyzmu ludowego i oportunistycznego socjalizmu partyjnego.

Od dzieciństwa bałem się władzy (ojcowskiej, szkolnej, państwowej, zawsze przeciw opresyjnej) i brałem stronę innych, krzywdzonych, skomplikowanych, słabszych (wpływ bardzo uczuciowej i ocalonej z kaźni matki Sybiraczki). Do końca podstawówki chodziłem chętnie na plebanie na lekcje religii, chociaż do kościoła na msze coraz rzadziej. Zaczęło mnie przyciągać w tym samym czasie otwierane kino. W liceum przeżywałem momentami fascynację filozofią materialistyczną, co tak przerażało matkę, która wraz z babką modliła się o moje powołanie kapłańskie (w rodzinie były trzy siostry zakonne, jeden kuzyn kleryk Kazimierz, który stracił zmysły i zmarł po powrocie z hitlerowskiego obozu koncentracyjnego). Koniecznie chciałem poznać marksizm jako zrozumiałe wyjaśnienie tajemnicy życia (Fryderyk Engels) i społeczeństwa (Karol Marks), ponieważ nie mogłem pojąć, dlaczego Bóg (skoro jest wszechmocny, wszechdobry, wszechobecny) pozwala na zło (historyczne, metafizyczne, społeczne). Dostrzegalem w nim dwoistość (anielsko-diabelską), która mnie trwożyła. Jednak najpierwszą książką zbrojecką okazały się (w dłuższej perspektywie czasowej) *Eseje* Michała Montaigne'a.

Urodziłem się w siedem lat po wojnie, więc wysłuchiwałem wielu strasznych historii, wertowałem książki o niemieckim ludobójstwie Polaków i Żydów, wręcz nie mogłem oderwać oczu od tych fotografii z rozstrzeliwań i mordów. Zdecydowałem, że taki osobowy, teistyczny Bóg (interweniujący, miłosierny, jak mnie uczono, a nie ten nieobecny Stworzyciel deistyczny i ukryty) jest współodpowiedzialny (jako wszechdobry i wszechmocny?) za radykalne zło dziejące się na Ziemi, skoro jest stworzycielem wszystkiego. Zakwestionowałem jego funkcję Boga etycznego, dobrego (prześlągalna ofiara Jezusa, który został zdradzony przez Ojca, nie zlikwidowała fatum radykalnego zła na ziemi). Tak odczuwany przeze mnie Bóg to Car-Szatan,

przeciwko któremu należy się zbuntować (lektura III części *Dziadów* mną wstrząsnęła!). Mimo to moje zapatrywania, czy to licealne, czy studenckie, właściwie aż do stanu wojennego w grudniu 1981 roku, krążyły obsesyjnie wokół wolnego chrześcijaństwa, wokół chrześcijańskiej myśli społecznej: personalistycznej, postępowej, socjaldemokratycznej. Całą swoją religijną miłość skupiłem na postaci Jezusa, który z Syna Bożego z biegiem lat stawał się w moich oczach (oczywiście przeczytałem Renana!) człowiekiem, nadczłowiekiem, ofiarą zdrady starszych, symbolem miłości bliźniego, a jednocześnie synem zbuntowanym przeciwko okrutnemu ojcu Jahwe – wojowniczemu i amoralnemu bogu plemiennemu (bogowi-diału), a nawet – tutaj zadziałały silne uczucia anarchistyczno-kontrkulturowe – Chrystusem z karabinem (wojownik chrześcijańskiej lewicy przeciwko każdemu państwu autorytarnemu, w tym komunistycznemu...).

Tuż przed podjęciem decyzji, co chcę robić po maturze, na kilka miesięcy w sposób zupełnie dla mnie wtedy nieoczekiwany wpadłem w żarliwe nastroje religijne, które spowodowały, że nawet poważnie rozważałem wybór drogi kapłańskiej. Jednak pewnego dnia w marcu 1971 obudziłem się całkowicie uwolniony od euforii religijnej, która okazała się ostatnim przejawem uczuciowej wiary dziecięcej. Poczuliem się wyzwolony, wolny wręcz fizycznie. Na studiach polonistycznych w Warszawie przede wszystkim martwiłem się, czy zostaną „prawdziwym poetą”, miałem silne pokusy samobójcze („życie nie ma sensu, jest absurdałne, a ojczyzna, którą tak ukochałem, jest nieszczęśliwa”) aż do momentu, kiedy zaczęły nawiedzać mnie stany jedności ze światem kultury i przyrody (dużo samotnych lektur i wędrówek pieszych, olśnień i rozmyślań). Uduchowiłem się na potęgę, czytając Simone Weil (jej *Świadomość nadprzyrodzona* to dzieło genialnej mistyczki wszech czasów!), Blaise’a Pascala, Rainera Marię Rilkego, Hermanna Hessego, Walta Whitmana, romantyków, teologów, filozofów (od Platona po Stanisława Brzozowskiego) i coraz częściej myślicieli Dalekiego Wschodu. Mój chrystianizm, żywiony pismami Weil oraz esejami Czesława Miłosza obierał kurs bardziej manichejski i heretycki, a mój egzystencjalizm, chwilowo żywiony chrześcijańskimi esejami Edmunda Mouniera, Gabriela Marcela, a następnie ateistycznego Alberta Camusa, swawolnymi dziennikami Witolda Gombrowicza, prorockimi diatribami Nietzschego, stawał się coraz bardziej zbuntowany, indywidualny, areligijny.

Pamiętam, jak często, przebywając samotnie w Tatrach, wielokrotnie czytałem Ewangelie, próbując w kontekście czystej poezji jako skoku wiary w sakralną wyobraźnię wykreować wierszowaną emanację tu i teraz ideałów ewangelicznego chrześcijaństwa etycznego. W połowie lat siedemdziesiątych przemieszkowałem w drewnianym domu na Gładkiem w Zakopanem u Stanisława Gąsienicy-Byrcyna, mądrego człowieka i góralskiego poety, którego naturalny mistycyzm spletał się z ludowym katolicyzmem. W tym samym okresie studiowałem filozofię hinduską i teologię śmierci Boga (wydawnictwo PAX w tamtych latach wydawało bardzo ważne „zbójcekie książki” z zakresu hermeneutyki, filozofii religii i filozofii egzystencjalnej).

Oczywiście były to moje własne, pogmatwane, sprzeczne, szczere bojowania, ale jednocześnie całego pokolenia kontrkulturowców, emigrantów wewnętrznych, buntowników, a chociażby tylko outsajderów („ani Kościół, ani Partia, ani kariera czy inna cholera”). Nasze zainteresowania różnymi kulturami, religiami, filozofiami na pewno przyczyniły się do powolnego rozkładu ideologicznego, obyczajowego oraz kulturowego systemu PRL. Po raz kolejny zamierzałem wycofać się na stałe z normalnego życia i w tym celu pojechałem na kilkudniową wizytę do opactwa benedyktynów w Tyńcu, ale – pomimo pięknego przyjęcia – szybko się zreflektowałem, że moja dusza poety jest krnąbrna, pełna sprzeczności i zmysłowego nienasycenia.

2.

Mój demontaż chrześcijaństwa zaczął się od odrzucenia osobowego Boga judeochrześcijańskiego, któremu nie mogłem wybaczyć faktu, że nie pojmuję jego planu teodycei („skąd zło?”, Bóg-Szatan). Zupełnie nie przekonywała mnie *Księga Hioba* (potężny Bóg i uległy człowiek), chociaż chwilowo przekonał Carl Gustav Jung, który w dramacie Jezusa widział zamierzone dopełnienie (odkupienie) losu Hioba. W ogóle Biblia przerażała mnie swoją plemiennością, mordami w imię Boga i fanatyzmem. Ulubioną moją księgą mądrościową pozostały jedynie melancholijne wyznania mądrego Koheleta oraz listy św. Pawła o równości ludzi w wierze. Cóż, Bóg Koranu okazał się jeszcze gorszy, bardziej zapiekły i plemienny. Biorąc pod uwagę zdanie św. Pawła, prawdziwego twórcy chrześcijaństwa, że podstawą wiary chrześcijańskiej jest wiara w zmartwychwstanie Mesjasza Jezusa-Boga, to ja znalazłem się poza chrześcijaństwem, nie potrafiąc uwierzyć w żadne dogmaty tej mojej rodzinnej religii – nawet w symboliczne zmartwychwstanie ukochanego Jezusa – zdradzonego Syna, nie wspominając takich obłądnych i baśniowych wydarzeń czy też, jak wniebowstąpienie Najświętszej Marii Panny, niepokalane poczęcie, wskrzeszanie zmarłych, nieomylność papieska itp. Na nic zdały się moje mistyczne impresje w kontakcie z ustaleniami autorytarnej teologii i dogmatyki katolickiej. Mój mistycyzm inspirowany przeżyciami intymnymi oraz lekturami wielonarodowych mistyków (w tym ulubionej teologii negatywnej) zupełnie nie przekładał się na realia dogmatycznego, tomistycznego, kościelnego katolicyzmu wyznawczego. Nie umiałem być posłusznym, cierpliwym, bezrefleksyjnym niewolnikiem dogmatu, nie potrafiłem poza tym kochać Boga bez podejrzeń.

Myślę, że w tym długotrwałym procesie poszukiwania autorytetu już na początku swojej drogi skazany byłem na niepowodzenie, ponieważ niezwykle czuły byłem na punkcie swojej wolności i obawiałem się każdej narzuconej wiary (ideologicznej i religijnej). Pod koniec 1977 roku znalazłem się po sześciu latach z powrotem w Olsztynie (po drodze był m.in. Wrocław, w którym zamieszkałem ze względu na... Angelusa Ślązaka i Rafała Wojaczka). Nigdzie nie mogłem znaleźć ukojenia. Musiałem dalej sam wędrować, stałe być w drodze, zaakceptować swoje nienazwane, bolące pragnienie tożsamości – jedyną moją bronią stała się wolna po-

ezja, a przecież żyłem w niewolnym kraju! Tak, bałem się potwornie życia i śmierci, pogardzałem codziennością, samym sobą, że nic nie zmieniam w tej smutnej, biednej, głupio cierpiącej ojczyźnie; wydawało mi się, że nic już mnie w moim kraju nie spotka, że jestem wyrzucony poza nawias społeczeństwa z powodu tego, że nie akceptuję podlej, cynicznej, obłudnej rzeczywistości PRL-u i zakłamanych ludzi. Biedna i samotna młoda dorosłość w rodzinnym mieście, w którym byłem jako człowiek krytycznie myślący i czujący po prostu wyizolowany. Nawet rodzina i ojczysta religia w swojej liturgiczno-obrzędowej oprawie pozostawała skrajnie obca, chociaż krążyłem w jej pobliżu jako wierny chrześcijanin kulturowy. Zachodziłem do kościoła tylko wieczorem w Wielki Piątek – kiedy Jezua był martwy, zdradzony, opuszczony, nieobecny. Czułem wręcz fizycznie, że nie ma dla mnie w moim kraju przyszłości. Nie wymigrowałem, bo żona zdecydowanie była temu przeciwna, a ją kochałem.

Nadszedł okres, kiedy zdecydowałem się pożegnać z manichejską wizją rzeczywistości Weil, ale nie z jej procedurą oczyszczania Boga z hipostaz – prawdziwy ateizm wynika z miłości, z wyrzeczenia, z oczekiwania, z odrzucania uzurpacji antropologicznych; religia jako źródło pociechy jest przeszkodą w prawdziwej wierze – Bóg istnieje, zdanie prawdziwe; Bóg nie istnieje, zdanie też prawdziwe – złudzeniem jednakże nie jest moja miłość do niego (akt woluntarystyczny, a nie dowód ontologiczno-teologiczny). *Amor fati* Weil i Friedricha Nietzschego!

Z przekonania stałem się nieufnym indywidualistą-humanistą oraz bezwyznaniowym chrześcijaninem, którego kolejną wyrocznią – po teologach śmierci Boga, teologii negatywnej, Camusie, Weil, Nietzschem, Martinie Heideggerze („poetyckie zamieszkiwanie na ziemi”) – stał się Dietrich Bonhoeffer, niemiecki pastor zamordowany przez hitlerowców pod koniec wojny, twórca etyki transcendencji chrystologicznej: Chrystus-człowiek jako Bóg jest spotkaniem z drugim człowiekiem, a innej transcendencji tutaj nie ma poza tą odważną i miłosierną komunikacją bezpośrednią. Aktualne wydarzenia polityczne (wprowadzenie stanu wojennego, kompletny chaos, ostateczny upadek moralny reżimu komunistycznego, agresja i nienawiść jako fakty społeczne) domagały się absolutnych rozwiązań, których nie mogłem znaleźć w sobie samym i w zastanych propozycjach światopoglądowych. Wiersze, które pisałem były dokumentem rozpaczliwego poszukiwania wyjścia z destrukcyjnej matni emocjonalnej, poznawczej, egzystencjalnej. Nie potrafiłem odnaleźć się ani w obozie zwycięzców (nigdy przecież z nimi nie byłem i nie mogłem być!), ani w obozie przegranych (my nieszczęśliwe ofiary historii, poszli nasi w bój bez broni!).

W dwudziestowiecznej religijnej etyce bez Boga Bonhoeffera odnalazłem żywą religię ewangeliczną opartą na prawdziwym przesłaniu etycznym wobec tu i teraz żyjącego Jezusa (bliźniego): męczennik, więzień, świadek, prorok w świecie w i po Auschwitz! Ty i Ja; ja i Ty – najwyższe braterstwo w wyzwaniach historii, w dylematach codzienności, w zobowiązaniach moralnych, w odwadze bycia! Planowałem przejście na protestantyzm, ale szybko mi przeszło, nie tędy droga:

jesteś pełnokrwistym poetą, czyli w oczach każdej hierarchii kościelnej i ludu ślepo wierzącego we wszystko, co ułatwia mu wegetację i zapewnia bezmyślny rytuał, podejrzanym wyrzutkiem, neurotycznym błędem poznawczym, zagrożeniem jedności! Ta relacja nakładała mi się na inną kosmiczno-religijną relację: brahman-atman: ty jesteś tym, *tat tvam asi*, czyli mój pojedynczy umysł jest umysłem boskim (duchowym) – i to ona jako zasada kontemplacyjna przez jakiś czas we mnie górowała.

Tak, byłem samotny, niezrozumiany, neurasteniczny, z wielkimi duchowymi pretensjami, a wyrażałem to w wierszach mało zrozumiałych, pokrętnych, w których ukrywałem swoją rozpacz, niezgodę, uwięzienie, swoje panteistyczne uniesienia autobiograficzno-mistyczne. Miłość do żony, narodziny synów, zajmowanie się nimi, kontakt z przyrodą stron rodzinnych, wyprawy piesze, autobusowe, potem rowerowe, częste rozmowy ze znanymi lub obcymi zupełnie mi ludźmi – mieszkającymi na Warmii i Mazurach – powoli w latach osiemdziesiątych otwierały mi oczy na świat zewnętrzny. Bolała mnie ojczyzna. Niczego nie byłem pewien oprócz jednego, że ocalić może mnie wyłącznie poezja, poezja jako specyficzna i wolna droga romantycznego poznania, której zadaniem miałoby być odkrywanie duchowej, zanurzonej w konkretnych przejawach życia, prawdy losu. Taka poezja tożsamości indywidualnej i braterskiej, poezja oryginalnego doświadczenia metafizycznego z dala od ortodoksji religijnej i ideologicznej, wyrosła z uważnej i kreatywnej wivisekcji konkretnego człowieka i miejsca, która kierowała mnie w kierunku niezależnej duchowości opartej na wolności kreatywnego myślenia. Ani Bóg, ani byt, tylko świat. Ani Kościół, ani Partia, tylko życie. Żadna poezja dla siebie i formy, ale poezja z czegoś (konkretny świat przedstawiony) i dla czegoś (wizja jedni istnienia) – realizm metafizyczny.

Właściwie nie spotkałem ani jednego współczesnego wybitnego polskiego teologa lub filozofa, który zmagałby się na wysokim i światowym poziomie z niepowtarzalnym i jakże tragicznym doświadczeniem XX stulecia. Józef Tischler czy Leszek Kołakowski, w dużym stopniu, ale nie w największym. W literaturze, jak najbardziej: Tadeusz Borowski, Tadeusz Różewicz, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński, Aleksander Wat. W czasie pracy w bibliotece seminarium duchownego Hosianum (gdzie się na rok schroniłem) zapoznałem się z dziesiątkami polskich książek nabożnych i teologicznych o niewielkich, poza duszpasterskimi, wartościach intelektualnych. W tym czasie kiedy wszyscy, lub prawie wszyscy, żyli nadzieją symbolizowaną postacią polskiego ojca świętego, ja nieodwołalnie odchodziłem nie tyle od ortodoksji katolickiej czy nawet chrześcijańskiej, ile podążałem w zupełnie innym kierunku – w dramatyczną sferę poetyckiego zyciopisania, które nie potrzebowało żadnego boga teistycznego, monoteistycznego, ideologicznego, żadnej oficjalnej religii, świątyni, dogmatycznego światopoglądu politycznego, żeby honorować swoje wolne metafizyczne doświadczenie Jedni istnienia w braterstwie ze światem żywych i umarłych.

Dziwne to było uczucie – jako dziecko polskiego katolicyzmu, jako dziecko polskiego, urażonego patriotyzmu bazującego na fundamencie mitu ofiary, zdradzo-

nego narodu i szlachetnej miłości do ojczyzny – szukałem własnej, nonkonformistycznej drogi duchowej w dramatycznym momencie dziejowym, która by uzdrowiła moją psychikę, moje życie codzienne, a żeby to osiągnąć, musiałem opuścić wygodne i sprawdzone drogi zbiorowej religii etnicznej, ludowo-katolickiej, tak jak wcześniej odrzuciłem niebezpieczne idee narodowosocjalistycznej PZPR.

Tak, wdzięczny byłem PRL-owi, wdzięczny byłem Kościołowi, że dali mi szansę na edukację, na pokój, na „zbawienie”, które wykorzystałem, ale dlaczego nie ma dla mnie w mojej ojczyźnie autentycznego miejsca do godziwej i twórczej pracy wewnętrznej i zewnętrznego rozwoju? Dlaczego muszę być tym gorszym, ja nie-katolik, nie-komunista, ja – więc kto? A czas za oknem nie sprzyjał myśłom indywidualistycznym – stan wojenny i powojenny bez szans i nadziei na rewolucyjną zmianę. Długo dojrzywałem jako człowiek, długo dojrzywałem jako poeta. I może teraz jestem dalej w drodze, która jest wszystkim, jeżeli uważnie widzę i rejestruję świat, ludzi, samego siebie w intencji doświadczenia krytycznej i podmiotowej prawdy życia. Piszę wiersze, bo żyję, pisze wiersze, bo umrę, bo w ten sposób odbieram tożsamość losu. Poezja nie jest celem (czystą sztuką), poezja jest przesłaniem, jest w drodze z nowiną o ocaleniu gdzieś tam i w kimś tam pełnego i twórczego życia w katastrofie umierania życia; jest metafizycznym doświadczeniem zwykłej rzeczywistości, ważnym zapisem stanu ostatecznego każdej rzeczy świata tego, któremu nadaje podmiotową tożsamość i wspólną realność, jest po-etyką wolności.

3.

Kiedy nadeszły czasy przełomu politycznego w 1989 roku, mogłem po raz pierwszy powiedzieć o sobie, że jestem w pełni gotowy do dojrzałego życia jako poeta, ojciec, obywatel, że te trudne lata, podczas których tak po omacku, ale indywidualnie, poszukiwałem sensu życia w nieciekawym mieście nie poszły na marne: odnalazłem swoje miejsce w życiu, historii, rodzinie, ojczyźnie, zbudowałem swoją tożsamość dzięki niepodległej pracy duchowej opartej na eksploracji poetyckiej samoświadomości oraz odpowiedzialności. Tak, to poezja mnie ocaliła, a jej naczelną rolą było autentyczne budowanie prawdy o mnie samym w celu zaakceptowania życia, w celu otwarcia na świat zewnętrzny, który domagał się prawdy, szacunku, szlachetności. Bez instytucjonalnego, bez kosmicznego, bez partyjnego Boga, Bóstwa, Bożka. Byłem w stanie nie tylko pisać wiersze o tym, co widzę, czuję, myślę w przymierzu z życiem i samym sobą („światowanie i światologia”), lecz także aktywnie współuczestniczyć w demokratycznej przemianie mojej małej ojczyzny, Warmii i Mazur.

Dalej studiowałem filozofię egzystencjalną, aby poszerzyć swoje pojęcie „religijności inaczej” (bez osobowego Boga z racji etycznych – antyteizm; ateizm – bez Boga w ogóle z racji wszystkich), żeby uwolnić się od stale mnie trapiącego poczucia nierealności, żeby zakotwiczyć się głębiej w powszedniości, której uniwersum otwarte jest na paradoksy i pułapki myślenia, żeby zaakceptować siebie jako Ciałność (ciało-umysł-kosmos jako Jednia, stąd moje pojęcie Ciałności) bez potrzeby

życia po śmierci, lęku przed skończonością, sądem, karą, wieczną nagrodą, przed tymi i innymi hipostazami, liturgiami (religijnymi i ideologicznymi). Nabrałem szacunku do konkretności, do ludzkich żywotów, do opowieści, które wszyscy mamy do dyspozycji w czasie naszej drogi: szyfry transcendencji (Karl Jaspers) i szczeliny istnienia (Jolanta Brach-Czaina).

Droga ta dla mnie kończy się wraz ze śmiercią i niczego poza nicością, czyli zniknięciem nie pragnę. Życie ma dla mnie wartość najwyższą nie dlatego, że będę z niego przez Boga osądzany, ale dlatego że w imię solidarności z ludźmi warto stworzyć kulturę otwartej, wolnej, pokojowej, szlachetnej ludzkości (planetarnej). Buddystą nie zostałem, mimo iż ta religia bez Boga była mi najbliższa (w wersji palijskiej jako bardziej filozofia życia niżli religia). Nie jestem też chrześcijaninem (nawet już kulturowym), a więc tym bardziej (polskim) katolikiem. W dużym stopniu udało mi się pokonać dwie moje obsesje naprowadzające mnie na czucie religijne – to życie jest niereczywiste, ten świat to tylko przejście do prawdziwego świata wieczności czy wiecznych idei (*metaxu*); życie jest cierpieniem i trzeba się z niego wyzwolić (krzyż i zmartwychwstanie Jezusa albo oświecenie tu i teraz Buddy, zerwanie z cyklem wcieleń). Nie zostałem synkretycznym wyznawcą New Age'u (skoro Boga nie ma, można wierzyć we wszystko). W życiu codziennym jestem racjonalistą, niepokornym sceptykiem, natomiast w życiu duchowym, czyli podczas uprawiania poezji jestem mistykiem światłościowym; w życiu politycznym jestem socjalizującym liberalnym demokratą, humanistą kosmopolakiem, którego poezja wyznaje religię wolności – jest konkretną mową o doświadczanej tajemnicy (transcendencji) życia. Jestem kosmopolakiem a nie kosmopolitą, Europejakiem, a nie Katopolakiem. Jestem i mnie nie będzie, z czym też się pogodziłem, bo nie jest tutaj na własność: ludzie, ziemia, sny, prawda, nawet miłość.

Niepotrzebna jest mi sankcja najwyższa, którą uzurpują sobie przedstawiciele instytucjonalnych religii i wyznań w celu znieprawdzenia opornych, niewierzących, wolnych, wahających się. Również odrzucam każdą teologię władzy i przemocy opartą na podróbkach łże-religii. Hipostaza osobowego Boga jest dla mnie najpaskudniejszym symbolem instrumentalizowanej alienacji człowieka w sytuacji, kiedy religia utożsamiona jest z władzą instytucjonalną i prowadzi do czysto ziemskich polityk zniewolenia oraz do ucieczki od wolności. Bóg-Kościół-Biskup-Partia-Wódz, czyli *praxis* autorytarnej wiary. Obecnie jest mi ideologiczne myślenie oparte na jakiegokolwiek prawdzie objawionej, ponieważ uważam, że ten „wyższy świat” absolutnych idei należy do „niższego” świata kultury, którego autorem jest ludzkość, ratująca się budującymi opowieściami przed rozpaczą i metafizycznym lękiem. Człowiek ma prawo jako twórca zmieniać i wymyślać coraz to nowe, lepsze religie, systemy polityczne, pozytywne i świętokradcze narracje, ma prawo pozostawać przy swojej tradycji, religii, jeżeli autentycznie wierzy w to, w co wierzy i nie uzurpuje sobie prawa do przekształcania osobistej i humanitarnej religii czy ideologii religijnej w zamknięty (twardy) totalitarny ustrój państwowy, jednomyślny, jednopartyjny, jednokulturowy.

Powiada się, że w świecie po Bogu („śmierć Boga i śmierć człowieka”) wszystko jest dozwolone. Myślę, że było i jest odwrotnie – w świecie jedyne go Boga (jedynego autorytetu objawionego i jedynej, opatrnościowej partii i wodza), w świecie jednej obowiązującej religii (ideologicznej – systemu totalitarne) wszystko jest dozwolone, ponieważ panująca aktualnie i sakralnie uświęcona władza (tożsama z panującą religią) uzurpuje sobie bezwzględne polityczno-teologiczne prawo do decydowania o życiu i śmierci jednostki i społeczeństwa. Dla jego „dobra” i w jego imieniu.

Na szczęście straciłem powierzchowną wiarę polskokatolicką, straciłem bezpieczną wiarę w objawionego i wskrzeszonego Boga osobowego (w tę słodką baśń-każń ofiarną), odrzuciłem widzialny, materialistyczny i obłudny Kościół, każdą opętaną żądzą władzy ortodoksję religijną i polityczno-ideologiczną. Nie wierzę w absolutną prawdę objawioną, w absolutną religię objawioną, absolutną partię objawioną, w narodowe państwo partyjne, które chce zniewalać, oszukać, proponując zniewolenie innych w liturgicznych, bogoojczyźnianych, skłamanych dekoracjach. Nie walczyłem i nie będę walczył z religią (jako osobistą ścieżkę rozwoju duchowego), ponieważ uważam, że potrzeba pewności religijnej, bezpieczeństwa duchowego jest niezbywalnym, osobistym składnikiem inteligencji emocjonalnej człowieka, że niewiele ludzi porzuca bezpieczeństwo egzystencjalne i intelektualne na rzecz niezależnego i krytycznego myślenia, osądu i działania na własną odpowiedzialność. Z drugiej strony nie zgadzam się na traktowanie mnie jako kogoś gorszego, niepatriotycznego, nienadającego się do wspólnoty narodowej z powodu używania wolnego i otwartego umysłu do niezależnego interpretowania świata, który nie jest ani mój, ani wasz: jest z innej bajki.

4.

Jako poeta kultuwuję pragnienie nieskończoności/tajemnicy życia, ponieważ sądzę, że wartości duchowe (transcendentne) są jako wartości kulturowe (a nie ontologiczne) immanentnie wpisane w naszą materialną, psychiczną, egzystencjalną rzeczywistość życia. Z tej stykającej się pozornie sprzeczności nie wyrasta sekta, poetycko-postmodernistyczna religia prywatna, ani tym bardziej ortodoksyjne i ekspansjonistyczne etniczne wyznanie wiary, lecz elementarne, wątpliwe, indywidualne, spontaniczne i wolne wędrowanie w przymierzu z kruchym pięknem śmiertelnego życia, którego twórcza cudowność spełnia się i zanika w każdej chwili i w każdej rzeczy świata tego.

Taka poezja jest osobistym wyrazem postreligijnego widzenia rzeczywistości – śmierć dotychczasowego Boga objawionego religii oficjalno-kościelnej (dotyczy to zresztą wszystkich religii tzw. Jednej Księgi: judaizmu, chrześcijaństwa, islamu); śmierć dotychczasowego człowieka historyczno-metafizycznego, w którym pojawiające się pragnienie transcendencji przypomina bardziej duchowy proces estetyczny niż metafizyczny. Mam tego świadomość, a silnie zakorzeniona we mnie powinność poezji wobec życia, ludzi i świata domaga się poważnego traktowania jej

posłannictwa, które określam mianem metafizycznego projektu Wspólnej Obecności (po-etyka jako integralne doświadczanie Jedni świata: nazywam to doświadczenie światologią). Wiara poetycka jest uczestnictwem w dramacie świata, jak i niezgodą na zastany świat. Jest nieufna, sceptyczna i zarazem kreacyjna, ateistyczna i zarazem duchowa, bo ma prawo do tworzenia kolejnych opowieści o skomplikowanej naturze dzisiejszej rzeczywistości, o innym i tym samym komosie, o tych samych i innych wymyślonych przez ludzkość bogach i diabłach, o nowoczesnych, zdezorientowanych ludziach, którzy szukają sensu istnienia, tworzą nowo-stare mitologie, religie, filozofie. Struktura umysłu, wyobraźnia losu, wachlarz potrzeb egzystencjalnych nie zmieniły się, w podświadomości człowieka zawarta jest cała archaiczna wiedza, zachwyty i przerażenie istnieniem – jedynie zmieniły się po raz kolejny technologiczne dekoracje. Poezja jest eksplozją samowiedzy pojedynczego ducha wewnątrz gorącego tu i teraz (tajemniczego, tragicznego) świata.

Kazimierz Brakoniecki



Wojciech Trzyna, *Pasja kolbuszowska*, pastel na płótnie, 2005.
Z wystawy *Powrót do rajy. Spotkanie*

Janusz Pasterski

Notatnik otwarty

PIĘĆ IMION DLA ŚWIATA

Zbliżać się, przenikać, oddawać, scalać, a może przeciwnie – oddalać się, uciekać, tworzyć własną rzeczywistość, niepodobną do żadnego realnego świata. Czym jednak dla poety może być realność, zaledwie początkiem, startem, punktem wyjścia dla rozpędzonego języka. Sposób uchwycenia rzeczywistości w wierszu należy zapewne do najbardziej odrębnych, osobistych właściwości stylu poety. Jest przedłużeniem jego oka, złączonym z wyobraźnią i zarazem zamkniętym w strukturze języka. Mowa wiersza jest jednak zamknięciem specyficznym, bo jednocześnie otwiera niekończący się łańcuch myśli, pytań, odpowiedzi, dopowiedzeń, asocjacji, słowem – całą tę dialogiczną sferę kultury i tradycji, która pozwala poezji być ważnym głosem współczesności.

Wiersze Adriana Sinkowskiego cechuje właśnie tego rodzaju stan napięcia pomiędzy realnością świata przedstawionego a zdecydowanym rysem indywidualnej, niepowtarzalnej perspektywy postrzegania rzeczywistości. Ten świat wciąga od samego początku. Rzeczowy, realny, a zarazem wychyłony ku odczuciom, emocjom, pamięci. O jego niezwykłości decyduje język – odrębny, śmiały, sugestywny, celnie kreślący rysy i detale świata wyobrażonego, a przecież tak realnego, bliskiego, możliwego. Adrian Sinkowski potrafi być niezwykle uważnym, wnikliwym obserwatorem, wydobywającym na światło to, co niewidoczne, ukryte, często anonimowe i – zdawałoby się – bez znaczenia. Taki sposób budowania wiersza przykuwa uwagę, budzi namysł, zachęca do powtórnej lektury, choćby po to, aby rozedrgane wrażenia odbiorcy zmieniły się w spójny obraz.

Obserwacja często łączy się tutaj z opowieścią. To historie o dążeniu do jakiegoś celu, często podsyte ludzką niepewnością, związane z zagrożeniem. Trzeba w nich walczyć o siebie, o swój świat, prawo do podążania własną drogą. Bohaterowie tych wierszy uciekają przed niebezpieczeństwem, szukają miejsca dla siebie, przeżywają wątpliwości. Nawet jeśli „śmieją się w twarz zyciu”, to ich los jest przesądzony i naznaczony niepamięcią, jak garstki żydowskich dzieci skrywających się gdzieś na skraju lasu. Jak zapisać znikanie? Zostaje tylko pustka, w której „dokoła sztetlu psy gonią za echem” (*Narewka*). „Skądinąd” wędruje kobieca postać nad Seretem, zagubiona w obcej przestrzeni i niosąca w pamięci to, czego już nie ma („była sobą, jest nikim”). Sadza na zwęglonym pniu, podmywanym przez rzekę, zdaje się zacierać wszystko dookoła. Jedyne świt nowego dnia przywraca stały kształt, ale czy również treść minionych zdarzeń (*Skądinąd*)? Wątpliwości muszą być jednak zastąpione działaniem, ponieważ ono nadaje sens, wprowadza porządek,

wyrywa ze zwątpienia. Tak postępują bohaterowie wiersza *Megafon*: „robią coś, co ma sens, skoro ciągną kufer”.

Wiersze Adriana Sinkowskiego są refleksją o wadze ludzkich dążeń, podnoszeniu się z upadku, budowaniu ładu wbrew każdemu niebezpieczeństwu, grozie śmierci i dotkliwoci przemijania. „Smutny świat, lecz nie ma innego” – pisze poeta w wierszu *Dzień czterdziesty dziewiąty: Brwinów*. Trzeba go stale budować na nowo, nasycać znaczeniem, układać w bliski sobie rytm, porządek, ład. Ważnym walorem tych utworów jest oryginalny i niezwykle obrazowy język, zdolny unosić skomplikowany, wielowarstwowy obraz świata. Uważny, konkretny, przywiązany do detali, odsłania ukryte płaszczyzny naszej egzystencji, pamięci, odczuć. Równocześnie w swojej świeżości kryje jednak niepokromioną siłę życia, która ludzkie działania wciąż obdarza energią, zaskakującą pewnością i wiarą w sens podejmowanych działań.



Marek Pokrywka, *Okruchy świętości*, olej na płótnie.
Z wystawy *Powrót do raju. Spotkanie*

Adrian Sinkowski

SKĄDINĄ

Tam dywan z żywokostu, tam Seret trąca w bok
skrawek zwęglonego pnia: zbiera z brzegu sadzę
na wpół wrośniętą w glebę, na wpół odsłoniętą,
tu i tam przekładaną szczawiem i bażyną.

Szarpnęła się za ramię, co nie miało sensu,
miało za to cel: poczuć, że jest, choć od dawna,
cucąca się pamięcią o tym, czego nie ma,
drżała, że gubi się od obcych nazw i ulic.

Każdy krok gniótl arnikę. W pół drogi ku żerdziom
świt rozplątuje się nad głową: rosa, szypot,
nawet tlen odzyskują kształty, a kształty treść.
Z błądą suknią po kostki, z brodą na kolanach

była sobą, jest nikim. Nie cofnie się czasu,
a gdzie tam, lecz siłą cofa, co czas z nią robi.
Plama słońca bez zwłoki ścina krople z fliszu.
W sekundę Seret zrósł się z sadzą, sadza z suknią.

MEGAFON

Proszę: głos z megafonu gubi się na dworcu.
Sztuchy, bedeker, muszle, kufer, ostrężyna.
Dokładnie tyle, dziewięć godzin i pięć minut.
Co tam, szczęśliwi czasu nie liczą, liczą się

za to z wydatkami: nie tak, do licha, miał się
krok po kroku spełniać sen pięcia się w hierarchii?
Ich sen, nie byle kogoś. A może jego sen?
Hierarchia z kolei jest hierarchią społeczną,

więc też niczego sobie. Sztychy, muszle, no i?
Łupina czasu pęka pod podeszwą na pół.
Co z tego, że ani on, ani ona, pewni,
że robią coś, co ma sens, skoro ciągną kufer,

śląd w ślad za barierkami pnąc się do pociągu,
od powrotu z niczego nie zrobią użytku:
nie dość, że część bagażu odkształca się przez dno,
to w domu za gablotą jęlczeje od słońca.

NAREWKA

Chmury mechacą się na bokach. Kropla w kroplę,
kiedy ciemność na pół wtargnie i na pół wieje
w stronę rzeki, mżawka, tfu, deszcz na skraju lasu
tarmosi żubra za grzbiet. Pięć imion dla zboża.

A gdzie pięć dla znikania? Oj tam, ten się śmieje,
kto śmieje się życiu w twarz i niech tak zostanie
bez liczenia, kto drugi, czwarty, kto ostatni
w kolejce po chałkę: Lejb zgina nawłoc w rękach,

potem Zelig miota się od mezuzy do drzwi,
na próżno migając się od zadań w drewnitni,
najmłodszy Henoch rzuca beztróska słowami
w innych, szczerze znużona, że tylko ona wie,

kiedy uciąć, Asenat karci braci wzrokiem,
drobna Taube zamyka stawkę. Nic tu po was.
Ósma, dokoła sztetlu psy gonią za echem.
Zbutwiały cień z reguły skleja się z gorączką.

DRZAZGI

Noc uśmiecha się w zbożu. Żadnego spierania,
żadnych pytań. Szkoda, że tego nie widzą: syn,
wzrokiem w polu, ciałem tu, myślami na Anfield,
czemu tam, tego nie wie, cicho drążąc tunel,

w miąższu po gruszcze jeździ palcem z góry na dół.
Nieprawda, że cisza go zbawi. Zbawi go sen.
Ze szpar między deskami wydostaje się chłód.
Miła odmiana: pachnie rezedą. Ale jak?

W pobliżu, Hamid, tylko namoknięta gleba,
trzy mlecze na krzyż: tędy z kolei lada dzień
wydobędzie się na świat i puszczone dziko
za niecką w ziemi, u stóp baraku, wzdłuż drutu

zbrązowieje, klejąc się do tła, smukła trawa,
to tu, to tam zdobiona zdrętwiałą tarniną.
Piorun na chwilę wierci dziurę w brzuchu nieba.
Z boku na bok noc wierci się na materacu.

DZIEŃ TRZYDZIESTY TRZECI: RELING

Kleks słońca wsiąka w obrus. Kto jak kto, ale ty?
Trzeci dzień z rzędu ręcznik zsuwa się z haczyka.
Nuda nie powiedziała ostatniego słowa,
nikt z tym nie dyskutuje, niby jak? Na ogół,

co nie znaczy, że często, na klamkę, zlew, reling,
suszarkę, kran, pralkę, zwłaszcza kiedy zawodzą,
choć są najbardziej potrzebne, coś się dziwić,
że ty, on, oni dwaj też, a nie jakiś tam świat

bez imienia, za szybą albo za ekranem,
spoglądacie przez czarne okulary. Wrogo.

Zbyt wrogo, by dać im w ogóle dojść do słowa.
Sprzęty zwracają się przeciw ich właścicielom.

Nie są w tym starciu bez szans. Dzieci o tym wiedzą,
rodzice się wahają: znak, iż karmienie się
tanią historią, że sprzęt bez ludzi jest niczym,
spektakularnie wpada w czarną dziurę bez dna.

DZIEŃ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY: BRWINÓW

Dzień zasycha na felgach. Tuż za parą cynii
puścił się zarost z bluszczu, niedbający o nic.
To nie ich przeznaczenie, ale godzą się z nim:
susz z marchwi, zapach ziemi, skurczona wiklina,

murszejące przez chwilę na wyściółce w koszu,
odkąd chwycił za nie wiatr, nieco w tył, nieco wprzód
wirują, znów wirują, podrywane z loggii,
by zbliżyć się do celu. A celem jest kompost.

Z boku kładzie mu się na plecach ostre słońce,
tnące w poprzek futerał, kurz, pętle i blachę:
nieruchome, choć pewne, że to nim, nie kluczem,
w nerwach szarpiąc za furtkę, wyważą od środka

kolejne drzwi. Pierwsze to zaduch. Drugie to sen.
Nic im do tego: limba, blok, krawędź chodnika
obok krawędzi koła, póki służą za tło,
są i nie są. Smutny świat, lecz nie ma innego.

Adrian Sinkowski

FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

Góry Orfickie

CZARNA CYTRYNA

W łazience, na jednej z białych płytek nad umywalką, miał przez lata niewielką nalepkę, taką, co dałaby się zamknąć w dłoni, „Tibet. Must be saved”, jego dom przeżył już niegdyś koniec swego dotychczasowego świata, kiedy wynieśli się zeń Niemcy, zbiegiem okoliczności lub niedocieczonych zależności ezoterycznych, również zainteresowani Wschodem, ale teraz, trzynaście lat po jego śmierci, cała posiadłość zdaje się pogrążona w absolutnej prostracji, drzewa żyją tutaj nadal po swojemu, kwitnie chluba tego górskiego zakątka, ogromny, ponadstuletni, biały rododendron pod okazałym czerwonym bukiem i rozsadzona wzdłuż granicy areалу jego progenitura, obydwie dendrologiczne okazy są ze wspomnianych dawniejszych czasów, ale na pewno już ręką Michała zasadzone były dwie magnolie, jeszcze przy tutejszej spóźnionej wegetacji utrzymujące część kremowych kwiatostanów, jakby samozwańczo wzmógł się na opiekuna domostwa, czterdziestoletni może, ciemny cyprysik, najbliższy budynku, tuż przy schodzących przy samej ścianie wąskich stopniach z naturalnych, nicobrobionych głazów, młodsze są również bukszpany ujmujące swymi nieokielznanymi gałązkami i oszłamiającym zaduchem zaniedbaną ścieżkę, zaczynającą się ciasnym otworem w nawale rododendronów i azalii oddzielających tę niegdyś artystyczną i filozoficzną enklawę od uczęszczanej trasy turystycznej, tej do Ogrodu Bajek i dalej, do sanktuarium Panny Marii Śnieżnej na górze Iglicznej, natomiast droga, jaką przybywało się tutaj zazwyczaj, zbaczająca skrajem lasu nieco wcześniej, jest niemal nie do rozeznania, w trawie nikną nawet położone w poprzek suche konary, sam budynek nigdy nie miał interesującej formy architektonicznej, jego atutem było absolutnie wyjątkowe położenie, a nazwa, jakiej używał Michał, Dom wśród Róż, także akcentowała raczej otoczenie niż sam obiekt, ale teraz jest on cieniem samego siebie, biel przyziemia poszarzała, poszczerbiła się, zaniósła brudem, surowa, drewniana okładzina pod szczytem szerniała tu i tam pod wpływem sprzyjającej pleśniom leśnej wilgoci, boczne drzwi i okna, w których wciąż

projektujemy sobie wspomnienia osób i domowych zwierząt, któredy wchodziliśmy, skąd wyglądaliśmy, założone są stertami zgromadzonego przed laty na opał drzewa, przerastającego roślinnością i pajęczynami, podobnie zabezpieczony jest medytacyjny azyt, postawiony przez Michała własnoręcznie, tak jak zbudował sobie pustelnicze schronienie inny myśliciel, obecnie klasyk takiego stylu życia w naturze, Henry David Thoreau, wzdłuż okapu niskiego domku postępuje bujna populacja chwastów, przewalając się nad rynną, byle jak pozamykane są natomiast liche komórki z węglem, resztkami desek, szmatami, z byle czym, aż dziw bierze, że nikt jakoś tego wszystkiego nie rozniósł ani nie podpalił, ostrożnie poruszamy się wśród pokrzyw, podbiałów, resztek różanych krzewów, gdzieś tam rozpoznawalnych jeszcze śladów kultywacji, z dołu patrzymy na to wyjątkowe okno, z którego był wiosną i latem widok na purpurową bukową piramidę, a za nią na niebo i krajobraz górski, który dla jego wyjątkowych walorów estetycznych sam filozof nazywał kiczem, szerokie okno, jakie nadawało ton jego pracowni, w której w skupieniu poszukiwał wewnętrznego światła, ślęcząc nad komputerem, nad stosami książek i kserówek, Williama Blake'a przede wszystkim, któremu poświęcił ostatni okres swojego twórczego życia, to pomieszczenie, dla pamięci tego, co w nim się dokonywało, a co, dotykając nieprzemijającego szacunkiem i umiłowaniem mądrości, harmonijnie dopełniając krajobraz naturalny perspektywą kultury wysokiej, jej piękna, dobra i prawdy, wizją tworzonego tutaj malarstwa i poezji oraz przenikających i przekraczających wszystkie te aktywności refleksji metafizycznych, tym wszystkim, co sprawiało, że z nadzieją pielgrzymowało się do tego miejsca, nad oknem, ponad bezużyteczną anteną satelitarną, pod samą krokwią u styku połączeń dachowych rozpięta się gniazdo szerszeni, Michał umarł, Alicja przeniosła się gdzie indziej, a jedyny syn, Miłek, pojawia się, choć podobno bardzo rzadko, jedyne niezagrodzone drzwi opatrzone są solidnymi zamkami i obfitym pajęczym oprzędem, odchodzimy stąd z przytłaczającym wrażeniem *vanitas vanitatum*, zarazem jednak z nieśmiało kielkującą świadomością, że powinno się, że powinniśmy, wszyscy, którzy zawdzięczamy cokolwiek temu miejscu, ale także i ci, co w błogiej nieświadomości mieszkają tylko gdzieś tu w okolicy, zrobić coś, uratować aurę pomieszczeń, gdzie powstawała *Boska analogia*. *William Blake i sztuka starożytności*, rzecz na poziomie światowym w tym zakresie, czy pierwszorzędna eseistyka polska *Świat bez prawdy*, pracowni, która kojarzy mi się spontanicznie z gabinetem alchemika z popularnej Rembrandtowskiej grafiki, któremu ponad szpargałami jego warsztatu pracy pojawia się świetlisty anagram, ratunek powinien bezwarunkowo nadejść, skądś, choćby nie wiadomo skąd, wprost z niebios, od owej jasności, co tyle trudu włożyła, by się tutaj przejawić, i gdzie, być może, zalegają jeszcze zapiski autorskich intuicji, warianty i szkice, o których losie nigdy nie nie mogłem się dowiedzieć, z leśnego trawersu przez bramkę z napisem, że Wodospad Wilczki odnowiły Lasy Państwowe sumą trzech milionów złotych, schodzimy mnóstwem szerokich kamiennych stopni na platformę *vis-a-vis* bezwładnej pieniającej się bieli, potem takimiż stopniami wspinamy na mostek, z widokiem na wąski kanion

z kamienną obojętnością rozcinający zieleń, i jeszcze wyżej, na poziom parkingu i popularnej gastronomii, a w dookolnym szumie owej olśniewającej aklamacji przemijania kołuje mi w pamięci opowieść Michała o starej Niemce, co to zabląkała się w śniegu, wracając od nich do pensjonatu, zsunęła do tego wąwozu i dopiero na drugi dzień udało się ją uratować, o Niemce, która pamiętała jego sadybę z tamtych pierwszych, przedwojennych czasów, już po drugiej stronie, w „Domu nad Wodospadem”, podają nam bezalkoholową Litovel, *Černý citron*.

4 czerwca 2023 r. 16.40

Antoni Matuszkiewicz



Sigitas Birgelis, *Jotvos 4*

Grzegorz Strumyk

ŁATANINA 42

Zdania najczęściej znaczą, kiedy nie mogą niczego dokonać, zmienić, jak rzuć przedmioty, by w tej samej chwili udowodnić, że nie mogą dotrzeć, przebić ściany. Musiałyby mieć środki do działania.

Chodziłem z nim po zapamiętanych ulicach, kiedy przyjeżdżał latem do rodzinnej wioski. Chciał odwiedzać wszystkie miejsca, znaleźć szczegóły z pamięci dziecka, kiedy tu mieszkał.

Miałem nowe, żółte buty. Nerozchodzone jeszcze ocierały mi strasznie pięty. Włożyłem je specjalnie dla niego, chciałem się odróżnić od świata jego drobiazgowej pamięci. Ból przydał się w skręcaniu drogi.

Wszystkiemu się dziwił, sprawdzał po kilka razy, czy się nie pomylił, pamiętał miasto nawet po numerach domów. Szukaliśmy już nie tylko drzwi, ale szlifowanych szybek w drzwiach. Cała jego rodzina została zamordowana, a on w swoim dzieciństwie jak w miejskiej bajce przebywał i nagrywał ją dyktafonem na ulicach i w bramach.



Jak po zapadniach chodziliśmy i słowa skargi słyszałem tylko, gdy nie było już obrotowych drzwi na poczcie głównej i kolorowej płyty chodnika w zapamiętanym miejscu albo błyszczącej klamki z białego metalu.

Później pisał. Czekał, co zrobić z jego listami na cieniutkim jak bibułka papierze. Dziś odkrytymi w teczce. Ile jeszcze zakrytych zdań dla literatury, które, jeśli tylko się dla niej wykorzysta, tracą swoją moc.

Kiedy człowiek miałby poczuć się odważniejszy, jeśli nie na starość. Po tym, co przeszedł i przeżył może nie przejmować się tym, czy zostaną zrozumiane jego myśli i odczucia. Był jedynym świadkiem świata, jaki się mu objawił.

Napotykanie wszędzie w domu zdania na karteczkach, nie pozwalają poruszać się tylko w wybranym kierunku, do wyznaczonego celu, w konkretnej potrzebie. Od ciągłego obracania się w przestrzeni powstają otarcia i małe ranki na skórze, przez chwile utraty równowagi i jednej świadomości.

Pewnego dnia uciekaliśmy przed burzą ulicą Zachodnią do domu. Deszcz lunął wielkimi kroplami i przeczekiwaliśmy w bramie. On przyglądał się burzy zadziwiony i powiedział, że pierwszy raz w życiu widzi żeby błyskawice biegingy nie do ziemi tylko poziomo, pomiędzy sobą, zupełnie poziomo, powtarzał wpatrzony. Po raz pierwszy. Przed siedemdziesiątką. Choć pisał mi o zapachu kwitnących drzew pomarańczy z wiatrem od morza, stał ze mną w bramie jak na nowej planecie. Mówił o pierwszych dzwonekach zobaczonych w lesie za miastem w dzieciństwie. Chodziłem i szukałem z nim pierwszych jego miejsc, obrazów, numerów kamienie, tabliczek z telefonami na ścianach, szyn w bruku.

Chciałbym pootwierać piramidy teczek, stamtąd jest bliżej, jeszcze nie wiem dokąd.

Grzegorz Strumyk



Fot. Grzegorz Strumyk

Roman Sabo

Kondygnacje czasu i przestrzeni

NOTATKI WILEŃSKIE

Pięknie tu, chociaż poprzednim razem było jeszcze piękniej, gdyż i do Wilna dotarł już grzyb mentalny hodowany na nawozie paneuropejskiej głupoty, którą powinno się karać bezznicczuleniowym łamaniem palców – po palcu za każdą literę wymalowaną na murach kamienic.

Wczoraj, gdy siedziałem w knajpie nad Wilejką, za mną most, obok rusałka, przede mną płomienny gotyk świętej Anny, z boku którego uduchowiony Mickiewicz, pomyślałem sobie tak: są takie momenty w życiu, gdy całymi sobą po prostu jesteśmy, jesteśmy całkowicie, całkowicie wsobni, całkowicie otwarci, całkowicie wdzięczni i wiemy, że nawet gdy nie bardzo jesteśmy pewni komu mamy tę wdzięczność okazywać, wiemy z całą pewnością, za co mamy to robić.

Intelektualiści wszystkich krajów – brońcie się!

Zaułek Bernardyński, dwie bramy obok Mickiewicza, kilka przecznic od Zaułku Literackiego, tuż obok domu Słowackiego. Wróciłem przed chwilą z wyludnionego Wilna, siedzę, zapisuję. Zza okna głosy, turystów chyba przede wszystkim, gdyż życzliwe i radosne: rosyjskie, polskie, litewskie, jak na razie najczęściej rosyjskie. Dopiłem świetnej wileńskiej kawy i przepisuję notatki.

Dzień w Wilnie ostatni. Kościół świętej Teresy, tuż u Ostrej Bramy. Śpiemy majowe. Kościół pełny. Grupka dzieci przygotowujących się do bierzmowania w białych habitach, dużo starców. Dwie Litwinki. Jedna ruda, druga blond. Obie ogromne. Swoim głosem, pięknie ustawionym, wypełniają ogromną, barokową przestrzeń do granic wytrzymałości murów.

A tuż obok staruszek starusieńki, siwuteńki, z włosom ułożonym i spinkami do łysiny przypiętym. Znak krzyża robi zamasyście, po wojskowemu, po czym tekturkę z kieszeni wyjąwszy, na cztery wielokrotnie składaną, na zgięciach do rozpadu przetartą, pod kolana kładzie.

A akcenty, a słońce przez witraże pchające się w barokową obfitość wypełnionego wnętrza, a nastroje, a ksiądz pięknie kresową polszczyzną modlitwę prowadzący, aż się chce na Kościół łono wracać...

O Boże, za dużo tego, nie zdzierzę, na zawsze zostanę...

A w drodze na Zarzecze, tam gdzie mosty kłódkami nowożeńcy obwieszają, zdjęcia robiłem.

Pijaniuteńka kobieta spytała: warum?

– Poczemu ja snimki snimaju?

– Da.

– Potomu szto interesno.

– Poczemu interesno?

– W Polsce etowo nikto nie delaet.

– Polak?

– Polak.

– Acha. A Szymboorską czytał?

– Czytał.

– Gombroowiczaa?

– Czytał.

– Miłooosza Czecesaława?

– Czytał.

– U nas Litwinów z wami Polakami wieczny konflikt, nie do rozwiązania.

Ale za tych troje – cześć i chwała. I z żalem, oczywistym – u nas takich nie ma.

– A Venclova?

– Tomas?

– Mhm.

– Wie, co Venclova powiedział?

– Nie wie.

– Że kto Dostojewskiego i *Moskwy-Pietuszki* nie czytał, życia nie pojmie.

Litwin. Taka jego nać.

– No, doma nužno.

– Priwjet Poljak.

– Priwjet.

Wymierzyłem aparatem w starte ze ściany malunki. – Dlaczego pan to fotografuje, spytał starszy pan, który zatrzymał się na chwilę, nie chcąc wchodzić w kadr. Wyjaśniłem, że nienawidzę graffiti, mimo iż czasem linie i barwy układają się w ciekawe abstrakcje.

Na wizytówce: „Dr Romas J. M. – Ambassador of Lithuania”. Urodzony w Norwegii, Litwin po kądzieli, wykształcony w Stanach, sześć języków, praca na wielu kontynentach. Zaproszony przez Vytautasa Landsbergisa (pierwszego prezydenta niepodległej Litwy w latach 1990–1992) do pracy w składanym przez niego

rządzie. Na placówce w Izraelu (zna Pan angielski, mieszkał na Manhattanie, na pewno się Pan z nimi porozumie) przez siedem lat. Emeryt. Mieszkanie zagracone, ogromna ilość afrykańskich rzeźb i obrazów litewskich malarzy.

– Jest pan starszy ode mnie. Niejedno Pan widział i przeżył. Czy świat kręci się za własnym ogonem, czy też można mówić o jakimś postępie?

– Dlaczego, jeżeli te wszystkie postsowieckie ludy obdarowano wolnością na srebrnym półmisku, panuje powszechne niezadowolenie? Dlaczego tak kurczowo trzymają się przebrzmiałego modelu stawiającego na bogacenie się, posiadanie, gromadzenie?

– Dlaczego widać z pociągu chylące się drewniane chaty i niezagospodarowane podwórka, na których stoją lśniące, wypasione bryki?

– Dlaczego czuje się pan tutaj obco?

– Dlaczego nie jest dowodem na tolerancję przytoczona przez poznanego ewangelika opowieść, o tym, że mu rzymscy katolicy obiecują, że jako swojaka, jakoś go tam do rajy przemycą?

– Czy na pewno problem polega na takim wodoszczelnym sklejeniu tożsamości narodowej i rzeczywistości, żeby między nimi nie mogła zaistnieć przestrzeń refleksji?

– A jak reagują na pańskie sugestie, że mogą ponownie znaleźć się w centrum zainteresowania CNN, jeżeli spacyfikują kilka polskich wsi na Litwie?

– Dlaczego były komuch był lepszym prezydentem, tak na Litwie, jak i w Polsce, niż byli dysydenci?

– Dlaczego Venclova nie czuje się na Litwie jak u siebie w domu?

– Jak długo można posługiwać się etykietką kosmopolizmu w celu wykluczenia ze społeczności?

– Jakim cudem te wszystkie narody tutaj tak szybko straciły zaufanie do ludzi z zewnątrz, którzy mają z nimi wspólny język, wspólną przeszłość i niewspólną terażniejszość?

– Dlaczego nie zanika antysemityzm? Jeżeli usuniemy wszystkie „obiektywne uwarunkowania tej epidemii”: (a) nienawiść wychowania katolickiego, gdyż Żydzi zabili Chrystusa; (b) konkurencję ekonomiczną, gdyż Żydzi zdominowali handel i drobne usługi; (c) odmienność kulturową, jidysz, pejсы i hałaty, czyli to wszystko, co na zawsze posłano w diabły, eksterminując Żydów, czym wyjaśnimy trwałość antysemityzmu?

– Czy ludzie hołubią sobie własną tożsamość narodową, czy też się jej boją jak diabła, i wolą jej nie ruszać myślą, słowem czy uczynkiem, przez co pozostawiają ją poza domeną jakiegokolwiek refleksji?

– Czy to dobrze, czy źle, że dwudziestolatkowie nie pamiętają Sowietów? Czy to, że nie pamiętają, nie czyni ich nieodpornymi na świecidełka zachodniej cywilizacji?

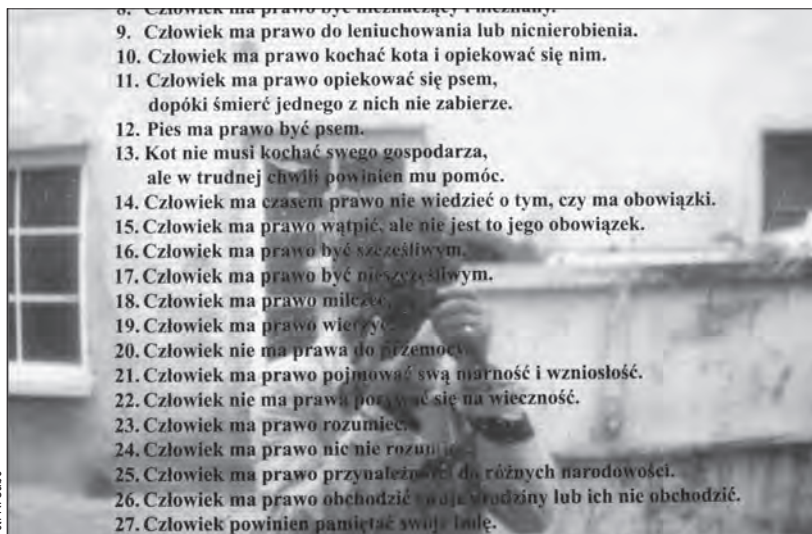
– Jakim cudem czarna Wołga czy Czajka, ulubiony tutaj wóz weselny, zdaje się ładniejsza i lotniejsza od rozciągniętych w nieskończoność weselnych suwów z przydymionymi szymbami, tych, jak głosi lokalna fama, burdeli an kółkach?

– Dlaczego Litewskie Muzeum Narodowe w Wilnie zamknięte jest w soboty i niedziele, mimo iż tuż obok w sobotę brygada pracuje na rozkopanej jezdni?

Tak to sobie gwarzyli nad kufkami przedniego piwa Romas i Roman, podczas gdy skłębiona codzienność warzyła się za drzwiami gospody Gabi, w której były przednie jadlo i piękny wystrój wewnątrz.

Maj 2008

Roman Sabo



Fot. R. Sabo

Robert Suwała

Obrazy i anamorfozy

GENIUSZ NOCY

*Wszystkie te rzeczy są bez znaczenia.*Fernando Pessoa¹*Całą noc źle spałem...*Iwan Turgieniew²

Nie potrafię zgłębić istoty nocy ani zdać sprawy ze snem pisanych scenariuszy. Nie wiem, czym tak naprawdę jest noc. Z obrazów, jakie mi wyobraźnia insynuuje, improwizując skojarzenia, wierzę, że roztaczam nad nimi panowanie racjonalnego rozumu. Tymczasem chciałoby się rzec: fizjologia wywłaszcza mnie ze stanu posiadania, skazuje na błądzenie u fundamentów niewiedzy. Zасыpiam nagle, jakbym od urodzenia przygotowywał się na śmierć, która – jak i noc – sprowadza się do pytania o sens.

Bezczasowość i bezprzestrzenność – te dwa atrybuty nocy rzucają mnie w inny wymiar. Inny w sensie niejasnych i budzących niepokój przeczuć, jakich się nie spodziewamy, zaglądając do wnętrza słowa wypowiedzanego z niefrasobliwą spontanicznością, która niespodzianie przyobleka się w kształt przeznaczenia. Czego oczekuję po nocy? Może tego, czego pragnął Francis Bacon, by przez ciemność i brak koloru obrazy były jeszcze bardziej przejmujące...³

Ciemność jest podatna na negatywne interpretacje. Cóż mi pozostaje poza stwierdzeniem – cokolwiek banalnym – iż nie ma dwóch takich samych nocy? Polimorficzny charakter pozwala ciemnościom otwierać się licznymi przejściami na światy fantasmagorii czy też zabobonnego strachu, którego podstawowym symptomem jest przyspieszone bicie serca. W tym rytmie skrywa się rozkosz, której nie da się opowiedzieć. Pozostają zwodnicze widma z krańców mrocznej palety wartości, ja zaś – zdjęty lękiem podszytym ciekawością – czy wiem, czego pragnę i czego szukam? Dezorientacja prowadzi mnie w zwodnicze rejony ejdetyzmu. Stwarzam obrazy, roszcząc doń prawo własności, choć niepewność, jaka mi towarzyszy, sprawia, że niechybnie rozplywają się w pustce.

Ciemność to chaos, nieoczywistość, a więc kryzys, który wcale się nie skończy, wbrew oczekiwaniom, z brzaskiem, przeciwnie, spiętrza się nieuporządkowa-

¹ F. Pessoa, *Księga niepokoju Bernarda Soaresa, pomocnika księgowego w Lizbonie*, przeł. M. Lipszyc, Warszawa 2007, s. 123.

² I. Turgieniew, *Trzy spotkania* [w:] tegoż, *Opowieści tajemnicze*, tłumacze różni, Warszawa 1988, s. 13.

³ D. Sylvester, *Brutalność faktu. Rozmowy z Francisem Baconem*, przeł. M. Wasilewski, Poznań 1997, s. 12.

niem, jakie można przyrównać do pierwszego oddechu zaistniałego nieoczekiwanie świata. Już w ukryciu towarzyszy jasnym godzinom doby jak męczące przecucie. „Słowo pozostaje przywiązane do najodleglejszych i najbardziej mrocznych pragnień, które w swych głębinach ożywiają ludzką psychikę”⁴. Tak Gaston Bachelard wglębiał się myślą w domenę nieświadomego, przysłuchiwał się jej szeptom, wierzył im i tłumaczył na język psychoanalizy. Ale ja płacząc słowa i znaczenia, czuję się jak średniowieczny eremita, który zapuściwszy się we wrogie rejony, niepewnie wypatruje znaków kusiciela. Chodzę po omacku, dlatego wyciągam ręce, bo wiem, że mrok skrywa to, co najbardziej nęci: wyobrażenia. Bezkształt gęstnieje w przedstawieniu, a wzrok obdarza je namacalnością, prawie wystawia na dotyk. Ale noc potrafi wykonać niespodzianą woltę, każda próba jej uchwycenia trafia w pustkę. Czymże jest jej czerni?

„Jaźń” czerni przenika ciało, obezwładnia wolę. Nie pozwala oderwać odeń wzroku, który zdaje się grzęznąć w atmosferze bezruchu. Gubię się w eklektycznie skojarzeń wyrastających z bezradności wobec tej zagadki. Uczucie opuszczenia, jakie mi towarzyszy, myli szlaki, objawia niedosiężność jądra rzeczy. Czuję głębię ciszy, jak przed ostatnim technieniem wiodącym w niepoznawalne. Noc wywiera czar lub – jak kto woli – rzuca urok. Narzuca się zmartwiałym bezruchem, w którym jak przepowiednia tkwi tajemnica. Jakże blisko już jestem śmierci! I dlatego z taką mocą pozostawiam zmysły w jakimś biernym oczekiwaniu. Zawężam świadomość do punktu grozy rzeczywistości skupiającego całą wzniosłość i trywialność mojego konotycznego gestu.

W mroku nic nie jest tym, czym się z pozoru wydaje. Dookołość emanuje aurą niedookreślenia. Banalna obecność rzeczy staje się podszeptem dla niespokojnych rojeń. Przedmioty zatracają swe właściwości, „naturę”, chociaż nie wykraczają poza zwykły stan immanencji. Chciałbym przekroczyć próg niezdecydowania, lecz powstrzymuje mnie świadomość własnych ograniczeń. Z chaosu wrażeń wyłania się wizja znieruchomiałej, martwej jak u Arnolda Böcklina, ciszy. Jego *Wyspa umarłych*, malowana mrokiem, ma moc hipnotyczną. Zmartwiały pejzaż przełamuje schemat myśli, wyzwalając marzenie niebezpieczne w swym niepohamowaniu. Ile przede mną jeszcze takich nocy? Tajonych tęsknot podszytych nieokreślonymi przecuciami. „Czy można być psychologiem wobec tak wielkich marzeń?”⁵. Retoryczne pytanie Bachelarda skrywa metafizyczną niepodważalność: chęć przekładania zjawisk na dyskursywny język nie udziela satysfakcjonujących odpowiedzi. Rozum nie radzi sobie w takich sytuacjach.

Błędem jest upatrywanie w czerni prostego przeciwieństwa bieli. Konotacje czerni sięgają znacznie głębszych pokładów świadomości. Czerni jest nośnikiem „pierwotnych sensów”, to one nadają kształty obiektom wydobywanym przez światło z niewidzenia. W ciemności, której – jak zauważył Wittgenstein – nie można

⁴ G. Bachelard, *Poetyka marzenia*, przeł. L. Brogowski, Gdańsk 1998, s. 70.

⁵ Tamże, s. 71.

utożsamiać z barwą czarną, rozpościera się niezmiennosc, będąca tajemnicą samą w sobie. Noc jest siłą, otwierającą odmienne obszary odczuwania. Potrzebujemy światła, by widzieć, tymczasem to czerń dyktuje warunki, na jakich postrzegamy dookolność. To ona, czerń, stwarza osobliwy rodzaj powinowactwa z mrokiem, wypełnionego tajoną skargą i podszytą zmysłowością bycia „sam na sam” z tęsknotą. W *Niepokojach wychowanka Törlessa* Robert Musil oddał sugestywny obraz tej perwersyjnej sytuacji: „Ciemność zdawała się rozstępować i cofać, aby w następnej chwili znowu postąpić naprzód i stanąć przed oknami, nieruchoma jak mur. Ta ciemność była światłem dla siebie”⁶. Noc jako byt samowystarczalny obejmując w posiadanie przestrzeń, zwłaszcza tę, którą zwykliśmy kojarzyć ze światłem. Zdałoby się, że nie potrzebuje ona nikogo i niczego, po prostu jest, „Czerń bowiem – jak sentencjonalnie zauważa Wittgenstein – musi pozostać czernią”⁷.

Noc absolutyzuje światy utajone, sprawia, że urojenia wypierają Arystotelesowskie rozumienie rzeczywistości, uwypuklając irracjonalny *genre* rzeczy. Mrok wydobywa z nich moc konstytuowania mrocznych *porte parole*, którym patroluje pokrętna logika zacierania różnic i rozmywania granic. Wydawałoby się, że sprowadza wszystko do pozarozumowego porządku, wyłamującego się z przewidywalności przyczyn i skutków. Bo przecież dookolność nie uległa zmianie, choć intuicja ostrzega, że coś jest nie na swoim miejscu. Emocje zagęszczają się, odkrywają stany, wobec których w innych warunkach zachowalibyśmy chłodną rezerwę. W takiej chwili poddajemy się – bez udziału woli – przyjemnej grze skojarzeń, które jak wąż chwytają w swe sploty. Poznając etykietę nocnych gestów znaczących cichą melancholią rezygnacji lub wulgarnym rechotem. Jest w tym poezja, cicha wzniosłość i niezdrowa podnieta podglądacza. W moim półśnie czy może letargu odpoznają cienie zdarzeń minionych – nagle nabierają wyrazistości realnej materii, objawiając mi moją własną niestałość. Ja jednak zapominam je w locie, a może nie chcę ich pamiętać. I dlatego noc skazuje mnie na banicję, choć w istocie to nie wygnanie a wstydliva ucieczka przed pytaniem o błąd, który stał się moim udziałem.

Nieśpieszne, z lekka nonszalanckie kroki i przydługie, podniecające obietnicą zamknięcia otaczają mnie woalem anonimowości, dają swobodę żonglowania tożsamością, bycia pomiędzy. Zachęcają do przekraczania progę dnia, by ku własnemu zaskoczeniu odnajdywać nieznanie oblicze samego siebie, zadać sobie pytanie: „Czy ja to jeszcze ja?”. Spoglądam w otchłań „nocy absolutnej, gdzie nie było już sprzecznych słów, gdzie ludzie cierpiący byli szczęśliwi, gdzie biel znajdowała z czernią wspólną substancję”⁸. Słowami Maurice’a Blanchota nazywam ciąg mrocznych epifanii, przewrotnych tęsknot, zauroczeń i rozczarowań. Skalą emocji kształtując libido nocy. Poza nim – wiem to dobrze – czai się groźna pokusa nadawania wszystkiemu miana, zagarniania w noctyczny krąg poznawczy. A prze-

⁶ R. Musil, *Niepokoje wychowanka Törlessa*, przeł. W. Krageń, Warszawa 1980, s. 35.

⁷ L. Wittgenstein, *Uwagi o barwach*, przeł. B. Baran, Warszawa 2014, s.71.

⁸ M. Blanchot, *Tomasz Mroczny*, przeł. A. Wasilewska, Wrocław 2009, s. 50.

cięż noc – czy tego chcemy, czy nie – rozwiera zakamarki, które w pamięci tak chętnie obracamy w nieistnienie. Krajobrazy nokturnów prowokują jasnowidzenie, objawiają się snami, których tajemnica nad ranem niespodzianie okazuje się – na мгновение tylko – zrozumiała. Akordy nocy układają się w pięciolinię szybkich zbawień i ponurych infamii.

Nocne peregrynacje wydają się nie mieć wyznaczonego celu, jak gdyby noc unieważniająca dyscyplinę dnia, wykraczała poza fizyczny zakrój przestrzeni i czasu. A jednak... Ciemności stają się scenerią zdarzeń, z których tylko noc potrafi wydobyć ukryte znaczenia. Kolekcjonuję te niewyraźne zarysy, prosząc wzrok o chwilę uwagi, przyszpilam je do *tableau* pamięci, niestrudzenie podążam ich śladami. Przypominają mi się noce, które zostawiłem za sobą, porzucając je na pastwę fantasmagorii. Jestem jak wieśniak Luisa Aragona przemierzający niedosiężności nocnej topografii miasta. Staram się uchwycić sens zasłyszanych opowieści, lecz gubię się w zamęcie szeptów i porozumiewawczych mrugnięć, pozostawiam zatem te ledwo rozpoczęte scenariusze bez kończącej puenty. Nie potrafię zresztą stwierdzić, gdzie kończy się prawda, a gdzie rozpoczyna swe panowanie mistyfikacja. Wszystko miesza się i wzajem przenika. Czy noc oszukuje mnie, pozwalając mi zapaść się w krąg znaczony jedynie efemerydami?

Na pewno pozwala mi oszukiwać siebie samego, by oszałamiając się grą światłocieni, zyskać przelotną namiastkę nieosiągalnego. Noc to hazard z nieznanym i choć jestem w stanie je nazwać, ba!, być nawet w tej osobistej semantyce bardzo precyzyjny, mówi do mnie więcej, niż mógłbym zrozumieć. Ale może tu tkwi prawda, której szukam i której się obawiam. Stąd każdy kolejny krok znaczony jest wzrastającym napięciem. Widzę – zdaje mi się – więcej. Dlatego odważnie mierzę się ze stanem jeszcze szukającym dla siebie nazwy, pragnę go rozpoznać na mdłym tle metafor i przyswoić sobie jego prawdziwą fizjonomię. Wiem, że to jedyny sposób na przebrnięcie przez labirynty ciemności.

Trzeba mieć wzrok zamglony wizją niewidzialnych sił ścierających się na styku nocy i dnia. Kto odkryje w sobie te napięcia, na zawsze straci naiwne spojrzenie na ciemną stronę światła. Czasem „trafiają się oczy dostrzegające i to, czego współczesna nauka «jeszcze nie potwierdziła»”⁹ – z metafizyczną swadą przekonuje mnie Wasyl Kandyński. Dlatego staram się przeniknąć spojrzenia nocy, ich nieskończoność, pamięć zaś podpowiada przekorne słowa Wittgensteina, że „to nie psycholog uczy mnie użycia słowa «widzieć»”¹⁰. W tej chwili pozostają jednak głuchy na książkowe mądrości, wsłuchuję się w samotność świata, wiem, że tylko w niej, w sobie, odnajdę prawdziwą, niewyraźną słowem, jedyną prawdę. Prawdę życia. Czyżbym się jednak mylił...

Znów budzę się z niejasnym przeczuciem rozczarowania?, niespełnienia?, bezradności? Nie wiem. Wszystko zdaje się możliwe i właśnie w tej potencjalności

⁹ W. Kandyński, *O duchowości w sztuce*, przeł. S. Fijałkowski, Kraków 2023, s. 37.

¹⁰ L. Wittgenstein, dz. cyt. s. 124.

czai się niespełnienie. Noce są jak zdania zbyt rozwlekłe, by zachować logiczną spójność i sens. Igram z metaforami, żongluję retoryką, lecz mym słowom brak przekonywującej głębi. Dzień domaga się swych praw... Ja zaś chciałbym pozostać w stanie nieustającego półsnu, w rytmie wyznaczanym ostrożnymi krokami nocnego przechodnia. Podświadomie obawiam się losu niefortunnie obudzonego Józefa K. – poddania się nienazwanemu przymusowi.

Wiem, że te wszystkie noce – i te, które przeżyłem, i te, na które oczekuję, po których tak wiele się spodziewam, już były, ich głębie, topografie, znalazły swój opis. A może tylko zawisły w zwiewnej przestrzeni marzenia? Noc otwiera się przede mną wielkodusznie i zdradliwie. Mimo moich starań nie chce zdradzić czym jest naprawdę. Wszystko zlewa się w przygnębiającą nieobecność, noc nie zna granic, rozsnuwa subtelne przeczucia, nigdy niespełnioną zapowiedź czegoś odległego. Zасыpanie to preludium śmierci, to przeznaczenie z narzuconym przymusem spełnienia. Noc podaje w wątpliwość prawdy egzystencji. I tylko moja ciemna strona duszy sprawia, że wbrew wszystkiemu znów odejdę daleko, choć nie ruszę się przecież z miejsca.

Robert Suwała



Fot. Roman Sabo

Imbryk na ścianie herbaciarni, Wilno, maj 2008

Katarzyna Turaj-Kalińska

Lampa z końskiej czaszki

WOLNOŚĆ SKOWRONKA

Do Mogiły szło się i szło. Najpierw nadzwyczaj szerokimi ulicami między statecznymi i solidnymi blokami najstarszych osiedli. Projektanci Nowej Huty mieli gest, mogli szafować nieograniczenie ziemią zabraną chłopom – podobno niesłychanie żyznymi łąkami nadwiślańskimi... Potem przechodziło się obok cmentarzyka, którego rezydenci zapewne nigdy w życiu nie marzyli, że po śmierci wylądują w środku miasta. Wreszcie oczom ukazywał się plac targowy, jeszcze bardziej wiejski, chłopski, furmankowaty i zapyziały niż Nowy Kleparz przy krakowskich Alejach Trzech Wieszców. Pani Helence nigdy nie chciało się ruszyć dupska po świeże jarzyny na plac, wołała kupować wszystko w sklepie na dole. Z lenistwa też nie chciało się jej w swoim czasie zaprowadzać mnie na lekcje rytmiki. Ale religia to co innego. Dla tej ważnej misji mogłaby powędrować ze mną nawet na Księżyc, a cóż dopiero do Opactwa Cystersów w Mogile.

Czasami matka brała mnie na spacer w tamtą stronę i wówczas droga stawała się ciekawsza. Bo ona ekscytowała się wszystkim i potrafiła rozpylić wokół siebie entuzjazm niczym kłęby uwodzicielskich perfum. Zaczadzona, zaczarowana, dreptałam u jej boku, ucząc się pilnie, czym należy się zachwycać.

Zatrzymywaaliśmy się chwilę na ementarzyku – nie miałyśmy tam, rzecz jasna, nikogo, ale kto by nie był pod urokiem melancholii takich miejsc? Kontrastująca z patosem śmierci bliskość placu, na którym uprawiano zwykły handel od producenta do konsumenta była, zdaniem mojej matki, fascynująca sama w sobie. A typy, które można było spotkać przy drewnianych stołach i furmankach! Pilnie oduczałam się wrodzonych odruchów wymiotnych na widok niedomytych bab i chłopów. Czerwone gęby, fioletowe nosy, zgrzebne, brezentowe lub samodziałowe kapoty i dziurawe, wełniane czapki w oczach mojej matki nie były zwykłym dziadostwem, ale malowniczością.

– Popatrz, popatrz – szeptała mi do ucha – co za typ! Zupełnie jak z Bruegla.

W domu był album Petera Bruegla Starszego, wiedziałam więc, o co jej chodzi, chociaż ci na placu byli bardziej zwyczajni. Tamci na obrazach Niderlandczyka wyglądali jak zjawy, poubierani byli także całkiem inaczej, mniej więcej jak bohaterowie filmu *Historia żółtej cizemki*.

Inni z kolei podpadali pod Malczewskiego lub Gierymskiego – dzieła tych malarzy mama pokazała mi w Muzeum Narodowym w Sukiennicach. *Malarczyk, Żydówka z cytrynami, Seńko...* A kiedy brakło porównań malarskich, w ruch szła literatura polska i rosyjska. Potakiwałam. Malowniczość to malowniczość, jeżeli matka tak mówi, należy przyjąć to do wierzenia. Naprawdę ciekawiły mnie wnętrza

worków z obrokiem i szkapy wsadzające do nich pyski, ale posłusznie kierowałam wzrok tam, gdzie mi kazano.

Podobnie należało uczyć się zachwytu nad pochylonymi chatkami pomalowanymi zazwyczaj na niebiesko, które stały wzdłuż ulicy Klasztornej. Nooo... nie żeby zaraz chcieć tam mieszkać... Klasztorna wiodła nas do drewnianego kościółka świętego Bartłomieja i tu zachwyt mamy sięgał szczytu. Rzeczywiście, jest to do dziś niezwykle miejsce, pachnące drzewem i ciepłe wewnątrz, gdy przygrzewa słońce. Z omszałą dzwonnica obok i drewnianym ogrodzeniem krytym misternym gontem. Taki kościółek potrafi spłonąć jak zapalka, więc wzorem trzeciej świnki z bajki o złym wilku wołałam jednak wielki mурowany kościół opactwa – mroczny, chłodny i kadzidlany. Miałam wtedy obsesję pożaru i bałam się go „jak ognia”.

Czasami słyśmy dalej, w krajobraz jeszcze bardziej wiejski i półdziki. Chatki były tam nie tylko krzywe, ale od dawna opuszczone. Młodzi i silni wyprowadzili się już dawno do miasta i pracowali „na kombinacie”, starzy pomarli lub byli zbyt słabi, żeby dawać oznaki życia.

Dalej Klasztorna biegła aż do ulicy o przemawiającej do wyobraźni nazwie Odmętowa i do mostu na Wiśle, ale, żeby tam dotrzeć, potrzebny byłby już amant mamy, pan Kazimierz ze swoim wartburgiem. Na nogach było stanowczo za daleko, więc wracałyśmy tą samą drogą, która w drugą stronę dłużyła się niemiłosiernie. Może dlatego, że nie była już urozmaicona przystankami w opactwie, kościółku świętego Bartłomieja, na placu targowym czy też na cmentarzyku.

Mogilę zarastały chaszczce i olszyny zwane Laskiem Mogiłskim, był on jakby młodszym bratem Lasku Wolskiego znajdującego się po przeciwnej stronie Krakowa, na południowym zachodzie. Dziś Lasek Mogiłski podrośł, podobnie jak drzewka sadzone między blokami w początkach Nowej Huty. Za moich dziecięcych czasów były to rachityczne rośliny poprzywiązane do palików. Wydawało się, że nic z nich nie będzie w zatrutym przez kombinat powietrzu, lecz wystarczyło się od nich oddalić na dłużej, by po powrocie zauważyć, że stara Nowa Huta tonie w zielonym morzu – w drzewach, których korony przerastają dachy pięciopiętrowych bloków. Ale na to wystarczy nic nie robić, topole opustoszałej Prypeci koło porażonego wybuchem jądrowym Czarnobyla bujają jeszcze wyżej.

W Lasku Mogiłskim byłam kilka razy na szkolnych wycieczkach. Raz z klasą na pieczeniu ziemniaków. Dorosli, którzy się nami opiekowali – nauczycielka i jacyś rodzice – byli ogromnie podekscytowani, niektóre dzieci też знаły już smak kartofli zwęglonych po wierzchu i pełnych trucicielskich dioksyn. I uważały go za cudowny lub powtarzały to jak papugi za dorosłymi.

Z trudem dopchałam się do ostatniego ziemniaka. Był to dalej tylko ziemniak, śmierdzący w dodatku węglem i już nigdy nie pojmę, dlaczego niektórzy ludzie tak się tym podniecają. Przecież w piekarniku można zrobić o wiele lepsze. Niezwęglone, czyste, niepozostawiające czarnych śladów na palcach i ubraniu. Podobnie kielbaski przypiekane w ognisku na patyku to dla mnie coś wyjątkowo paskudnego. Nie jest to polski wynalazek. W Szwajcarii przedszkolaki obowiązkowo

chadzają co tydzień do lasu, by przynieść stamtąd kleszcze i odbyć ten idiotyczny rytuał z kielbaskami bez względu na to, jak bardzo leje i wieje. Rozumiem, chodzi tu atawistycznie raczej o sam ogień niż o przygotowane w nim wątpliwe przysmaki. Apetyt, zaostrzony świeżym powietrzem, też robi swoje.

Ogień bywa miły, zwłaszcza w jesienny wieczór, gdy wcześniej robi się chłodno i wilgotno. Przyjemnie się weń zapatrzeć i ogrzać przy nim, tym bardziej więc okropne jest, gdy dogasa i trzeba od jego resztek odejść w mrok i przenikliwy chłód.

Las – jako obowiązek szkolny – może wyjść bokiem zupełnie niepotrzebnie. Trzeba go potem odszukać z pomocą poezji – na przykład Leśmiana – ale, zgódźmy się, że jest to już wówczas coś więcej niż las. Znacznie więcej.

W Mogile znajduje się Kopiec Wandy – stary kurhan, od którego pochodzi nazwa wsi – ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek na nim stała. Włóczyliśmy się tylko po okolicy z drużyną zuchów, czyli małych harcerzy. Nie rozglądaliśmy się zbyt dokoła, wpatrzeni raczej w strzałki z patyków porozmieszczane na ziemi. Nazywało się to podchody i było kultową, harcerską grą. Byłam harcerką do matury, nawet zostałam drużynową, ale, dalibóg, do dziś nie wiem, o co w tych podchodach chodzi.

Zuchem byłam tylko przez jakieś trzy zbiórki, bo pani Helence nie chciało się mnie zaprowadzać. Uważała to za rzecz równie zbędną jak rytmika, z której zapamiętałam tylko tyle, że starsze dziewczynki umiały zrobić mostek, kołyskę i szpagat, a ja nie. Tym bardziej nie umiałam, gdy przestałam chodzić na rytmikę po jednej lekcji. A było wtedy tak blisko – z Grodzkiej na Starowiślną, która nosiła wówczas imię Bohaterów Stalingradu – w okolice Poczty Główniej, do olbrzymiego mieszkania uroczej aktorki, pani Zofii Lubartowskiej, gdzie się te lekcje odbywały.

Mam wrażenie, że nie tylko pani Helenka, ale i cała moja rodzina dotknięta była jakąś niemocą. Zaczynało się wiele rzeczy, ale nikt nie miał siły na ich kontynuację. Niestety odziedziczyłam po nich tę fatalną cechę, dość charakterystyczną chyba dla Polaków – narodu zniechęconego, być może, niepowodzeniami swoich wielkich zrywów, ale kto wie, czy to jest dostateczne usprawiedliwienie?

Z nas wszystkich najbardziej obowiązkowa i konsekwentna była babka, matka mojej matki. Nie do końca Polka, w połowie Ukrainka, co starannie ukrywała, zwłaszcza że pochodziła z okrytego krwawą sławą Wołynia, z którego wraz z polską rodziną musiała w panice uciekać. Co zaczęła, zawsze doprowadzała do końca, ale mierzyła zamiary siłami.

Niania uważała za godne zachodu tylko religię i angielski. Była gotowa mnie na nie eskortować pod gradem kul i kartaczy. Wszystko inne kwitowała pogardliwym powiedzonkiem: „Ale – le! Potrzebne to jak dziura w moście”. Przynajmniej miała jakąś filozofię zaniechania, reszta rodziny nie wysilała się nawet na to. Codzienne obowiązki spełniano bez zarzutu, ale nic ponadto.

Niemniej udało mi się na wiosnę pójść z zuchami na tak zwane „topienie Marzanny”. Mam wrażenie, że w PRL-u przywiązywano sporą wagę do kultywowania pogaństwa wśród dzieci i młodzieży. W prasłowiańskich obyczajach dopatrywano się solidnego potencjału nowego patriotyzmu, oddzielonego od katolicyzmu,

z którym tak silnie związała go nasza historia. Może nawet w dalekiej perspektywie chodziło o projekt pansłowiański. Może mieliśmy na tej bazie szukać więzi z Rosjanami? Albo też próbowano awaryjnego wyjścia, skoro propagowanie ateizmu szło tak opornie? Cholera wie, lecz w każdym razie nic z tego, na szczęście, nie wyszło. Neopoganizm miał powrócić po latach w szczątkowej, oddolnej i spontanicznej postaci rodem ze światowego New Age – wówczas, gdy wolno było już wszystko, a zatem nic nie miało znaczenia. Istnieją jakieś towarzystwa, które się tym zajmują, ale nikt rozsądny nie traktuje ich poważnie.

Z tego „topienia Marzanny” – boginki zimowej w postaci kukły przypominającej stracha na wróble – pamiętam tyle, że jacyś ludzie najpierw ją podpalali, a potem wrzucali z mostu do rzeki, którą była, zdaje się, Dłubnia, nowohucki dopływ Wisły. Wydawało mi się to już wtedy kompletnie idiotyczne, jak zresztą wszystkie tak zwane „zwyczaje ludowe”, niebotycznie oddalone od korzeni a zatem i od sensu.

Wychowywałam się w teatrze. Tam dosłownie wszyscy – od lokalnych gwiazd po rekwizytora i garderobianą – mieli wówczas bzika na punkcie profesjonalizmu. Amatorskie wygibasy bez należytej scenografii, kostiumów, aktorów i porządnego tekstu, odbywające się w przygodnym miejscu, były więc i dla mnie równie przykre jak radiowy *Wesoły autobus* czy kapele nie-do-końca-ludowe. Teatr wywodzi się być może z zabaw i rytuałów plebejskich, ale, do licha, skoro zaszedł na szczyty ludzkiego intelektu, po co zwracać? Zresztą, rzecz gustu, niektórzy bardzo lubią ziemniaki prosto z ogniska, inni wołają porządną zapiekankę z piekarnika. Gdyby mnie ktoś wtedy zapytał, nie umiałabym należycie się wytłumaczyć, ale głęboko czułam, że coś tu nie gra.

Kiedy wiosna rozwijała na dobre skrzydła sama z siebie, nie potrzebując do tego pogłębiania żadnej Marzanny, zmieniałymy z matką spacerową trasę i udawałyśmy się tam, gdzie chadzali wszyscy z okolicznych osiedli, to znaczy na tak zwane Łąki za Placem Centralnym. Plac ów od swojej południowej strony urywa się nagle stokiem przypominającym mały, trawiasty klif schodzący do morza zieleni, w którym Leśmianowski Topielec czułby się jak ryba w wodzie. Jedno z leżących nad tym obrywem osiedli otrzymało nawet nazwę Na Skarpie. Mieszkała tam moja koleżanka z pierwszej klasy, Irka Wróbel. Jej matka miała kurzą fermę w Mogile. Byłam kiedyś u Irki na urodzinach. Podano tam w ilościach hurtowych dwie rzeczy, które uwielbiałam, a mianowicie oranżadę – pani Helenka nazywała ją po krakowsku „krachla” – oraz jaja na twardo. Zjadłam i wypłam tyle, ile tylko mogło się zmieścić w siedmioletnim brzuchu. Ostatnie jajko czułam w gardle niczym drugą grdykę, ale byłam bardzo zadowolona. Za to pani Helenka wpadła w popłoch.

– Dali wam jajka na twardo i do popicia krachlę? Toż to pewny skręt kiszki!
Jednak nie całkiem pewny...

Nowohucka Skarpa to ubita ziemia, w której ludzkie stopy wydeptały strome ścieżki do leżącej niżej podmokłej równiny pokrytej dziką roślinnością łągową i chyba wtedy jeszcze paroma polami uprawnymi przeciętymi trawiastą groblą, zwaną zawsze i tylko wałem. Przez równinę biegła ścieżka o elastycznej, uginającej się powierzchni, podmokła, że aż strach. Im dalej w głąb niecki, tym więcej było

blota i kałuż, których od pewnego momentu nie dało się już ominąć bez wylądowania w wodzie po kostki, a może nawet niekiedy w bagnie, czego raczej nikt nie próbował. Bagno oprócz ognia najbardziej mnie przerażało, bo w co drugiej baśni natrafiało się na sugestywny opis, jak to im bardziej człowiek się z niego wydobyć usiłuje, tym bardziej się w nie zapada.

Raz na wycieczce szkolnej skąpałam się tam w błotnistym rowie i pani Helenka odebrała mnie ze szkoły usmarowaną jak nieboskie stworzenie, z chałacikiem skręconym w powróż w trakcie bezskutecznych prób wyżymania. Zostawiałam ślady na betonie jak wodnik Szuwarek i niania miała świetny pretekst do tego, by mnie znowu porządnie wyparzyć w gorącej wodzie.

Szuwary też tam były, a jakże – z wysokimi, aksamitno-brunatnymi pałkami tataraku. Pomiędzy nimi, na wpół w wodzie rosły kaczeńce – jak mówią wszyscy, choć prawidłowo ów żółty, czarkowaty kwiat o grubych łodygach i dużych, ząbkowanych liściach nazywa się kniec błotna. Nie należało ich mylić z pospolitymi żółtymi kwiatkami o podobnym kształcie, lecz zupełnie innych, drobniejszych listkach. Wstyd przyznać, ale ani ja, ani matka nie wiedziałyśmy wtedy, że są to jaskry, a tyle tylko, że to na pewno nie są kaczeńce. Nie znałyśmy imion tak pospolitych przecież krwawników, lepnicy, gwiazdnic, przetaczników, glistników czy niecierpków. W obiegu były głównie nazwy chwastów zbożowych: mak, kąkol, bławatek, dzwonek i osiet, który też się inaczej nazywa w botanice a mianowicie ostrożeń. Naturalnie, każdy wiedział, co to koniczyna, tej było wszędzie pełno i pani Helenka nauczyła mnie z niej pleść wianki. Tyle że nigdy nie udało mi się upleść więcej niż ćwierć obwodu głowy. Pani Helence najwyżej połowę. Było też inne zastosowanie koniczyny – można było delikatnie wyciągać maleńkie rurkowate płatki, którymi najezona jest główka i wysysać zgromadzony od spodu słodki nektar – niczym pszczoła. Robiły to wszystkie dzieci, ale pani Helenka przestrzegała mnie zawsze przed braniem do ust koniczyny a nawet trawy:

– Zostaw to, bo jakiejś promienicy dostaniesz!

Przyznacie, że nazwa choroby brzmi poważnie, nie tak jak pierwszy lepszy zabobon o diable w lusterku albo o uschniętej ręce, która śmiała zamachnąć się na dorosłego. Mam jednak zdjęcie z tamtych czasów z trawą w zębach. Ojciec lubił zawsze gryźć jakieś źdźbło, a jemu z natury rzeczy wierzyłam bardziej i wołałam raczej naśladować jego niż nianię. Były jeszcze niezapominajki, które też lubią wilgoć i występują obficie na nowohuckich łąkach. Na ich widok zawsze śpiewałyśmy piosneczkę:

Niezapomi-naj-ki,
Są to kwiatki z baj-ki.
Rosną nad potocz-kiem,
Patrzą żabim ocz-kiem...

Matka przepadała za łąkowymi bukietami, więc zbierałyśmy w drodze powrotnej kwiaty. Idąc w stronę wału, zwykle tylko rozmawiałyśmy, przy czym mama wystawiała twarz do słońca, żeby ją opalić, co było wtedy bardzo w modzie – nikt

nie słyszał jeszcze o kremach z filtrem UV. Otwierała co jakiś czas oczy, żeby nie wpakować się do błota lub, by zadzierając głowę, wypatrzeć skowronka, który jak szalony dzwonił srebrnym dzwoneczkiem swojego gardziółka wysoko na niebie. Terytorium skowronka jest zwykle spore, a ten zdawał się być panem całych łąk i przyległych do nich ziem aż po horyzont. Wydawałoby się, że mogłoby ich być tam więcej, a jednak zawsze był tylko ten jeden, mały szary ptaszek, który gniazduje na ziemi, a śpiewa w niebie. Może dlatego właśnie tak wysoko, że tam, gdzie żyje na otwartych polach, nie ma żadnych drzew. Czy istnieje jeszcze jakiś ptak w Europie, który wykonuje śpiew terytorialny i godowy wyłącznie w locie?

Trzeba było długo iść przed siebie, żeby natrafić na drzewa, czyli rosochate wierzby nad rowem w pobliżu wału. Jeśli akurat było dostatecznie sucho, by chciało nam się dojść aż tam, wchodziliśmy na groblę i szły nią w prawo lub w lewo. Pewnego razu jednak ktoś nam powiedział, że w pobliżu wału zamordowano kobietę i ciężko wystraszone zaprzestałyśmy tych wędrówek, dochodząc odtąd już zawsze tylko do wierzb.

Kiedyś mieszkała z nami krótko młodzietka kotka o niezwyklej inteligencji i psim usposobieniu – chuda i zwinna, o szarej, pręgowanej, delikatnej sierści. Nazwaliśmy ją Migotka. Można ją było zabierać na spacer na Łąki, biegła o metr za nami radośnie jak szczeniak i przystawała, gdy się zatrzymywałyśmy. Zupełnie nie zrażały jej kałuże, zreszczeniem je omijała. Pod wałem miała ulubioną wierzbę, na którą wskakiwała na czas, gdy my z matką robiłyśmy piknik. Siedziała tam, obserwując z góry myszy i żaby, a potem wystarczyło ją zawołać, by zeskoczyła i znów biegła za nami jak pies aż do Placu Centralnego, gdzie wreszcie z powodu ruchu ulicznego brałam ją na ręce i zanosilaam z powrotem do domu.

Niestety, nie dane nam było cieszyć się długo tym rozkosznym stworzeniem. Była tak ruchliwa i skoczna, że w końcu wypadła z piątego piętra podczas naszej nieobecności. Mieszkająca już wówczas z nami w nowym nowohuckim mieszkaniu babcia, która, delikatnie mówiąc, nie przepadała za kotami i poprzedniego nam z domu eksmitowała, nie wpadła na to, by pojechać do weterynarza i ratować Migotkę tak, jak kiedyś uratowała mnie, wzywając w porę pogotowie. Łąki to też wspomnienie Migotki.

Wszyscy chochli ten nagły kawał dzikiej przyrody w środku miasta, coś między nowojorskim Central Parkiem a krakowskimi Błoniami. Jednym służyły do zbierania kwiatków i słuchania skowronka, innym do opalania się na stokach, a jeszcze innym zapewne do upijania się w wysokiej trawie. Tych ostatnich jakoś jednak zupełnie się nie widziało, miało się tylko radosnych, trzeźwych ludzi dążących w tę lub we w tę.

Dla nich to był powrót do miejsca, z którego wyszli. Wielu pochodziło przecież ze wsi. Moja matka urodziła się w małym miasteczku na Wołyniu, gdzie wystarczyło parę kroków, by ujrzeć otaczające je równiny. Odwiedzała tam często swego dziadka, który administrował rozległym majątkiem i łąki, pola aż po horyzont były jej naturalnym środowiskiem. Objężdżali je razem powozikiem zwanym linijką. Może podczas naszych spacerów po nowohuckich Łąkach nie myślała o tym, bo była

młoda i zaangażowana mocno w bieżące życie, ale przecież musiała odczuwać całą sobą tę przywiezioną z kresów wolność skowronka, pana bezkresnych przestrzeni.

Skowronek, ptaszyna rodem z kresowych stepów, dzwonił nad mokradłami mogiłskimi jak zwariowany, choć ornitologzy twierdzą, że to u niego normalne. Podobno na południu Europy skowronki są jadalne, a i w Polsce uchodziły kiedyś za smakołyk. To się tak ogłędnie mówi „na południu Europy”. Jestem pewna, że chodzi o Francję, bo tam łapie się także kwiczoły i w niektórych regionach ludzie oblizują się już tygodniami przed ich przylotem, jakby nie mieli pod dostatkiem kurczaków, przepiórek i tych nieszczęsnych kaczek i gęsi torturowanych tuczeniem na *foie gras* za pomocą wielkiej rury wpychanej do żołądka. Proponuję, by wielbiciele tego specjału spróbowali zająć go w ten sam sposób – przez rurę odkurzacza z pominięciem kubków smakowych w gębie.

Nie życzę sobie poznać smaku skowronkowego mięsa, mam wyłącznie apetyt na jego śpiew, którego dawno nie słyszałam, chyba tylko nad polami Waterloo, gdzie dwieście lat po bitwie przywił mnie los.

Przed zabudową uratowała Łąki ich permanentna, nieusuwalna żadną melioracją podmokłość. Zapadłoby się tam wszystko, począwszy od koparek. Jedna taka, mająca służyć chyba do wydobywania torfu, tkwi po dziś dzień w bajorze. Nie można zbudować jezdni drogi przez Łąki i żaden samochód nie ma tam szans. Tylko kombajny dają sobie radę i koszą wielkie połacie, pozostawiając po sobie zgrabnie zwinięte pakunki z trawą, wyglądające jak sushi dla olbrzymów. Nie wiem, co na to żaby i pasikoniki, ale mnie się to zbyt ekologiczne nie wydaje.

W Nowej Hucie, gdy ją zaczynało budować, też wszystko stało w błocie, ale ostatecznie dało się to zmeliorować i – jak sądzę – spuścić do niżej położonych Łąk. Ale to w końcu także teren zalewowy Wisły, więc może po prostu zwyciężyła w tym miejscu natura.

Łąki ocalały, ale i trochę się zmieniły. Woda powoli wygrywa z ziemią i szuwały pokrywają coraz większe obszary. Nie da się już tak bezkarnie po nich spacerować, a pływać jeszcze nie. Jest wciąż kilka ścieżek, ale rzadko widać na nich ludzi. Opustoszały razem z Hutą. Ci, którzy po nich tak tłumnie spacerowali, są już za starzy na to, by ześlizgiwać się po skarpie w dół. Ledwo ruszają się z domu po zakupy, a nowych pokoleń prawie nie widać. Chyba że na rowerach jeżdżących po wale.

Łąki zostały sklasyfikowane jako „użytki ekologiczne” z ostojami wiaźówki i kosaćca, trzciny i turzycy, „łąk świeżych” i „ostrożeniowych” oraz starych, kochanych wierzb. Zawsze brakowało mi czasu, by tam pójść po latach. Spoglądałam na nie z góry, z wysokości Placu Centralnego, gdy załatwiałam mojej starej matce coś na pocztę. Najlepsze widoki mają mieszkańcy później zbudowanego Centrum E, gdzie się owa poczta mieści, ale podejrzewam, że latem dręczy ich plaga komarów.

Skowronek śpiewa wreszcie sam dla siebie. O ile nie wyprowadził się gdzieś, gdzie gniazdo mu nie zamoknie.

Katarzyna Turaj-Kalińska

Teresa Tomsia

W pamięci, w odbiciu (10)

JAN KASPER – OBECNOŚĆ ZAPISANA

Graniczne doświadczenie – gdy śmierć zabiera życie powszechnie podziwane i dążące do dalszego rozwoju, a jednak nagle zatrzymane – skłania, abyśmy zajrzeli w głąb siebie i odnaleźli wartości, jakich szukamy u innych, a odrzucili, co gnębi i niepokoi, nie pozwalając na szlachetną przemianę. Świat żąda od nas dojrzałych decyzji i pożegnań, nie stwarzając warunków dla wznoszenia się duchowego, narzucając materialistyczny ryt, kierujemy się więc ku wyobraźni i wrażliwości przechowanej od dziecięcych lat, bo pragniemy znaleźć własną drogę. Poezja chroni się przed nicością, nazywając ją „pustką”. Słowo jako istnienie staje przeciw nieistnieniu. W poezji Jana Kaspra – poety z Wielkopolski – znajdujemy poruszający protest przeciw przemijaniu: „Kto by, pustko, dał radę / być skuteczniejszym. Szczelina / wystarczy, abyś mogła dokonać aneksji” (**Kto by, pustko, dał radę...).

Mieszają się i przeplatają żywioły życia i unicestwienia – widoczne, prze-czuwane, opisywane w metaforach. Trudne chwile, bo niedawno rozmawialiśmy z Jankiem, z uśmiechem siadaliśmy do wspólnych zdjęć po jego wieczorze autorskim, a dziś już trzeba wypowiadać słowa pożegnania. Jan Kasper był polonistą (ukończył Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu w 1976). Urodził się 7 lutego 1952 roku w Bielejewie, a po studiach zamieszkał w Wągrowcu, gdzie podjął pracę w I Liceum Ogólnokształcącym im. Powstańców Wielkopolskich i działał nie tylko jako świetny pedagog oray reżyser, założyciel Teatru Prób, który prowadził przez wiele lat od 1981 roku, ale przede wszystkim jako poeta. Ostatnio, w połowie lutego 2023 roku, prezentował w Poznaniu wybór wierszy *Mogily obwoźne* (Instytut Mikołowski 2022). Książka rozpoczyna się gościnnym wierszem Marcina Świątlickiego *1 kwietnia, Wągrowiec, Polska* (1998): „Czas tak bardzo przestrzenny się okazał, że aż / jest niewidzialny. Zgubiony w ciemnościach”, na znak, że rozmowa o związku z miejscem, o sposobach przeżywania i przeczuwania istnienia toczy się nieustannie w metaforycznym dialogu.

Obecność zapisana, osobowość nie do końca rozpoznana – odchodzi człowiek nie



Fot. Lucja Dudzińska

Jan Kasper i Teresa Tomsia,
Poznań 17 luty 2023



Jan Kasper z przyjacielem Pako,
Łaziska, 2016

całkiem poznany, bo jest jeszcze inny wymiar otwierających się imion na wieki, na pokolenia: „Nasłuchuję, jak przepływają żywioły, / nierozpoznane. Jednakże za oknem, / co pod moją skórą” (*Późno*). Janek, na co dzień łagodny i pogodny, potrafił pisać mocno, ostro przeciwstawiając się złu. Nie okazywał trudów choroby i gdy dotarliśmy z trudem w ulewę w końcu jego wieczoru autorskiego z Łucją Dudzińską (po zebraniu naszego wielkopolskiego

SPP, na którym nie mógł być z powodu występu), ucieszył się tak, jakby widział nas tam od początku. Taki był – subtelny, otwarty na rozmowę, ujmujący, rzetelny, rozumiejący drugiego człowieka bez słów.

Z tamtego lutowego dnia pozostało pamiątkowe zdjęcie zrobione na pożegnanie, którym dzielę się z czytelnikami „Frazy”, zachęcając do sięgnięcia po wiersze Jana Kaspra, autora m.in. tomików: *Śmierć wizjonerów* (1993), *Zbieracze jabłek* (2011), *Listy z własnego czasu* (2021), który posiadał mistrzostwo zwiększłej formy, aforystycznego zdania, zamyślenia nad sensem istnienia pozostawionego w niedosycie, w niedopowiedzeniu. Sławił piękno świata, a jednocześnie odkrywał jego gorzkie tajemnice i ukazywał prawdy uniwersalne o złożoności ludzkiego losu, gdy człowiek broni się metaforą przed zagrożeniem i poczuciem nicości: „Ludowa władza kazała kirkut zaorać. Garb zbocza, / które go dźwigało, porośla trawa. Kto chce podziwiał stąd / odbłaski rynnowego jeziora, kto chce należnie milczy” (**Władza ludowa kazała...).

W poezji zadawał pytania w kontekście doświadczeń osobistych, społecznych i historycznych – szczególnie w poematach indywidualne wnioski przenikają w postawę obywatelską. Interesowały go przemiany społeczno-polityczne i obyczajowe, nie godził się z tym, co było i jest. Metafizyczne pytania, jakie stawiał sobie i światu, tworzą kodeks wartości, gdzie ważne miejsce ma sztuka słowa, ludzkie, życzliwe relacje i tajemnica istnienia. Cenił biograficzne aluzje, serdecznie opisywał spotkania z sąsiadami, spacerzy z psem Pako – mianował go przyjacielem i wędrowali po polach w Łaziskach wokół domu – przez ostatnie lata mieszkał tam z rodziną. Lubił być blisko spraw ziemi, gdzie egzystował i tworzył. Jego obywatelskie spojrzenie współgra z pokoleniowym przekazem, czujnie kontestuje rzeczywistość przemian: „Leje się / ostentacyjnie gorzała fikcji, znikają frykasy / i okraszone państwowym splendorem nazwiska” (**Dzięki fabryce zapalek „Płomyk”).

Trudno wyrazić dogłębne niepokoje czy uczucia, żal utraty, warto jednak szukać w sobie głosu kojącego wszelkie draśnięcia i czuć nad głębią, mierzyć się „z otchłanią wody i nieba” – jak poeta ujął to celnie w wierszu *Obecność*. Poezja niekiedy staje nad przepaścią, ale też wyprowadza z ciemności ku światłu, dodaje nadziei, odsuwa myśli o nienawiści, przyzywa dobro i piękno, próbuje chwycić

nieuchwytny: „Sferyczny zmrok kwateruje się nad wierzchołkami / topól. Wąski przesmyk pomiędzy wierszami / a światem, nim zniknie – jest” (***)*Sferyczny zmrok*...). Podejmujemy wciąż na nowo serdeczną próbę zrozumienia, gdy powracają obrazy świata, jakie przybliży nam wiersz Jana Kaspra, utrwalając pamięć o nim „wśród skradających się cieni”:

Przychodzę tu często, żeby uspokoić
nerwy, zmierzyć się z otchłanią
wody i nieba. Nic bardziej skutecznie
nie wyznacza miary mojemu istnieniu,
które stale pragnie być czymś więcej
niż jest; stąd tyle w nim niepowstrzymanego
pędu, napięcia woli i dziecięcej uległości.
Nikogo poza mną o tej porze.
Jezioro zarasta postrzępionym zielskiem
chmur. Dzikie kaczki odpoczywają
na pomoście; nie płoszy ich
moja nagle obecność. Prowadzi mnie cień.
Wśród tłumu innych, skradających się cieni.

(Obecność)

Krótkie, poetyckie zdania poeta skreślił pewną ręką. Cenił język powściągliwy i wartość doświadczenia, uznając zapewne, iż wypowiedź lapidarna – odnosząca się do rzeczywistości, a także zmysłowych odczuć, uważne patrzenie i odczuwanie obecności – jest trafniejsze niż nadmiar określeń bądź zbytne wizjonerstwo. Rytm jego metaforycznej opowieści zagarnia ciszę i daje szansę, aby wyobraźnia czytającego mogła wiele dopełnić, czerpiąc z własnego zasobu doznań.

Jan Kasper zmarł 11 sierpnia 2023 roku i został pochowany w Wągrowcu. Przemawiał i nadal przemawia do nas wierszem – „okruczem milczenia”, który nazywał „najcichszym wyrazem prawdy”.

Teresa Tomsia

SZTUKA

Piotr Wójtowicz

RAJSKIE TĘSKNOTY ARTYSTÓW

A jeżeli

A jeżeli to wszystko jest tylko snem
Ludzkości o sobie? I my, chrześcijanie,
Śnimy swój sen wewnątrz snu?

I jeżeli nikt nie jest odpowiedzialny za nasze złudzenie,
z którym schodzimy pod ziemię,
Oczekując, że nas podniesie Wieczna Sprawiedliwość?

Czesław Miłosz, *Człowiek na przystanku*

Czy raj utracony może być jedynie odzyskanym przystankiem, czy też jest ostatecznym miejscem, wytęsknionym adresem, pod który zmierzają wszystkie nasze pragnienia? Za jakim rajem tęsknić może artysta i czy pragnienie to odmienne jest od tego, które nosi w artyście człowiek? Czym jest raj dla jednego i drugiego?

Wystawa Andrzeja Niedoby, Marka Pokrywki, Stanisława Tabisza i Wojciecha Trzyny *Powrót do raj. Spotkanie. Malarstwo – rysunek – rzeźba*, zaprezentowana w rzeszowskim Muzeum Etnograficznym im. Franciszka Kotuli w wiosennych miesiącach 2023 roku, przygotowana jako plastyczna wypowiedź czterech zaprzyjaźnionych artystów, zdaje się otwierać ten pułap refleksji źródłowych, który odbywa się na styku natury i kultury. Oto prace malarskie, rzeźby i rysunki sąsiadując ze sobą w kameralnych, muzealnych wnętrzach, zakreślają pewien horyzont imaginacji rozpiętej pomiędzy przesłaniem o zgoła religijnych wektorach, poprzez obrazy wewnętrznych, zmysłowych pejzaży, po motywy wzięte z katalogu przedstawięń znanych z historii sztuki i tradycji kultury, głównie w jej ludowej odmianie.

Dodatkowo i nieoczekiwanie wystawa ta wspina się na szczególne piętro refleksji wraz z jej memoratyną dedykacją skierowaną do jednego z jej uczestników. Stanisław Tabisz, który odszedł nagle i przedwcześnie, nie zdążył rozważać wraz z kolegami koncepcji wystawy, ale z pewnością byłaby mu bliska i zgodna z duchem jego prac... Teraz – jak sobie pozwalamy rozmyślać – dotykając „podszewki świata” z jakże innej perspektywy, ogląda, być może zarysy Wielkiej Tajemnicy zobrazowane i przedstawione w muzealnych salach... Czy zatem warto błagać o „Drugą przestrzeń” – jak wskazywał na to w swoim późnym wierszu Czesław Miłosz? Czy „rajskie, wiszące ogrody, jak przestronne niebiańskie pokoje” czekają na nas niczym „Wieczna Sprawiedliwość” w nagrodę za trud podejmowanej codzienności?

A co z trudem artysty? Czy wpisany w jego etos rys poszukiwacza przygód i zdobywcy nowych łądów, alternatywnych światów, wiązać można – jak chciał Paul Cézanne – ze zbawieniem? Czy też uzbrojony się w pokorę, podjąć raczej powinien przyjęte sposoby docierania do oswojonych miejsc, omijać nieznane, nie ryzykując rozczarowaniem, porażką a może i otchłanią? Która postawa dać może gwarancję utrzymania pamięci obrazu „wysokości i niskości”? Czy eskapizm przypisywany abstrakcjom nie zabarwia mocniej bezpiecznego terenu tradycji form i obyczaju? Kiedy zatem duch poszybuję, a kiedy opadną mu skrzydła?

Stanisław Tabisz jest reprezentowany na rzeszowskiej wystawie najobszerniejszym zestawem prac, którym oddano osobną, poświęconą im salę. Zgromadzone tu w większości wybór rysunków z trzech tematycznych serii, z których dwie odnoszą się bezpośrednio do motywów religijnych. To prace z cykli *Frasobliwi* i *Święci*. Pierwsze z nich traktował autor w sposób bardziej ekspresyjny, posługując się ostrą i dynamiczną, nieco chropawą kreską, zachowując zarazem konwencję układu postaci znaną z ikonografii sztuki ludowej. Często postaci Chrystusa towarzyszy charakterystyczny rekwizyt odsyłający przedstawienie pod konkretny adres dedykacji.



Fragment wystawy *Powrót do raju. Spotkanie* w Muzeum Etnograficznym w Rzeszowie, wiosna–lato 2023



Stanisław Tabisz,
Frasobliwy,
rysunek na
papierze, 2011

Cykl ten jest o tyle szczególny w twórczości artysty, że powstał bodaj jako pierwszy rozbudowany, tematyczny zestaw prac rysunkowych, będący początkowo rodzajem homagium i osobistym pożegnaniem z matką.

Wyobrażenia świętych to z kolei formalnie prace bardziej stylizowane, zazwyczaj o osiowej, statycznej kompozycji z niezwykle rozbudowaną strukturą dekoracyjnych wypełnień płaszczyzny tła i ubioru postaci. Tak jakby spotęgowana komplikacja graficznych struktur miała przenieść powstałe wizerunki i naszą przy tym wyobraźnię w obszar przemieniony i uduchowiony. Dla przeciwwagi prac rysunkowych o mocno eksponowanej graficzności kilka obrazów przynosi pozytywny balans, odsłaniając przed widzem potencjał Tabisza jako malarza, dla którego kolor jest podstawowym malarskim składnikiem, precyzyjnie przenoszącym emocje i budującym aurę barwnych przedstawień.

Obok kilku późnych, miniaturowych i kunsztownych prac z motywem żaglowca, przejmująco symbolicznych, bo odsyłających do mitycznej figury podróży jako życiowej wędrówki, mamy także dwa abstrakcyjne, aluzyjne pejzaże o charakterystycznych dla artysty kształtach i fantastycznej, intensywnej kolorystyce. Nie ukrywam, że jest to ten rodzaj prac, który szczególnie lubię w twórczości malarza – za ich oryginalność formalną i bujne znamię fantazji odniesionej do zjawiskowości rodzimego, podkarpackiego pejzażu. Nie znam twórcy, który równie dosadnie i zarazem lekko, w sposób niejednoznaczny i oniryczny, sięgając do tradycji surrealistycznej fantastyki i własnego doświadczenia, dałby tak ujmujący malarsko obraz zmiennej i bogatej, immanentnej biologii krajobrazu. Zaprzyjaźniony z artystą



poeta Kazimierz Biculewicz nazwał przed laty te prace jakże trafnie „obrazami rosielnymi”. W tym określeniu zawarta jest zarówno ich plastyczna substancja, jak też proste odesłanie do rodzinnej miejscowości artysty – Jasienicy Rosielnej.

Andrzej Niedoba jest wielkim miłośnikiem oraz

Wojciech Trzyna, *Czas, ludzie, ptaki, rytm*, olej na płótnie, 2007

kolekcjonerem sztuki ludowej i naiwnej. Do tego stopnia, że w niektórych swoich realizacjach, jakby na przekór dyplomowym kwalifikacjom wyższej artystycznej uczelni a także pomijając swoje ściśle, umysłowe zdolności (ukończył także uniwersytecki wydział fizyki) z serdecznym oddaniem, zachowując respekt dla znanej, stylistycznej konwencji, rzeźbi motywy Frasnoliwych i aniołów. Być może poddaje tym sposobem w wątpliwość intelektualne dyspozycje jako artystyczną metodę poznania, wskazując, że epistemologiczny autentyzm kryje się raczej w intuicji i emocjonalnej czystości sztuki surowej. Niekiedy – jak zdarzyło się to w rzeźbie *Człowiek na przystanku* – intrygująco przenosi temat zamyślnego Mesjasza we współczesne realia.

Ciekawe jest natomiast to, że w malowanych przez siebie obrazach artysta nie podąża za ludowym czy naiwnym kanonem, rozwijając osobistą, indywidualną drogę, dla której obserwacja otaczającego świata, ufnosć dla kompetencji własnego oka jest odniesieniem dla formy realizowanych przedstawień. Na wystawie szczególnie uwagę zwraca obraz *Konik na biegunach*, przywołujący skojarzenia z motywami Witolda Wojtkiewicza, będący zapewne odesłaniem do fotografii z własnego dzieciństwa.

Obrazy **Marka Pokrywki** niemal od początku zwracały uwagę sobie właściwą, charakterystyczną, nieco groteskową figuracją, oszczędną w formie i opracowaną w gęstym, wyszukanym kolorze. Zwykle – co paradoksalne – jego obrazy i rysunki to pejzaże, ale w nadzwyczajny sposób animowane i spersonalizowane obecnością ludzkich relacji. Mówią o tym nieodłączne od obrazów, pobudzające wyobraźnię tytuły. Ujęte są lekko i w poetycki, powiedzielibyśmy, sposób – cie-



Fragment wystawy *Powrót do raju. Spotkanie* w Muzeum Etnograficznym w Rzeszowie, wiosna–lato 2023



Andrzej Niedoba,
Frasobliwy z kogutem,
drewno polichromowane.
Z wystawy
Powrót do raj. Spotkanie

ply i nieco melancholijny zarazem. Nad pracami tego malarza, zwykle zrealizowanymi w oprawie kolorystycznej, metaforycznej gry, unosi się niezapomniana aura niedopowiedzenia i nostalgii. Wszystkie te cechy spełniają się znakomicie w pracach oglądanych w Muzeum Etnograficznym w Rzeszowie.

Wojciech Trzyna to malarz, który ma szczególne zamiłowanie do zrytmizowanej dekoratywności. Jego figuralne prace zaprezentowane na wystawie pomimo zróżnicowanych scenicznych narracji przenika wyczuwalny rodzaj plastycznej pulsacji wzmocnionej wyrazistą stylizacją form obwiedzionych ciemną, geometryzującą linią, z przyprawą nasyconego koloru. Dominuje tu czerwień oraz rozmaite odcienie oranżu i żółci. Energetyczność tych przedstawień, czerpiąca wiele z tradycji ikonografii religijnej, głównie motywów pasyjnych, ma silne, wizualne działanie, osiągające kulminację w pięknym obrazie plakatowym wystawy zatytułowanym *Czas, ludzie, ptaki, rytm*.

Ta krótka i niepełna charakterystyka twórczości artystów spotykających się swoimi pracami na rzeszowskiej wystawie pozwala zauważyć pewne istotne, łączące ich związki. Przede wszystkim wyraźny rodowód ich twórczości zawarty zarówno w rodzimym dla większości z nich podkarpackim krajobrazie, jak też stanowiącym jego swoiste przedłużenie wachlarzu motywów, wątków i rekwizytów związanych z lokalną tradycją ludową i religijną obrzędowością. To z kolei w dużym stopniu określa potencjał formalny wystawy i kreśli duchową przestrzeń zaprezentowanych nań wyobrażeń tytułowego raj, który, choć nieprzedstawiony wprost, jawi się tu jako nostalgiczny sen, którego postać jest, wraz odzyskiwaną wiarą, wyrazem tęsknoty za ładem i harmonią.

Być może jednak dzieje się i tak, że estetyczna kompletność i plastyczny wymiar tych wyobrażeń, pozostawiając na boku ryzyko eksperymentu i formalne rozterki, mimochodem prowokuje nasz niepokój i przyciąga myśli, którym dał wyraz Czesław Miłosz w wierszu przytoczonym na wstępie tego szkicu. Co bowiem wtedy, jeśli ten sen to jedynie dający złudne wytchnienie miraż a nasze żarliwe zamyslenie rzeźbi frasobliwość zgoła innej już natury? Czy artystycznie oswojony obraz raj, opuszczając baśniowe barwy, nie schowa się wówczas za mgłą uporczywych i niespokojnych myśli?

O KSIĄŻKACH

Rafał Rżany

POCZTÓWKI Z LABIRYNTU CZASU

To chyba najbardziej wysmakowana książka poetycka, jaką zdarzyło mi się widzieć. Rzecz nie tylko w stronie czysto edytorskiej, ale i doskonałym współlistnieniu tekstów Piotra Szewca i obrazów Henryka Szkutnika. Na stronach parzystych umieszczono (wykadowane) reprodukcje dzieł malarskich. W strony nieparzyste, będące jak gdyby powidokami stron parzystych (wariacjami w symetrycznym odbiciu, gdzie pozostawiono już tylko grę kolorów, zamazując kształty) – wkomponowano wiersze. Obrazy wydrukowano na kredzie, zaś wiersze na delikatnym papierze o proporcjach boków zbliżonych do pocztówki, doklejonym do kredowego podkładu lewym brzegiem. By odczytać tytuł wiersza, musimy tę wklejkę dodatkowo rozłożyć (od strony prawej). Wiersze zostały złożone czcionką naśladującą mechaniczną maszynę do pisania. Wrażenie obcowania z pocztówkami umacnia jeszcze paginacja w formie stempli pocztowych, na których widnieje miejsce napisania danego wiersza (Zamość lub rzadziej Warszawa) oraz data jego powstania (dzienna albo tylko roczna). Miniatury obrazów dodatkowo pokazano w połowie albumu (bo i tak można

tę rzecz nazwać). Na skrzydełkach obwoluty z okienkiem, przez które widać centralną część przodu okładki, umieszczono biogram pisarza i fragment szkicu Zbigniewa Chojnowskiego. Biogram malarza znalazł się obok wspomnianych miniatur.

Wyjawszy kilka utworów ogłoszonych dotąd tylko w prasie literackiej (w tym cztery oktostychy) i bodaj jeden zupełnie premierowy, na publikację złożyły się teksty przedrukowane z dotychczasowych książek autora *Światelka*. W planie najbardziej oczywistym łączy je Zamość, rodzinne miasto pisarza. Tworzą spójną kompozycję, bo i cała ta twórczość – tak poezja, jak proza – konsekwentnie ogniskuje się wokół od początku widocznych wątków. Pod względem wykorzystanych środków formalnych można *Sekretne przejścia* podzielić na trzy przenikające się pasma, różniące się także czymś, co nazwałbym dystansem pomiędzy podmiotem a wypowiedzią, ale może trafniej napisać, że to po prostu temperatura emocjonalna.

Mamy więc wiersze – i tych jest najwięcej – wypowiedziane jakby na jednym oddechu, zapisywane długim wersem bez znaków przestankowych, ale często z wyeksponowaną przerzutnią. Zachłannie, intensywnie, jakby mówiący bał się, że nie zdąży przekazać wszystkiego, że o czymś istotnym (a tu właściwie wszystko jest istotne!) zapomni. Bo zarówno czas dany nam w życiu, jak i miejsce w książce są ograniczone. A przecież także uwaga czytelnika bywa kapryśna.

Grupa druga to prozy poetyckie, których temperaturę i tempo – jeśli porównamy je do wierszy scharakteryzowanych powyżej – łagodzi interpunkcja. Są jak chwilowe wyszczenie intensywnie pracującego serca. Uspokojenie oddechu i pamięci, z której przywołuje się kolejne zdarzenia i obrazy. Spojrzenie z odrobiną większego dystansu.

Wreszcie na końcu znajdujemy wspomniiane już oktostychy. Stanowią eleganckie domknięcie, zarazem przełamując dotychczasowy rytm zbioru, być może zapowiadają też nowy rozdział w tej twórczości.

Sekretne przejścia to zachwyty intensywnie przeżywanym światem, przy czym – to jest znak szczególny Szewca, jego autorska pieczęć – obecne istnieje tutaj dzięki przeszłemu, minione uprawnienie trwające. Treścią dorosłego życia jest w znacznej mierze odczytywanie, rozpoznawanie życia dziecka, młodzieńca i jakby sprawdzenie, czy bohater tej poezji na pewno pozostał na drodze, na którą – świadomie? za sprawą przeznaczenia? – w dzieciństwie i młodości wszedł. Również przypomnienie historii ludzi, których ów bohater spotkał, a których niekiedy nie ma już wśród żyjących. Przyjaciół, nauczycieli, bliskich. Piękno i groza świata, wynikająca z nieprzerwanego przemijania wszystkiego i wszystkich, to jego nieusuwalne elementy. Ich kontemplacji od początku poświęcone jest piarstwo autora *Zagłady*. To one ustawiają jego głos, którego siła zawsze jest podszyta żalem, rozpaczą, przełamującymi w końcu nawet najdłuższe wersy.

Pośród wylizzeń, przypomnień, opisów, jakby w biegu i pozornie mimochodem wtrącone są frazy, które zmuszają nas do natychmiastowego zatrzymania lektury, uwagi, przypominając, o czym się tu tak naprawdę mówi: „Jesteśmy razem, co znaczy, że każdy wcześniej lub później osobno” (*Zabawa w niepamięć*; chodzi o zdjęcie z pierwszej komunii); „Same znajome głosy prawda / że milną” (*Kredowe koło*). Sekretne, labirynto-

we przejścia czynią życie znośniejszym, dają namiastkę zawracania czasu, ale obiektywnie – niczego w porządku (nie)istnienia nie zmieniają. „[...] czy możliwe jest wyzwolenie od czasu, wyzwolenie od przeszłości – czy kamień przeszłości jest odwracalny? Nie, to nie jest możliwe, kamień przeszłości nie jest odwracalny: już nigdy nie będę się bawił z Joasią, jak kiedyś, w parku Żeromskiego, już nigdy ojciec nie zakręci mnie na rękach, wokoło. Wobec przeszłości jestem bezsilny, nie potrafię zmusić jej do powrotu. [...] Moja «wola nie może złamać czasu»”¹.

Malarstwo jest równoprawnym obywatelem świata tej książki (i dlatego szkoda, że nazwisko Szukutnika nie znalazło się na okładce obok nazwiska pisarza; uważam to za w pełni uzasadnione). Obrazy artysty i fotografa związanego, podobnie jak Szewca, z Zamojszczyzną, balansują między anegdotą, pejzażem i abstrakcją. To głównie prace olejne średniego i dużego formatu, o bogatej paletce kolorystycznej. Kolor, ważny dla samych obrazów, starannie odzwierciedlony w książce, jest też istotny w grze obrazów z wierszami. Czyni ich odbiór – dynamiczny już dzięki wskazanym wyżej środkom stylistycznym – jeszcze intensywniejszym. Zarazem wiersze, nie tracąc suwerenności, stają się także jakąś interpretacją sztuki malarskiej.

Obraz i słowo opowiadają sobie nawzajem, ale nie jest to opowieść ani jedyna możliwa, ani nawet oczywista, choćby dlatego, że pokazane w *Sekretnych przejściach* malarstwo Szukutnika nie jest tak nakierowane na szczegół jak hiperdetaliczna poezja Szewca, w której słowo jest niczym światło w jego powieści *Zmierzchy i poranki*: „Światło zagłębiało pod kępy pokrzyw obok dróg i rozgarniało wiklinę; cokolwiek mogło wypatrzeć, zasługiwało na uwagę i podziw. [...] Z upływem czasu przesunęło się, ażeby każdy z osobna liść, lodygę, uspany przez mrówki

¹ K. Michalski, *Płomień wieczności. Eseje o myślach Fryderyka Nietzschego*, Kraków 2007, s. 286.

kopczyk objąć od góry i od dołu spojrzeniem. Pochwalić, unieruchomić, ocalić”.

Rafał Rżany

Piotr Szewc, *Sekretne przejścia*, ilustracje: Henryk Szkutnik, Książnica Zamojska im. Stanisława Kostki Zamoyskiego w Zamościu, Zamość 2023.

Ryszard Mścisz

KĄPIEL W POETYCKIM STRUMIENIU ŚWIADOMOŚCI

Poezja to nie *viral* – jej wyróżnikiem nie ma być to, że „bardzo szybko się rozprzestrzenia” i ma „dotrzeć do jak największej liczby odbiorców”. Być może tę prawdę chce nam przekazać w tomiku *Analfabeta* Piotr Przybyła, skoro w wierszu *Mastif tybetański* tak trawestuje znaną myśl filozoficzną: „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej pozycji”. Wszakże nie jest to prawda, która staje się jakąś osią tematyczną zbioru, ośrodkiem artykulacji myśli. Objawia się ona wielopłaszczyznowo: poprzez kompozycję a raczej dekompozycję świata poetyckiego, poetycki strumień świadomości, jakieś twórcze *silva rerum*, w którym czytelnik musi sprostać pewnym wymaganiom, by się odnaleźć.

Próżno szukać w zbioru *Analfabeta* bezpośredniego odniesienia do tytułu, poetyka Przybyły nie preferuje naprowadzania na tropy, wyrazistego pieczętowania sensów, sygnowania dzieła. Może analfabeta to ktoś (twórca), kto nie uznaje narzuconego porządku, jakiegoś wyuczzonego, zgodnego z normami tekstu? Ktoś, kto próbuje stworzyć własny świat, tekst, swoje oryginalne „alfa”

i „beta”, a więc odrzuca to „wpisane”, nakazane. A twórcza racja zaistnieje nawet wówczas, gdy odbiorca nie będzie miał racji, ale zechce usilnie jej poszukiwać?

Ciągi skojarzeniowe w wierszach Piotra Przybyły naprowadzają na pewne tropy, sensory i z nich zbijają, sprawiają, że owe „znaki prawdy” odnajdują się i gubią, kąpią się w poetyckim strumieniu świadomości. We wspomnianym już wierszu *Mastif tybetański* pojawia się plaża nudystów, jakieś „odpryski” z oglądania *Króla Lwa*, hibernacja Disneya, dostrzeganie poziomki i odsunięcie ich sprzed „oka percepcji”. Dokonuje się tu pewna metamorfoza: podmiot mówiący przestaje się w psa, o którym mówi: „szczeknąłem, żeby wyróżnić się ponad przeciętność / i wydobyć na światło dzienne sierść i dziewczęcy włos splecione w jedno / zero”. Mamy do czynienia z ciągiem skojarzeń, często dość odległych: plaża nudystów – poziomki – lew – pies – nagość – ukonkretnienie rasy psa w tytule. Poeta posługuje się związkami frazeologicznymi i dokonuje ich dekonstrukcji (rekonstrukcji) jak u poetów Nowej Fali. Ukazana metamorfoza, owa symbioza człowieka z psem, dokonuje się w sposób zbliżony do tych przeistoczeń z wiersza Bolesława Leśmiana *Przemiany*.

Ta poetyka strumienia świadomości widoczna jest wyraźnie w wierszu *Konklawe*, w którym poezja została zestawiona z bronią, co pozwala „strzelać” sugestywnymi i wymownymi w swej pojemnej formie metaforycznymi konstrukcjami: „teleskopowa drabinka na lodyżce dnia” czy „grabarze z flakonikiem perfum”. Charakterystyczny dla wierszy poety żeński podmiot mówiący jawi się jako „jedna z wielu dla papieża” i „dla kontrastu pierwszy cud i jedyny / Bóg”. Można tu dostrzec kontrastowanie Boga i papieża: przywołany cytat „pierwszy cud i jedyny / Bóg”, jako obraz jedynego Boga i obraz papieża dla wielu. Próba dotknięcia sacrum objawia się poprzez szereg realnych rekwizytów zwykłości, codzienności.

² P. Szewc, *Zmierzchy i poranki*, Kraków 2001, s. 35.

W wielu wierszach Przybyły odnajdziemy – często dość przewrotne i niejednoznaczne – odwołania do dzieł literackich czy kulturowych: *Hakuna matata* (Król Lew), *Czekając na bota* (Czekając na Godota), *Cierpienia młodej weganki* (*Cierpienia młodego Wetera*), *Teatryk influenscerska gęś* (*Teatryk Zielona Gęś*). Pojawiają się także utrzymane w podobnej konwencji wiersze o charakterze dedykacyjnym czy intertekstualnym: *Jackowi Podsiadle*, *Awaria Pawlikowska-Jasnorzewska*, *Coś z niczego*, *Makijaż pośmiertny*, *Wiersz*. Miałkość, siermiężność realiów, zdrady i „klótnia o nic” z *Cierpień młodej weganki* łączą się z jakimś spotwarzaniem romansowych realiów, poddaniem się ułomnym realiom życia. Mamy tu do czynienia z elementami stylu biblijnego, ale też pewnym „scholaryzmem”. Jak profanacja brzmi zderzenie „żywej szopki przy bazylice franciszkanów” ze wspólnym oglądaniem porno.

Nie jest to jednak jakaś dominantą poezji Przybyły. W wierszu *Droga do Emaus* pojawiają się atrybuty „boskiej” odpowiedzialności: kreowanie rzeczywistości i (nieboskie?) sztucznej rzeczywistości. Odpowiedzialność wiąże się także z odrzuceniem wszelkich osób, pojęć, istot. Podmiot mówiący wyznaje: „szukam kogoś, kto mnie pokocha, / w wierszu, który nie jest na to gotowy”. Poezja zyskuje tu atrybuty zgoła filozoficzne, psychologiczne czy aksjologiczne – nawet niedoskonała może wyznaczać drogę ku doskonałości czy istocie rzeczy.

Z melanzu realnego świata, atrybutów życia i umierania, tureckiego masażu, duchowości i cielesności kreuje Przybyła „żywiół codzienności” w wierszu *Asmur turkish barber face, head and body massage*. Rozstanie „twarde” i „miękkie” łączy się w wyjątkowy sposób z tureckim masażem (do którego podany jest link): „nie znam się na audiodeskrypcji, ale tam Turek Turkowi masuje facyjatę”. Mamy tu też nagrywanie na kamerce śpiącej – z danymi technicznymi nagrania, linkiem do Youtube’a z nim – przywołanie

udawanych orgazmów (*ślepa miłość*), umierania w swoim lub cudzym domu. Można mówić o technicyzacji relacji międzyludzkich – nagrywaniu i odtwarzaniu substytutu życia.

Przybyła poprzez swoją poezję wchodzi w ciekawe interakcje z innymi twórcami, zwłaszcza współczesnymi. *Jackowi Podsiadle* to – przynajmniej pozornie – wiersz dedykacyjny. Pojawia się w nim odpersonalizowany literacki dialog, zbierający motywy, skojarzenia, odniesienia tematyczne. Mamy tu realia wojenne i cybernetyczne (technicyzacja, informatyzacja treści)), sztafaż tematów ze świata (śmierć Kobe Bryanta) i kraju (Białka Tatrzańska). W odmienny sposób odnosi się poeta do znanej poetki okresu międzywojennego, czego wyrazem jest już sam tytuł *Awaria Pawlikowska-Jasnorzewska*, zawierający pewną grę słów, deprecjonującą zamianę: „Maria” – „awaria”. Wiersz przynosi dekonstrukcję prostych recept, egzystencjalnych przesłań *à la* Jasnorzewska, grę uczuć i ich demitologizację – urealnienie i „wypoziomowanie”. Pojawia się tu zdrada, niewierność, świadoma chęć zobaczenia kochanej osoby jako „pogrzeb św. Walentego”. „Wziął mnie luty” – to fraza obrazująca niezrealizowane plany, narastanie obcości, błahość problemów. Równoległym obrazem jest rozwijanie się, dojrzewanie natury (jabłoni, agrest, trawka). A więc życie mimo wszystko, na przekór nieuniknionej obcości.

Parafraza znanego wiersza Wisławy Szymborskiej *Kot w pustym mieszkaniu* zaczyna utwór Przybyły *Makijaż pośmiertny*: „bo co ma począć coach w pustym mieszkaniu”. Tworzy ów „makijaż” cały ciąg skojarzeń mieszkaniowych, mieszkaniowo-twórczych (rezydencja literacka) oraz leczniczych, medycznych: kamienice – segregacja śmieci – worki – lekarze psychiatrzy – motyle w brzuchu – amputacja nóg – jąkała – Uniwersytet Medyczny w Katowicach – bioróżnorodność. Wiersz spina – jak kłamrą – „finalna” parafraza wiersza Szymborskiej: „i niech no on

tylko wróci, niech na się pokaże: // o, żadnej duszy od początku)”.
Wiersz można uznać za utwór autotematyczny, w którym odnajdziemy autoironiczną ocenę własnej twórczości. Poeta pisze „w stanie łaski uświęcającej”, tworzy „wiersze z łaski” i „wiersze bez łaski”. Lingwistyczne żonglowanie słowem „łaska” łączy się w utworze z ironią i autoironią, demitologizacją procesu twórczego i w znacznej mierze odniesieniami autobiograficznymi:

*ale cóż mogłem oddać mojej matce, która
 /chciała mnie*

*usunąć z powodów ekonomicznych
 poza tym że jest moim skarbem na zawsze
 zajmowanym przez wierszorobstwo.*

Poezja jawi się jako złodziejka, która za właszcza dla siebie. Żeński podmiot liryczny z dużą dozą szyderstwa określa siebie jako poetkę – matka wydaje się odgrywać spórą rolę w postponowaniu, wręcz wulgaryzowaniu jej twórczości. Z takim podejściem łączą się pewne kłopoty z przybraniem imienia. Być może także w sensie poetyckiego image'u, własnej poetyki – stąd odniesienie do poetów Barbary Klickiej i Andrzeja Sosnowskiego. Wiąże się to także z pewną wtórnością, „reaktywnością” własnej poezji: „a to nie jest wiersz a reakcja na wiersz, bo wiersz powoduje reakcję / na przykład tutejszą: // poetycko jestem córką Andrzeja Sosnowskiego”.

Jeszcze więcej takich „interpoetyckich” odwołań znajdziemy w wierszu *Zapaśniczka*, który adresowany jest do znanych poetek średniego pokolenia (Barbara Klicka, Marta Podgórnik, Natalia Malek) bądź pokolenia starszego (Krystyna Miłobędzka). Te „wyklejankowe” dialogi z poetkami w jakiś sposób służą prezentacji *ars poetica*, własnego podejścia do twórczości. Poeta obnaża wszelkie „słodzenie”, upiększanie, infantyлизację. Z jednej strony stoi waga i ranga tematu, z drugiej pewna sztuczność, udawanie,

poetycki kreacjonizm, wreszcie zadowalanie „świadomego konsumenta”.

Śmierć i samobójstwo, boska i ludzka odpowiedzialność, cywilizacyjna gmatwani na problemów, zagubienie w gąszczu spraw, owych „melizmatów” życia, twórcze dysonanse, etyczny, egzystencjalny i eschatologiczny rozdzźwięk – poezja Przybyły przenika i ogniskuje ważne tematy, sprawy, unikając ich zgłębiania, „absorbowania”. Czyni to w sposób swoisty, niebanalny, wyrafinowany, często zaskakujący. Tak jest w króciutkim wierszu *Chrzest*, w którym czytamy: „babie lato, topiłam się kiedyś / w Jeziorze Plitwickim, / wiem co to znaczy // ratować obcego”. Jest tu pewien paradoks, związany z dramatycznym wydarzeniem z przeszłości – odwrócenie perspektywy. Mamy topienie się, chrzest (w wodzie, przed śmiercią) – ratowanie i potrzebę ratunku zarazem.

W nawiązującym do samobójczej śmierci francuskiej aktywistki lesbijskiej, tłumaczki i pisarki Michèle Causse wierszu *Coś z niczego* pojawia się śmierć jako pretekst, „pole gier”, transfiguracja skojarzeń, życiowych „dysfunkcji”, uwikłań. *Only funas* to utwór, w którym poprzez zestaw paradoksów, struktury oksymoroniczne jawi się nagość, śmierć, istota pewnego „kamouflażu ubioru”.

Piotr Przybyła potrafi zaskoczyć zresztą także w inny sposób. Na tle wyrafinowanych poetycko, dysharmonijnych wierszy ze zbioru wyjątkowy jest utwór *Polska psychiatria* z wyrazistą apostrofą i przesłaniem do ułomnej polskiej psychiatrii, która cierpi na ogromne braki, pozorność i marność leczenia. To wiersz o regularnej czterowersowej budowie, rymach, z bezpośrednio wyrażanym, jednoznacznym i klarownym przesłaniem.

Defragmentacja rzeczywistości (jak choćby w wierszu *Dotyk przez pleksę*), wyrafinowanie słów i obrazów, skojarzeń, gąszcz bardziej lub mniej subtelnych intertekstualnych czy autotematycznych odniesień to tylko część autorów poezji Piotra Przybyły

z tomiku *Analfabeta*. Warto sięgnąć po jego „wiersze z łaski”, „bez łaski” i te „w stanie łaski uświęcającej”, by wylowić z całego poetyckiego bogactwa walory i treści na miarę własnych oczekiwań, upodobań, odczuwanych rejestrów twórczych.

Ryszard Mścisz

Piotr Przybyła, *Analfabeta*, Galeria Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olskuszu, „Biblioteka Frazy”, Olszusz 2022.

Bartosz Suwiński

POEZJA WDZIĘCZNOŚCI

1.

Drugi tom Elżbiety Olak *Po deszczu* otwiera introdukcja do deszczu, po której pojawia się wiersz pod tytułem *Obudzić się*, gdzie w zamykających go wersach czytamy: „Być do końca w mijającej chwili. / Nie stchórzyć”. Jest to tekst programowy, w którym poetka kładzie nacisk na czas teraźniejszy, na fenomenologiczną wrażliwość, zakładającą, że otaczają nas żywioły i permanentne metamorfozy, stąd stale wypada nam zestrajać się z tym, co jest, a w zasadzie z tym, co się nieustannie dzieje i staje. Jest to program ambitny, w myśl którego zadaniem poety jest zapis i rejestracja tego, co staje się sumą uwagi. W tym samym wierszu czytamy również, aby „Być swoimi słowami”. To niewdzięczna poetycka ambicja, ponieważ słowa zjawiają się zawsze po, choć wysiłek, aby oddawały chwilowość wszystkiego, jest u Olak imponujący. Jesteśmy w tej chwili, teraz, a słowa mają pozwolić nam dawać jej świadectwo, towarzyszyć przemianom. Stąd w tomiku wiele spojrzeń i momentów nagłych, epifanijnych, objawiających w swoich granicach ulotny sens wszystkiego. W wierszu *Idę* ostatnia strofa brzmi tak:

*Stoję z boku.
Tylko widzę to ciało
wstrząsane wspomnieniami.
Poranione nadzieją
i niemożliwością.*

2.

Olak chciałaby krzyknąć „jesteś” kamykowi czy chmurze, ale one zaraz są inaczej, anonsują się w innym świetle. Dużo w tym tomie spacerów i wierszy będących ilustracją kolejnych spojrzeń. Przemyka się kot, biegnie pies, inwentarz istnienia jest razem z nami, wpisany w koło narodzin i śmierci. Olak rozmawia ze zwierzętami w niedoskonałym języku, w niepewności, na wspólnym posłaniu. To poezja wdzięczności i poczucia, że jesteśmy całością, podzieloną oddechem. Wszystko, co żyje, jawi się jako wspólnota, o którą te wiersze stale się upominają. Ich bohaterka stawia na empatię i dobroć jako dwie strategie obłaskawiające rzeczywistość. Otwiera się na to, co jest. Lubi dotyk i przestrzeń. Wiatr i ciszę. Hałas ptaków. Uparcie starając się być lepszą wersją siebie.

W wierszu *Wszystkie moje poranki* czytamy: „Obracam chwilę w dłoniach jak dar / Powoli puszczam na życie”. Poetka znajduje w sobie czułość również dla rzeczy, cichych towarzyszy naszych dni i strapię. Swoją wdzięczność kieruje do materaca, na którym śpi. Stawia na małe cuda. Jej wyobraźnię organizuje światło o poranku. Celebryzuje zagadkę widzialności. Zauważa porzucone kwiaty na chodniku i ptasie pióra – cieszy się na widok zarośniętej ścieżki w górach. Próbuje pouklądać wirujący chaos w jakiś czytelny wzór. I tę prawdę uzmysławiają nam kolejne wiersze. Bowiem każdy z nas staje się tym, kim miał być. Liczą się okoliczności, drogi, którymi podążamy naprzód, odkrywając nie tylko siebie. W prozie poetyckiej o tytule *Ląka*, raz czytamy: „Pewnością jest zmiana”. W tym wypadku jedyne, co nam pozostaje, to obserwować. Splatać dłonie nad niespełnionymi pragnieniami. Zanurzać się w rzece stawiania.

Oprócz spacerów nad Odrą i wejrzeń lokalnych pojawia się również w tomie podróż do Indii i kilka utworów traktuje właśnie o tym – o nieprzebranym bogactwie wierzeń i rzeczy, które oszołamiają swoim byciem. W Indiach Olak stara się być w sednie, wewnątrz istnienia, a nie na jego opłótkach. Czego jeszcze się tam uczy? Witac dzień bez planu, poddawać się jego falowaniu, wierzyć, że odnajduje nas to, co jest naszym przeznaczeniem. Że opatrność nam błogosławi, bez względu na to, w co wierzymy. W tym świecie nie jest się obok zdarzeń, tylko staje się ich częścią, poddając się nurtowi. Poetka wraca z wiedzą, że wszystko, co nas otacza, jest ruchem i możliwością. W prozie poetyckiej *Wyznanie wiary* znajdujemy pytanie: „Czy jest cokolwiek poza chwilą obecną, szczekaniem psa i wrażeniem ciepła?”. Może jedynie nasze niezdeterminowanie na to, gdzie leży chwila obecna. Reszta jakoś wydaje się być na swoim miejscu, o czym opowiada wiersz *Krawędź*:

*Rozpaczliwie usiłuję pozostać na powierzchni.
Fale przychodzą jedna po drugiej, wszystko
[staje się względne,*

*Istniejące warunkowo.
Następują krótkie paazy.
Potem znów wymurzenia
podtopienia.*

Czy tak wygląda każde życie?

3.

Dla poetki ważne są również momenty bycia sam na sam ze sobą. Kiedy jest cicho, samotnie, a świat na moment zapada się w znane koleiny, jak długa zima w górach. Kiedy można powiedzieć: „Ty jesteś wierszem”. Choć zawsze pozostajemy niepełni i niepewni, i tracimy równowagę, kiedy na zbyt długo odrywamy się od ziemi. Porą tych wierszy jest przedświt, moment kiedy na nowo gotują się do działania zmysły, percepcja jeszcze trochę zwleka, ale świat czeka już i nie cierpi zwłoki. Często wchodzi się w dzień jak w sen: „Dlatego warto uważać. / Następny krok

stawiać z czułością, / Pamiętając o wszystkich poprzednich” (*Uważnie*).

To poezja uważności i akceptacji istnienia. Zainteresowana tym, co na zewnątrz. Poezja wdzięczności, stojąca po stronie światła, łasa na wszelkie przejawy i fenomeny. Znajdujemy tu próby, z których najważniejsza dotyczy stawania się. Wpisywania się w teraźniejszość i ciągle ponawianą wątpliwość, czy to się nam udaje, czy można się tego nauczyć. Olak chciałaby krzyknąć przepływającej chmurze „jesteś”, ale doskonale zdaje sobie sprawę, że ona jest już gdzie indziej. To poezja obłaskawiania żywiołów, dynamiczna, rodząca się pośród stawania kolejnych chwil, zawiązywania się momentów uwagi. Świadomość ciała zyskuje się tu w kontakcie z materią. Zachwyty jest podstawową dyspozycją podmiotu, który niezmiennie ekspozuje urodę świata, akceptowanego w całej złożoności.

Olak swoimi wierszami ćwiczy uwagę. Opowiada się za dobrocią. Pielęgnuje w sobie czułość wobec istnienia, zwierząt i rzeczy. Spaceruje z psem, zasypia z kotem. Podróżuje do Indii i Chorwacji, spaceruje nadodrzańskimi bulwarami. Stara się zapisać wierszem rodzącą się percepcję i zachwyty. To poezja „bezwzględne witalizmu” (określenie Piotra Michałowskiego), opowiadająca o miłości jako kosmicznej sile, świadcząca często o dotkliwosci przemijania: „Nie przestaje się kochać ot tak, / Nie przestaje się kochać” (*Czas jest kołem*). I trzeba siebie traconą pozierać, nadać swoim krokom jakiś kierunek, ruszyć, pójść, zostawiając za sobą tyle samo, ile wylania się przed nami. „Jestem – pada w wierszu *Noc – patrzaniem*”. Cokolwiek więcej niż nic jest dobre. Pojawiamy się i znikamy. Wszystko dzieje się niepostrzeżenie, znika gdzieś nazbyt łatwo. A wiersze rodzą się z niemocy i z wdzięczności. I choć skazani jesteśmy na porażkę w zapasach z przemijaniem, to jeszcze nie teraz: „Śpiewać na zgłiszczach. / Ze wszystkich pozostałych możliwości. / Nie zatrzymywać się”. Zawsze o krok od zrozumu-

mienia. Czując dotyk piękna. Szukając na to słowa. A potem wiersza.

Bartosz Suwiński

Elżbieta Olak, *W deszczu*, Wydawnictwo FOR-MA, Fundacja Literatury imienia Henryka Be-rezy, Szczecin, Bezręcze 2023.

Piotr Wojtaszek

WIĘŹNIARKA NIENAWIŚCI

Dorota Kotas to jedna z czołowych przed-stawicielek popularnego w ostatnich latach nurtu literatury konfesyjnej. Pisarze i pisarki w nim tworzący cieszą się na ogół uznaniem krytyków i czytelników, co niewątpliwie przypisałoby José Ortegę y Gassetę, krytykującego melodramatyczną, grającą na uczuciach sztukę, o palpitację serca. Debiut Kotas pod tytułem *Pustostany* (wydany przez Niebieską Studnię) zapewnił autorce Nagrodę Literacką im. Josepha Conrada oraz Nagrodę Literacką Gdynia, co jawi się jako zabawne bankructwo autorytatywnych stwierdzeń o „śmierci autora”.

Książka przedstawiała losy bohaterki o nieznanym imieniu, mieszkającej od pewnego czasu w Warszawie i podejmującej się rozmaitych prac, aby mieć za co żyć. Często zmienia miejsca zamieszkania, niejednokrotnie jest zmuszona mieszkać w dziwnymi lub w jakimś sensie strasznymi współlokatorami. Wdaje się w dyskusje z przypadkowymi ludźmi, handluje drobiazgami na OLX i dzie-li spostrzeżeniami na temat życia w Warsza-wie. Podsumowując, w momencie wydania, *Pustostany* uchodziły za interesujący, dopra-wiony szczyptą realizmu magicznego portret polskiej stolicy, zwłaszcza jej nizin społecz-nych, przedstawionych ze świeżej perspek-tywy młodej kobiety z prowincji. Przypusz-

czam, że to z tych powodów książka została doceniona przez krytyków, którzy brali rze-czywistość w niej przedstawioną za literac-ką fikcję.

Następnie autorka opublikowała prozę *Cukry*, wydaną już w innej oficynie (Cyran-ka), w serii z literaturą non-fiction. Kotas zrezygnowała w niej z narracyjnej czapki-niewidki, by zaprosić czytelników w podróż po piekle wspomnień z dzieciństwa spędzo-nego w Garwolinie. Niezdiagnozowane wów-czas spektrum autyzmu w połączeniu z dys-funkcyjną rodziną (przede wszystkim matką, do której jeszcze powrócę) stanowiło przepis na ciągnący się przez wiele lat, rozgrywa-jący w milczeniu dramat bohaterki, zakoń-czony dopiero jej wyjazdem do Warszawy. Wydawać by się mogło, że ostatni rozdział, w którym Kotas pisze o swojej miłości do dziewczyny oraz szczęściu jakie odczuwa w tym związku, stanowi radosną puentę na to, że autorka pogodziła się z przeszłością. Jednak jej najnowsza książka, pod tytułem *Czerwony młoteczek*, jest zaprzeczeniem tamtego wra-żenia. To wielki, historyczny krzyk.

Dorota Kotas jest wściekła. Mało tego, ona szaleńczo nienawidzi. Odpowiedź na pytanie o to, kto lub co jest przedmiotem tych uczuć, wydaje się nieco kłopotliwa, a to dlatego, że chodzi o... wszystko. Spróbuję jednak wyszczególnić to, co wysuwa się na pierwszy plan: pisarce przeszkadza lista lek-tur szkolnych zdominowana przez mężczyzn, spotkania autorskie, na których zadaje się jej głupie pytania, binarność płci, stereotypy na temat ludzi ze spektrum autyzmu, drama-tyczny stan polskiej służby zdrowia (zwłasz-cza psychiatrii), czytelnicy wrzucający na Instagrama zdjęcia jej książek na tle pusto-stanów i słodyczy. Przerażają ją zarówno tłu-my, jak i perspektywa samotności.

„Wszystko się rozpada. Ciągłe czuję, że nie dam rady, ponieważ. Wszystko się roz-pada. Jak można w takim świecie napisać książkę! – to nie jest okrzyk, ani pytanie.

Gdzie jest nowa ortografia wystarczająca na nowe czasy?” – zapytuje Kotas, ale w obliczu wszechobecnej katastrofy nie próbuje tworzyć własnego języka, adekwatnego do opisu sytuacji w jakiej się znalazła, umożliwiającego przekazanie drugiej osobie tego, co siedzi jej w głowie. Wszystko, na co ją stać w tym względzie, to manifestacyjne pisanie słowa „Polska” z małej litery – taki maleńki, anty-systemowy bunt.

Narratorka odwiedza kolejnych terapeutów, którzy nie potrafią jej pomóc, ponieważ nie mają kompetencji do pracy z osobami w spektrum autyzmu. Przekonanie o fundamentalnym niedopasowaniu do świata pogłębia jej skłonność do myślenia o śmierci. Nachodząca ją regularnie chora psychicznie Zośka doprowadza ją na skraj obłądę; ma poczucie, że stały się jedną osobą. Te fragmenty *Czerwonego młoteczka* przywodzą na myśl wydaną niedawno książkę Emilii Dłużewskiej *Jak płakać w miejscach publicznych*, w której autorka wskazuje na problemy z dostępem do pomocy psychiatrycznej na wysokim poziomie. Ten ponury fakt jest być może wyjaśnieniem fenomenu tak wielkiej w ostatnich latach na polskim rynku ilości książek konfesyjnych – ich autorki i autorzy wydają się traktować swoje dzieła jako formę autoterapii. W tym miejscu warto przywołać istotny także w kontekście *Pustostanów* fragment *Czerwonego młoteczka*:

Kiedyś chodziłam na terapię w centrum pomocy rodzinie, do której zgłosiłam się jako osoba, która tworzy rodzinę razem ze swoim psem. [...] Miałam tam wiele zadań domowych, które polegały na pisaniu tekstów o swoim życiu, jednak żadna praca domowa nie została mi zaliczona, ponieważ gdy nadsyłałam odpowiedzi, moja darmowa terapeutka zawsze odpowiadała w e-mailu zwrótnym: to nie jest odrobione zadanie terapeutyczne, proszę pani, to jest tekst literacki!!! Nie chciała ze mną o tym rozmawiać, a wtedy ja wpadłam na pomysł, że napiszę jakiejś książki, może kilka, no ale niestety się przeliczyłam, bo z tego powodu teraz muszę o nich rozmawiać zdecydowanie ZBYT często i nie mam żadnych innych tematów.

Wynika z tego, że, najprawdopodobniej, kilkanaście historyjek składających się na *Pustostany* są tekstami, które autorka tworzyła na potrzeby terapii. To zaś oznacza, że od samego początku jest autorką pamiętników, a jury nagradzające *Pustostany* uhonorowało nie powieść, lecz ukrytą autobiografię. Pomijając już rozważania o etyczności nagradzania takich form (czy ktokolwiek ma prawo oceniać, czyje życie jest ciekawsze lub nobilitować je do rangi dzieła sztuki?), uważam za nieporozumienie traktowanie książek Kotas jako powieści i rozmawianie o nich w taki sposób. A to jest powszechna praktyka recenzentów, całkowicie ignorujących fakt, że wydawcy (zatem i autorka) wpisują je do kategorii *non fiction*... Mam wątpliwości, czy należałoby je traktować jako literaturę piękną nawet wtedy, gdyby faktycznie były dziełami fikcji, a to dlatego, że zgadzam się z przywołanym na początku Ortegą y Gasetem, postulującym w eseju *Dehumanizacja sztuki* uznawanie za piękne tylko tych utworów, które zachwycają swoją formą, nie treścią. Filozof, odnosząc się do muzyki romantyków (zwłaszcza Wagnera), pisał:

Ta muzyka porusza nas do głębi, wyciska z oczu łzy i pogrąża nas w miłosnym zapamiętaniu. [...] Lecz to właśnie jest nie w porządku – powiedziałby współczesny artysta. Oznacza to wykonywanie właściwej człowiekowi szlachetnej słabości czyniącej go podatnym na zarażenie się radościami i smutkami bliźnich. Taka infekcja nie jest zjawiskiem duchowym; jest ona prostym oddechem, podobnie jak zgrzytanie zębami jest reakcją na drapanie nożem po szkle. Jest to reakcja czysto automatyczna, nic poza tym. Nie powinniśmy mylić przyjemności z łaskotkami. [...] Z punktu widzenia estetyki łzy i śmiech są zwykłym oszustwem.

Krytyka dała się oszukać. Nie czyni z Kotas dobrej pisarki dzielenie się przez nią z czytelnikiem własnymi traumami. W eseju *Bovaryzm dla mas*, opublikowanym w poprzednim numerze „Frazy” (2023, nr 1–2) pisałem, że empatyzowanie z autorami nurtu konfesyjnego stało się metodą oceny ich

dziel, zaś płynące z ust czytelników i recenzentów zdania: „mam to samo”, „jestem taka jak ty”, są zarówno rozgrzeszeniem, jak i najwyższą formą uznania.

Litania narzekań na rzeczywistość zajmuje mniej więcej połowę najnowszej książki Kotas, jest próbą odwlekania tego, co jest w niej najważniejsze, mianowicie odpowiedzi na pojednawczy list matki. Zadziwia forma tej odpowiedzi. Kiedyś, w rozrywkowym programie *Maszyna czasu* pojawił się skecz z Krzysztofem Kowalewskim, Sławomirem Orzechowskim i Katarzyną Figurą, w którym panowie opowiadali sobie o fatalnych w skutkach przeżyczeniach. Kowalewski powiedział: „Siedziałem z żoną przy śniadaniu. Bardzo przyjemnie. Grzanki, kawa, jajko. W pewnym momencie poprosiłem żonę o sól. Ale, że byłem bardzo zamyślony, to zamiast powiedzieć: «Poproszę o sól», powiedziałem: «Ty stara kurwo, zmarnowałaś mi dwadzieścia lat życia»”. Nie potrafił sobie wyobrazić trafniejszego podsumowania drugiej połowy *Czerwonego młoteczka*, bowiem Kotas bardzo chciałaby odpisać, że po prostu wypisuje się z tej znajomości, lecz zamiast tego rozpoczyna bezprecedensowy seans nienawiści.

Nienawidzi swojej matki tak głęboko, że brzydzi się swojego ciała, ponieważ wyszło z jej brzucha i posiada niezbywalne znamię niedysyjnej jedności w postaci pępka. Pragnie się go pozbyć nie tylko dlatego, że łączy ją z matką, ale też dlatego, że jest ono ciałem kobiety, którą opresyjny patriachat i religijny zabobon pragną zawłaszczyć, wykorzystać i skrzywdzić. Ciało bohaterki jest do tego stopnia oderwane od niej samej, zależne od innych, istniejące i działające wbrew jej woli, że jego właścicielka ma poczucie uwięzienia w nim. Matka zaś, niczym przerażający, wewnętrzny upiór, objawia się w każdym jego skrawku, spontanicznym geście i przyzwyczajeniu:

Moje ciało to nawiedzony dom. Mogłabym sprzedawać do niego bilety albo prowadzić w nim hotel, albo schronisko dla innych zjaw, bo w sumie co za różnica, ile ich w środku jest, jeśli

w ogóle są i nie ma z nimi żadnego spokoju. Coś straszy i nie wiadomo dokładnie, co to jest, ale i tak nie chcę tam mieszkać, po prostu nie, bo nie lubię horroru, to nie moje klimaty.

Autorka wspomina rozliczne momenty z dzieciństwa, gdy była krzywdzona przez matkę, która włączała jej do głowy absurdalne zabobony, rujnowała samoocenę, podkreślała, że do niczego się nie nadaje i jest gorsza od innych. Wydaje się, że nigdy nie zrozumiała tego, co zrobiła swojej córce, co jest powodem odrzucenia przez nią jej propozycji pojednania.

Na początku książki Kotas posługuje się metaforą jazdy w zatłoczonym autobusie i czerwonego młoteczka, którym można wybić szybę, by się ewakuować. W przekonaniu autorki ludzie tkwią w toksycznych relacjach z innymi/bliskimi i światem, bo nie wiedzą, jak się od nich uwolnić. Być może swoim pisarstwem, zapisanym w nim własnym doświadczeniem, chce dać świadectwo tego, że w każdej chwili możemy z nich wyjść, wybić szybę i dać nogi za pas. Życie w takim świecie nie jest obowiązkowe. Podobnie jak lektura *Czerwonego młoteczka*.

Piotr Wojtaszek

Dorota Kotas, *Czerwony młoteczek*, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2023.

Kazimierz Maciąg

DAWNO TEMU TERAZ, CZYLI POEZJA SŁÓW

Proza Joanny Sarneckiej pod względem rodowodu genologicznego sięga do kilku źródeł. Jest z pewnością odmianą autobiografii; czytając *Dawno temu teraz* nie mamy wątpliwości, że autorka i narratorka-bohaterka, są, mniej więcej oczywiście, tożsame. Aby dojść do takiej konstatacji, nie trzeba nawet

sięgać do internetowej wiedzy umożliwiając jej rozpoznanie symptomów tej tożsamości – wystarczy pozostać w kręgu samego świata przedstawiłonego, zagłębiając się w niespieszny tok narracji, w którym sugestia takiego właśnie odczytania jawi się jako najbardziej oczywista: „W nocy była pełnia. Ta pierwsza wiosenna, wywracająca świat na drugą stronę, odwracająca bieg wydarzeń. Księżyc wisiał nad Duklą nisko i wypinał pomarańczowy brzuch ku gwiżdżom. Rano na trawie był szron. A już się zdawało, że wiosna na dobre rozlała ciepłe fluidy nad ziemią. Rozpalilam w piecu i czekałam, aż dzień się rozpędzi, a słoneczna lampa wyprowadzi nas z tych zimowych nadgodzin. Już wiosna. Śpiewają ptaki, kwitną zawiłce, a w lesie pod Cergową zieleni się czosnek. Wszystko dostaje wiosennego świra, intensywniej, pęczniej i ćwierka” (s. 56).

Dawno temu teraz to narracja niezwykle osobista: opowieść, która ją wypełnia, utkana jest z prywatnej interpretacji świata, przepuszczonej przez filtr szczególnej wrażliwości na jego piękno. Podczas lektury tej opowieści czytelnik wielokrotnie odnajduje fragmenty, które zachwycają oglądem rzeczywistości najprostszej, odnalezionej na peryferiach wielkiego świata, w miejscu, którego centrum stanowi najbliższa okolica podkrośnieńskiej Dukli. Formuła „realizmu magicznego” jest już nieco zużyta, ale pewnie oddawałaby jakąś część prawdy o tej prozie - chociaż na pewno więcej tu realizmu niż magii.

Metaforyka, która wypełnia kolejne akapity książki i która pojawia się niemal w każdym zdaniu, nadaje tej niezwykle oryginalnej opowieści o świecie podkarpackiej prowincji, wyraźny charakter poetycki; wydaje się, że gdyby inaczej „złamać” ten tekst - powstałby z wielu jego partii niemal gotowy wiersz, którego bohaterem może być np. dzień zmieniający się wraz z rytmem kolejnych pór roku: „Latem tryumfalnie wkracza i jednym cięciem pokonuje mrok. Teraz

w listopadzie, gramoli się ten stary dzień, ten zdetronizowany władca, nieporadnie. Czasem aż do wieczora, nie może dojść na swoje miejsce, jakby się nie mógł zdecydować, widząc ten smętny, ogołocony świat, czy w ogóle chce tu być, czy ma ochotę, swoim jasnym blaskiem, swoim świetlistym imieniem firmować to coś, co przypomina półżywe pisklę z przedwczesnie pękniętego jaja, niekształtny płód z kruchym zawiniątkiem życia tak podobnym wciąż jeszcze do śmierci” (s. 87). Podczas lektury takich fragmentów chciałoby się powtórzyć za Edwardem Stachurą, poetą też tak często poszukującym domu, i w podobnej okolicy: „Wszystko jest poezją”...

Topos domu, tego dawnego, opuszczonego, ale jeszcze częściej tego obecnego, wymarzonego, poszukiwanego, odnajdywanego, traconego, zmieniającego – pojawia się w tej prozie tak często, że prawie można go nazwać wszechobecnym: „Dom, a raczej jego cień, dalekie echo” (s. 73). Sarnecka – lub też narrator jej prozy – na pewno nie jest współczesnym nomadą contentującym się permanentnym wędrowaniem dla wędrowania. Patrząc na Krosno wyznaje: „Jak dobrze tym, którzy są stąd. Muszą być dumni ze swojego bajkowego miasta otoczonego od północy skalistymi wzgórzami, od południa otulonego pasmem Beskidu Niskiego i Cergowej” (s. 85). Na ostatniej stronie książki osobliwe, koszarne *pendat* do domów z tej prozy, covidowa epoka dopisuje upiorny esemesowy komunikat pandemiczny: „Zostań w domu”!

Poetyckie odczytanie tej prozy sugerują niektóre tytuły części-rozdziałów nazywających książki Joanny Sarneckiej: *Cisza*, *Pożegnanie rzeki*, *Oblicze miasta*, *Kontemplacja bieli*, *Bezimienny z Dukli*... W tych niewielkich epizodach autorka opowiada o sprawach najzwyczajniejszych, codziennych: pięknie przyrody widzianej najczęściej w diapazonie zmieniających się pór roku, postrzeganych przez pryzmat chwil, przypadkowych spotkań z ludźmi, marzeń. Ale też o troskach

o rzeczy najprostsze; narratorka nie dociera do swego obecnego miejsca pobytu wolna, wyposażona w środki pozwalające jej rozkoszować się „wsią spokojną, wsią wesolą” – na kartkach *Dawno temu teraz* wielokrotnie znajdziemy rozmaite niepokoje o pracę, mieszkanie, chleb codzienny.

Narratorka zajmuje wyraziste, osobne, miejsce wobec świata przedstawionego; czytamy: „Czasem wydaje mi się, że przybyłam tu z tajną misją. Wysłano mnie. Kogo? Tego nie wolno mi wiedzieć. Misja jest prosta. Jestem tu, by patrzeć” (s. 64). Jest osobą „z zewnątrz”, „obcą” – z rozmaitych wzmianek i aluzyjnych napomknięć możemy, przynajmniej w części, zrekonstruować jej biografię. Obecność „tu i teraz”, w okolicy Dukli, wynika z życiowych zakwasy, ale też w jakiejś mierze z wyboru, z poszukiwania swego rodzaju azylu w miejscu odległym od wielkiego centrum, gdzie inaczej płynie czas i można dostrzec więcej. Decyzja ta jest też na pewno rodzajem ucieczki zarówno „od”, jak i „do”.

Książka Joanny Sarneckiej to także szczególnie odmiana powieści, w której niby wszystko ma swój początek, środek i koniec: „Patrzę na miasto uformowane jak marcepanowe cacko, zwieńczone malowniczym rynkiem, pudrowe kamieniczki, uliczki przechodzące łagodnie w tajemnicze schodki okolone dzikim winem. Kopyty końców strzelają w pastelowe niebo. Patrzę, ale nie wnिकam, nie odcytam, jakby wszystko to oblane było szklistą kuwerturą. Martwe, uwiecznione w czasie jak szklane Pompeje. A tak bym chciała zanurzyć palce w wilgotnym, ciepłym miejskim mięsie. Ogrzać się jego ciepłem” (s. 84). Nieczęsto można przeczytać tak piękne opisy „małych ojczyzn” – zbudowane z najwykleszej materii językowej, nienakierowane na epatowanie czytelnika szczególnie efektownymi formułami stylistycznymi, a jednak pełne oryginalnej wrażliwości na słowo i na piękno świata.

Książkę Joanny Sarneckiej uzupełniają grafiki Ewy Kutyłak, monochromatycz-

ne, w pewien sposób nawiązujące do sztuki drzeworytu, zasadniczo niby wyciszone, ale zawierające w sobie wyraźny ładunek dynamiki, a może nawet dramatyzmu, dobrze korespondujące z charakterem tej prozy.

Kazimierz Maciąg

Joanna Sarnecka, *Dawno temu teraz*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida w Świdnicy, Świdnica 2022.

Tomasz Pyzik

BUDOWANIE POMNIKA BOGDANA CZAYKOWSKIEGO

Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego pod redakcją Magdaleny Rabizo-Birek i Bożeny Szalasty-Rogowskiej to drugi tom ambitnego projektu badawczego zatytułowanego *Kontynenty*. Jego celem jest opracowanie dorobku twórców wchodzących w skład działającej w Londynie w latach 1959–1964 emigracyjnej grupy literackiej. Pierwszy tom poświęcony był spuściznie artystycznej Andrzeja Buszy, teraz na półce staje imponujący, liczący ponad siedemset stron, zbiór dotyczący autora *Ziemiosktonu*. Na swoją kolej czekają inni „kontynentycy”, którzy jeszcze nie doczekali się zbiorowych monografii: Adam Czerniawski, Janusz Artur Ihnatowicz, Florian Śmieja i Jerzy Stanisław Sito. Mają je już od kilkunastu lat (choć poza tą serią wydane): Jan Darowski, Zygmunt Ławrynowicz i Bolesław Taborski.

Zagłębiając się w scalone sprawnym zmysłem redakcyjnym obszerne dzieło naukowe, od razu zauważymy, że jego wymiar badawczy został wzbogacony bezpośrednim głosem Bogdana Czaykowskiego (1932–2007), który jest tu obecny od samego początku. Obecność bohatera *Kontynentów* zaznacza

się już w otwierającym tom utworze pod tytułem *Epitafium*, co wynosi opracowanie do rangi symbolicznego, literackiego pomnika. Profetyczne *Epitafium*, datowane na 1952 rok, a więc gdy poeta miał zaledwie 20 lat, nie ma jednak w sobie patosu. Wyczuwamy w nim dystans, autoironię, ale także ślad przeznaczenia oraz troskę o dobre samopoczucie tych, którzy przyszlizli na ostatnie pożegnanie. Spójrzmy sami:

*Pozwól mi Zeusie wierzgnąć chociaż raz kopytem,
A zaś ty, Apollinie, graj mi jazz na lutni,
Żeby widzowie kłęski nie odeszli smutni,
Ale uradowani, że z wyroków nieba
Ginie osioł, co nie chciał ryczeć, kiedy trzeba.*

Dziś, mając do dyspozycji *Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego*, sami możemy zweryfikować, w jakim stopniu spełniły się prośby do bogów i czy życie twórcze przedstawiciela Kontynentów było czasem kłęski, czy zwycięstwa.

Najważniejsze cztery części tomu mają tytuły zapożyczone z pism autora *Okanagańskich sadów* i w skondensowanej formie stanowią zapowiedź treści wypełniających poszczególne rozdziały. Ujawnia się tu dbałość o edytorskie szczegóły, a odpowiednio pozycjonowanie słów Czaykowskiego świadczy o wyłuskaniu istoty jego filozofii twórczej oraz wyodrębnieniu konstatacji płynących z artystycznie uwrażliwionego bycia w świecie.

I tak część pierwsza nosi tytuł „*Ja jestem poeta*”, co podkreśla artystyczną tożsamość i wynikające z niej widzenie świata. Poetyckie „ja” Czaykowskiego zostało prześwietlone pod kątem epistemologicznym przez Jerzego Sikorę, który w artykule *Poezja jako narzędzie poznania według Bogdana Czaykowskiego* na podstawie utworów z tomu *Jakieś ogromne szczęście. Wiersze wybrane z lat 1956–2006* formułuje następujący wniosek o filozoficznym i metapoetyckim aspekcie liryki wyłaniającym się z twórczości emigracyjnego autora: „słowa ograniczają sensy, przesłaniają rzeczywistość, a nawet odgradzają od niej. Słowo jest wprawdzie orężem

poety, ale może przestaniać to, co najważniejsze – Absolut, Boga”. Kompletnie pod kątem teologicznego rozeznania są interpretacje dokonane przez Justynę Budzik. Jej studium zatytułowane „*Homo hesitans, homo confidens*”? *Bogdana Czaykowskiego drogi do Boga* udanie pokazuje odbitą w materiale lirycznym zmienną i niejednostajną fakturę wiary podmiotu autorskiego. Część pierwsza zawiera także omówienie literackich obrazów Kanady, które zbadała Anna Jaworska. Równie interesujące i poznawczo angażujące jest wsłuchanie się Eweliny Radion w dźwięki melancholii obecne w lirycznej przestrzeni członka Kontynentów.

W części drugiej, której swoistym motem są słowa Czaykowskiego „*Wiersz chciał być*”, napotkamy studia o takich utworach jak *Ogród* (Katarzyna Niesporek), *Miejsce i czas* (Janusz Pasternski), *Zamiast modlitwy* (Bożena Szalasta-Rogowska). Magdalena Rabizo-Birek pisze o „wierszach jednej nocy”, czyli pięciu utworach napisanych 1 XI 1977 roku. Są to następujące tytuły zamieszczone w tomie *Wiatr z innej strony. Wiersze zebrane z lat 1953–1989: Słyszę, jak imię moje puszczyk woła, I bardzo nisko byłem położony, Pomiędzy nami nie ma przeszkód, Gdy byłaś wewnątrz, jeszcze było ciemno* oraz *Byłem zgubiony*. Pogłębiona i wielokontekstowa analiza rzeczonych liryków prowadzi interpretatorkę do wniosku, „że problematyka i stylistyka wierszy z 1 listopada 1977 roku wyraża swego rodzaju okres «mystyczny» Czaykowskiego”. Rabizo-Birek znakomicie rozświetla znaczenia „wierszy jednej nocy”, tłumacząc teksty, które – jak pisze – „dokumentują [...] moment przełamania twórczego kryzysu, powrotu poetyckiego natchnienia, zatem epifanii tyleż religijnej, co artystycznej”.

„*Ludzie bywają wielopoziomowi*” – to rozpoznanie towarzyszy części trzeciej, w której wspomniana wielopoziomowość może być odczytana jako metafora skomplikowanej natury artysty i meandrow jego duchowego wnętrza. Niewątpliwą wartością badawczą są portrety podwójne, czyli nauko-

wie analizy splotów Czaykowskiego z innymi ludźmi kultury. Anna Jamrozek-Sowa przygląda się korespondencji autora *Trzciny czcionej* z Jerzym Giedroyciem, a Beata Tarnowska bada listy poety wymieniane z Janem Brzękowskim. Jakub Osiński stawia na literackich sztalugach Czaykowskiego i Kazimierza Wierzyńskiego, z kolei Nina Cieślík-Wilk do twórczego konterfektu bohatera drugiego tomu *Kontynentów* dołącza obraz Floriana Śmieci. Niezwykle interesujące jest studium Jana Wolskiego, który – w ścisłym kontekście głównego tytułu zbioru – analizuje rozproszone drogi Kontynentów z ich wewnętrznej perspektywy, czyli z punktu widzenia Bogdana Czaykowskiego.

Ostatnia część czwarta przywołuje następujące słowa emigracyjnego autora: „Znalazłszy się w środku tranzytu”. Obrazują one dramat jednostki wyrwanej ze znanego sobie świata, symbolizują człowieka wykorzenionego, który niczym *homo viator* jest w nieustannej tułaczce, w niepewności jutra, w pełnym napięciu oczekiwaniu na ostateczną destynację. „Środek tranzytu” jawi się więc jako metafora losu polskiego emigranta, co szczególnie odbija się w postaci Bogdana Czaykowskiego. Badaniem stanu bycia „w środku tranzytu” i jego wpływu na pisarstwo zajęli się m.in. Kazimierz Adameczyk (*Bogdan Czaykowski – krytyk literacki i publicysta*) oraz Jolanta Pastarska (*Myśli i postania „Listów znad Pacyfiku” Bogdana Czaykowskiego*). Z poddanym analizie cyklu narracji quasi-epistolograficznych – jak czytamy – „wyłania się osobowość Bogdana Czaykowskiego poety, krytyka, badacza literatury, Polaka i w jakimś stopniu – Kanadyjczyka”. Rzeszowska badaczka na podstawie zapisków autora adresowanych do redaktorów pisma „Fraza” („Drogich Frazonautów” – jak ich nazywał w incipitach), publikowanych w latach 2004–2007 wyodrębnia „posłania” do polskich czytelników, które dotyczą określenia twórczej tożsamości, bycia człowiekiem wyzwolonym od ograniczeń polskości i emigracyjnej doli oraz mieszkańcem Ziemi („ziemcem”).

Symbolicznym domknięciem zbioru jest datowany na dzień 11.09.2005 wiersz Bogdana Czaykowskiego *Żegnanie*. Nie ma do niego żadnego komentarza, żadnej analizy. Pozostajemy dzięki temu z poetą sam na sam w przestrzeni wiersza otwartej na przestwór nieskończoności i mamy okazję na osobiste z nim pożegnanie, na wysłuchanie słów skierowanych do nas. Zbiór wypełniają jeszcze skrupulatne kalendarium życia i bibliografia twórczości Bogdana Czaykowskiego, przez co publikacja nabiera kształtu kompletnego dzieła naukowego.

Jeśli pośmiertne opracowanie twórczości autora w jakimś stopniu ma oddawać jego wielkość i dorobek, to choćby tylko na podstawie drugiego tomu *Kontynentów* możemy stwierdzić, parafrazując słowa i tonację dwudziestoletniego Czaykowskiego z *Epitafium*, że Zeus pozwolił mu na wiele, a Apollo ochocho grał mu jazz na lutni. A my, świadkowie i odbiorcy tej sztuki wytrawnej, nie odchodzimy smutni, ale uradowani z twórczego męstwa, gdyż byliśmy widzami nie klęski, a zwycięstwa. Sam autor zaś, choć czułby się, być może, niegodny, zasłużył na nowy napis nagrobny, na którym Horacjańskie *Non omnis moriar* złotymi literami świeci, a pisarz spoczywa w pokoju ku wiecznej pamięci.

Budowa pomnika Bogdana Czaykowskiego, który jest trwalszy od spiżu, z pewnością nie jest zakończona. Rozległe studia i szkice poświęcone przedstawicielowi Kontynentów, rozmaicie złożone i konceptualnie dopracowane w każdym szczególe poprzez redakcję Magdaleny Rabizo-Birek i Bożeny Szałasty-Rogowskiej, stanowią bez wątpienia solidną część literackiego monumentu. Jedno jest pewne: wykończenie całości pomnika nie będzie możliwe bez wsparcia się na nośnym filarze drugiego tomu *Kontynentów*.

Tomasz Pyzik

Kontynenty. Tom drugi. Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego, red. M. Rabizo-Birek i B. Szałasty-Rogowska, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice–Rzeszów 2021.

*V Konkurs na recenzję literacką
im. Tymoteusza Karpowicza 2023*

Jagoda Maciejczyk

CZY TY TEŻ SŁYSZYSZ TEN ŚWIERGOT*

Marcin Mokry zaskoczył nas debiutancim tomem *czytanie. Pisma*, ale jego drugą książką poetycką jest istnym majstersztykiem typograficznym i treściowym. Tytułowy świergot (Fundacja im. T. Karpowicza, Wrocław 2019) ma wiele znaczeń. Może być świstem powietrza, wywołanym przez samoloty i spadające bomby, jak i odgłosem niosącym nadzieję, śpiewem ptaków. Okładka też jest wieloznaczna. Powiększony obraz mikroskopowy na pierwszy rzut oka przypomina mapę. Na trop ten wskazuje zapis imienia i nazwiska poety oraz tytułu tomu. W atlasach geograficznych zaokrąglane są nazwy wód, a pismem prostym podaje się nazwy lokalizacji lądowych. Zakładając, że jest to raczej przybliżenie komórki organizmu, można pokusić się o stwierdzenie, iż ów tajemniczy „świergot”, kluczowa metafora, oddziałuje na nas na poziomie komórkowym – jest życiodajną iskrą, impulsem, znakiem ruchu.

Autor posługuje się swobodną składnią i interpunkcją, co jest znamienne dla jego awangardowych inspiracji. Stawiając przecinki i kropki w innych miejscach, zmienia-

my znaczenie. Ze znaków przestankowych można całkiem zrezygnować i czytać poszczególne fragmenty poematu za każdym razem odmiennie. Mokry robi tak na spotkaniach autorskich – dzięki temu obie strony dostrzegają mnogość i różnorodność tego, co wpisano w tekst. Wiersze te wręcz należy czytać kilkakrotnie, robiąc różne pauzy, bo (przytoczę trafne słowa Rafała Wawrzyńczyka z recenzji dla „Dwutygodnika”) „Mokry poezję raczej «robi», niż ją «pisze»”. Poeccie nie chodzi o samą formę, ale to ona definiuje znaczenia i postrzeganie. Teksty powinny być odbierane zmysłowo, równocześnie na trzech polach: pismo-obraz-dźwięk. Dopiero po tym przychodzi próba usensownienia. Zapis zdań-fraz jest tak samo istotny dla pełnego zrozumienia przekazu Mokrego, jak obraz, a więc to, że tekst się widzi, że jest obiektem wizualnym. Doświadczenia obcowania z tym dziełem sztuki dopełnia dźwięk. Prezentacja i odbiór akustyczny potrafią całkowicie zmienić odbiór czytanych słów. *Świergot* pełen jest swobodnych skojarzeń, nasłuchów, dźwiękowych zapisów z przeszłości, które „fizycznie nieusłyszane” nie wybrzmiewają w pełni.

Po otwarciu książki czytelnik, niegotowy na awangardowo-artystyczny charakter poezji Mokrego, może się przerazić: po lewej, wśród rastra kropek, widnieje tekst-wiersz, a na prawej karcie nazwy miejscowości na O i P. Jak mówił Mokry na jednym ze spotkań, układ ten obrazować ma porządek wszechświata. W tomie pojawiają się też urywki informacji prasowych, wyniki badań historycznych i hasła encyklopedyczne, tworząc w czytelniku wrażenie palimpsestu.

Pierwsze wiersze są intymnym wstępem do historii, bo *Świergot* jest poematem, a więc tomem o (w teorii) linearnej fabule. Poznajemy rodzinę autora, podmiotu tożsamego z autorem i w pełni korzystającego z autobiografizmu relacji. W jej skład wchodzi dzieci Maria i Antoni. Mamy zachwyty rodzica nad pociechami, empatię i troskę oraz kontemplację najwykleszych w świecie

* Wyróżnienie w IV Konkursie na recenzję literacką im. Tymoteusza Karpowicza 2022 (zagubiona przez redakcję „Frazy” i niewłączona do prezentacji laureatów w numerze 2023, nr 1–2), za co przepraszamy autorkę. Jagoda Maciejczyk zdobyła I nagrodę w V edycji tego konkursu (lipiec 2023), ale jej praca (recenzja powieści Marty Kozłowskiej *Berdyczów*) zgodnie z regulaminem ukazała się w miesięczniku „Książki”.

czynności: zdejmowania skarpetek, kąpieli czy poruszania zwyczajnych (acz trudnych filozoficznie) kwestii przez dzieci:

[...] i patrzysz. Mówisz coś, czego chcesz ode mnie. Co do mnie, dzięki temu wciągasz w te swoje sprawy. Tam żeby z tobą pojsć. Wiele dla ciebie znaczy ze mną. Liczba mnoga, której nie rozumiesz

Rodzina ta to „tak zwani bohaterowie” – nie ich doświadczenia są najistotniejsze, choć to Marcin-ojciec najpełniej odczuwa, co dzieje się wokół. Mokry nie naśladuje głosu ofiar, nie wprowadza mowy pozornie zależnej – byłoby to sztuczne i etycznie wątpliwe. Nie wchodzi w rolę, w której nie był. Świergot to utwór polifoniczny – niby mówi ojciec, ale do jego myśli wdziera się to, co na zewnątrz. Ta figura szumu kojarzy się z PTSD – próbujący żyć normalnie tata, troskliwy względem swoich dzieci, towarzyszący im w pierwszych latach ich życia, jest w ciągłej gotowości do ucieczki, rejestruje każdą zmianę.

Tłem, które z czasem wybija się w książce na pierwszy plan, jest wojna (czy szeroko rozumiany, nowoczesny konflikt zbrojny). Uniwersalny motyw wojny (tu II wojny światowej i wojen na Bałkanach) jest o tyle istotny, że stanowi w poemacie punkt wyjścia. Losy rodzin-cywilów i rodzica (behradnego opiekuna) są zawsze takie same, bez względu na specyfikę wojny. Ale to właśnie ta bałkańska rzuca cień na „spokojne” życie pokolenia urodzonego, podobnie jak autor, na początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Do dziś stawia nam ona niewygodne pytania o zaniechania i zbiorową odpowiedzialność. Mokry nie opisuje jednego wydarzenia, nie lokuje się w jednym miejscu i czasie. Nie jest poetą-historkiem (dokumentatorem), lecz poetą-rodzicem, doświadczającym tragedii pośrednio. Przeciwnie do obu awangard, budujących świadomość przyszłościową, autor pozostaje świadomy przeszłościowo, a jego poemat jest próbą przepisanie historii – tej zbiorowej i jednostkowej.

Poeta korzysta w pewnym momencie z wizualnego zabiegu, który sprawia wrażenie, jakby bomba spadła w sam środek tomu i stworzyła wyrwę – w tekście i w świecie jego podmiotu. Tu wspomniani wcześniej szum staje się bardziej dosłowny, bo zewsząd dobiegają informacje radiowe i prasowe, niezwiązane z rzezią na zewnątrz. Nikt, poza podmiotem i doświadczającymi tragedii bezpośrednio, nie zwraca na nie uwagi.

Daty zawarte w podtytułach wierszy zawierają przeskoki między latami; mamy rok jakiś-18, przeplatany z jakimś-17, a dalej jakiś-12, jakiś-94, itd. Mogą to być odniesienia do życia autora (np. zdjęcie skarpetki w 2018 roku, które jest materialnym śladem, okrucieństwem wspomnień), jak i do wojen, które go poruszyły. Można jednak nie wiązać dat z konkretnym czasem i miejscem, a sens *Świergotu* zostanie zachowany. Chodzi tu bowiem o świat przemocy, historię jako maszynę cierpienia, i o przerażenie rodzica, który – choć bardzo się stara – nie może ochronić nawet swoich dzieci. Jest w tej książce coś profetycznego i przeraźliwie smutnego, co dopiero dziś pozwala się w pełni uchwycić: uważna zapowiedź świata, który jeszcze niedawno wydawał się nam historycznie i geograficznie odległy.

Jagoda Maciejczyk

Marcin Mokry, *Świergot*, Fundacja im. T. Karpowicza, Wrocław 2019.

Piotr Marcinków

NA ZAWSZE ŚNIEG*

„I nagle skończy się to wszystko, w co wierzysz, co kochasz – zasypie śnieg” – śpiewał Artur Rojek. „Śnieg w kościołach, śnieg w bramach, śnieg pod Kopcem Kościuszki” – mamrotał Marcin Świetlicki. „Śnieg w kwietniu i śnieg w czerwcu, śnieg pod koniec lata, śnieg, na zawsze śnieg” – dodaje Maciej Robert w tomie *Śnieg*.

Ta dziewiąta książka poetycka łódzkiego pisarza, wydana tym razem przez wrocławskie Warstwy, jest jednoczesną kontynuacją i wyłamaniem się z dotychczasowej twórczości. W *Śniegu. elegiach przedmiejskich* powracają chociażby znane z *Księgi meldunkowej* wątki obserwacji niewielkiej, lokalnej społeczności. Robert nie stroni także od swojej (przed)miejskiej archeologii, której przebieg czytelnik mógł śledzić na przykład podczas lektury tomu *Co mogło pójść nie tak?*. Nowością na tle jego dorobku jest niewątpliwie przejście w stronę struktury bardziej zorganizowanej, będącej właściwie rozbitym na kilka części, skondensowanym poematem. Bieg wydarzeń, czy może raczej ciąg obrazów lub kadrów, choć rwany i zamglony, pełen niedopowiedzeń i pustych miejsc, układa się w dość spójną historię. Należy przy tym zaznaczyć, że wybór ciągłości konstrukcyjno-fabularnej nie odbył się – przynajmniej co do zasady, o wyjątkach jeszcze powiemy – kosztem różnorodności tak tematycznej, jak formalnej – *Śnieg* to książka rozmawiająca z czytelnikiem wielokrotnie i zachęcająca do ponawiania kontaktu.

Biała szata

Dominujący w tomie kolor – biel – jest, moim zdaniem, najważniejszym elementem tego poematu; wszechobecną jakością, która w różnych, nierzadko przełamanych i kontrastujących wewnętrznie, konfiguracjach organizuje całość utworu (siła tego motywu przeniknęła zresztą do niniejszej recenzji). Szkieletowane przez Roberta obrazy są ciasno owinięte białymi szatami, dochodząc wręcz do granicy zaduszenia. Biel wytwarza zimne, bezwzględnie widoczne i uwidaczniające tło, na którym tym wyraźniej odcinają się niechciane bądź wypierane obiekty oraz wydarzenia. Jednocześnie jest to całun stopniowo przykrywający widziane, przekształcający przestrzeń i pamięć w nowe opowieści.

Pierwsze wrażenie kolorystyczne, z jakim mamy do czynienia, zawiera się, rzecz jasna, już w samej książce jako przedmowie. Szata graficzna *Śniegu*, za którą odpowiada Joanna Jopkiewicz z Grupy Projektor (ostatnio wyróżniona nagrodą „Jacket off!” na Bologna Book Plus za okładkę *Rasteru Liechtensteina* Agnieszki Wolny-Hamkało), wykorzystuje wyłącznie paletę monochromatyczną, od przybrudzonej bieli do głębokiej szarości. Rozmazany, niemalże ledwie widoczny tytuł zapowiada zakłóconą przejrzystość tomu – a jeśli czytelnik pomiędzy kolejnymi partiami tekstu poczuje się zbyt pewnie, to rozsiane w różnych miejscach wklejki, przywodzące na myśl zrobione w pośpiechu, w nagłym ruchu zdjęcia, przypominają, że w tym poemacie nieustannie jest „coś nie tak // z obrazem, poruszony kadr”. Wrażenie zagubienia i swoistej klaustrofobii dopełnia zawężony format strony oraz stanowiący większość utworu ciąg krótkich, nieco nerwowych w swoim toku dystychów, które urywają się w połowie strony, zostawiając białe, milczące połączenia kartki. I choć wszystkie te zabiegi mają na celu wytworzenie uczuć z gruntu nieprzyjemnych, taki kształt mate-

* II nagroda w V Konkursie na recenzję literacką im. T. Karłowicza 2023.

rialny *śniegu* może być źródłem estetycznego zadowolenia.

Dominującą warstwą bieli w książce jest oczywiście tytułowy śnieg. Każdy utwór rozgrywa się w scenarii zimowej, za każdym razem mamy do czynienia z zaśnierzonym krajobrazem, o czym autor przypomina nam niemal obsesyjnie. Robert ogrywa czytelnego motywy melancholii zimowej pory, jej chłodu i nieprzystępności, pozbawiając ich zarazem jakiegokolwiek pierwiastka pozytywnego; próżno pośród zaśnierzonych polaci poematu szukać domowego ciepła czy rodzinnej atmosfery świąt, nawet zimowe zabawy rozgrywają się w cieniu dramatu. Akcja *śniegu* toczy się w obrębie dużego polskiego miasta, niemniej tonacja utworu sprawia, że wszelkie osiągnięcia cywilizacji wraz z jej ładunkiem potencjalnej szczęśliwości nabierają momentami charakteru widmowego – przedmieścia przechodzą w coś na kształt syberyjskiej tundry, bezkresnej i odrealnionej, której gorczy tu i ówdzie urozmaicają fatamorgany pamięci.

Biel wiska się wszędzie, a każdy kolejny przedmiot niesie ze sobą inne skojarzenia. Kry na rzece, biało-czerwona taśma ostrzegawcza, gaszone wapno, talonowa pościel, ubranko do chrztu: pełne spektrum, wymieniać można by długo. *śnieg* jest zalany bielą; szczególnie przy ponownych lekturach można zauważyć jej oślepiającą naoczność, która potrafi być – moje nieodparte wrażenie czytelnicze – na tyle przytłaczająca, że świadomość odwraca wzrok i szuka jakiegokolwiek odskoczni, jak pod koniec jednego z pierwszych wierszy:

*Resztki słońca. Kowadło
burzowe nad Ślęzą. [...]*

*Pobielona wapnem tablica
Reklamowa, chwiejny napis*

*GDZIE SĄ MOJE DZIECI
JULIA I STEFAN*

*Ale że burza? Zimą?
Kowalstwo artystyczne?*

I owo miejsce na oddech może znaleźć, tyle że wdychamy popiół, oglądamy spalone wraki oraz złom, sine sylwetki i krew na śniegu. Obiekty zniszczenia i rozkładu nie są częste lub nachalne, są jednak jednymi z nielicznych w ogóle obecnych – tym silniej odciskają się na śniegu i tym silniej odciskają śnieg.

Biała plama

Śnieg pełen jest miejsc pustych, niedopowiedzianych bądź przemilczanych. Kondensacja i skrótowość wyrazu sprawia, że wiele aspektów opowiadanej historii zawiera się w sferze niedomówienia. Efekt ten zostaje dodatkowo spotęgowany przez zwykle niezasygnalizowane zmiany podmiotu lirycznego – niekiedy trudno zorientować się, kto opowiada, a kto jest bohaterem tekstu, żadna z osób zresztą nie doczekała się bezpośredniego wyrażenia w tekście, toteż ciągłe wrażenie zagubienia, błędzenia po omacku – mimo wyczuwalnej i możliwej do zrekonstruowania historii! – jest niemożliwe do uniknięcia. Uzupełnienie zaszumionej polifoniczności stanowią przeploty planów czasowych oraz powiązania konkretnych motywów na zasadzie raczej sugerowanego przeczcucia aniżeli określonego związku. Dość trywialny paradoks, ale w *śniegu* wszystko jest jasne i nic nie jest jasne.

Niespokojny nurt poematu przypomina pracę roztrzęsionej pamięci i w tym wątku upatruję jeden z najistotniejszych tematów książki. Powrotna podróż w czasie do nieprzepracowanych traum, próba rekonstrukcji okoliczności i obrazów zmaga się z elementami wypartymi lub doszczętnie zniszczonymi. Ponowne budowanie historii, w której ściera się się pęd do ukrycia wraz z uporczywie wracającymi elementami-frazami, przypomina przeglądanie jaskrawo prześwietlonych odbi-

tek starych zdjęć, klatek z ziarnistym kontrastem. Te zaburzenia obrazu, w różny sposób wprowadzane, to nie tylko efekt naturalnych ułomności pamięci, lecz także mechanizm obronny.

Wspomnienia prawdopodobnej ofiary orbitują wokół łańcucha śnieg–sen–śmierć, toteż nie dziwi ich szczątkowość, zawołowanie czy przywoływanie obrazów zastępczych. Wydaje się jednak, że postulatem i właściwą pracą utworu, mimo pokusy i ponawianych prób skrycia się w białych plamach jest konieczność konfrontacji z przemocą przeszłości. Wyjście zaś z owego starcia z choćby najmniejszym zwycięstwem – „po prostu nie umrzeć” – wydaje się sukcesem nieskończenie wielkim, chociaż jego osiągnięcia czytelnik nie może być pewny.

Biała flaga

Nad jaskrawo białym światem *śniegu* nieustannie wiszą kontrastujące (tylko do pewnego stopnia zresztą) obrazy śmierci. Powstający niby mimochodem, jakby obok głównego toku, katalog sugerowanych denatów jest równie zróżnicowany, co niepokojąca. W jednym rzędzie z wisielcami i topielcami stoją osoby niezauważane lub samotne, po których ślad nagle zaginał, a jedynym świadectwem jednostkowego istnienia, jeśli takowe w ogóle się ostało, zostaje sterta porzuconego złomu bądź niewyraźny ślad w pamięci, chwilowo rozbudzonej przez powrót do czasu i przestrzeni dzieciństwa.

Każde wspomniane samobójstwo czy śmierć to, oczywiście, zapis prywatnej tragedii („zim stulecia jest wiele”), niemniej Robert nie zapomina o ich uwikłaniu w kontekst społeczno-polityczny – przemoc nie dzieje się w próżni, lecz ma miejsce i źródło w konkretnych okolicznościach, których literatura pomijać nie może. Jednym z takich wątków jest podtytułowa przedmiejskość, związana z migracją do miast i aspiracjami do awansu klasowego. Bohaterowie:

nie mają zupełnie nic.

*W środku zimy stulecia
uczą się brudnej bieli,*

*uczą jednego na dwa.
I fedrowania w śniegu.
[...]*

*Maszerują po swoje,
choć nie wiedzą, gdzie jest.*

Nie sposób tu mówić o przedmieściach na wzór amerykańskich, sielskich suburbiów lub miejskiej sypialni – *śnieg* rozgrywa się raczej w geograficznym, społecznym i antropologicznym przedsiönku, na pograniczu miasta i wsi. Wydaje się, że bohaterowie zostali zatrzymani w pół kroku, utknęli na progu. Niezdolni ani do cofnięcia się, ani do parcia naprzód, wystawieni na ciosy balansują na cienkiej granicy między rozpazą a kurczowym trzymaniem się wyszarpanych skrawków.

W owym osłabieniu upatrywać można podłoża najsilniej wyekspozowanej w poemacie krzywdy, jaką jest molestowanie seksualne w Kościele, problem od kilku dobrych lat powszechnie obecny w debacie publicznej. Mówię o „ekspozowaniu”, choć i tu sprawa jest specyficzna – wzorem całej książki wątek ten przez tok utworu jest jedynie sugerowany, przywoływany nasyconymi chłodem i wycofaniem wspomnieniami, przez prześwitujące strach, przez „dym, w który nikt nie wierzy” i „rozżarzone archiwa”, i gdyby nie fakt, że swoistym postscriptum *śniegu* jest cytat z *Vademecum dotyczącego wybranych kwestii proceduralnych w zakresie postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych wobec małoletnich*, to historia ta przez wielu czytelników mogłaby zostać niezauważona.

Nie mam zresztą pewności, czy był to słuszny zabieg – drugie lub trzecie spotkanie z właściwym tekstem poematu, moim zdaniem, na pewno umieszciliby możliwość ta-

kiego odczytania w horyzoncie odbiorców. Tymczasem próba tak bezpośredniego ustalenia lektury przez autora jest jednocześnie zamachem na potencjalną wieloznaczność utworu, której uruchomienie w takim układzie wymaga przynajmniej świadomego zdystansowania się do wyraźnie danej wskazówki, na co nie każdy będzie chciał się zdobyć. Przecież główną i najczęstszą ambicją czytelnika jest właściwe zrozumienie, a tu autor próbuje mówić, jak jest i jak być powinno.

Białe kłamstwa

Uważam, że o ile powyższego kontekstowego przypisu nie należy zupełnie ignorować, tak pożądanym byłoby potraktowanie go jako jednej z równorzędnych możliwości interpretacyjnych. Do takiego podejścia zresztą prowokuje mnie sam poemat – wieniecze jedną z części zdanie „Idź i patrz”, jest wychylającym się poza tekst wezwaniem do ruchu i do uważności, której nie należy podporządkowywać zaplanowanym teozom. Do swobodnego rozglądania się po utworze zachęca też potencjalna wieloznaczność i gęstość licznych fraz Roberta. *Śnieg* skłania do wielu częściowych niedoczytań, do wytyczania własnych ścieżek w zaspach, do błędzenia na przekór biegowi rzeki i torów, pod prąd i z ryzykiem poślizgu. W zamieci słabo słycać i słabo widać. Margines błędu jest spory, dozwala na przejęzyczenia i wielokrotne powtarzanie tego samego dialogu. Choć trudno jakikolwiek wymiar tej rozmoowy uznać za podnoszący na duchu. Może z wyjątkiem jednej konstatacji – poezja Maciejja Roberta ma się dobrze.

Piotr Marcinków

Maciej Robert, *śnieg*, oprac. graficzne Joanna Opkiewicz, Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2022.

Karolina Chyła

CENTRUM NIE ISTNIEJE*

„Nareszcie” – pomyślałam, ledwie dotarła do mnie wiadomość o tym, że Wydawnictwo Literackie publikuje książkę Emilii Padoł, nazwaną intrygująco: *Rodziewiczówna*, a opatrzoną pięknie i nieco dziewiętnastowiecznie brzmiącym podtytułem: *Gorąca dusza*. Aż dziw, jak późno. Przecież ta biografia, wręcz pękająca pod naporem rozdźwięków i antynomii, od lat czeka na kogoś, kto ją wyluska ze skorupy schematu. Kogoś dość zadziornego i przekornego, by wskazać, że każdy niemal system wartości, każdy światopogląd, każda epoka znajduje w autorce *Wrzосу* takie aspekty, takie karty i barwy, które uzna za cenne, bliskie i własne, a także inne, na które aż strach spojrzeć, by jak diabeł z pudełka nie wyskoczyło niepotrzebne, niechciane, wyparte wreszcie.

Emilia Padoł temu strachowi nie ulega. Zbrojna w przekorę, niezbędną przy saperkiej pracy biografki, i w pokorę rzetelnej badaczki źródła, sprawnie omija wnyki łatwych osądów. Stale pamięta, że niegdyś jej bohaterkę kochano wprawdzie jako krzewicielkę patriotyzmu i kresową orlicę, ale śmiało się z tego, że „mieszka z żoną”. Jak wygodnie, jak prosto byłoby jedynie zamienić znaki: docenić samoswoją odrębność Marii, podkreślić fakt, że przez lata dzieliła dom z kobietami, być może partnerkami – najpierw z Heleną, aż do śmierci z Jadwigą. Ale tak doceniając i podkreślając, wyszlifować zarazem wszystkie raniące drzazgi tamtego świata – wzgardę i uprzedzenia polskiej kre-

* III miejsce w V Konkursie na recenzję literacką im. T. Karpowicza 2023.

sowej pani wobec miejscowych, a więc poleśskich chłopów, którzy w odwecie przypuszczalnie spalili jej hruszowski dwór. Autorka *Rodziewicz-ówny* szuka wśród tego klębowiska kontrastów drogi do Marii, dotykającej, pełnowymiarowej, z gruntu obcej wszelkim oczywistościom. I drogę tę wskazuje nam, czytelniczkom.

Dwudziestoletnia Rodziewicz napisze w liście: „Nie cierpię dróg pośrednich, [...] nie znoszę miernych stopni, miernych cnót, miernej pracy, miernych charakterów – to jest tak zwanych pocziwych ludzi – i dlatego belletrystyką zajmować się nie myślę!”. Słowa nie dotrzywała, ale pierwsza część jej deklaracji miała pozostać aktualna do końca. Nigdy nie pogodziła się z pośredniością, ze środkiem, z centrum. Grawitowała w stronę tego, co skrajne, na utrapienie miłośników wygody i jasnych fabuł. Podobnych do jej powieści. W każdym razie znacznej większości z nich. Bo taka właśnie jest Maria Rodziewicz-ówna. Już nam się zdaje, że ją mamy, nareszcie przychwyconą w jednoznaczności, już szykujemy sobie zgrabną formułę: wyzywająca w życiu, w sztuce pozostawała konformistką. A potem przypominamy sobie *Macierz*, opowieść o dziewczynie wyrzuczonej dosłownie na miejski śmietnik, która podmiotowość odzyska w lesie, gdzie samotnie wychowuje dziecko. Jak Maria, niecierpiąca pocziwych ludzi, sprawiła, że ci pokochali jej książki, w tym także *Macierz*? Czym dla niej była własna zawrotna popularność? Jak odczuwała drwiny ze swego wizerunku, a co ważniejsze, ze stojącego za nim sposobu życia, łatwego celu niewybrednych docinków („Panie, panowie i ty, Mario Rodziewiczówno”)?

Emilia Padol rezygnuje z próby formułowania wyczerpujących odpowiedzi na takie i tym podobne, jakże liczne, pytania. Raczej sama się stara pytać jak najwnikliwiej i jak najmądrzej, by dzięki temu obrysować dyskretnie kontur postaci, naszkicować mapę doświadczenia, w ogromnej mierze dla nas

niedostępnego. Bo o ile standardowe źródła – listy, notatki czy relacje najbliższych – mogą nas przybliżyć do zrozumienia, co to znaczyło być poleśką ziemianką i zarazem autorką poczytnych książek, albo jak można było gościć tożsamość nieufnej wobec koroniarzy Litwinki z ideą wielkiej Polski etnograficznej, o tyle nic lub prawie nic, prócz empatycznej intuicji biografki, nie pomoże nam objąć jeszcze jednego, kluczowego dla losów Rodziewiczówny, splotu sprzeczności, który uformował jej osobowość.

Jak postrzegała siebie, ona, żyjąca najmniej w czterech epokach, ale ukształtowana przecież w drugiej połowie wieku XIX, w miejscu jakże odległym od tłocznych kawiarni europejskiej bohemy, gdzie ktoś taki jak ona mniej lub zgoła wcale by nie szkował? Jak rozumiała inność, nieprzystawalność, niemieszczanie się w schematach płci, które postanowiła rozsadzić strojem, przeobrazić kodem zachowania różnym od wiktoriańskich kobiecych póż? Rubaszna. Krewka. Bezpretensjonalna, prostolinijna. Męskie koszule. Marynarki, krawaty. Poleskie łapcie. I ta na zawsze dziewczęca, panieńska „-ówna” doczepiona do twardych sylab nazwiska. Na dobrą sprawę nie wiadomo przez kogo, bo ona sama nigdy się tak w liście nie podpisała.

Fakt, że dziesiątki najbardziej popularnych polskich powieści, tchnących konserwatywnym, dworkowym duchem i przepelnionych bogoojczyźnianą frazeologią, wyszły spod pióra takiej właśnie autorki, zdaje się świadczyć o jednym: centrum nie ma. Centrum nie istnieje. Cóż lepiej ucieleśnia samą ideę niezłomnej i niezmiennej polskiej narracji niż dwór w Hruszowie, tyleż wyobrażony, co rzeczywisty, tyleż nieosiągalny i zagubiony, bo zmieciony przez rwące fale historii, co ocalony na zawsze i zawsze bliski, bo umieszczony w uniwersum pamięci?

Kłopot jedynie w tym, że dwór w Hruszowie, ten faktyczny, realny, zamieszkiwała

ona, Maria Rodziewicz. Nie fantazmat kreowanej polskiej matrony, ale Maria żywa i pojędliwa, w męskim żakiecie, z przecinającą „gębę” – tak mówi – szramą, groźną pamiątką po bandyckim napadzie. Ta szrama, to pęknięcie naruszające gładkość i pełnię twarzy, wrażliwe miejsce, zostawione na skórze przez wrogi świat, a obnoszone hardo do końca życia – to właśnie Maria. I taką odnajdziemy w *Rodziewicz-ównie*.

Karolina Chyła

Emilia Padol, *Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Ada Czerwińska

UPIORY DWOISTOŚCI*

Wydanie kolejnej powieści nieco ponad rok po nagrodzonym Paszportem „Polityki” prozatorskim debiucie może wyglądać na szaleństwo, nawet w realiach zalewającego czytelniczki i czytelników nowościami polskiego rynku wydawniczego. Uznawany za jednego z obiecujących autorów młodego pokolenia, dwudziestoczteroletni Łukasz Barys to szaleństwo popełnił – ponownie we współpracy z małym, acz prężnie działającym, Wydawnictwem Cyranka.

Nie da się ukryć, że debiut Barysa i jego druga powieść mają wiele cech wspólnych. Rozpoczynając lekturę *Jeśli przecięto cię na pół*, trudno oprzeć się wrażeniu, że będzie to historia bliźniaczko podobna do znanej z *Kości, które nosisz w kieszeni*. Biedne miasteczko, narracja z perspektywy dojrzewającego dziecka, stopniowo narastające wątki oniryczne. Bingo? Nie tym razem! W najnowszej książce autor kreśli szerszą, bardziej zniuansowaną opowieść o prowincji i kolej-

nych warstwach społecznych współczesnej Polski. Historię przefiltrowaną przez specyficzny sposób postrzegania rzeczywistości i jej warstw nad-(a może pod?)rzeczywistych, tak charakterystyczny dla bohaterki i bohaterów Barysa.

Przecięcie na pół staje się w powieści figurą symboliczną, którą autor powtarza uparcie, wręcz do znudzenia. W życiu głównego bohatera, ale również w całym otaczającym go świecie, wszystko jest podwójne, jednocześnie rozdarte i koegzystujące – Polska A i Polska B, wieś i miasto, chłopstwo i państwo, babstwo i męstwo, bieda i dostatek. Każda reszka po drugiej stronie znajduje orła. W podziałach łatwo jest o wartościowanie – Marcel marzy o czymś ciekawszym niż beznadziejna nuda Sromutki, jego matka gna po autostradzie do dostatniego życia w mieście, a ojciec wyrabia nadgodziny u prywatnego przedsiębiorcy w nadziei na zgromadzenie majątku, który przesunie go o kilka oczek wyżej na drabinie społecznej.

Żadne z nich nie osiąga celu, pozostając na beznadziejnie znajomej pozycji. Komentarz klasowy Barysa jest gorzki, a przy tym dojmujący – podział nie przemijają, zmienia się tylko ich reprezentacja. Autor sprawnie kreśli paralele między ulegającymi przemianom na przestrzeni lat klasami społecznymi, dywagując przy tym nad współczesną świadomością i pamięcią historyczną Polek i Polaków. Kolejne elementy składające się na fantazmat polskości traktuje z ironią, nierzadko również z czułym sentymentem.

Prowincja przestaje być idylliczną krainą dzieciństwa, staje się natomiast miejscem pogrążonym w beznadziei. Świat przedstawiony w *Jeśli przecięto cię na pół* zdaje się pozostawać w dusznym letargu bezczasu. Bezruch polega tu na niemożności. Mieszkańki i mieszkańcy wsi mają świadomość, że nie czeka ich żadna fundamentalna zmiana. Docierające do nich atrybuty nowoczesności pozostają jedynie marnymi ekwiwalentami

* Wyróżnienie w V Konkursie na recenzję literacką im. T. Karpowicza 2023.

upragnionego dobrobytu. Jednocześnie wieś umiera. Jest to umieranie powolne i przeciągłe – bez nadziei na wytchnienie i obiecany wieczny odpoczynek, bez perspektywy na odrodzenie w lepszej formie. Wieś i związana z nią przyroda są u Barysa nośnikami ludowej pamięci, świadkiniami rozpadu i pomnikami ludzkiej niedoli jednocześnie.

Co wyjątkowo interesujące, mitologizacja prowincji zostaje w powieści ośmieszona, ale równocześnie znajduje w niej swoje continuum. Dziadek głównego bohatera, zanim zostaje upiorem, umiera z żalu i tęsknoty za prawdziwą, polską wsią. Jego życiowa obsesja staje się obsesją pośmiertną i stopniowo pogrąża go w transie podobnym do chocholego tańca, podczas którego na przemian pije bimbler i broni drzewa czereśniowego przed szpakami. Z tej ziemi przecież powstał, oddał jej całe życie, a potem na niej skonał i wrócił do jej łona ten Barysowy Maciej Boryna. Jego zachowanie wydaje się wnuczkowo maniackalne i niezrozumiałe, ale jednocześnie nie zostaje zakwestionowane – chłopiec usłużnie dolewa mu do kieliszka i zbiera do wiadra przejrzałe czereśnie. Duch wsi, jakkolwiek groteskowy, ma w sobie coś głęboko prawdziwego, co zasługuje na bezwarunkowy szacunek.

Jeśli przecięto cię na pół można czytać też jako powieść o pokoleniach tkwiących w niemożności porozumienia. Babka i ojciec głównego bohatera mają odmienne systemy wartości, pragnienia i oczekiwania – są w nich jednak tak samo zatwardziali. Tymczasem chłopiec nie rozumie narzucanych mu norm, jego bunt jest cichy, dla członków rodziny niezauważalny – objawia się szukaniem dwoistości w świecie, który dla nich jest czarno-biały, a dla niego najbardziej fascynujące zjawiska skrywa pod podszewką.

Dwoistość to również niepewność i niejednoznaczność. W taki sposób Barys obrazuje tożsamość płciową i orientację seksualną głównego bohatera. Rozdarty między kulturowymi normami kobiecości i męsko-

ści (w powieści: „babstwa” i „męstwa”), okazuje się nie pasować do żadnej z nich. Z obu czerpie elementy, które przeplatają się w nim w płynny sposób. Konserwatywna społeczność wsi etykietuje Marcela, przykleja mu tożsamościowe łatki. Jednak wewnętrznie chłopiec pozostaje od nich wolny, co rozumieją jedynie upiory. Tym samym autor *Jeśli przecięto cię na pół* dołącza do wielogłosu współczesnej polskiej literatury queerowej.

Jeśli coś można Barysowi zarzucić, jest to przede wszystkim stylistyczną nierówność. Momentami wartko płynąca narracja potyka się i zaplątuje we własne meandry, szczególnie podczas dłuższych dygresji. *Kości, które nosisz w kieszeni* były materiałem dobrze skrojonym na krótką, niespełna stu pięćdziesięciostronicową powieść. *Jeśli przecięto cię na pół* wydaje się o kilkadziesiąt stron za długie – powtarzalność kilku dominujących motywów może prowadzić do przesytu, szczególnie jeśli refleksja nad nimi nie jest poszerzana. Fabuła snuje się leniwie na podobieństwo sromutkowych upiórów wsi – intrygujących, ale jednocześnie nużących w dłuższej perspektywie. Pozostaje czekać na kolejne utwory prozatorskie młodego autora z zainteresowaniem i cieniem obawy, czy zdoła nimi wykroczyć poza dotychczasowe, nieco przyciasne, imaginarium.

Łukasz Barys, *Jeśli przecięto cię na pół*,
Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2022.

Urszula Margas

SŁOWO STAJĄCE SIĘ CIAŁEM*

(Po)religijne traumy, prowincjonalna mentalność, dziewczęce inicjacje – każdy z tych tematów z nawiązką starczyłby, żeby napisać książkę, która w ostatnich kilku latach odbiłaby się szerokim echem tak w świecie literackim, jak i poza nim. A zebranie ich wszystkich w jednym, niezbyt długim tekście to wręcz gotowy przepis na zdobycie rozgłosu i uznania krytyków w sezonie nagród. Jednak nośność tych kwestii stwarza też pokusę opowiedzenia historii uniwersalnej, rozgrywającej się wszędzie – i tej pokusie Anna Ciarkowska w *Dewocjach* zdaje się częściowo ulegać.

Największy sprzeciw budzi we mnie zabieg zredukowania większości postaci do ich roli w społeczności, zabranie im nawet imion. Bohaterowie stają się w ten sposób od początku do końca akcji odgórnie zeterminowani, nie mają żadnej sprawczości. Pęknięcia na ich portretach są prostymi odwróceniami wiejsko-katolickich archetypów Matki, Ojca, Sklepowej; przez co tylko wtórnie je umacniają. Próba przełożenia obrazu wsi na tekst, w którym wszelkie odstępstwa od normy i tak mieszczą się w ścisłych naracyjnych ramach, nie jest oddaniem sprawiedliwości, ale petryfikacją dotyczącego jej dyskursu.

A przecież Ciarkowska usuwa się w cień i pozwala mówić swojej bohaterce w sposób nieskrępowany obecnością innych. Język snutego przez nią monologu nie przystaje do tego, jak widzieli i opisywali ją mieszkańcy

wsi – „nie za mądra i nie za głupia”, nierozgarnięta, prosta dziewczyna tworzy ciągnące się całymi stronami porównania i ocierające się o egzaltację opisy. Czy zatem dopiero czytelnikom pokazuje „prawdziwą” siebie, czy też jest to element misternej autokreacji? Czy może nie warto doszukiwać się tu potencjału interpretacyjnego i należy pozostać przy zarzucie pisarskiej niekonsekwencji? Jakkolwiek nie odpowiemy sobie na te pytania, nadając bohaterce podwójny status penitentki i spowiedniczki, autorka daje wybrzmieć tylko jednemu głosowi. Opowieści innych bohaterów są zapośredniczone przez narratorkę, niby wszystkowiedzącą, ale w końcu niewiarygodną. Nie mamy pewności, czy dostępu do miejsc „gdzieś w okolicach serca, gdzie zbiera się w człowieku wszystko, co najciemniejsze”, udzieliłoby nam poszczególni bohaterowie i jakiego języka by w tym celu użyli. Możemy ich usłyszeć jedynie dlatego, że ktoś inny o nich mówi – kto wie, czy nie przeinaczając po drodze sedna ich spraw.

Cóż jednak mogę poradzić na to, że pomimo wszystko tak wielu fragmentom *Dewocji* udaje się w jakiś sposób mnie poruszyć? Bo chociaż w przeciwieństwie do tego, co głosi okładka, to wcale nie mogło wydarzyć się wszędzie, nie powinniśmy też od razu zakładać, że nie miało prawa wydarzyć się w ogóle. Są akapity, które wwiercają się we wspomnienia i wydobywają z nich krótkie błyski obrazów, słów, gestów. Wywołują wrażenie niemal somatycznego *déjà vécu*, bo styl Ciarkowskiej najlepiej sprawdza się, gdy użyty jest do pisania o tym, co materialne, a nie samego prowadzenia narracji. Jego siła ujawnia się przede wszystkim tam, gdzie spotykają się ciało i przestrzeń. Przestrzeni nie da się u Ciarkowskiej poznać ani doświadczyć inaczej niż haptycznie, wodząc po niej palcem.

Więc jest miękka i każdą w niej zmianę najpierw się czuje, a dopiero potem widzi. Ludzie są z tym miejscem nierozzerwalnie związani – nie tylko dlatego, że nie mogą wyjechać. To ich ciała tak mocno żyły się

* Wyróżnienie V edycji Konkursu im. T. Karpowicza na recenzję literacką 2023.

z ziemią i tak bardzo w nią wniknęły, że opuściły korzenie, które potem splątały się z korzeniami innych. Pęcznienie, kwaśne owoce w kolanach, mięsz pod skórą, drzewne słoje głęboko w matce – ciało opisywane jest przy pomocy roślinno-naturalnej metaforyki. Natomiast ziemia potrafi tu tęsknić za objęciem, ciepłem dotyku.

W *Dewocjach* wybrzmiewa pragnienie cudu jakiejś nowej, alternatywnej, głęboko humanistycznej duchowości. Może, aby miała ona szansę zaistnieć, potrzeba wypracować alternatywny język, czego próbę podejmuje w swojej książce Anna Ciarkowska. Żeby działał, wcale nie musi być kompleksowy i wszechogarniający. Nieuniwersalne doświadczenia nie przestają być prawdziwe i zasługujące na opisanie.

Anna Ciarkowska, *Dewocje*,
W.A.B., Warszawa 2021.

Sabina Sikorska

NAJMILSZY JEST MI PIERWOTNIAK PANTOFELEK*

Czy książkę, której strony zapelniają dzieciątki śmierci żywych istot wypada określić jako kojącą i podnoszącą na duchu? Nie wiem, czy wypada, ale w przypadku *Pawilonu małych ssaków* Patryka Pufelskiego tak właśnie trzeba zrobić.

Pawilon to notatki z codzienności samego autora – od 2013 do 2022 roku Pufelski opisywał ważne dla siebie (lub kraju i świata) wydarzenia, rozmowy, historie z pracy jako opiekun w zoo, swoje lektury i rodzinne

wspomnienia. Wydawałoby się, że wybór formy pamiętnika zakłada skupienie twórcy na sobie, pochwałę indywidualności, a w skrajnym przypadku może i egocentryzm. Tutaj dzieje się jednak odwrotnie – książka, mimo że jest zbiorem osobistych zapisków, ma zdecydowanie działanie jednoczące i kolektywizujące. Pufelski opisując wybrane dni z życia w polskiej rzeczywistości, zdaje się mówić: „Hej, może czasem i jest źle, ale ostatecznie – siedzimy w tym razem”. A to, trochę paradoksalnie, jest dla czytelników pocieszające. Nieczęsto zdarza się, żeby ktoś chciał nas łączyć, a nie dzielić, a do tego robił to w tak udany i bezpretensjonalny sposób.

Zadajmy sobie teraz pytanie, jak udało się to osiągnąć? Pufelski z pewnością potrafi dwie rzeczy: po pierwsze, opisywać zwykłe zdarzenia i czynności w sposób absolutnie rozbrajający emocjonalnie, czasem wystarczy mu do tego jedno krótkie zdanie, a po drugie, umie nas rozśmieszyć. Zapiski z poszczególnych dni są zazwyczaj krótkie. Autor wie, kiedy dać wybrzmieć humorystycznej puencie, kiedy zawiesić głos, żeby czytelnik miał czas ukradkiem sięgnąć po chusteczkę, a kiedy pozwolić sobie na chwilę prywaty, opisując wrażenia z randki. Sceptyk mógłby powiedzieć, że książka Pufelskiego jest jakby skrojona pod szukającą pogłaskania po głowie czytelniczą publiczność. Mamy tu literackie bingo – są zwierzątka, są uroczę staruszki, są kończące się dobrze relacje nieheteronormatywne, jest gniew na frustrującą, polską rzeczywistość. Istnieje spora szansa, że jako fikcja taki układ i nagromadzenie tematów byłby przesadzony i nieprzekonujący. Tymczasem mamy do czynienia z opisem konkretnego życia, a nie fikcją. W takiej perspektywie forma pamiętnika to as w rękawie.

Książka pod kątem czysto literackim nie ośniewa, ale i nie obraża czytelników. Zdarzają się autorowi fragmenty błyskotliwe i dowcipne, jak i mniej fortunate, zdradzające niewielkie doświadczenie twórcze, ot, de-

* Wyróżnienie w V Konkursie na recenzję literacką im. T. Karłowicza 2023.

likatne niezgrabności debiutanta. Co jednak ważne, Pufelski nas nie oszukuje – *Pawilon* nigdy nie miał być literackim arcydziełem, nie miał być nawet odrębną książką, o tej formie zdecydowało wydawnictwo. Autor wysłał rękopis na konkurs pamiętników osób nieheteronormatywnych, organizowany przez Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBTQ+ w ISNS UW we współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla, licząc prawdopodobnie w najlepszym razie na publikację w zbiorze pokonkursowym. Tymczasem *Pawilon* spodobał się redakcji Wydawnictwa Karakter tak bardzo, że zamiast być częścią antologii *Cała siła jaką czerpię na życie* zdecydowali o opublikowaniu książki osobno.

Pufelski staje w opozycji do głośnej narracji o postępującej samotności i polaryzacji społeczeństwa. Niezwykle istotną częścią książki są fragmenty, w których autor opisuje swoje żydowskie pochodzenie, wizyty w gminach żydowskich, spotkania z okazji Chanuki i szabaty. Nie sposób nie wspomnieć też o zbiorowym (a może właśnie najbardziej zindywidualizowanym) bohaterze – czyli o zwierzęcych mieszkańcach krakowskiego i wrocławskiego ogrodu zoologicznego. Pamiętnik zaczyna się wprawdzie od śmierci jeża Tadeusza, ale w swoim wydźwięku jest afirmacją życia, a właściwie relacji międzyludzkich i międrzgatunkowych. Podopieczni i jednocześnie przyjaciele Pufelskiego pojawiają się na każdej stronie, czasem by nas rozśmieszyć, czasem by wzruszyć, ale za-

wyczaj po prostu, by zaznaczyć swoją obecność na świecie i w wielu (poza)ludzkich życiach. Jednym z zapisków, który najlepiej oddaje dowcipną wrażliwość autora jest fragment o przeprowadzce:

30 marca 2020

Przeprowadzka. Na szczęście niedaleko, bo klatkę obok.

Przyniosłem parę rybków ze starego domu do nowego i wypuściłem w łazience. Śpiemy tu już trzecią noc i nie widziałem wcześniej ani jednego. Co to za dom bez rybków? Tylko żeby Paweł nie zobaczył, bo się wkurzy.

Chociaż w książce zdecydowanie więcej uwagi otrzymują poważniejsze gabarytowo zwierzęta, to właśnie rybek wydaje się być symptomatyczny. Niewielki, niebudzący sympatii zwierzak (może mieć to coś wspólnego z tym, że podgląda nas w nocy w toalecie), staje się symbolem domu, poczucia bezpieczeństwa i swojskości. A tego obecnie chyba wszyscy bardzo potrzebujemy. Jak Andrzej Bursa zapewnił nieśmiertelność pantofelkowi, tak Patryk Pufelski wprowadził na literacką scenę rybika.

Sądzę, że najlepsze zakończenie recenzji napisał sam Pufelski, więc wypada oddać mu głos: „Jak przygotować się na opinie obcych ludzi o swoim życiu? Jak się do tego ustawić? (Srak – powiedziałaaby kiedyś Krysia i bardzo by ją to bawiło)”.

Sabina Sikorska

Patryk Pufelski, *Pawilon małych ssaków*, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2022.

KRONIKA

WROCLAW OCALALYCH PO NIEMIECKU

Dni Literatury nad Nysą/Literaturtage an der Neisse już po raz piąty (od 2014 roku w cyklu co dwa lata i po przerwie wymuszonej pandemią) miały miejsce od 19 do 23 kwietnia tego roku w Görlitz/Zgorzelcu i odbywały się pod hasłem „In the Middle and Nowhere”, koncentrując uwagę na rozpoznaniu rozlicznych aspektów dychotomii centrum – peryferie. Jej też poddany został skład zaproszonych autorek i autorów. Stronę polską reprezentowali: Karolina Kuszyk, Ziemowit Szczerek (choć ostatecznie nie dotarł) i Mieczysława Wazacz, niemiecką m.in.: Christiane Hoffmann, twórczyni wielokrotnie nagradzanej książki *Alles, was wir nicht erinnern* (2022) i Andrea F. Behr, a także ze względu na aktualną sytuację w Ukrainie: Yuriy Gurzhy i Ira Peter.

Wrocław ocalałych, książka Mieczysławy Wazacz, którą Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” miało zaszczyt wydać w 2018 roku, została właśnie przetłumaczona na niemiecki przez Hansa Gregora Njemza i opublikowana pod tytułem *Breslau. Die Stadt der Geretteten* przez Muzeum Śląskie w Görlitz. Stąd powód, aby zaprezentować ją właśnie na tym festiwalu.



Fot. Piotr Sirzakowski

Jan Wolski i Mieczysława Wazacz w synagodze w Görlitz rozmawiają o wydanej w przekładzie na niemiecki opowieści *Wrocław ocalałych*, 22.04.2023

Jest to opowieść o dorastaniu polsko-żydowskiej dziewczynki w ledwie co polskim Wrocławiu w pierwszych powojennych latach, jednocześnie odzworowanie rzeczywistości ocalonego z Zagłady, przemieszłego z kresów dziecka. Poruszająca, niekiedy brutalna, a równocześnie pełna humoru i poetyckiego uroku opowieść jest także niezwykłą, podbudowaną autobiograficznie narracją o losach najwcześniejszej po zakończeniu wojny fali osadników na Ziemiach Odzyskanych. Istotnym wątkiem są też specyficzne relacje narratorki z matką, opisywane także z perspektywy dorosłego już życia. Książka niezwykła, wielowątkowa, przejmująca, a przez to promieniująca szlachetnym ludzkim ciepłem.

Istotnym elementem książki jest też nieuświadomiony konflikt z matką. Zofia Kaut (przed wojną Salka Wilner, z domu Kaul) na straszne doświadczenia pod niemiecką okupacją reaguje odwróceniem się od judaizmu oraz nieprawdopodobną wolą przetrwania i ocalenia swoich dwóch córek. Dzięki odwadze i roztropności udaje się jej tego dokonać. Po wojnie i przesunięciu granic Polski Zofia osiedla się z córkami Helą i Sławką na Dolnym Śląsku i kontynuuje sprawdzoną w czasie wojny strategię przetrwania. Pod zmienionym nazwiskiem wybiera życie poza społecznością żydowską i robi wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi polskiego środowiska.

Na festiwalu autorkę i książkę przedstawiła Agnieszka Bormann. Przypomniała, że Mieczysława Wazacz urodziła się w 1942 roku w Młynicy koło Lwowa. Po wojnie jej matka – podobnie jak tysiące ocalałych z Holocaustu i przybyszów ze Wschodu – osiedliła się z córkami na Dolnym Śląsku, najpierw na krótko w Legnicy, potem we Wrocławiu, gdzie autorka spędziła dzieciństwo i wczesną młodość. Po studiach w Akademii Filmowej w Łodzi pracowała w Telewizji Polskiej w Warszawie. Pod wpływem antysemickich zamieszek w 1968 roku w Polsce opuściła kraj w 1971 roku i osiadła w Londynie, gdzie mieszka do dziś.

Licznie zebrana w pięknie odnowionej i ocalałej z wojennej zawieruchy synagodze w Görlitz publiczność z polskiej i niemieckiej części miasta z największą uwagą słuchała Mieczysławy Wazacz opowiadającej, jak ona sama, jej mama i starsza siostra wiodły swoje życie w zniszczonym Wrocławiu, jak trafiły do miasta nad Odrą, opuściwszy wcześniej swoje miejsca przetrwania w okolicach Lwowa. Wspominała, jak obchodziła się ze swoim żydowskim pochodzeniem, jak nieświadomie i świadomie starała się je ukrywać, a przede wszystkim o tym, jak ludzie, ocalańcy i przesiedleńcy wraz z tymi nielicznymi Niemcami, jacy jeszcze we Wrocławiu zostali, próbowali organizować i improwizować swoje nowe życie w całkowicie, przynajmniej na początku, obcych zupełnie i nieswoich okolicznościach.

Spotkanie, które piszący te słowa miał zaszczyt i przyjemność moderować, przyjmowane z największą uwagą i skupieniem, wywołało liczne dopowiedzenia publiczności, często na temat indywidualnych doświadczeń oraz wiele pytań, głównie o poczucie tożsamości i przynależności narodowej, o doświadczenia osoby ocalonej z Zagłady, o wspomnienia z pierwszych miesięcy i lat pobytu we Wrocławiu. Za wspólną konstatację uznać można stwierdzenie o Dolnym Śląsku jako miejscu, gdzie osiąść mogli wypędzeni z polskich kresów, a gdzie dzisiaj znowu docierają uciekający przed wojną Ukraińcy. Takie zastanawiające koincydencje dało się aż nazbyt wyraźnie dostrzec, co z kolei pozwoliło na szerszą diagnozę o znaczeniu i nieocenionej wartości pamięci i wspomnień, które zawsze pozwalają nam lepiej rozumieć teraźniejszość. Ponadto o potrzebie stałych wysiłków poznawczych, aby w jakimś miejscu geograficznym, w którym znaleźliśmy się niekoniernie z własnego wyboru, poczuć się we własnej ojczyźnie.

W „Sächsischer Zeitung” Sebastian Beutler przedstawiając zbliżający się festiwal, przy zapowiedzi niemieckiej premiery *Wrocławia ocalałych*, przywołał Olę Tokarczuk, która wcześniej w podobnych okolicznościach, „była najpierw w Görlitz, a potem otrzymała literacką nagrodę Nobla”. To nie prognostyk, ale jednak miłe skorzarzenie.

Dopełnieniem spotkania Mieczysławy Wazacz z czytelnikami w Görlitz było jeszcze jedno, które miało miejsce 25 kwietnia we wrocławskim Domu dla Kultury OP ENHEIM przy Placu Solnym, gdzie ponownie mogła przedstawić swoją książkę, odpowiedzieć na liczne pytania i podzielić się refleksjami na wiele tematów. Odbiór i reakcje były bardzo zbliżone do tych w Görlitz, jak i nieomal identyczne ustalenia.

Jan Wolski

NAGRODA IM. WISŁAWY SZYMBORSKIEJ W STULECIE URODZIN POETKI

Notatki jurorki

Po Gali Nagrody im. Wisławy Szymborskiej 2023, która odbyła się w 8 lipca w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie – nagrodę tę w stulecie urodzin patronki, jury obradujące w tym roku w składzie: Andrea Ceccherelli, Janusz Drzewucki (przewodniczący i laudator nagrody), Xavier Farré, Anna Marchewka, Magdalena Rabizo-Birek, Marta Wyka, Jurij Zawadzki) przyznało Tomaszowi Różyckiemu za tomik *Ręka pszczelarza* – dziennikarka krakowskiego radia bardzo długo odpytywała mnie, dlaczego w tym roku najważniejsze nagrody poetyckie w kraju (oraz nominacje do nich) są tak różnorodne i rzadko powtarzają się w nich te same nazwiska oraz tytuły.

Wyjaśnienia, które przychodziły mi wtedy do głowy, były rozmaite, ale wyraźnie nie satysfakcjonowały dziennikarki, trzymającej przede mną cierpliwie mikrofon przez dobrych kilkanaście minut. Dobrze mieć, oczywiście, potwierdzenie w innych gremiach swoich własnych wyborów, ale odmienność ocen wynika przede wszystkim z faktu, że gremia jurorskie najważniejszych konkursów mają odmienne składy, złożone są z osób niekiedy zasadniczo różniących się od siebie wiekiem, doświadczeniem i artystycznymi upodobaniami, a w przypadku Nagrody im. W. Szymborskiej – także narodową przynależnością.

Zapewne za stojącą przede mną cierpliwie z mikrofonem w dłoni dziennikarką stały idealistyczne przekonania o istnieniu: niepodważalnych wartości artystycznych i estetycznych, niekwestionowanych arcydzieł oraz smaku powszechnego (niebędącego sumą gustów indywidualnych). Przyznaję, że przy obecnym charakterze rynku wydawniczego, na którym co roku w Polsce, wedle ostrożnych obliczeń, ukazuje się ponad pięćset tomów poezji, znakomitą większość książek poetyckich zgłoszonych do konkursu czytałam po raz pierwszy. Nie znałam też twórczości wielu z autorów i autorek. Do Nagrody im. W. Szymborskiej można bowiem zgłosić wszystkie nowe „książki z wierszami” – jak lubią dziś mówić poeci i poetki – wydane w poprzednim roku. Rok 2022 – tłumaczyłam dziennikarce – obfitował, prawdopodobnie, w wiele bardzo dobrych tomików. Takie zresztą było moje zdanie po lekturze, niekiedy wielkokrotnej, siedemdziesięciu dziewięciu tomów, które znalazły się w drugiej rundzie konkursu.

Czuając podczas lektury i namysłu nad swoimi wyborami do rundy trzeciej (osiemnaście tomików) obezwładniającą bezradność, wymyślałam dla relaksu dodatkowe kategorie, w których moglibyśmy przyznawać nagrody poetom i poetkom. Oto kilkanaście propozycji. Najlepszy tom byłego laureata/-tki Nagrody Szymborskiej – było takich książek w tym roku bodaj pięć, a wszystkie warte lektury, co tylko potwierdza trafność jurorskich decyzji. Najlepszy tom „Starego Poety/tki” (na usprawiedliwienie powiem, że nie mój to pomysł *quasi*-genologiczny, a Anny Legeżyńskiej i Piotra Śliwińskiego, więc sobie na niego pozwalam). I można iść dalej pokoleniowym kluczem przez kolejne roczniki – od Nowej Fali, Nowej Prywatności, pokolenia

Brulionu, roczników siedemdziesiątych i następne generacje – aż po odrębną kategorię nagrodzonych, złożoną wyłącznie z poetyckich debiutantów. Moglibyśmy nagrodzić najlepszy tom przysłany przez specjalizujące się w poezji wydawnictwa (a te przysyłały na konkurs wszystkie wydane przez siebie w poprzednim roku książki, niekiedy kilkanaście...) i w ogóle mieć osobną nagrodę dla najlepszego wydawnictwa poetyckiego. Na nagrody zasługiwały najlepsze tomy najbardziej nagradzanych i znanych poetek oraz poetów, tomy najciekawiej zaprojektowane, o najoryginalniejszych tytułach, wreszcie tegoroczna osobliwość – książki poetyckie osób nieheteronormatywnych, często deklarujących ten fakt w swoich biogramach, osobliwych konstrukcjach gramatycznych mówiącego podmiotu i tematyce wierszy.

Istotnym problemem są wewnętrzne kryteria nagradzania każdego z jurorów. Czy promować to, co nowatorskie lub tylko nowe, inne, zaskakujące, nieoczywiste, niekiedy trudne do zrozumienia, czy stawiać na to, co się każdemu z nas najintymniej podoba, budzi podziw, porusza emocje i zachwyca. W mojej ocenie naszego werdyktu, zwłaszcza pięciorga osób nominowanych do nagrody, mamy w nim uwzględnione wszystkie wskazane wyżej aspekty. „Jacy oni są odmienni od siebie” – westchnął jeden z jurorów na spotkaniu z nimi, poprzedzającym galę, spoglądając na: Macieja Bobulę (ur. 1988), Stanisława Kalinę Jaglarza (ur. 1991), Kamilę Janiak (ur. 1984), Jadwigę Malinę (ur. 1974) i Tomasza Różyckiego (ur. 1970). Wydaje mi się, że taki zestaw nominowanych do nagrody dobrze oddaje charakter współczesnej poezji polskiej. Myślę też, że twórczość każdej i każdego z nich zainteresowałaby patronkę konkursu, która dbała o to, by waga refleksji i obserwacji zawartych w wierszu wyrażała się w formie atrakcyjnej, finezyjnej poetycko, ale też przyjaznej czytelnikowi.

Organizatorzy poetyckiego konkursu Nagrody im. Wisławy Szymborskiej – Fundacja Wisławy Szymborskiej – proszą jurorów po trzecim etapie, kiedy wyłonimy już piętkę finalistów, o napisanie krótkich rekomendacji każdego z nominowanych tomów. Poniżej lekko tylko poprawione moje refleksje z maja 2023 roku:

WIERSZE PRZECIWI PUSTCE

Maciej Bobula, *Pustko*, Warstwy, Wrocław 2022

Tomik obszerny, gęsty, wielotematyczny. Jego autor wykorzystuje bogatą gamę możliwości, jak daje współczesna poezja – szczególnie w jej wymiarze interdyscyplinarnym, transgresyjnym, w wykorzystaniu środków wyrazu właściwych sztukom wizualnym, muzyce i formom scenicznym. Dialoguje z polską i światową poezją XX wieku (Tadeuszem Różewiczem oraz Afroamerikanami – Lintonem Kwesim Johnsonem i Gilem Scott-Heronem), ale i z literaturą dawniejszą – polską klasyką, literaturą sowizdrzalską i ludową. Często przywołuje i wykorzystuje do kreacji poetyckiego świata, formujące jego generację, książki i zjawiska popkultury. Podmiot tomu staje „w życia wędrowce, w połowie czasu” wobec tytułowej pustki (ogarniającej coraz większe połacie świata zewnętrznego i usiłującej zaanektować jego świadomość) oraz wczesnej, może jeszcze dziecięcej, bowiem mającej baśniowe rysy, diagnozy rzeczywistości (powtórzonej w tomie dwukrotnie): „że świat to okropień, że rządzi nim okrucień”. Ale wiersze tomu *Pustko*, zawierające krytyczne diagnozy (nie tylko polskiej historii, współczesnych realiów i ustrojowej przemiany (ogłędanych z perspektywy dolnośląskiej wsi w powiecie kłodzkim o poetyckiej nazwie Szalejów), indywidualnej, generacyjnej i narodowej tożsamości („żyjesz w krainie której na drugie imię pamięć i którą /wciąż pomiata historii pamięć” – rapuje sarkastycznie poeta w gorzkim wierszu *Wyjście pod pomnik*) – pisane są przeciw wszechogarniającej pustce. Autor wytrwa-

le, z napiętą uwagą szuka nitek światła i sensu w mroczniejącym świetle. Obdarowuje współczuciem i solidarnością żyjących i zmarłych ludzi oraz zwierzęta, upamiętnia znikające miejsca i formy świata, co najmocniej wyraża się w zamykającym tom wierszu *Podziękowania*. Wydaje się, że obserwujemy (to drugi tomik autora) narodziny znakomitego poety.

POEZJA (Z) BLISKOŚCI NATURY

Stanisław Kalina Jaglarz, *Goście sójki*, Biblioteka Śląska, Katowice 2022

Złożoną problematykę tego niezwykłego debiutu poetyckiego dobrze oddaje zdobięca okładkę rysunek Mariji Babiak. Widnieje na nim fantastyczna postać z atrybutami boga/bogini płodności i natury – wieńcem na głowie i nagim torsem przebitym sierpem księżycy. W rozdartym od szyi do łona wnętrzu z atrybutami nocnego nieba, ptaki (tytułowe sójki?) uwiły gniazdo, które przedstawiona na rysunku osoba troskliwie podtrzymuje. W poetyckiej opowieści snutej przez Stanisława Kalinę Jaglarza przenosimy się nie tylko do podgórskiej wsi w Beskidzie Niskim, ale i w możliwą tylko w epifanijskim, transowym doświadczeniu, bliskość natury: zwierząt, roślin, form nieorganicznych, uczestnicząc dzięki możliwościom poetyckiego słowa w pełnym cyklu jej etapów i przemian – od narodzin do śmierci, wyobrażonej nie jako nicość i pustka, a życiodajny i życionośny kompost. Wiersze tomiku *Goście sójki* nie przynoszą bowiem sielankowej wizji natury. Konsekwentnie bezosobowy podmiot wierszy – nazwę go „istotą czującą, widzącą, myślącą i piszącą” – przedstawia (w wyrafinowany poetycko sposób) zarówno przejmujące piękno świata, jak i przenikające byt cierpienie: przemoc, przemijanie, starzenie się, świadkowanie i zadawanie śmierci, zgniłość i rozpad. Może dlatego przedstawiona na okładce postać skojarzyła mi się także z Chrystusem umęczonym z mistycznej wizji św. Małgorzaty z Alacoque – z rozciętym torsem, w którym pulsuje owinięte cieniowym wieńcem serce – skądinąd obrazem, który wisiał w dzieciństwie nad moim łóżkiem w wiejskim domu dziadków, budząc we mnie niezmiennie grozę. Jaglarz twórczo nawiązuje do poetyckich światów Bolesława Leśmiana i Tadeusza Nowaka. To nowy, mocny głos w polskiej poezji ekokrytycznej, w którym do tradycyjnego zestawu jej tematów i motywów włączone zostały ludzkie dramaty – wyobcowanie, niemieszczenie się w granicach biologicznej płci i *exodus* uchodźców na polsko-białoruskiej granicy, rozgrywający się wśród społecznego milczenia, systemowej przemocy, w przestrzeni dzikiej, północnej przyrody.

SAMOTNOŚĆ MATEK

Kamila Janiak, *Miłość*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022

Najciekawszy, najlepiej poetycko „zrobiony” tom z szerszej grupy zbiorów polskich poetek wydanych w roku 2022, którą roboczo nazwałam: „sfrustrowanymi, zrewoltowanymi, narcystycznymi i depresyjnymi”, a można ich bohaterki (podmiotki, osoby liryczne) scharakteryzować tytułem sławnego filmu Pedro Almodovara: „kobiety na skraju załamania nerwowego”. Janiak znajduje nadzwyczaj trafne słowa, by opisać drugą, ciemniejszą stronę miłości w jej mniej stereotypowej, bowiem rodzicielskiej i macierzyńskiej odsłonie. Już w drugim, króciutkim liryku-haiku tomu pod tytułem *Szkoła rodzenia* przeczytamy poruszające wyznanie: „dotykając brzucha, pomyślała / do swojego nienarodzonego dziecka / że jej strasznie przy-

kro”. I niewiele się w skomplikowaniu odczuć podmiotki zmienia, mimo że niewątpliwie kocha swoje nowo narodzone dziecko. Ale jest to miłość, która ją fizycznie przerasta, przytłacza i, wbrew jej woli, psychicznie przemienia. Kluczem do zrozumienia przeżyć bohaterki wierszy Janiak może być poważna, zagrażająca życiu położnicza choroba, nazwana depresją poporodową, choć fakt, że poetka stworzyła wyrafinowany, poetycki zapis tego stanu, zdaje się zaprzeczać jej etiologii. Czytelnik(cy)kom tomu *Miłość* może przyjść do głowy *casus* Sylvii Plath, autorki znakomitego, „położniczego” poematu *Trzy kobiety*. Tomik Janiak stanowi godną do niego dopowiedź, wzbogaconą o wiele aktualnych realiów, także związanych z toczącą się w Ukrainie wojną, unaoczniającą bezlitosną dialektykę życia i śmierci – rodzenia się dzieci i tragicznego umierania ich młodych ojców, w świetle których to zdarzeń można lepiej zrozumieć także mniej spektakularną samotność i wewnętrzny dramat młodych matek: „niemożliwe, mówili. / niemożliwe to jest to, jak głęboko jest poraniona”.

MAŁE LUSTERKA HISTORII

Jadwiga Malina, *Teoria powtórzeń*, SPP, Kraków 2022

Tom o strukturze i zamyśle poematu, w którym konkretne ludzkie życie przełożone zostało na cykl krótkich liryków – małych lusterek, odbijających prywatny i historyczny czas, opatrzonych tytułami i datami – od narodzin podmiotki w roku 1974, których nie pamięta ani „dokładnie”, ani „niedokładnie”, po rok 2021, o którym powiada: „Boże drogi, ale się porobiło. / Tak się porobiło, że już wystarczy”. Wiersz nosi tytuł *Rozumiem, że chcesz to zobaczyć do końca* – i o czym już wiemy – końcem (świata i historii) nie był i nie „wystarczył”, przynosząc złowrogie ciągi dalsze... Nie jestem rówieśniczką autorki, ale bardzo dobrze odnajduję się w jej krótkich, lirycznych zapisach rzeczywistości, w których codzienność, intymność, zarazem uniwersalność szczególnego, kobiecego losu spotyka się z wielką, wspólną historią w rozsądnych, zdroworozsądkowych proporcjach. Spośród nominowanych do nagrody imienia Wisławy Szymborskiej w roku 2023 tomów poezji skromny, lapidarny, poematopodobny zbiór *Teoria powtórzeń* wydaje się najbardziej wyrastać z ducha wielkiej patronki i to niemal pod każdym względem – także maestrii słownej, sugestywnych poruszeń związków frazeologicznych, subtelnych operacji na składni, conceptach poszczególnych liryków oraz ironicznym poczuciu humoru. Ponadto wyróżnia się pozytywnym przekazem, pomimo odnotowanych przez autorkę, negatywnych znaków na niebie i ziemi, dlatego jaśnieje na tle sfrustrowanych, zrewoltowanych, narcystycznych i depresyjnych tomów polskich poetek z roku 2022. Jadwiga Malina „woli” wierzyć, że świat ma też swoje dobre strony i próbuje nas do tego (skutecznie) przekonać.

POETA PSZCZELARZ

Tomasz Różycki, *Ręka pszczelarza*, Znak, Kraków 2022

Podmiot liryczny tomu to poeta pszczelarz, który śmiało wkłada rękę do brzęczącego wielością języków, mitów, zbiorowych i indywidualnych historii ula współczesnego Berlina. Stolica Niemiec staje się w wierszach *Ręki pszczelarza* soczewką skupiającą w sobie problemy współczesnej Europy (kryzys uchodźczy, rozwarstwienie społeczne, pandemię, widmo kolejnej, światowej wojny), wyrażającą stany ducha jej mieszkańców (wykluczenie, atomizację, lęk i depresje). Różycki w charakterystyczny dla siebie sposób wprowadza w aktualne realia sta-

różne mity i współczesne tradycje kultury: Platoński o szalonych poetach pszczołach, Homerycki o tulaczce Odysusza, Owidiański o fantastycznych metamorfozach ludzi w zwierzęta, rośliny i postacie fantastyczne, dopiski do Schulzowskiego *Sanatorium pod Klepsydrą*. Po lekturze *Ręki pszczelarza* w pamięci zostają także postacie zaludniające jego berliński mikrokosmos: polscy bezdomni z ulicy o swojskiej nazwie Jebenstrasse, dziki z parku Tiergarten, Herr Doktor i pomagająca mu w opiece nad pacjentami „sanitariuszeczka” oraz zwykle-niezwykle rytuały lirycznego ja: wrzucanie „pieniążka do kubeczka” i jego przyjmowanie oraz spożywanie ogórków małosolnych w towarzystwie „gorzkiego napoju” (cykuty, a może tylko Jägermeistera?). Oryginalny jest w tym tomie podmiot liryczny, który ma rysy autora – poety stypendysty, Polaka, Środkowoeuropejczyka. Jest to bowiem persona słaba, sylleptyczna, rozprzeczająca się i rozpadająca, zdefragmentowana, przenicowana, o niejasnym statusie ontycznym (człowiek? zwierzę? upiór? zbiór liter?), która, ewokowanej w wierszach katastrofie, dziejącej się już teraz, przezierającej przez zdarzenia codzienności, próbuje przeciwstawić „mocną” poezję – silny, słowny byt, regularne, meliczne strofy i wiersze, hipnotyczne, migotliwe obrazy. Poeta zaklina niepokojące go myśli i nastroje także dyskretnym humorem, autoironią, ożywym śmiechem, który nie ustaje nawet w „czarnej gardzieli śmierci”. To jeden z najlepszych tomików Różyckiego, poety najbardziej w gronie nominowanych do nagrody znanego, ale stanowczo niedocenionego.

Magdalena Rabizo-Birek

A JEŚLI ZAPYTASZ MNIE O PRZYJAŹŃ¹

(rzecz o Janinie Joannie Osewskiej)

*tylko obdarzeni pozostają w pamięci
kształtów słów i obrazów
po innych wiatr zmiata popiół nijakości²*

Czy mogę pisać o wierszach Poetki Przyjaciółki? I czy ona mogła pisać o moich? Czy nam wypadało? Czy to, aby, nie byłoby nepotyzm? A może tylko wiś nad tym groźba braku obiektywizmu?

Czy można pisać o wierszach Poetki Przyjaciółki tuż po Jej śmierci? Tuż po... niczego nie można pisać. Nawet myśleć obiektywnie jest trudno. A jeśli już coś napisać, to „napisać żal”. Taki żal, który nie ma nic wspólnego z jej wierszami i tym, że są dobre. Ani z jej fotografiami i tym, że są dobre. Ten żal ma najwięcej wspólnego z tym, że ona była dobra. Była dobrem i pięknem. Tak trudno mi wymówić słowo „była”.

Poznałyśmy się w roku 2019 w Indiach, a konkretnie w Bhubaneswar na międzynarodowym festiwalu poezji *World Congress of Poets*. Już na lotnisku, z powitalnymi naszyjnikami wonnych kwiatów wokół szyi, wymieniliśmy swoje imiona. Ona powiedziała: Janina Joanna. A mnie przyszedł do głowy skrót Jovanka. Spodobało się jej, więc tak zostało. W naszych listach ona była Jovanką, a ja Ki.

¹ a jeśli zapytasz mnie o przyjaźń
miej kasarek i łów metodą polawiaczy jantaru
po życiowych sztormach w wyrzuconych muszlach
wodorostach i drewniakach wypatruj tę bezwarunkową
co nie rani bez zgody i nie zabiera szacunku do siebie

J. Osewska, *a jeśli zapytasz mnie o przyjaźń* [w:] *też, być*, Słowo i Obraz, Augustów 2022, s. 9.

² J. Osewska, *Sen o rzece* [w:] *też, Do czasu przyszłego / Until Time to Come*, Słowo i Obraz, Augustów 2019, s. 56.

Na indyjskim festiwalu wśród tysiąca poetów ze świata, głównie z Indii, tylko my dwie byliśmy z Polski. Może to nie był przypadek? Mimo wielogodzinnych, często nużących, festiwalowych posiedzeń, wieczorami, zamiast sączyć wino i odpoczywać bezmyślnie, słuchając rechu indyjskich żab w hotelowym stawie, czytałyśmy wiersze na balkonie jej pokoju. A nie był to zwykły pokój, ani zwykły balkon, ani zwykły hotel. Zagranicznych poetów zakwaterowano w butikowym hotelu pięciogwiazdkowym, w którym architektura wewnątrz, marmurowe posadzki, zapachy orientalnych kadzidełek, złożone meble, łoża z baldachimami, szmeranie wody w stawach i fontannach przypomniały świat jakby z innego wcielenia.

Rozmawiałyśmy popijając metaxę, którą ona przywiozła ze sobą z Polski jako antidotum na cholernie obce, tak bardzo niebezpiecznie inne od naszych, bakterie i pasożyty. Za murami ogrodzenia hotelu podobnego do pałacu maharadży, strzeżonego przez strażników ubranych w liberie, istniał inny świat Indii – zaśmiecony, cuchnący i ubogi. Pewnego razu opowiedziałam jej swoją starą historię:

*wyszłam w kosmos
jak w noc
jak się wymyka z domu
na bezkسیężycowe podwórko
a tam nic tylko ciemność*

*zdziwiło mnie
że ono było mi tak bliskie
nic otulało mnie
i prowadziło do nic
znajomą drogą której nie było*

*doskonała symbioza
nic z nic
którzy byliśmy wszystkim³*



Fot. Waldemar Lenkowski

Janina Joanna Osewska

A ona na to:

– To jest gotowy wiersz. Zapisz go szybko, zanim zapomnisz, jak to ująłś w słowa. I tak zrobiłam. Nie wiedziałam wtedy, że będzie to ostatni wiersz mojego tomu, który ona wyda w swojej fundacji dwa lata później. Ani tego, że za rok będzie jej towarzyszyć myśl o własnym wychodzeniu w kosmos, jak w noc. I że każdego dnia ja będę zaklinać ten scenariusz.

Kiedy pisała przed rokiem 2019 o nieobecności bliskich w *Postukiwaniu szklanych lampek*, nie wiedziała jeszcze, nie przeczuwała, że niedługo ona sama stanie się dotkliwą nieobecnością:

*Czas gdy wszyscy żyli – przeminął
[...]
odchodził wolno i jakby niechętnie – pamiętam
chwile nasycone ich bliskością
namnażały się i rosły –
można było wybiec za próg i znaleźć się pod spodem ziemi
potem szybko wrócić i znowu mieć dom pełen bliskich
[...]
więcej obawy miękły jak wafel włożony do mleka
też obecności nie trzeba było widzieć
wystarczyły zapachy z kuchni i głosy*

³ K. Lenkowska, *** *wyszłam w kosmos jak w noc* [w:] *tejże, Balkon, Słowo i Obraz, Augustów 2021, s. 50.*

[...]
postukiwanie codzienności

jak dziś postukiwanie szklanych lampek pamiętania⁴

Dużo wiedziała o przedwczesnej nicobecności i nagłej ciszy w sypialni. Wtedy już od kilkunastu lat była wdową:

wzrastanie trwanie spadanie

*metafizyka tej ciszy
 obala teorię bezwzględności świata –
 formułę wyczerpaną⁵*

W wierszu bez tytułu zwraca się przewrotnie do mężczyzny wciąż cielesnego. I tylko gramatyka zdania warunkowego, w której ona jest duszą, zdradza, że ta cielesność jest fantazjowaniem:

*Gdybyś nie miał ciała
 i ja byłbym duszą
 malarz namalowałby agrafkę
 spinającą obłoki⁶
 [...]*

Inaczej czytałam książkę pt. *Do czasu przeszłego / Until Time to Come* przed jej chorobą, a zupełnie inaczej słyszę ją teraz. Wiem, że za wcześniej, abym osiągnęła stan konieczny do suwerennego oglądu poetyckiej jakości jej wierszy. Do chłodnej oceny sytuacji lirycznej bez uciekania się do biografizmów i profetyzmów. I nie nazwę tego stanu sentymentalizmem, bo sentyment jest na antypodach śmierci i daleko mu do kolorów nocy:

*i tak potoczy się życie
 do ostatniej nocy i świtu ostatniego
 aż staną zegary*

*do okna zastuka ptak
 uniesie się delikatny obłok tam
 skąd żadne listy nie dochodzą⁷.*

Wyobrażam sobie, że tym razem to ona opowiada mi swój sen:

*na brzegu rzeki stali ludzie
 ich cienie stawały opór wiosłom
 odpychały czółno pod prąd wody*

*chwytając promienie jak linę akrobaty
 zawróciłam ku świetlistości i muzyce
 do tamy i mostu nad nią jak tęcza⁸.*

⁴ J. Osewska, *Postukiwanie szklanych lampek* [w:] *tejże, Do czasu przyszłego...*, s. 6.

⁵ *Tejże, Dom pod brzozą* [w:] *tejże, Do czasu przyszłego...*, s. 18.

⁶ *Tejże, ***gdybyś nie miał ciała* [w:] *tejże, Do czasu przyszłego...*, s. 36.

⁷ *Tejże, *** porządek świata* [w:] *tejże, Do czasu przyszłego...*, s. 42

⁸ *Tejże, Sen o rzece* [w:] *tejże, Do czasu przyszłego...*, s. 56

Opisuje swój dawny sen o odejściu (konkretnie o zawróceniu, co ma wymiar religijny) w światło, który się spełnił, stał się jej rzeczywistością i tam trwa. Jednak sam fakt opowiadania wymaga obecności opowiadającego tu, w naszej rzeczywistości. Opowiadacze nigdy nie umierają.

W następnym tomie, dwa lata po śmiertelnej diagnozie, której zdawała się nie przyjmować do wiadomości (walczyła do upadłego, do ostatniej kruchości ciała), rozmawia z czytelnikiem tak:

*a jeśli zapytasz mnie o śmierć
jest ona cechą alfabetu życia
wokół niej tylko znaki zapytania
żadnego myślnika wielokropka czy
kropki z pewnością nie postawisz⁹.*

Niezmiernie wieloznaczne to odkrycie. Jest eschatologiczne, ale niedefinitywne w swojej puencie. Jakby religijne tradycyjnie tu i teraz, ale też buddyjskie, bo pogodne, bo tam i zawsze. Ostatni wiersz w jej ostatniej książce pt. *być* potwierdza ten kierunek perspektywy religijnej. Może nawet wyraźniej niż perspektywy buddyjskiej – może hinduistycznej wiary w reinkarnację:

*a jeśli zapytasz mnie „jak tam było?”
nie odpowiem zdawkowo
będzie ze wstępem opisem interpunkcją
nawet taki detal że spadła ściana
deszczu na zachód słońca o 19:54¹⁰*

Może to nie był przypadek, że poznałyśmy się właśnie w Indiach? Jednak potem był już przede wszystkim Augustów. Nigdy wcześniej nie miałam powodu, aby tam pojechać. Dzięki niej, do niej, dla niej jeździłam tam dwa razy w roku. Ona zawsze znalazła jakiś poetycki pretekst, jakiś mój interes poetycki, jakiś wspólny interes. Teraz, kiedy jej już nie ma, nie mam, po co i dla kogo pojechać do Augustowa. Wszystkie augustowskie preteksty i interesy, które uosabiała poezją, przyjaźnią, pięknem, zniknęły wraz z nią.

Stawiam jej wirtualny pomnik na środku tego miasta: „Zasłużonej Poetce, Fotografce, Animatorce augustowskiego życia kulturalnego”. Sobie stawiam jeden warunek: pomnik musi być jej podobizną w gustownym, modnym stroju z klasą. Inaczej nie dopełni piękna i prawdy tej postaci.

Krystyna Lenkowska

PS.

Zapytała kiedyś, czy może ukraść moje imię Ki do swojej książki pt. *Listy do Ki*. Zaznażyła, że adresatem (lub adresatką) jest inna osoba. Jovanka miała wielu oddanych i godnych uwagi przyjaciół, ale nikomu nie dała odczuć hierarchii ważności. Wszyscy byli ważni jednocześnie w czasie i przestrzeni.

⁹ Tejże, *a jeśli zapytasz mnie o śmierć* [w:] *tejże, być*, s. 19.

¹⁰ Tejże, *a jeśli zapytasz mnie „jak tam było?”* [w:] *tejże, być*, s. 22.

AUTORZY „FRAZY” ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE, KOMUNIKATY

JURIJ ANDRUCHOWYCZ

Ur. w 1960 w Stanisławowie (dziś Iwano-Frankiowski), ukraiński poeta, prozaik, eseista, publicysta i tłumacz. Współtwórca (w 1985) grupy artystycznej Bu-Ba-Bu oraz tzw. fenomenu stanisławowskiego. W Polsce ukazały się wszystkie jego powieści (w 2023 *Radio Noc* w przekładzie Jerzego Czecha), tomy poezji *Egzotyczne rośliny i ptaki* oraz *Piosenki dla martwego koguta* (w przekładach Bohdana Zadury i Jacka Podsiadły), wybory esejistyki oraz rozmowa z Pawłem Smoleńskim *Szcze nie wmerła i nie umrze* (2014). Laureat m.in. Nagrody im. Herdera (2001), Nagrody Europejskiego Porozumienia Leipziger Buchpreis (2006), Nagrody Europy Środkowej Angelus za powieść *Dwanaście kręgów* w przekładzie Katarzyny Kotyńskiej (2006), nagrody Vilenica (2017). Wykonuje swoje utwory z ukraińskimi i polskimi muzykami, m.in. z wrocławską grupą Karbido (płyty *Cynamon (z dodatkiem Indii)*, *Samogon*, *Absynt*, *Atlas Estremo*, *Litografie*). Mieszka w Iwano-Frankiwsku. Jest ojcem pisarki Sofiji Andruchowycz. 6 czerwca 2022 r. uhonorowany z inicjatywy Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa tytułem doktora *honoris causa* Uniwersytetu Rzeszowskiego.

EWA BALIUL

Wilnianka, psychoterapeutka specjalizująca się w dramaterapii. Współpracuje z różnymi zespołami teatralnymi oraz Polskim Teatrem w Wilnie. Jest autorką kostiumów do kilku przedstawień Bożeny Sosnowskiej.

MIROŚŁAWA BARTOSZEWICZ

Polska pisarka, tłumaczka i animatorka życia literackiego, pochodzi z Bojar na Wileńszczyźnie. Z zawodu bibliotekarka, członkini zarządu Stowarzyszenia Literatów Polskich na Litwie. Debiut książkowy w 2018.

JAKUB BIENIASZ

Ur. w 1998, studiował arabystykę w School of Oriental and African Studies w Londynie, pracuje z Grupą Granica wspierając osoby w drodze na polsko-białoruskiej granicy. Przekład wierszy Aliego Al Shaikhila we „Frazie” jest jego debiutem literackim.

SIGITAS BIRGELIS

Litewski pisarz, tłumacz i fotograf z Puńska. Autor wielu zbiorów poezji, zasłużony promotor litewskiej kultury w Polsce, organizator festiwalu Wiosna Poezji na Suwalszczyźnie.

MACIEJ BOBULA

Ur. w 1988. Poeta, prozaik, tłumacz, nauczyciel. Laureat kilku nagród, m.in. za tom *wsie, animalia, miscellanea* (Fundacja Duży Format, Warszawa 2018) wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za najlepszy debiut poetycki, Złotego Środka Poezji, Nagrody im. Kazimierzy Hłakowi-

czówny, Nagrody publiczności WARTO „Gazety Wyborczej”; za tom prozy *Szalejów* (wydawnictwo j. Wrocław 2018) nominowany do Nagrody im. Witolda Gombrowicza, w ramach której został wyróżniony rezydencją w Venice i do Nagrody Conrada. Tłumacz z języka duńskiego (powieści *Po słońcu* Jonasa Eiki i *Nordkraft* Jakoba Ejersbo). Za drugi tom poezji *puszko* (Warszwa, Wrocław 2022) nominowany w 2023 do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy w kategorii poezja oraz Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Opublikował także powieść *Franciszka, Maryśka i ja* (wydawnictwo j. Wrocław 2020). Mieszka w Szalejowie w Kotlinie Kłodzkiej i w Danii.

ALINA BORZENKAITÉ

Litewska pisarka pochodzenia ukraińskiego, rodem z Podbrodzia. Z zawodu specjalistka ochrony dziedzictwa kultury. Tworzy w językach: litewskim, rosyjskim i ukraińskim. Debiut książkowy w 2021.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Ur. w 1952 w Barczewie. Poeta, eseista, tłumacz, krytyk literacki, redaktor, animator kultury. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1991–1997 redaktor naczelny pisma „Borussia”. Laureat wielu nagród, m.in. nagrody im. S. Piętaka (1991), nagrody redakcji „Czasu Kultury” (1993), Nagrody Ministra Kultury (2001), Lauru UNESCO (2007), Literackiej Nagrody Warmii i Mazur (2009), polsko-niemieckiej Nagrody im. S.B. Lindego (2016). Debiutował tomikiem wierszy *Zrosty* (1979). W ostatnich latach opublikował książki: *Cudoziemiec* (Olsztyn 2018); *Twarze świata* (Szczecin 2019), *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze* (Olsztyn 2020); *Pies na wiersze albo Pieczewo* (Mikołów 2021); *Oumuumua. Atlas wierszy światologicznych* (Szczecin–Bezrzecz 2022) oraz przekłady poezji Paola Keinega, Yvon Le Men, Michela Bouviera i Kennetha White’a.

MICHAŁ BZINKOWSKI

Ur. w 1975. Filolog klasyczny i neohellenista, literaturoznawca, eseista, tłumacz literatury nowogreckiej. Dr hab., prof. UJ. Pracuje w Katedrze Filologii Greckiej i Nowogreckiej Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Redaktor naczelny periodyku naukowego „Classica Cracoviensia”, współpracownik krakowskiego kwartalnika „Czas Literatury”. Przetłumaczył wiersze Jorgosa Seferisa (Nobel 1963), Konstantinosa Kawafisa, Kiriakosa Charalambidisa, Janisa Ritsosa, Titosa Patrikiosa oraz eseje podróżne Nikosa Kazantzakisa. Nominowany do Nagrody dla Tłumacza Europejskiego Poety Wolności za przekład *Czasowników* Pandelisa Bokakalasa (2013). Opublikował przekłady powieści *Pandemonium* Kostasa Akrivos (2016) oraz uhonorowanej Nagrodą Literacką Unii Europejskiej (2014) *Bóg mi świadkiem* Makisa Tsitasa (2018). Ostatnio ogłosił przekłady dzienników, poezji i esejów Seferisa: *Dni 1941–1956* (2019), *Król Asine i inne wiersze* (2020), *Róża losu. Eseje wybrane* (2020). Przekłady, szkice i wiersze publikował m.in. w „Zeszytach Literackich”, „Odrze”, „Przeglądzie Politycznym”, „Śląsku”, „Almanachu Prowincjonalnym” i „Poezji Dzisiaj”.

KAROLINA CHYŁA

Ukończyła studia polonistyczne (specjalność retoryka stosowana) na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Interesuje się różnymi obiegami literatury i kultury drugiej połowy XIX i początku XX wieku, kulturowymi reprezentacjami kobiet, literaturą dokumentu osobistego, problematyką żydowską, folklorem pieśniowym i bajkowym. Pracuje nad rozprawą doktorską o Stefanie Żeromskim jako twórcy nowoczesnych mitów. Laureatka III nagrody w piątej edycji Konkursu im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką (2023).

ADA CZERWIŃSKA

Ur. w 1999. Studentka ostatniego roku filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zainteresowana współczesną literaturą piękną, zwłaszcza poruszonymi w niej zagadnieniami tożsamościowymi. Badawczo zanurzona w krytyce feministycznej, ekokrytyce oraz gender i *queer studies*. Wyróżniona w piątej edycji Konkursu im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką.

LINAS DAUGĖLA

Litewski pisarz, student filologii Uniwersytetu Wileńskiego. Jest także artystą fotografii. Debiut książkowy w 2022.

MICHAŁ FOSTOWICZ

(1948–2010), publikował także pod nazwiskiem: Michał Fostowicz-Zahorski. Wnuk poetki Anny Zahorskiej (Savitri). Poeta, eseista, malarz, tłumacz, filozof. Pracował w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Był redaktorem i współredaktorem pism: „Witryna Artystów”, „Stronica Śnieżnicka”, „Rita Baum”; publikował także we „Frazie”. Wydał tomy wierszy: *Posłowie* (1980), *Genealogia* (1982), *Schronienie* (1984), *Owoc ja* (1990), *Wolna miłość* (1996), *Rewolucja* (2000), *Wolna miłość. Wiersze wybrane* (2007), zbiór esejów *Świat bez prawdy. Poezja jako światopogląd* (2003, 2010), monografię *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności* (2009) oraz przekłady m.in. *Kazań* Bodhidharmy, *Drogi* Lao-tsy, wierszy i pism Williama Blake’a. W Międzygórze, gdzie mieszkał, zmarł i został pochowany od 2021 organizowane jest, staraniem Stowarzyszenia Międzygórce Reaktywacja, cykliczne wydarzenie artystyczno-naukowe „Miejsce po Michale”.

BARTOSZ FRĄTCZAK

Fotograf dokumentalny i artystyczny. Absolwent Wydziału Filozofii oraz Edukacji na Uniwersytecie Szczecińskim. Zasłużony m.in. w dokumentacji kultury żydowskiej i tradycji polskich na Litwie. Laureat wielu konkursów i autor monograficznych wystaw. Obecnie mieszka w Wilnie.

BIRUTĖ GRAŠYTĖ-BLACK

Litewska pisarka pochodząca z Grašiai koło Uciany. Z zawodu antropolożka kultury. Animatorka życia literackiego. Nagrodzona przez Związek Pisarzy Litwy za debiutancki zbiór poezji w 2022.

NOMEDA GRIŠKEVICIŪTĖ

Litewska pisarka, specjalizująca się w krótkich formach narracyjnych. Studentka filologii Uniwersytetu Wileńskiego. Debiut książkowy w 2021.

JONAS JANKAUSKAS

Lituanista, tłumacz literatury litewskiej. Pracuje w Ambasadzie Litwy w Warszawie.

DOROTA KORWIN-PIOTROWSKA

Poetka, autorka opowiadań i małych form dramatycznych. Z wykształcenia i zawodu teoretyk literatury, dr hab., prof. UJ. Pracuje w Katedrze Lingwistyki Komputerowej na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ. Opublikowała książki: *Problemy poetyki opisu prozatorskiego* (2001), *Powiedzieć świat. Kognitywna analiza tekstów literackich na przykładach* (2006), *Poetyka – przewodnik po świecie tekstów* (2011), *Białe znaki. Milczenie w strukturze i znaczeniu utworów narracyjnych* (2015), *Eutoryka. Rzecz o dobrej (roz)mowie* (2020). Jest autorką trzech tomów poezji: *Kolor tego, co nie istnieje* (2002), *Podróż do Oddo* (2008), *Tak patrzeć* (2017) oraz zbioru opowiadań *Witajcie w realu* (2005). Mieszka w Krakowie.

KATARZYNA KOTYŃSKA

Ur. w 1973. Tłumaczka literatury ukraińskiej, literaturoznawczyni związana z Instytutem Slawistyki PAN. Autorka książki *Lwów. O odczytaniu miasta na nowo* (MCK, Kraków 2015). Laureatka Nagrody Europy Środkowej Angelus za przekład książki Oksyana Zabużko *Muzeum porzuconych sekretów* (2013). Przetłumaczyła m.in. powieści Jurija Andruchowycza *Dwanaście kregów*, *Leksykon miast intymnych* i *Kochankowie Justycji*, powieści, eseje i monografie naukowe: Wiktorii Ameliny, Sofiji Andruchowycz, Oleksija Czupy, Lubki Deresza, Jarosława Hrycaka, Natalii Jakowlenko, Mykoły Riabczuka oraz przygotowała i opracowała antologię bajki ukraińskiej we własnych przekładach.

PAWEŁ KRUPKA

Ur. w 1963, twórca, tłumacz i badacz literatury oraz autor i tłumacz piosenek. Z wykształcenia filolog, z zawodu dyplomata, służył na polskich placówkach we Włoszech, w Grecji i na Litwie. Był wykładowcą współczesnej literatury greckiej na Uniwersytecie Warszawskim. Zajmuje się zagadnieniami wielojęzyczności i badaniem rzadkich języków. Jest działaczem ruchu olimpijskiego – autorem książek o sporcie i międzynarodowych antologii poezji olimpijskiej. Współpracuje ze stowarzyszeniami twórczymi oraz wydawnictwami literackimi i filologicznymi w Polsce, Grecji, Włoszech, Hiszpanii, na Ukrainie i Litwie. Rozwija międzynarodową współpracę literacką i filologiczną, zwłaszcza z krajami śródziemnomorskimi.

ALINA KUZBORSKA

Lituanistka, badaczka i tłumaczka literatury litewskiej, pracuje na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim.

RADOŚLAW LACH

Ur. w 1985. Poeta nagradzany i wyróżniany w konkursach poetyckich (m.in. XII edycji OKP im. Kazimierza Ratonia w Olkusz, 2016). Na prośbę o notę napisał o sobie: „To co robiłem, nic ma znaczenia. Nie chcę o sobie mówić w sposób rzeczywisty. Moje wiersze są jedyną biografią, jaką mógłbym napisać”. Mieszka we Wrocławiu.

ALINA LASSOTA

Ur. w Wilnie. Polska pisarka i artystka teatralna, specjalizująca się w wielodyscyplinarnych projektach artystycznych. W rodzinnym mieście ukończyła studia na kierunkach historii i filologii polskiej. W latach 1985–1994 była dziennikarką polskiego dziennika „Kurier Wileński”. Przez szesnaście lat była członkinią zespołu pieśni i tańca „Wilnia”. Następnie studiowała w Polsce reżyserię teatralną. Od 1996 r. jest związana z warszawskim środowiskiem twórczym. W Warszawie i Wilnie zrealizowała wiele spektakli teatralnych oraz widowisk poetycko-muzycznych (także według scenariuszy własnych). Uczestniczka międzynarodowych festiwali poezji. Opublikowała trzy zbiory poezji oraz jeden zbiór opowiadań. Jej utwory przełożono na języki: czeski, fiński, grecki, litewski, niemiecki, rosyjski i włoski. Obecnie mieszka w Warszawie.

RYSZARD LENC

Ur. w 1955 w Bytomiu. Prozaik. Doktor fizyki (doktorat na Uniwersytecie Śląskim, 1987). Był jednym z animatorów cyklu katowickich seminariów poświęconych filozofii, religii i literaturze *Techné Dialektike*. Opowiadania publikował m.in. we „Frazie”, „Toposie”, „Akcencie”, „Pograniczach”, „Odrze”, „Twórczości”, „Elewatorze”, „Wyspie”. Opublikował zbiory opowiadań: *Ja, Wittgenstein* (2007), *Chimera* (2014), *Ostatni ogród* (2017) oraz powieści *W cieniu Golgoty* (2021) i *My z Koszutki* (2022). Laureat konkursów im. K.K. Baczyńskiego (2005), konkursu Centrum Herdera Uniwersytetu Gdańskiego „Przypadek i czas w stosunkach polsko-niemieckich” 2005 i V Międzynarodowego Festiwalu Opowiadań we Wrocławiu.

KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, prozaiczka, tłumaczka, krytyczka, animatorka życia literackiego. Opublikowała czternaście tomów poezji, m.in. *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do przyszczonego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (przeł. Ewa Hryniewicz-Yarbrough, 2014), *Troska / Typōma* (przeł. na j. ukraiński Oleksandr Gordon, 2014), *Carte Orange* (przeł. na j. francuski Karol Wojewoda, 2017), *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020), *Balkon* (2021), *Ono morze / Él el mar* (przeł. na język hiszpański Xavier Farré, 2023). Wiersze, prozę, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady publikowała w pismach literackich w Polsce (m.in. w „Akcencie”, „Frazie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Pracowni”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tyglu Kultury”, „Zeszytach Literackich”), w USA, w tłumaczeniu E. Hryniewicz-Yarbrough (m.in. „Absinthe”, „Boulevard”, „Chelsea”, „Confrontation”), Ukrainie, Rumunii i Czechach. W 2016 r. zadebiutowała tomem prozy *Babeliada* wydanym w serii Biblioteka „Frazy”. W 2018 r. ukazał się w wydawnictwie Officyna w jej przekładzie tom Emily Dickinson *Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane*. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (SPP), Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (STL) oraz ZAiKS. Mieszka w Rzeszowie.

MAREK ROMAN LIPIŃSKI

Ur. w 1947 w Warszawie. Hydrobiolog i biolog morski, dr habilitowany, absolwent biologii na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także japonistykę. Pracował w redakcji miesięcznika „Morze” (1970–1971), a także jako pracownik naukowy Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni w latach 1970–1985. Po roku 1985 był zatrudniony na Wydziale Zoologii University of Cape Town (1985–1992); Sea Fisheries Research Institute (1992–2012); Rhodes University i South African Institute of Aquatic Biodiversity (od 2012.). Jest autorem ponad dwustu artykułów naukowych oraz licznych artykułów popularnonaukowych i esejów. Organizator i kierownik ponad 20 rejsów badawczych na różnych statkach, głównie na Atlantyku. Współautor *Zoologii*

pod redakcją Czesława Błaszaka (t. 1) i *Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu* (t. 5: *Afryka*; t. 6: *Ludzie Gór*). Opublikował książki: *Haiku; Człowieku co chciałbyś wiedzieć? (Testament biologa z dodatkiem esejów o literaturze polskiej i japońskiej)*; *What would you like to know?* (anglojęzyczna wersja *Testamentu biologa*), które zostały wydane w 2019 r. przez Bogucki Wydawnictwo Naukowe w Poznaniu.

ROMUALD ŁAWRYNOWICZ

Polski artysta z Wilna. Aktor, filmowiec, pisarz, raper i piosenkarz. Animator międzynarodowego życia kulturalnego na Litwie, współtwórca światowego, wirtualnego festiwalu Mosty Poetyckie w 2020 r.

WASYŁ MACHNO

Ur. w 1964. Ukraiński pisarz i tłumacz. Przed wyjazdem do Nowego Jorku (2001) mieszkał w Tarnopolu, gdzie pracował na tamtejszym uniwersytecie, w którym wcześniej studiował i na którym obronił doktorat o poezji Bohdana Antonycza. Autor zbiorów wierszy: *Schizma* (1993), *Samotność Cezara* (1994), *Księga pagórków i godzin* (1996), *Lutowe elegie* (1998), *Płetwa ryby* (2002), *Cornelia Street Cafe* (2007), *Zimowe listy* (2011), *Chcę być jazzem i rock'n'rollem (Wybrane wiersze o Tarnopolu i Nowym Jorku)* (2013), *Rower* (2015), *Wiersze jerozolimskie* (2016), *Papierowy most* (2017), *Poeta, ocean i ryba* (2019); książek esejistycznych: *Park kultury i wypoczynku im. Gertrudy Stein* (2006), *Toczyła się torba* (2011), *Rowerem wzdłuż oceanu* (2020), tomów opowiadań i esejów *Dom w Baiting Hollow* (2015), *Przedmieścia i pogranicza* (2019) oraz powieści *Kalendarz wieczności* (pierwsza laureatka nowej nagrody „Encounter”, 2020), która ukazała się w Polsce w przekładzie Bohdana Zadury (2021). Autor dwóch sztuk teatralnych *Coney Island* (2006) i *Bitch/beach Generation* (2007). Opublikował także autorską antologię nowej poezji ukraińskiej lat dziewięćdziesiątych *Imiennik, wybór wierszy Zbigniewa Herberta Struna światła* (1998) i dwujęzyczny tom poezji Janusza Szubera *Spijmany u sił / Złowiony w sieć* (2008). Tłumaczył na ukraiński wiersze: Gottfrieda Benn, Józefa Łobodowskiego, Czesława Miłosza, Vasko Popy, Jean Valentine, Sandu Davida, Bohdana Zadury. Jego utwory przetłumaczono na dwadzieścia pięć języków, a książki ukazały się w: Izraelu, Niemczech, Rumunii, Serbii i USA. W Polsce opublikował: wybór wierszy *Wędrowcy* (2003) oraz w tłumaczeniu Zadury: *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* (2006), dwujęzyczny wybór wierszy *Nitka* (2011), *Wiersze jerozolimskie i 16 innych wierszy, Psalmi* (2022), autobiograficzną sylwę *Dubno, koło Leżajska* (2012), tom opowiadań *Listy i powietrze* (2015), esaje *Express „Wenecja”* (2016).

KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. w 1965. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury i Kultury XIX Wieku oraz Badań Mitoznawczych Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR, krytyk literacki, współpracownik „Frazy”. Opublikował książki: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”* (2001), *„Naczelny u nas jest artystą”. O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (2010), *Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta* (2021). Współredaktor kilku tomów zbiorowych, m.in. *Poe-land. Studia i szkice* (2017). Mieszka w Borku Starym.

JAGODA MACIEJCZYK

Ur. w 2000 w Hrubieszowie, absolwentka kierunku Krytyka i praktyka tekstu: twórcze pisanie i edytorstwo, studentka filologii polskiej II stopnia na specjalności Krytyka literacka i artystyczna oraz Studium Języka i Kultury Litewskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Autorka pracy licencjackiej o twórczości Marcina Mokrego. Interesuje się awangardą w polskiej literaturze najnowszej. Wyróżniona w czwartej edycji Konkursu na recenzję literacką im. Tymoteusza Karpowicza 2022, laureatka I nagrody jego piątej edycji (2023).

AGNIESZKA MACKOJĆ

Polska pisarka i malarka z Nowej Wilejki pod Wilnem. Jest naukowcem w dziedzinie biologii molekularnej. Członkini polskiej grupy Nowa Awangarda Wileńska, aktywnej na Litwie w ubiegłej dekadzie.

DAVID MAGEN

Ur. w 1968. Właśc. Tomasz Leśniowski, Dyplomowany animator społeczno-kulturalny. Współ-

założyciel Noworudzkiego Klubu Literackiego Ogma, współtwórca Polsko-Czeskiej Grupy Poezii '97, współorganizator Noworudzkich Spotkań z Poczją i Polsko-Czeskich Spotkań Poetów. Juror konkursów poetyckich i dziennikarskich. Autor pięciu arkuszy poetyckich. Współredaktor ponad 50 tomików poezji i antologii literackich wydanych w Nowej Rudzie. Nagradzany w ogólnopolskich konkursach poetyckich (m.in. im. H. Poświatowskiej w Częstochowie). Jego wiersze ukazały się w wielu antologiach i były tłumaczone na czeski i rosyjski. Od 2000 redaktor internetowych serwisów mieszkańców Nowej Rudy. Wikipedysta. Mieszka w Nowej Rudzie.

KAROL MALISZEWSKI

Dr hab., prof. Uniwersytetu Wrocławskiego; poeta, prozaik, krytyk literacki. Opublikował kilkanaście tomów wierszy, liczne utwory prozatorskie i szereg zbiorów tekstów krytycznoliterackich, m.in. *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy, Rozproszone głosy. Notatki krytyka, Pociąg do literatury. Szkice z Dolnego Śląska, Wolność czytania, Poezja i okolice. Między krytyką literacką a historią literatury, Bez zaszeregowania. O nowej poezji kobiet, Język w ogniu i inne metafory krytycznoliterackie*. Jest autorem książki dla dzieci *Przypadki Pantareja* i współautorem podręcznika *Jak zostać pisarzem*. Mieszka w Nowej Rudzie.

PIOTR MARCINKÓW

Ur. w 1999. Student polonistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Publikował w „Tekstualiach” oraz książkach krytycznych towarzyszących poznańskim festiwalom literackim. Interesuje się polską poezją XX i XXI wieku oraz przekładami z języka angielskiego. Teoretyk i praktyk meteorologii performatywnej.

URSZULA MARGAS

Ur. w 2002. Studentka kierunku Kulturoznawstwo – teksty kultury na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pochodzi ze wsi w województwie łódzkim, mieszka w Krakowie. Interesuje ją sposób, w jaki literaturze i kinie portretowane są małe społeczności.

AGNIESZKA MASALYTE

Polska pisarka i tłumaczka z Wilna. Z wykształcenia polonistka. Uczestniczka wielu festiwali literackich, przed debiutem.

EDYTA MASIULANIEC

Polska tłumaczka literatury z Wilna. Pracuje w sektorze ubezpieczeń. Laureatka konkursu dla tłumaczy literatury Amat Victoria Curam w 2019.

DOMINYKAS MATULIONIS

Litewski pisarz, student reżyserii teatralnej i pedagogiki Uniwersytetu w Kłajpedzie. Debiut książkowy w 2023.

ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 we Lwowie. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, animator życia kulturalnego na polsko-czeskim pograniczu. Od 1946 mieszka na Dolnym Śląsku. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowe studia w zakresie muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował m.in. w Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy i Muzeum Okręgowym w Wałbrzychu. W 1981 członek zarządu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Woj. Wałbrzyskiego, organizator i redaktor naczelny pisma „Niezależne Słowo” (1980–1981 i 1989–1990). Internowany 13 XII 1981 r. W latach 80. zaangażowany w działalność Klubów Inteligencji Katolickiej, także w ruch Communione e liberazione, organizował poetyckie spektakle w świdnickich kościołach. Debiutował w 1972 w miesięczniku „Odra”. Jest autorem ponad trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich, eseistycznych, wywiadu-rzeki z Andrzejem Szyszko-Bohuszem oraz redaktorem kilku regionalnych almanachów literackich. W 1996 zamieszkał na Ziemi Kłodzkiej (Stronie Śląskie, Stary Gieraltów), gdzie założył i redagował pismo Związku Gmin Śnieżnickich „Stronica Śnieżnicka” (1999–2000). Ostatnio opublikował tom wierszy *Wieszczyna i inne wiersze* (Dzierżoniów 2023). Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek honorowy Polsko-Czeskiej Grupy Poezii '97, współorganizator spotkań Den Poezie w Broumovie. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności. Od 2008 mieszka w Martfinkovicach koło Broumova w Czechach.

MACIEJ MELECKI

Ur. 1969 w Mikołowie. Autor tomów wierszy: *Te sprawy* (1995), *Niebezpiecznie blisko* (1996), *Zimni ogrodnicy* (1999), *Przypadki i odmiany* (2001), *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy 1995-2005* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013), *Inwersje* (2016), *Prask* (wybór wierszy w języku czeskim, 2017), *Bezgrunt* (2019), *Trasa progu – wybór wierszy 1995–2020* (2020), *Druzgi* (2021) oraz tomów prozy *Gdzieniedzie* (2017) i *Nigdzie indziej* (2021). Mieszka w Mikołowie. Prezentowane we „Frazie” wiersze pochodzą z przygotowywanego tomu *Przeciwiwężcia*.

KORNELIJA MIKALAUŠKAITĖ

Litewska plastyczka i pisarka, pochodząca z Taurogów. Absolwentka wileńskiej ASP. Uprawia rysunek, tworzy krótkie formy literackie. Debiut książkowy w 2022.

ZOFIA MIRSKA

Ur. w 1945 w Twierdzy k. Lwowa. Poetka. Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracowała jako nauczycielka języka polskiego i w instytucjach kultury. Członkini Kłódzkiego Klubu Literackiego oraz ZLP Oddział we Wrocławiu. Opublikowała tom wierszy: *Jeszcze nie pada* (1982), *W jezdnię stronę drogi* (1984), *W nawiasach ścieżek* (1985), *Nie ma innego świata* (1992), *Zanim stracę chwilę* (1998), *O oddech wyżej* (2005), *Oderwane z pamięci* (2008), *Odchodzi i ulatuje* (2010), *Tam i z powrotem. Wiersze zebrane* (2014). Mieszka w Kłodzku.

PIOTR MRAS

Historyk sztuki, absolwent KUL-u w Lublinie. W latach 1982–1987 zatrudniony w Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie; w latach 1984–1986 dyrektor Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie; w latach 1988–2010 kustosz Oberschlesisches Landesmuseum (Muzeum Górnego Śląska) w Ratingen (Niemcy). Kurator ponad 40 wystaw polsko-niemieckich i opracowań katalogów. Od 2004 prowadzi studia nad ezoteryką i jej praktycznym zastosowaniem.

RYSZARD MŚCISZ

Ur. w 1962. Pracował jako nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół w Jeżowie, gdzie mieszka. Krytyk literacki, publicysta, satyryk, poeta. Opublikował siedem tomów poezji: *Życie to tylko impresje* (2000), *Wibracje* (2002), *Na strunach lat* (2004), *Roześnienie* (2007), *Strumienie poezji* (2010), *Kołatanie do wrót nocy* (2019), *Zaraza. Dawka przypominająca* (2022), zbiór felietonów satyrycznych *Zezem na świat* oraz tom prozy *Swojski diabeł i inne humoreski* (2012). Publikował w „Głosie Nauczycielskim” i w prasie lokalnej („Super Nowości”, „Gazeta Jeżowska”). Jest współautorem albumu *Jeżowe* (2004).

BEATA NICOŚ-TRENK

Ur. w 1967 w Toruniu. Polonistka, poetka, nauczycielka i bibliotekarka. Studiowała filologię polską oraz bibliotekoznawstwo i informację naukową na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Fascynuje się literaturą, sztuką, filozofią oraz teatrem. Jej wiersze były publikowane m.in. w „Mojej Przestrzeni Kultury”, „Ikarze”, „Czasopiśmie Artystycznym Nestor”, magazynie „Babiniec Literacki”, „Akancie”, „Helikopterze”, kilku antologiach pokonkursowych, antologiach grupy poetyckiej „Mundus Poeticus” oraz na stronie internetowej Emulti-poetry. Blisko czterdzieści jej wierszy zostało wyświetlonych na ścianie kamienicy przy ulicy Brackiej w Krakowie w ramach międzynarodowego projektu „Wiersze na murach”, w tym dwa podczas konkursu „Solidarni z Ukrainą” i w antologii tego projektu. Laureatka II nagrody w IX edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Wacława Iwaniuka (2015) i nagrody głównej X edycji tego konkursu (2016), której efektem było wydanie tomu *Studnia*. Jest współautorką książki poetyckiej *Szepty luster*. Laureatka XVIII OKP im. Kazimierza Ratonia (2022). Była współorganizatorką i jurorką Ogólnopolskiego Konkursu Rynna Poetycka.

DOMINIKA OLICKA

Polska pisarka, tłumaczka i animatorka kultury z Wilna. Z wykształcenia indolożka. Członkini zarządu Stowarzyszenia Literatów Polskich na Litwie, współtwórczyni światowego, wirtualnego festiwalu Mosty Poetyckie w latach 2021–2022.

JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964. Historyk literatury, krytyk literacki, poeta. Prof. dr hab. w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. W latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Filologii Polskiej, od 2019 dyrektor Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa UR. Opublikował monografie: *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (2011), *Świat wiersza. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) współczesnej* (2019) oraz tomy poezji: *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka* (2018), *Rysunki naskalne* (2021). Współredaktor publikacji: *Proza polska na obczyźnie*, t. 1 i 2 (2007), *Inne dwudziestolecie 1989–2009*, t. 1 i 2 (2010), *Przyboś dzisiaj* (2017); *Kontynenty. Tom pierwszy: Studia i szkice o twórczości Andrzeja Buszy* (2019). Redaktor książki *Dwudziestolecie międzywojenne. Nowe spojrzenia* (2019). Od 1997 r. w redakcji „Frazy”, gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

ALINA POCHWAT-CICHA

Ur. w 1966. Absolwentka Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dziennikarka rzeszowskich mediów „Dziennik Obywatelski A–Z” i przez wiele lat do dziś Polskiego Radia Rzeszów, gdzie prowadziła programy o tematyce społeczno-kulturalnej, filozoficzno-psychologicznej i językowej. Twórczyni i redaktorka audycji „Ślady Pegaza”, w której rozmawiała z autorami utworów prozatorskich i poetyckich. Laureatka III nagrody w kategorii radio i nagrody specjalnej konkursu Medyczny Dziennikarz Roku 2021. Wiersze publikowała w miesięczniku „Nasz Dom Rzeszów” oraz na autorskim profilu na Facebooku. Wkrótce ukaże się jej poetycki debiut *Półprawdy, półdźwięki*.

MARTYNAS PUMPUTIS

Litewski nowelista i esecista najmłodszego pokolenia oraz promotor życia literackiego, związany ze stowarzyszeniem Slinktys. Publikuje regularnie w głównych litewskich czasopismach literackich, czeka na debiut książkowy.

TOMASZ PYZIK

Ur. w 1975 w Zabrze. Krytyk literacki, historyk literatury związany z Uniwersytetem Śląskim. Nauczyciel w I LO w Gliwicach, współpracuje z International Baccalaureate Organization. Autor książki: *Predestynacja w twórczości Aleksandra Wata* (2004), *Twórczość poetka Wojciecha Bąka* (2007) oraz *Sens odzyskany. Szkice o książkach, które koniecznie trzeba przeczytać* (Biblioteka „Toposu”, 2023). Publikował artykuły i szkice krytyczne w pracach zbiorowych i czasopismach. Stale współpracuje z pismem „Topos”.

MAGDALENA RABIZO-BIREK

Ur. w 1964 w Kamieńsku. Literaturoznawczyni, krytyczka literacka i krytyczka sztuki. Dr hab. prof. UR, w latach 2016–2019 kierowała Zakładem Literatury Polskiej XX i XXI Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego, w latach 2020–2023 członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Od 2022 r. w Kapitulie Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Od 1998 redaktorka naczelna „Frazy”. Autorka książek: *Czytanie obrazów. Teksty o sztuce z lat 1991–1996* (1998), *Między mitem a historią. Twórczość Włodzimierza Odojewskiego* (2002), *Romantycy i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej* (Rzeszów 2012). Kuratorka wystaw w Galerii Sztuki Współczesnej w Przemysłu *Bez końca o człowieku* (2003, 2008) i *Refleksje o naturze w sztuce ponowoczesnej* (2009). Współautorka (z Józefem Ambrozowiczem) albumu *Józef Mehoffer – artysta dwóch epok* (Rzeszów 2010). Redaktorka pracy zbiorowej *Boom i kryzys. Nowe polskie czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne po roku 1980* (2012). Współredaktorka m.in. książek: *Poeta czułej pamięci. Studia i szkice o twórczości Janusza Szubera* (2008), *Światy Olgi Tokarczuk* (2013), *Przyboś dzisiaj* (2017), *Miejsca, ludzie, opowieści. O twórczości Andrzeja Stasiuka* (2018), *Obroty liter. Szkice o twórczości Tomasza Różyckiego* (2019), *Kontynenty. Tom drugi: Studia i szkice o twórczości Bogdana Czaykowskiego* (2021). Redaktorka i autorka szkiców czterech tomów *Sztuki Podkarpacia* (2010, 2011, 2013, 2015). Członkini Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Stowarzyszenia Literackiego

im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi. Laureatka Nagrody Fundacji Turzańskich (Toronto 2004). Mieszka w Rzeszowie i Jedlinie-Zdroju.

RAFAŁ RŻANY

Ur. w 1973. Poeta, krytyk, fotograf. Opublikował cztery zbiory wierszy: *Uptyw* (1993), *Wtedy nic jeszcze...* (1995), *Ruchome pole* (2006; zawiera także tłumaczenia i fotografie), *Koniec lata* (2023), tom tekstów krytycznych *Pozornie tak bardzo podzieleni. Nie tylko o młodej poezji* (1998) oraz album fotograficzny *Ptaki i kamienie* (2023). W latach 1998–2011 redaktor „Nowej Okolicy Poetów”. Jego wiersze były tłumaczone na włoski, hiszpański i angielski. Mieszka w Rzeszowie.

ROMAN SABO

Ur. w 1957 w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Poeta, tłumacz, esecista. W 1980 r. wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na Uniwersytecie w Toronto. Wiersze, eseje, przekłady poezji publikował m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Przeglądzie Polskim” (Nowy Jork), „Nowym Prądzie” (Toronto). Opublikował tomy wierszy: *Niech będzie* (2005), *Cienie* (2011), *Podwórko* (2015), *Kolibry* (2023). W przygotowaniu znajduje się wybór wierszy Seamusa Heaneya w jego przekładach. Mieszka w Vancouver.

JOANNA SARNECKA

Antropolożka kultury, animatorka, opowiadaczka w założonej przez siebie grupie Opowieści z Walizki, performerka; praktykuje taniec butoh. Interesuje się tematem pamięci miejsca i nieudźklich świadków w kontekście traumatycznych zdarzeń, wydarzeń historycznych i obecnych kryzysów oraz wielokulturowym dziedzictwem i ideą wielogatunkowej wspólnoty. Współtworzy kolektyw WMA – Wirtualnego Muzeum Antropocenu www.wma.museum, Dwukrotna stypendystka MKiDN, stypendystka ZAiKS. Autorka prozy *Dziennik uciekiniera* (wyd. Oficynka 2017) oraz zbioru opowiadań *Dawno temu teraz* (Nagroda Główna XV Ogólnopolskiego Konkursu na Autorską Książkę Literacką Świdnica 2022), a także tekstów piosenek, wierszy, recenzji i tekstów krytycznych dotyczących współczesnych eksperymentalnych zjawisk tanecznych i teatralnych. Uczestniczka festiwalu Góry Literatury 2022 w Nowej Rudzie, gdzie zaprezentowała performance *Panahanda*.

ALI AL SHAIKHIL

Młody, dwudziestopięcioletni poeta z Iraku, uchodźca, który przybył do Polski w sierpniu 2021. Zatrzymany przez służby na granicy polsko-białoruskiej, dziewiętnaście miesięcy przebywał w Strzeżonym Ośrodku dla Cudzoziemców w Przemyślu.

SABINA SIKORSKA

Studentka Sztuki pisania na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, absolwentka kierunku Ochrona środowiska. Pracuje w kameralnej księgarni i działa w fundacji ratującej bezdomne koty. Laureatka wyróżnienia w V Konkursie im. Tymoteusza Karpowicza na recenzję literacką.

ADRIAN SINKOWSKI

Ur. w 1984. Poeta. Autor tomików *Raptularz* (2016) i *Atropina* (2018). Otrzymał wyróżnienie w konkursie Dolina Kreatywna (2008). Jest laureatem projektu Połów (2011). Nominowany do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2017), Nagrody Poetyckiej im. Gałczyńskiego „Orfeusz” (2019), Nagrody Literackiej im. J. Mackiewicza (2019), Nagrody im. Norwida (2019) oraz Nagrody Identitas (2023). Debiutował w 2005 w „Pograniczach”, publikował w czasopiśmie: „Dwutygodnik”, „Kresy”, „Odra”, „Pismo”, „Twórczość”, „Zeszyty Literackie”. W latach 2007–2017 redaktor naczelny i współpracownik kwartalnika literackiego „Wyspa”.

TOMASZ SNARSKI

Ur. w 1975. Doktor prawa, adwokat, działacz społeczny i kulturalny, pisarz z Gdańska o litewskich korzeniach. Animator polsko-litewskiej współpracy kulturalnej. Od 2020 dyrektor artystyczny interdyscyplinarnego festiwalu Wilno w Gdańsku/Vilnius Gdanske (z którym współpracuje od 2019 roku), organizowanego przez Gdańsk i Wilno jako miasta partnerskie. Opublikował

zbiory wierszy: *Przezpatrzenia* (2012, 2014), *Werblista* (2015), *Żmuty* (2021) oraz *Žiemos visada bus baltos* (2022) w przekładzie na litewski Birutė Jonuškaitė. Jego wiersze były publikowane w „Twórczości”, „Blizie”, „Akancie”, „Znad Wili”, „Naujoi Romuva”, „Revue littéraire du Barreau de Paris”. Laureat nagrody im. Witolda Hulewicza (2016), kilkakrotnie Stypendium Kulturalnego Miasta Gdańska.

PATRYCJA STEFANOWICZ

Wileńska licealistka, tworząca miniatury literackie w różnych językach. Publikacja w „Frazie” jest jej debiutem literackim.

GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w 1958 w Łodzi, gdzie mieszka. Prozaik, poeta, artysta sztuk wizualnych. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w Empiku, domach kultury i bibliotekach, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Debiutował w 1992 r. wydanym przez Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli*. Ostatnio opublikował zbiór opowiadań *Wyjście* (Wydawnictwo Forma, Szczecin–Bezrzeczce 2021). Wyróżniony w Konkursie Fundacji Kultury za powieść *Łzy* (1999, adaptacja w Teatrze Telewizji w reżyserii F. Zylbera z M. Bonaszewskim w roli głównej), dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki” (za powieści *Łzy* oraz *Pigment*). Prace malarzkie i fotograficzne prezentował na kilku wystawach indywidualnych i zbiorowych w Łodzi.

ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich”, „Kresach”, „Twórczości i „Akancie”. Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

BARTOSZ SUWIŃSKI

Ur. w 1985 w Kępnie. Poeta, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych. Adiunkt w Instytucie Nauk o Literaturze Uniwersytetu Opolskiego. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe drukował w wielu pismach w Polsce i za granicą. Opublikował tomy poetyckie: *Sehir* (2010), *Bliki* (2013), *Odpust* (2013), *Uroczysko* (2014), *Wyraj* (2017), *Bura. Notatnik chorwacki* (2019) i *Nawie* (2020), monografie *Pory poezji. Koncepcja czasu w twórczości poetyckiej Krystyny Miłobędzkiej* (2017) i *Anegdota o istnieniu. Poezja Haliny Poświatowskiej* (2020); książkę esejistyczną *Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry* (2017), wybór wierszy Jana Goczoła *Kosturem po korze* (2018) i prozę *Terpentyna* (2022). Mieszka w Bystrzycy Kłodzkiej.

WAŁERIJ SZEWCZUK

Ur. w 1939 w Żytomierzu. Wybitny ukraiński pisarz i tłumacz, jeden z najważniejszych przedstawicieli pokolenia lat 60. (*szesydestatnyki*). Ukończył Wydział Historyczny-Filozoficzny Uniwersytetu Kijowskiego. Pracował w redakcji gazety „Nowa Gwardia” i w muzeum historycznym w Kijowie. Debiutował w 1967 zbiorem opowiadań *Sered tyżnia*. Pochodzące z 1968 mikropowieści *Nabrżeźna 12* i *Odmieniec* ukazały się łącznie po polsku w 1974. W latach siedemdziesiątych XX wieku po podpisaniu listu protestacyjnego przeciwko uwięzieniu S. Karawańskiego objęty zakazem druku. W roku 1983 opublikował swoje najslawniejsze dzieło – powieść *Dom na wzgórzu* (polskie wydanie 1989), uważaną za przykład ukraińskiego realizmu magicznego. Zebrał, opracował i wydał wiele zbiorów dawnej literatury ukraińskiej. W Polsce ukazała się w przekładzie Jerzego Litwiniuka także jego powieść *Oko otchłani* (2000) oraz pojedyncze opowiadania i fragmenty na łamach różnych czasopism (m.in. „Literatura na Świecie”, „Tygodnik Literacki”, „Krasnogruda”).

JOANNA TABOR

Lituanistka, wykładowczyni i tłumaczka literatury litewskiej. Kieruje bałtystyką na Uniwersytecie Warszawskim.

KRISTINA TAMULEVIČIŪTĖ

Litewska pisarka i tłumaczka, głównie z literatur południowosłowiańskich. Z wykształcenia politolożka. Debiut książkowy w 2023.

URŠULĖ TOLEIKYTĖ

Litewska pisarka, autorka filmów krótkometrażowych i krótkich form teatralnych. Z zawodu psycholożka dziecięca. Publikuje od kilku lat w czasopismach literackich, debiut książkowy w 2020.

TERESA TOMSIA

Poetka, eseistka, animatorka kultury. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny kresowiana, urodzona w Wołowie na Dolnym Śląsku, wychowała się w pomorskim miasteczku przesiadłców, co opisuje w książce *Świdwin przypomniany* (2018). Absolwentka polonistyki UAM w Poznaniu i studium reżyserii. Publikowała w pismach literackich: „Czas Kultury”, „W Drodze”, „Kultura” (Paryż), „Zeszyty Literackie”, „Topos”, „Gazeta Malarzy i Poetów”, „Tygiel Kultury”, „Wyspa”, „Akcent”, „Fraza”, w antologii *Poznań Poetów* (2011), albumie *Homo homini res sacra* wydanym na 40-lecie Centrum Dialogu w Paryżu (2016). Jej książki poetyckie ukazały się w tłumaczeniu na język niemiecki: *Wieczna rzeka / Der ewige Fluss* (1996) oraz na język niemiecki i francuski *Schöner / Piękniejsze / C'est plus beau* (2000). Wydała prozę dokumentalną o deportacjach z ziemi nowogrodzkiej *Dom utracony, dom ocalony* (2009) oraz szkice literackie *Z szarego notatnika* (2015) i *Niedosyt poznawania* (2018). Ostatnio ogłosiła tom *W znikającym ogrodzie* (2023). Uehonorowana m.in. Medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* (2007) i Medalem Wojewody Wielkopolskiego im. W. Celichowskiego (2015). Od 1981 mieszka z rodziną w Poznaniu. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Poetka, eseistka, nowelistka; autorka książek: *Klasztor żeński* (1988), *Stabość* (1992), *Innocenty Białe Piórko* (2008), *Bracia Strach i inne opowiadania* (2009; Krakowska Książka Miesiąca), *Szept nad szeptami* (2016), *Wielki Brat Zachód* (2023, drukowany we fragmentach we „Frazie”). Laureatka kilkunastu ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji, prozy, dramatu i twórczości dla dzieci – wśród nich: im. Poświatowskiej, Grochowiaka, Żeromskiego, Tuwima. Eseje, opowiadania i wiersze drukowała w „Dekadzie Literackiej”, „Nowej Dekadzie Krakowskiej”, „Zadrze” i „Frazie” (cykl podróży *Wielki Brat Zachód*). W tłumaczeniach publikowana m.in. w czasopismach: „The Rialto”, „Verse” (Wielka Brytania), „Iton 77”, „Psejfas”, „Gag” (Izrael).

VERDENĖ MONIKA VALKIŪNAITĖ

Litewska malarzka, scenografka i pisarka, specjalizująca się w krótkich formach literackich. Publikuje od kilku lat w czasopismach literackich, debiut książkowy w 2023 roku.

SAULIUS VASILIAUSKAS

Litewski pisarz, Wilnianin. Wykładowca akademicki, doktor Uniwersytetu Wileńskiego. Laureat nagrody Związku Pisarzy Litwy za debiut książkowy w 2019 roku. Animator i reporter wileńskiego życia literackiego.

MARIA WALENDOWSKA

Ur. 21 stycznia 1934 w Hrubieszowie, zmarła 24 września 2013 w Jeżewie (województwo kujawsko-pomorskie). W 1966 ukończyła studia na wydziale ekonomiczno-socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, ze specjalnością socjologia pracy. Po studiach kontynuowała pracę naukową w dziedzinie socjologii religii. Okresem jej największej aktywności były lata siedemdziesiąte XX wieku. Zamieszkała w Warszawie, współpracowała z prasą katolicką Stowarzyszenia PAX – miesięcznikiem „Życie i Myśl” (gdzie wchodziła w skład zespołu redakcyjnego) i tygodnikiem „Kierunki”. Wygłaszała prelekcje na temat socjologii religii m.in. we Wrocławiu i Krakowie, gdzie w jednym z nich uczestniczył bp Karol Wojtyła. Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim przygotowywała pracę doktorską *Religijność wiejska w warunkach urbanizacji*, opartą o badania prowadzone w Łęcznej k. Lublina (promotorem był ks. prof. Władysław Piwowski). Poważne problemy zdrowotne uniemożliwiły jej ukończenie rozprawy i spowodowały rezygnację z pracy zawodowej. Od 1991 często przebywała w Jeżewie, gdzie w końcu zamieszkała na stałe, pod opieką córki lekarki.

HENRYK WANIEK

Ur. w 1942 w Oświęcimiu. Malarz, rysownik, prozaik, eseista, krytyk. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku należał do katowickiej grupy artystycznej ONEIRON.

Opublikował osiem książek eseistycznych (m.in. *Hermes w górach śląskich*, 1994; *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257–1957*, 1996; *Cmentarz nieśmiertelnych. Kolonia pisarzy i innych takich*, 2015), siedem powieści (w tym: *Dziady berlińskie*, 1984, 1998; *Wyprzedza duchów*, 2007; *Obcy w kraju urodzenia*, 2016), zbiór opowiadań *Miasto niebieskich tramwajów* (2017), opowieść *Szalone życie Macieja Z.* (2018), sylwy *Modlitewnik i notatnik drogowy (1984–1994)* (2013) i *Modlitewnik i notatnik drogowy 1994–2004 II* (2020). Laureat m.in. Nagrody im. Andrzeja Kijowskiego (1997), Kulturpreis des Landes Niedersachsen, Dolnośląskiej Nagrody Literackiej „Laur”, Nagrody Fundacji Kultury (2003). Jego powieść *Finis Silesiae* znalazła się w finale Nagrody Nike (2004). Odnaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2005) i srebrnym medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* (2007). Prezentował swoje prace malarskie i rysunkowe na wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych, m.in. *Kwadratura koła* (Galeria Op Enheim we Wrocławiu 2022, której towarzyszył obszerny katalog). Mieszka w Warszawie.

PIOTR WOJTASZEK

Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Rzeszowskim (praca magisterska *Konserwatywna konceptualizacja. Wczesna twórczość Szczepana Twardocha*, 2022) i filozofii (praca licencjacka o historiozofii Karla Jaspersa, 2023). Od października 2023 student kierunku Literaturoznawstwo w Szkole Doktorskiej UR (przygotowuje pracę doktorską na temat nurtu wiejskiego w polskiej prozie po roku 1984). Recenzje i szkice publikował w „*Twórczości*”, „*Frazie*”, „*Pracach Literaturoznawczych*”, „*Nowym Napisie. Co tydzień*”. Współpracownik redakcji „*Frazy*” – założył i prowadzi media społecznościowe pisma w Internecie.

JAN WOLSKI

Ur. w 1959 r. Dr hab. w Zakładzie Kultury Mediów Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego. Krytyk literacki, tłumacz literatury niemieckojęzycznej, wydawca, pasjonat sztuki książki, kierownik literacki i aktor teatru UR Scena Propozycji. Opublikował m.in. książki: *Wacław Iwaniuk. Szkice do portretu emigracyjnego poety* (2002), „*Im dalej w czas, tym mocniej będzie świecić*”. *Iwaniuk – Czechowicz* (2003), *Dotykanie wiarska* (2023), *Piotr Mordel – polski typograf i bibliofil w Berlinie* (Opole 2011, współautorka Maria Kalczyńska) oraz tomy przekładów pisarzy szwajcarskich: Flurina Speschy, Franz Hohlner, Hermann Burgera, Luise Famos, Armina P. Bartha, Hugo Loetschera. Współredaktor i redaktor kilkunastu tomów prac zbiorowych oraz wielu tomów poezji, prozy, esejów, wspomnień, wydanych w serii Biblioteka „*Frazy*”. Ostatnio opublikował w serii Biblioteka „*Frazy*”: monografię *Szwajcaria w piśmiennictwie polskim. Od XIX wieku do czasów najnowszych* (2019), zbiór tekstów krytycznych *Reagować – opisywać* (2021), antologię polskiej poezji o Szwajcarii (2021) a także m.in. *Marginalki polskie i dwie ukraińskie* oraz *Marginalki szwajcarskie i jedna austriacka* (2023). Zredagował monografię zbiorową *Zagłądać w oczy makom i stokrotkom. Twórczość Stanisławy Kopiec. Studia, szkice, wspomnienia* (2019). Laureat Nagrody Miasta Rzeszowa w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za „popularyzowanie i promowanie literatury emigracyjnej w polskojęzycznym świecie” (2020). Mieszka w Rzeszowie.

PIOTR WÓJTOWICZ

Ur. w 1958 w Stalowej Woli. Absolwent PLSP im. S. Wyspiańskiego w Jarosławiu i Wydziału Malarstwa ASP w Krakowie (w pracowni malarstwa prof. Jana Szancenbacha i rysunku prof. Mieczysława Wejmana). Dyplom z wyróżnieniem w 1983. Uprawia malarstwo i rysunek, jest kuratorem wystaw, pisze o sztuce, organizuje wydarzenia artystyczne i kulturalne. Do przejścia na emeryturę pracował jako nauczyciel w PLSP w Krośnic (wcześniej w Miejscu Piastowym), w latach 2005–2006 prowadził pracownię malarstwa w architekturze w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Rzeszowskiego. Zorganizował ponad 30 wystaw indywidualnych (w 2023 – *Obrazy z literą A + Aneks* w Muzeum Sztuki w Łodzi i *Obrazy z lat 80.* w Kasztelu w Szymbarku). Brał udział w licznych wystawach zbiorowych środowiskowych, ogólnopolskich, zagranicznych. Laureat konkursów międzynarodowych, ogólnopolskich i okręgowych. W latach 1991–1995

pełnił funkcję wiceprezesa ZPAP Oddziału Rzeszowskiego. Był czterokrotnym stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki (1986, 1988, 1996, 2001). W latach 1999 i 2010 otrzymał Nagrody Indywidualne I stopnia Dyrektora Centrum Edukacji Artystycznej za szczególnie wkład w rozwój edukacji artystycznej w Polsce. Mieszka w Krośnicach.

BOHDAN ZADURA

Ur. w 1945 w Puławach, gdzie mieszka. Poeta, prozaik, krytyk, tłumacz literatury angielskiej, ukraińskiej, węgierskiej, rosyjskiej i białoruskiej, redaktor czasopism literackich „*Twórczość*” (w latach 2004–2020 jej redaktor naczelny) i „*Akcent*” (1980–2004), współpracownik „*Literatury na Świecie*”. Debiutował w 1968 r. powieścią *Lata spokojnego słońca* i tomikiem wierszy *W krajobrazie z amfor*. Ogłosił ponad 20 tomów poezji (m.in. *Małe muzea*, 1977; *Przeświatlone zdjęcia*, 1990; *Cisza*, 1994; *Ptasia grypa*, 2002; *Noce życie*, 2010; *Po szkodzie*, 2018; *Puste trybuny*, 2021) oraz kilka tomów prozy i tekstów krytycznoliterackich. W latach 2005–2007 wydawnictwo Biuro Literackie, z którym współpracuje, opublikowało jego *Dziela zebrane*. Uehonorowany m.in. nagrodami im. Stanisława Piętaka (1994), im. Józefa Czechowicza (2010), im. Gáborá Bethlena (2013), Międzynarodową Nagrodą Literacką im. Rhyriahy Skorowody (2014), Złotym Medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis* (2015), im. Cypriana Norwida (2015), Nagrodą ZAiKSu (2016), Wrocławską Nagrodą Poetycką „*Silesius*” za całokształt twórczości (2018), Nagrodą „*Literatury na Świecie*” w kategorii przekład poezji (2020), Literacką Nagrodą Europy Środkowej „*Angelus*” za przekład powieści Kateryny Babkiny *Nikt tak nie tańczył jak mój dziadek* (2021), a także nagrodami na festiwalach Kijowskie Laury i „*Ditë e Naimit*” oraz nagrodą im. Pantelėjmona Kulisza. Opublikował autorskie antologie poezji ukraińskiej *Wiersze zawsze są wolne* (2004, 2005, 2007) oraz *100 wierszy wolnych z Ukrainy* (2022) i węgierskiej *Węgierskie lato* (2010) oraz tomy wierszy m.in.: D.J. Enrighta, Johna Ashbery’ego, Tony’ego Harrisona, Johna Guzłowskiego, Mihály’ego Babitsa, Dmytra Pawłyuczki, Jurija Andruchowycza, Serhija Żadana, Andrija Bondara, Wasyla Machny, Ostapa Sływynskiego, Natałki Biłocerkiweć, Hałyny Kruk, Wasyla Łozińskiego, Wasyla Słapczuka, Istvána Kovácsa, Pétera Kántora, Andreja Adamowicza, Julii Cimafiejewej, Siarhieja Pryłuckiego, Petra Milčáka; powieści i zbiory prozy: D.J. Enrighta, Johna McGaherna, Dzwinki Matijasza, Andrija Lubki, Natałki Śniadanko, Jurija Wynnyczuka, Olcha Sencowa, Andrija Bondara i Wasyla Machny. Przetłumaczył *Tragedię człowieka* – poemat Imre Madách, główne dzieło węgierskiej dramaturgii. W 2011 r. Biuro Literackie opublikowało wybór rozmów z poetą *Klasyk na luzie*, przygotowany przez Jarosława Borowca. Jego wiersze tłumaczono na wiele języków, weszły do licznych antologii poezji polskiej, kilka osobnych wyborów ukazało się w Ukrainie i na Węgrzech. W 2020 r. jego powieść *Lata spokojnego słońca* ukazała się w przekładzie Wasyla Słapczuka w Łucku (Ukraina).

JACEK ANTONI ZIELIŃSKI

Ur. w 1936 w Warszawie, gdzie mieszka. Malarz, rysownik, krytyk sztuki, autor opowiadań i dramatów. W latach 1954–1960 studiował w warszawskiej ASP (dyplom w pracowni prof. Tadeusza Kulisiewicza). Jest twórcą kolekcji „*Krąg Arsenалу*” w Muzeum Lubuskim im. J. Dekerta w Gorzowie Wlkp., którą kierował w latach 1978–2002. W latach 1971–1981 stworzył i prowadził galerię „*Wystawy na Pięknej*”, w latach 1984–1989 współpracował z galerią Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Był współtwórcą i redaktorem ukazującego się w drugim obiegu w latach 1984–1989 pisma o sztuce „*Szkice*”. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych, m.in. *Dokumenty rzeczywistości i koncepcje przestrzeni w sztuce współczesnej* (Muzeum Narodowe w Warszawie 1979, 1984), *Kosmos i Metafora – Przestrzeń* w Muzeum Lubelskim (1977, 1978), *Rysunek i opis, 10 lat później i Rysunek na koniec wieku* w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu (1980, 1992, 2000). Z wielu wystaw indywidualnych wyróżnia wystawy w: warszawskiej galerii Kordegarda (1976, 1993), galerii Domu Artysty Plastyka w Warszawie (*Motyw zimowy*, 1980 i *Światła nocy oraz inne prace z lat 1968–1999*, 1999–2000), BWA w Rzeszowie (2000), galerii „*Krypta* u Pijarów” w Krakowie (2006), zrealizowaną wspólnie ze Stanisławem Zbigniewem Kamińskim wystawę *Obrazy o niebie* w warszawskiej galerii „*Test*”, wystawę w Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „*Dom Praczi*” w Kielcach (wrzesień–październik 2019) oraz cztery wystawy w Muzeum

Lubuskim w Gorzowie Wlkp. (1977, 1984, 1993, 2011). Opublikował książki: *Prawdziwe pozory sztuki nowoczesnej* (1965), *O widzeniu artystycznym* (1966), *Szkieo o malarstwie i strukturze materii* (1991), z Joanną Stasiak dwa podręczniki do plastyki *Wiedza o sztuce 5–8 i Świat sztuki*. Jest autorem tekstów o sztuce i artystach oraz opowiadań, publikowanych w monografiach zbiorowych, katalogach wystaw oraz pismach: „Fundamenty”, „Kierunki”, „Życie i Myśl” (kierował w nim działem „Sztuka”), „Miesięcznik Literacki”, „Arkusze”, „Fraza”, „Twórczość”. Jego prace znajdują się w zbiorach: Muzeum Narodowego w Warszawie, Biblioteki Narodowej, Centrum Sztuki Studio im. S.I. Witkiewicza, Muzeum ASP w Warszawie, Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, Muzeum Śląskim, Narodowym Muzeum Sztuki im. M.K. Ciurliónisa w Kownie i w zbiorach prywatnych w Polsce, Francji i Litwie.

JUOZAS ŽITKAUSKAS

Litewski pisarz, działacz i animator kultury z Kopciowa w Dzukii. Tworzy w języku litewskim i w gwarze dzukijskiej. Twórca i prezes Stowarzyszenia Slinktys, zasłużonego w promocji twórczości młodzieży. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy.

ZAPROSILI NAS

Dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych Kolegium Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego do Galerii Instytutu Sztuk Pięknych im. prof. Włodzimierza Kotkowskiego na wernisaże: wystawy Zakładu Malarstwa Instytutu Sztuk Pięknych w Rzeszowie (kurator: Jarosław Sankowski, artyści: Jacek Balicki, Tadeusz Boruta, Małgorzata Drozd-Witek, Antoni Nikiel, Marek Olszyński, Marek Pokrywka, Jarosław Sankowski, Katarzyna Cwynar, Łukasz Gil, Piotr Woronice) – 23.05.2023; *Wystawę końcoworoczną* – 29.06.2023.

Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych na: 168 Firmowe Spotkania ze Sztuką – wernisaż wystawy malarstwa Magdaleny Cywickiej – 25.05.2023; 169 Firmowe Spotkanie ze Sztuką: Jan Wolek *Malarstwo. 50 lat pracy twórczej* – Galeria na Najwyższym Poziomie Elektromontaż Rzeszów 29.06.2023; spotkanie z rzeźbiarzem Krzysztofem Brzuzanem – Apart Hotel w Rzeszowie 11.07.2023; wernisaż wystawy poplenerowej *Wiśniowa Pachnąca Malarstwem* (kurator Tadeusz Błoński) – Galeria Na najwyższym Poziomie Elektromontażu Rzeszów – 10.08.2023; wystawy poplenerowej XIX Międzynarodowego Pleneru Malarskiego Boguchwała 2023 – Miejskie Centrum Kultury w Boguchwale 18.08.2023; spotkanie z malarką i graficzką Jadwigą Hajduk – Apart Hotel w Rzeszowie 26.09.2023.

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemysłu na: otwarcie wystawy Rimerca Cardillo, Jani Konstantinowskiego *Puntosa W hołdzie Mikołajowi Kopernikowi – Komenaje a Nicolás Copérnico* – 26.05.2023; wystawę malarstwa Natalii Karasińskiej *Kontra* – Galeria Zamek Przemyskiego Centrum Kultury i Nauki Zamek – 26.05.2023; Wystawę dyplomów magisterskich Projektowania Graficznego Instytutu Sztuk Projektowych Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Przemysłu – 23.06.–4.07.2023; otwarcie wystawy pokonkursowej Nagrody im. Mariana Strońskiego Przemysł 2023 – Galeria Zamek Przemyskiego Centrum Kultury i Nauki Zamek 24.06.2023; otwarcie wystawy malarstwa Andrzeja Fogtta *Bucza* i spotkanie z artystą w ramach projektu „Sztuka zwycięża! Polska, Ukrainą, Kresy” – 7.07.2023; otwarcie wystawy malarstwa Ihora Janovycha *Fragmenty* i spotkanie z artystą w ramach projektu „Sztuka zwycięża! Polska, Ukrainą, Kresy” – 4.08.2023; Słonne Spotkanie Artystów 2023 10x10x10 – otwarcie wystawy końcowej (uczestnicy: Jan Ferenc, Maria Ferenc, Marianna Wróblewska, Grzegorz D. Mazurek, Dariusz Sobociński, Łukasz Cywicki, Renata Wota, Janusz J. Cywicki, Małgorzata Dawidiuk, Zbigniew Karaszewski) – Kresowy Dom Sztuki w Dubiecku 11.09.2023; wystawę malarstwa Ireny Oryl i spotkanie z artystką – 15.09.2023; udziału w akcji *Celebracje* z cyklu „Centrum światów jest Tutaj!” (w programie wykłady, koncerty, performance Kolektyw 100 Flag, Sebastian Hanela i Marii Bitki) – Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Galeria Sztuki Współczesnej, Dom Ukraiński w Przemysłu 8.–10.09.2023; wernisaż wystawy prac wykładowców Instytutu Sztuk Projektowych Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Przemysłu – 29.09.2023; wystawę rzeźb Adama Myjaka *Refleksje* w ramach projektu „Sztuka zwycięża! Pol-

ska, Ukrainą, Kresy” – podziemia kościoła pw. św. Marii Magdaleny Ojców Franciszkanów 20.10.–26.11.2023; multimediálny wykład Grażyny Niezgody z cyklu „Wieczorne rozmowy o sztuce” – wieczór siedemdziesiąty trzeci *Milczenie sztuki. O minimal art* – 24.10.2023, wystawę z cyklu „Artyści bez granic / Paper no limit”: *Artyści gruzińscy* (kuratorka Helena Jacyno) – 27.10.–21.11.2023.

Adam Rajzer do Rzeszowskiego Domu Sztuki na wernisaże wystaw: malarstwa Eugeniusza Tukana-Wolskiego – 1.06.2023, malarstwa Piotra Dawida Woroińca – 18.10.2023.

Dyrekcja i Zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie na: Międzysłów Karpát. Literacki Festiwal Teatru Siemaszkowej: *Fikcja i realizm/Sąsiedzi* (goście Jurij Andruchowycz i Tomasz Grzywaczewski) – Rzeszowskie Piwnice 7.06.2023; *Kamyk metafizyczny w obcym ciełe. Wiersze nieuniknione* oraz koncert Freeborn Brothers – Muzyczny Ogród Leśmiana – Fosa Rzeszów 31.08.2023; *Historia odkrywana na nowo – literatura i film* (goście: Albena Grabowska, Wacław Holewiński) – Kino Zorza 22.09.2023; *Kryminalne pióro – ostre jak brzytwa* (goście Anna Kańtoch i Robert Małecki) – Rzeszowskie Piwnice 10.10.2023; spektakl Latającego Teatru Kantorowi *Kieszenie pełne wspomnień. Anatomia zdarzeń* (dramaturgia i reżyseria Joanna Gerigk) – Młodzieżowy Dom Kultury w Rzeszowie 9.07.2023; na spektakle Off Rzeszów. Przerzucenie sztuki: *Valeska Valeska, Valeska Valeska* – MDK Rzeszów 17.09.2023; *Faktoria przyjemności* – Teatr Maska 18.09.2023; *Invisible* – Teatr Maska 20.09.2023; *Very funny* – Teatr Maska 20.09.2023, *Coś z Nietzschego* – Teatr Maska 21.09.2023; do BWA w Rzeszowie na Scenę Fresh – spektakle: *Zmęczona*, scen. D. Sobik, reż. P. Leończyk – 22.09.2023; *Podbrzusze*, scen. K. Sikora, reż. K. Dudzic-Grabińska – 23.09.2023; *D10S*, scen. S. Szware, reż. M. Jarośnińska – 24.09.2023; koncert *Loteryjka u Pani Wisławy* – Rzeszowskie Piwnice 24.09.2023; koncert zespołu Wieża Bajzel A, Ś, Ć, Ż, Ń / *Przerzucenie Sztuki* – 21.10.2023.

Biurowy Wystaw Artystycznych w Krośnie na: wystawę *Kraj-obrazy* (komisarz Magdalena Ujma, uczestnicy: Rafał Borcz, Marta Jamróg, Kornel Janczy, Kinga Nowak, Agata Pałach-Bożek; wybrane prace powstałe na plenerach organizowanych przez BWA w Krośnie od roku 1982) – 10.06.–1.07.2023; śniadanie z artystką Joanną Graniczowską (Nagroda IX Salonu BWA w Tarnowie 2023) – 18.06.2023; wystawy *Mena Żeria* Piotra Burgera i rysunku Mariusza Kusa – 2.–23.09.2023; Spotkanie/śniadanie z artystką Joanną Dudek – 27.08.2023; wykład z cyklu „Mówimy o sztuce...” Pawła Kowala *Moja Abakanowicz – odkrywanie jednej z najwybitniejszych i jednocześnie najbardziej tajemniczych polskich artystek* – 24.09.2023; wernisaż wystawy Jakuba Woynarowskiego *Nowa Iconologia* (kuratorka Marta Kudelska) – 29.09.2023.

Krośnieńska Biblioteka Publiczna na: wykład Borysa Płonki „Węgrzy – stosunki demograficzno-etniczne na przestrzeni dziejów” pod honorowym patronatem Zbigniewa Ungeheuera Konsula Honorowego Węgier na Podkarpaciu (współorganizator Krośnieński Uniwersytet Trzeciego Wieku) – Czytelnia Główna Biblioteki 21.06.2023; wystawę prac Katarzyny Oczos i Magdaleny Zajdel oraz spotkanie z artystkami – Salonik Artystyczny Biblioteki 9.08.2023; spotkanie z autorami i autorkami almanachu *Z wierszami zostanę* (współorganizator Grupa Poetycka „Krosno”) – Czytelnia Główna Biblioteki 6.09.2023; akcję ZACZYTANE KROSNO! – krośnieński Rynek 8.09.2023 (w programie m.in. Narodowe Czytanie *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, happening *Przewertuj mnie – książka to dobry wabik!*; koncerty Artura Michelisa i Jacka Buczyńskiego); otwarcie wystawy *YoungGraf* – prac młodych artystów z pracowni Mezgraf (współorganizator: Fundacja dla Sztuki) – Salonik Artystyczny Biblioteki 13.09.2023; spotkanie z Izoldą Kiec poświęcone biografiami i twórczości Zuzanny Ginczanki oraz Felicji Kruszkowej – Czytelnia Główna Biblioteki 25.09.2023; wernisaż wystawy malarstwa Marty Bożek-Pocenty *Tu i teraz* – Salonik Artystyczny Biblioteki 11.10.2023; spotkanie z Andrzejem Stasiukiem (w ramach projektu „Miejsca i ludzie czyli życie w książkach zapisane”, prowadzenie: Przemek Polański) – Czytelnia Główna Biblioteki 13.10.2023; prezentację XV almanachu literackiego *Człowiek w poezji* oraz zbioru poetyckiego Krystyny Kulman *Kobiety czas* (współorganizator Klub Literacki Nauczycieli) – Salonik Artystyczny Biblioteki 18.10.2023.

Biurowy Wystaw Artystycznych w Rzeszowie na: wydarzenia w ramach festiwalu Wschód Kultury/ Europejski Stadion Kultury 2023 – wernisaże wystaw *Horyzont* (Katarzyna Cesarz, Marcin Lube-

ra, Marcin Norbert Michalski, Valeria Moskvitina); *As Far As...* (kuratorzy: Adrianna Gajdziszewska i Piotr Kolanko, autorzy: Franciszek Araszkiwicz, Xawery Deskur, Adrianna Gajdziszewska, Jakub Gliński, Piotr Kolanko, Mariia Mytrofanova, Aleksander Sovtysik, Małgorzata Wielek) – 23.–25.06.2023; otwarcie międzynarodowej wystawy *Art Science. Art of Apoptosis* (współorganizatorzy: Instytut Sztuki Uniwersytetu Rzeszowskiego, Instytut Biologii Doświadczalnej im. Marcello Nenciego PAN, Warszawa) i wystawy poplenerowej *Kolbuszowa 2022* (współorganizatorzy: Urząd Miejski w Kolbuszowej, Szkoła Podstawowa nr 2 w Kolbuszowej, Związek Artystów Malarzy i Grafików w Rzeszowie) – 20.07.2023; wernisaż wystawy Andrzeja Frydrycha *Inter* – 10.08.2023; wernisaże wystaw malarstwa Jacka Rykały i ceramiki Mirosława Kopicńskiego *Aspekty. Zapis procesu* – 14.09.2023; malarstwa i grafiki Zygmunta Czyża i *Krajinę zmysłów. Wystawę jubileuszową z okazji 30-lecia Domu Pomocy Społecznej dla Osób Przewlekłe Psychiczenie Chorych w Rzeszowie* – 19.10.2023.

Grzegorz Gauden na wernisaż wystawy autoportretów Krystyny Piotrowskiej *Widzę się* – galeria „Czas Praw Kobiet” Poznań 29.06.2023.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie na „Letnie Ogrody Literackie” – plenerowe spotkania autorskie w Ogrodach Bernardyńskich: z Jakubem Małeckim – 2.07.2023, Jackiem Hugo-Baderem – 23.07.2023, Wojciechem Tochmanem – 23.07.2023, Iloną Łepkowską – 6.08.2023, Ryszardem Ćwirlejem – 20.08.2023, Joanną Jodełką – 27.08.2023, Cezarym Łazarewiczem – 17.09.2023; spotkania w ramach projektu „Pogaduchy o książkach i rozmowy na temat”: z Joanną Bator – 10.10.2023; Ingą Iwasiów – 25.10.2023.

Miejska Biblioteka Publiczna im. C.K. Norwida w Świdnicy na XVI Ogólnopolską Biesiadę Literacką (w programie m.in. wernisaż wystawy malarstwa Piotra Dębińskiego, wręczenie nagrody w XVI Ogólnopolskim Konkursie na Autorską Książkę Literacką Świdnica 2023, spotkanie autorskie z jego laureatką Justyną Graboś, spotkanie autorskie z Jackiem Podsiadło i koncert Jacka Kleyffa) – 15.–17.06.2023.

Galeria Sztuki Współczesnej i Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu na wernisaż wystawy *Zapis ukryty. 50-lecie pracy twórczej Stanisława Białogłowicza* – 21.07.2023.

Jan Pastuła do **Galerii Sztuki Współczesnej Pastuła w Porębach Kupieńskich** (Kupno 492) na: wernisaż wystawy Bartosza Kokosińskiego – 22.07.2023; wernisaż malarstwa Barbary Hubert *Pamięć niezatopiona* i promocję tomu wierszy Marka Pękali *Nieśpiewy historyczne* – 14.10.2023.

Teatr Przedmieście w Rzeszowie na: premierę i kolejny spektakl *Ceremonia* (reż. i scen. Aneta Adamska-Szukała) – 3. i 10.09.2023.

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie, Województwo Podkarpackie na Północ–Południe. Spotkania Filmowe – Kino Zorza i Miejski Dom Kultury w Stalowej Woli 14.–17.09.2023.

Galeria r_z ZPAP w Rzeszowie i Autorzy na: spotkanie autorskie Rafała Rżanego i promocję książki *Koniec lata oraz Ptaki i kamienie* (prowadzenie: Kamila Dzika-Jurek) – 29.09.2023; spotkanie autorskie Jacka Napiórkowskiego i promocję książki *Udając jednorozce* (prowadzenie: Rafał Rżany) – 5.10.2023; wernisaż wystawy Przemysława Pokrywki *Syreny z Tytana* – 14.10.2023.

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie na wernisaż wystawy pokonkursowej XX Międzynarodowego Niekonwencjonalnego Konkursu Fotograficznego Foto Odlot – 10.10.2023.

Wójt Gminy Krasnystaw, Marzena Mariola Podkościelna, Gminne Centrum Kultury w Krasnymstawie z siedzibą w Sienicy Nadolnej na Krasnostawską Noc Poctów (m.in. wspomnienie patrona Mariusza Karguła, Turniej Jednego Listu, prezentacja Antologii, koncert Grzegorza Grunwalda) – Wiejski Dom Kultury i Turystyki w Widniówce k. Krasnegostawu 21.10.2023.

Redakcja miesięcznika „Twórczość” na spotkanie wokół numerów pisma z 2023 roku z udziałem ich autorów i autorów: Karola Maliszewskiego, Jana Stolarczyka, Anny Ciałowicz, Tomasza Titkowa i Anety Wiatr – Kawiarnia Czytelni Nowe Wydanie w Warszawie 19.10.2023.

Dyrekcja Instytutu Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego na Jubileusz sześćdziesięciolecia rzeszowskiej polonistyki (1963–2023) – Aula Duża UR 25.10.2023.

PUBLIKACJE NADESŁANE

CZASOPISMA

- „Akcent” 2023, nr 1 (171), nr 2 (172), nr 3 (173).
„Almanach Prowincjonalny” 2023, nr 1 (37).
„Elewator” 2023, nr 1–2 (37).
„Konteksty” 2022, nr 3 (338).
„Kroniki” (według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach) 2023, nr 1 (54).
„Nowy Napis” 2023: nr 17, 18, 19.
„Odra” 2023, nr 6 (728), 7–8 (730), nr 9 (731), nr 10 (732).
„Pamiętnik Literacki” (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn), t. LXV, czerwiec 2023.
„Polonus. Czasopismo na Rzecz Języka Polskiego i Europejskiego Dialogu”, 2023, nr 1 (7).
„Topos” 2023: nr 1–2 (185–186), nr 4 (188), nr 5 (189).
„Twórczość” 2023: nr 5 (930), 6 (931), nr 7–8 (932–933), nr 9 (934), nr 10 (935).

POEZJA

- Manolis Alizgakis, *Powrót i ból / Nostos and algos*, przełożyli na język polski z wersji angielskiej Mirosław Grudzieli i Małgorzata Żurecka, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2020.
Anna Augustyniak, *Anna Q.*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
Urszula M. Benka, *Melodia opętania*, Akwedukt – Oficyna Wydawnicza, Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu, Wrocław 2022.
MLB [Miłosz Biedrzycki], *Wiosna ludzi*, Korporacja Ha!art, Kraków 2022.
Maciej Bobula, *Pustko*, ilustracje Maciej Bobula, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2022.
Wojciech Bonowicz, *Wielkie rzeczy*, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.
Jawicich Brzoska, *Senny ofsajd*, Convivo, Warszawa 2022.
Karina Caban, *Dużo drobnych*, Nagroda główna Konkursu im. Anny Świrszczyńskiej na Książkwo Debiut Poetycki 2022, Universitas, Kraków 2022.
Krzysztof Chara, *Porzeczki*, Akwedukt – Oficyna Wydawnicza, Klub Literatury i Muzyki we Wrocławiu, Wrocław 2022.
Ivan Davydenko, *Halal*, seria Tropu / seria Stopy, Wydawnictwo papierwdole / Katalog Press, Ligota Mała – Dün Čideann 2022.
Krystyna Dąbrowska, *Miasto z indu*, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.
Jack Dehnel, *Bruma*, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.
Rafał Derda, *Polskie obozy życia*, seria Biblioteki narodowe, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała 2022.
Anna Dwojnych, *Nocne zabawy w dużych miastach*, seria Szumy, zlepy, ciągi, t. 46, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022.
Katarzyna Fetińska, *Nie ma nic o pilce nożnej*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022.
Ewa Filipczuk, *Czerwień, kolory ziemi*, seria Białe kruki czarne owoce, t. 15, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022.
Piotr Florczyk, *Granice*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 255, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
Darek Foks, *Eurydyka*, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2021.
Darek Foks, *Pocałunek na placu Wolnica*, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2022.
Rafał Gawin, *Wiersze dla koleżanek*, Oficyna Własny Sumpt, Justynów 2022.
Robert Gawłowski, *Peregryn*, Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu, Wrocław 2022.

- Piotr Gociek, *Jak nakarmić smoka i inne zaskakujące opowieści*, ilustracje Natalia Huć, Wydawnictwo Zysk i s-ka, Poznań 2020.
- Dominka Góra, *Przesilenie*, red. Stanisław Dłuski, Sekcja Twórczości Literackiej, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2022.
- Tomek Gromadka, *Komunizm, gówno i może cię kocham*, Poezje 241, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Paweł Harlender, *Nielegalne kopie*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 252, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Anouk Herman, *Right into pod tramwaj*, seria Biblioteka kwartalnika „Nowy Napis”, Instytut Literatury / Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź–Kraków 2022.
- Renata Jabłońska, *Zaulek*, Wyd. SIGNI Zygfryd Ślapiak, Warszawa 2022.
- Kalina Jaglarz, *Gościć sójki*, rysunki Marija Babiak, Biblioteka Śląska, Katowice 2022.
- Tomasz Jamroziński, *Całkiem udane liturgie*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Kamila Janiak, *Miłość*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 273, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Bogdan Jaremin, *Drżenie świata*, wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022.
- Łukasz Jarosz, *Pełnia Robaczywego Księżycza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.
- Aneta Kamińska, *Teraz zaraz*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022.
- Aneta Kamińska, *Wschodniki / zachodniki*, Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2022.
- Samantha Kitsch, *Jojjo*, seria Szumy, zlepy, ciągi, t. 41, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Instytut Literatury, Łódź 2022.
- Agnieszka Klos, *Ciało poetyckie*, Wydawnictwo j., Wrocław 2022.
- Aldona Kopkiewicz, *Przy sobie*, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2022.
- Jakub Kornhauser, *In amplexu*, opracowanie graficzne Artur Skowroński, Wydawnictwo J., Wrocław 2022.
- Urszula Koziół, *Momenty*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.
- Krasnostawska Noc Poetów. Antologia 2019*, koordynator działań organizacyjnych i literackich Marzena Mariola Podkościelna, Wydawnictwo TAWA Taurogiński Waldemar, Chełm 2020.
- Krasnostawska Noc Poetów. Antologia 2021*, koordynator działań organizacyjnych i literackich Marzena Mariola Podkościelna, Wydawnictwo TAWA Taurogiński Waldemar, Chełm 2022.
- Paweł Kusiak, *Grypsy proroków*, seria Biblioteki narodowe, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała 2022.
- Ewelina Kuśka, *Dziecko róży*, Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2022.
- Adam Lizakowski, *Pieszycza księga umarłych*, Kolekcja Literacka, seria III, t. I, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa, Warszawa 2022.
- Monika Maciasz, *Kraj oka*, seria Biblioteki narodowe, Wydawnictwo papierwdole / Katalog Press, Ligota Mała–Dün Čidecann 2022.
- Aleksandra Majówka, *Znużenie materiału*, 1. Nagroda w Konkursie Poetyckim Fundacji Duży Format 2022. Kategoria: Po Debiucie, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022.
- Natalia Malek, *Obręcze*, ilustracje Basia Bańda, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 257, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Karol Maliszewski, *Silnik na trawie*, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2022.
- Antoni Matuszkiewicz, *Wieszczyna i okolice*, na okładce obraz *Anioł* Włodzimierza Reszetowa-Krzyżanowskiego, Studio Edytor, Dzierżoniów 2023.
- Piotr Mierzwa, *Wiersze. Wybór Matysiak*, Convivo, Warszawa 2022.
- Jarosław Mikołajewski, *Życie na xanaksie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.
- Zbigniew Mikołejko, *Teraz i zawsze*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Marcin Mokry, *Nowe linie, nowe usta*, projekt typograficzny Marcin Mokry, Poezje 242, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Joanna Oparek, *Mate powinności*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 251, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Edward Pasewicz, *Darkslide*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 268, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.

- Sławomir Płatek, *Brak*, seria Szумы, zlepy, ciągi, t. 40, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Instytut Literatry / Dom Literatry w Łodzi, Łódź 2022.
- Piotr Piaszczyński, *Po północy. Wiersze 2020–2022*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022.
- Paulina Pidzik, (*miejsca ich jesiony*), fotografie Paulina Pidzik, Poezje 256, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Anna Piwkowska, *Furtianie*, Znak, Kraków 2022.
- Bogdan Prejs, *Lękopisy dla kotanki*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Jakub Pszoniak, *Lorem ipsum*, Poezje 253, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Janusz Radwański, *Śpiewnik szantowy*, Covivo, Warszawa 2022.
- Michał Ratajczak, *ćszócrówt ynsałw ketyżu an. Wybór*, nakład autora, Kicin 2022.
- Ada Rączka, *Chciałośmy*, prace wizualne i kompozycja tekstu Zofka Kofta, Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2022.
- Maciej Robert, *Śnieg*, projekt graficzny Joanna Jopkiewicz, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2022.
- Bianka Rolando, *Abrasz*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 260, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Alicja Rosé, *Morze nocą jest mięśnieniem serca*, ilustracje Alicja Rosé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.
- Julek Rosiński, *Streszczenie pieśni*, Poezje 243, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.
- Tomasz Różycki, *Ręka pszczelarza*, Znak, Kraków 2022.
- Rafał Rutkowski, *Na drzewach kwitną wielkie okna*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Robert Rybicki, *Mysł śliną*, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2022.
- Grzegorz Ryczywolski, *Wróciłem w miejsce, którego mógłbym ci ustąpić*, Grupa Performatywna Chłopaki, Warszawa 2022.
- Rafał Rżany, *Koniec lata*, Wydawnictwo Pod Światło, Rzeszów–Kraków 2023.
- Rafał Rżany, *Ptaki i kamienie*, Wydawnictwo Pod Światło, Rzeszów–Kraków 2023
- Patrycja Sikora, *Wszyscy o nas mówią*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 256, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Krzysztof Siwczyk, *Krematoria III*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022.
- Piotr Sommer, *Lata praktyki*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 259, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Spaleni życiem. Almanach Literacki Młodych*, redakcja Stanisław Dłuski, Kamil Flaga, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2022.
- Paweł Stasiewicz, *Oprawa skórzana*, projekt typograficzny Paweł Stasiewicz, seria Pąd, ponowa, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała 2022.
- Leszek Szaruga, *Na języki (zapiski)*, Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Tanowo 2022.
- Piotr Szewc, *Miejsce*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.
- Artur Szlosarek, *Wagary w czyścću*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 254, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Marta Szumna-Witek, *Nagrody pocieszenia*, 1. Nagroda w Konkursie Poetyckim Fundacji Duży Format 2022. Kategoria: Debiut, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022.
- Ewa Świąc, *Odbitki*, seria Tropy, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała 2022.
- Adam Wiedemann, *Odżywki i suplementy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022.
- Radosław Wiśniewski, *Siedem książek porzuconych*, seria Teraz jest taki dzień, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała 2022.
- Zu Witkowska, *Fluid*, Biblioteka Poezji Współczesnej, t. 258, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2022.
- Marcin Zegadło, *Martwe i ozdobne*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2022.
- Agnieszka Żuchowska-Arendt, *Wieszak i pogrzebacz*, Wydawnictwo papierwdole, Ligota Mała-Ocięż 2022.

PROZA

- Inga Iwasiów, *Późne życie*, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2023.
Roman Madejowski, *Urlop Pana Boga*, na okładce fragment obrazu Marka Pokrywki, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2023.
Tomasz Różycki, *Złodziejże żarówek*, okładka Alicja Biała, Wydawnictwo Czarne, Wołowice 2023.
Jorgos Seferis, *Dni 1941–1956*, przełożył Michał Bzinkowski, Biblioteka Mnemosyne, słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2019.

INNE

- XVIII Międzynarodowy Plener Malarski Boguchwała 2022, Gmina Boguchwała Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, Miejskie Centrum Kultury w Boguchwale, Rzeszów 2022.
Kazimierz Braun, *Druga Reforma Teatru. Ludzie – idee – zdarzenia*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego, Warszawa 2022.
Joanna Dembińska-Pawelec, *Sens życia, sens wiersza. Szkice o twórczości Stanisława Barańczaka*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.
Dokumentalni. Fotografowie Rzeszowszczyzny, część pierwsza *Rzeszowskie Towarzystwa Fotograficzne*, red. Barbara Bokota-Tomala, Piotr Piech, Michał Drozd, wstęp Magdalena Rabizo-Birek, Rzeszowska Akademia Fotografii, Rzeszów, bd [2023].
Dokumentalni. Fotografowie Rzeszowszczyzny, część druga *Świadectwo Czasu*, red. Barbara Bokota-Tomala, Piotr Piech, Michał Drozd, wstęp Magdalena Rabizo-Birek, Rzeszowska Akademia Fotografii, Rzeszów, bd [2023].
Jerzy Gieroyc, Zygmunt Haupt, *Listy 1947–1975*, oprac., wstęp, przypisy Paweł Panas, Archiwum „Kultury” 25, Biblioteka „Więzi”, t. 383 / Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską / Association Institut Littéraire „Kultura”, Warszawa 2022.
Krzysztofa Lachtara, *Grafika*, wstęp Magdalena Rabizo-Birek, Przemyskie Centrum Nauki i Kultury Zamek, Galeria Sztuki Współczesnej w Przemysłu, Przemysł 2023.
Karol Maliszewski, *Język w ogniu i inne metafory krytycznoliterackie*, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2022.
Miejsce po Michale. W kręgu Williama Blake’a, Międzygórze, wrzesień 2023, bw.
Andrzej Niedoba, Marek Pokrywka, Stanisław Tabisz, Wojciech Trzyna, *Powrót do rajju. Spotkanie (malarstwo, rysunek, rzeźba)*, teksty: Magdalena Rabizo-Birek, Jan Wolski, Muzeum Etnograficzne im. Franciszka Kotli w Rzeszowie, Rzeszów 2023.
Ewa Elżbieta Nowakowska, *Najpierw oddech. Eseje, recenzje, szkice*, Universitas, Kraków 2023.
Jakub Orzeszek, *Drugie ciało pisarza. Eseje o Brunonie Schulzu*, Biblioteka „Schulz / Forum” 10, fundacja terytoria książki, słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2023.
Jolanta Pastarska, *Spory o powieść w dyskusjach krytycznoliterackich drugiej emigracji niepodległościowej*, seria Polemika krytycznoliteracka w Polsce, t. 26, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Nauk, Poznań 2021.
Małgorzata Skałbania, *Szkice*, wstęp Lechosław Lameński, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022.
Henryk Waniek, *Kwadratura koła / Squa ring a circle* [teksty: Urszula M. Benka, Mirosław Jasiński, Piotr Mras], Galeria Miejska we Wrocławiu, Wrocław listopad 2022.
Henryk Waniek, *Lapis philosophorum*, seria Jeden esej, Convivo, Warszawa 2022.
Jan Wolski, *Marginalia polskie i dwie ukraińskie*, Bonus Liber, Rzeszów 2023.
Jan Wolski, *Marginalia szwajcarskie i jedna austriacka*, Bonus Liber, Rzeszów 2023.

KOMUNIKATY

NAGRODY ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCYZŹNIE 2023

Po raz siedemdziesiąty drugi zostały przyznane londyńskie Nagrody Literackie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jury w składzie: przewodnicząca Regina Wasiak-Taylor, (prezes ZPPnO, Londyn, Wielka Brytania); ks. prof. Janusz Ihnatowicz (Houston, USA); dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm (Wilmington, USA) i dr Adam Wierciński (Uniwersytet Opolski, Polska), uprzejmie zawiadamia o wyłonieniu laureatów w 2023 roku: **Kazimierz Braun** – dramaturg, reżyser, pisarz, wykładowca akademicki – otrzymuje nagrodę za całokształt twórczości; **Richard John Butterwick-Pawlikowski** – historyk brytyjski – został nagrodzony za popularyzowanie kultury i historii polskiej w anglojęzycznym świecie.

Kazimierz Braun otrzymuje londyńską Nagrodę Literacką za całokształt twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem działalności pisarskiej, teatralnej i naukowej po osiedleniu się w Stanach Zjednoczonych w roku 1985. Urodzony 29 czerwca 1936 r. w Mokrsku Dolnym na Kielecczyźnie, zdobył dwa dyplomy uniwersyteckie: filologii polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (1958) oraz reżyserii dramatu w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie (1962). Doktorat uzyskał na UAM w Poznaniu (1971), stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych (ze specjalnością: teatrologia) przyznano mu na Uniwersytecie Wrocławskim (1975). Ambitny i konsekwentnie egzekwowany plan kariery naukowej i artystycznej przerwała utrata pracy i stanowiska dyrektora we Wrocławskim Teatrze Współczesnym. Władze polityczne odsunęły Brauna za działalność opozycyjną. Prowadzony przez niego w latach 80. XX wieku cykl wykładów na kilku uczelniach w USA pozwolił mu na wyjazd do Ameryki. Od roku 1989 aż do emerytury pracował na University at Buffalo w stanie Nowy Jork, gdzie otrzymał tytuł profesora (w Polsce został profesorem belwederskim w roku 1992). Wydał dotąd 77 książek, w tym: *A History of Polish Theater, 1939–1989* (Greenwood Press, Westport 1996); *Druga Reforma Teatru. Ludzie – Idee – Zdarzenia* (wyd. Volumen, Warszawa 2022); *Mój Ojciec* (wyd. Adam Marszałek, Toruń 2023). Opublikował kilkanaście szkiców z dziedziny historii i zagadnień warsztatowych teatru w języku polskim i angielskim. Wydaje tomiki poezji, prozy, zbiory dramatów i scenariuszy teatralnych, słuchowisk radiowych, pisze również powieści. Od czasu debiutu reżyserskiego w 1961 wyreżyserował ponad 150 przedstawień teatralnych i telewizyjnych w Polsce, USA, Kanadzie, Irlandii, Niemczech. W życiu artystycznym Brauna dominuje Norwid. Szalone zadanie, które wyznaczył sobie na progu kariery artystycznej: pokazania w teatrze i w telewizji wszystkich pełnospektaklowych sztuk tego pisarza – udało mu się spełnić. Zamknął je imponującą liczbą czterdziestu wybitnych realizacji dramatycznych Norwida. Ale inscenizował również dramaty Różewicza (było ich 18), Wypiańskiego, Brechta, Szekspira. Osobnym działem twórczości Kazimierza Brauna jest „budowanie gmachu pamięci Polek emigrantek”. W ciągu dwudziestu z górą lat powstał cykl spektakli: scenariusz *American Dreams* opowiada o losach dwóch współczesnych polskich aktorek na obczyźnie, sztuka *Tamara L.* – o wielkiej malarce Tamarze Łempickiej, *Promieniotwórczość* – o wielkiej uczonej Marii Skłodowskiej-Curie, natomiast o niezłomnej patriotce, więźniarce niemieckich obozów i również uczonej mówi dramat *Karolina Lanckorońska*. Były także przedstawienia o hollywoodzkiej gwiazdce filmu niemiego, Poli Negri, o aktorce i pieśniarce Hance Ordonównie. Dużym zainteresowaniem cieszył się monodram *Królowa Emigrantka. Rzecz o Helenie Modrzejewskiej*. O wielkich Polakach tworzących i mieszkających poza Polską również pamiętał, tworząc dwie sztuki o Ignacym Paderewskim (*Dzieci Paderewskiego* i *Paderewski wraca*). Większość tych spektakli pisana była dla dwóch znakomych aktorek, Marii Nowotarskiej i Agaty Pilitowskiej z Salonu Poezji, Muzyki i Teatru w Toronto. Nagroda dla profesora Kazimierza Brauna przypadająca na okres późnego kryzysu wartości w naszym życiu jest tym bardziej znacząca, że twórczość laureata przywołuje norwidowskie cnoty piękna, dobra i prawdy.

Richard John Butterwick-Pawlikowski (ur. w Wielkiej Brytanii 13 marca 1968 r.), brytyjski historyk, badacz dziejów Polski i Litwy w XVIII wieku jest obecnie pracownikiem University College w Londynie. Studiował historię w Cambridge, doktorat uzyskał w Oxfordzie. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię polityki, religii, kultury i idei w XVIII wieku. Jest autorem monografii *Poland's Last King and English Culture. Stanisław August Poniatowski, 1732–1798* (Oxford 1998, polskie wydanie *Stanisław August a kultura angielska*, Warszawa 2000), a także innych prac zwartych i zbiorowych oraz rozpraw o Oświeceniu i Anty-Oświeceniu, Kościele katolickim, parlamentarzmie i monarchii w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Richard Butterwick pod wpływem ruchu „Solidarność” zainteresował się Polską, z której pochodzą jego przodkowie i wkrótce uległ fascynacji jej historią. Intensywna nauka języka polskiego, studia i badania w archiwach i bibliotekach europejskich sprawiły, że stał się najwybitniejszym znawcą historii Polski okresu Oświecenia. Niezwykłą książkę napisał o tym, jak w XVIII wieku zniknęło z mapy państwo, które nie było „jakimś pomniejszym księstwem czy miastem-republiką, tylko jednym z największych państw Europy”. Odkrywczą, wyróżniającą się polotem i wyjątkowo atrakcyjną formą, książkę *Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795)*, przełożył Michał Ronikier (Kraków 2022, Wydawnictwo Literackie). [...] Zajmująca i odkrywczą rozprawa angielskiego profesora poświęcona osiemnastowiecznej Polsce (ściślej: „państwom Rzeczypospolitej”) nawiązuje do najlepszych tradycji europejskiego dziejopisarstwa, do czasów, kiedy pisarze historycy umieli połączyć wiedzę z intuicją badawczą i artystycznym, kiedy nauka była bliska literaturze. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się w Londynie, w lutym 2024.

Jury ZPPnO

BYDGOSKIE LITERACKIE NAGRODY ROKU STRZAŁA ŁUCZNICZKI 2023

16 czerwca 2023 roku na dziedzińcu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. dr. W. Bełzy w Bydgoszczy odbyła się gala wręczenia nagród laureatom literackiego konkursu „Strzała Łuczniczki” za rok 2022. Nagrody są przyznawane od 2003 roku. Celem konkursu jest wyróżnienie i promowanie najlepszych książek, których autorkami/autorami są osoby związane z miastem nad Brdą, lub utworów tematycznie nawiązujących do Bydgoszczy. Nagrody przyznawane są w trzech kategoriach: poezja, proza i eseistyka, poziom edytorski. Jury tegorocznego konkursu obradowało w składzie: prof. dr hab. Jerzy Madejski (Uniwersytet Szczeciński), prof. dr hab. Arkadiusz Morawiec (Uniwersytet Łódzki), prof. dr hab. Jolanta Pastarska (Uniwersytet Rzeszowski). Laureaci otrzymali statuetki „Strzały Łuczniczki” – repliki strzały z bydgoskiej rzeźby Łuczniczki, jednego z najstarszych posągów zachowanych w mieście – oraz nagrody pieniężne. Do tegorocznego konkursu zgłoszono 23 pozycje wydawnicze. Zwycięzcami/zwyciężczyniami Bydgoskiej Literackiej Nagrody Roku 2022 Strzała Łuczniczki zostali: w kategorii Poezja: Bartłomiej Siwec, za tom *Samotny mężczyzna spokojnie konsumuje fasolkę Heinza*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa, Warszawa 2022; w kategorii Proza i eseistyka: Aleksandra Majdzińska za książkę *Szałom bonjour Odessa*, Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 2022; w kategorii Poziom edytorski: Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy z album *Anna Sobol-Wejman i Stanisław Wejman/Stanisław Wejman „Komedia horyzontalna (1988–1994)*, Bydgoszcz 2022.

V KONKURS NA RECENZJĘ LITERACKĄ IM. TYMOTEUSZA KARPOWICZA

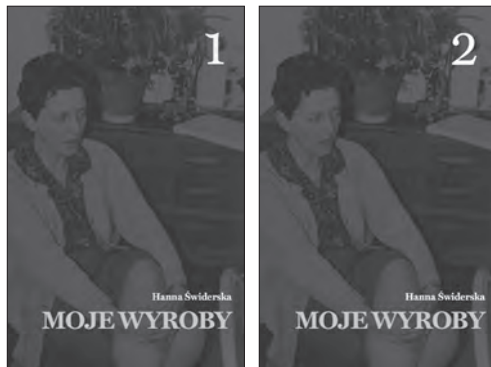
W dniu 1 czerwca 2023 r. jury w składzie: Kinga Dunin, Grzegorz Gauden, Karol Maliszewski, Magdalena Rabizo-Birek i Kazimiera Szczuka uzgodniło werdykt podczas obrad online. 1. miejsce zdobyła Jagoda Maciejczyk (za recenzję powieści Berdyczów Marty Kozłowskiej), 2. miejsce Piotr Marcinków (za recenzję tomu śnieg Maciejja Roberta), 3. Karolina Chyła (za recenzję biografii Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza Emilii Padoł). Trzy równorzędne wyróżnienia honorowe otrzymały: Ada Czerwińska (za recenzję powieści Jeśli przecięto cię na pół Łukasza Barysa), Sabina Sikorska (za recenzję książki Pawilon małych ssaków Patryka Pufelskiego) i Urszula Margas (za recenzję

powieści Dewocje Anny Ciarkowskiej). Tradycyjnie werdykt konkursu, który organizuje Wrocławski Dom Literatury ogłoszono podczas festiwalu Góry Literatury (w zamku Sarny w Ścinawce Górnej) 14 lipca 2023 r.

6 FESTIWAL BIESZCZADZKI TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA
IM. RYSZARDA SZOCIŃSKIEGO O NAGRODĘ „ŻURAWIE PIÓRO”
PRZY FESTIWALU TROMBITA. FOLK – POEZJA – BLUES SMEREK 2023

Jury w składzie Magdalena Rabizo-Birek, Tomasz Kowalczyk (przewodniczący), Józef Bilski (sekretarz) przyznało: I nagrodę Ryszardowi Dobrowolskiemu (Bieszczady) za wiersz *Za kominem*, II nagrodę Agacie Litwin (Przemyśl) za wiersz *Jesień mi odpowiada* i *ex-aequo* III nagrody: Katarzynie Grudzie (Lublin) za wiersz *Przyszła jesień*, Aleksandrowi Pordzikowi (Racibórz) za wiersz *Dotknąć*, Katarzynie Hop Drzewieckiej (Legionowo/Bircza) za wiersz *Jesień*. Wydarzenie miało miejsce 30 września 2023 roku.

NOWOŚCI „FRAZY”



Hanna Świdorska, *Moje wyroby*, t. 1–2

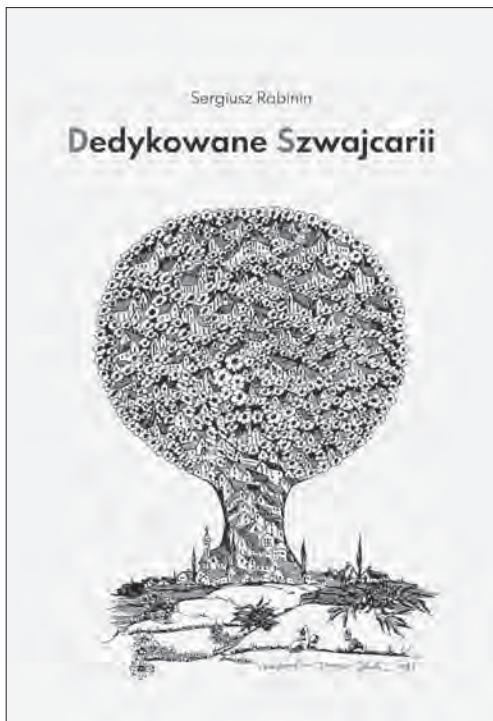
Redakcja: Jan Wolski. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Biblioteka „Frazy” [seria eseistyczna], Rzeszów 2023, t. 1 i 2, ss. 574 i 392.

Cena: 60 zł (komplet)

Moje wyroby Hanny Świdorskiej (pseud. Janina Kowalska, Grażyna Nowak) gromadzą rozproszony dorobek kompetentnej historyczki i wnikliwej obserwatorki emigracyjnych i krajowych doświadczeń Polaków po II wojnie światowej. Tomy te są nie tylko przypomnieniem jej dokonań, co także upomnieniem się o obecność tej twórczości w szerszym obiegu. Jest to bowiem dzieło żywe, intrygujące, wielostronne, oparte na rzetelnych podstawach faktograficznych, przy tym tworzone z talentem narracyjnym, choć wciąż mało rozpoznane. Tomy te mogą zainteresować – i z pewnością zainteresują – przedstawicieli różnych dziedzin humanistycznych: literaturoznawców, historyków, komparatystów, socjologów, politologów, jak również czytelników i admiratorów twórczości Hanny Świdorskiej.

Jan Wolski

NOWOŚCI „FRAZY”



Sergiusz Riabinin, *Dedykowane Szwajcarii*

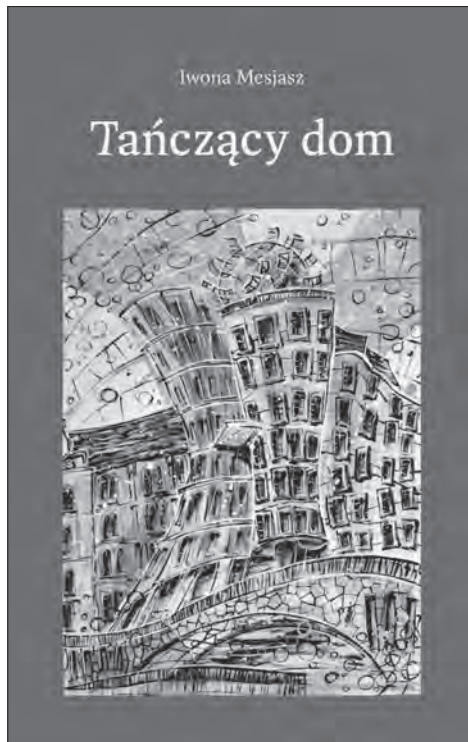
Ilustracje: Zbigniew Józwick, redakcja i postłowie: Jan Wolski. Idea i opracowanie graficzne: duet WOLWO (Grzegorz Wolański i Jan Wolski), Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Biblioteka „Frazy” [seria poetycka], Rzeszów 2023, ss. 58.

Cena: 35 zł

Sergiusz Riabinin i Zbigniew Józwick przed laty odwiedzili Szwajcarię. O fascynacji krajem i jego przyrodą świadczą wiersze, które pod wpływem tych mocnych doznań, napisał pierwszy z nich. Podobnych doznań zakosztował i drugi, czego poświadczeniem jest cykl zachowanych rysunków piórkiem. Zbigniew Józwick narysował swoje szwajcarskie impresje w oparciu to, co zobaczył, naszkicował, ale i zachował w pamięci i biorąc za podstawę tekstową Riabininową *Litanie na intencję Szwajcarii*. I tak oto doświadczenie piękna natury Szwajcarii, głęboko humanistyczna wrażliwość, ciekawość świata i ludzi, potrzeba dialogu, zmanifestowały się we wspólnym dziele, jakim jest druk *Dedykowane Szwajcarii*.

Jan Wolski

NOWOŚCI „FRAZY”



Iwona Mesjasz, *Tańczący dom*, Biblioteka „Frazy”, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2023, cena 40 zł.

Książka Iwony Mesjasz jest wielosmakową, dynamiczną, ale zmierzającą ku pełni kompozycją. Są tu opowiadania, wiersze, poematy prozą (jak piękny hołd dla łączącej Polskę i Czechoy góry Śnieżki), listy, eseje, reportaże, obrazki, felietony i recenzje – opatrzone autorską sygnaturą silnej i barwnej osobowości. Ta opowieść o realnym i metaforycznym domu na polsko-czeskim pograniczu jest napisana z polem, błyskotliwie i wciągająco.

Magdalena Rabizo-Birek

Wydawnictwa „Frazy”, dawne i nowe numery pisma w cenie 20 zł można zamówić pod internetowym adresem fraza@univ.rzeszow.pl, dokonując opłaty na konto: PKO I/O Rzeszów 89 1020 4391 0000 6602 0043 7079.